

**Sandra
Brown**

**W objęciach
chłodu**

1

Grób był wykonany niedbale.

Wedle prognoz, nadchodząca śnieżycza miała być burzą stulecia.

Miejsce ostatniego spoczynku Millicent Gunn - zaginionej tydzień temu osiemnastolatki o krótkich brązowych włosach, delikatnej budowie ciała, i wzroście około metra sześćdziesięciu - było niczym więcej niż tylko płytkim rowem w twardej ziemi, wystarczająco długim, aby ukryć ciało. Jego głębokość można będzie poprawić, kiedy nadejdzie wiosna i grunt zacznie rozmarzać. Oczywiście jeżeli do tego czasu padlinozercy nie rozprawią się z ciałem.

Ben Tierney przeniósł spojrzenie ze świeżo wykopanego grobu na pozostałe, położone w pobliżu cztery mogiły. Ściółka leśna i opadłe gałęzie drzew zapewniały im naturalny kamuflaż, jednak każdy z kopców zmieniał subtelnie topografię wyboistego terenu - jeżeli ktoś wiedział, czego szuka. Pień martwego drzewa, które przywaliło jeden z grobów, maskował wszystko. Jedynie ktoś, kto znał prawdę, potrafił rozpoznać, co kryje ta okolica.

Ktoś taki jak Tierney.

Spojrzał po raz ostatni na pusty, płytki grób, a potem podniósł leżącą u jego stóp łopatę i wycofał się tyłem. Zauważył wtedy ciemne odciski podeszew, odznaczające się wyraźnie na białym dywanie mokrego śniegu. Nie martwiło go to zbytnio.

Jeżeli meteorolodzy mieli rację, wkrótce owe ślady przykryje kilkanaście centymetrów śniegu. Zanim grunt odmarźnie na dobre, odciski butów rozpułną się w powstającym błocie.

Nie poświęcił im ani jednej minuty więcej. Musiał zejść z góry i to natychmiast.

Zostawił samochód przy drodze, kilkaset metrów od wierzchołka, na którym skrywał prowizoryczny cmentarz. Choć Tierney poruszał się teraz w dół zbocza, nie było tu żadnej ścieżki, która wiodłaby przez gęstwinę lasu. Gęste poszycie pomagało mu jako tako łapać przyczepność w czasie wędrówki, ale teren był nierówny i niebezpieczny, tym bardziej że siekący w oczy mokry śnieg ograniczał widoczność. Choć Tierney się spieszył, musiał uważnie stawiać każdy krok, aby uniknąć upadku.

Synoptycy zapowiadali zamieć od wielu dni. Zderzenie się kilku frontów atmosferycznych miało wywołać jedną z najgorszych nawałnic w historii tej okolicy. Ludzie, którzy zamieszkawali obszar objęty burzą, zostali poinstruowani, aby zgromadzić zapasy jedzenia, powziąć wszelkie środki ostrożności, zostać w domu i odłożyć na później planowane podróże. Tylko głupiec wybrałby się dziś w góry - albo ktoś, kto miał coś bardzo ważnego do zrobienia.

Ktoś taki jak Tierney.

Lodowata mżawka padająca przez całe popołudnie teraz zamieniła się w zamarzający deszcz ze śniegiem. Kiedy Tierney przedzierał się przez las, zamarznięte płatki siekły go w twarz niczym ostre igiełki. Przygarbił ramiona i postawił kołnierza, częściowo zasłaniając zdrętwiałe z zimna uszy.

Prędkość wiatru wzrosła znacząco. Korony drzew kołysały się gwałtownie, klekocząc nagimi gałęziami niczym pałeczkami do werbli. Wichura obrywała igły z sosen i świerków, miotając nimi w powietrze. Jedna z nich uderzyła Tierneya w policzek.

Ponad sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, z północnego zachodu, pomyślał, automatycznie rejestrując warunki otoczenia. Instynktownie potrafił określić takie rzeczy, jak prędkość

wiatru, czas, temperaturę i stronę świata. Zupełnie jak gdyby w którejś części mózgu miał wbudowany wiatrowskaz, zegarek, termometr i GPS, nieustannie dostarczające danych jego podświadomości. Był to talent, który Tierney rozwinął w niezwykłą umiejętność, szlifując ją przez większość dorosłego życia, które spędził w terenie. Nie musiał się zastanawiać nad nieustannie zmieniającymi się warunkami środowiska i często korzystał ze swoich zdolności, aby uzyskać potrzebne mu w danej chwili informacje.

Teraz właśnie przyszła na to odpowiednia pora. Tierney nie zamierzał utknąć gdzieś na zboczu Cleary Peak - po Mount Mitchell drugiej co do wysokości góry w Karolinie Północnej - ze szpadlem w dłoni, wracając z miejsca, w którym były cztery stare groby i piąty, dopiero co wykopany.

Lokalna policja nie czyniła znaczących postępów w śledztwie dotyczącym spraw kryminalnych. Tak naprawdę miejscowy wydział był śmiechu wart. Komendant Dutch Burton, były detektyw z wielkiego miasta, został wyrzucony z poprzedniej pracy. Teraz zawiadywał bandą nieudolnych małomiasteczkowych policjantów, kmiotków odzianych w odpicowane mundury z lśniącymi odznakami, którzy mieli trudności nawet ze złapaniem gnojka wypisującego sprayem obsceniczne teksty na pojemnikach na śmieci za stacją Texaco.

Teraz skoncentrowali się na dochodzeniu w sprawie pięciu zaginionych osób. Pomimo niewątpliwej prostoty umysłowej, nawet oni zdołali dojść do wniosku, że zaginięcie pięciu kobiet w małym miasteczku w ciągu dwóch i pół roku to coś więcej niż tylko zbieg okoliczności. W wielkim mieście taka statystyka zostałaby przebita inną, bardziej przerażającą, ale tutaj, w tej górzystej, słabo zaludnionej okolicy zniknięcie pięciu kobiet było prawdziwym wstrząsem. Powszechnie sądzono, że owe kobiety padły ofiarą zbrodni, tak więc głównym zadaniem policji było odnalezienie nie tyle osób, ile ludzkich szczątków. Podejrzenie mogłoby paść na człowieka targającego przez las łopatę.

Na kogoś takiego jak Tierney.

Jak dotychczas udało mu się uniknąć zainteresowania komendanta Burtona i chciał, żeby tak zostało.

Maszerując w dół zbocza, zaczął przypominać sobie podstawowe fakty dotyczące kobiet pogrzebanych na szczycie. Carolyn Maddox, dwudziestosześcioletka z obfitym biustem, pięknymi czarnymi włosami i ogromnymi brązowymi oczami, zaginiona zeszłego października. Samotna matka mająca na wyłącznym utrzymaniu dziecko chore na cukrzycę. Sprzątała pokoje w jednym z miejscowych pensjonatów. Jej życie było ponurą, wyczerpującą mordęgą. Teraz zaznała wiecznego spokoju i odpoczynku, podobnie jak Laureen Elliott, samotna, otyła blondynka, która pracowała jako pielęgniarka w miejscowej klinice.

Betsy Calhoun, owdowiała gospodyni domowa, była starsza od pozostałych ofiar. Z kolei Torrie Lambert, pierwsza ofiara, była najmłodsza, najładniejsza z nich wszystkich i jako jedyna nie mieszkała w Cleary.

Tierney przyspieszył, próbując uciec przed własnymi myślami i pogarszającą się pogodą. Na gałęziach drzew, podobnie jak na kamieniach pod jego stopami, zaczął krystalizować się lód. Stroma, kręta ścieżka prowadząca do Cleary wkrótce stanie się nie do przejścia. Musiał za wszelką cenę zejść z tej cholernej góry.

Na szczęście jego wewnętrzny kompas po raz kolejny go nie zawiodł. Tierney wynurzył się z lasu nie dalej niż pięć metrów od miejsca, w którym rozpoczął wspinaczkę. Nie zdziwił go widok jego samochodu, pokrytego cienką warstwą zlodowaciałego śniegu. Podeszedł do niego, oddychając ciężko i wypuszczając z ust obłoczki pary. Wędrówka w dół zbocza była męcząca, a może przyspieszony oddech i gwałtowne bicie serca spowodowane było strachem. A może frustracją. Albo żalem.

Wrzucił łopatę do bagażnika, ściągnął gumowe rękawiczki i umieścił obok szpadla, po czym zatrzaskał klapę. Wsiadł do samochodu, z ulgą witając schronienie przed bezlitosnym wiatrem. Trzęsąc się, chuchnął w dłonie i energicznie je roztarł, usiłując przywrócić krążenie zgrabiętym palcom. Wcześniej

musiał włożyć gumowe rękawiczki, które, niestety, nie stanowiły żadnej ochrony przed zimnem. Wyciągnął z kieszeni płaszcza skórzane rękawice podbijane kaszmiem, nałożył je i przekreślił klucz w stacyjce.

Nic.

Podpompował gaz i spróbował znowu. Silnik nawet się nie zakrztusił. Po kilku nieudanych podejściach Tierney odchylił się na siedzeniu i wpatrzył we wskaźniki na desce rozdzielczej, jakby spodziewał się, że powiedzą mu, co zrobił źle. Przekreślił kluczyk jeszcze raz, ale silnik był tak samo martwy i milczący, jak kobiety pogrzebane niedbale na pobliskim wzgórzu.

- Cholera jasna! - uderzył zwiniętymi w pięść dłońmi w kierownicę i zapatrzył się przed siebie, chociaż przednia szyba samochodu była całkowicie pokryta warstwą lodu. - Masz przerąbane, Tierney - mruknął.

2

- Wiatr się wzmógł, pada zamarzający deszcz ze śniegiem - zauważył Dutch Burton, puszczając zasłonę, która opadła na miejsce. - Powinniśmy się stąd zbierać.

- Muszę jeszcze opróżnić te półki. To wszystko. - Lilly chwyciła stosik książek w twardej okładce, stojących na wbudowanej w ścianie półce i umieściła je w pudle.

- Zawsze lubiłaś czytać, kiedy tu przyjeżdżaliśmy.

- Mogłam wtedy nadrobić zaległości w najnowszych bestsellerach. Nikt mi nie przeszkadzał.

- Poza mną - powiedział Dutch. - Pamiętam, że zwykłem marudzić, dopóki nie odłożyłaś książki na bok i nie zaczęłaś zajmować się mną.

Siedząca na podłodze Lilly spojrzała na Dutcha z uśmiechem. Nie przyłączyła się jednak do jego miłych wspomnień o tym, jak spędzali wolny czas podczas pobytu w górskiej cha-

cie. Na początku przyjeżdżali tutaj na weekendy, aby odpocząć od pracowitych dni w Atlancie, a potem by się po prostu zrelaksować.

Wróciła do pakowania pozostałych rzeczy, które stanowiły jej własność. Zabierze je dziś ze sobą. Nigdy więcej nie wróci do tego domu, podobnie jak Dutch. To ostatni rozdział w ich historii, a właściwie epilog wspólnego życia. Lilly miała nadzieję, że pożegnanie będzie możliwie jak najmniej sentymentalne. Wyglądało jednak na to, że Dutch obrał inną, pełną wspomnień drogę.

Być może reminiscencje minionych dni miały poprawić mu humor albo sprawić, że Lilly poczuje się winna. Nie zamierzała jednak angażować się w jego grę. Dobre chwile ich wspólnego życia zostały przesłonięte złymi do tego stopnia, że jakiegokolwiek wspomnienia otworzyłyby jedynie niedawno zagojone rany. Skierowała więc rozmowę na nieco bardziej pragmatyczny temat:

- Sporządziłam kopie wszystkich dokumentów zamykających transakcję. Są tam, wraz z czekiem na połowę sumy za dom.

Dutch spojrział na brązową kopertę leżącą na dębowym stole do kawy, którą wskazała Lilly, jednak nie wziął jej do ręki.

- To nie w porządku, żebym dostał połowę sumy.

- Dutch, już o tym rozmawialiśmy. - Zagięła wieko kartonu i zamknęła go, żałując, że nie może równie łatwo zakończyć tej dyskusji.

- To ty zapłaciłaś za ten dom.

- Kupiliśmy go razem.

- Ale tylko dzięki twoim zarobkom. Z mojej pensji nie byłoby nas stać na ten luksus.

Lilly popchnęła pudło w kierunku drzwi, a potem stanęła, spoglądając Dutchowi prosto w oczy.

- Kiedy kupiliśmy ten dom, byliśmy małżeństwem i dzieliliśmy go jako małżeństwo.

- Kochaliśmy się tutaj jako małżeństwo.

- Dutch...
- Byliśmy małżeństwem, kiedy podawałaś mi rano kawę, ubrana wyłącznie w uśmiech i ten afgan - Dutch wskazał dzianą narzutę na fotel.
- Proszę, nie rób tego.
- To ja miałem to powiedzieć. - Zbliżył się do niej. - Nie rób tego.
- Już się stało. Sześć miesięcy temu.
- Mogłabyś to zmienić.
- Mógłbyś się z tym pogodzić.
- Nigdy się z tym nie pogodzę.
- Jak chcesz. - Zaczerpnęła powietrza i ciągnęła, już ciszej: - To twoja metoda, Dutch. Nie chcesz przyjąć do wiadomości, że coś się zmieniło. Jeśli nie umiesz tego zrobić, nigdy nie zdołasz pogodzić się z rzeczywistością.
- Nie chcę zaakceptować tego, że odchodzisz - rzucił zaczepnie.
- Będziesz musiał.

Odwróciła się do niego plecami, przyciągnęła pusty karton w pobliże półki i zaczęła wypełniać go książkami, nieco mniej ostrożnie niż poprzednio. Chciała wyjechać jak najszybciej, zanim będzie zmuszona powiedzieć więcej przykrych rzeczy, aby przekonać Dutcha, że ich małżeństwo dobiegło końca. Na zawsze.

Zapadła długa cisza, przerywana jedynie wyciem wiatru miotającego koronami rosnących wokół drzew. Gałęzie tłukły o dach coraz mocniej i częściej. Lilly pragnęła z całej duszy, żeby Dutch wyszedł przed nią. Nie chciała, żeby był tutaj, kiedy będzie wyjeżdżała. Wiedział, że to ostatni raz i mógł się znowu załamać. Lilly przechodziła przez to już wcześniej i nie miała ochoty na kolejne doświadczenie tego typu. Ich ostateczne rozstanie nie musiało zamienić się w scenę pełną żółci i goryczy, ale Dutch wyraźnie do tego zmierzał, przypominając o starych kłótniach. Z pewnością nie robił tego specjalnie, ale odgrzebywanie dawnych pretensji tylko utwierdziło ją w przekonaniu, że rozwód był właściwą decyzją.

- Louis L'Amour jest chyba twój - podniosła książkę. - Chcesz go wziąć czy mam zostawić dla nowych właścicieli?

- Dostaną całą resztę - odparł pośpiesznie. - Równie dobrze możesz dorzucić książkę.

- Łatwiej było sprzedać meble razem z domem - powiedziała. - Były kupione z myślą o tym miejscu i nigdzie indziej nie będą wyglądały tak dobrze. Poza tym, żadne z nas nie ma ich gdzie postawić, więc co mielibyśmy z tym wszystkim zrobić? Wynieść z chaty po to tylko, żeby później sprzedać cały komplet komuś innemu? Gdzie miałabym je przechowywać? Sprzedaż domu z pełnym wyposażeniem była bardziej sensowna.

- Nie o to chodzi, Lilly.

Wiedziała, o co chodzi. Dutch nie chciał, żeby obcy ludzie zamieszkali w tym domku i używali rzeczy, które należały wcześniej do nich obojga. Pozostawienie wszystkiego w nie-naruszonym stanie po to, żeby korzystał z tego ktoś inny, wydawało mu się świętokradztwem, naruszeniem prywatności, której doświadczali w tym miejscu.

- Nie obchodzi mnie, jak rozsądna wydaje się sprzedaż całego tego kramu, Lilly - rzekł. - Pieprzyć to! Jak możesz znieść myśl o tym, że jacyś obcy ludzie będą spali w naszym łóżku, w naszej pościeli? - Taka była jego reakcja, gdy podzieliła się z nim swoim pomysłem na pozbycie się mebli. Najwyraźniej jej decyzja nadal go złościła, ale teraz było za późno na zmianę zdania, nawet gdyby ona tego chciała. A nie chciała.

Po opróżnieniu wszystkich półek na regale rozejrzała się, szukając czegoś, co mogła przeoczyć.

- Te konserwy - powiedziała, wskazując na zapasy ustawione na barze, który oddzielał kuchnię od dużego pokoju. - Chcesz je ze sobą zabrać?

Dutch potrząsnął głową. Lilly wrzuciła wszystko do ostatniego, wypełnionego tylko do połowy pudełka z książkami.

- Poleciłam odłączyć wszystkie urządzenia, ponieważ nowi właściciele pojawiają się tutaj dopiero na wiosnę. - Dutch

bez wątpienia dobrze o tym wiedział. Powiedziała to wyłącznie po to, by wypełnić ciszę, która stawała się coraz cięższa, w miarę jak usuwała kolejne pamiątki po sobie. - Jeszcze kilka rzeczy z łazienki i będę się zbierała. Wyłączę wszystko, zamknę drzwi i zgodnie z umową zostawię klucz u pośrednika, w drodze do domu.

Z wyrazu twarzy i postawy Dutcha przebijała rozpacz i smutek. Pokiwał głową, ale nic nie powiedział.

- Nie musisz na mnie czekać, Dutch. Jestem pewna, że wzywają cię obowiązki.

- No to niech poczekają.

- Przy takich warunkach pogodowych? Pewnie będziesz musiał kierować ruchem na drodze do supermarketu - rzuciła lekkim tonem. - Wiesz, że wszyscy szykują zapasy jak na wojnę. Pożegnajmy się teraz i jedź do miasta.

- Poczekam na ciebie. Wyjedziemy razem. Weź, co trzeba - machnął ręką w stronę łazienki. - Ja tymczasem załaduję pozostałe pudła do twojego bagażnika.

Chwycił pierwszy karton i wyniósł go na zewnątrz. Lilly weszła do sąsiedniego pokoju. Łóżko z dwiema szafkami nocnymi po bokach stało niczym przyrośnięte do ściany pod pochyłym sufitem. Poza nim jedyne meble w sypialni to komoda i fotel bujany. Naprzeciwko okna. A sąsiednią ścianę stanowiły drzwi do wbudowanej szafy. Było tam również wejście do małej łazienki.

Wcześniej Lilly zaciągnęła zasłony, więc pokój pogrążony był w półmroku. Sprawdziła szafę. Puste wieszaki wyglądały żałośnie. W szufladach komody nie pozostało nic. Weszła do łazienki, zebrała przybory toaletowe, których używała rano, wrzuciła do plastikowej kosmetyczki podróżnej i po upewnieniu się, że w apteczce nie pozostały żadne leki, wróciła do sypialni. Włożyła saszetkę do walizki, która leżała otwarta na łóżku. Zamknęła ją w chwili, gdy do pokoju wszedł Dutch.

- Gdyby nie Amy, nadal bylibyśmy małżeństwem - rzekł bez zbędnych wstępów.

Lilly spuściła wzrok i powoli potrząsnęła głową.

- Dutch, proszę, nie zaczynajmy...

- Gdyby nie to, zostalibyśmy ze sobą do końca życia.

- Nie wiemy tego.

- Ja wiem. - Chwyił jej dłonie, zimne w jego rozpalonym uścisku. - To ja jestem za to wszystko odpowiedzialny. Nasze rozstanie to moja wina. Gdybym postąpił inaczej, nie zostawiłabyś mnie. Teraz widzę to wyraźnie, Lilly. Przyznaję, popełniłem w życiu wiele potwornych pomyłek. Byłem idiotą, wiem, ale proszę cię, daj mi jeszcze jedną szansę. Proszę.

- Nie możemy odwrócić biegu czasu, Dutch. Nie jesteśmy już tymi samymi ludźmi, którzy spotkali się dawno temu. Nie widzisz tego? Nikt nie może zmienić tego, co się stało, ale wszystko to zmieniło nas oboje.

- Masz rację. Ludzie się zmieniają. Ja się zmieniłem od czasu rozwodu. Przeprowadziłem się tutaj, przyjąłem tę posadę. To wszystko dobrze mi zrobiło. Zdałem sobie sprawę, że Cleary to nie to samo, co Atlanta, ale mam tutaj coś, na czym mogę budować swoje życie. Solidne fundamenty. To mój dom, a ludzie stąd to jakby moja rodzina. Lubią mnie. Szanują.

- To cudownie, Dutch. Z całego serca życzę ci, żebyś odniósł sukces.

Naprawdę tego chciała, nie tylko dla jego dobra, ale i dla siebie. Dopóki Dutch nie przekona się znowu, że jest dobrym policjantem, Lilly nigdy nie zdoła w pełni się od niego uwolnić. Będzie potrzebował jej wsparcia, dopóki sam nie nabierze pewności siebie i nie odbuduje wewnętrznego przekonania o tym, że jest wartościowym człowiekiem i policjantem. Mała, lokalna społeczność Cleary dawała mu na to szansę i Lilly z całego serca pragnęła, by się udało.

- Moja kariera, moje życie. Mam szansę zacząć wszystko od nowa - rzekł pospiesznie Dutch. - Ale bez ciebie to wszystko nie będzie miało znaczenia.

Zanim zdołała go powstrzymać, objął ją i przyciągnął do siebie.

- Powiedz, że dasz nam jeszcze jedną szansę - rzucił na-

tarczywie prosto do jej ucha. Usiłował ją pocałować, ale Lilly odwróciła głowę.

- Dutch, puść mnie.

- Pamiętaj, jak dobrze nam było razem? Gdybyś tylko przestała się tak przed tym bronić, moglibyśmy zacząć wszystko od nowa. Zapomnieć o złych chwilach i żyć tak, jak kiedyś. Pamiętaj, nie mogliśmy się kiedyś od siebie oderwać? - Znowu spróbował ją pocałować, przyciskając mocno usta do jej warg.

- Przestań!

Lilly odepchnęła go. Dutch zatoczył się krok do tyłu. Odychał ciężko.

- Nadal nie pozwalasz mi się dotykać.

Objęła się w pasie.

- Nie jesteś już moim mężem.

- Nigdy mi nie wybaczysz, prawda? - wykrzyknął gniewnie. - Wykorzystałaś tę sprawę z Amy, żeby się ze mną rozwieść, ale tak naprawdę nie o to chodziło, prawda?

- Dutch, odejdz. Wyjdz stąd, zanim...

- Zanim stracę nad sobą panowanie? - spytał szyderczo.

- Zanim się skompromitujesz.

Zdałoby się, że przez całą wieczność musiała znosić jego wściekłe spojrzenie. Potem odwrócił się szybko i wypadł z sypialni. Chwytał kopertę leżącą na stoliku w salonie, zerwał kurtkę i kapelusz, wiszące na haku na drzwiach. Nie zadał sobie trudu, by się ubrać, trzasnął tylko drzwiami tak mocno, aż zadrżały szyby w oknach. Chwilę później Lilly usłyszała zaskakujący silnik jego bronca i chrzęst żwiru pod kołami.

Osunęła się na brzeg łóżka i schowała twarz w dłoniach. Były zimne i trzęsły się jak osika. Po wszystkim zdała sobie sprawę, że była nie tylko zła i zniechęcona, ale również przestraszona. Dutch ze swoim charakterem dzikiego zwierzęcia nie był tym samym rozbrajającym mężczyzną, którego poślubiła. Choć usiłował przekonywać samego siebie, że zaczął nowe życie, wydawał się zdesperowany, co z kolei wywoływało u niego napady przerażających, zmiennych nastrojów. Niemal

zawstydziła się poczucia ulgi na myśl, że nigdy więcej nie zobaczy byłego męża. Wszystko się wreszcie skończyło. Dutch Burton przestał istnieć w jej życiu.

Wyczerpana niedawnym zajściem położyła się na wznak na łóżku i zasłoniła oczy ramieniem.

Obudziło ją dudnienie zmrożonych kropel deszczu o blaszany dach.

Awantury z Dutchem zawsze ją wyczerpywały. Kilka ostatnich, w tym tygodniu, kiedy pojawiła się w Cleary, aby sfinalizować sprzedaż górskiej chaty, musiało się jej dać we znaki bardziej, niż przypuszczała. Po dzisiejszej kłótni jej ciało litościwie wyłączyło na chwilę umysł, i zapadła w drzemkę.

Usiadła, rozcierając dłońmi zziębnięte ramiona. W sypialni było już ciemno. W mroku nie mogła nawet odczytać godziny na tarczy zegarka. Wstała, podeszła do okna i odsunęła na chwilę zasłonę. Do pokoju wpadło niewiele światła, ale wystarczająco dużo, by zobaczyć, która godzina.

Zdziwiła się. Spała głęboko i twardo, ale, jak się okazało, niezbyt długo. Sądząc po panującym na zewnątrz mroku spodziewała się, że jest znacznie później. Niskie chmury spowijające wierzchołek góry sprowadziły na okolicę przedwczesny, ponury zmierzch.

Ziemia była pokryta grubą warstwą śniegu, który padał, przemieszany z zamarzającym deszczem i czymś, co meteorolodzy nazywają „kaszka” - drobnymi kulkami zbitego śniegu, wyglądającymi znacznie bardziej złowrogo niż zwykłe płatki. Gałęzie drzew pokrywała warstwa lodu, która z minuty na minutę stawała się coraz grubsza. Silny wiatr miotał okiennicami.

To bardzo nierozsądne, że pozwoliła sobie na drzemkę. Zjazd z góry będzie prawdziwą udręką, a nawet jak dotrze do Cleary, to w takich warunkach podróż do Atlanty będzie bardzo uciążliwa. Droga zaś była daleka. Po sfinalizowaniu wszystkich spraw tutaj, Lilly za wszelką cenę chciała wrócić do domu, do swoich codziennych zajęć, do zwykłego życia.

W biurze czekał na nią zapewne stos listów, dokumentów, e-maili i projektów, które wymagały natychmiastowej uwagi. Ale nie myślała o tym z niechęcią. Wręcz przeciwnie, cieszyła się na myśl o czekających ją obowiązkach.

Tęskniła za pracą, przede wszystkim zaś nie mogła się doczekać wyjazdu z rodzinnego miasteczka Dutcha. Uwielbiała spokojną atmosferę Cleary i piękne górskie okolice. Jednak ludzie znali Dutcha i jego rodzinę od pokoleń. Dopóki Lilly była jego żoną, akceptowali ją i traktowali jak jedną z nich. Teraz, po rozwodzie, ich uczucia do niej wyraźnie się ochłodziły. Biorąc pod uwagę, jak wściekły był Dutch, kiedy wybiegał dzisiaj z chaty, był już najwyższy czas, żeby opuściła to miasto.

Pospiesznie wyniosła walizkę do salonu i postawiła przed drzwiami. Po raz ostatni ogarnęła wzrokiem wnętrze i wyszła na dwór. Wiatr zaatakował ją z taką siłą, że na chwilę zaparł jej dech w piersiach. Gdy tylko znalazła się na werandzie, poczuła na twarzy ostre igiełki lodu. Musiała w jakiś sposób ochronić przed nimi oczy, ale było zbyt ciemno, by włożyć okulary przeciwsłoneczne. Mrużąc powieki, zanosła walizkę do samochodu i wrzuciła ją na tylne siedzenie. Po powrocie do domku szybko użyła inhalatora. Wdychanie mroźnego powietrza mogło wywołać atak astmy. Lekarstwo powinno ją przed tym ochronić.

Nie tracąc czasu na ostatnie, nostalgiczne spojrzenie, zamknęła drzwi i przekreśliła klucz w zamku.

W samochodzie było zimno jak w chłodni. Włączyła silnik, ale zanim ruszyła, musiała poczekać, aż rozgrzeje się odmrażacz. Przednią szybę pokrywał lód. Owinęła się szczelnie płaszczem, schowała nos w kołnierz i skoncentrowała się na równomiernym oddychaniu. Szczękała zębami z zimna i nie była w stanie powstrzymać drżenia.

Wreszcie powietrze w dyszach odmrażacza ogrzało się na tyle, żeby zamienić warstwę lodu na szybę w mokrą paćkę, którą mogły odgarnąć wycieraczki. Nie radziły sobie jednak z ilością padającego śniegu z deszczem. Widoczność była bar-

dzo ograniczona, ale Lilly liczyła na to, że na dole będzie lepiej. Nie miała innego wyboru, jak tylko sprowadzić samochód krętą drogą Mountain Laurel Road. Znała ją dobrze, ale nigdy nie korzystała z niej w takich warunkach. Pochyliła się nad kierownicą, usiłując dostrzec przez oblodzoną szybę coś więcej niż ornament na okapie domku.

Już na serpentyinie starała się trzymać prawej strony, blisko kamienistego pobocza. Wiedziała, że po drugiej stronie droga kończyła się stromym spadkiem. Zorientowała się, że wstrzymuje oddech, pokonując ostre zakręty.

Mimo że miała rękawiczki, jej palce zupełnie zdrętwiały z zimna, a równocześnie zaciśnięte się na kierownicy dłonie były mokre od potu. Czuła palący ból w napiętych jak struna mięśniach ramion i karku. Jej oddech stawał się coraz bardziej nierówny. Spróbowała przetrzeć rękawem szybę w nadziei, że poprawi to nieco widoczność. Zyskała jedynie tyle, że widok kłębiących się wokół samochodu płatków śniegu stał się jeszcze bardziej rozmazany.

A potem z rosnącego przy poboczu lasu wychynęła nagle jakaś postać. Weszła na drogę. Prosto pod koła jej wozu.

Lilly wbiła instynktownie pedał hamulca w podłogę, zbyt późno przypominając sobie o tym, że gwałtowne hamowanie było najmniej odpowiednią rzeczą na oblodzonej drodze. Samochód wpadł w poślizg. Człowiek, którego omiotły reflektory wozu, odskoczył na bok. Auto ślizgało się na zablokowanych kołach, wściekle zarzucając tyłem. Lilly poczuła, że tylny błotnik o coś uderzył. Z mdlącym łaskotaniem w żołądku zrozumiała, że potrafiła człowieka. Była to jej ostatnia, przerażająca myśl, zanim samochód rozbił się na drzewie.

3

Poduszka powietrzna eksplodowała prosto w twarz, uwalniając przy tym chmurę duszącego talku, który wypełnił wnętrze wozu. Lilly odruchowo wstrzymała oddech, żeby pył nie

dostał się do płuc. Pas bezpieczeństwa uciskał boleśnie klatkę piersiową.

Była zaskoczona siłą uderzenia. Stosunkowo nieszkodliwa kolizja wprowadziła ją w zdumienie. W myślach sprawdziła wszystkie części ciała i doszła do wniosku, że nic ją nie boli, jest po prostu zszokowana. Natomiast osoba, którą potrafiła...

- Mój Boże!

Odpychając na bok poduszkę powietrzną, odpięła pas i otworzyła gwałtownie drzwi. Wychodząc z wozu, straciła grunt pod nogami i upadła, uderzając w oblodzony chodnik dłońmi i prawym kolaniem. Potwornie zabołało.

Chwyając się boku samochodu dla równowagi, pokuśtykała na jego tył. Kiedy osłoniła oczy dłonią przed wiatrem, udało jej się dostrzec nieruchomą sylwetkę leżącą na wznak, z głową i tułowiem na wąskim poboczu, nogami zaś na drodze. Po rozmiarze butów ofiary domyśliła się, że to mężczyzna.

Ślizgając się po oblodzonym chodniku niczym na łyżwach, zbliżyła się do niego i przykucnęła. Nieznajomy miał wełnianą czapkę, głęboko naciągniętą na czoło, i zamknięte oczy. Na szczęście oddychał, na co wskazywało rytmiczne unoszenie się i opadanie jego klatki piersiowej. Lilly wsunęła dłoń pod jego szalik, kołnierz kurtki i golf swetra, szukając pulsu.

- Dzięki Bogu.

W tej samej niemal chwili zauważyła ciemną plamę na kamieniu leżącym tuż obok głowy mężczyzny. Już chciała unieść jego głowę w poszukiwaniu źródła upływu krwi, kiedy przypomniała sobie, że przy urazach czaszki nie należy ruszać uszkodzowanego. Czy nie była to żelazna reguła pierwszej pomocy? Nieznajomy mógł mieć uszkodzony kręgosłup i każda zmiana pozycji tylko pogorszy jego stan, a może nawet zabije.

Lilly nie wiedziała, w jaki sposób zbadać rozmiar obrażeń mężczyzny, a była to przecież tylko oczywista rana. Jakich jeszcze urazów, oprócz rany na głowie, mógł doznać? Krwotok wewnętrzny, przebite płuco, uszkodzone narządy wewnętrzne, połamane kości? Nie podobał się jej dziwny kąt, pod

którym leżał potrącony mężczyzna. Zupełnie jakby jego plecy wyginały się do góry.

Musiła zadzwonić po pomoc i to natychmiast. Wstała i ruszyła w stronę samochodu. Mogła użyć komórki, żeby zadzwonić na pogotowie. W górach nie zawsze był zasięg, ale może tym razem...

Zatrzymała się w pół kroku, słysząc jęk. Odwróciła się tak szybko, że oblodzona droga niemal uciekła jej spod stóp. Przykłęka przy mężczyźnie, który otworzył oczy, zamrugał i spojrział prosto na nią. Tylko raz w życiu Lilly widziała podobne oczy.

- Tierney?

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć i nagle pozieleniał, jakby zaraz miał zwymiotować. Zamknął usta i przełknął kilka razy, powstrzymując spazmy. Przymknął oczy, a po kilku sekundach otworzył je znowu.

- Zostałem potrącony? - spytał.

Lilly pokiwała głową.

- Tylny błotnik, jak sądzę. Boli cię coś?

- Wszystko - odparł po kilku chwilach zastanowienia.

- Krwawisz z tyłu głowy, ale nie wiem, jak poważna jest rana. Upadłeś na kamień. Boję się cię poruszyć.

Zaczął szczękać zębami. Albo było mu zimno, albo też doznawał właśnie szoku pourazowego. Cokolwiek to było, nie wróżyło dobrze.

- W samochodzie mam koc. Zaraz wrócę.

Podniosła się i poszła w kierunku wozu, pochylając nisko głowę przed wiatrem. Zastanawiała się, co do diabła robił Tierney, wybiegając z lasu tak nagle, prosto na drogę i przede wszystkim, co takiego robił w tej okolicy, pieszko, podczas burzy śnieżnej?

Przycisk na desce rozdzielczej, otwierający bagażnik, nie działał, prawdopodobnie z powodu uszkodzeń elektryki, a może dlatego, że klapa była przymarznięta. Wyciągnęła więc kluczyk ze stacyjki i zabrała go ze sobą na tył samochodu. Tak jak się tego obawiała, zamek był całkowicie oblodzony.

Po omacku przesunęła się w stronę pobocza, chwyciła największy kamień, jaki była w stanie utrzymać w dłoni, i użyła go do obłupania lodu. W wyjątkowych sytuacjach, takich jak ta, ludzie podobno doznają przypływu adrenaliny, która przydaje im nadludzkiej siły. Ale ona nie czuła niczego podobnego. Zanim zdołała usunąć wystarczająco dużo lodu, żeby otworzyć bagażnik, była wyczerpana i dyszała ciężko.

Przesunęła na bok kartonowe pudła i znalazła koc, umieszczony bezpiecznie w specjalnej torbie na suwak. Kiedy chodzili z Dutchem na mecze futbolu, zawsze zabierali pled. Nadawał się bardziej do ochrony przed jesiennym chłodem niż zadymką, ale lepsze to niż nic.

Wróciła do rannego. Leżał nieruchomy niczym trup.

- Panie Tierney? - zawołała, podnosząc głos w panice.

Otworzył oczy.

- Jeszcze żyję.

- Miałam problemy z otwarciem bagażnika. Przepraszam, że zajęło mi to tyle czasu. - Owinęła go kocem. - Obawiam się, że to niewiele pomoże. Spróbuję...

- Daruj sobie przeprosiny i zbędne gadanie. Masz komórkę?

Jeszcze z ich pierwszego spotkania pamiętała Tierneya jako człowieka, który zawsze przejmuje kontrolę nad sytuacją. W porządku. Nie był to najodpowiedniejszy moment do dyskusji o równouprawnieniu. Wyłowiła telefon z kieszeni płaszcza. Był włączony. Podświetliła ekran i odwróciła go tak, aby Tierney mógł dobrze mu się przyjrzeć.

- Nie ma zasięgu.

- Tego się obawiałem. - Usiłował odwrócić głowę, skrzywił się i wydał z siebie stłumiony okrzyk bólu. Potem zacisnął szczęki, aby powstrzymać szczykanie zębów. - Czy twój wóz nadaje się do użytku? - zapytał po chwili.

Potrząsnęła głową. Nie wiedziała zbyt wiele o samochodach, ale jeśli przypominały zgniecioną puszkę po coli, można było śmiało przypuszczać, że nie da się nimi daleko ujechać.

- Nie możemy tutaj zostać - zaczął się podnosić, ale przytrzymała go na ziemi, opierając rękę na jego ramieniu.

- Możesz mieć złamany kręgosłup. Nie powinieneś się ruszać.

- To prawda. Tyle że albo podejmę ryzyko, albo zamarznię tu na śmierć. Wybieram to pierwsze. Pomóż mi wstać.

Wyciągnął prawe ramię, które Lilly mocno chwyciła. Tierney z trudem podniósł się do pozycji siedzącej, ale nie mógł się w niej utrzymać. Pochylając się do przodu, opadł ciężko na Lilly. Oparła jego głowę o swoje ramię i przytrzymując go, otuliła mu plecy kocem. Następnie odsunęła go ostrożnie od siebie, aż wrócił do pozycji siedzącej. Głowę nadal miał zwieszoną na piersi. Spod obcisłej wełnianej czapki wydobywał się strumyk świeżej krwi, spływając od skroni po szczękę.

- Tierney? - poklepała go lekko w policzek. - Tierney!

Uniósł głowę, ale powieki miał zamknięte.

- Chyba zemdlałem. Daj mi chwilę czasu. Kręci mi się w głowie jak cholera.

Oddychał głęboko, wciągając powietrze nosem i wypuszczając ustami. Po jakimś czasie otworzył oczy i skinał głową.

- Już lepiej. Jak sądzisz, damy radę postawić mnie na nogi?

- Tylko się nie spiesz.

- Wręcz przeciwnie. Musimy się spieszyć. Stań za mną i wsuń mi rękę pod ramiona.

Lilly puściła go niechętnie. Gdy upewniła się, że Tierney nadal siedzi, przykucnęła za nim.

- Plecak!

- Tak. A co?

- Dziwaczna pozycja, w której leżałeś. Myślałam, że złamałeś sobie kręgosłup.

- Upadłem na plecak. Prawdopodobnie ocalił mnie przed poważnym złamaniem podstawy czaszki.

Lilly ściągnęła mu plecak, żeby łatwiej asekurować go podczas wstawania.

- Jestem gotowa. Na twój znak.

- Ze wstawaniem powinienem poradzić sobie sam - odparł. - Ty masz tylko powstrzymać mnie przed ewentualnym upadkiem do tyłu. Zgoda?

- Zgoda.

Podparł się rękami i dźwignął w górę. Lilly zrobiła więcej, niż tylko obserwowała, czy Tierney się nie przewraca. Wysilała się tak samo jak on, dźwigając go, dopóki nie wstał, a potem podtrzymując, zanim usłyszała, jak mówi:

- Dziękuję, chyba wszystko w porządku.

Sięgnął do tyłu, pod kurtkę, a gdy wyciągnął stamtąd rękę, trzymał w niej komórkę, która najwyraźniej była przypięta do paska od spodni. Spojrzał na nią i zmarszczył brwi. Po ruchu jego warg domyśliła się, że przeklął bezgłośnie. Najwyraźniej jego telefon też nie miał zasięgu. Machnął ręką w stronę rozbitego samochodu.

- Czy masz tam coś, co powinniśmy zabrać ze sobą do twojej górskiej chaty?

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Wiesz o mojej górskiej chacie?

Scott Hamer zacisnął zęby z wysiłku.

- Prawie skończyłeś, synu. Dalej! Potrafisz to zrobić. Jeszcze raz.

Ramiona Scotta dygotały z wysiłku. Wszystkie żyły wyszły na wierzch, wydymając się groteskowo. Pot spływał na ławeczkę treningową, a stamtąd na matę, rozpryskując się na gumowej powierzchni.

- Już nie mogę - wychrypiał.

- Właśnie, że możesz. Daj z siebie sto dziesięć procent.

Głos Wesa Hamera rozbrzmiał echem w sali gimnastycznej. Poza nimi dwoma w budynku nie było już nikogo. Wszyscy poszli do domu ponad godzinę temu. Scott musiał zostawać w szkole na długo po tym, jak skończyły się lekcje i wszyscy sportowcy odbyli swój codzienny dodatkowy trening, opracowany dla nich przez trenera Wesa, ojca Scotta.

- Chcę zobaczyć maksimum wysiłku.

Scott miał wrażenie, że żyły mu za chwilę popękają. Zamrugał powiekami, aby usunąć spływający na oczy pot i kilka razy wypuścić gwałtownie powietrze z płuc, plując przy tym niechcący. Jego bicepsy i mięśnie trójgłowe drżały z nadmiernego wysiłku. Ale ojciec nie zamierzał odpuścić, dopóki chłopak nie wycisnie stu dziewięćdziesięciu trzech kilogramów, dwa razy więcej, niż sam ważył. Pięć powtórzeń - to jego dzisiejszy cel. Jego tata był dobry w ustalaniu celów, a jeszcze lepszy w ich osiaganiu.

- Przestań się objąć - rzekł teraz niecierpliwie.
- Nie objam się.
- Oddychaj. Daj swoim mięśniom więcej tlenu. Potrafisz to zrobić.

Scott odetchnął głęboko, po czym wypuścił powietrze serią krótkich sapnięć, żądając niemożliwego od swoich mięśni ramion i klatki piersiowej.

- Tak trzymać! - wykrzyknął ojciec. - Podniosłeś sztangę o kolejne dwa centymetry. Może nawet o pięć.

Boże, spraw, żeby to było pięć centymetrów!

- Jeszcze jeden wysiłek, Scott, jedno pchnięcie.

Chłopak bezwiednie wydał z siebie głuchy jęk, całą energię kanalizując w drżących ramionach. Udało mu się unieść sztangę o kolejne kilka centymetrów, wystarczająco, aby zablokować stawy łokciowe na milisekundę, zanim ojciec chwycił metalowy pręt i pomógł umieścić go w chwytakach.

Ramiona Scotta opadły bezsilnie wzdłuż boków, barki się rozluźniły. Dysząc ciężko, próbował odzyskać oddech. Całe jego ciało drżało ze zmęczenia.

- Dobra robota. Jutro spróbujemy sześć razy. - Wes podał synowi ręcznik, a potem odwrócił się i ruszył w stronę swojego biura, gdzie właśnie zadzwonił telefon. - Weź prysznic. Ja odbiorę, a potem wszystko pozamykam.

Scott usłyszał, jak ojciec podnosi słuchawkę i rzuca opryskliwie:

- Hamer. Czego chcesz, Dora? - zapytał pogardliwym tonem, jakiego zawsze używał w stosunku do matki Scotta.

Chłopak usiadł na ławeczce i otarł głowę ręcznikiem. Kompletnie wyczerpany, wypruty z wszelkich sił, nie był nawet pewien, czy zdoła dojść do przebieralni. Jedyne myślenie o gorącym prysznicu zmotywowała go do dźwignięcia się z miejsca.

- Dzwoniła twoja matka - zawołał Wes z biura.

Było to zabałaganione miejsce, do którego wchodzili jedynie najodważniejsi. Na biurku zalegały stosy dokumentów. Wes unikał papierkowej roboty tak długo, jak mógł, uważając ją za czystą stratę czasu. Na ścianach wisiały harmonogramy zajęć dla licznych zespołów i grup sportowych. Dwumiesięczny kalendarz wypełniony był hieroglifami ręcznego pisma, które tylko Wes potrafił odczytać.

Była tam również mapa topograficzna Cleary i okolic, z zaznaczonymi czerwonym flamastrem ulubionymi miejscami wędkowania i polowań. Na oprawionych w ramki zdjęciach drużyn futbolowych z ostatnich trzech lat trener Wes Hamer stał dumnie pośrodku, w pierwszym rzędzie.

- Matka mówi, że zaczął padać śnieg - powiedział Wes. - Pospiesz się.

Gryzący fetor przebieralni był tak znajomy, że Scott nawet go nie zarejestrował. Jego własny smród wymieszał się z odorem nastoletniego potu, brudnych skarpetek, podkoszulków i suspensoriów. Był tak wszechobecny, że nawet spoiny terapii w łazience wydawały się nim przesiąknięte.

Scott odkręcił kurki przy jednym z pryszniców. Ściągając koszulkę, zerknął przez ramię w lustro i skrzywił się z odrazą na widok krost na plecach. Wszedł pod prysznic, wystawiając plecy na strumień gorącej wody, po czym energicznie zaczął szorować skórę antybakteryjnym mydłem wszędzie tam, gdzie mógł sięgnąć. Doszedł właśnie do krocza, kiedy w łazience pojawił się ojciec z ręcznikiem w dłoni.

- Na wszelki wypadek, gdybyś zapomniał go ze sobą zabrać - powiedział.

- Dzięki. - Scott wstydliwie odsunął dłoń od swoich narządów i zajął się pachami.

Wes powiesił ręcznik na uchwycie obok prysznic i skinął głową w kierunku krocza Scotta.

- Masz to po swoim starym - rzucił z chichotem. - Pod tym względem nie musisz się niczego wstydić.

Scott nie cierpiał, kiedy ojciec próbował się z nim bratać rzucając aluzje do seksu. Tak jakby miał ochotę rozmawiać o tym z Wesem, a znaczące mrugnięcia i aluzje ojca miały sprawiać Scottowi jakąkolwiek przyjemność.

- Jesteś wystarczająco dobrze wyposażony, żeby zadowolić wszystkie swoje dziewczyny.

- Tato!

- Tylko nie uszczęśliw jednej z nich za bardzo - ciągnął Wes, już bez uśmiechu. - Jesteś dobrą partią dla wielu miejscowych panienek, które chciałyby awansować społecznie. Pamiętaj, one nie cofną się przed podstępem. Wszystkie kobiety, które spotkałem, takie są. Nigdy nie ufaj dziewczynie, która mówi, że zabezpiecza się przed zajściem w ciążę. - Wes potrząsnął palcem, jak gdyby był to jego pierwszy wykład na ten temat, a nie gadka, jaką Scott słyszał co chwila, od kiedy wszedł w okres dojrzewania.

Chłopak wyłączył prysznic i sięgnął po ręcznik, szybko owijając go wokół bioder. Podszedł do szafki, ale ojciec najwyraźniej jeszcze nie skończył. Chwycił Scotta za mokre ramię i odwrócił do siebie.

- Masz przed sobą lata ciężkiej pracy, zanim dojdiesz tam, gdzie powinieneś się znaleźć. Nie chcę, żeby jakaś dziewczyna zaszała z tobą w ciążę i zrujnowała nasze plany.

- To się nie stanie.

- Lepiej, żebyś miał rację. - Wes popchnął go lekko w stronę szafki. - Ubieraj się.

Pięć minut później zamknął za nimi drzwi.

- Założę się, że jutro nie będzie zajęć - zauważył. Śnieg zacinał coraz bardziej, mieszając się z deszczem, który zamarzał natychmiast, ledwo opadł na jakąkolwiek powierzchnię. - Uważaj jak chodzisz. Zaczyna się robić naprawdę ślisko.

Ostrożnie ruszyli w stronę parkingu szkolnego, gdzie Wes,

jako kierownik sportowy liceum w Cleary, domu Walecznych Pum, miał przydzielone miejsce na samochód.

Wycieraczki z trudem radziły sobie z odgarnianiem deszczu zamarzającego na przedniej szybie z hartowanego szkła. Scott, opatulony w kurtkę, drżał z zimna. Wepchnął zaciśnięte pięści w wyłożonych flanelą kieszenie. Zaburczało mu w żołądku.

- Mam nadzieję, że mama zrobiła już obiad.
- Możesz sobie coś kupić w drogerii.

Scott odwrócił szybko głowę i spojrzął na Wesa. Ojciec nie spuszczał wzroku z drogi.

- Zatrzymamy się tam przed powrotem do domu.

Scott zagłębił się w fotel, naciągnął głębiej kurtkę i wpatrzył się ponuro przed siebie. Jechali wzdłuż Main Street. Większość sklepów miała wywieszone w drzwiach szyldy „Zamknięte”. Właściciele skończyli pracę wcześniej, zanim pogoda się pogorszyła. Nikt jednak chyba nie pojechał prosto do domu. Na ulicy roіło się od samochodów, zwłaszcza przed supermarketem, który wciąż jeszcze był otwarty i wyglądało na to, że miał wielu klientów.

Wszystko to Scott rejestrował nieświadomie, dopóki ojciec nie zatrzymał się na skrzyżowaniu. Scott wpatrywał się niewidzącym spojrzeniem w przestrzeń za mokrą szybą, kiedy nagle jego wzrok padł na ulotkę przyklepioną do słupa sygnalizacji świetlnej.

ZAGINIONA!

Pod tym wytłuszczonym tytułem widniało czarno-białe zdjęcie Millicent Gunn, krótki opis jej wyglądu, data zaginięcia, a także lista telefonów kontaktowych, pod które należało się zgłaszać z jakąkolwiek informacją na temat miejsca jej pobytu.

Scott zamknął oczy, myśląc o tym, jak wyglądała Millicent ostatnim razem, kiedy ją widział. Gdy je otworzył, samochód był już znowu w drodze, a ulotka została daleko w tyle.

4

- Jesteś pewna, że mamy wszystko, czego możemy potrzebować? Butelki z wodą i pozostałe rzeczy?

Marilee Ritt próbowała ukryć irytację.

- Tak, Williamie. Sprawdziłam dwukrotnie listę zakupów, którą dałeś mi przed wyjściem. Wstąpiłam nawet do sklepu ze sprzętem po dodatkowe baterie, ponieważ w supermarkecie się skończyły.

Jej brat spojrzał ponad jej ramieniem na zewnątrz, przez ogromne szyby drogerii opatrzonej jego imieniem. Na ulicy samochody poruszały się w ślimaczym tempie, nie z powodu panujących na drodze warunków, które pogarszały się z minuty na minutę, ale dlatego, że zrobił się korek. Ludzie chcieli za wszelką cenę zaopatrzyć się we wszystko, czego mogli potrzebować do przeczekania burzy śnieżnej.

- Prognostycy mówią, że może być ciężko. Zamięć potrwa prawdopodobnie kilka dni.

- Ja też słucham radia i oglądam telewizję, Williamie.

Spojrzał szybko na siostrę.

- Nie chciałem przez to powiedzieć, że jesteś niewydajna. Po prostu czasem chodzisz z głową w chmurach. Może chcesz filiżankę kakao? Na koszt firmy.

Marilee spojrzała na zewnątrz, obserwując przesuwały się powoli sznur samochodów.

- Nie przypuszczam, żebym dotarła do domu wcześniej, jeżeli wyjadę w tej chwili. Wobec tego z przyjemnością napiję się kakao.

Zaprowadził ją do umieszczonej przy wejściu restauracyjki i poprosił, by zajęła miejsce na jednym z chromowanych stołków przy barze.

- Linda! Marilee chciałyby się napić kakao.

- Z podwójną porcją bitej śmietany, jeśli można - dodała Marilee, uśmiechając się do kobiety za ladą.

- Już się robi, panienko Marilee.

Linda Wexler obsługiwała restaurację i bar na długo przed-

tern, zanim William Ritt kupił sklep od poprzedniego właściciela. Kiedy przejął biznes, był na tyle rozsądny, żeby zatrzymać ją u siebie. Linda była miejscową instytucją, znała wszystkich w mieście, wiedziała, kto dodawał śmietanki do kawy, a kto nie. Co rano przygotowywała świeżą sałatkę z tuńczyka i nigdy w życiu nie używała gotowych mrożonek do przygotowania hamburgerów, które smażyła na zamówienie na specjalnej płycie.

- Widziałeś ten rozgardiasz na zewnątrz? - spytała, nalewając mleka do garnuszka i stawiając go na gazie. - Pamiętam, że jako dzieciaki zawsześmy się cieszyli, kiedy zapowiadali śnieg. Bośmy mieli nadzieję, że może nie trzeba będzie chodzić do szkoły. Pewnie się cieszysz na dzień wolny tak samo, jak twoi uczniowie.

- Jeżeli będzie padać zbyt mocno, zapewne zajmę się przeglądaniem klasówek - uśmiechnęła się Marilee.

Linda prychnęła z dezaprobatą.

- Taka strata wolnego dnia.

Drzwi do sklepu otworzyły się z brzękiem zawieszzonego nad nimi dzwoneczka. Marilee obróciła się, aby zobaczyć, kto przyszedł. Do drogerii wpadły dwie nastolatki, chichocząc i strząsając płatki śniegu z włosów. Obie chodziły do trzeciej klasy liceum. Marilee uczyła je gramatyki i literatury amerykańskiej.

- Dziewczynki, powinnyście nosić czapki - powiedziała.

- Dzień dobry, panno Ritt - rzuciły w odpowiedzi uniżono.

- Co wy robicie poza domem przy takiej pogodzie? Czy nie powinnyście wracać do rodziców?

- Przyszłyśmy wypożyczyć filmy - odparła jedna z nich. - Na wszelki wypadek, gdyby, wie pani, jutro nie było zajęć.

- Mam nadzieję, że są jakieś nowości - dodała druga dziewczynka.

- O, dziękuję za przypomnienie. Ja chyba też wypożyczę sobie jeden lub dwa filmy.

Nastolatki spojrzały na nią dziwnie, jakby nigdy przedtem nie przyszło im do głowy, że panna Marilee Ritt mogłaby

robić takie rzeczy, jak oglądanie filmów na wideo lub cokolwiek innego poza wymyślaniem sprawdzianów, ocenianiem wypracowań i pilnowaniem porządków na korytarzach podczas przerw. Zapewne nie mogły sobie wyobrazić, że ich nauczycielka miała jakiegokolwiek życie poza murami liceum w Cleary.

I rzeczywiście, do niedawna miałyby rację.

Marilee poczuła, jak jej policzki pokrywają się lekkim rumieńcem na samo wspomnienie jej nowej rozrywki i szybko zmieniła temat.

- Wróćcie do domu, zanim zrobi się zbyt ślisko - poprosiła.

- Dobrze, proszę pani - odparła jedna z uczennic. - Tak czy inaczej muszę być z powrotem, zanim się ściemni. To z powodu Millicent. Moi starzy strasznie się nade mną trzęsą.

- Moi też - dodała druga. - Kompletnie zwariowali. Muszą wiedzieć, gdzie jestem dwadzieścia cztery godziny na dobę - wyrzuciła oczami. - Zupełnie jakbym była na tyle głupia, żeby zadawać się z jakimś draniem, który mógłby mnie uprowadzić.

- Jestem przekonana, że rodzice bardzo się o ciebie boją - rzekła Marilee. - I powinni.

- Mój tata dał mi pistolet, żebym trzymała go w schowku w samochodzie - powiedziała pierwsza uczennica. - Mówił, że jeśli ktoś będzie próbował mnie zaczepiać, mam strzelać bez najmniejszego wahania.

- To się zaczyna robić naprawdę przerażające - wymruzczała pod nosem Marilee.

Widziała, że dziewczęta chcą się zająć swoimi sprawami. Życzyła im więc tylko miłego wolnego dnia, jeżeli takowy nastanie, a potem odwróciła się do lady, dokładnie w chwili, kiedy Linda postawiła przed nią filiżankę kakao.

- Ostrożnie, złociutka. Jest gorące. - Spojrzała w ślad za wychodzącymi dziewczętami. - Ludzie kompletnie poszaleli.

- Hmm. - Marilee ostrożnie upiła nieco gorącego płynu. - Nie jestem pewna, co mnie bardziej niepokoi. Pięć zagi-

nionych kobiet czy ojcowie zaopatrujący swoje nastoletnie córki w broń.

Wszyscy w Cleary denerwowali się uprowadzeniami. Ludzie zaczęli zamykać drzwi na klucz, chociaż przedtem zostawiali je otwarte. Kobiety w różnym wieku ostrzegano, aby zwracały baczną uwagę na otoczenie, zwłaszcza kiedy są same, i żeby unikały ciemnych, odizolowanych miejsc. Proszono je, by nie ufały nikomu, kogo dobrze nie znały. Od czasu zniknięcia Millicent mężowie i narzeczeni byli proszeni o przychodzenie po swoje partnerki po skończeniu pracy i eskortowanie ich do domu.

- A ja tam nie mogę ich winić - powiedziała Linda, ściśszając głos. - Panienska wspomni moje słowa. Ta dziewczyna Gunnów długo nie pożyje, jeżeli w ogóle jeszcze dycha.

Było to bardzo pesymistyczne stwierdzenie, ale Marilee nie mogła się nie zgodzić z Lindą.

- Kiedy kończysz pracę?

- Kiedy ten wykorzystywacz, panienki brat, mnie wypuści.

- Może uda mi się go przekonać, żeby pozwolił ci wyjść wcześniej.

- Marne szanse. Przez całe popołudnie mieliśmy tu prawdziwy kołowrót. Ludzie pewnikiem myślą, że minie kilka dni, zanim będą mogli się ruszyć z domu.

Drogeria położona była na rogu ulic Main i Hemlock Street. Była tam, od kiedy Marilee sięgała pamięcią. W dzieciństwie zawsze cieszyła się na wizytę tutaj, za każdym razem, gdy rodzice zabierali ją do miasta. William najwyraźniej również miał przyjemne wspomnienia, ponieważ gdy tylko ukończył studia farmaceutyczne, wrócił do Cleary i zaczął tu pracować. Kiedy jego pracodawca zdecydował się odejść na emeryturę, William odkupił od niego interes i natychmiast zaciągnął w banku kredyt na rozbudowę.

Kupił opuszczony lokal tuż obok i połączył z już istniejącym sklepem, powiększając w ten sposób miejsce pracy Lindy i dodając boksy z siedzeniami, aby powiększyć objętość części restauracyjnej. Pomyślał również o tym, aby jedno z po-

mieszkań przeksztalić w wypożyczalnię wideo. Teraz nie tylko miał tu aptekę, ale także największą kolekcję książek i magazynów do sprzedaży w całym mieście. Kobiety zaopatrywały się u niego w kosmetyki i kartki okolicznościowe, mężczyźni w tytoń i papierosy. Wszyscy wpadali tutaj, aby dowiedzieć się miejscowych nowinek. Jeżeli Cleary miało jakieś centrum, zdecydowanie była nim drogeria Ritta.

William wydawał leki na receptę, a przy okazji udzielał porad, prawił komplementy, składał gratulacje lub kondolencje, w zależności od sytuacji, w jakiej znaleźli się jego klienci. Chociaż Marilee uważała, że biały kitel, który jej brat nosił w sklepie, jest odrobinę pretensjonalny, kupujący najwyraźniej nie mieli nic przeciwko temu.

Oczywiście byli też tacy, którzy nieustannie się zastanawiali, dlaczego William i jego siostra pozostają samotni i nadal mieszkają razem. Ludzie uważali, że tak dalece posunięta zażyłość między rodzeństwem jest co najmniej dziwna. Marilee robiła jednak wszystko, aby ignorować ludzi, których bawiło przypisywanie ich relacjom brudnej konotacji.

Dzwonek nad drzwiami wejściowymi znowu się rozkołysał. Marilee nie odwróciła się tym razem, lecz spojrzała w lustrzaną ścianę za plecami Lindy i zobaczyła wchodzącego do sklepu Wesa Hamera wraz z synem Scottem.

- Hej, Wes. Witaj, Scott. Jak się miewacie? - zawołała do nich Linda.

Wes odpowiedział na przywitanie, ale to z Marilee nawiązał kontakt wzrokowy, wpatrując się w jej odbicie w lustrze. Podeszedł powoli do baru, pochylił się tuż nad jej ramieniem i powąchał kakao, które piła.

- Do diabła, pachnie wyśmienicie. Też się napiję, Linda. To dzień w sam raz na gorące kakao.

- Hej, Wes. Witaj, Scott - powiedziała Marilee.

- Dzień dobry, panno Ritt - wymamrotał Scott.

Wes usiadł na stołku tuż przy niej. Kiedy wsuwał nogi pod blat, potracił kolaniem jej nogę.

- Masz coś przeciwko temu, żebym się przysiadł?

- Skądże znowu.
- Nie powinieneś przeklinać, Wes - upomniała go Linda. - Masz być przykładem dla dzieciaków i w ogóle.
- Co ja takiego powiedziałem?
- Powiedziałeś „do diabła”.
- Od kiedy to zrobiłaś się taka nadęta? Pamiętam, że i tobie raz czy drugi wyrwało się z ust przekleństwo.

Linda prychnęła, ale widać było, że się uśmiecha. Wes tak właśnie wpływał na kobiety.

- A ty? Chcesz kakao, złociutki? - spytała Scotta, który stał za ojcem, z rękami w kieszeni, otulony kurtką, przestępując z nogi na nogę.

- Tak, poproszę. Byłoby wspaniale. Dziękuję.
- Tylko bez śmietany - wtrącił Wes. - Nie zdobędzie żadnych punktów w futbolu, jeżeli wyhoduje sobie brzuszysko.
- Nie sądzę, żeby mu to groziło w najbliższym czasie - zauważyła Linda, ale nie dodała bitej śmietany do kakao. Tak właśnie Wes wpływał na ludzi.

Przekreślił się nieco na stołku tak, że spoglądał teraz prosto na Marilee.

- Jak sobie radzi Scott z literaturą amerykańską?
- Bardzo dobrze. Z testu o Hawthornie zdobył osiemdziesiąt dwa punkty.
- Osiemdziesiąt dwa, co? Nieźle. Nie za dobrze, ale nieźle. Scott, idź teraz, porozmawiaj z tymi panienkami. Trzepoczą do ciebie rzęsami od chwili, kiedy się tu pojawiłeś - rzucił przez ramię. - Przy okazji daj znać Williamowi, że tu jesteś.

Scott odszedł powoli, zabierając ze sobą kakao.

- Ten chłopak nie może się opędzić od dziewczyn - stwierdził Wes, obserwując syna, który wolnym krokiem zbliżał się do wypożyczalni wideo.
- Dziwisz się? - spytała Linda. - Jest przystojny jak pieron.
- Najwyraźniej one też tak myślą. Wydzwaniają do nas przez cały dzień i odkładają słuchawkę, jeżeli to nie on odbiera. Doprowadza to Dorę do szału.

- Co możesz wiedzieć o popularności syna wśród dziewcząt? - spytała Marilee.

Wes spojrział na nią i puścił oczko.

- Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Marilee spuściła wzrok, spoglądając na swój kubek i nerwowo szukając nowego tematu rozmowy.

- Scott dobrze sobie radzi z dodatkowymi wypracowaniami. Jego styl znacznie się poprawił.

- Mając taką nauczycielkę, musiał się podciągnąć.

Kilka tygodni po rozpoczęciu semestru zimowego, Wes poprosił ją o udzielanie korepetycji Scottowi w sobotnie poranki i niedzielne wieczory. W zamian za te usługi zaoferował jej drobną opłatę, którą usiłowała odrzucić. Wes jednak nalegał i koniec końców Marilee przyjęła pieniądze w zamian za pomoc Scottowi w nauce. Zrobiła to nie tylko dlatego, że wiedziała, jak ważne jest dla chłopca uzyskanie dobrego wyniku na egzaminach na studia, ale również dlatego, iż niewielu ludzi potrafiło odmówić Wesowi i pozostać przy swoim.

- Mam nadzieję, że ci się opłaciło - rzekła.

- Jeżeli kiedykolwiek uznam, że nie, będziesz pierwszą osobą, która się o tym dowie, Marilee - odparł, szczerząc zęby w uśmiechu i spoglądając na nią błyszczącymi oczami.

- Hej, Wes - zawołał William z końca działu z produktami dziecięcymi. - Mam chwilę czasu. Chcesz wejść na zaplecze?

Wes wpatrywał się przez kilka sekund w oczy Marilee. Po-tem poprosił Lindę, by dopisała dwa kubki kakao do jego rachunku, i zostawił obie kobiety, dołączając do Williama i Scot-ta w części aptecznej.

- To ciekawe - powiedziała Marilee, zastanawiając się ja-kie też interesy ma z jej bratem Wes.

Ale Linda była zajęta obsługiwaniem kolejnego klienta i jej nie usłyszała.

Lilly zachodziła w głowę, jakim cudem Ben Tierney wie-dział o domku na Cleary Peak.

- Masz jakiś lepszy pomysł? - zapytał cierpko.

Miotana na boki porywistym wiatrem, nie potrzebowała wiele czasu do namysłu.

- Nie. Powinniśmy iść do chaty.
- Najpierw sprawdźmy twój samochód.

Udało im się dotrzeć do wozu bez większego problemu, chociaż Tierney chwiał się na nogach. Lilly usiadła za kierownicą, natomiast on przesunął jej walizkę i wdrapał się na tylne siedzenie, ponieważ połowa deski rozdzielczej była wprasowana w siedzenie obok kierowcy. Zamknął drzwi, ściągnął rękawiczki i podparł czoło prawą dłonią.

- Znowu będziesz tracił przytomność? - spytała Lilly.

- Nie. Nie mamy na to czasu. - Opuścił rękę i spojrzał się na nią ponad oparciem siedzenia, przyglądając się jej krytycznie. - Nie jesteś ubrana zbyt ciepło.

- Nie mów - odparła, szczękając zębami.
- Co masz w walizce? Coś użytecznego?
- Nic cieplejszego niż to, co mam na sobie.

Najwyraźniej chcąc sprawdzić, Ben otworzył walizkę leżącą obok niego. Zaczął grzebać w jej rzeczach, bezmyślnie przerzucając bieliznę, koszule nocne, skarpetki, spodnie, bluzki.

- Masz ocieplaną bieliznę?

- Nie.

Podał jej wełniany blezer.

- Włóż to.

Lilly ściągnęła na chwilę kurtkę i wciągnęła sweter przez głowę.

- Pokaż mi swoje buty.
- Moje...
- Buty - powtórzył niecierpliwie.

Lilly podciągnęła nogawkę i pokazała swoją stopę. Tierney zmarszczył brwi. Wyciągnął z walizki kilka par skarpetek i rzucił w jej kierunku.

- Włóż je do kieszeni. To też - trzymał w ręce cienki jedwabny golf, który kupiła kiedyś do noszenia pod skafandrem narciarskim. - Włożysz to, kiedy dotrzemy do chaty. - Ku jej zdumieniu, pochylił się i chwycił pasemko jej włosów. -

Mokre. - Puścił je szybko. W drugiej ręce nadal trzymał garść jej majtek. - Masz jakąś czapkę?

- Nie zamierzałam wychodzić na dwór podczas mojego tu pobytu.

- Musisz założyć coś na głowę. - Włożył majtki z powrotem do walizki i ściągnął z ramion pled, którym był okryty. - Pochyl się ku mnie.

Lilly podciągnęła się i wsparta na kolanach, zwróciła twarzą w kierunku kabiny. Tierney owinął jej głowę i ramiona kocem, niczym obszernym kapturem. Potem zapiął wokół niego kurtkę Lilly i poklepał delikatnie, układając wszystko ściślej.

- Tak jest dobrze. Zanim wyjdiesz z samochodu, naciągnij koc na usta i nos. Czy w bagażniku jest coś jeszcze poza kołem zapasowym?

Poufały sposób, w jaki ją dotknął, zaskoczył Lilly i spowolnił jej rozumowanie. Nie mogła nadażyć za tokiem jego myśli.

- Chyba jeszcze apteczka samochodowa.

- Dobrze.

- I trochę jedzenia, które zabrałam wcześniej w góry.

- Jeszcze lepiej. - Ogarnąłabinę pobieżnym spojrzeniem. - Latarka? Coś w schowku na rękawiczki?

- Tylko instrukcja obsługi pojazdu.

- Nie szkodzi. Nie sądzę, żebyśmy zdołali cokolwiek stamtąd wyciągnąć - powiedział. Otarł strumyczek świeżej krwi ściekający po szyi i włożył rękawiczki. - Chodźmy.

- Poczekaj. Moja torebka. Będę jej potrzebowała.

Rozejrzała się i odkryła, że podczas wypadku torebka spadła na podłogę od strony pasażera. Trudno ją było wyciągnąć, ale wreszcie udało jej się sięgnąć wystarczająco głęboko pod zmiażdżoną deskę rozdzielczą.

- Zawieś ją na szyi, żeby mieć wolne ręce. Łatwiej ci będzie zachować równowagę.

Lilly postąpiła zgodnie z sugestią Tierneya, a potem sięgnęła do klamki. Zawahała się i spojrzała na niego niepewnie.

- Może powinniśmy po prostu poczekać tutaj, aż będzie można wezwać pomoc.

- Moglibyśmy to zrobić, ale dzisiejszej nocy nikt nie będzie tędy przejeżdżał, a nie sądzę, żebyśmy przeżyli do rana.

- Czyli nie mamy wyboru, prawda?

- Nie mamy.

Lilly znów sięgnęła do klamki, ale tym razem to Ben powstrzymał ją przed wyjściem, kładąc dłoń na jej ramieniu.

- Nie chciałem, żeby moje słowa zabrzmiały tak oschle.

- Rozumiem. Pośpiech jest konieczny.

- Musimy dotrzeć do lepszego schronienia, zanim pogoda się pogorszy.

Pokiwiała głową na zgodę. Spoglądali na siebie przez chwilę, a potem Tierney cofnął dłoń, otworzył tylne drzwi i wysiadł. Lilly poszła za nim na tył samochodu, gdzie przeglądała zawartość bagażnika. Znalazł podręczną apteczkę i polecił, by włożyła ją do kieszeni kurtki.

- Te puszki także. I petardy.

On również wypychał kieszenie konserwami, które musiały mu bardzo ciążyć. Wreszcie zarzucił plecak leżący dotąd na skraju drogi.

- Gotowa? - spytał, mrużąc oczy przed zacinającym śniegiem.

- Na tyle, na ile mogę w takiej sytuacji.

Skinął brodą, nakazując jej iść przodem. Pokonali zaledwie kilka metrów, gdy zrozumieli, że wspinaczka na wzgórce po oblodzonej drodze jest daremnym trudem. Na każdy krok pod górę ześlizgiwali się trzy w dół. Tierney skierował Lilly na pobocze. Było wąskie i często zmuszało ich do wędrówki gęsiego. Musieli unikać stąpania po wyrastających z ziemi kamieniach. Mimo to nierówny teren pomagał im we wspinaczce. Kamienie i wystające spod zlodowaciałego śniegu rośliny zapewniały jaką taką przyczepność.

Zbocze było dość strome. I w idealnych warunkach wspinaczka po nim byłaby męcząca, nawet dla najbardziej wysportowanych osób. Przez większość czasu szli pod wiatr, pochy-

lając nisko głowy, chwilami wędrowali niemal po omacku, tak silna była zawierucha. Zmrożone płatki śniegu cięży odsłoniętą skórę twarzy niczym cieniutkie skrawki szkła.

Często zatrzymywali się dla zaczerpnięcia oddechu. Raz Tierney zatrzymał się gwałtownie, odwrócił od Lilly i zwymiotował. Wszystko wskazywało na to, że ma wstrząs mózgu. Poza tym zauważyła, że odciąża prawą nogę i zaczęła się zastanawiać, czy w grę nie wchodzi również jakieś złamanie.

Wreszcie wędrowka pod górę zaczęła być dla Tierneya tak wyczerpująca, że Lilly zmusiła go, by wsparł się na jej ramieniu. Zrobił to niechętnie, lecz zaakceptował pomoc jako konieczność. Z każdym krokiem ciążył jej coraz bardziej i wkładała w marsz coraz więcej wysiłku.

Oboje osiągnęli stan maksymalnego wyczerpania. Szli dalej tylko dlatego, że nie mieli innego wyjścia. Przebycie dystansu, który zazwyczaj pokonywała samochodem w trzy minuty, zajęło im teraz niemal godzinę. Wreszcie, zataczając się i potykając o własne nogi, dotarli do schodów prowadzących na ganek górskiego domku.

Lilly oparła Tierneya o filar werandy, otworzyła drzwi i wprowadziła go do środka. Następnie zamknęła drzwi, rzuciła torebkę na podłogę i opadła na jedną z kanap. Tierney ściągnął plecak i położył się na przeciwległej sofie, oddzielonej od Lilly stolikiem do kawy. Przez kilka chwil odpoczywali, słysząc w ciemności jedynie swoje oddechy. Ponieważ Lilly wyłączyła przed wyjazdem ogrzewanie, było chłodno, niemniej, w porównaniu z temperaturą na zewnątrz, wydawało im się, że jest przyjemnie ciepło.

Nie spodziewała się, że znajdzie w sobie wystarczająco dużo energii, by znowu się ruszyć, ale wreszcie przekreśliła się i usiadła. Sięgnęła w kierunku stojącej na stoliku lampki i włączyła ją.

- Dzięki Bogu - powiedziała, mrużąc oczy od nagłej jasności. - Już się obawiałam, że odłączyli prąd.

Wyjęła puszkę z kieszeni kurtki, postawiła je na stole, a potem wyłowiała komórkę i wystukała numer.

- Do kogo dzwonisz? - spytał nagle przytomny Tierney, unosząc się na przedramionach.

- Do Dutcha.

5

Przewidywania Lilly co do chaosu panującego w centrum miasta sprawdziły się co do joty.

Dutch wrócił zaledwie przed paroma godzinami, a już tęsknił za przytulnym spokojem górskiej chaty. Jego byłej górskiej chaty, pomyślał gorzko.

Centrum Atlanty nawet w godzinach szczytu nie było tak zatłkane, jak Main Street w Cleary tego wieczoru. Zderzak w zderzak samochody tworzyły korek w obie strony. Czerwona wstęga świateł tylnych na jednym pasie, biała wstęga świateł mijania na drugim. Jakby wszyscy postawili sobie za punkt honoru przedostanie się na drugą stronę miasta.

Biuro szeryfa musiało się zajmować dalszymi obszarami hrabstwa, tak więc Cleary pozostało pod wyłączną opieką Dutcha i jego podwładnych. Teraz złodzieje nieźle by się pożywili, ponieważ wszyscy byli poza domem, a policjanci koncentrowali się na przywracaniu względnego porządku w ogólnym chaosie spowodowanym przez nadciągającą zamieć.

Sygnalizacja świetlna na skrzyżowaniu Moultrie i Main znowu się zepsuła. Innego dnia nie stanowiłoby to problemu. Ludzie skręcaliby, uprzejmie kiwając innym kierowcom i żartując na temat niedogodności. Dziś jednak, kiedy wszystkim brakowało cierpliwości, brak sygnalizacji świetlnej spowodował zator, który doprowadzał kierowców do prawdziwej furii.

Policjanci, którzy nie byli akurat zajęci kierowaniem ruchu, monitorowali tłumy na rynku, usiłując zapobiec bójkom o resztki towaru na półkach. Byli już świadkiem jednej sprzeczki o puszkę sardynek.

Grudki zamarzającego śniegu z deszczem urosły do roz-

miaru ziaren soli morskiej. Niedługo na pewno opady staną się niebezpieczne. Front atmosferyczny przesunął się nad górami i opadł w dolinę od wschodu. Dopóki zamieć się nie skończy, a śnieg i lód nie roztopi całkowicie, Dutch nie mógł liczyć na wiele spokoju.

Spojrzał na ukryty w gęstych chmurach grzbiet Cleary Peak. Wyjechał z chaty w samą porę. Z ulgą pomyślał, że Lilly wyruszyła zaraz po nim i teraz była już dawno w drodze na południe, do Atlanty. Przy odrobinie szczęścia może uda jej się uciec przed burzą i dotrzeć bezpiecznie do domu.

Nadal nie przestawał o niej myśleć; o tym, gdzie była i co robiła w danej chwili. Było to przyzwyczajenie, którego nie mogły zmienić żadne cholerne papiery rozwodowe. Przypominał sobie spojrzenie, jakim go uraczyła, zanim opuścił dzisiaj domek, i poczuł ciężar przygniatający mu piersi. Lilly się go bała i była to wyłącznie jego wina. Dał jej ku temu powód.

- Hej, szefie! - usłyszał głos Wesa Hamera. Trener stał na chodniku na zewnątrz drogerii Ritta. - Podjedź no tutaj. Płacę podatki jak porządny obywatel i musisz wysłuchać moich zażaleń.

Dutch zaparkował swój samochód na parkingu dla niepełnosprawnych przed sklepem. Opuścił szybę w oknie, wpuszczając do środka zimne powietrze. Wes podszedł do niego krokiem byłego futbolisty. Wprawdzie oba kolana zaatakowało mu zapalenie stawów, ale tego akurat nie lubił rozpowiadać. Wszystko, byle nie przyznać się do własnej słabości.

- Jakiś problem, trenerze? - spytał Dutch z udawaną powagą.

- Jesteś najlepszym policjantem w tej okolicy. Nie mógłbyś oczyścić ulic z tych idiotów?

- Zacznę od ciebie.

Wes zarechotał, ale od razu wyczuł ponury nastrój Dutcha i pochylił się ku niemu.

- Hej, stary, co jest?

- Pożegnałem się dzisiaj z Lilly. Na zawsze. Kilka godzin temu, w naszej górskiej chacie. Odeszła na dobre, Wes.

Trener odwrócił się na chwilę.

- Scott, rozgrzej wóz. Zaraz do ciebie przyjdę - rzucił do syna, który stał pod markizą na zewnątrz sklepu.

Chłopiec chwycił pęk kluczy, które rzucił mu ojciec, uniósł rękę, żegnając Dutcha, i ruszył chodnikiem w stronę samochodu.

- Są już jakieś wieści z Clemson?

- Porozmawiamy o tym kiedy indziej. Teraz pogadajmy o twojej żonie.

- Byłej żonie. Z akcentem na „byłej”, co dała mi bardzo wyraźnie do zrozumienia dzisiejszego popołudnia.

- Myślałem, że z nią porozmawiasz.

- Zrobiłem to.

- Nic z tego?

- Nic z tego. Dostała rozwód i jest z tego powodu szczęśliwa. Nie chce mieć ze mną nic wspólnego. To już koniec. - Dutch potarł czoło dłonią odzianą w rękawiczkę.

- Zamierzasz się rozpłakać, czy jak? Chryste, Dutch! Mam się zacząć wstydzić, że jesteś moim najlepszym przyjacielem?

Dutch odwrócił głowę i spojrzał na Wesa.

- Pieprz się.

- Jęczysz jak dzidzius - ciągnął niezrażony trener, potrząsając głową nad żalonym zachowaniem przyjaciela. - Lilly nie wiedziała, co miała, więc pieprz ją. Zawsze uważałem, że twoja żona...

- Nie chcę wysłuchiwać twoich opinii na jej temat.

- Uważa, że jej gówno pachnie fiołkami.

- Powiedziałem, że nie chcę słyszeć ani słowa, rozumiesz?

Wes uniósł obie ręce w geście poddania.

- Dobra, ale ona też nie ma o mnie najlepszego mniemania.

- Uważa, że jesteś dupkiem.

- Tak, a ja nie mam nic lepszego do roboty, jak tylko zamartwiać się tym, co pani Lilly Martin Burton sobie o mnie myśli. - Uśmiechając się krzywo, Wes chwycił Dutcha za ramię. - Bierzesz to wszystko za bardzo do siebie. Straciłeś

żonę, a nie jaja. Rozejrzyj się dookoła - dodał, gestykulując śmiało. - Czekają na ciebie całe stada kobiet.

- Miałem kobiety - wymamrotał Dutch.

- Tak? - Wes przekrzywił głowę. - Przez cały czas czy ostatnio?

Jedno i drugie, pomyślał Dutch. Znalazł mnóstwo usprawiedliwień dla swojego pierwszego romansu. W pracy pozostawał pod nieustanną presją, Lilly zaś była zajęta robieniem kariery. Ich życie intymne stało się nieciekawe, bez polotu i tak dalej, i tak dalej. Lilly zbiła wszystkie jego argumenty, jeden po drugim. Dutch przyznał się do winy i obiecał nigdy więcej tego nie zrobić. Po pierwszym romansie nastąpił jednak drugi, a potem następny. Wkrótce zabrakło mu żałosnych wymówek. Teraz zdał sobie wreszcie sprawę, że to nie jego ostatni skok w bok stał się początkiem końca ich małżeństwa. To pierwszy romans. Powinien wiedzieć, że kobieta taka jak Lilly nie będzie tolerowała niewierności.

Wes nadal spoglądał na niego wyczekująco.

- Był taki czas, wiesz, po Amy, kiedy naprawdę się stozyłem. Szukałem ujścia emocji wszędzie, gdzie mogłem go znaleźć, z każdą kobietą, która się na to godziła, a było ich mnóstwo. Żadna z nich jednak nie potrafiła zastąpić mi Lilly.

- Bzdury wygadujesz. Po prostu nie rozglądałeś się wystarczająco długo. A teraz? Uprawiasz seks regularnie?

- Wes...

- W porządku, nie mów. Uznajmy, że w ogóle nie zapytałem. Tyle że żadna kobieta nie zawiesiłaby teraz na tobie oka. Przepraszam, że to mówię, ale wyglądasz beznadziejnie.

- I tak się też czuję.

- To widać, po twojej minie i chodzie. Ciągniesz tyłek po ziemi, przyjacielu. Sprawiasz wrażenie, że nawiązanie znajomości z tobą byłoby równie zabawne jak nowy rzut opryszczeni. W ten sposób nigdy nie zainteresujesz sobą kobiety, jakiej potrzebujesz.

- A jakiej kobiety potrzebuję?

- Przeciwięństwa Lilly. Trzymaj się z daleka od brunetek z brązowymi oczami.

- Orzechowymi. Tak naprawdę ma zielone oczy z brązowymi plamkami.

Wes tylko spojrział na niego szyderczo.

- Znajdź sobie tlenioną blondynkę, niską, z dużymi cyckami i tyłkiem, który można złapać w rękę. Niegłupią, ale i niezbyt mądrą, z własnym zdaniem na każdy temat z wyjątkiem twojego małego, który powinna uważać za czarodziejską różdżkę - wyszczerzył zęby w uśmiechu, wyraźnie zadowolony ze swojego opisu idealnej kobiety. - Wiesz co? Wpadnij do mnie później - dodał. - Obalimy butelkę jacka danielsa i omówimy twoje opcje. Mam też niegrzeczny filmik, który możemy obejrzeć. Powinno to zmienić twoje spojrzenie na życie, albo nie jesteś człowiekiem. Co ty na to?

- Nie powinienem pić, pamiętasz?

- Podczas burzy śnieżnej można zrobić odstępstwo od reguł.

- Kto tak powiedział?

- Ja.

Trudno się oprzeć Wesowi w jego najbardziej przyjaznym nastroju, niemniej Dutch zrobił wszystko, co w jego mocy. Wrzucił wsteczny.

- Dziś w nocy mam pełne ręce roboty.

- Przyjedź - powiedział Wes poważnie, kiwając palcem na wycofującego samochód przyjaciela. - Będę czekał.

Dutch włączył się do ruchu i skierował w stronę jednopiętrowego ceglanego budynku przy Main Street, w którym mieścił się posterunek policji.

Zanim ostatecznie wyrzucono go z pracy w Atlancie, musiał spotykać się dwa razy w tygodniu z wydziałowym psychologiem. Podczas jednej z sesji usłyszał, że jest na krawędzi paranoi. Ale jak to było w tym starym dowcipie? To, że jesteś paranoikiem nie oznacza, że świat nie sprzymierzył się przeciwko tobie. Dzisiaj Dutch tak właśnie się czuł. Wchodząc do

budynku, spostrzegł siedzących w poczekalni panią i pana Gunn. Przepęłniło to miarkę. Miał na plecach wymalowaną tarczę strzelniczą, czy co? Lilly, rodzice Millicent Gunn, mieszkańcy Cleary, nawet pogoda sprzymierzyły się, aby uczynić ten dzień najgorszym w jego życiu.

No dobrze, jednym z najgorszych.

Pani Gunn, wychudzona i drobniotka kobiecina wyglądała, jakby nie spała i nie jadła od tygodnia, kiedy to zniknęła jej córka. Mała głowa wystawała ponad kołnierz pikowanej kurtki niczym główka zółtwia. Kiedy Dutch wszedł do środka, spojrzała na niego z bezgraniczną rozpaczą. To uczucie nie było mu obce. Sympatyzował z nieszczęsną matką, ale nie chciał się tym zajmować akurat dziś wieczorem, kiedy miał na głowie własne kłopoty.

Pan Gunn był pulchnym mężczyzną, którego poszerzała dodatkowo wełniana kurtka w czarno-czerwonej kratę, kojarząca się Dutchowi z ubraniem drwali kanadyjskich. Gunn rzeczywiście miał do czynienia z drewnem. Był cieślą. Jego dłonie, szorstkie od wieloletniej pracy i popękane od zimna wyglądały jak dwa kawały peklowanej szynki. W poznaczonych bliznami palcach miał kapelusz, wpatrując się niewidzącym spojrzeniem w poplamioną brązową płytę pilśniową. Po kuksańcu od żony oprzytomniał i popatrzył w stronę Dutcha.

- Dutch - przywitał go, podnosząc się z ławki.
- Witajcie. - Dutch kiwnął im głową. - Pogoda się bardzo pogarsza. Powinniście być w domu.
- Przyjechaliśmy zapytać, czy nie wiadomo czegoś nowego.

Dutch wiedział doskonale, dlaczego się tu na niego zaszdzili. Wcześniej dzwonili do niego kilka razy, zostawiając wiadomości, na które nie odpowiedział. Żałował, że jego współpracownicy nie ostrzegli go o ich przybyciu. Opóźniłby wtedy swój powrót do chwili, aż państwo Gunn poddaliby się wreszcie i wrócili do domu. Ale jest tutaj, więc pogada z nimi teraz i będzie miał to z głowy.

- Chodźmy. Porozmawiamy w moim biurze. Czy ktoś za-

proponował wam kawę? Jest gęsta jak smoła, ale przynajmniej gorąca.

- Nie, dziękujemy - odpowiedział za oboje Eddie Gunn.

- Niestety, nie mam żadnych nowych wiadomości - skrzywił się Dutch współczująco, kiedy znaleźli się już w jego gabinecie. - Musiałem odwołać dzisiejsze poszukiwania, z oczywistych przyczyn - dodał, wskazując ręką w stronę okna. - Zanim zaczęła się zamieć, ściągnęliśmy samochód Millicent na policyjny parking. Zamierzamy zgromadzić wszelkie dowody, jakie w nim znajdziemy, chociaż wszystko wskazuje na to, że nie widać w nim żadnych śladów walki.

- Na przykład jakich? - spytał Eddie

Dutch obrócił się na krzesło i rzucił spojrzenie na panią Gunn.

- Złamane paznokcie, kępki wyrwanych włosów, krew - zaczął wyliczać.

Głowa pani Gunn chybotła się na cienkiej, zasuszonej szyi.

- Właściwie to dobrze - ciągnął Dutch. - Wraz z moimi ludźmi nadal usiłujemy odtworzyć w szczegółach ostatni wieczór Millicent przed jej zaginięciem. Rozmawiamy ze wszystkimi osobami, które widziały, jak wychodziła i wchodziła do sklepu. Dzisiaj jednak musieliśmy zawiesić działalność z powodu zamieci. Od agenta specjalnego Wise'a też nie dowiedziałem się niczego nowego - dodał, kierując rozmowę ku kolejnemu, jak przewidywał, pytaniu. - Kilka dni temu odwołano go do Charlotte, w jakiejś innej bardzo pilnej sprawie. Zanim wyjechał, powiedział mi, że nadal aktywnie zajmuje się zniknięciem Millicent i że na miejscu sprawdzi kilka rzeczy na służbowych komputerach.

- Czy mówił co?

Dutch nie miał ochoty przyznawać, iż Wise, tak jak wszystkie skurczybyki z FBI, nie chciał udzielać zbyt wielu informacji, zwłaszcza gliniarzom, których uważał za kiepskich, niekompetentnych desperatów. Takich jak Dutch.

- Rozumiem, że udostępniście agentowi Wise'owi pamiętnik Millicent.

- Owszem. - Eddie Gunn odwrócił się w stronę żony i chwycił jej dłoń w geście pokrzepienia. - Może pan Wise odkryje coś, co doprowadzi ich do naszej córki.

Dutch skwapliwie skorzystał z sytuacji.

- To bardzo prawdopodobne. Millicent mogła sama wyjechać. - Uniósł dłoń, powstrzymując wszelkie komentarze. - Wiem, że to pierwsza rzecz, o jaką zapytałem was w dniu, kiedy zgłosiliście jej zniknięcie. Od razu odrzuciliście taką możliwość. Posłuchajcie mnie jednak - obdarzył każde z nich poważnym profesjonalnym spojrzeniem. - To bardzo prawdopodobne, że Millicent potrzebowała trochę czasu w samotności. Może jej przypadek wcale nie jest związany z pozostałymi zaginięciami. - Wiedział, iż szanse na to były bardzo małe, ale musiał to powiedzieć, żeby państwo Gunn nie stracili nadziei.

- Ale jej samochód był nadal na parkingu za sklepem - powiedziała pani Gunn głosem tak cichym, że Dutch ledwie ją słyszał. - Jak mogła wyjechać bez wozu?

- Może zabrał ją stąd przyjaciel lub przyjaciółka. A teraz, z powodu wszechobecnej paniki, jaką wywołało zniknięcie Millicent, ów przyjaciel lub przyjaciółka nie chce się ujawnić, bo obawia się poważnych kłopotów.

Ernie Gunn zmarszczył wąpiąco brwi.

- Przyznaję, mieliśmy problemy z Millicent, tak jak inni rodzice z dorastającymi dziećmi, ale nie sądzę, żeby zrobiła coś takiego wyjącznie nam na złość.

- Wie, że ją kochamy - dodała pani Gunn. - I jest świadoma, że gdyby tak po prostu uciekła, zamartwilibyśmy się na śmierć. - Jej głos załamał się przy ostatnich słowach, przytknęła do ust chusteczkę, aby powstrzymać szloch.

Przykro było patrzeć na jej cierpienie. Dutch skupił wzrok na książce zatrzymań, dając jej czas, by się opanowała.

- Pani Gunn - powiedział łagodnie. - Jestem przekonany, że w głębi serca Millicent zdaje sobie sprawę, jak bardzo ją kochacie. Wiem jednak, że nie była zbyt szczęśliwa, kiedy w zeszłym roku wysłaliście ją do szpitala. Zrobiliście to wbrew jej woli, czyż nie?

- Nie zgłosiłaby się sama - odparł pan Gunn. - Musieliśmy to zrobić, inaczej by umarła.

- Rozumiem. I Millicent prawdopodobnie też to rozumie, ale może nie przestała się na was o to bocyć?

U Millicent Gunn rozpoznano anoreksję i bulimię. Trzeba przyznać, że gdy jej stan zaczął zagrażać jej życiu, rodzice zapożyczyli się, zastawiając cały majątek, by wysłać ją do szpitala w Raleigh na kurację i psychoterapię. Dziewczyna spędziła tam całe trzy miesiące, zanim uznano ją za zdrową i odesłano do domu. Plotka głosiła, że zaraz po powrocie do Cleary, Millicent powróciła do starych bulimicznych nawyków z obawy, że jeśli przybierze na wadze, wyrzuci ją z drużyny cheerleaderek. Millicent trenowała od szóstej klasy podstawówki i nie chciała zostać odsunięta od występów w ostatnim roku nauki w szkole.

- Dobrze jej szło - odezwał się Gunn. - Każdego dnia wyglądała lepiej, zdrowiej. - Spojrzał twardo na Dutcha. - Poza tym, wiesz tak samo dobrze jak my, że Millicent nie uciekła. Została porwana. Do kierownicy jej samochodu została przywiązana niebieska wstążka.

- Miałeś o tym nie wspominać - przypomniał mu Dutch.

Niebieską wstążkę znajdowano zawsze w miejscu, skąd zostały przypuszczalnie uprowadzone pozostałe zaginione kobiety. Ów fakt został jednak zatajony przed mediami. Z powodu błękitnej aksamitki, niezidentyfikowany porywacz został mianowany Chabrem.

Telefon przyczepiony do paska Dutcha zawibrował, ale Dutch nie odebrał połączenia. Zajmował się teraz ważną sprawą. Jeżeli informacja o błękitnej wstążce wyjdzie na jaw, różni idioci na pewno uznają, iż to ktoś z policji puścił farbę. Może zresztą i tak było. Niemniej Dutch zamierzał zrobić wszystko, aby zapobiec dalszemu rozprzestrzenianiu się tej informacji i uniknąć odpowiedzialności za rozsiewanie plotek.

- Wszyscy ludzie o tym wiedzą, Dutch. Nie możesz tego trzymać w tajemnicy, zwłaszcza że ten skurczybyk zostawił już pięć wstążek.

- Skoro wszyscy o tym wiedzą, to Millicent również zdawała sobie z tego sprawę. Mogła podzucić tasiemkę specjalnie, żebyśmy myśleli...

- Co ty, do diabła, mówisz! - wybuchnął Eddie Gunn. - Nie byłaby aż tak okrutna, żeby nas w ten sposób nastraszyć. O nie, to Chaber porwał Millicent. Dobrze o tym wiesz. Musisz ją znaleźć, zanim... - głos mu się załamał, a w oczach pojawiły się łzy.

Pani Gunn znów zaszlochała.

- Pracowałeś w Atlancie, wielkim mieście, ważnym wydziale i w ogóle - przemówiła z goryczą w głosie. - Myśleliśmy, że złapiesz tego człowieka, zanim zdoła dobrać się do Millicent lub jakiejś innej dziewczyny.

- Pracowałem w wydziale zabójstw, a nie osób zaginionych - odparł sztywno Dutch.

Współczuł tym ludziom z całego serca i robił wszystko, żeby odnaleźć ich córkę, ale nadal był niedoceniany. Oczekiwali od niego cudu, ponieważ kiedyś był gliną w metropolii.

W tej chwili zastanawiał się, dlaczego w ogóle zgodził się tu zatrudnić. Gdy rada miejska pod przewodnictwem Wesa Hamera zaoferowała mu posadę, powinien odpowiedzieć, że zostanie szefem policji dopiero po złapaniu seryjnego porywacza grasującego w Cleary. Ale potrzebował pracy. Co więcej, musiał wydostać się z Atlanty, gdzie został upokorzony w życiu prywatnym przez Lilly i w życiu zawodowym przez jego byłego wydział policji. Proces rozwodowy zakończył się w tym samym miesiącu, w którym wyrzucono go z pracy. Między tymi dwoma wydarzeniami istniało niewątpliwe powiązanie.

Kiedy Dutch był w największym dołku, w Atlancie pojawił się Wes i zaproponował mu posadę w Cleary. Połechtał mile jego ego, mówiąc, że jego rodzinne miasto pilnie potrzebuje takiego twardego, bezkompromisowego i doświadczonego gliny jak Dutch. Wes przodował we wciskaniu ludziom kitu. Był świetny w przemowach zagrzewających do wysiłku, które serwował w szatni swoim zawodnikom. Mimo że Dutch dosko-

nale zdawał sobie z tego sprawę, to potrzebował tego rodzaju zachęty i zanim się zorientował, już pieczętowali umowę uściskiem dłoni.

W Cleary Dutch był jednym ze „swoich”. Szanowano go. Znał wszystkich ludzi w mieście i okolicy jak własną kieszeń. Przeprowadzenie się z powrotem do Cleary było niczym włożenie wygodnych kapci. Były jednak również złe strony tej decyzji. Dutch znalazł się w środku bałaganu pozostawionego przez poprzednika, który na niczym się nie znał, a jego jedynym sposobem zwalczania przestępczości było wypisywanie mandatów za nielegalne parkowanie.

Pierwszego dnia pracy Dutch odkrył, że pozostawiono mu na głowie nierozwiązaną sprawę czterech zaginionych kobiet. Teraz zniknęła piąta. Dutch miał ograniczony budżet, nieodpowiednio wytrenowany i niedoświadczony personel. Dodatkowo na głowę zważyło mu się FBI, ponieważ porwania są przestępstwem federalnym.

Dwa i pół roku po tym, kiedy pierwsza ofiara zniknęła z popularnego szlaku wycieczkowego, nadal nie mieli żadnego podejrzanego. Dutch nie był temu winien, niemniej czuł się odpowiedzialny za tę sprawę, która wyglądała coraz gorzej. Dzisiaj nie miał jednak ochoty na wysłuchiwanie krytyki, nawet ze strony ludzi, którzy przeżywali piekło na ziemi.

- Nadal mam całą listę znajomych Millicent, z którymi muszę porozmawiać - powiedziała. - Jak tylko pogoda się wyklaruje, przysięgam, że wszyscy moi ludzie wyruszą na poszukiwania waszej córki. - Wstał, sygnalizując w ten sposób koniec rozmowy. - Chcecie, żeby ktoś odwiózł was do domu wozem patrolowym? Na ulicach jest coraz niebezpieczniej.

- Nie, dziękujemy. - Z godną podziwu godnością pan Gunn pomógł swojej żonie wstać i poprowadził ją w stronę wyjścia.

- Wiem, że jest wam ciężko, ale starajcie się myśleć pozytywnie - rzekł Dutch, odprowadzając ich krótkim korytarzem. Eddie Gunn jedynie skinął w odpowiedzi głową i wyprowadził żonę na zewnątrz, prosto w zamieć.

- Szefie, mamy... - zaczął oficer, który zajmował się deską

rozdzielczą. Wszystkie światełka oznaczające połączenia przychodzące mrugały na czerwono.

- Chwileczkę - przerwał mu Dutch. Sięgnął po swoją komórkę i sprawdził, kto do niego dzwonił.

Lilly. Zostawiła wiadomość. Pospieszenie połączył się z pocztą głosową.

- Dutch, nie wiem, czy dostaniesz... nie. Miałam wypadek... drodze powrotnej... Ben Tierney... ranny. Jesteśmy... górskiej chacie. Potrzebuje pomo... Jeśli moż... jak najszy...

6

Lilly postarała się, żeby wiadomość, którą zostawiła dla Dutcha, była jak najbardziej zwięzła, na wypadek, gdyby jej telefon znowu stracił zasięg. Zanim skończyła mówić, połączenie zostało przerwane na dobre.

- Nie wiem, ile z tego zapisało się na poczcie głosowej - powiedziała. - Może wystarczająco dużo, żeby Dutch domyślił się reszty.

Wcześniej ściągnęła koc z głowy, zostawiając go na ramionach. Wełna nasiąkła wodą. Wierzch nadal był pokryty zamrzniętymi płatkami śniegu. Było jej zimno, mokro i nieprzyjemnie.

Oczywiście nie mogła narzekać na niewygodę. W porównaniu z Tierneyem, jej stan był doskonały. Mężczyzna siedział na sofie, chwając się tak, jakby za chwilę miał się przewrócić. Jego czarna wełniana czapka przesiąkła świeżą krwią, a na brwiach i rzęsach osiadł szron, nadając mu upiorny wygląd.

Machnęła dłonią w jego kierunku.

- Jesteś cała...

- Oszroniony? Ty też. Za chwilę wszystko się roztopi.

Lilly otarła kryształki lodu z oczu i nosa.

- Nigdy przedtem nie doświadczyłam takiej pogody. Nie zdarzyło mi się nic bardziej ekstremalnego niż burza, kiedy

nie miałam parasolki. - Wstała i podeszła do termostatu. Po ustawieniu wskaźnika usłyszała pokrzepiające syczenie powietrza z przewodu wentylacyjnego w suficie. - Zaraz zrobi się tutaj cieplej - powiedziała, siadając z powrotem na kanapie. - Nie czuję palców u stóp.

Tierney chwycił środkowy palec dłoni w zęby i ściągnął rękawiczkę. Potem pokazał Lilly, żeby przeniosła się na jego sofę.

- Usiądź tu i ściągnij buty.

Przycupnęła tuż obok niego, zdjęła rękawiczki, a potem zajęła się ściąganiem przemoczonych butów.

- Wiedziałeś, że przesiąkną wodą, prawda?

- Nietrudno było zgadnąć.

Skarpetki były kompletnie mokre, podobnie nogawki spodni, aż do kolan. Ubrała się, żeby ładnie wyglądać, nie dla ochrony przed zamiecią. Tierney poklepał się po udzie.

- Połóż tutaj nogę.

Po chwili wahania zrobiła, co kazał. Kiedy Tierney ściągnął mokrą skarpetkę, nie poznała własnej, przeraźliwie bladej stopy. Ben ucisnął ją lekko dłońmi i zaczął energicznie rozcierać.

- Będzie bolało - ostrzegł.

- Już boli.

- Musimy przywrócić krążenie w stopach.

- Napisałeś już coś o przetrwaniu zamieci?

- Nie z perspektywy własnego doświadczenia. Teraz już wiem, jak ignorancki i arogancki był mój artykuł. Lepiej?

- Mam straszne mrówki w palcach.

- To dobrze. Wraca cyrkulacja krwi. Widzisz? Zaczynają się robić różowe. Podaj mi drugą stopę.

- Co z twoimi?

- Mogą zaczekać. Moje buty są wodoodporne.

Położyła na jego udzie drugą nogę. Tierney ściągnął skarpetkę, objął stopę obiema dłońmi i zaczął rozmasowywać, tym razem nie tak energicznie jak przedtem. Poszczypał delikatnie każdy z jej palców, a potem zaczął masować kciukiem podbicie od czubka do pięty.

Przyglądała się jego dłoniom. Żadne nie wypowiedziało ani słowa. Wreszcie ujął jej stopę w swoje ciepłe dłonie i podniósł głowę. Siedzieli teraz twarzą w twarz, tak blisko, że Lilly widziała jego wilgotne rzęsy.

- Lepiej? - spytał.
- Dużo lepiej. Dziękuję.
- Nie ma za co.

Nie uczynił najmniejszego gestu, pozostawiając jej wycofanie się z kontaktu. Lilly wysunęła stopę z jego dłoni i opuściła nogi na podłogę. Z kieszeni płaszcza wyciągnęła parę suchych skarpetek, co pozwoliło jej jednocześnie odsunąć się od Tierneya. Obserwowała go kątem oka, jak się pochyla i usiłuje rozwiązać sznurówki górskich butów. Poluzował je, ale pozostał zgięty wpół. Oparł łokieć na kolanie i oparł głowę na dłoń.

- Znowu jest ci niedobrze? - spytała.
- Nie. To tylko chwilowe zawroty głowy. Przejdą.
- Chyba masz wstrząs mózgu.
- Na pewno.
- Tak mi przykro, Tierney.

Słyszając jej przepraszający ton, spojrział na nią.

- Dlaczego? Gdyby nie ja, nie rozbiłabyś samochodu.
- Nie widziałam prawie nic na drodze. Nagle pojawiłeś się tuż przed maską i...

- Ponoszę za to taką samą winę jak ty. Widziałem światła twojego wozu, zbliżające się do łuku. Nie chciałem zaprzepaścić ostatniej szansy na dostanie się do miasta, więc zacząłem zbiegać w dół po zboczu. Nabrałem zbyt dużego rozpędu i w następnej chwili znalazłem się nie obok drogi, ale na jej środku.

- Byłam idiotką. Nie powinnam tak ostro hamować.
- Odruch. - Wzruszył ramionami. - Tak czy owak, nie wiń się. Może znalazłem się na twojej drodze z jakiegoś powodu.
- Najprawdopodobniej uratowałeś mi życie. Gdybym była sama, zostałabym pewnie w samochodzie i zamarżała do rana na śmierć.

- W takim razie to świetnie, że się pojawiłem.
- Co robiłeś na górze?
- Zwiedzałem - odpowiedział, pochylając się i ściągając prawy but.

- Dzisiaj?
- Wybrałem się na przechadzkę po szczycie.
- Wiedząc o nadchodzącej zamieci?
- Góry w zimie mają specyficzny urok. - Ściągnął drugi but i odrzucił na bok, a potem zaczął rozmasowywać palce u stóp. - Kiedy postanowiłem wrócić do miasta, mój samochód nie zapalił. Pewnie rozładował się akumulator. W każdym razie zamiast nadkładać drogi, pokonując kolejne serpenty, zdecydowałem, że lepiej pójść na skróty, przez las.

- W tych ciemnościach?
- Z perspektywy czasu nie była to najmądrzejsza decyzja, ale poradziłbym sobie, gdyby burza nie nadeszła tak szybko.

- Ja też się przeliczyłam z czasem. Przysnęłam i... - przerwała, widząc, iż Tierney mruga gwałtownie, jakby chciał powstrzymać zawroty głowy. - Tracisz przytomność?

- Może. Cholernie kręci mi się w głowie.
Lilly wstała i położyła dłonie na jego ramionach.

- Połóż się, odpocznij trochę.
- Jeżeli zasnę, obudź mnie. Nie powinienem zasypiać ze wstrząsem mózgu.

- Obiecuję, że nie pozwolę ci zasnąć. Kładź się.
Nadal się opierał.

- Pobrudzę ci kanapę krwią.
- Nie sądzę, żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie, panie Tierney. Poza tym, to już nie jest moja kanapa.

Wreszcie się poddał. Lilly popchnęła go lekko na kanapę i podłożyła mu pod głowę poduszkę.

- Lepiej?
- Tak, dziękuję.

Lilly podeszła do sąsiedniej sofy i ponieważ nadal było jej zimno, owinęła się narzutą.

- To już nie jest twoja kanapa? - powtórzył pytająco Tier-

ney, nie otwierając oczu. - Słyszałem, że ten dom był wystawiony na sprzedaż. Znaleźliście nabywców?

- Wczoraj sfinalizowaliśmy transakcję.

- Kim jest nowy właściciel? Ktoś z miasta?

- Nie. Para emerytów z Jacksonville na Florydzie. Chcą tutaj przyjeżdżać na lato.

Tierney otworzył oczy i rozejrzał się po pokoju. Domek, wyposażony we wszelkie możliwe współczesne udogodnienia, został zbudowany i udekorowany w stylu rustykalnym, pasującym do górskiego otoczenia. Meble były duże i proste, dla wygody, a nie na pokaz.

- Sprawili sobie piękny drugi dom.

- To prawda. - Lilly rozejrzała się dookoła, oceniając solidność chaty. - Będziemy tutaj bezpieczni, prawda? To znaczy, na czas burzy.

- Skąd czerpicie wodę?

- Ze zbiornika na wyżynie, w połowie drogi pomiędzy miastem a tym miejscem.

- Miejmy nadzieję, że rury jeszcze nie zamarły.

Lilly wstała i okrążyła bar, który oddzielał kuchnię od dużego pokoju.

- Mamy wodę - oznajmiła, kiedy po odkręceniu kurka z kranu poleciał strumień.

- Masz coś, w co możemy jej nabrać?

- Garnki. Zostały sprzedane razem z domem.

- Zaczynaj napełniać wszystkie naczynia, jakie tu są. Musimy nabierać jak najwięcej wody pitnej, zanim zamarzną rury. Na szczęście masz ze sobą jedzenie. Dzięki temu jakoś przetrwamy.

Lilly wyciągnęła brytfannę, której użyła podczas jednego ze Świąt Dziękczynienia. Podstawiła ją pod strumień. Wróciła do pokoju i machnęła ręką w stronę kominka.

- Na ganku jest drewno na opał.

- Tak, tylko że kiedy tu wchodziliśmy, zauważyłem, że w większości jest mokre. Poza tym, polana nie są należycie porąbane.

- Jesteś bardzo spostrzegawczy.
- Mam oko do szczegółów.
- Zauważyłam.
- Kiedy?
- Kiedy co? - powtórzyła.
- Kiedy zauważyłaś, że mam oko do szczegółów? Dzisiaj czy tamtego dnia, zeszłego lata?

- I wtedy i teraz, tak mi się wydaje - odparła, zastanawiając się, jakiego rodzaju szczegóły dostrzegły jego bystre błękitne oczy dzisiaj i zeszłego czerwca.

- Dlaczego do niego zadzwoniłaś?

Tak bezpośrednio pytanie wydawało się zupełnie nie na miejscu, ale oczywiście w tej sytuacji było jak najbardziej odpowiednie. Lilly zerknęła na komórkę, którą położyła na stoliku do kawy, tak aby w każdej chwili mogła po nią sięgnąć.

- Słyszałem, że się rozwiedliście - rzekł Tierney, nie dając jej czasu na odpowiedź.

- Owszem.

- Dlaczego więc zadzwoniłaś do niego?

- Dutch jest teraz komendantem policji w Cleary.

- O tym również słyszałem.

- Na pewno zajmuje się nagłymi wypadkami w związku z zamiecią. Może nam pomóc.

Tierney milczał przez kilka sekund, rozważając jej słowa, a potem spojrzął na drzwi.

- Wiesz, że dzisiejszej nocy nikt się tutaj nie pojawi, prawda?

Lilly pokiwała głową.

- Rzeczywiście, dziś w nocy będziemy zdani wyłącznie na siebie. - Nagle zdenerwowana, wsunęła dłonie głębiej do kieszeni kurtki. - Och, zestaw pierwszej pomocy! - wykrzyknęła. - Zupełnie o nim zapomniałam.

Wyciągnęła z kieszeni małe, białe plastikowe pudełko z czerwonym krzyżem wymalowanym na wieczku. Było to coś, co każda sumienna matka włożyłaby do torby przed każdym wyjściem na plac zabaw. Lilly otworzyła je i zbadała zawartość.

- Obawiam się, że nie ma tu zbyt wiele. Powinniśmy jednak oczyścić ranę środkiem dezynfekującym. - Spojrzała na Tierneya niepewnie. - Chce pan ściągnąć czapkę sam czy ja mam to zrobić? Ostrzegam, pewnie będzie bolało.

- Lilly?

- Hmm?

- Dlaczego nagle stałem się panem Tierney?

- Nie wiem - wzruszyła nerwowo ramionami. - Po prostu wydawało mi się to bardziej na miejscu. Biorąc pod uwagę okoliczności.

- Przez okoliczności rozumiesz to, że zostaliśmy uwięzieni na czas nieokreślony pod jednym dachem, zdani na siebie, jeżeli chcemy przetrwać.

- Tak. To dość niewygodna sytuacja.

- Dlaczego?

Spojrzała na niego nieco zirytowana. Czyżby udawał głupiego?

- Ponieważ jesteśmy sobie obcy. Spotkaliśmy się tylko raz, tamtego dnia nad rzeką.

Tierney wstał i zachwiał się widocznie. Utrzymał się jednak na nogach i podszedł do niej powoli.

- Jeżeli sądzisz, że jesteśmy sobie obcy, to nie pamiętasz naszego pierwszego spotkania tak dobrze jak ja.

Lilly cofnęła się i potrząsnęła głową, jakby chciała odpuścić wspomnienia tamtego słonecznego dnia lub żeby powstrzymać go przed kolejnym krokiem. Sama nie była pewna, o co jej chodziło.

- Posłuchaj, Tierney...

- Dzięki Bogu - błysnął zębami w zaraźliwym uśmiechu, który pamiętała niepokojąco wyraźnie. - Znów jestem tylko Tierneyem.

- Tierney? - Agent specjalny Kent Begley powtórzył usłyszone nazwisko.

- Tak jest, sir. T-i-e-r-n-e-y. Ben - odparł Charlie Wise.

Wszyscy w biurze FBI w Charlotte nazywali go Sową.

Ktoś - nikt nie pamiętał, kto to był - skojarzył jego nazwisko z ptasim symbolem mądrości. Przydomek był o tyle trafiony, że Charlie nosił ogromne okrągłe okulary w szylkretowych oprawkach, które sprawiały, że przypominał sowę.

Begley patrzył mu teraz prosto w szeroko otwarte oczy. Było to jedno z tych spojrzeń, które jego podwładni nazywali - oczywiście za plecami szefa - „lodołamaczami”.

Begley był żarliwym, świeżo nawróconym chrześcijaninem. Zawsze miał pod ręką duże wydanie Biblii ze swoim nazwiskiem wygrawerowanym złotymi literami na czarnym skórzanym grzbiecie. Księga nosiła ślady częstego używania. Begley często sięgał do niej po różne cytaty. Miał surowe zasady moralne, a jedną z nich było powstrzymywanie się od posługiwania się rynsztokowym językiem i od robienia aluzji. Nie tolerował tego u swoich podwładnych, bez względu na płęć. Sam sięgał do przekleństw tylko wtedy, kiedy uznawał, że było to absolutnie konieczne do wytłumaczenia komuś swojej racji. Czyli mniej więcej co dziesięć sekund.

Sowa był pewnym siebie, zdolnym agentem, którego mało co było w stanie wyprowadzić z równowagi. Mniej niż pozostali bał się słynnych „lodołamaczy” Begleya. Nikt nie wiedział, jak Sowa radził sobie na strzelnicy, jednak bezdyskusyjnie potrafił posługiwać się komputerami. Nie miał sobie równych w wyszukiwaniu informacji. Był to jego niewątpliwy talent. Jeżeli Sowa nie potrafił odgrzebać jakichś danych, oznaczało to, że najprawdopodobniej takowe w ogóle nie istnieją.

Teraz spoglądał na szefa z dużą pewnością siebie.

- Przyglądałem się Benowi Tierneyowi od kilku dni i znalazłem parę interesujących faktów.

- Słucham. - Begley machnął ręką w stronę krzesła przy jego biurku. Nadal jednak spoglądał twardo na agenta, który wiedział, że nie jest to najlepszy moment na marnowanie czasu szefa. Dlatego zaczął mówić, jeszcze zanim usiadł.

- Od kilku lat Ben Tierney zaczął pojawiać się okresowo w tamtych okolicach, zwłaszcza w Cleary. Mniej więcej co

kilka miesięcy. Za każdym razem zatrzymuje się na kilka tygodni, może na miesiąc, a potem wyjeżdża.

- Mają tam dużo turystów - skomentował Begley.

- Zdaję sobie z tego sprawę, sir.

- W takim razie skąd to zainteresowanie? Czy jego wizyty w Cleary zbiegały się z zaginięciami?

- Tak, sir. Tierney zatrzymuje się zwykle w domku letniskowym około pięciu kilometrów od centrum miasta. Prywatny najem, z własną wnęką kuchenną, widokiem na wodospad i jezioro należące do właściciela obiektu wypoczynkowego.

Begley pokiwał głową. Znał takie miejsca. W tej części stanu, gdzie turystyka była głównym źródłem przychodów dla małych górskich społeczności, było ich tutaj setki. Wędkarstwo, wspinaczka górską, kemping czy kajakowanie były ogromną atrakcją turystyczną.

- Według właściciela ośrodka, pan Tierney zawsze zamawia sobie największy domek. Numer osiem. Dwie sypialnie i duży pokój z kominkiem. Jest jeszcze coś, co, jak sądzę, może być istotne. Tierney zawsze sam sprząta. Niezależnie od długości pobytu, sam odbiera czystą zmianę prześcieradeł z recepcji. Robi to dwa razy w tygodniu i nie chce wpuszczać do siebie sprzątaczkę.

- To nie jest żadna rewelacja, Sowa.

- Niemniej to dziwne.

Begley wstał zza biurka i podszedł do sztalugi z korkową tablicą, którą Sowa przyniósł do biura przed spotkaniem. Były na niej przypięte fotografie pięciu zaginionych w Cleary kobiet i krótka informacja o każdej z nich: data urodzenia, numer prawa jazdy i ubezpieczenia społecznego, dzień zaginięcia, rysopis, nazwiska najbliższej rodziny i przyjaciół, zainteresowania, hobby, wyznanie, wykształcenie, numer rachunku bankowego lub dane o innych źródłach finansowych - żadne z nich nie zostało wykorzystane - opis miejsca, w którym były widziane ostatni raz oraz pozostałe dane, mogące pomóc w odnalezieniu zaginionych albo wytypowanie sprawcy, który je uprowadził. W tym przypadku nosił on przydomek Chaber.

- Czy ten Tierney pasuje do profilu seryjnego przestępcy na tle seksualnym?

Chociaż nie ustalono jeszcze, że zaginione kobiety zostały wykorzystane fizycznie, taki był domniemany powód ich uprowadzenia.

- Tak, sir. Biały, samotnik. Żonaty raz, krótko. Obecnie rozwiedziony.

- Była żona?

- Ponownie wyszła za mąż.

- Co wiesz o ich małżeństwie i rozwodzie?

- Perkins nad tym pracuje.

- Mów dalej.

- Tierney ma czterdzieści jeden lat, amerykański paszport i prawo jazdy z Wirginii. Metr dziewięćdziesiąt wzrostu, osiemdziesiąt cztery kilo wagi, przynajmniej tyle miał dwa lata temu, kiedy odnawiał prawo jazdy. Brązowe włosy, błękitne oczy, brak zarostu, tatuaży czy widocznych blizn. Właściciel domku letniskowego twierdzi, że Tierney jest uprzejmy i niewymagający. Podobno daje napiwki sprzątacze, choć nie korzysta z jej usług. Ma jedną główną kartę kredytową. Używa jej do wszystkich zakupów i spłaca cały kredyt co miesiąc. Nie ma zadłużenia w banku ani problemów z IRA*. Prowadzi dzipa Cherokee najnowszy model. Rejestracja i ubezpieczenie są aktualne.

- Porządny obywatel. Prawdziwy skarb wśród ludzi.

Pomimo właśnie rzuconej uwagi Begley wiedział, że wygląd i postawa Tierneya mogły skrywać kryminalistę, psychotyka lub socjopatę. Pewna kobieta owdowiała sześciokrotnie, zanim ktoś wpadł na to, by zbadać ten dziwny zbieg okoliczności. Powiedziała potem, że zabijała mężów - każdego w innej, pomysłowy sposób, ponieważ uwielbiała aranżować pogrzeby. Była pulchna niczym paczuszek, ładna i sympatyczna

* Individual Retirement Account - indywidualne konto emerytalne (przyp. tłum.).

z wyglądu. Wyglądała na kogoś, kto nie skrzywdziłby nawet muchy.

Pewien mężczyzna w każde święta Bożego Narodzenia odgrywał Świętego Mikołaja w lokalnym centrum handlowym. Zawsze uśmiechnięty i uprzejmy, lubiany przez wszystkich, sadzał sobie dzieci na kolanach, wysłuchiwał ich gwiazdkowych życzeń, rozdawał cukierki, przypominał im, żeby były grzeczne i wybierał jedno z nich, aby następnie wykorzystać je seksualnie, pociąć ciało na kawałki i umieścić szczątki w gwiazdkowych skarpetkach na prezenty, które wieszał na kominku. Ho, ho, ho!

Nic już nie dziwiło Begleya, a zwłaszcza porwacz kobiet, który był uprzejmy, rozdawał hojne napiwki i płacił wszystkie rachunki o czasie.

- Co z przyjaciółmi? - spytał. - Czy ktokolwiek odwiedzał go w domku letniskowym?

- Nikt. Trzyma się na uboczu, że posłużę się słowami Gusa Elmera, właściciela obiektu.

Bengley wpatrzył się w zdjęcie Laureen Elliott, trzeciej zaginionej. Miała źle zrobioną twałą i słodki uśmiech. Jej samochód znaleziono opodal restauracji z grillem, pomiędzy kliniką, w której pracowała, a jej domem. Nie odebrała zamówionych przez telefon żeberek.

- Gdzie Tierney mieszka na stałe?

- Ma mieszkanie w Wirginii, ale rzadko tam bywa - odparł Sowa. - Dużo podróżuje.

- Wiemy dlaczego? - Bengley podszedł bliżej.

Sowa przegrzebał plik wydruków, które przyniósł ze sobą, i wyciągnął popularny magazyn o sportach na powietrzu.

- Strona trzydziesta siódma.

Begley sięgnął po czasopismo i otworzył we wskazanym miejscu, odnajdując artykuł o spływach kajakowych rzeką Kolorado.

- Jest wolnym strzelcem - wyjaśnił Sowa. - Wyjeżdża na pełne wrażeń wycieczki i wakacje, pisze o nich i sprzedaje artykuły do czasopism o odpowiednim profilu. Wspinaczki gór-

skie, piesze wycieczki, lotniarstwo, nurkowanie, jazda psimi zaprzęgami, cokolwiek by pan wymyślił, Ben Tierney na pewno już tego spróbował.

Z boku artykułu umieszczono fotografię dwóch mężczyzn stojących na kamienistej mieliźnie rzeki. Za ich plecami pieśniła się woda. Jeden z mężczyzn, brodaty, był zwalisty i miał znacznie mniej niż metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Podpis pod zdjęciem mówił, że to przewodnik. Drugi, uśmiechający się, pasował do opisu Tierneya. Szeroki, odsłaniający garnitur białych zębów uśmiech na szczupłej opalanej twarzy. Rozwiany włos. Łydki twarde niczym gładz, pięknie rzeźbione ramiona, płaski brzuch. *David* Michała Anioła w workowatych szortach.

- Kpisz sobie ze mnie? - Begley zmarszczył się gniewnie, spoglądając na Sowę. - Przecież kobiety muszą się na niego rzucać.

- Ted Bundy był również ulubieńcem kobiet, sir.

Begley prychnął, ale przyznał agentowi rację.

- Co z kobietami?

- Chodzi panu o bliższe związki?

- Cokolwiek.

- Jego sąsiedzi z Wirginii ledwie go znają, ponieważ rzadko tam bywa. Niemniej jak jeden mąż twierdzili, że nigdy nie widzieli, aby odwiedzała go jakaś kobieta.

- Takiego przystojnego kawalera? - spytał Begley.

- Może jest homoseksualistą - wzruszył ramionami Sowa. - Chociaż nic na to nie wskazuje.

- Może ma kochankę w jakimś innym miejscu - zaczął się zastanawiać Begley.

- Jeżeli tak, to jeszcze nie udało się nam znaleźć dowodu na jej istnienie. Nie odkryliśmy żadnego stałego czy choćby przelotnego związku. Jak powiedziałem, Tierney dużo podróżuje. Może po prostu wykorzystuje możliwość przelotnych romansów, kiedy nadarza się po temu okazja.

Begley się zamyślił. Seryjni gwałciciele i mordercy kobiet rzadko pozostawali w zdrowych, trwałych związkach. Zazwyczaj nienawidzili kobiet. W zależności od profilu psycholo-

gicznego przestępcy, wrogość ta mogła być uszpiona, dobrze ukryta lub otwarta. Ale zazwyczaj manifestowała się w brutalnych aktach przemocy wobec płci przeciwnej.

- No dobrze, zainteresowałeś mnie - rzucił. - Mam tylko nadzieję, że znalazłeś coś więcej.

Sowa ponownie przeszukał plik dokumentów.

- To fragmenty z dziennika Millicent Gunn - powiedział, wyciągając kartkę. - „Dzisiaj znowu spotkałam B.T., drugi raz w ciągu ostatnich trzech dni. Jest superfajny i zawsze bardzo miły dla mnie”. Słowo „bardzo” zostało podkreślone, sir. „On chyba mnie lubi. Zawsze ze mną rozmawia, chociaż jestem gruba”. To wpis zrobiony trzy dni przed jej zniknięciem. Rodzice Millicent twierdzą, że nie miała żadnego znajomego o inicjałach B.T. Oni sami nie znają nikogo takiego.

- Gruba?

- Tak naprawdę jest anorektyczką i bulimiczką.

Begley pokiwał głową, przypominając sobie wypis ze szpitala, w którym Millicent Gunn przebywała w zeszłym roku.

- Czy wiemy, gdzie spotkała się z tym B.T. dwa razy w przeciągu trzech dni?

- To właśnie naprowadziło mnie na trop Bena Tierneya. Pojechałem do Cleary, żeby sprawdzić, kim może być B.T. Najpierw poszedłem do liceum, ale to nic nie dało. Wszystkie B.T. okazały się dziewczynami. Drugie logiczne miejsce to praca Millicent. Pomaga w papierkowej robocie wujkowi, który prowadzi sklep. Sprzedaje narzędzia domowe i ogrodnicze, a do tego również... - przerwał i poprawił okulary. - Również sprzęt i odzież sportową.

Begley odwrócił się z powrotem do tablicy i zaczął przyglądać się fotografiom pięciu domniemanych ofiar. W zamyśleniu przygryzał dolną wargę.

- Czy Tierney był w Cleary, kiedy Torrie Lambert zniknęła ze szlaku? - zapytał, wpatrując się w zdjęcie pierwszej zaginionej.

- Nie wiem - przyznał Sowa. - Jak dotąd nie znaleźliśmy żadnego dowodu na jego obecność na miejscu w dniu jej upro-

wadzenia. Na pewno jednak pojawił się w mieście wkrótce po tym wydarzeniu. Mamy na to dowód, wpis w książce gości w ośrodku wypoczynkowym, w którym się zatrzymuje.

- Może po Torrie Lambert pomyślał, że w tej okolicy będzie miał dobre branie i od tamtego czasu zaczął wracać po więcej.

- To samo pomyślałem, sir.

- Tierney dużo podróżuje. Sprawdziłeś już, czy nie było jakichś przypadków zaginięć w innych miejscach, do których jeździł?

- Perkins nad tym pracuje.

- ViCAP, NCIC? - spytał Begley, nawiązując do baz danych wykorzystywanych powszechnie przez organy ochrony porządku publicznego.

- Nie. - Sowa przerwał na chwilę. - Nie znamy jednak wszystkich miejsc jego pobytu. Jeszcze. Musimy przejrzeć wszystkie jego wykazy bankowe, żeby dowiedzieć się, gdzie podróżował przez ostatnie kilka lat. Potem trzeba będzie sprawdzić wszystkie niewyjaśnione sprawy kryminalne we wszystkich tamtych miejscach. To żmudna robota i zajmuje dużo czasu.

- Czy był w okolicach Cleary, kiedy zaginęła Millicent Gunn?

- Zameldował się w ośrodku wypoczynkowym tydzień przed tym, jak rodzice zgłosili jej zniknięcie.

- Co o tym sądzą chłopcy z lokalnego wydziału?

- Nie podzieliliśmy się jeszcze z nimi tą informacją, sir.

- Zapytam inaczej. - Begley odwrócił się i spojrzał na Sowę. - Co sądzą o zajęciu się tą sprawą?

W rejonie Cleary była jeszcze jedna komórka biura, bliżej niż Charlotte. Trzydzieści miesięcy temu Sowę przeniesiono z niej do wydziału Begleya, ale śledztwo w sprawie przypuszczalnego uprowadzenia Torrie Lambert rozpoczęło się w tamtym departamencie.

- To moja sprawa, sir. Od samego początku. Tak właśnie sądzą ludzie z mojego wydziału i szczerze powiedziawszy,

wydają się dość zadowoleni, że się tym zajmę. Chciałbym dokończyć robotę, sir.

Begley wpatrywał się długo w fotografie umieszczone na korkowej tablicy. Nagle odwrócił się gwałtownie.

- Sowa, myślę, że powinniśmy się pofatygować do Cleary i porozmawiać z panem Tierneyem.

- My, sir?

- Od wieków nie pracowałem w terenie. - Begley spojrzął na ściany swojego biura, jakby nagle stały się jego więzieniem. - Dobrze mi to robi. Nie chcę, żeby w Cleary rozniosła się plotka, iż przyglądamy się Benowi Tierneyowi. - Podjąwszy decyzję, natychmiast zaczął planować działania. - Jak wytłumaczyłeś swoje zainteresowanie temu... jak mu tam... właścicielowi ośrodka wypoczynkowego?

- Gusowi Elmerowi? Powiedziałem mu, że Tierney został zgłoszony przez jego rodziną uczelnię do nagrody za działalność humanitarną i musimy przyjrzeć się wszystkim aspektom jego życia.

- Kupił tę bajeczkę?

- Pan Elmer ma trzy zęby na krzyż, sir.

Zamyślony Begley pokiwał głową, wyraźnie planując kolejne kroki.

- Tak długo, jak to możliwe, powinniśmy utrzymywać lokalny wydział policji w nieświadomości. Nie chcę, żeby zrobili się nadgorliwi i spieszyli sprawę, jeżeli nasz podejrzany okaże się Chabrem. Jak się nazywa ten idiota?

- Tierney.

- Nie ten idiota - odparł niecierpliwie Begley. - Mówię o komendancie policji w Cleary.

- Burton. Dutch Burton.

- Właśnie. Zdaje się, że ma jakąś przeszłość, tak?

- Przedtem pracował w wydziale zabójstw w Atlancie, sir - wyjaśnił Sowa. - Był znakomitym detektywem. Wyróżnienia, czysta karta, a potem wyraźnie postradał zmysły i zaczął tanzkować.

- Dlaczego?

- Problemy rodzinne, o ile pamiętam.

- Cokolwiek to było, wywalili go z pracy. Teraz sobie przypomniałem. - Begley zaczął zbierać swoje rzeczy, łącznie z komórką, fotografią trójki dzieci i żony, z którą pobrał się trzydzieści lat temu. Nie zapomniał oczywiście o Biblii. Potem zerwał płaszcz z wieszaka i włożył na siebie.

- Zabierz to wszystko ze sobą - wskazał na plik dokumentów ułożony na kolanach Sowy. - Poczytam je sobie w drodze do Cleary.

Sowa wstał i rzucił zaniepokojone spojrzenie za okno. Nad miastem zapadał już mrok.

- Chce pan... mamy jechać dziś wieczorem?

- Jedziemy natychmiast.

- Ale sir, pogoda.

„Lodołamacz” uderzył w niego pełną mocą. Sowa nie ugiął się wprawdzie pod spojrzeniem swego szefa, ale zanim przemówił, musiał oczyścić chrząknięciem gardło.

- Prognozy mówią o rekordowych temperaturach ujemnych, gołoledzi, opadach śniegu i ciężkiej zamieci, zwłaszcza w tym regionie kraju. Chce pan jechać prosto w piekło.

Begley wskazał palcem na tablicę.

- Chcesz się pobawić w zgadywanki, Sowa? - spytał. - Masz ochotę powymyślać, co się stało z tymi dziewczynami? Jakim torturom poddaje je ten psychol, zanim zabije? Tak, tak, wiem. Nie mamy pewności, że one nie żyją, ponieważ jeszcze nie znaleźliśmy ciał. Chciałbym wierzyć, że kiedyś odnajdziemy je żywe i zdrowe, ale pieprzę się z takimi sprawami od ponad trzydziestu lat. Spójrzmy prawdzie w oczy, Sowa. Wszystko, co pozostało z tych kobiet, które miały własne marzenia o przyszłości, przyjaciół i kochające rodziny, to kości. A teraz spójrz na ich fotografie na tej tablicy i powiedz mi szczerze, naprawdę masz ochotę dalej narzekać na pogodę? Hmm?

- Nie, sir.

- Tak myślałem - powiedział Begley, ruszając w kierunku drzwi.

*

Płynnym ruchem Tierney pozbył się czapki.

Teraz Lilly stała obok niego, przytrzymując ręcznik przytknięty do jego głowy. Po piętnastu minutach nadal krwawił z rany na głowie. Ręcznik niemal całkowicie przesiąkł krwią.

- Tego typu rany zawsze obficie krwawią - powiedział, kiedy wyraziła swój niepokój. - To bardzo ukrwiona część ciała.

- Masz świeży ręcznik - podała mu ściereczkę, sięgając po zakrwawiony prowizoryczny opatrunek. Tierney przytrzymał go jednak.

- Nie musisz tego dotykać. Sam zabiorę ręcznik do łazienki. Rozumiem, że jest gdzieś tam - wskazał na drzwi prowadzące do sypialni.

- Po prawej stronie.

- Opłuczę krew z włosów. Może zimna woda zatamuje nieco krwawienie.

Zataczając się jak pijany, powędrował w kierunku sypialni. W progę chwycił się framugi i odwrócił do Lilly.

- Wróć do napełniania wszystkich naczyń wodą. Wkrótce zamrzną rury, a będziemy potrzebować czegoś do picia.

Zniknął w pokoju, w którym chwilę później zapłonęło światło. Lilly zauważyła, że zostawił na framudze krwawy ślad.

Kiedy powiedział: „Dzięki Bogu, znów jestem tylko Tierneyem”, uśmiechnął się w zrelaksowany, swobodny sposób, który zapamiętała nader dobrze z ich poprzedniego spotkania latem. Wywołał w niej falę niepokoju, która wydała się teraz dziecinna i niemądra.

Lilly nie wiedziała o Tierneyu zbyt wiele, ale nie był jej zupełnie obcy. Spędziła z nim cały dzień. Rozmawiali wtedy, śmiali się. Od tamtej chwili zaczęła czytać jego artykuły i dowiedziała się, że jest cenionym eseistą, którego często się publikuje. Dlaczego więc zachowywała się teraz jak idiotka?

Po pierwsze, była to dziwaczna sytuacja. Przygody takie jak ta - niezwykle ekstremalne doświadczenia, o których pisywano w mediach - zdarzały się innym ludziom. Nigdy jej.

Tymczasem nagle znalazła się tutaj, w kuchni, która nie należała już do niej, miotając się w poszukiwaniu pojemników na niezbędną do przeżycia wodę. W pomieszczeniu obok przebywał mężczyzna, którego ledwie znała, a z którym została uwięziona pod jednym dachem być może na kilka dni. Musiała przyznać, że gdyby Tierney nie był aż tak atrakcyjny i męski, prawdopodobnie nie przejmowałaby się tym faktem. Gdyby tamten letni dzień nad rzeką nigdy się nie wydarzył, przebywanie razem w zamknięciu nie wydawałoby się aż tak kuriozalne.

- Nadal mamy wodę?

Podskoczyła lekko, słysząc Tierneya tuż za plecami.

- Tak, na szczęście. - Odwróciła się od zlewu, przy którym stała, napełniając wodą kolejny garnek, a on stał obok, z ręcznikiem przytkniętym do głowy. Miał mokre włosy. - Jak twoja rana?

- Bolała, kiedy puściłem na nią strumień wody. Częściowo dlatego, że woda była potwornie zimna. Myślę, że dzięki temu trochę się znieczuliła. - Odjął od głowy ręcznik, ubrudzony świeżą krwią. Było jej jednak nieco mniej niż poprzednio. - Pomogło również na krwawienie. Czy mogłabyś spojrzeć, jak to wygląda?

- Sama miałam to właśnie zaproponować.

Usiadł okrakiem na jednym z krzeseł barowych, tyłem do niej. Lilly położyła na blacie zestaw pierwszej pomocy, potem stanęła za Tierneyem i, po chwili wahania, delikatnie rozsunęła jego włosy porastające nasadę czaszki.

- I co? - spytał.

Rana była długa, szeroka i głęboka. Jej niedoświadczonym oczom wydała się poważna. Z sykiem wypuściła powietrze przez przymknięte usta.

- Aż tak źle? - zaśmiał się Tierney.

- Widziałeś kiedyś przejrziałe melony z popękana skórą?

- Au!

- Jest bardzo spuchnięta.

- Tak, wiem. Czułem to, kiedy ją przemywałem.

- Powinieneś mieć założone szwy. Na moje oko, z tuzin. -
Chwyciła róg ręcznika, który Tierney zarzucił na szyję, i deli-
katnie przetarła ranę. - Na szczęście najsilniejsze krwawienie
już ustało.

W podręcznej apteczce były tylko cztery opatrunki anty-
septyczne, każdy zapakowany osobno w sterylną paczkę. Lilly
otworzyła jedną z nich i wyciągnęła kwadratowy gazik, nie
większy niż krakers, nasączony antybakteryjnym płynem. Po
zapachu płynu domyśliła się, że rana będzie szczypała. Sama
myśl o przytknięciu gazy do rozcięcia na głowie Tierneya wy-
wołała u niej mdłości.

- Przygotuj się, to nie będzie przyjemne - powiedziała,
niepewna czy ostrzeża Tierneya, czy siebie.

Mężczyzna chwycił mocno oparcie stołka i oparł brodę na
dłoniach.

- Gotowy.

Gdy przyłożyła gazę do rany, podskoczył z bólu, gwałtow-
nie łapiąc powietrze. W nadziei odwrócenia jego uwagi od za-
biegu, Lilly zaczęła mówić.

- Dziwię się, że nie miałeś podręcznej apteczki w plecaku.
W końcu masz takie doświadczenie w górskich wędrów-
kach. - Tierney porzucił plecak na podłodze zaraz po przyby-
ciu do chaty. Od tamtej chwili nawet do niego nie zajrzał. We-
pchnął go pod stół, żeby nie przeszkadzał im w poruszaniu się
po domu.

- Poważne niedopatrzenie. Następnym razem na pewno
o tym nie zapomnę.

- Masz tam coś jeszcze? - spytała.

- Na przykład co?

- Coś przydatnego.

- Nie. Dzisiaj akurat nie miałem ze sobą zbyt wiele. Bato-
nik, butelka wody, jedno i drugie już spożyłem.

- W takim razie po co ciągnąłeś to ze sobą?

- Słucham?

- Plecak. Skoro nie ma w nim niczego przydatnego, dla-
czego go ze sobą wzięłeś?

- Nie myśl sobie, że jestem mięczakiem, ale kiedy skończysz odkażanie? Piecze jak jasna cholera.

Podmuchała lekko na ranę, a potem odsunęła się i przyjrzała jej się uważnie.

- Całe rozcięcie posmarowałam antyseptykiem. Wygląda mi na zaognione.

- Mam podobne odczucie. - Tierney wziął do ręki podręczną apteczkę i sprawdził jej zawartość.

- Zagramy w marynarza o aspirynę? - spytał.

- Jest twoja.

- Dzięki. Masz tu gdzieś podróżny przyborek do szycia? Takie pudełeczko przydatne w nagłych wypadkach, kiedy na przykład odpadnie guzik.

- Proszę, nie każ mi tego robić - odparła Lilly, domyślając się, o co mu chodzi.

- Czego?

- Zszyć rany.

- Nie zrobiłabyś tego?

- Nie mam przybornika.

- Szczęściara. Nożyczki do manicure?

- Tak.

Tierney połknął dwie tabletki aspiryny, Lilly zaś w tym czasie wyjęła kosmetyczkę z torebki i wyciągnęła z niej parę małych nożyczek.

- Dobrze - rzucił. - Tak przy okazji, garnek jest już pełny.

Lilly podstawiła pod kran plastikowy dzbanek. W tym czasie Tierney zerwał opakowanie z plastra z opatrunkiem.

- Potniemy go na kawałki i pozaklejamy nimi ranę. Wprawdzie to nie szwy, ale zawsze trochę pomoże nieco zasklepić rozcięcie.

Jego palce nie mieściły się w uchwytach malutkich nożyczek.

- Pozwól, że ja to zrobię. - Wyjęła mu z rąk plaster i pościęła na wąskie paski, którymi następnie zakleiła ranę tak, jak jej polecił. - Już prawie nie krwawi - zauważyła po skończeniu roboty.

- Owiń mi głowę jednym z bandaży.
- Spełniła jego polecenie tak delikatnie, jak tylko potrafiła.
- Kiedy będziemy zdejmować opatrunek, zapewne wyrwiemy ci przy okazji włosy.
- Przeżyję - odparł, po czym dodał ciszej: - mam nadzieję.

7

- Dlaczego to powiedziałeś? - spytała Lilly, zaskoczona jego ponurym nastrojem. - Czy masz jakieś obrażenia, o których nie wiem?

- Możliwe. Cała lewa strona mojego ciała jest posiniaczona i obolała. Żebra rwą mnie tak, jakby ktoś próbował je ścisnąć żelaznymi szczypcami. Mimo to nie sądzę, żebym miał jakieś złamanie.

- To chyba dobrze, prawda?

- Tak, ale coś w środku mogło pęknąć. Nerki, wątroba, śledziona.

- Chyba poczułbyś wewnętrzne krwawienie, prawda?

- Tak się tylko wydaje. Słyszałem, że ludzie potrafią umrzeć od krwotoku wewnętrznego, zanim zostanie odkryty. Jeżeli mój brzuch zacznie nagle puchnąć niczym balon, będzie to wyraźna oznaka, że zaczyna się wypełniać krwią.

- Czy zauważyłeś coś takiego?

- Nie.

Lilly przygryzła dolną wargę.

- Jeżeli masz krwotok wewnętrzny, to czy powinieneś brać aspirynę?

- Wolałem zaryzykować, zwłaszcza przy takim bólu głowy. - Tierney zsunął się z barowego krzesła, podszedł do zlewu i wyjął spod kranu napełniony wodą plastikowy dzban. - Zakładając, że przeżyję, będziemy potrzebowali wody pitnej na bliżej niesprecyzowany czas. Masz jeszcze jakieś pojemniki?

Razem przeszukali domek, wypełniając wodą wszystko, co się do tego nadało.

- Szkoda, że masz tutaj tylko prysznic - rzekł Tierney. - Moglibyśmy wykorzystać wannę.

Po napełnieniu garnków, misek, a nawet wiadra służącego do zmywania podłogi, zaczęli się zastanawiać nad innymi istotnymi sprawami.

- Skąd czerpicie gaz? - spytał Tierney.

- Propan. Mamy podziemny zbiornik.

- Kiedy wypełniliście go ostatni raz?

- O ile pamiętam, zeszłej zimy. Ponieważ zamierzałam sprzedać to miejsce, nie chciałam w tym roku dopełniać zbiornika i o ile wiem, Dutch również o to nie zadbał.

- Tak więc zapas może się w każdej chwili skończyć.

- Bardzo możliwe. Wszystko zależy od tego, ile zużyliśmy gazu, kiedy byliśmy tu razem z Dutchem.

- Kiedy to było?

- Kilka miesięcy temu. I w zeszłym tygodniu.

- Zatrzymałaś się tu na czas twojego pobytu?

- Tak.

- Dutch też?

Nagle temat rozmowy zmienił się na coś zgoła innego.

- To niewłaściwe pytanie, Tierney.

- To znaczy, że tu zostałeś?

- Jeśli chcesz wiedzieć, to nie - odpowiedziała z irytacją w głosie.

Spoglądał jej w oczy przez kilka długich chwil, a potem odwrócił się i podszedł do zamontowanego na ścianie termostatu.

- Ustawię go na niższą temperaturę. W ten sposób propanu wystarczy na dłużej. Zgadzasz się?

- Oczywiście.

- Jeżeli zbiornik się opróżni, będziemy musieli polegać wyłącznie na kominku. Mam nadzieję, że jest tu więcej drewna niż to na ganku.

Lilly nie spodobała się zawołowana sugestia, że nadal sy-

pie z swoim byłym mężem, ale w sytuacji, kiedy byli tu uwięzieni nie wiadomo na jak długo, nie było miejsca na gniew. Postanowiła więc to przemilczeć.

- Mamy więcej drewna w szopie - odparła, machając ręką w kierunku pomieszczenia. - Prowadzi tam ścieżka przez...

- Wiem, gdzie to jest.

- Szopa? Jakim cudem? - Mała drewnutnia z impregnowanego drewna została zbudowana w takim miejscu, żeby nie było jej widać ani z drogi, ani z domu. Wtapiała się w tło i była właściwie niewidoczna. Tak się przynajmniej Lilly wydawało.

- Skąd wiedziałeś o tym miejscu, Tierney?

- Opowiedziałeś mi o nim zeszłego lata.

Pamiętała dobrze, co mu powiedziała, ponieważ od tamtej chwili powtarzała sobie ich rozmowę w myśli tysiące razy.

- Napomknęłam tylko, że mam w okolicy górską chatę. Nie powiedziałam, gdzie jest.

- To prawda.

- Skąd zatem znałeś drogę?

Spojrzał na nią.

- Wędrowałem po okolicznych szlakach. Pewnego dnia wyszedłem prosto na twój domek i drewnutnię, nie zdając sobie sprawy, że to teren prywatny. Zapewne złamałem prawo, ale niechący. Zobaczyłem tabliczkę „Na sprzedaż”, a ponieważ spodobało mi się to miejsce, skontaktowałem się z pośrednikiem. Dowiedziałem się, że dom należy do ciebie i twojego męża, ale ponieważ się rozwodzicie, chcecie go sprzedać. - Uniósł ręce. - W taki sposób dowiedziałem się, gdzie leży twoja górská chata. - Spojrzał na nią wzrokiem, który zniechęcał do dalszych pytań. - A teraz powiedz mi, ile jest drewna w szopie. Sag?

Lilly nie była zachwycona, że Tierney tyle o niej wiedział. Z drugiej strony, nie widziała żadnej korzyści w roztrząsaniu tej sprawy. Wprowadziłoby to jedynie między nimi dodatkowe napięcie.

- Nie aż tyle - odparła.

- Mam nadzieję, że ktoś nas uratuje, zanim będziemy zmuszeni porąbać i spalić wszystkie meble.

- Jak myślisz, czy to długo potrwa? Mam na myśli oczekiwanie na pomoc.

Tierney usiadł na sofie i oparł głowę na ubrudzonym krwią oparciu, teraz przykrytym ręcznikiem.

- Prawdopodobnie nie przybędą tu jutro. Może pojutrze, w zależności od siły zamieci, opadów śniegu i stopnia zlodowacenia nawierzchni. Może trzeba będzie poczekać dłużej.

Lilly przypomniała sobie zimę sprzed dwóch lat, kiedy zamieć śnieżna zamknęła drogi górskie na wiele dni. Ludzie mieszkający w odległych miejscach zostali uwięzieni w domach bez elektryczności, ponieważ burza pozrywała trakcje. W niektórych przypadkach niezbędne naprawy i powrót do normalnego funkcjonowania zajęły całe tygodnie. Zamieć, która teraz szalała na dworze, była zdecydowanie gorsza i dłuższa niż ta sprzed dwóch lat.

Lilly usiadła na drugiej kanapie i przykryła nogi narzutą. Cieszyła się w duchu, że Tierney pomyślał o zabranii dodatkowych skarpetek. Przemoczoną parę powiesiła na oparciu jednego z krzeseł barowych. Nogawki jej spodni nadal były wilgotne, ale dopóki miała suche i względnie ciepłe stopy, nie stanowiło to wielkiego problemu.

- Na jaką temperaturę ustawiłeś termostat? - spytała.

- Piętnaście stopni.

- Hmm...

- Zdaję sobie sprawę, że to niezbyt wysoka temperatura - powiedział. - Powinnaś włożyć dodatkowy golf, żeby nie zmarznąć.

Pokiwała głową, ale nie ruszyła się z miejsca.

- Jak myślisz, ile jest teraz stopni na zewnątrz?

- Na pewno dużo poniżej zera - odparł bez zastanowienia.

- Zatem nie zamierzam narzekać na piętnaście stopni w domu. Miło by było rozpaścić ogień w kominku.

- Owszem, ale szczerze mówiąc...

- Nie, nie. Masz rację, powinniśmy oszczędzać drewno.

To było po prostu moje pobożne życzenie. Uwielbiam siedzieć przy kominku. To takie nastrojowe.

- Ja też.
- Cały pokój staje się wtedy przytulniejszy.
- Uhm.
- Jesteś głodny? - spytała po chwili milczenia.
- Nadal odczuwam lekkie mdłości, ale jeśli ty jesteś głodna, nie sil się na uprzejmość. Zjedz coś.
- Tak naprawdę wcale nie jestem głodna.
- Nie musisz mi dotrzymywać towarzystwa. Na pewno nie zasną, więc jeśli jesteś zmęczona ...
- Nie jestem.

Nie zamierzała położyć się spać i ryzykować, że w tym czasie Tierney straci przytomność albo zapadnie w śpiączkę. Powinien czuwać jeszcze przez kilka kolejnych godzin, zanim będzie mógł odpocząć bez ryzyka. Poza tym, spała dziś po południu wystarczająco długo, żeby teraz dotrzymać mu towarzystwa.

Tak naprawdę zaczęła zadawać te pytania, aby wypełnić ciszę. Teraz, kiedy zamilkli, jedynymi dźwiękami były wycie wiatru za oknami, stukanie gałęzi drzew o okap i miarowe uderzenia zmarzniętych kropli deszczu ze śniegiem w dach. Oboje rozglądali się po pokoju, ogołoconym ze wszystkiego poza meblami. Nie było na czym zatrzymać wzroku, dlatego w końcu spojrzeli na siebie. Kiedy ich oczy się spotkały, pustka pokoju zamknęła się wokół nich, tworząc pełną napięcia atmosferę intymności.

Lilly pierwsza odwróciła wzrok. Zauważyła komórkę, leżącą na stoliku pomiędzy dwoma sofami.

- Jeżeli Dutch dostał moją wiadomość, na pewno zrobi wszystko, żeby kogoś tu przysłać.
- Nie powinienem mówić tego, co powiedziałem. O was spędzających tu razem noc.

Machnęła ręką, pokazując, że jego przeprosiny są najzupełniej zbędne.

- Po prostu chciałbym wiedzieć, jak bardzo jesteś nadal zaangażowana w ten związek, Lilly.

Zaprzęła zapytać, skąd ta ciekawość, ale postanowiła wyjaśnić sprawę spokojnie, raz na zawsze. Bo Tierney najwyraźniej zamierzał poruszać temat tak długo, aż wreszcie uzyska odpowiedź.

- Zadzwoiłam dzisiaj do Dutcha, ponieważ jest szefem policji, a nie z powodu jakiegokolwiek zaangażowania emocjonalnego. Nasze małżeństwo to przeszłość, ale nie zostawiłby mnie tutaj na pewną śmierć, podobnie jak ja nie odwróciłabym się do niego plecami, gdyby zagrożone było jego życie. Jeżeli to możliwe, na pewno przyjdzie nam z pomocą.

- Tobie tak, ale nie sądzę, żeby spieszył się z ratowaniem mnie - odparł Tierney.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Ponieważ mnie nie lubi.

- Zapytam jeszcze raz, dlaczego tak sądzisz?

- Nie tyle chodzi o to, co zrobił, ile czego nie zrobił. Wpadłem na niego kilkakrotnie przy różnych okazjach i nigdy nie zadał sobie trudu, żeby się przywitać czy przedstawić.

- Może nie było po temu odpowiedniej okazji.

- Nie. Myślę, że jest w tym coś więcej.

- Na przykład co?

- Przede wszystkim jestem obcym, a więc z założenia kimś, komu nie można ufać, ponieważ nie mam tu korzeni sięgających siedmiu pokoleń wstecz.

Lilly się uśmiechnęła. Tierney doskonale uchwycił tutejsze podejście do przybyszów z innych miast.

- Tubylcy potrafią rzeczywiście być dość nieufni w stosunku do przybyszy.

- Jestem tu wprawdzie tylko gościem, ale pojawiając się w okolicach na tyle często, że niektórzy ludzie znają moje nazwisko i zamieniają ze mną kilka słów. Witają mnie, pytają o zdrowie i tym podobne. Ale ilekroć pojawiając się w restauracji u Ritta, żeby wypić poranną kawę, nadal spędzam czas sa-

motnie przy barze. Nigdy nie zostałem zaproszony do żadnego ze stolików, przy których codziennie przesiadują starzy bywalcy. Dutch Burton, Wes Hamer i kilku innych, którzy tu wyrosli. To bardzo zamknięty krąg. Nie to, że chciałbym zostać przyjęty do ich paczki, ale nigdy nie zadali sobie nawet tyle trudu, żeby się przywitać.

- W takim razie przepraszam cię w ich imieniu.

- Wierz mi, to nie jest takie ważne. Zastanawiałem się jednak... - przerwał z wahaniem.

- Nad czym?

- Zastanawiałem się czy... to nie dlatego, że mogłaś o mnie wspomnieć Dutchowi.

Lilly opuściła głowę.

- Nie. To znaczy nie wspominałam o tobie aż do wczoraj.

Tierney nie zareagował, więc po dłuższym milczeniu pozuła, że musi przerwać milczenie.

- Byłam zaskoczona, widząc cię w mieście. Myślałam, że wyczerpałeś już w tej okolicy wszelkie ciekawe tematy do swoich artykułów.

- To nie nowe tematy do artykułów przyciągają mnie w te okolice, Lilly.

Przynęta, jaką rzucił, była niebezpieczna, ale bardzo kusząca, nie do odparcia. Lilly podniosła głowę i spojrzała na niego.

- Sprzedałem artykuł o spływie kajakowym - powiedział.

- Wiem. Czytałem go.

- Naprawdę? - spytał, wyraźnie ucieszony.

- Czasopismo specjalizujące się w sportach wodnych i mój magazyn mają tego samego wydawcę. Zawsze dostaję darmowe egzemplarze obu. Przeglądałam pismo sportowe i dostrzegłam twoje nazwisko pod tytułem artykułu. - Tak naprawdę od miesiąca przeglądała wszelkie magazyny tematyczne, zastanawiając się, czy Tierney napisał i sprzedał do któregoś z nich swój opis spływu kajakowego. - Świetny esej.

- Dzięki.

- Naprawdę. Wspaniałe, żywe opisy, doskonale oddające

wszelkie emocje, których doświadczyliśmy. Doskonały tytuł: Żywiółowa Francuska Damulka*. Przyciąga wzrok.

- Pomyślałem, że zainteresuje tych, którzy nie znają się na rzeczy - wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Trzeba przeczytać cały artykuł, żeby dowiedzieć się, iż to właściwie nazwa rzeki.

- To był wspaniały artykuł.

- To był wspaniały dzień - odparł niskim, chrapliwym głosem.

Zeszłego lata, na początku czerwca spotkali się w grupie dwunastu osób, które zapisały się na jednodniowy spływ kajakowy górską rzeką. Zobaczyli się w autobusie, który miał przetransportować wszystkich kilka kilometrów w górę rzeki, gdzie rozpoczęli szaleńczy spływ.

Tak samo doświadczeni, zaprzyjaźnili się naturalną koleją rzeczy, zwłaszcza gdy odkryli, że ich kariery były, jak to określił Tierney, pokrewne. On był niezależnym dziennikarzem, ona zaś wydawcą czasopisma kobiecego.

Kiedy grupa zeszła na brzeg, żeby spożyć lunch, oddzielili się od reszty i usiedli razem na wielkim głazie, zawieszonym nad rwącym nurtem rzeki.

- Dyrektor naczelny? - wykrzyknął, kiedy zdradziła mu swoją pozycję zawodową.

- Od niemal trzech lat.

- Jestem pod wrażeniem. To bardzo gustowne czasopismo.

- Zaczęliśmy je publikować jako magazyn dla mieszkanek stanów południowych. Teraz rozchodzi się po całych Stanach i z każdym numerem rośnie zapotrzebowanie na większy nakład.

„Smart” zawierał artykuły o urządzaniu domu, modzie, jedzeniu i podróżach. Docelowym czytelnikiem były kobiety, które chciały połączyć karierę i dom w harmonijną całość. W magazynie można było przeczytać o tym, jak zmienić obiad na wynos w szykowną kolację, doprawiając potrawy kilkoma

* Nieprzetłumaczalna gra słów: French Broad, z ang. francuska damulka, to nazwa rzeki (przyp. tłum.).

własnymi przyprawami i podając na prawdziwej porcelanie, i o tym, jakie nowe fasony butów będą modne w nadchodzącym sezonie.

- Oczywiście nie wykluczamy z grona czytelników gospodyń domowych - dodała Lilly. - Koncentrujemy się jednak na kobietach, które chcą odnieść sukces w życiu zawodowym, a jednocześnie zaplanować rodzinne wakacje i wydać wystawny obiad dla niespodziewanych gości.

- Czy to w ogóle możliwe?

- Dowiesz się tego z czerwcowego numeru.

Śmiejąc się, wzniosł wodą mineralną toast za jej sukces. Słońce przygrzewało przyjemnie i ich rozmowa stała się bardzo swobodna. Dobrze się czuli w swoim towarzystwie i gdy przyszedł czas na kontynuowanie spływu, z niechęcią wsiedli do kajaków, chociaż doskonale się bawili na wodzie.

Przez całe popołudnie gawędzili ze sobą przy każdej nadarzającej się okazji, chociaż musieli się koncentrować na pokonywaniu przeszkód na rzece. Nieustannie jednak byli świadomi swojej obecności. Komunikowali się za pomocą uśmiechów i gestów. Wzajemne uznanie dla umiejętności pozwoliło im na wymianę ironicznych, lecz niezłośliwych komentarzy, gdy jedno lub drugie zaliczyło wywrotkę.

Kiedy Lilly odkryła, że nie wzięła kremu ochronnego z filtrem, Tierney zaoferował jej swój. Podzielił się nim jednak również z dwiema licealistkami, które flirtowały z nim bezwstydnie i przez cały dzień robiły wszystko, żeby przyciągnąć jego uwagę.

Kiedy dotarli do miejsca, w którym zostawili samochody, Lilly poszła swoją drogą, a on swoją, jednak po włączeniu silnika w swoim cherokee podbiegł do jej wozu.

- Gdzie się zatrzymałaś?

- W Cleary. Spędzam tam większość weekendów. W mojej górskiej chacie.

- Cudownie.

- Też tak sędzę.

Zatrzymał się przy nich dżip z dwiema licealistkami.

- Do zobaczenia później, Tierney - powiedziała dziewczyna siedząca za kierownicą.

- Tak, jasne.

- Pamiętasz, gdzie to jest? - spytała jej koleżanka.

Tierney stuknął się w głowę.

- Zapisane na twardym dysku.

Ignorując Lilly i uśmiechając się do niego konspiracyjnie, licealistki odjechały, podnosząc tuman kurzu. Tierney pomachał im na pożegnanie i pokręcił głową.

- Dwie balangowiczki proszące się o kłopoty - rzekł, odwracając się do Lilly z uśmiechem. - Moja męska duma na tym ucierpi, ale muszę przyznać, że byłaś *znacznie lepsza na ostatniej czwórce*.

- Dziękuję bardzo. - Udała, że dyga. - Z ust kogoś tak uzdolnionego jak ty to prawdziwy komplement.

- Powinniśmy to uczcić drinkiem. Możemy się gdzieś spotkać?

Lilly kiwnęła głową w kierunku, w którym odjechały dwie licealistki.

- Myślałam, że masz już plany na wieczór.

- Owszem - odparł. - Chciałem się z tobą umówić.

Uśmiech powoli zniknął z jej twarzy. Zająła się szukaniem kluczy do samochodu.

- Dziękuję za zaproszenie, Tierney, ale muszę już jechać.

- Och. W takim razie może jutro wieczorem?

- Przykro mi, ale nie mogę. - Zaczerpnęła powietrza w płuća i spojrzała mu prosto w oczy. - Jestem zaproszona z moim mężem na obiad.

Uśmiech mu zrzędł. Nie, zniknął niczym zdmuchnięty.

- Jesteś zamężna - raczej stwierdził, niż zapytał.

Kiwnęła głową.

Tierney spojrzał na jej serdeczny palec, na którym nie było obrączki. Na jego twarzy malowała się konsternacja pomieszana z rozczarowaniem. A potem przez nieskończenie długą chwilę patrzyli sobie w oczy. Nie mówili nic, porozumiewając się jedynie wzrokiem. Wydłużające się w świetle zachodzące-

go słońca cienie drzew padały na ich rozczarowane, smutne twarze. Wreszcie Lilly wyciągnęła rękę na pożegnanie.

- Cudownie było cię poznać, Tierney - powiedziała.

- Ciebie również - uścisnął jej dłoń.

- Będę czytała twoje artykuły - obiecała, wsiadając do samochodu.

- Lilly...

- Do widzenia. Wszystkiego dobrego. - Szybko zamknęła drzwi i odjechała, zanim zdołał powiedzieć coś więcej.

To wtedy widzieli się ostatni raz. Aż do wczoraj, gdy zobaczyła go w centrum Cleary. Szła wtedy chodnikiem na Main Street. Zatrzymała się nagle w miejscu tak gwałtownie, że idący z tyłu Dutch wpadł na nią.

- Na co tak patrzysz?

Tierney był po drugiej stronie ulicy. Wsiadał właśnie do swojego cherokee, kiedy ją dostrzegł. Zatrzymał się w pół ruchu. Ich spojrzenia skrzyżowały się i przez dłuższy czas patrzyli na siebie bez ruchu.

- Na Bena Tierneya - odpowiedziała automatycznie na pytanie Dutcha. A może po prostu chciała wypowiedzieć na głos nazwisko, które przez ostatnie osiem miesięcy powtarzała w myślach setki razy. Dutch podążył za jej wzrokiem na drugą stronę ulicy. Tierney nadal trwał nieruchomo, z jedną nogą w samochodzie, i patrzył na Lilly, jakby czekał na sygnał, co ma zrobić.

- Znasz tego gościa? - spytał Dutch.

- Spotkałam go zeszłego lata, tego dnia, kiedy pojechałam na spływ na French Broad. Był ze mną w grupie.

Dutch otworzył drzwi prowadzące do biura prawnika, z którym umówili się na podpisanie dokumentów sprzedaży ich górskiego domu.

- Jesteśmy już spóźnieni - rzekł, gestem ponaglając ją do wejścia.

Pół godziny później, kiedy wyszli z biura, Lilly uświadomiła sobie, że rozgląda się po ulicy w poszukiwaniu czarnego dzipa. Tak bardzo chciała się wtedy przywitać z Tierneyem,

może nawet zamienić kilka słów, ale nigdzie nie dostrzegła ani jego, ani jego wozu. Tymczasem teraz, kiedy siedział zaledwie metr od niej, nie mogła się przemóc, żeby na niego spojrzeć, nie mówiąc o tym, że nie wiedziała, co powiedzieć.

Czując na sobie jego spojrzenie, odwzajemniła je.

- Od tamtego spotkania na rzece kilkakrotnie dzwoniłem do twojego biura w Atlancie - wyznał.

- Nie sądzę, żeby twoje artykuły odpowiadały moim czytelnikom.

- Nie chodziło mi o sprzedaż artykułów.

Odwróciła głowę i wpatrzyła się w pusty kominek. Rano wymiotła z niego cały popiół. Teraz miała wrażenie, że od tego czasu upłynęły całe wieki.

- Wiem, dlaczego dzwoniłeś - rzekła cicho. - Dlatego właśnie nie mogłam z tobą rozmawiać. Z tego samego powodu nie mogłam się również z tobą umówić na drinka po wycieczce kajakowej. Byłam mężatką.

Tierney wstał, obszedł stół oddzielający dwie kanapy i usiadł obok niej, zmuszając ją, by spojrzała mu prosto w oczy.

- Teraz już nie jesteś - powiedział.

William Ritt uśmiechnął się do siostry, która zbierała właśnie ze stołu brudne naczynia.

- Dziękuję, Marilee. To duszone mięso było wyśmienite.

- Cieszę się, że ci smakowało.

- Myślałem o wprowadzeniu do menu na lunch różnych dań specjalnych, innych na każdy dzień tygodnia. W środę pulpet, w piątek kotleciki z krabów. Czy podzieliłabyś się z Lindą swoim przepisem na duszone mięso?

- To przepis mamy.

- Och, no cóż. Nie sądzę, żeby matka miała w tym względzie cokolwiek do powiedzenia, prawda?

Dla kogokolwiek innego te słowa mogły się wydać nadmiernie szorstkie, ale Marilee wiedziała, dlaczego William wykazuje taki brak wrażliwości i zupełnie go za to nie winała.

Ich rodzice odeszli z tego świata, ale nikt za nimi nie tęsknił. Jedno z nich przez całe życie kompletnie nie interesowało się rodziną, drugie zaś cechował nadmierny egoizm. Traktowanie swojego potomstwa z miłością i przywiązaniem było dla nich obojga pustym pojęciem.

Ojciec Williama i Marilee był surowym i mało mównym mężczyzną. Z zawodu mechanik, codziennie wstawał przed wschodem słońca, aby dotrzeć na czas z ich oddalonego górskiego domu do miejskiego warsztatu samochodowego, w którym pracował. Wracał na kolację, którą metodycznie pochłaniał. Odpowiadał mrukliwie na zadawane pytania, poza tym z jego ust padały wyłącznie słowa krytyki i reprimendy. Po kolacji brał kąpiel i szedł do sypialni, odcinając się całkowicie od swojej rodziny.

Marilee nie pamiętała, żeby cieszyło go cokolwiek poza uprawianiem ogródka warzywnego, który zakładał od nowa każdej wiosny. Miała siedem lat, kiedy ojciec przyłapał jej oswojonego królika na podgryzaniu kapusty. Na oczach córki skręcił zwierzątku kark, a potem kazał matce przyrządzić z niego obiad. Kiedy umarł na atak serca w trakcie okopywania grządki z cebulą, Marilee uznała to za sprawiedliwość dziejową.

Ich matka była hipochondryczką i marudą, która za plecami męża nazywała go nieokrzesanym prostakiem. Przez cztery lata ich małżeństwa robiła co w jej mocy, aby wszyscy wiedzieli, że wyszła za mąż za człowieka dużo niższego stanem. Nie obchodził jej nikt i nic poza własnym niezczęściem.

Kiedy pogarszający się stan zdrowia praktycznie przykuł ją do łóżka, Marilee, wówczas uczennica liceum w Cleary, wzięła półroczny urlop, aby się nią zajmować. Pewnego dnia, kiedy usiłowała obudzić matkę, zorientowała się, że ta umarła we śnie. Później, gdy ksiądz usiłował pocieszać ją stekiem frazesów, Marilee myślała jedynie o tym, że kobieta tak zgorzkniała i egocentryczna jak matka nie zasłużyła na równie spokojną śmierć.

Dzieci owych emocjonalnie upośledzonych ludzi od wczesnego dzieciństwa nauczyły się samodzielności. Ich rodzinny dom stał na zachodnim zboczu Cleary Peak, z dala od miasta, odizolowany od posesji reszty mieszkańców okolicy, których dzieci bawiły się razem. Rodzice Marilee i Williama nie posiadali żadnych zdolności socjalnych, a zatem nie mogli ich przekazać swoim dzieciom, które dopiero w szkole, z ogromnym trudem nauczyły się normalnych zachowań.

William był dobrym uczniem, jego wysiłki nagradzano doskonałymi świadectwami szkolnymi i wyróżnieniami za osiągnięcia w nauce. Z taką samą determinacją, z jaką podchodził do nauki, usiłował zdobyć przyjaciół, ale jego nadgorliwość zazwyczaj odnosiła zgoła przeciwny skutek.

Marilee znalazła w książkach to, czego brakowało jej w życiu. William, starszy od niej o kilka lat, nauczył się czytać jako pierwszy. Marilee zmusiła go, by przekazał jej tę wiedzę i już jako pięciolatka czytywała literaturę, która byłaby wyzwaniem dla niektórych dorosłych.

Z wyjątkiem kilku lat spędzonych na uniwersytecie, zawsze mieszkali razem. Po śmierci matki William zdecydował, że czas na przeprowadzkę do miasta. Nigdy nie przeszłoby mu przez myśl, że Marilee mogła mieć własne plany. Ona również nie pomyślała, żeby zacząć żyć na własną rękę. Tak naprawdę cieszyła się na myśl o opuszczeniu brzydkiego, ponurego domostwa na wzgórzu, które przywodziło jedynie przykre wspomnienia.

Kupili mały, przytulny domek na cichej ulicy, Marilee stworzyła tam wygodne, przytulne gniazdko, pełne kolorów, światła i roślin doniczkowych, których zawsze brakowało w domu rodziców. Kiedy jednak w oknie zawisła ostatnia zasłona i zostały urządzone wszystkie pokoje, zdała sobie sprawę, że nie zmieniło się nic poza otoczeniem. Jej życie nie stało się bardziej ekscytujące, nie pojawiły się w nim żadne nowe wyzwania. Codziennosc stała się ładniejsza, lepiej zorganizowana, ale w gruncie rzeczy była nadal taka sama.

Jeśli chodziło o ich dom rodzinny, Marilee chętnie by go

sprzedała albo pozwoliła, by się rozpadł, ale William miał inny pomysł.

- Przez tę pogodę będziesz musiał przerwać na jakiś czas pracę nad domem - zauważyła, wycierając stół wilgotną ściereczką. Zgarnęła okruszki chleba z mąki kukurydzianej na brzeg stołu, a stamtąd na otwartą dłoń.

- To prawda - odparł jej brat zza gazety. - Minie zapewne kilka dni, zanim ktokolwiek zdoła przejechać główną drogą, co dopiero bocznymi, jak ta prowadząca do naszego miejsca.

Trasa, o której mówił, pięła się serpentynami po zachodniej stronie wzgórza, zawsze chłodniejszej i pogrążonej w mroku, do której wiosna dochodziła najpóźniej.

- Gdy tylko droga stanie się przejezdna, chciałabym, żebyś mnie tam zabrał. Muszę zobaczyć, co zrobiłeś z tym miejscem.

- To już niedługo. Mam nadzieję, że uda mi się skończyć przed latem.

Jego pomysł polegał na odnowieniu domu rodziców i wynajmowaniu go letnikom. Dziesiątki agencji turystycznych dzierżawiło tu domy dla swoich klientów na całe miesiące, latem i jesienią. William sam zajmował się odnawianiem domu, zatrudniając robotników tylko wtedy, gdy było to konieczne. Spędzał tam niemal cały wolny czas. Jeśli chodzi o Marilee, zainteresowała by się domem rodziców tylko wtedy, gdyby zrównano go z ziemią, ale William był podekscytowany swoją ideą, więc wspierała go w niej jako dobra siostra.

- Słyszałem, że zeszłego lata dom starego Smithsona poszedł pod wynajem za tysiąc pięćset dolarów - powiedział. - Wyobrażasz sobie? A przecież kiedy zaczynali odnawianie, prawie się rozpadał. Nasza chata będzie bardziej atrakcyjna.

- Co robiłeś dziś po południu na zapleczu z Wesem i Scottem Hamerem?

- Co proszę? - William opuścił róg gazety i spojrzał na nią ostro.

- Dziś po południu, na zapleczu sklepu...

- To akurat słyszałem. O co ci właściwie chodzi?

- Bez urazy, William. Ja tylko pytam...

- Nie czuję się urażony. Po prostu to dziwne pytanie, zupełnie nie na temat i raczej nie na miejscu. Za chwilę zapytasz mnie, jakie leki na receptę kupują moi klienci, chociaż wiesz, że nie mogę udzielać takich informacji.

W rzeczywistości był wścibskim człowiekiem, który uwielbiał plotkować, często na temat swoich klientów i ich przypadłości.

- Czy sprawa z Wesem i Scottem była prywatnej natury?

William westchnął i odłożył na bok gazetę tak, jakby Marilee zepsuła mu przyjemność czytania.

- Prywatnej, ale nie poufnej. Wes zadzwonił do mnie wcześniej, powiedział, że Dora ma migrenę i zapytał, jakie środki przeciwbólowe mógłbym mu polecić. Przyjechał, żeby je odebrać. - Wstał od stołu i nalał sobie drugą porcję kawy z kontuaru, na którym stał dzbanek. - Dlaczego pytasz? - rzucił zaczepnie, spoglądając na nią sponad filiżanki, z której upił łyk gorącego płynu. - Sądziłaś, że Wes pojawił się w sklepie po to, żeby z tobą poflirtować?

- Nie flirtował ze mną.

William spojrzał na siostrę z kpina.

- Naprawdę - ciągnęła z uporem. - Tylko rozmawialiśmy.

- Doprawdy, Marilee, nie mogę uwierzyć, że zainteresowanie Wesa ci pochlebia - skomentował z politowaniem. - Ten facet flirtuje ze wszystkim, co ma jajniki.

- Nie bądź ordynarny.

- Ordynarny? - parsknął śmiechem, wypluwając kawę do filiżanki. - Posłuchałabyś czasem tego, co Wes opowiada o kobietach, oczywiście wtedy, gdy one tego nie słyszą. To dopiero jest ordynarne. Używa takiego języka, o jakim pewnie nie masz pojęcia. Godzinami opowiada o swoich podbojach seksualnych. Zachowuje się przy tym tak, jakby nadal był licealistą. Przechwala się swoimi licznymi romansami z taką samą pewnością siebie, z jaką obnosił się po korytarzach szkolnych po każdym wielkim zwycięstwie jego drużyny.

Marilee zdawała sobie sprawę, że to, co brat mówi na te-

mat Wesa, jest wywołane zazdrością. William zapewne sam chciałby być takim macho jak Wes. Nie udało mu się wyrosnąć z młodzieńczej zawiści wobec popularnego kolegi z klasy. Bycie prymusem nie było w połowie tak atrakcyjne, jak bycie kapitanem drużyny futbolowej. Przynajmniej w ich mieście.

Ale wiedziała też, że to, co jej brat wygadywał o Wesie, choć przerysowane, było prawdą. Pracowała z Hamerem i wiedziała, jak przechadza się szkolnymi korytarzami, jakby były jego własnością. Uważał, że uprawniała go do tego pozycja kierownika sportowego. Chłubił się owym tytułem, popularnością i wszystkimi przywilejami, jakie z tej racji posiadał.

- Czy wiedziałś, że uwodzi własne uczennice?

- To plotki - odparła gładko Marilee. - Rozpuszczane, o ile wiem, właśnie przez owe dziewczęta.

William potrząsnął głową, jakby zasmucała go łatwowierność siostry.

- Masz bardzo naiwne podejście do świata, Marilee. Jeżeli chcesz, możesz nadal się oszukiwać co do Wesa Hamera, ale jako starszy brat, który dba wyłącznie o twoje dobro, dobrze ci radzę, znajdź sobie innego bohatera.

Powiedziawszy to, wyszedł do salonu, zabierając gazetę i kawę. Podobnie jak ich ojciec, William popadł w rutynę. Oczekiwał, że po powrocie z pracy będzie czekała na niego kolacja. Po kolacji oddawał się lekturze codziennej gazety, podczas gdy Marilee sprzątała w kuchni i wykonywała inne prace domowe. Zazwyczaj zanim była gotowa usiąść w salonie do sprawdzania klasówek, brat udawał się już do sypialni, w której oglądał przed snem telewizję.

Dzielili wprowadzić dom, ale nieczęsto przebywali w tym samym pokoju.

Marilee zawsze go pytała, jak minął dzień, ale brat rzadko rewanżował się tym samym, tak jakby jej praca była nieistotna. Wyrażał swoje myśli, uczucia i opinie bez żadnych zahamowań, ale kiedy przychodziła jej kolej, dyskredytował lub lekceważył jej słowa. Potrafił zniknąć na cały wieczór bez informowania, gdzie i na jak długo wychodzi. Marilee nato-

miast, jeżeli chciała gdzieś wyjść, musiała mu powiedzieć z wyprzedzeniem, gdzie się wybiera i kiedy William może oczekiwać jej powrotu do domu.

Po zniknięciu drugiej kobiety, William stał się szczególnie dociekliwy, jeżeli chodziło o jej wolny czas. Czasem zastanawiała się, czy rzeczywiście aż tak martwił się o jej bezpieczeństwo, czy też po prostu bawiło go kontrolowanie jej życia.

Wykonywała przyziemne obowiązki żony, ale nie miała takiego statusu. Była starą panną, usługującą bratu, ponieważ w jej życiu nie było żadnego innego mężczyzny. Nie dziwiła się opinii innych o sobie i temu, że na jej widok potrzęsali głowami z litością, mruczac pod nosem: „pocziwina”.

William żył swoim życiem. Ona też żyła jego życiem.

Aż do niedawna, kiedy wszystko nagle zmieniło się w najśłodszy, cudowny sposób.

8

Atmosfera panująca w jadalni Hamerów była tak gęsta, że można ją było krajać nożem, takim jak ten, którego Wes używał właśnie do spożywania krwistego steku.

Odciął kawałek mięsa, umoczył w keczupie nałożonym na brzeg talerza i włożył do ust.

- Powiedziałeś mi, że już wysłałeś papiery na studia - powiedział, przeżuwając mięso. - Tymczasem pojawiają się dziś w twoim pokoju i widzę całą stertę formularzy zgłoszeniowych, rozrzuconych na biurku jak jakieś śmieci. Nie dosyć, że uchylasz się od odpowiedzialności, to jeszcze mnie okłamałeś i to nie raz.

Scott siedział przygarbiony na krześle, ze wzrokiem wbitym w talerz, dziobiąc bez apetytu ziemniaki puree.

- Najpierw uczyłem się do egzaminów semestralnych, tato. Potem pojechaliliśmy na Gwiazdkę na cały tydzień do dziadka, a od kiedy zaczęła się znowu szkoła, byłem zajęty.

Wes popił stek piwem.

- Zajęty wszystkim poza planowaniem swojej przyszłości.
- To nie tak.
- Wes.

Rzucił ostre spojrzenie żonie.

- Nie wtrącaj się, Dora. To sprawa pomiędzy Scottem i mną.

- Zacznę wypełniać formularze jeszcze dziś wieczorem. - Scott odsunął się z krzesłem od stołu i odłożył serwetkę.

- Ja zaczęłam je wypełniać. - Wes pokivał nożem w stronę talerza Scotta. - Ty skończysz najpierw kolację.

- Nie jestem głodny.

- Masz zjeść wszystko. Potrzebujesz białka.

Scott położył z powrotem serwetkę na kolanach, gniewnie wbił widelec w stek i przeciągnął po nim nożem.

- W czasie wakacji pozwalałam ci jeść byle co - ciągnął ojciec. - Od tej chwili aż do zakończenia treningu wiosennego będę kontrolował twoją dietę. Koniec z deserami.

- Zrobiłam dziś dla was szarlotkę - wtrąciła Dora.

Współczujące spojrzenie, jakie rzuciła w kierunku Scotta, zirykowało Wesa bardziej, niż sam pomysł zaserwowania deseru.

- Połowa z tego, co się z nim dzieje, to twoja wina! Rozpieściłaś go, Dora. Gdyby to zależało od ciebie, nie poszedłby w ogóle na studia. Zatrzymałabyś go tutaj i pielęgnowała jak niemowlaka do końca życia.

Skończyli posiłek w milczeniu. Scott trzymał głowę nisko i pochłaniał jedzenie, dopóki z talerza nie zniknęło wszystko. Potem zapytał, czy może odejść od stołu.

- Wiesz co? - Wes uśmiechnął się dobrodusznie i puścił do niego oko. - Odpocznij trochę po obiedzie, a potem, no cóż, jeden kawałek ciasta ci nie zaszkodzi.

- Dzięki. - Scott odłożył serwetkę i wyszedł z kuchni. Chwilę później usłyszeli trzaskanie drzwi do jego sypialni i głośną muzykę.

- Pójdę z nim porozmawiać.

Wes chwycił Dorę, gdy usiłowała się podnieść.

- Zostaw go w spokoju - powiedział, popychając ją w kierunku jej krzesła. - Niech się trochę podąsa. Przejdzie mu.

- Ostatnio często jest w takim humorze, kiedy wraca do domu.

- Wszystkie nastolatki przechodzą gwałtowne zmiany nastroju, czyż nie?

- Tak, ale Scott do niedawna ich nie miał. Teraz przestał być sobą. Coś jest nie tak.

- Czy mogę dostać mój deser? - spytał Wes z przesadną uprzejmością.

Dora zaczęła kroić ciasto, które stygło na szafce.

- Scott cię kocha, Wes - odezwała się, odwrócona plecami do Wesa. - Ciężko pracuje, żeby cię zadowolić, ale ty bardzo rzadko chwalisz go za cokolwiek. Lepiej by mu szło, gdybyś go dowartościowywał, zamiast krytykować.

Wes jęknął.

- Czy możemy chociaż raz przeprowadzić normalną rozmowę bez twoich prób wciskania jakichś kitów rodem z Oprah Winfrey Show?

- Chcesz lody? - Podała mu talerz z szarlotką.

- Jak zwykle, chyba wiesz.

Przyniosła opakowanie lodów i nałożyła łyżkę na wierzch ciasta. Potem wstawiła kubek z powrotem do zamrażalnika i zaczęła zbierać naczynia.

- Zniechęcisz dzieciaka. Tego właśnie chcesz?

- To, czego chcę, to zjeść w spokoju deser.

Kiedy odwróciła się do niego, z zaskoczeniem dostrzegł w niej cień dawnej Dory, studentki, którą dostrzegł pewnego dnia, gdy wolnym krokiem przemierzała kampus w spódniczce do tenisa, z rakietaż przerwioną przez ramę i w koszulce przepoconej po niedawnym meczu, jak dowiedział się później, wygranego przez nią bez specjalnego trudu. Tamtego popołudnia jej oczy błyszczały gniewem, ponieważ dostrzegła, jak Wes, stojący z kilkoma kolegami na werandzie akademika dla sportowców, rzucił papierek od cukierka na wypielegnowany trawnik przed wejściem do budynku.

- Głupi, tępy brudas - wycedziła takim tonem, jakby co najmniej nasikał do fontanny albo zrobił coś równie odrażającego. Podeszła do papierka, podniosła go i wrzuciła do najbliższego kosza na śmieci. Potem ruszyła w dalszą drogę, nie obejrzawszy się ani razu.

Koledzy Wes, w tym Dutch Burton, odprowadzili ją gwizdami, sprośnymi okrzykami i nieprzyzwoitymi propozycjami, które słyszała już wcześniej, kiedy pochylała się, aby podnieść papieraek. Wes jednak przyglądał się jej z zastanowieniem. Podobają mu się jej małe piersi i jędrna pupa. Rozpalały jego żądze. Nade wszystko jednak podniecała go jej obojętność. Większość studentek niemal mdlała na jego widok, kiedy wchodził do pokoju. Dziewczęta również lubiły zaliczać punkty, a przespanie się z gwiazdą uniwersyteckiej drużyny sportowej dawało spory awans. W tym czasie on i Dutch byli najlepszymi futbolistami w grupie. Wes był rozgrywającym, Dutch grał w ataku. Dziewczęta nie szczędziły im swoich wdzięków i zazwyczaj dawały więcej, niż prosili. W tamtych czasach nader łatwo było pójść z kimś do łóżka albo znaleźć chętną do zrobienia laski - do tego stopnia, że seks zaczął tracić swój urok. Wesowi spodobała się ta pyskata dziewczyna.

Teraz zastanawiał się, co stało się z butą Dory. Od kiedy się pobrali, jej hardość zniknęła, chociaż dzisiaj dostrzegał jej ślad w spojrzeniu żony.

- Czy szarlotka jest dla ciebie ważniejsza od własnego syna?

- Na miłość boską, Doro, chciałem tylko...

- Pewnego dnia naciśniesz go zbyt mocno, a wtedy Scott odejdzie na zawsze i nigdy go więcej nie zobaczymy.

- Wiesz, na czym polega twój problem? - rzekł gniewnie. - Masz za mało roboty, ot co. Przesiadujesz w domu całąmi dniami, oglądasz te idiotyczne programy, w których wyżywają się na facetach, i przypisujesz mi każdą wadę, jaką można wygrzebać. Potem zaczynasz wymyślać jakieś bzdurne scenariusze przyszłości, która nigdy się nie zdarzy w naszej

rodzinie. Mój ojciec był dla mnie surowy i jakoś wyrosłem na porządnego mężczyznę.

- Kochasz go?
- Kogo?
- Twojego ojca.

Wes włożył wielki kęs szarlotki do ust.

- Szanuję go.
- Boisz się go, ot co. Srasz w portki ze strachu przed tym podłym staruchem.

Wes cisnął łyżkę na stół i wstał nagle od stołu, tak że krzesło zaszurało głośno o podłogę. Przez kilka minut stali tak, mierząc się wzrokiem przez stół. Potem nagle się uśmiechnął.

- Rety, Doro, uwielbiam, kiedy zaczynasz tak mówić.

Odwróciła się do niego tyłem, stanęła przy zlewie i odkręciła kurki. Wes przesunął się za nią, sięgnął przed siebie i zakręcił wodę.

- Naczynia mogą poczekać - powiedział, kładąc ręce na jej biodrach i przyciągając ją do siebie. - Mój mały przyjaciel nie może.

- Zabierz go gdzie indziej.

Parsknął z pogardą i opuścił dłonie.

- Tak właśnie robię.
- Wiem - rzuciła, odkręcając z powrotem wodę.

Dutch zapukał kilkakrotnie do tylnych drzwi domu Hame-rów. Przez okno widział kuchnię, w której paliły się światła, ale nie dostrzegł nikogo w pomieszczeniu. Zapukał jeszcze raz, przytupując nogami z zimna i niecierpliwości, a potem otworzył drzwi.

- Wes, to ja, Dutch! - krzyknął.

Wszedł do domu, wpuszczając do środka mroźne powietrze. Zamknął drzwi, przemierzył kuchnię i zajrzał do dużego pokoju.

- Wes? - zawołał głośno, żeby przekrzyczeć łomotanie muzyki dochodzącej z tyłu domu, prawdopodobnie z pokoju Scotta.

Drzwi łączące kuchnię z garażem otworzyły się i Dutch zobaczył Wesa.

- A więc jednak przyszedłeś - roześmiał się Wes, widząc przyjaciela we własnej kuchni. - Tak myślałem, że zmienisz zdanie, zwłaszcza jeśli przemyślisz sobie sprawę tych kaset z niegrzecznymi filmami. Właśnie wlewałem płyn przeciw zamarzaniu do samochodu Dory... Coś się stało?

- Lilly miała wypadek.

- O Jezu. Jest ranna?

- Nie sądzę, ale nie jestem pewien.

Wes chwycił Dutcha za ramię, poprowadził do dużego pokoju i usadził na kanapie. Dutch ściągnął rękawiczki i czapkę. Jego buty pozostawiły brudne, mokre ślady na dywanie, ale żaden z nich tego nie zauważył. Wes nalał do szklanki porcję jacka danielsa i podał ją przyjacielowi.

- Napij się, a potem powiedz, co się stało.

Dutch wypił whisky jednym haustem, skrzywił się i zacerpnął powietrza w płuca.

- Zostawiła wiadomość na mojej komórce. Rozmawiałem wtedy z Gunnami i nie odebrałem połączenia. Pluję sobie teraz w brodę! W każdym razie wydarzył się jakiś wypadek, kiedy zjeżdżała z góry. Do diabła, kiedy opuszczałem chatę, myślałem, że Lilly pojedzie zaraz po mnie. Nie powinienem jej tam zostawiać samej, zwłaszcza że droga już wtedy zaczynała się robić niebezpiecznie oblodzona. W każdym razie chyba wpadła w poślizg, albo coś w tym stylu. Powiedziała, że udało jej się wrócić do domku w górach i że ten Ben Tierney...

- Tierney? Ten... - Wes uśmieł, że pisze coś na maszynie.

- Tak, ten sam. Dziennikarz awanturnik czy kimkolwiek jest. Lilly powiedziała, że jest ranny.

- Zderzyli się, czy co?

- Wszystko, co powiedziała, a raczej wszystko, co zdołałem zrozumieć, ponieważ odbiór był do dupy, to tyle, że są w chacie na górze, Tierney jest ranny i potrzebują pomocy.

- Co się stało? - W pokoju pojawiła się Dora, ubrana w szlafrok z golfem, przewiązany ciasno w talii. Wyraz jej

twarży zawsze przywodził Dutchowi na myśl tancerkę na linie, która właśnie zdała sobie sprawę, że źle postawiła stopę.

Wes szybko zapoznał ją z sytuacją.

- Czy Lilly powiedziała coś na temat obrażeń pana Tierneya? Jak poważna jest sprawa? - spytała po wyrażeniu współczucia.

Dutch potrząsnął przecząco głową. Wyciągnął pustą szklankę w stronę Wesa, który ponownie ją napełnił. Tym razem Dutch pociągnął mniejszy łyk.

- Nie mam pojęcia, czy się lekko podrapałem, czy też jest w stanie krytycznym. Szczerze powiedziawszy, nic mnie to nie obchodzi. Martwię się wyłącznie o Lilly. Muszę się dostać na górę, jeszcze dziś wieczorem.

- Dziś? - powtórzyła Dora.

Wes spojrział przez okno.

- Dalej pada, Dutch. Gorzej niż godzinę temu.

- Nie musisz mi tego mówić. Przed chwilą tu przyjechałem. - Każdy skrawek ziemi był teraz pokryty zlodowaciałym śniegiem. Nic nie wskazywało na to, żeby natężenie opadów miało się zmniejszyć. Temperatura również spadała na łeb na szyję.

- Jak sobie wyobrażasz dotarcie na górę? Nie zdołasz wjechać po tej drodze. Nawet twój wóz z napędem na cztery koła nie poradzi sobie na takiej gołoledzi.

- Wiem - odparł Dutch z gniewem i goryczą. - Już próbowałem.

- Odbiło ci?

- Chyba tak. Przynajmniej przez chwilę. Kiedy odebrałem wiadomość, zareagowałem automatycznie. Wskoczyłem do wozu, ruszyłem w drogę, ale... - dopił whisky. - Wpadłem w poślizg i ledwie udało mi się odzyskać panowanie nad samochodem.

- Zrobię kawy. - Dora poszła do kuchni.

- Mogłeś się zabić - skarcił Dutcha Wes. - Co za głupota ci strzeliła do głowy.

Dutch wstał z kanapy i zaczął się przechadzać po pokoju.

- A niby co mam robić, Wes? Siedzieć tu z założonymi rękami, dopóki drogi nie staną się znowu przejezdne? To może potrwać wiele dni. Nie mogę tak po prostu czekać. A jeśli Lilly też jest ranna? Jak ją znam, nie powiedziałałaby mi tego przez telefon.

- Rozumiem, że się martwisz, ale nie jesteś już za nią odpowiedzialny.

Dutch odwrócił się do przyjaciela, z dłońmi zaciśniętymi w pięści, gotowy do bójki. Niewiele brakowało, a rzuciłby się na Wesa. Choć na dobrą sprawę, przyjaciel mówił prawdę, Dutch nie chciał jej usłyszeć, zwłaszcza z ust kogoś takiego, jak Wes - człowieka, który nigdy nie zaznał porażki czy chwili zwątpienia. On zawsze trzymał wszystko pod kontrolą.

- Jestem szefem policji i choćby dlatego jestem odpowiedzialny za bezpieczeństwo Lilly.

Wes zamachał uspokajająco rękoma.

- W porządku, w porządku, uspokój się. Wściekaniem się na mnie niczego nie wskórasz.

Dutch przyjął od Dory kubek z kawą. Upił kilka łyków czarnego płynu, którego bardzo potrzebował po dwóch porcjach whisky. Aromat, smak i ciepło rozlały się w jego żołądku. Za chwilę poczuł przyjemne łaskotanie, kiedy krew zaczęła szybciej krążyć w żyłach. Zrozumiał wtedy, jak bardzo brakowało mu codziennej porcji kawy.

- Cal Hawkins nadal ma monopol na odsnieżanie, tak?

- Urząd miejski odnowił z nim kontakt w zeszłym roku - powiedział Wes. - Tylko dlatego, że ten leniwy skurczybyk ma pług.

- Kazałem moim ludziom go odszukać. Sam pojechałem do jego domu, ale nikogo nie zastałem. Ciemno, drzwi zamknięte na cztery spusty, nikt nie odbiera telefonu. Jeżeli nie odsnieża teraz dróg, to gdzie się podziewa?

- Prawdopodobnie w barze - odrzekł Wes. - Dlatego Hawkins tak lubi swoją pracę. Musi ją wykonywać zaledwie przez kilka dni w roku. A przez resztę wprowadza się w zamroczenie alkoholowe.

- Już sprawdziliśmy bary.
 - Te, gdzie serwują opodatkowane trunki? - zadrwił Wes, unosząc brew. - Tam na pewno nie znajdziesz Cala. - Podszedł do szafy przy wyjściu, wyciągnął kurtkę i rękawiczki. - Ty prowadzisz, ja pilotuję.
 - Dziękuję za kawę, Doro - powiedział Dutch, wychodząc.
 - Proszę, bądźcie ostrożni.
 - Nie czekaj na mnie - rzucił tylko Wes.
- Kiedy wyszli na zewnątrz, prosto w najgorszą śnieżną zamięć we współczesnej historii tego regionu, Wes walnął Dutcha w plecy.
- Nie martw się, stary. Takim czy innym sposobem, na pewno ocalimy twoją panią.

Okna pokoju Scotta wychodziły na tyły domu. Chłopak obserwował, jak ojciec i Dutch Burton, ślizgając się, zmierzają w stronę czarnego bronca ze światłami na dachu i policyjnym symbolem na drzwiach. Na czas wizyty w ich domu, Dutch zostawił silnik na jałowym biegu i wokół samochodu utworzyła się biała mgła wyziewów z rury wydechowej. Gdy policjant wycofywał samochód, koła buksowały szaleńczo w poszukiwaniu jakiegokolwiek przyczepności. Chłopak wpatrywał się w przestrzeń, w której znikają powoli tylne światła wozu. Usłyszał pukanie do drzwi.

- Scott?
- Wejdz, mamó - powiedział, przyciszając muzykę.
- Chcesz swój deser?
- Czy mogę dostać go na śniadanie? Zjadłem za dużo mięsa. Widziałem, że tata pojechał gdzieś z panem Burtonem.

Dora opowiedziała synowi, co się zdarzyło.

- Pewnie Lilly nie wyruszyła w dół na czas i zatrzymała ją zła pogoda. Przynajmniej miała dobry powód, żeby tam być. Jeśli chodzi o pana Tierneya, kompletnie nie mogę sobie wyobrazić, co takiego mógł robić na tej górze dzisiaj.

- Często spaceruje po górach.

- Ale chyba powinien wiedzieć, że przy nadchodzącej zamieci wędrowni górskie nie są zbyt dobrym pomysłem.

Scott też się zastanawiał, co Tierney robił w górach. Czytał jego artykuły o szlakach turystycznych w tym rejonie kraju. Sam był doświadczonym piechurem. Całą młodość spędził na eksplorowaniu okolicznych wzgórz i biwakowaniu w lasach, najpierw z harcerzami, potem samotnie. Bardzo lubił wędrowni po Cleary Peak, ale wiedział, że góra potrafiła być niegościnna nawet w ładny dzień. Na pewno nie wybrałby się na nią dziś, przy takiej pogodzie.

- Nawet jeżeli znajdą Cala Hawkinsa, nie sądzę, by ktokolwiek zdołał dzisiaj wjechać na górę drogą Mountain Laurel - zauważył.

- Też tak myślę, ale nie chcieli mnie słuchać. Jeżeli jest ktoś bardziej uparty niż twój ojciec, to jest nim Dutch Burton. Chcesz coś? Filiżankę czekolady?

- Nie, dzięki, mam. Zamierzam trochę popracować nad tymi formularzami, tak jak obiecałem tacie. Potem się położę.

- Dobrze. W takim razie dobranoc. Karaluchy pod poduchy.

- Nie zapomnij zamknąć drzwi i zaktywować alarm, zanim pójdziesz do łóżka.

Dora uśmiechnęła się do syna.

- Nie zapomnę. Wes przypomina mi o tym wystarczająco często, zwłaszcza od czasu zaginięcia Millicent. Ale nie obawiam się włamywaczy.

Wcale się nie dziwię, pomyślał Scott. W szafce nocnej obok łóżka matka trzymała naładowany pistolet. Teoretycznie nie powinien o tym wiedzieć, ale wiedział. Odkrył to, kiedy był w szóstej klasie. Wślizgnął się wtedy do sypialni rodziców w poszukiwaniu prezerwatyw, którymi chciał zaimponować kolegom. Był bardziej zaskoczony widokiem broni niż tubki kremu plemnikobójczego.

- Nie wyglądało na to, żeby Millicent została uprowadzona siłą - ciągnęła Dora. - Kimkolwiek jest ten człowiek, kobiety znają go i uważają za nieszkodliwego. I chyba idą z nim z własnej woli.

- Na wszelki wypadek, bądź ostrożna, mammo.

Dora posłała mu pocałunek.

- Będę. Obiecuję.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi, Scott podkreślił głośność i ustawił wbudowany w wieżę zegar, żeby automatycznie wyłączył magnetofon za dwadzieścia minut. Szybko ubrał się w rzeczy przydatne do jego planowanej potajemnej wycieczki. Bezgłośnie otworzył okno. Wcześniej zadbał o to, aby wszystkie zawiasy i zamki były dobrze naoliwione. W mgnieniu oka znalazł się na zewnątrz i zamknął okno. Nie chciał, żeby matka poczuła zimny ciąg i przyszła, aby zbadać jego źródło.

Mroźne powietrze zakłuło go w oczy i sprawiło, że zaczęło cieknąć mu z nosa. Schował głowę w ramionach, chroniąc się przed zacinającym śniegiem, dłonie w rękawiczkach wsunął do kieszeni. Ruszył przed siebie, trzymając się nieoświetlonych miejsc.

Czasem musiał uciec z domu, zwłaszcza po głędzeniu staro, że się opieprza, gdy tymczasem on zarzynał się, spełniając wszystkie polecenia. Oczywiście nic, co robił, nie było wystarczająco dobre, żeby zadowolić ojca. Żadna pierwsza nagroda, żaden srebrny medal nie błyszczał wystarczająco jasno, jeżeli chodziło o dziecko Wesa Hamera. Gdyby zdobył złoty medal na olimpiadzie, ojciec chciałby wiedzieć, dlaczego nie dwa.

Dostrzegł zbliżające się światła samochodu. W obawie, że może być to bronco Dutcha Burtona, przykucnął za płotem i poczekał, aż samochód przejedzie. Trwało to całą wieczność, ponieważ pojazd poruszał się najwyżej piętnaście kilometrów na godzinę. Scott poczuł, że nogi sztywnieją mu z zimna.

Niepotrzebnie się zresztą przestraszył. To nie był wóz Burtona. Podniósł się i podjął wędrówkę, stawiając kołnierz dla ochrony przed wiatrem i naciągając czapkę głęboko, tak aby nikt, kto będzie wyglądał na dwór przez okna wychodzące na ulicę, nie mógł go rozpoznać. Ludzie w tym mieście uwielbiali gadać. Gdyby ktoś spostrzegł go dzisiaj na dworze i wspominał o tym później ojcu, Scott znalazłby się w prawdziwych

opałach. A gdyby tak poślizgnąłby się na lodzie i coś sobie złamał? Jego stary dostałby chyba zawału. Ale najpierw by go zabił.

Czy to z zamyślenia, czy ze strachu przed ewentualnym upadkiem, ściągnął na siebie nieszczęście. Poślizgnął się na oblodzonym chodniku. Jego stopy znalazły się nagle w powietrzu i upadł ciężko, prosto na pośladki. Kość ogonowa zabolala, jakby ktoś wbił ją młotem w czaszkę. Przy upadku mimowolnie zacisnął zęby, przygryzając sobie przy tym język.

Przez kilka minut siedział, dochodząc do siebie. Wreszcie, po kilkakrotnych próbach, gdy daremnie próbował stanąć na oblodzonej powierzchni, zdołał wrócić do pionu. Pokuśtykał do płotu i oparł się o niego.

- Jezu Chryste - powiedział cichym, drżącym głosem, wyobrażając sobie reakcję ojca, gdyby wrócił do domu, kulejąc, ze złamaną piszczelą lub potrzaskaną kostką.

Widzisz, tato, to było tak. Wymknąłem się z domu i idąc ulicami miasta, poślizgnąłem się na lodzie. Powinieneś słyszeć ten trzask pękającej kości. Zupełnie jak zderzenie dwóch terenówek. Rany. Pewnie w tym roku nie pojedę na ten mecz Crimson Tide w Alabamie. Będą musieli wygrać mistrzostwa futbolowe NCAA* beze mnie.

Podjął wędrowkę, trzymając się blisko płotu. Zadrzał na myśl o tragicznych skutkach, jakie tego typu wyskok mógł spowodować w jego życiu. Musiałby za nie płacić aż do dnia swojego pogrzebu, a i wtedy zapewne ojciec pochyliłby się ostatni raz nad otwartą trumną, i powiedział: „Co ty sobie do cholery wyobrażałeś, Scott?“. Gadaniu Wesa nie byłoby końca. Jedyne, co by się skończyło, to jego wielki ambitny sen o karierze syna.

Scott spojrzął za siebie na oblodzoną ścieżkę, na której się przewrócił. Mało brakowało, a wydarzyłaby się prawdziwa katastrofa. Miał cholerne szczęście, że nie skręcił sobie karku.

* U.S. NCAA (National Collegiate Athletic Association) - sportowa liga uniwersytecka (przyp. tłum.).

A może pecha?

Owa myśl pojawiła się zupełnie nieproszona w głowie chłopaka, powodując, że zatrzymał się w miejscu jak wryty. Skąd mu się wzięły takie buntownicze myśli? Nie miał pojęcia.

Była to jednak rzecz, która, gdy pojawiała się w umyśle, działała niczym uderzenie pioruna. Scott zrobił ostatnio w życiu kilka rzeczy, które zostałyby poczytane za godne potępienia przez jakąkolwiek religię czy kod moralny znany na tym świecie. Do tej pory jednak nie bał się wiecznego potępienia i piekła. Wszystko zmieniło się w ciągu ułamka sekundy, przez jedną zdradziecką myśl. Ale kto może zostać potępiony za to, co myśli? I kto miałby to osądzić?

Po kilku chwilach ruszył dalej. Z ogromną ostrożnością.

9

Po tym, jak Tierney przypomniał jej, że nie była już mężatką, Lilly odrzuciła narzutę i wstała z kanapy. Oczekiwała, że podaży natychmiast w ślad za nią, ale jego obrażenia nie pozwalały mu poruszać się zbyt szybko. Udało mu się jedynie stanąć chwiejnie na nogi.

- Lilly..;

- Dość. Posłuchaj, Tierney. - Chociaż jej nie dotknął, wyciągnęła rękę, powstrzymując go od ewentualnych prób. - Obecne okoliczności są wystarczająco stresujące nawet bez...

- Stresujące? Jesteś zestresowana? Nie czujesz się ze mną bezpiecznie?

- Bezpiecznie? Ależ oczywiście. Kto tutaj mówił coś o bezpieczeństwie? Po prostu...

- Co? - Uniósł brwi w niemym pytaniu, pozwalając, aby jego pytanie zawisło w powietrzu.

- Zaczęliśmy rozmawiać o sprawach zbyt osobistych. Przez czas naszego tutaj pobytu powinniśmy tego unikać. Pozostaw-

my sprawy prywatne na boku i skoncentrujemy się na rzeczach praktycznych. - Tierney wydawał się gotowy do kłótni, więc nadała swojemu głosowi proszący ton.

- Dobrze - zgodził się niechętnie. - Bądźmy praktyczni. Co powiesz na małą zabawę?

- Jaką?

- Rewizję domu.

Zasugerował, żeby przejrzeni wszystkie pokoje w poszukiwaniu rzeczy, które Lilly mogła pozostawić w chacie przez przeoczenie. Powiedział, że zacznie od kuchni. Odwrócił się i pokuśtykał w tamtym kierunku.

- Tierney?

Przystanął się i spojrział na nią.

- Spotkałeś się z nimi później? - spytała, zanim straciła odwagę i zdołała się przekonać, że to głupi pomysł.

- Z kim? - zmarszczył brwi z niezrozumieniem.

- Z tymi dwiema licealistkami z dżipa. Balangowiczkami proszącymi się o kłopoty. Po tym, jak odmówiłam wyjścia z tobą na drinka, spotkałeś się z nimi?

Rzucił jej długie, poważne spojrzenie, a potem odwrócił się i ruszył w stronę kuchni.

- Zobacz, czy zostało coś w sypialni i łazience - powiedział.

W sypialni znalazła tylko trzy szpilki, które utkwily w szczelinie na dnie szuflady w komodzie. Pokazała je Tierneyowi.

- To wszystko, poza dwoma martwymi karaluchami pod łóżkiem. Zostawiłam je tam.

- Mogą się przydać później jako źródło białka - odparł pół żartem, pół serio. Wyciągnął dwie świeczki, częściowo zużyte i pokręcone, lecz nadal przydatne, gdyby wysiadła elektryczność. - Były w szufladzie w stoliku.

Oparł się ciężko o bar, chwytając kurczowo dłonią brzeg granitowej płyty. Przymknął powieki.

- Powinieneś się położyć.

- Nie. Już wszystko w porządku - wymamrotał, usiłując otworzyć oczy.

- Za chwilę upadniesz.
- To tylko kolejna fala zawrotów głowy. - Odepchnął się od baru i podszedł do jednego z okien umieszczonych przy drzwiach wyjściowych. Odsunął zasłonę. - Zastanawiałem się nad czymś.

Lilly czekała na dalszy ciąg, pełna złych przeczuć.

- Jeżeli po tym zamarzającym deszczu przyjdą prawdziwe opady śniegu, co na tej wysokości jest dość prawdopodobne, nasza sytuacja stanie się jeszcze groźniejsza. Boję się, że propan się skończy, a to oznacza, że będziemy potrzebowali paliwa. - Odwrócił się i popatrzył na nią. - Powiniennem pójść do szopy i przynieść jak najwięcej drewna, póki jeszcze mogę to w miarę bezpiecznie zrobić.

Lilly spojrzała ponad jego ramieniem przez okno.

- Nie możesz wyjść na dwór! Ledwie stoisz na nogach. Masz wstrząs mózgu.

- Co nie będzie miało większego znaczenia, jeżeli zamarzniemy tu na śmierć.

- Nie ma mowy! Nie możesz wyjść. Nie pozwolę ci!

Jej gwałtowna reakcja wywołała u niego uśmiech.

- Nie proszę cię o pozwolenie, Lilly.

- Ja pójdę - oświadczyła, ale na samą myśl o opuszczeniu bezpiecznego i w miarę ciepłego pomieszczenia poczuła strach.

Tierney zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów.

- Nie zdołasz unieść wystarczająco dużo drewna. Ja może przyniosę niewiele więcej, ale zawsze więcej niż ty. Poza tym masz mokre buty. Nabawiłabyś się odmrożeń. To ja muszę iść.

Sprzeczali się jeszcze o to przez kolejne pięć minut, ale nie bacząc na argumenty Lilly, Tierney zaczął przygotowywać do wyjścia.

- Czy w szopie jest coś, co mógłbym wykorzystać, na przykład sanie? Coś, na co da się załadować drewno i przyciągnąć tutaj?

Lilly zastanawiała się chwilę i potrząsnęła głową.

- Niestety, zabraliśmy stamtąd z Dutchem niemal wszyst-

ko. Po wejściu, po prawej stronie stoi drewniana skrzynia na narzędzia. Może znajdziesz coś przydatnego. Powinna tam być siekiera, większa niż toporek, który leży na werandzie. Powiedziałaś, że polana trzeba porąbać.

- Po wyjściu z domu powinienem skrócić w tę stronę, tak? - wskazał kierunek.

- Tak.

- Czy należy uważać na jakieś przeszkody pomiędzy domem a szopą? Pień ściętego drzewa, lej krasowy, wystający gałąz?

Lilly spróbowała sobie przypomnieć ewentualne nierówności terenu.

- Chyba nie. To dość prosta droga, ale kiedy wejdiesz w las...

- Tak, wiem - przerwał ponuro. - Będzie mi trudniej.

- Jakim cudem dojrzysz drogę?

Tierney wyciągnął z kieszeni małą latarkę, która nie wyglądała na zbyt przydatną.

- A jeśli wyczerpie się bateria? Możesz się zgubić.

- Mam szósty zmysł co do kierunków. Jeżeli widoczność będzie wystarczająco dobra i dotrę do szopy, odnajdę też drogę powrotną. Na wypadek jednak, gdyby światło w domku zgasło, kiedy będę na zewnątrz, a spodziewam się tego w każdej chwili, bo lód obciąża linie wysokiego napięcia, zapal jedną ze świeczek i postaw w oknie.

- Nie mam zapalek.

Tierney wyciągnął pudełko z kieszeni kurtki i wręczył jej.

- Trzymaj świeczki i zapalki razem, żebyś wiedziała, gdzie są, gdy trzeba będziesz ich użyć.

Nagle uderzyło ją, jakim szaleństwem jest to, co właśnie zamierzał zrobić Tierney.

- Proszę cię, Tierney, zastanów się. Możemy połamać i spalić meble. Półki, regały na książki, stolik do kawy, drzwi do szaf. Ktoś nas uratuje, zanim wszystko zużyjemy. Poza tym, propan może wystarczyć na dłużej, niż się nam wydaje.

- Nie zamierzam ryzykować. Zresztą, nie widzę sensu

w demolowaniu wnętrza bez wyraźnej konieczności. Wszystko będzie w porządku. Przechodziłem już przez gorsze rzeczy.

- Podczas zamieci śnieżnej?

Nie odpowiedział na pytanie, tylko sięgnął po czapkę. Skrzywił się z niesmakiem.

- Zesztywniała od zaschniętej krwi. Czy masz coś przeciwko temu, żebyś pożyczył twój pled?

Pomogła mu owinać koc wokół głowy i ramion.

- Ludzie ze wstrząsem mózgu nie powinni się wysilać - rzuciła na szalę ostatni argument. - Możesz stracić przytomność, twój szósty zmysł może cię zawieść, zgubisz drogę i spadniesz z urwiska, albo zbłądzisz i zamarznieiesz.

- Idący na śmierć... - zaczął, salutując na wzór gladiatora.

- Nie żartuj.

- Chciałbym. - Zasłonił szalikiem dolną część twarzy i sięgnął do klamki. Ujął ją i zawahał się. Spojrzał na Lilly i ściągnął zasłonę z ust.

- Jeżeli nie wrócę, będę cholernie żałował, że cię nie pocałowałem.

Jego oczy były niebieskie niczym płomień i tak samo urzekające. Spoglądały na nią, kiedy Tierney powoli nasuwał szalik z powrotem na usta i nos. Kiedy otworzył drzwi, do środka wdarł się strumień mroźnego powietrza. Był niczym siarczysty policzek wymierzony w twarz. Tierney wyszedł na werandę i dokładnie zamknął za sobą drzwi.

Lilly podbiegła do okna i odsunęła zasłony, oświetlając mu wejście z ganku. Odwrócił się i pokazał uniesiony kciuk. Podeszła do drugiego okna i zrobiła to samo. Potem przesłaniając oczy dłońmi, obserwowała Tierneya przez oszronioną szybę. Każdy krok stawiał bardzo ostrożnie, upewniając się, że ma pod nogą solidny grunt, zanim przenosił na nią ciężar ciała.

Światło dochodzące z okien oświetlało wejście do domku, ale nie było silne i Tierney szybko wyszedł poza jego zasięg. Lilly dostrzegła słaby promień latarki, podskakujący pośród wirujących kłębow śniegu. Wkrótce straciła z oczu nawet i to.

*

Znaleźli Cala Hawkinsa dokładnie w miejscu, które opisał Wes. Był to parterowy domek, schowany głęboko w lesie, tam, gdzie droga gruntowa kończyła się tuż przed wysokim na sześćdziesiąt metrów urwiskiem. Przycupnięty pod nią budynek wyglądał niczym typowa meta. Do wnętrza prowadziły powyginane metalowe drzwi, nad którymi wisiała naga żarówka. Przed domem stały trzy półciężarówki. Sądząc po ilości zamrożonego śniegu z deszczem na ich przednich szybach, były tu już od dłuższego czasu.

Dutch musiał dwoić się i troić, aby jego bronco pokonał ponad trzykilometrową, wąską, pogrążoną w ciemności, zdradziecką drogę. Kiedy więc weszli z Wesem do środka, nie był w najlepszym humorze. Wewnątrz panował półmrok. Pomieszczenie było pełne dymu papierosowego i śmierdziało mokrą wełną i bimbrem. Podchodząc do baru skleconego z płyty wiórowej, musieli przystępować ponad plwocinami z soku tytoniowego.

- Cal Hawkins - rzucił bez wstępów Dutch. Barman skinął zwińczoną tłustymi strakami głową w kierunku rogu pokoju. Hawkins siedział przy jednym z rozchwierutanych stolików, z głową opartą o blat i ramionami zwisającymi bezwładnie po bokach tułowia. Chrapał.

- Kima tak już z godzinę - skomentował barman, bezwiednie drapiąc się pod pachą przez brudną flanelową koszulę. - Po co wam on?

- Co pił? - spytał Dutch.

- Ano to, co ci tam przynieśli ze sobą - wskazał kciukiem na drugi z zajętych stolików, ustawiony tuż pod wypchaną głową czarnego niedźwiedzia. Trzech ponuraków grało przy nim w karty.

- Ten niedźwiedź ma z nich wszystkich najwyższy współczynnik inteligencji - skomentował szeptem Wes. - Mam nadzieję, że twoja broń nie jest wyłącznie na pokaz, bo ich na pewno działa.

Dutch już wcześniej zauważył strzelby oparte o krzesła każdego z nich.

- Kryj mnie.
- Trzech na jednego? Wielkie dzięki.

Dutch podszedł do stolika, przy którym chrapał Hawkins. Na blacie zgromadziła się ślina ściekająca mu z kącika. Dutch zamachnął się nogą i wykopał krzesło spod śpiącego. Hawkins zwałił się ciężko na podłogę.

- Cholera jasna! - wrzasnął i podniósł się chwiejnie, z dłońmi zaciśniętymi w pięści, gotowy do bójki. Widząc jednak błysk odznaki Dutcha, powstrzymał się i cofnął zdezorientowany. Potem wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Hej, Dutch. Kiedy byłem dzieciakiem, często przyglądałem się, jak grasz w futbol.

- Powiniennem cię zapuszkować - warknął w odpowiedzi Dutch. - Ale skoro jesteś na tyle trzeźwy, żeby popisywać się swoją głupotą, to równie dobrze możesz popracować. Potrzebuję cię.

Hawkins otarł zaślinioną brodę wierzchem dłoni.

- Do czego?

- A jak sądzisz? - Dutch przysunął twarz bliżej, ale zaraz cofnął się z odrazą, czując cuchnący oddech pijaka. - Podpisałeś kontrakt z miastem na odśnieżanie i posypywanie piaskiem dróg podczas burz śnieżnych. Zgadnij, co się dzieje, geniuszu. Jesteśmy właśnie w środku jednej z nich. A ty gdzie siedzisz? Na jakimś cholernym zadupiu, uchłany jak świnia. Straciłem kilka godzin na szukanie cię, a nie powinienem, bo nie mam aż tyle czasu.

Chwycił z oparcia krzesła coś, co, jak założył, było okryciem wierzchnim Hawkinsa, i rzucił w jego kierunku. Hawkins złapał kurtkę i przycisnął do piersi. Dutch ucieszył się w duchu, widząc, że jego rozmówca nadal ma dobry refleks.

- Wychodzimy stąd i to już! Pojedziemy za tobą do garażu, gdzie stoi twój pług. Jest już załadowany i gotowy do pracy. Masz ze sobą kluczyki?

Hawkins sięgnął do kieszeni ubrudzonych olejem dżinsów i wyciągnął zestaw kluczy. Wyciągnął rękę do Dutcha.

- Może po prostu je weźmiesz i...

- Zrobiłbym to, ale nikt poza tobą nie potrafi obsługiwać pługą, poza tym, jesteś jedyną ubezpieczoną osobą, która może go prowadzić. Nie mam ochoty brać na siebie dodatkowej odpowiedzialności, podobnie jak nie życzy sobie tego urząd miasta Cleary. Pojedziesz tym pługiem, Hawkins. I nie wyobrażaj sobie, że możesz mnie zgubić gdzieś w drodze powrotnej do miasta. Będę się trzymał tak blisko ciebie, że w każdej chwili dobiore ci się do tyłka przez rurę wydechową. Idziemy!

- To nic nie da - zaprotestował Hawkins, kiedy Dutch popchnął go bezpardonowo w kierunku wyjścia. - Pójdę z panem, szefie, ale pada tak bardzo, że cokolwiek wysypię na drogę, będzie tylko stratą dobrego piachu. Miasto zapłaci podwójnie, bo zaraz jak burza ucichnie, będę musiał wszystko robić od nowa.

- To już mój problem. Ty zrób wszystko, żebym cię nie zbił na kwaśne jabłko, kiedy już wykonasz swoją robotę.

Lilly z niepokojem wyglądała powrotu Tierneya. Widząc go wynurzającego się z mroku, krzyknęła z radości. Ciągnął coś za sobą. Kiedy podszedł bliżej, zobaczyła, że to brezentowa plandeka, wyładowana drewnem. Tierney porzucił ją przed schodami i potykając się, wszedł na ganek. Lilly otworzyła drzwi, chwyciła go za rękaw i wciągnęła do środka. Oparł się ciężko o ścianę i ściągnął nakrycie głowy. Jego brwi i rzęsy znów były całkowicie pokryte szronem. Bezwiednie wyciągnęła rękę, aby je otrzeć.

- Czy mogę dostać szklanek wody?

Pobiegła do kuchni i napełniła kubek wodą z dzbanka. Zauważyła, że woda przestała już lecieć z kranu. Dobrze, że napełnili wszystkie pojemniki.

Tierney osunął się po ścianie i usiadł oparty o nią plecami, z wyciągniętymi nogami. Ściągnął rękawiczki i na przemian zaciskał i rozprostowywał palce, usiłując przywrócić w nich krążenie. Lilly uklękła przy nim. Z wdzięcznością przyjął od niej kubek i wychylił duszkiem całą wodę.

- Wszystko w porządku? Oprócz tego, co już wiemy o twoich obrażeniach - spytała.

Nic nie mówiąc, pokiwał głową. W normalnych okolicznościach podróż do szopy zajęłaby zaledwie minutę. Według jej zegarka, Tierneya nie było przez trzydzieści osiem minut. Przez cały ten czas bez przerwy wyrzucała sobie, że pozwoliła mu wyjść.

- Cieszę się, że wróciłeś - powiedziała z całą szczerością, na jaką ją było stać.

- Idę jeszcze raz.

- Co takiego?

Zjękiem wstał, opierając się o ścianę, aż wreszcie stanął na nogi. To znaczy mniej więcej, bo chwiał się, jakby przed przewróceniem chroniły go jedynie buty, których podeszwy wydawały się przyklejone do podłogi.

- Tierney, nie możesz.

- Druga porcja drewna bardzo się nam przyda. Tym razem powinienem uwinąć się szybciej - powiedział, wkładając rękawiczki. - Teraz już wiem, gdzie co jest. Większość czasu spędziłem na rozglądaniu się po ciemnej szopie. - Patrzył przed siebie, a potem lekko potrząsnął głową, jakby chciał oczyścić myśli.

- Nie możesz iść w takim stanie.

- Czuję się dobrze. - Nasunął na głowę kaptur z koca i naciągnął szalik na twarz.

- Chciałabym cię jakoś przekonać, żebyś tego nie robił.

- Ja też bym chciał - uśmiechnął się ponuro.

Naciągnął szalik głębiej i wyszedł na zewnątrz. Lilly obserwowała przez okno, jak przenosi pniaki z brezentowej płachty pod dach werandy, w pobliżu pozostałych polan, a potem znikła. Wróciła do dużego pokoju i postanowiła zabić jakoś czas, zamiast siedzieć beczynnym i się zamartwiać.

Wkrótce - szybciej, niż myślała, usłyszała tupanie butów Tierneya na schodach. Kiedy otworzyła drzwi, wciągał właśnie na ganek brezentową płachtę załadowaną drewnem. Wy-

magą to od niego wielkiego wysiłku, ponieważ bierwiona były naprawdę spore.

- Pamiętałeś o przyniesieniu siekiery?
- Nie było jej - odparł głosem stłumionym przez szalik i koc.

- Widziałam ją tam kilka dni temu.

- Nie było jej - powtórzył głosem, który ewidentnie miał ją uciszyć.

Zapamiętaj to sobie, pomyślała Lilly. Tierney nie lubi, gdy podważa się jego słowa. Jak się okazało, nie tolerował również sprzeciwiania się jego poleceniom. Spojrzał na płonący w kominku ogień i zmarszczył brwi z niezadowoleniem.

- Za późno, żeby się o to sprzeczać - powiedziała Lilly.

Ułożył stertę polan wewnątrz domu, przy drzwiach, żeby zaczęły podsychać. Potem rozpostarł brezent na ganku i wszedł do środka. Lilly popchnęła go w stronę kominka.

- Skorzystaj z okazji i ogrzej się.

Ściągnął koc z głowy i ramion, podszedł do paleniska i opadł na kolana niczym pokutnik przed ołtarzem. Zdjął rękawiczki i wyciągnął dłonie w kierunku ognia.

- Poczuję dym z komina, kiedy wracałem do domu. Jak ci się udało rozpalić?

- Znalazłam kilka suchych kawałków drewna tuż przy ścianie domu.

- Dzięki.

- Nie ma za co.

- Czuję zapach kawy.

- Zostawiłam w lodówce nienapoczętą puszkę - wyjaśniła, idąc do kuchni. - Wiem, że zaszalałam, zużywając wodę, ale zrobiłam tylko dwa kubki. Nie mam, niestety, ani cukru ani śmietanki.

- I tak ich nie używam.

Tierney pozbył się kurtki, szalika i butów. Usiadł plecami do paleniska. Lilly przyniosła mu kubek z parującym napojem.

- Nie zrobi ci się niedobrze?

- Zaryzykuję. - Objął naczynie obiema dłońmi i uniósł je do ust. Nagle zatrzymał się i spojrzał na Lilly. - Gdzie jest twój kubek?

- Zrobiłam kawę dla ciebie. Zasłużyłeś sobie.

Upił kilka łyków, smakując ciepły płyn. Wydawał przy tym ciche pomruki zadowolenia.

- Chyba się z tobą ożenię - powiedział.

Lilly zaśmiała się nerwowo. Usiadła w rogu kanapy, podwinęła nogi i przytuliła do siebie narzutę, jakby dla ochrony przed czymś, o czym sama nie wiedziała. Może przed wzrokiem Tierneya, który czuła na sobie nieustannie i który przeniakał jej duszę, jakby chciał zobaczyć w niej więcej, niż ona sama wiedziała o sobie.

Tierney obrócił się przy kominku i wyciągnął stopy w stronę ognia.

- Jak twoja głowa? - spytała, żeby przerwać milczenie.

- Kręci mi się w niej.

- Nadal boli?

- Trochę.

- Nie widzę świeżej krwi na włosach, ale kiedy trochę odpoczniesz, będzie lepiej, jeżeli przyjrzą się ranie.

Skinął głową, ale nic nie powiedział. Wreszcie Lilly podniosła się i zabrała z jego rąk pusty kubek. Poszła do kuchni, znów napełniła go kawą i przyniosła mu do wypicia.

- To twoja kawa - powiedział, potrząsając głową.

- Zrobiłam ją dla ciebie.

- Musisz się trochę napić. Nalegam.

Lilly upiła kilka łyków, wymamrotała podziękowanie, a potem podała kubek Tierneyowi. Ich palce zetknęły się na moment.

- To cudowne. Dziękuję, Lilly.

- To ja dziękuję za przyniesienie drewna.

- Nie ma za co.

Usiadła w tym samym miejscu, co poprzednio. Ledwie zdążyła się umościć, Tierney zaczął konwersację.

- Wiem o twojej córce. Słyszałem to i owo od różnych lu-

dzi - wyjaśnił, wzruszając lekko ramionami na widok jej zdumienia.

- Od kogo?

- Od mieszkańców Cleary. Często o tobie rozmawiają, zwłaszcza od czasu gdy Dutch przeprowadził się tutaj i podjął pracę jako komendant miejscowej policji. Jesteście oboje głównym tematem plotek w restauracji u Ritta.

- Dużo czasu tam spędzasz?

- Kiedy wejdiesz między wrony... To najlepsze miejsce.

- No tak, to rzeczywiście centrum całego miasta - skomentowała sarkastycznie. - Spodziewam się, że moje rozstanie z Dutchem wywołało lawinę plotek i spekulacji. Poczta pantoflowa opiera się na sprawach małżeńskich, ciążach, romansach i rozwodach.

- Oraz zgonach - dodał cicho.

- Tak - westchnęła i spojrzała na niego. - Co opowiadają o śmierci Amy?

- Że było to tragiczne zdarzenie.

- To rzeczywiście prawda, a nie plotka. Kiedy od nas odeszła, miała zaledwie trzy lata. Wiedziałeś o tym? - W odpowiedzi Tierney pokiwał głową. - To już cztery lata. Trudno mi uwierzyć, że nie ma jej ze mną dłużej, niż ją miałam.

- Nowotwór mózgu?

- Tak. Prawdziwy skurczybyk, podstępny i śmiertelny. Przez bardzo długi czas nie wywoływał żadnych objawów, żadnego paraliżu, częściowej ślepoty, zaburzeń mowy. Nie dostaliśmy żadnego ostrzeżenia przed tym, co się szykowało. Amy wydawała się idealnie zdrową małą dziewczynką. To dobrze i źle, ponieważ zanim się zorientowaliśmy, że coś jest nie w porządku, rak zaatakował już całą półkulę. - Zaczęła skubać brzeg narzuty. - Na wstępie powiedziano nam, że jest nieusuwalny i nieuleczalny. Lekarze twierdzili, że nawet przy bardzo agresywnej chemioterapii i naświetlaniach życie Amy da się przedłużyć co najwyżej o kilka tygodni, może miesiąc lub dwa, ale na pewno nie da się jej ocalić. Zdecydowaliśmy z Dutchem, że nie będziemy jej poddawać tym wszystkim wy-

czerpującym zabiegom. Zabraliśmy ją do domu, gdzie spędzi-
liśmy z nią kolejne sześć w miarę normalnych tygodni. Ten
cholerny nowotwór rósł w zastraszającym tempie. Kolejne
symptomy pojawiały się i rozwijały bardzo szybko, aż pewne-
go poranka nie mogła przełknąć soku pomarańczowego. Przed
lunchem zaczęły zawodzić kolejne narządy. Amy miała zjeść
kolację w szpitalu, ale wcześniej zapadła w śpiączkę. Nastę-
pnego dnia, wczesnym rankiem, przestała oddychać. Jej serce
uderzyło po raz ostatni i odeszło. - Spojrzała przelotnie na
Tierneya, a potem zapatrzyła się w płomienie. - Podarowaliśmy
jej ciało akademii medycznej, z przeznaczeniem na bada-
nia naukowe. Pomyśleliśmy, że może przyda się to do czegoś
dobrego, na przykład do uratowania innych dzieci, chorych
na to samo. Poza tym, nie mogłam znieść myśli o zamknię-
ciu Amy w trumnie. Bała się ciemności, wiesz? Nie chciała
spać w pokoju bez zapalanej lampki, przezroczystego aniołka
z rozpostartymi skrzydłami, jak bożonarodzeniowy zwiastun
Dobrej Nowiny. Nadal ją mam i co noc włączam dla siebie.
W każdym razie nie mogłam znieść myśli o zakopaniu jej
w grobie.

- Nie musimy o tym rozmawiać, Lilly.
- Nie, dlaczego, wszystko w porządku - odparła, ocierając
łzy z policzków.
- Nie powinienem zaczynać tego tematu.
- Cieszę się, że to zrobiłeś. Tak jest dla mnie lepiej. Po-
winna o niej rozmawiać. O Amy. Mój psychoanalityk po-
wiedział, że to bardzo zdrowe i kazał mi nazywać zawsze
Amy po imieniu. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Zastanawia-
jące, jak po jej śmierci ludzie przestali rozmawiać ze mną
o mojej córce. Unikając mego wzroku, czynili eufemiczne alu-
zje do wielkiej straty, jaką poniosłam w życiu, do mojego
smutku, żałoby. Nikt jednak nie mówił o Amy, nie wymawiał
głośno jej imienia. Pewnie uważali, że oszczędzą mi bólu, nie
poruszając tego tematu, chociaż tak naprawdę potrzebowałam
rozmowy na jej temat.
- A co z Dutchem?

- To znaczy?
- Jak sobie z tym radził?
- Co mówią na ten temat plotki?
- Że nagle pokochał whisky.

Lilly parsknęła gorzkim śmiechem.

- Plotkarze w Cleary są doskonale poinformowani. Tak, zaczął pić i to sporo. Wpłynęło to niekorzystnie na jego pracę. Zaczął popełniać błędy, niebezpieczne dla niego i partnerów. Nie można było na niego liczyć. Kilka razy dostał po łapach, potem otrzymał formalne upomnienie. Następna w kolejności przyszła degradacja, co oczywiście spowodowało, że wpadł jeszcze większe szaleństwo i zaczął pić więcej. Destrukcyjna spirala. W końcu wyrzucono go z pracy. Dzisiaj powiedział, że gdyby nie Amy, nasze małżeństwo przetrwałoby aż do śmierci. Może miał rację. Śmierć rzeczywiście nas rozłączyła. Jej śmierć. Obawiam się, że zmieniliśmy się w jedną z wielu par, które nie przetrwały tragedii spowodowanej utratą dziecka ani jako małżeństwo, ani jako ludzie. - Przeniosła wzrok z rozżarzonych polan na Tierneya. - Ominęłam coś? Czy wścibscy intrzyganci znają dokładnie warunki naszej umowy rozwodowej?

- Pracują nad tym. W każdym razie cieszą się, że Dutch wrócił do miasta.

- A co mówią o mnie?

Wzruszył lekceważąco ramionami.

- Dalej, Tierney. Nie jestem wrażliwa. Nic mi się nie stanie, jeśli to usłyszę.

- Mówią, że to ty nalegałaś na rozwód. Żądałaś go.

- Taka już ze mnie zimna suka.

- Takiego określenia nie słyszałem.

- Ale bardzo podobne. Nie spodziewałabym się czego innego. Mieszkańcy Cleary muszą trzymać ze swoimi. - Znowu zapatrzyła się, a potem ciągnęła: - Rozstanie się z Dutchem nie było decyzją, którą podjęłam powodowana gniewem czy pogardą. Chodziło o moje przetrwanie. Nie potrafił się pogodzić ze śmiercią Amy i blokował proces mojego powrotu do normalności.

Pragnęła, aby Tierney zrozumiał to, czego nikt inny nie potrafił pojąć.

- Stałam się jego podporą. Łatwiej było zrzucić wszystko na mnie, niż zwrócić się o pomoc do specjalisty i poradzić sobie samemu. Stał się ciężarem i odpowiedzialnością, nie mogłam tego dłużej dźwigać, jeżeli chciałam zrobić coś ze swoim życiem. To nie był zdrowy związek dla żadnego z nas, chociaż Dutch nadal nie chce zaakceptować, że nasze małżeństwo dobiegło końca.

- Rozumiem go.

Zareagowała, jakby nagle dźgnął ją rozżarzonym końcem pogrzebacza.

- Słucham?

- Winisz go za to, że jest zdezorientowany?

- Dlaczego miałby być zdezorientowany?

- Każdy facet byłby w takiej sytuacji. Rozwiodłaś się z nim. Nie, wręcz zażądałaś rozwodu. Dziś jednak, kiedy znaleźliśmy się w kłopotach, okazał się pierwszą osobą, z którą się skontaktowałam.

- Już powiedziałam, dlaczego.

- Mimo wszystko jest to wysyłanie sprzecznych sygnałów byłemu mężowi.

Lilly wyjaśniła, dlaczego zadzwoniła do Dutcha, prosząc go o pomoc. Co ją obchodziło, że Tierney jej nie wierzył? Wmawiała sobie, że nic, ale jego krytyka zraniła ją do żywego. Spojrzała niewidzącym wzrokiem na zegarek.

- Robi się późno.

- Jesteś zła.

- Nie. Jestem zmęczona. - Ściągnęła torebkę ze stolika na kawę, położyła na kolanach i zaczęła w niej grzebać.

- Powiedziałem coś niestosownego?

Przerwała przeszukiwanie torebki i spojrzała na niego.

- Tak, Tierney. Zrobiłeś to.

Spodziewała się, że powie coś uspokajającego, przepraszającego. Zamiast tego rzucił szorstko:

- Trudno, Lilly. Chcesz wiedzieć, dlaczego zostałem przy

kominku, zamiast usiąść razem z tobą na kanapie? Dlaczego nie pocieszyłem cię, dlaczego nie podszedłem i nie utuliłem cię, kiedy płakałaś z powodu Amy? Ponieważ jestem tak samo zdezorientowany jak Dutch co do uczuć, jakie do niego żywisz.

Lilly otworzyła usta, ale nie potrafiła znaleźć słów. Spuściła wzrok i zaczęła się bawić zapieciem torebki.

- Nie chcę, żeby Dutch wrócił do mojego życia - powiedziała powoli. - To absolutnie wykluczone. Niemniej przypuszczam, że moje uczucia mogą być niejednoznaczne. Dobrze mu życzę. Był kiedyś prawdziwą gwiazdą futbolu. Zazwyczaj zaliczał przyłożenie, które gwarantowało drużynie wygraną. Chciałabym, żeby teraz udało mu się to samo.

- Przyłożenie?

- Wielka wygrana. Posada komendanta policji w Cleary jest jego szansą na nowy początek. Ma możliwość, żeby odzyskać status dobrego gliny, a ja życzę mu tego bardziej niż czegokolwiek.

- Bardziej niż czegokolwiek? - powtórzył zamyślony Tierney. - To dość poważna deklaracja.

- Bo też taka jest.

- W takim razie przypuszczam, że zrobiłabyś wszystko, aby pomóc mu w osiągnięciu sukcesu.

- Zdecydowanie tak. Niestety, niewiele mogę zrobić w tej sprawie.

- Zdziwiłabyś się, jak wiele. - Po tym tajemniczym oświadczeniu dźwignął się na nogi, wymamrotał pod nosem przeprosiny i wszedł do sypialni, prawdopodobnie zmierzając do łazienki.

Lilly obserwowała go z zamętem w duszy. Była zawiedziona, zupełnie jakby psychoanalityk skrócił wizytę, nie dając jej szansy, by wypowiedziała się do końca. Cieszyła się, że Tierney wiedział już wcześniej o Amy. Dzięki temu ominęła ją najtrudniejsza część rozmowy. Był to dość niezręczny temat do dyskusji z kimś, kogo dopiero się poznawało. Takich rzeczy nie oznajmia się od niechcienia, chociaż często kusiło ją,

aby to zrobić. Uniknęłyby dzięki temu nieuchronnych pytań w stylu: „Masz dzieci?”. Następowały po nich konieczne wyjaśnienia, sprawiające, że rozmówcy czuli się nieswojo i zażenowani bąkali: „Och, tak mi przykro, nie miałem/miałam pojęcia”. W rozmowie z Tierneyem udało jej się przynajmniej uniknąć tej niewygodnej wymiany zdań. Doceniała również, że nie gadał frazesami ani nie zadawał setek pytań, jak się czuła po tym zdarzeniu, bo jak się czuła, było raczej oczywiste.

Tierney okazał się wyjątkowo dobrym słuchaczem.

Jego zainteresowanie Dutchem i jej relacjami z byłym mężem zaczynało ją jednak trochę drażnić. Dutch przestał istnieć w jej prywatnym życiu, ale Tierney najwyraźniej nie był co do tego przekonany. Jeżeli chciał wiedzieć, jak by zareagowała, gdyby wziął ją w ramiona i przytulił, dlaczego po prostu tego nie zrobił i nie sprawdził, zamiast używać Dutcha jako wymówki?

- Grzebiesz w tej torebce już od pięciu minut. - Nie zauważyła, kiedy wrócił do pokoju. Stał przy drugim końcu kanapy i przyglądał jej się. - Czego szukasz?

- Lekarstw.

- Lekarstw?

- Na astmę. Kupiłam je wczoraj u Ritta. Ten dopiero jest plotkarzem - dodała cierpko. - Wczoraj, kiedy pojawiłam się, żeby odebrać leki, zarzucił mnie pytaniami o Dutcha, rozwód i sprzedaż tego domku. Chciał nawet wiedzieć, ile dostaliśmy od nowych właścicieli, uwierzysz? Może starał się być przyjazny, chociaż mam wrażenie, że... hmmm... - przerwała, zajęta przeszukiwaniem zawartości torebki. Zniecierpliwiona, odwróciła torebkę do góry nogami i wyrzuciła całą zawartość na stół.

Zobaczyła kosmetyczkę z przyborami do makijażu, w której znalazła wcześniej nożyczki, portfel, książeczkę czekową, paczkę chusteczek, opakowanie miętusów, ładowarkę do telefonu, przepustkę do budynku w Atlancie, w którym mieściło się jej biuro, klucze i okulary przeciwsłoneczne. Wszystko

z wyjątkiem tego, czego potrzebowała. Skonsternowana, spojrzała na Tierneya.

- Nie ma ich.

10

Dutch jechał w pług śnieżnym prowadzonym przez Cala Hawkinsa. Chciał mieć na wszystko baczenie, bo nie wierzył, że Hawkins robi, co w jego mocy, aby dostać się na górę. Poza tym, chciał jako pierwszy znaleźć się w chacie, wbiec przez drzwi niczym rycerz w lśniącej zbroi.

Droga do miasta z dziury, w której znaleźli Hawkinsa, była istną udręką. Przeprawa przez mosty była bardzo niebezpieczna, a drogi niewiele lepsze. Kiedy dotarli wreszcie do garażu, Dutch wlał w Hawkinsa kilka kubków czarnej kawy. Pijak bez przerwy narzekał i utyskiwał, aż wreszcie policjant zagroził mu, iż jeśli się nie zamknie, zaknebluje mu gębę. Potem bezceremonialnie wepchnął go do ciężarówki.

Kabina pługa wyglądała jak chlew. Na podłodze wałały się śmieci i puste zeszloroczne opakowania po jedzeniu na wynos. Plastikowe pokrowce na fotele były pocięte i poszarpane. Z dziur wystawała warstwa wyściełająca. Z lusterka wstecznego zwisała para puchatych breloczków w kształcie kostek do gry, hologram nagiej dziewczyny zabawiającej się wibratorem oraz choinka zapachowa, która niezbyt efektywnie maskowała przykre zapachy w kabinie.

Pług stanowił część całej floty ciężkiego sprzętu, który Hawkins ojciec wypożyczał władzom miasta, zakładom usług komunalnych i firmom budowlanym. Interesy szły całkiem nieźle, dopóki stary nie umarł, pozostawiając wszystko synowi. Teraz pług był jedynym wozem, jaki pozostał z owego dziedzictwa.

Cal Junior wykorzystał majątek pozostawiony przez zmarłego ojca jako zabezpieczenie zaciągniętych długów. Kiedy

nie udało mu się ich spłacić, wszystko poza piaskarką przejął bank. Dutcha mało obchodziły problemy finansowe Cala. Dla niego komornik mógł przejąć pług śnieżny choćby i jutro, pod warunkiem że dziś dostanie się dzięki niemu na wzgórze, na którym utkwiała Lilly.

Spojrzał w lusterko boczne i zobaczył światła bronca jadącego w bezpiecznej odległości od ciężarówki. Za kierownicą siedział jeden z jego oficerów, Samuel Bull. Szczęściarz mógł jechać po powierzchni posypanej mieszanką piasku i soli, zrzucaną przez Hawkinsa. Mimo to nawierzchnia nadal była niebezpieczna. Od czasu do czasu Dutch widział, jak bronco ześlizguje się na środek drogi lub ku krawędzi szosy.

Wes siedział w wozie z Bullem. Zanim wyjechali z garażu, Dutch powiedział, że nie musi mu dalej towarzyszyć.

- Jedź do domu. To mój problem, nie twój.

- Zostanę z tobą dla wsparcia moralnego - rzucił w odpowiedzi Wes i wszedł do kabiny bronca.

Dutch potrzebowałby wsparcia moralnego tylko w wypadku, gdyby jego akcja ratunkowa się nie powiodła. Najwyraźniej Wes uważał, że tak się właśnie stanie, podobnie jak Bull i Hawkins. We wszystkim, co mówili, pobrzmiwało głębokie wątplenie, a w spojrzeniach, jakie mu rzucali, Dutch wyczuwał litość.

Pewnie wyszedłem na niezłego desperata, pomyślał. Desperacja była stanem umysłu niegodnym komendanta policji. Niegodnym mężczyzny. Na pewno nie wzbudzała zaufania u innych. Jedyne, co potrafił wywołać u Hawkinsa, to strach.

- Jeżeli poczuję, że celowo nie robisz wszystkiego co w twojej mocy, zapuszczuję cię - zagroził, gdy znaleźli się około pięćdziesięciu metrów od skrętu na Mountain Laurel Road.

- Za co?

- Za to, że mnie wkurzasz.

- Nie możesz tego zrobić.

- Lepiej nie próbuj się o tym przekonać. Masz wycisnąć z tego złomu wszystko, co się da, rozumiano?

- Tak, ale...
- Tylko bez ale.

Hawkins oblizał usta i chwycił mocniej kierownicę, mamrocząc pod nosem:

- Za cholerę nic nie widzę.

Mimo to zwolnił, kiedy zbliżyli się do skrzyżowania.

Droga na górę była dość trudna. Zaczynała się ostrym zakrętem, za którym niemal natychmiast był stromy podjazd. Aby nie wpaść w poślizg, Hawkins musiał skrócić powoli, ale z wystarczającym przyspieszeniem, by pokonać ostre nachylenie terenu. Dutch włączył nadajnik, który trzymał w ręku.

- Trzymaj się w bezpiecznej odległości, Bull.
- Nie ma sprawy, stary - odezwał się Wes z głośnika. - Udzieliłem mu dokładnie takich samych instrukcji.
- Tylko spokojnie - wymamrotał pod nosem Hawkins, na poły do siebie, na poły do ciężarówki.
- Nie za spokojnie - powiedział Dutch. - Musisz wjechać na tę stromiznę.

- To ja jestem fachowcem od prowadzenia pługu.
- W takim razie prowadź go, tylko upewnij się, że robisz to właściwie. - Dutch zaczerpnął ukradkiem powietrza i wstrzymał oddech.

Hawkins wszedł w zakręt ostrożnie. Pług ani na chwilę nie stracił przyczepności. Dutch wypuścił powietrze z płuc.

- A teraz wdepnij gaz.
- Nie ucz ojca dzieci robić - odciął się Hawkins. - Do diabła, egipskie ciemności!

Droga stanowa, która w obrębie Cleary przechodziła w Main Street, miała latarnie aż do rogatek. Jednak mniejsze drogi były zaciemnione. Reflektory ciężarówki oświetlały wyłącznie tumany zamarzającego śniegu tuż przed maską. Hawkins był wyraźnie przestraszony, ponieważ zdjął nogę z gazu.

- Nie! - Dutch jechał tą drogą tysiące razy i wiedział, że w tym miejscu przyspieszenie było konieczne do pokonania pierwszej stromizny. - Dodaj gazu!

- Nic nie widzę - zaskrzeczał Hawkins. Wrzucił jałowy bieg i otarł twarz rękawem kurtki. Pomimo panującego mrozu, czoło miał zroszone potem, który śmierdział jak samogon.

- Wrzuć bieg i dodaj gazu - powiedział Dutch dobitnie, przez zaciśnięte zęby.

- Za chwilę. Niech mi się wzrok przyzwyczai. Od tego wirującego cholerstwa w głowie mi się kręci.

- Nie za chwilę. Teraz!

- Życie ci niemiłe, czy jak? - skrzywił się Hawkins.

- Nie. Musisz to zrobić. Zabiję cię, jeżeli za pięć sekund ten pług nie ruszy do przodu.

- Nie wydaje mi się, że policjant powinien w ten sposób grozić obywatelom.

- Jeden.

- Co tam się dzieje? - w głośniku krótkofalówki odezwał się Wes.

- Dwa - Dutch nacisnął guzik odbiornika i rzekł do mikrofonu:

- Cał zastanawia się nad tym, jak najskuteczniej wjechać na górę. - Rozłączył się. - Trzy - liczył dalej.

- Dutch, jesteś pewien, że powinniśmy to robić? - Wes wydawał się zaniepokojony. - Może należy to przemyśleć.

- Cztery.

- Bull ledwie może utrzymać twojego bronca na drodze, a i tak ma łatwiej, bo jedzie po piachu. Widoczność jest praktycznie zerowa i...

- Pięć - Dutch wyciągnął pistolet z kabury.

- Cholera! - Cał wrzucił pierwszy bieg.

- Wszystko gra, Wes - mruknął Dutch do mikrofonu z pozornym spokojem. - Jedziemy.

Cał odpuścił sprzęgło i wcisnął pedał gazu. Ciężarówka potoczyła się do przodu.

- Musisz wydusić z tego złomu wszystko, na co go stać, inaczej nigdy się nam nie uda - powiedział Dutch.

- Pamiętaj, że mamy niezłe obciążenie.

- Więc jakoś to skompensuj.

Hawkins kiwnął głową i wrzucił dwójkę, jednak w chwili, gdy zaczął przyspieszać, tylne koła pługu zaczęły buksować.

- Nie uda się.
- Nie odpuszczaj!
- Nie zamierzam się...
- Próbuj dalej! Więcej gazu!

Hawkins wymamrotał coś na temat Jezusa, Maryi i świętego Józefa, ale wypełnił polecenie Dutcha. Koła pokręciły się jeszcze trochę jałowo, wreszcie złapały przyczepność i ciężarówka ruszyła do przodu.

- Widzisz? - burknął Dutch z większą ulgą, niż chciał okazać.

- Tak, ale nie dojedziemy do pierwszej serpentyny.
- Dojedziesz.
- Albo zawiozę nas prosto do piekła, bo gówno widzę. Nie podoba mi się myśl o niekontrolowanym zjeździe po zboczach w tej kupie żelastwa.

Dutch zignorował go. Pod ubraniem pocił się chyba bardziej niż Hawkins. Skoncentrował się na smudze światła reflektorów. Musiał oddać Calowi sprawiedliwość. Próba wjechania tak dużym pługiem po oblodzonej górskiej drodze była bez wątpienia niebezpieczna. Zamarzający mokry śnieg prawie natychmiast pokrywał białą warstwą piasek, który zrzucił na drogę Hawkins. Dutch zauważył, że Bull zatrzymał bronca przy zjeździe z głównej drogi. Jego podwładny dyskutował zapewne z Wesem o głupim zaślepieniu Dutcha. Nie zamierzał się jednak teraz zamartwiać opiniami żadnego z nich.

Ciężarówka wspinała się po drodze o dwudziestostopniowym nachyleniu z rykiem i charkotem silnika. Szło im bardzo wolno, ale Dutch powtarzał sobie w duchu, że każdy cal przybliży go do Lilly. I Bena Tierneya.

Dlaczego ze wszystkich facetów, z którymi mogła zostać uwięziona w jednym pomieszczeniu, musiał to być właśnie ten? Myśl o Lilly przebywającej sam na sam z jakimkolwiek mężczyzną doprowadzała go do szaleństwa. A teraz była tam z facetem, w którego wczoraj wpatrywała się jak w obrazek.

Dutch widział, jak inne kobiety, stare i młode, patrzają na Bena Tierneya. Słyszał, jak świergoczą nieustannie o jego muskularnym ciele i przystojnej twarzy. Mógł się założyć, że facet doskonale wiedział, jakie wywołuje wrażenie. Pewnie myślał o sobie, że jest superogierem. Zawsze gotowy do nowych ekscytujących przygód, w pogoni za ryzykiem, awanturnik, z całą masą zdjęć w kolorowych magazynach. Wszystko to tylko dodawało mu atrakcyjności w oczach każdej kobiety, którą by sobie zażyczył mieć.

Spływ kajakowy, niech go diabli!

Odsuwając na bok gorzkie myśli, powiedział:

- Głowa do góry, Hawkins. Jesteśmy już blisko zakrętu.
- No.
- Jeszcze tylko jakieś dziesięć metrów.
- Nie mamy najmniejszej szansy, by wjechać na tę górę.
- Zrobimy to, jeśli ci życie miłe.

Przez kilka sekund Dutch rzeczywiście ufał, że się im uda. Może po prostu tak bardzo chciał wierzyć w powodzenie akcji, że już szykował się na szczęśliwe zakończenie. Pozytywnym myśleniem jednak nie da się pokonać praw fizyki. Aby wejść bezpiecznie w ostry zakręt, Cal musiał zredukować bieg. Kiedy to zrobił, ciężarówka wytraciła prędkość i nie zdołała wspiąć się po stromej drodze. Zatrzymała się na, zdałoby się, całą wieczność. Dutch wstrzymał oddech. Potem pług zaczął się ześlizgiwać w dół.

Hawkins zapiszczał jak kobieta.

- Dodaj gazu, idioto! - krzyknął Dutch.

Hawkins wykonał natychmiast polecenie, ale chyba miał za mało woli walki. Nie był w stanie wyrzesać z siebie wystarczająco dużo energii, żeby próbować pokonać bezwzględna grawitację. Żadne z jego działań nie odniosło pozytywnego skutku, może tylko pulsacyjne hamowanie, które koniec końców pomogło zatrzymać ciężarówkę i zapobiegło jej zjechaniu z drogi.

Kiedy wreszcie się zatrzymali, Hawkins wypuścił ze świsem powietrze z płuc.

- Ja piernicę. Było blisko.

- Spróbuj jeszcze raz.

Hawkins odwrócił głowę tak szybko, że aż chrupnęły mu kręgi szyjne.

- Zwariowałeś?!

- Wrzucaj bieg i próbuj jeszcze raz.

Hawkins potrząsnął głową niczym pies po kąpieli.

- Nic z tego, co to, to nie. Możesz sobie grozić tym twoim pistoletem, albo i strzelić mi między oczy. Przynajmniej odejdę z tego świata szybko. Lepsze to, niż umierać przygnieciony toną piasku i żelastwa. Nie, dziękuję, ja się na to nie piszę. Możesz poczekać, aż przestanie padać, znaleźć sobie innego kierowcę albo samemu wsiąść za kółko. Gównu mnie to obchodzi. Ja na pewno nie pojadę.

Dutch usiłował zmusić go do uległości groźnym wzrokiem, ale przekrwione oczy Cala Hawkinsa wpatrywały się w niego nieugięcie, a porośnięta szczecina szczęka wysunęła się wojowniczo do przodu. Obaj drgnęli zaskoczeni, kiedy ktoś nagle zapukał w okno od strony pasażera.

Do kabiny pługą zajrzał Wes.

- Wszystko w porządku?

- Tak - odparł Dutch zza szyby.

- Jak cholera! - wrzasnął Hawkins.

Wes wspiął się na stopień, otworzył drzwi i od razu wyczuł strach Hawkinsa.

- Co się tu dzieje?

Hawkins wycelował drżący palec w Dutcha.

- Groził mi bronią! Powiedział, że mnie zabije, jeżeli nie wwożę go na tę górę. Kompletnie go porąbało!

Wes przeniósł niedowierzające spojrzenie na Dutcha, który rzekł zmęczonym głosem:

- Nie zamierzałem mu nic zrobić. Chciałem go tylko nastraszyć, żeby się bardziej postarał.

Wes przyglądał mu się uważnie przez chwilę, a potem powiedział do Hawkinsa spokojnym tonem:

- Jego żona jest na górze w ich chacie z innym mężczyzną.

- O kurczę, człowieku. Przesrana sprawa.

Hawkins przetrawił informację i spojrzął na Dutcha innym wzrokiem. To, że litowały się nad nim nawet takie kreatury jak Cal Hawkins wcale Dutchowi nie pomagało.

- Cal, myślisz, że uda ci się sprowadzić pług z powrotem na główną drogę?

Zainspirowany solidarnością Wesa, Hawkins odzyskał nieco humor i obiecał, że spróbuje. Pilotowany przez pozostałych, wycofał ciężarówkę ze zjazdu i wjechał na drogę, kierując się w stronę miasta. Dutch kazał Bullowi jechać z Hawkinsem, ostrzegając oficera, żeby miał baczenie na pijaka i nie pozwolił mu zrobić niczego, co mogłoby uszkodzić pług.

- Nie zdziwiłbym się, gdyby rozbił go celowo, żeby wykręcić się od jutrzejszych prób. - Dutch zacisnął zęby, jadąc za ciężarówką w swoim wozie. - Brudny pijus bez jaj!

- Odejdźcie Cala Hawkinsa Juniora z tego padołu łąz rzeczywiście nie byłoby nieodżałowaną stratą - zgodził się Wes. - Ale na rany Chrystusa, Dutch, czy ty nie przesadziłeś, grożąc mu bronią?

- Musiałeś mu mówić, że Lilly jest z innym mężczyzną? Jutro rano całe miasto będzie o tym gadało. Zgadnijmy, o czym konkretnie: o tym, co Lilly i Ben Tierney robią, żeby było im ciepłej i żeby zabić czas. Wiesz, jak to działa.

- Widzę doskonale, jak to działa w twojej głowie.

Dutch rzucił przyjacielowi zagniewane spojrzenie.

- Poza tym - ciągnął Wes - nie wymieniłem Bena Tierneya z nazwiska. Hawkins pewnie myśli, że Lilly siedzi tam na górze z jakimś starym łysolem.

- Nie sędzę.

- Posłuchaj, powiedziałem mu o tym, ponieważ jest to sytuacja, z którą potrafi się identyfikować. Próby dostania się na górę w czasie zamieci po to, aby uratować uwięzionego obywatela? Hawkins nie wie, co to poczucie obowiązku. Natomiast to, że chcesz się tam dostać, bo twoja żona została sam na sam z jakimś innym facetem? O tak, to wyjaśnia twój pośpiech i determinację, a nawet grożenie bronią.

Nie zamienili już ani słowa więcej. W milczeniu dotarli do garażu Hawkinsa. Dutch kazał Bullowi wrócić na posterunek i dowiedzieć się, czy może gdzieś potrzebują jego pomocy. Jeżeli nie, oficer mógł pojechać do domu.

- Tak jest, sir. Przykro mi, no, wie pan, że nie dostaliśmy się na górę, do pana żony - dodał niepewnie posterunkowy, wbijając wzrok w ziemię.

- Do zobaczenia jutro - odparł Dutch oschle.

Oficer wsiadł do służbowego wozu. Hawkins też ładował się już do swojej ciężarówki.

- Jutro rano będę cię szukał - rzucił Dutch. - Lepiej żeby mi się udało.

- Będę w domu. Wiesz, gdzie to jest?

- Przyjadę po ciebie o świcie. Jeżeli będziesz pijany albo na kacu, pożałujesz, że cię dzisiaj nie zastrzeliłem.

Wyjechali tuż za półciężarówką Hawkinsa. Oczywiście, jedno z tylnych świateł nie działało.

- Powiniennem mu wlepić mandat - burknął Dutch, kiedy Hawkins wjechał z poślizgiem w zakręt.

- Wyrzuc mnie przy podjeździe. Nie musisz podprowadzać wozu do samych drzwi - powiedział Wes, gdy zbliżali się do jego domu.

Dutch zatrzymał auto. Przez długą chwilę żaden z nich się nie odezwał. Wes wpatrywał się pośpiesznie przed siebie.

- Nie przechodzi, co? - spytał wreszcie.

Dutch przeklął zawieruchę.

- Jutro rano zamierzam dostać się na górę, choćbym miał sobie przyprawić skrzydła i tam dolecieć.

- Może właśnie to będziesz musiał zrobić. Gdzie teraz jedziesz?

- Pokręcę się trochę po mieście, sprawdzę, czy wszystko w porządku.

- Może darowałbyś sobie już na dzisiaj, Dutch? Złap trochę snu.

- Nie zasnąłbym, nawet gdybym chciał. Jadę na adrenalinie i kawie.

Wes przyglądał mu się przez dłuższą chwilą.

- Poleciłem cię do tej roboty, Dutch - powiedział wreszcie.

Dutch odwrócił głowę i spojrzał twardo na przyjaciela.

- Masz jakieś wątpliwości?

- Nie. Jednak myślę, że powinienem ci przypomnieć, jak bardzo twoja przyszłość zależy od tego, czy odniesiesz tutaj sukces.

- Posłuchaj, jeśli uważasz, że odwalam w pracy fuszerekę...

- Tego nie powiedziałem.

- W takim razie, o co chodzi?

- Chciałem tylko przypomnieć, że chodzi o twoją i moją reputację.

- A ty przecież zawsze musisz się dobrze zabezpieczyć, co, Wes?

- Żebyś wiedział.

Dutch parsknął śmiechem.

- Zawsze miałeś dużych, nieprzyjemnych liniowych, którzy cię chronili. Jeśli tego nie robili, urządzałeś im prawdziwe piekło. Na mnie skakali obrońcy z karkami grubszymi niż moja talia, ale ciebie nic nie obchodziło, że ściągali mnie w dół i rolowali na murawie. Wszystko było OK tak długo, jak tobie nie działa się żadna krzywda.

Zdał sobie sprawę z tego, jak dzieciennie zabrzmiały jego słowa pełne pretensji o dawne dni, kiedy obaj grali w drużynie futbolowej. Powstrzymał się od dalszych komentarzy. To, co powiedział wcześniej Wes, było smutną, nieprzyjemną prawdą i Dutch doskonale o tym wiedział. Wkurzało go po prostu to, że ktoś powiedział mu ją prosto w oczy.

- Dutch - odezwał się wreszcie Wes spokojnym, wyważonym tonem. - Nie gramy tu sobie w pchełki, ani nawet w futbol. W naszym małym miasteczku pojawił się psychopata, który uprowadza nasze kobiety. Zniknęło już pięć. Bóg jeden wie, co z nimi zrobił. Ludzie są przerażeni, na granicy szaleństwa. Zastanawiają się, ile jeszcze niewinnych dziewcząt padnie ofiarą tego zbrojnego, zanim zostanie złapany.

- O co ci konkretnie chodzi?

- Chodzi mi o to, że nie zauważyłem, abyś starał się rozwiązać ten miejscowy kryzys choćby w połowie tak usilnie, jak dziś starałeś się dotrzeć do Lilly, uwięzionej w miłym, przytulnym domku podczas zamieci. Rozumiem, martwisz się o nią. Oczywiście twoja troska jest do pewnego stopnia uzasadniona, ale, na Boga, nabierz do tej sprawy dystansu.

- Nie pouczaj mnie, panie przewodniczący rady miejskiej - łagodny głos Dutcha miał się nijak do pulsującego w nim gniewu i wściekłości. - Trudno cię uznać za opokę moralności, Wes. Zwłaszcza jeśli chodzi o kobiety - dodał dobitnie.

11

- Masz astmę?

- Chroniczną. Niealergiczną. - Lilly przesunęła dłonią po wnętrzu pustej teraz torebki, wiedząc, że to bezcelowe. Małego woreczka, w którym trzymała lekarstwo, nie było w środku. Z niepokojem przeczesła palcami włosy, a potem ukryła twarz w dłoniach. - Gdzie one są?

- Ale teraz nie masz ataku astmy.

- Dlatego że mam lekarstwa, które mnie przed nimi chronią. Inhalator i tabletki.

- Bez nich...

- Mogłabym dostać ataku, który prawdopodobnie będzie poważny, ponieważ nie mam przy sobie leku rozszerzającego oskrzela.

- Leku rozszerzającego...

- Oskrzela. Oskrzela - powtórzyła niecierpliwie. - Inhalatora, którego używam podczas ataku.

- Widziałem ludzi, którzy przechodzili coś podobnego.

- Bez leków nie będę mogła oddychać. - Wstała i zaczęła kraść po pokoju, zataczając małe kółka. - Gdzie jest ten woreczek? Był mniej więcej tej wielkości. - Ułożyła dłonie w odległości piętnastu centymetrów od siebie. - Zielony jedwab

z naklejonymi okrągłymi kryształkami. Jedna z moich pracownic podarowała mi go na ostatnie święta Bożego Narodzenia. Spostrzegła, że moja stara kosmetyczka się już zużyła.

- Może zostawiłaś...

Zanim skończył, potrząsnęła gwałtownie głową.

- Zawsze mam go w torebce, Tierney. Zawsze. Dziś po południu również go miałam.

- Jesteś pewna?

- Na sto procent. Oddychanie zimnym powietrzem może wywołać atak, więc użyłam jednego z inhalatorów, zanim opuściłam tę chatę. - Czując rosnącą panikę, wykręciła ręce. - Był w mojej torebce dziś po południu, ale teraz go nie ma, więc co się stało?

- Uspokój się.

Odwróciła się do niego, rozgniewana tym, że nie rozumiał jej strachu. Nie wiedział, jak to jest, gdy walczy się o każdy oddech i czuje potworny lęk, że któryś z nich stanie się ostatnim.

- Nie mów mi, żebym się uspokoiła! Nie masz pojęcia...

- Zgoda. - Chwyił ją za ramiona i lekko potrząsnął. - Nie wiem niczego o astmie poza tym, że histeria na pewno nie pomaga. Zaczynasz się nakręcać, więc się uspokój.

Nie podobał jej się ten surowy ton, ale oczywiście Tierney miał rację. Kiwnęła głową i wydostała się z jego uścisku.

- W porządku, jestem spokojna.

- Dobrze. Teraz spróbujemy odtworzyć fakty. Użyłaś inhalatora, kiedy wychodziłaś z chaty, tak?

- Gdy byłam przy drzwiach. Wiem, że włożyłam go z powrotem do torebki. Pamiętam, że szarpałam się trochę z suwakiem, bo miałam już rękawiczki. Nawet jeśli przez przypadek zostawiłabym go w domu, byłby tu przecież, a my przeszukaliśmy każdy cal i żadne z nas nie zauważyło niczego podobnego.

- Kiedy uderzyłaś w drzewo, twoja torebka upadła na podłogę samochodu, pamiętasz?

Dopiero teraz Lilly sobie przypomniała.

- Rzeczywiście -jęknęła. - Musiał wtedy wypaść. Był na wierzchu, bo włożyłam go tam tuż przed wyjazdem.

- W takim razie to jedyne logiczne wytłumaczenie. Kiedy wyciągałaś torebkę spod rozbitej tablicy rozdzielczej, sprawdziłaś, czy jest w niej woreczek z lekami?

- Nie. Nie przyszło mi to do głowy. Myślałam wyłącznie o tym, jak wydostać nas z kłopotliwej sytuacji.

- W normalnych okolicznościach kiedy potrzebujesz kolejnej dawki leku?

- Przed snem. Chyba że dostałabym ataku. Wtedy musiałabym użyć jednego z inhalatorów natychmiast.

Tierney zastanawiał się przez chwilę.

- Wobec tego musimy zrobić wszystko, aby zapobiec atakowi. Co może go spowodować, poza oddychaniem zimnym powietrzem? A tak przy okazji, jak, do diabła, zdołałaś się wspiąć pod górę, niosąc mnie prawie na barana, i nie dostałaś przy tym ataku?

- Leki mają długotrwałe działanie zapobiegawcze. Kiedy je biorę, mogę robić co tylko chcę, pod warunkiem że nie przesadzam. Na przykład spływy kajakowe - dodała ze słabym uśmiechem.

- Tylko że ta wędrówka pod górę mnie niemal całkowicie wyczerpała. Jak ty to zrobiłaś, Lilly?

- Pewnie poczułam w sobie nadludzką moc. Kiedy leżałaś na drodze, a ja pobiegłam do samochodu po koc i inne rzeczy, zastanawiałam się, dlaczego nie czuję skoku adrenaliny, który podobno zdarza się wszystkim w kryzysowych sytuacjach.

- Może czułaś, tylko nie zdawałaś sobie z tego sprawy.

- Najwyraźniej tak. Wracając do sprawy, atak może być wywołany nadmiernym wysiłkiem, ekspozycją na różne podrażniające substancje, jak kurz, pleśń czy zanieczyszczenia powietrza. Tu na górze to mi nie grozi, zwłaszcza w zimie, ale dochodzi jeszcze stres, który zdecydowanie może wywołać atak. - Przerwała na chwilę, a potem ciągnęła dalej: - Po śmierci Amy miałam częste nawroty astmy, bo dużo płakałam. Z czasem stały się coraz rzadsze, ale powinnam unikać

nadmiernego zdenerwowania. - Posłała mu odważny, jak się jej wydawało, uśmiech. - Jestem pewna, że wszystko będzie w porządku. Nie sądzę, by coś się stało, jeśli ominę kilka dawek leku.

Spojrzał na nią w zamyśleniu, a potem przeniósł wzrok na drzwi.

- Pójdę do samochodu i przyniosę ci ten woreczek.

- Nie! - chwyciła go kurczowo za rękaw. Nie było gorszej perspektywy od pozostania samej podczas ataku, bez pomocy i bez lekarstw.

Tuż po śmierci Amy dostała kiedyś ataku w środku nocy. Obudził ją świszczący dźwięk jej własnego oddechu. Zaczęła kaszleć, wypływając tony ohydneho śluzu. Zanim zażyła odpowiedni lek, jej drogi oddechowe niemal całkowicie się zablokowały. Był to szczególnie przerażający epizod, ponieważ Lilly była sama. Dutch nie wrócił na noc do domu. Nie zadzwonił nawet z informacją, że przyjdzie później. Kiedy skończyły mu się żałosne wymówki, uznał, że wygodniej będzie po prostu nie dzwonić w ogóle, niż usiłować tłumaczyć się przez telefon.

A ona wreszcie przestała czekać i poszła spać. Pamiętała, co później myślała: że byłaby to niezła nauuczka dla Dutcha, gdyby nie zdołała na czas użyć inhalatora albo gdyby lekarstwa nie zadziałały należycie. Zastałby ją martwą, i musiałyby żyć ze świadomością, że jego żona udusiła się, kiedy on był z inną kobietą.

Zdała sobie nagle sprawę, że nadal trzyma Tierneya za rękaw. Puściła go.

- Nie uda ci się dotrzeć do samochodu i z powrotem. Stracisz przytomność - powiedziała. - Zgubisz się, zamarzniesz i umrzesz, a ja zostanę tu sama i nadal bez leków. Pogorszysz tylko moją sytuację.

Zaczerpnął powietrza w płuca i wypuścił je powoli.

- Obawiam się, że masz rację. Odłożę tę wycieczkę do czasu, kiedy nie będzie już innego wyjścia.

- Jeżeli do tego dojdzie, nie wychodź bez ostrzeżenia. -

Wstydziała się targających nią emocji, ale Tierney musiał to zrozumieć. - Przez całe życie zmagam się z astmą. Silny atak to nadal potworne przeżycie. Mogę być sama, jeżeli mam przy sobie inhalator. Ale teraz go nie mam. Nie chcę obudzić się sama, walcząc o łyk powietrza, Tierney. Obiecuj mi.

- Obiecuję - rzekł miękko.

Jedno z polan w kominku zsunęło się ze stosu, wzbijając chmurę iskier. Lilly uklękła przy palenisku i rozgarnęła żar pod żelazną kratą.

- Lilly?

- Hmm? - Kiedy Tierney nie odpowiedział, odwróciła głowę. - Co?

- Co byś powiedziała na spanie razem?

Marilee Ritt spędziła relaksujący wieczór.

Chociaż nie zostało to oficjalnie ogłoszone, wiedziała, że następnego dnia nie będzie zajęć. Nawet jeżeli autobusy kursowałyby normalnie, to przy tak ekstremalnych temperaturach szkoła musiałaby zapłacić zbyt dużo za ogrzanie wszystkich pomieszczeń. Niemniej dyrektor najwyraźniej czerpał przyjemność z powiadamiania wszystkich o odwołaniu zajęć dopiero w ostatniej chwili. Najczęściej robił to na godzinę przed rozpoczęciem zajęć. Była to jego mała gierka, żeby nikt nie poczuł się zbyt pewnie.

Zazwyczaj Marilee zajęłaby się sprawdzaniem klasówek, ale dziś zamiast tego obejrzała jeden z filmów, który przyniosła do domu z wypożyczalni. Główna bohaterka była pustą lalą, bohater zaś - łajdakiem pozbawionym jakichkolwiek pozytywnych cech. Jedynym atutem filmu było ewidentny erotyzm emanujący z obojga atrakcyjnych aktorów i świetna piosenka tytułowa w wykonaniu Stinga. Cóż z tego, że w fabule były nieścisłości, a dialogi niemądre? Marilee nie spodziewała się adaptacji Dostojewskiego, lecz zabawnego eskapizmu i świetnie się bawiła.

Przechodząc przez dom, pogasiła światła i upewniła się, że wszystkie drzwi są zamknięte na klucz. Spojrzała w głąb

korytarza. Nie zauważyła światła wydostającego się przez szczelinę pod drzwiami Williama. Domyśliła się, że jest w łóżku już od kilku godzin. Wcześniej kładł się spać i wcześniej wstawał.

Udała się do swojej sypialni i zamknęła drzwi. Nie włączyła jednak lampy. Dobiegające z zewnątrz światło latarni wystarczyło. Zdjęła ozdobne poduchy z łóżka i odwinęła kołdrę. Potem poszła do łazienki i zaczęła się rozbierać. Robiła to powoli, z namysłem. Każdą część garderoby odkładała na bok, zanim przystępowała do zdejmowania kolejnej. Jej skóra pokryła się gęsią skórką, ale się nie spieszyła.

Kiedy była naga, rozpuściła włosy. Potrząsnęła głową i przecesała palcami lniane kosmyki, z których w głębi duszy była bardzo dumna. Lubiła czuć, jak opadają miękko na jej nagie ramiona.

Włożyła szlafrok, który wisiał na haku zamontowanym na drzwiach. Był niemodny i dość kusy, ale uwielbiała koronki i jedwab, dlatego nosiła go przez cały rok. Trzęsąc się z zimna, wróciła do sypialni.

Zamierzała właśnie wejść do łóżka, kiedy złapał ją od tyłu jedną ręką w tali, a drugą zasłonił usta. Próbowwała krzyczeć i wygięła plecy, usiłując wyrwać się intruzowi.

- Ciiiiii! - syknął prosto w jej ucho. - Uspokój się, albo będę musiał cię skrzywdzić.

Marilee przestała się szarpać.

- Teraz już lepiej - powiedział. - Czy twój brat śpi?

- Hmm-mmm?

Ścisnął jej talię mocniej i przyciągnął do siebie. Czuła jego gorący wilgotny oddech na swojej szyi.

- Pytałem, czy twój brat śpi.

Zawahalała się przez chwilę, a potem pokiwała głową.

- Dobrze. Bardzo dobrze. Rób, co ci każę, a nie zrobię ci nic złego. Zrozumiałaś?

Jej serce waliło jak młotem, ale znów pokiwała głową na zgodę.

- Jeżeli zabiorę rękę z twoich ust, będziesz krzyczała?

Potrząsnęła przecząco głową, nieco zbyt gwałtownie, aby gest wydał się szczery.

- Jeżeli to zrobisz... - zaczął groźnie intruz.

Marilee potrząsnęła głową bardziej stanowczo. Powoli wycofał dłoń, którą zasłaniał jej usta.

- Co chcesz ze mną zrobić? - spytała płaczkliwie.

Intruz pokazał jej, co chce z nią zrobić.

12

Chwytał szorstko jej dłoń, przesunął do tyłu i położył na swoim obnażonym penisie. Zaskoczona Marilee gwałtownie nabrała powietrza. Intruz zacisnął jej palce na swoim przyrodzeniu i zaczął przesuwać po nim jej dłonią w górę i w dół.

Widziała odbicie ich obojga w lustrze wiszącym na przeciwnej ścianie. Antyczne, owalne lustro w kremowych drewnianych ramach ozdobionych małymi różyczkami odziedziczyła po matce, która z kolei dostała go w spadku po swojej babci.

W odbiciu, które teraz w nim widziała, nie było jednak nic uroczego. Zmysłowy obraz. Surowy. Erotyczny. W ciemności ujrzała siebie, w krótkim jedwabnym szlafroku. Intruz pozostawał w mroku. Widziała tylko wełnianą wojskową czapkę i parę błyszczących oczu, spoglądających w jej odbicie.

Pocierając ją między pośladkami, szepnął:

- Ściągnij szlafrok.

Potrząsnęła głową, protestując.

- Nie! - rzuciła stanowczo.

Zanim zdążyła zareagować, zerwał jedwabną podomkę z jej ramion. Materiał opadł, odsłaniając piersi. Mężczyzna objął ją, masując i ściskając jej sutki. Marilee jęknęła.

- Ciii - szepnął ostro.

Przygryzła dolną wargę. Mężczyzna przesunął jedną rękę w dół i spróbował wsunąć ją między jej uda.

- Rozchyl nogi - kazał.
- Proszę...
- Natychmiast.

Rozsunęła uda o kilka centymetrów.

- Szerzej.

Zawahała się, ale potem zrobiła, co kazał. Wepchnął palce w jej wilgotne wnętrze. Spojrzeli na siebie w lustrze. Oczy mężczyzny jarzyły się z podniecenia.

- Uklęknij i połącz twarz na materacu.

Marilee uklękła na samym brzegu łóżka, a potem obniżyła tułów tak, że jej policzek spoczął na materacu. Mężczyzna pieścił ją, obnażał, otwierał. Jego dłonie były gorące, czubek penisa wsuwał się i drażnił ją, zanim wszedł w nią cały. Konwulsyjnie zacisnęła dłonie na prześcieradle, tak mocno, jak jej ciało zacisnęło się na jego przyrodzeniu. Intruz zajęczał i pchnął głębiej.

- Powiedz, co ci robię.

Marilee wymamrotała coś w prześcieradło.

- Głośniej.

Powtórzyła słowo i poruszyła biodrami, ocierając się o niego.

- Zaraz dostaniesz orgazmu, prawda? - Jego pchnięcia stały się krótsze i szybsze.

- Tak - wyjęczała, oddychając spazmatycznie.

Po kulminacji poczuła, że jest mokra, osłabiona i niesłychanie szczęśliwa. Fala rozkoszy zaczęła słabnąć. Wtedy znów chwycił jej biodra, a jego całe ciało naprężyło się i zaczęło pulsować. Poczuła kolejny orgazm, nie tak silny jak pierwszy, lecz równie satysfakcjonujący. Kiedy odzyskała oddech, położyła się na łóżku, odwróciła i sięgnęła ku mężczyźnie.

- To było ekscytujące.

Znał wszystkie jej fantazje, ponieważ opowiedziała mu o nich. Nie zawsze je odgrywali, ale uwielbiała, gdy tak się działo.

Chwycił jej piersi w dłonie i potarł kciukami stwardniałe brodawki.

- Lubisz się bać.
 - Najwyraźniej. Inaczej nie pozwalałabym ci się tu wślizgiwać ukradkiem. - Pocałowali się długo, namiętnie. Kiedy skończyli, Marilee pogłaskała go po twarzy. - Widziałeś moje przedstawienie w łazience?
 - Nie czułaś, że się przyglądam?
 - Owszem. W chwili gdy weszłam do łazienki, wiedziałam, że tam jesteś. Chciałam robić mój striptiz dłużej, może nawet trochę się popieścić, wiesz...
 - Podobałoby mi się to.
 - Następnym razem. Dziś było zbyt zimno. Szczerze mówiąc, nie spodziewałam się ciebie, ze względu na pogodę.
- Całując ją, zjechał w dół, do jej brzucha, a potem uklękł między rozchyłonymi udami. Wtulając w nią twarz, mruknął:
- Nie potrafiłbym się trzymać od tego z daleka.

William Ritt stał pod drzwiami sypialni Marilee jeszcze przez kilka minut, podsłuchując. Potem uśmiechnął się zadowolony i ledwie powstrzymując chichot, na palcach powędrował z powrotem przez ciemny korytarz do swojego pokoju.

Propozycja Tierneya kompletnie zaskoczyła Lilly. Wpatrzyła się w niego, zbyt wstrząśnięta, aby odpowiedzieć.

- Może powinienem poruszyć sprawę bardziej delikatnie, a nie wyskakiwać z takim bezpośrednim pytaniem niczym diabeł z pudełka - powiedział. - Zazwyczaj jestem nieco bardziej subtelny.

Był bardziej subtelny, kiedy zapraszał kobietę do łóżka? Lilly zastanawiała się, jak często się to zdarzało, chociaż była przekonana, że często. I zapewne tylko nieliczne kobiety odmawiały.

Roześmiała się z pozorną beztroską.

- Nie wiem, czy ma mi to pochlebić, czy mnie obrazić? Dlaczego uważasz, że bardziej subtelny sposób by na mnie nie podziałał?

- Bo do ciebie nie stosują się żadne reguły, Lilly.

- Dlaczego?
- Jesteś zbyt inteligentna i zbyt piękna.
- Nie jestem piękna. Atrakcyjna może, ale nie piękna.
- Owszem, jesteś. Pomyślałem tak w chwili, kiedy wszedłeś do autobusu, tamtego dnia.

Lilly przypomniała sobie, że spóźniła się wtedy kilka minut i wsiadła do autokaru jako ostatnia. Stała przodem do pozostałych pasażerów, szukając wolnego miejsca. Tierney siedział w trzecim rzędzie, obok okna. Fotel obok niego był wolny. Popatrzyli na siebie, Lilly uśmiechnęła się w odpowiedzi na jego uśmiech, ale nie przyjęła milczącego zaproszenia, aby usiąść obok. Przeszła i zajęła miejsce w rzędzie tuż za nim.

Drzwi zamknęły się i autobus ruszył. Przewodnik wstał z miejsca i stanął w przejściu, aby ich przywitać oraz wygłosić dziesięciminutową przemowę o środkach bezpieczeństwa i o tym, co ich czeka na rzece. Jego żarty były dość kiepskie; pewnie mówił je już tysiące razy. Lilly jednak roześmiała się uprzejmie, podobnie jak Tierney.

Kiedy przewodnik skończył swoją radosną pogadankę i usiadł obok kierowcy, pozostali pasażerowie zaczęli ze sobą rozmawiać. Tierney odwrócił się do niej.

Ben Tierney.

Lilly Martin.

Miło mi cię poznać, Lilly.

- Tamtego dnia wyglądałaś pięknie - powiedział.

Lilly wiedziała, że powinna natychmiast przerwać rozmowę. Tierney łamał reguły. Mieli koncentrować się wyłącznie na praktycznych sprawach i pozostawić wszelkie osobiste spostrzeżenia dla siebie. Mimo to chciała usłyszeć, co miał do powiedzenia. Zmarszczyła brwi i spojrzała na niego.

- W moim stroju do kajakarstwa?
- Czarny spandeks nigdy nie wyglądał na nikim lepiej.
- To nieprawda, ale mimo wszystko dziękuję.
- Przedstawiłaś się panieńskim nazwiskiem. Do czasu mojej kolejnej wizyty w Cleary nie miałem pojęcia, że Lilly Mar-

tin, którą poznałem na wycieczce, była panią Burton, pozostającą w separacji z Dutchem, nowo zatrudnionym szefem policji.

- Używam mojego panieńskiego nazwiska zawodowo. Kiedy złożyłam pozew o rozwód, zaczęłam je stosować przez cały czas. Kto ci powiedział, że ja i Dutch byliśmy małżeństwem?

- Pewien staruszek, Gus Elmer. Znasz go?

Potrząsnęła przecząco głową.

- Jest właścicielem domku letniskowego, który wynajmuję, kiedy odwiedzam te okolice. Barwny facet, zawsze chętny do rozmowy ze swoimi gośćmi. Nie wzbudzając jego zbytnej ciekawości, zapytałem, czy zna niejaką Lilly Martin, która ma tu gdzieś w okolicy górską chatkę.

- Zapewne się o mnie nasłuchiłaś.

- Jeżeli nawet Gus się na początku mitygował, to burbon uśpił jego sumienie - uśmiechnął się krzywo Tierney. - Do czasu gdy opróżnił butelkę, wiedziałem już o tobie niemal wszystko, włączywszy historię o śmierci Amy. To wiele wyjaśniało.

- Co?

Zastanowił się chwilę, zanim odpowiedział:

- Tego dnia, na rzece, zauważyłem, że za każdym razem, gdy zaczynałaś się śmiać, nagle przestawałaś, jakbyś przyłapała się na złym uczynku. Twój uśmiech, błysk rozbawienia w oczach natychmiast zniknęły. Wtedy nie wiedziałem, co mam o tym myśleć. Dlaczego zmuszałaś się do tego, żeby przestać się cieszyć? Zupełnie jakbyś nie miała prawa do zabawy i radości.

- Dokładnie tak się czułam.

- Radość wzbudza w tobie poczucie winy, ponieważ Amy umarła, a ty nadal żyjesz.

- Tak twierdzi mój psychoanalityk.

Niesamowite. Zdawał się ją rozumieć tak dobrze. Zupełnie jakby znał jej najgłębsze tajemnice, uczucia skrywane na dnie duszy. Najwyraźniej potrafił czytać w jej myślach już wtedy, podczas ich pierwszego spotkania. Czuła się dobrze, że może

rozmawiać nieskrępowanie o Amy, ale przenikliwość Tierneya wytrącała ją nieco z równowagi.

Rozsiadł się tuż obok niej, przy palenisku.

- Dzisiaj, kiedy opowiadałaś mi o śmierci córki, rozpoznałem ten sam smutek, który zauważyłem w tobie tamtego dnia.

- Przepraszam.

- Dlaczego przepraszasz?

- Smutek sprawia, że ludzie czują się niekomfortowo.

- Może inni, ale nie ja.

Spojrzała na niego ciekawie.

- Dlaczego?

- Podziwiam to, jak starasz się pokonać swój żal.

- Nie zawsze z dobrym wynikiem.

- Najważniejsze jednak, że mu się nie poddałaś. - Nie musiał dodawać: „jak twój mąż”. Sugestia była oczywista.

- Mów co chcesz, ale nikt nie chce się zadawać ze smutkami - mruknęła.

- Ja nadal tu jestem.

- To dlatego, że nie możesz uciec. Jesteśmy uwięzieni, pamiętasz?

- Jakoś nie narzekam. Właściwie muszę się do czegoś przyznać. Cieszę się, że jesteśmy tu sam na sam, odcięci od reszty świata - obniżył głos. - Ta rozmowa rozpoczęła się pytaniem.

- Nie, nie będę z tobą spała.

- Wysłuchaj mnie najpierw. Moglibyśmy w ten sposób utrzymać ciepło, a nawet je wygenerować, rozbierając się i przytulając do siebie pod kilkoma kocami. Połączone ciepło naszych ciał pomoże nam przetrwać noc.

- Ach, rozumiem. Sugerujesz, że to wyłącznie potrzeba chwili.

- Niezupełnie. Na jakieś siedemdziesiąt pięć procent.

- I właśnie te pozostałe dwadzieścia pięć mnie niepokoi.

Wyciągnął rękę i chwycił kosmyk jej włosów, ale nie tak, jak wtedy, gdy rozmawiali na parkingu. Tym razem nie od razu go puścił, lecz zaczął się nim delikatnie bawić.

- Pragnąłem cię od pierwszej chwili, gdy cię zobaczyłem. Po co marnować czas na subtelności, skoro jestem absolutnie pewny, że doskonale o tym wiedziałaś? Chcę cię poczuć pod sobą. Ale, i to bardzo ważne, nie zrobię nic, dopóki nie będę pewien, że ty również tego chcesz. Dzisiaj w nocy będziemy się przytulać wyłącznie w tym celu, by utrzymać ciepło. - Rozwarł palce i wypuścił kosmyk włosów, obserwując, jak opada na ramię Lilly. Potem spojrzał jej prosto w oczy. - Przysięgam.

Patrząc w jego oczy i słysząc szczerą w schrypniętym głosie, wiedziała, że dotrzyma słowa. W pewnym sensie. To, co powiedział, było bowiem niezwykle podniecającą deklaracją pożądania.

Lilly nie ufała jednak sytuacji. Wyobraziła sobie oboje w łóżku, rozebranych, choćby tylko częściowo, i przytulających się do siebie wyłącznie w tym celu, by utrzymać ciepło, bez żadnych erotycznych konotacji. Kogo Tierney próbował oszukać? Może siebie, bo ona nie da się nabrać.

Oczywiście, gdyby dali się ponieść pragnieniom, świat by się nie skończył. Niemniej, znała tego mężczyznę zaledwie... ile? Licząc ten dzień spędzony na rzece, wszystkiego może piętnaście godzin. Nawet w obecnej epoce seksualnej swobody, gdy ludzie zaspokajali swoje pragnienia bez względu na konsekwencje, była to jednak zbyt krótka znajomość.

Wiedziała o Tierneyu tylko tyle, że jest dobrym słuchaczem i potrafi pisać ciekawe i treściwe artykuły do gazet. Czy była gotowa do fizycznego zbliżenia z mężczyzną, którego prawie nie znała? Kobiety z młodszego pokolenia nazwałyby ją zapewne staroświecką, pruderyjną i tchórzliwą. Ale ona wolała o sobie myśleć jako o osobie roztropnej.

- Nie, Tierney. Moja odpowiedź nadal brzmi nie.

- W porządku - uśmiechnął się krzywo. - Daję słowo, gdybym był na twoim miejscu, też bym sobie nie ufał. - Wstał. - W takim razie przejdźmy do planu B. Odetniemy wentylację w sypialni i łazience i zamkniemy oba pomieszczenia. Sami zostaniemy tutaj, gdzie jest najcieplej. Mogę przy-

nieść materac dla ciebie i położyć go obok kominka. Sam prześpię się na kanapie, w bezpiecznej, półtorametrowej odległości. Jeżeli jednak nie życzysz sobie aż takiej bliskości, zrozumiem.

Lilly wstała i otrzepała spodnie.

- Plan B brzmi doskonale.

- Świetnie, że się zgadzasz. Zaraz zacznę wszystko organizować. - Ruszył w stronę sypialni.

- Tierney?

Zatrzymał się i odwrócił.

- Dziękuję za to, że zaakceptowałeś moją decyzję. Jesteś bardzo miły.

Spoglądał na nią przez kilka chwil, a potem dwoma krokami pokonał dzielący ich dystans.

- Nie jestem aż tak miły.

13

- Czytałeś kiedyś Księgę Jeremiasza, Sowa?

- Jeremiasza? Nie, sir. Nie całą, tylko wybrane wersety.

Agent specjalny Begley zamknął Biblię, którą czytał przez ostatnie piętnaście kilometrów. Pokonanie ich zajęło agentowi Wise'owi dwie godziny.

- Pan miał w Jeremiaszu oddanego człowieka.

- Tak, sir.

- Jehowa nakazał mu ogłosić ludziom rzeczy, których nie chcieli słyszeć i wiedzieć.

Sowa nie znał zbyt dobrze ksiąg Starego Testamentu, więc zgodził się z komentarzem Begleya niezobowiązującym chrząknięciem.

- On je zabija, wiesz?

Desperacko usiłując utrzymać samochód na drodze, a jednocześnie podążać za tokiem rozumowania Begleya, Sowa zaczął się zastanawiać, czy ów „on” odnosił się do proroka,

Boga, czy też do niezidentyfikowanego przestępcy, który zerował na społeczności Cleary. Uznał, że pewnie to ostatnie.

- Prawdopodobnie ma pan rację, sir. Chociaż z drugiej strony, jeśli nasz porywacz ograniczył działalność wyłącznie do tej okolicy, bo jak dotąd nie znaleźliśmy powiązania z żadnym innym uprowadzeniem tego typu w pozostałych częściach kraju, można by przypuszczać, że do tej pory odnaleziono by już zwłoki przynajmniej jednej z ofiar.

- Tak, ale spójrz na te okolice. - Begley potarł rękawem oszronioną szybę w swoim oknie, odsłaniając widok skutego lodem krajobrazu. - Setki hektarów lasu. To trudny górzysty teren, pełen skalistych koryt rzek, jaskiń i zwierzyny, która też będzie działała na jego korzyść. Moim zdaniem, skarmia tymi dziewczynami niedźwiedzie.

Sowa odbiło się kwasem żołądkowym. Ostatnia kawa, którą wypił, pozostawiła gorzko-kwaśny smak w jego ustach.

- Miejmy nadzieję, że nie, sir.

- To słabo zaludniony teren. Ten skurczybyk, który podłożył bomby w parku olimpijskim w Atlancie, ukrywał się tutaj latami, zanim go namierzyli. Nie, Sowa. Gdybym ja zabijał młode kobiety, właśnie takie okolice wybrałbym na miejsce swoich łowów - wskazał przed siebie. - To już tutaj?

- Tak, sir.

Sowa nigdy nie był szczęśliwszy, widząc wreszcie cel swojej podróży. Prowadził przez całą noc, przemierzając drogi, które bardziej nadawały się do jazdy na sankach. Na jednym z rozjazdów, niedaleko Charlotte, wjazd na rampę był zablokowany przez wóz patrolowy. Wysiadł z niego policjant i gestem nakazał im się cofnąć. Posłuszny rozkazom Begleya, Sowa kontynuował podróż. Oficer ruszył w ich kierunku, krzycząc gniewnie:

- Nie widzicie, co wam pokazuję? Nie możecie przejechać. Autostrada jest zamknięta.

Sowa opuścił szybę. Begley pochylił się, machnął odznaką przed nosem policjanta, wyjaśnił, że ścigają groźnego przestępcę, pokłócił się z oficerem, nadużył swojego stanowiska,

aż wreszcie zagroził, że zepchnie jego pieprzony wóz patrolowy z pieprzonej drogi, jeżeli policjant natychmiast nie zabierze swojej dupy. Gliniarz ustąpił.

Sowie udało się wjechać na rampę bez poślizgu, ale od tamtego czasu jego kark i ramiona były spięte do granic wytrzymałości. Begley zdawał się nie zważać na niebezpieczeństwa tej podróży, a może polegał na umiejętnościach Sowy bardziej niż on sam.

Begley pozwolił się zatrzymać tylko dwa razy. Kupili wtedy kawę i przekąski na wynos. Podczas ostatniego postoju Sowa nie miał nawet czasu zapiąć porządnie rozporka po skorzystaniu z toalety, kiedy Begley zaczął go poganiać.

Brzask tylko nieznacznie rozświetlił panujące wokół ciemności. Niskie chmury wiszące nad okolicą były niesamowicie gęste, a mgła i zadymka śnieżna ograniczały widoczność do kilku metrów. Oczy Sowy były zmęczone od nieustannego wypatrywania drogi. Samochód poruszał się z maksymalną prędkością dwudziestu pięciu kilometrów. Przyspieszenie, choćby nieznaczne, byłoby samobójstwem. Zamarzający deszcz ze śniegiem, który padał poprzedniego dnia, teraz zmienił się w prawdziwą śnieżycę, jakie Sowa rzadko widywał w ciągu swojego trzydziestosiedmioletniego życia.

Marzył o tym, żeby przed przesłuchaniem Tierneya wziąć prysznic, ogolić się, napić czarnej, mocnej kawy i zjeść gorące, pożywne śniadanie. Kiedy jednak zbliżyli się do miasteczka, Begley kazał mu jechać od razu do ośrodka wypoczynkowego, w którym zatrzymał się ich podejrzany.

Whistler Falls Lodge składał się z kilku domków letniskowych, leżących wokół jeziora utworzonego przez spadający z gór wodospad. Wzdłuż płotu, który okalał plac zabaw, nagromadziły się wielkie zasy śniegu. Z komina w budynku administracyjnym unosił się dym. Poza tym znakiem ludzkiej obecności miejsce wydawało się opuszczone.

Sowa ostrożnie zjechał sedanem z autostrady na coś, co, miał nadzieję, było drogą dojazdową, teraz pokrytą grubą warstwą śniegu.

- Który to domek? - spytał Begley
- Numer osiem. - Sowa skinął głową w kierunku chaty. - Ten najbliższy jeziora.

- Tierney nadal jest zameldowany?
- Wczoraj wieczorem jeszcze był. Nie widzę jednak jego samochodu. - Tylko przy jednym domu stało częściowo przyspane auto. Nigdzie nie było śladów kół na śniegu. - Może zapytamy właściciela?

- Po co? - zdziwił się Begley. Sowa spojrzał na niego. - Widzę nawet z tej odległości, że drzwi do domku numer osiem nie są zamknięte, agencie Wise. Założę się, że jeżeli zapukamy, same się otworzą.

- Ale sir, jeżeli to nasz człowiek, nie chcemy, żeby mu się upiekło z powodu niedopełnienia procedur.

Sowa zaparkował przed domkiem. Kiedy wysiadł z samochodu, od razu zapadł się po kostki w śniegu. Niemniej przyjemnie było rozprostować kości. Wiatr utrudniał mu oddychanie, a gałki oczne wydawały się zamarzać, ale możliwość przeciągnięcia się i rozluźnienia pleców była warta drobnych niewygód.

Begley zdawał się nie zauważać przenikliwie zimnego wiatru ani sypiącego z nieba śniegu. Ruszył w stronę schodów prowadzących na werandę. Spróbował otworzyć drzwi, a kiedy okazało się, że są zamknięte, użył karty kredytowej, aby odblokować zamek. Kilka sekund później Sowa i jego przełożony znaleźli się w środku.

Było tu cieplej niż na zewnątrz, ale i tak na tyle chłodno, aby przy każdym oddechu z ich ust wydobywały się obłoki pary. Popiół w kominku był szary i zimny. Przylegająca do saloniku wnęka kuchenna została wysprzątana. Nie znaleźli żadnego jedzenia. Umyte talerze i garnki na suszarce były zupełnie suche.

Begley podparł się w pasie i obrócił powoli, lustrując wzrokiem wszystkie szczegóły.

- Wygląda na to, że mieszkał tu od jakiegoś czasu. Nie wyjechał dziś rano, ponieważ zobaczylibyśmy na śniegu ślady

opon jego cherokee. Masz jakieś przemyślenia, Sowa, na temat tego, gdzie pan Tierney spędził noc?

- Nie, sir.

- Nie miał tu żadnej dziewczyny?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Krewni?

- Nie. Tego jestem pewien. Był jedynakiem, rodzice nie żyją.

- W takim razie gdzie spędził noc, do cholery?

Sowa nie znał odpowiedzi na to pytanie.

Podreptał za Begleyem do głównej sypialni. Po pobieżnym zlustrowaniu pomieszczenia, Begley wskazał na łóżko.

- Pani Begley powiedziałyby, że to byle jak pościelone łóżko. Zawsze powtarza, że tak właśnie robią to mężczyźni. Jeżeli w ogóle.

- Tak, sir.

Sowa był mężczyzną, ale nigdy nie zostawiał rozgrzebanej pościeli i zawsze sprawdzał, czy prześcieradła są równo podwinęte pod materac. Podobnie nie pozwalał naczyniom zalegać na suszarce. Wycierał je i odkładał na miejsce. Trzymał wszystkie płyty w porządku alfabetycznym, według wykonawców, a nie tytułów, skarpetki segregował pod względem kolorów, od najjaśniejszego do najciemniejszego, od lewej do prawej. Wolałby jednak odciąć sobie język, niż sprzeczać się w tej sprawie z Begleyem.

W odróżnieniu od salonu, sypialnia Tierneya wyglądała jak najbardziej na zamieszkaną. W rogu stała para ubłoconych kowbojek. Na środku leżał otwarty worek marynarski, z którego wysypywały się ubrania. Na biurku pod oknem tkwiły porozrzucane czasopisma. Sowa przejrzał pobieżnie tytuły, powstrzymując impuls, aby porządnie ułożyć magazyny.

- Pornografia? - spytał Begley.

- Przygoda, sport, rozrywki na powietrzu, zdrowie i sprawność fizyczna. Takie, do których pisuje artykuły.

- Cholera - rzucił wyraźnie rozczarowany Begley. - Sądząc po dużym pokoju, Tierney lubi po sobie sprzątać.

- Co pasuje do profilu naszego niezidentyfikowanego podmiotu śledztwa - rzekł Sowa, zdając sobie sprawę, że tym samym oskarża swoje własne obsesyjne tendencje.

- To prawda. Ale to... do diabła! Ten pokój wygląda jak sypialnia mojego najstarszego syna. W takim razie kim jest Tierney? Pieprzonym psycholem czy normalnym facetem, który lubi przebywać na świeżym powietrzu i nie używa świerszczyków do zaspokajania swoich fantazji?

Było to retoryczne pytanie - i dobrze, ponieważ fakt, że Begley nazywał pornografię „świerszczykami” odebrał Sowie mowę.

Przełożony zajrzał do otwartej szafy.

- Nic specjalnego, ale wszystko dobrej jakości - zauważył po obejrzeniu metek na kilku rzeczach.

- Potwierdza to wyciąg z jego karty kredytowej. Tierney nie zagląda do sklepów z wyprzedają.

Begley obrócił się na pięcie i szybko wyszedł z pokoju. Przemierzył salon i otworzył drzwi prowadzące do drugiego pokoju. Zrobił dwa kroki do przodu i zatrzymał się jak wryty.

- Proszę bardzo, Sowa!

Agent dołączył do szefa i stanął w drzwiach do pokoju.

- O rany! - zachłysnął się.

Na ścianie ponad stołem, który, jak się Sowa domyślił, powinien stać we wnęcie kuchennej, wisały zdjęcia pięciu zaginionych kobiet. Na blacie leżał laptop i skarbica dowodów w postaci przeróżnych dokumentów. Były tam wycinki z „Cleary Call” i innych gazet, wydawanych nawet w Raleigh i Nashville, z całymi akapitami podkreślonymi kolorowym flamastrem. Żółte bruliony były pełne notatek. Niektóre fragmenty przekreślono, inne podkreślono lub zaznaczono jako warte ponownego przejrzania i zapamiętania. Na stole było również pięć folderów z odręcznymi notatkami, wycinkami z gazet i opublikowanymi zdjęciami każdej z pięciu zaginionych kobiet. Każda wzmianka o niezidentyfikowanym sprawcy była podkreślona niebieskim flamastrem. Begley wskazał na jedną z nich.

- Błękitny.
- Zauważyłem, sir.
- Jego ulubiony kolor.
- Na to wygląda.
- Od czasu, gdy wprowadził Torrie Lambert.
- Tak jest.
- Komputer...
- Zapewne jest zabezpieczony hasłem.
- Myślisz, że potrafisz to obejść, Sowa?
- Z pewnością spróbuję, sir.
- Nie ruszać się, chyba że chcecie, żebym poodstrzeliwał wam makówki - głos, który rozległ się za ich plecami, przywodził na myśl dźwięki wydawane przez betoniarkę. - Podnieśta ręce i odwróćta się, tylko powoli.

Begley i Sowa zrobili, jak im kazano, i wpatrzyli się w wyłoty luf dwururki.

- Dzień dobry, panie Elmer - powiedział szybko Sowa. - Pamięta mnie pan? Charlie Wise?

Mężczyzna stał na środku salonu, z bronią złożoną do strzału. Kiedy Sowa nazwał go po imieniu, zmarszczył oczy, aby uważniej przyjrzeć się intruzom. Jego twarz była czerwona i pomarszczona niczym persymona, która zbyt długo leżała na słońcu. Na głowie miał złachaną, nadzartą przez mole czapkę, spod której wystawały kosmyki włosów tego samego siwożółtego koloru, co broda. Plamy po tytoniu znaczyły rozciągnięte teraz w uśmiechu usta i bezzębne dziąsła, w których tkwiły samotnie trzy brązowe pieńki.

- Boże przenajświętszy, toż mogłem was zabić! - Opuścił strzelbę. - Przyjechał pan wręczyć panu Tierneyowi nagrodę?

Sowa musiał przez chwilę pomyśleć, zanim przypomniał sobie historyjkę, którą wymyślił na poczekaniu, aby wyjaśnić swoje zainteresowanie Tierneyem.

- Nie. To agent specjalny Begley, mój przełożony. My...
- Gus, jesteś tam?
- Wiecie... - odezwał się Gus Elmer - zadzwoniłem po policję. Myślałem, że ktoś chce ukraść rzeczy pana Tierneya.

Begley wymamrotał pod nosem stek przekleństw.

Staruszek odwrócił się i pomachał w kierunku policjanta, który, z pistoletem w dłoni, zaglądał do środka przez drzwi. Obrzucił agentów FBI ciekawym spojrzeniem.

- To są ci włamywacze?

- Nie jesteśmy włamywaczami. - Sądząc po tonie Begleya, agent miał już dość tych nonsensów i zamierzał przejąć kontrolę nad sytuacją. Popchnął Sowę do przodu i zdecydowanym ruchem zamknął za sobą drzwi do sypialni, aby dwaj pozostali mężczyźni nie zauważyli ich niedawnego odkrycia. - Jesteśmy z FBI - ciągnął. - A teraz proszę schować broń do kabury, zanim pan kogoś zastrzeli, na przykład mnie.

Oficer był młody, według Sowy nie miał jeszcze trzydziestu lat. „Lodołamacze” Begleya i jego autorytatywny ton wyraźnie go zdenerwowały. Poprosił o wylegitymowanie się agentów. Posłuchali. Ucieszony, że intruzi okazali się tym, za kogo się podawali, przedstawił się.

- Harris, z wydziału policji w Cleary. - Dotknął daszka służbowej czapki, obsypanej topiącym się śniegiem. Nogawki spodni miał wepchnięte w wysokie kalosze. Podbita futrem krótka skórzana kurtka wydawała się za mała o jeden lub dwa rozmiary, przez co ramiona policjanta nie zwiślały naturalnie wzdłuż ciała, lecz odstawały nieco na boki.

Gus Elmer podrapał się w brodę i spojrzął ciekawie na Sowę.

- Naprawdę pan jest agentem FBI? Nie żartuje pan?

- Nie żartuję - wyręczył Sowę Begley.

- Po co przyjechaliście? Czego chcecie od pana Tierneya?

- Porozmawiać z nim.

- O czym niby? Ścigają go za coś? Co takiego zrobił?

- Też chciałbym wiedzieć - wtrącił Harris. - Zamierzacie go aresztować?

- Nic podobnego. Mamy po prostu do niego kilka pytań.

- Pytań, co? - Harris zastanawiał się przez chwilę, przyglądając się obu agentom z lekkim zwątpieniem. - Macie nakaz przeszukania tych pomieszczeń?

Najwyraźniej nie był aż tak niedoświadczony, jakby się mogło wydawać.

- Twój przełożony nazywa się Burton, tak? - Begley zignorował pytanie oficera.

- Tak jest, sir. Dutch Burton.

- Gdzie mogę go znaleźć?

- Teraz?

Było to tak głupie pytanie, że Begley nawet nie pofatygował się z odpowiedzią. Nie uznawał niczego poza „teraz”.

- Em... właśnie słyszałem, że szef pojechał po Cala Hawkinsa - zająknął się Harris, zdając sobie sprawę z gafy, jaką popełnił. - Hawkins prowadzi pług śnieżny, jedyny w całym mieście. Szef miał go zabrać na kawę do drogerii.

- Sowa, wiesz, gdzie jest ta drogeria? - spytał Begley. Sowa pokiwał głową. - Przekaż komendantowi Burtonowi, że spotkamy się z nim tam za pół godziny - rozkazał Harrisowi. - Zrozumiano?

- Tak, ale on bardzo się spieszy...

- Nie ma niczego ważniejszego od tej sprawy. Powiedz mu, że to moje słowa.

- Tak jest, sir - rzucił Harris. - Co z tym nakazem?

- Później. - Begley pokiwał palcem na młodego oficera, który pochylił się w jego kierunku. W przeciwieństwie do zbyt ciasnej kurtki, jego buty wydawały się co najmniej o numer za duże. Begley nachylił się ku niemu i przemówił nagłym tonem: - Kiedy będziesz rozmawiał z komendantem Burtonem przez radio, powiedz mu, że musimy się spotkać jak najszybciej. To absolutnie konieczne. Nie wspominaj żadnych nazwisk, rozumiałeś? To niezwykle ważna i delikatna sprawa. Za wszelką cenę należy zachować dyskrecję. Czy mogę liczyć na twoje milczenie?

- Oczywiście, sir. Rozumiem. - Policjant ponownie dotknął daszka czapki i wyszedł.

Kiedy Sowa został przeniesiony z biura w Charlotte, cieszył się z możliwości pracy dla sławnego agenta. Do tej pory nie miał jednak możliwości współpracować z nim osobiście.

Była to pierwsza okazja, aby zobaczyć szefa w akcji i podziwiać jego niezwykle umiejętności, które tak rozślawiły go wśród innych agentów, a także w środowisku przestępczym. Koledzy po fachu uczyli się od Begleya. Przestępcy również, tyle że dla nich nauka kończyła się dość nieprzyjemnie.

Chociaż Begley nigdy nie wspominał o swojej służbie na Środkowym Wschodzie, krążyły opowieści, że rozmową uratował siebie i trzech innych ludzi od egzekucji za szpiegostwo przeciwko reżimowi Saddama Husajna. Chociaż oskarżenia były jak najbardziej uzasadnione, Begley przekonał ludzi, którzy go pojмали, że się pomylili i bardzo drogo zapłacą za złe traktowanie lub tym bardziej zabicie swoich jeńców. Po pięciu dniach od chwili uprowadzenia czwórka zakurzonych, spragnionych mężczyzn wmaszerowała do foyer hotelu Hilton w Bagdadzie, ku zdumieniu kolegów, dyplomatów i dziennikarzy, którzy postawili już na nich krzyżyk.

Oczywiście z każdym powtórzeniem historia nabierała coraz to nowego kolorytu, ale Sowa nie wątpił w jej prawdziwość. Begley był niezwykle uczciwy, ale miał umysł i duszę przestępcy. Jego reputacja jako manipulanta była bardziej niż zasłużona.

Dzisiaj na przykład nie zdradził Harrisowi żadnej istotnej informacji, ale mile połechtął jego ego, wtajemniczając młodego oficera w „bardzo ważną, niezwykle delikatną sprawę”. W ten sposób sprawił, że chłopak zapomniał o braku nakazu sądowego na rewizję i o tym, że agenci zostali przyłapani na gorącym uczynku. Begley podkreślił również, że Harris powinien bezzwłocznie skontaktować się ze swoim szefem, dzięki czemu pozbył się go, odbierając widownię Gusowi Elmerowi.

- Napiłbym się kawy, a ty, Sowa? - powiedział nagle. - Panie Elmer, czy możemy nadużyć pańskiej gościnności?

- He? - Staruszek zmarszczył czoło i wpatrzył się w Begleya pytająco.

- Czy ma pan kawę? - przetłumaczył Sowa.

- A, tak. W biurze. Podobnie jak dobrze rozgrzany ko-

minek. Patrzcie pod nogi. Te schody są śliskie jak glut na kłamce.

Kilka minut później siedzieli już wszyscy w skórzanych fotelach na biegunach przed kominkiem pełnym trzaskających w ogniu polan. W butach Sowy topił się śnieg. Stopy miał zimne i mokre, przysunął więc nogi jak najbliżej ognia.

Kubki, które zaferował im Gus Elmer, były tak poobtłukiwane na brzegach i brązowe od osadu, jak trzy zęby ich właściciela, ale podany w nich płyn był gorący, mocny i przepyszny. A może smakował tak, ponieważ Sowa bardzo go potrzebował?

Gus Elmer robił wszystko, żeby pomóc agentom FBI w śledztwie, ale podał im właściwie te same informacje, które już wcześniej uzyskał od niego Sowa. Ben Tierney był spokojnym, miłym w obyciu gościem, którego karty kredytowe zawsze działały bez zarzutu. Jediną dziwną rzeczą było to, iż odmawiał wpuszczania do swojego domku sprzątaczk. Stało się to dla agentów zrozumiałe, gdy zobaczyli, co kryje druga sypialnia.

- Jeżeli to jego jedyne dziwactwo, to nie mam nic przeciwko temu - powiedział Gus. - Idealny wczasowicz. Zawsze zostawia domek w dobrym stanie, wyłącza światła, wyrzuca śmieci do kontenerów, żeby niedźwiedzie i szopy się do nich nie dostały, a w dniu wyjazdu zawsze opuszcza chatę przed południem. Tak jest, proszę panów, przestrzega przepisów. Jeszcze jak.

- Imponujący jeleń - zauważył Begley. Wskazał ogromne popiersie zawieszone na kamiennej ścianie nad kominkiem. - Sam pan go ustrzelił?

Była to taktyka, z której słynał. Podczas przesłuchania co jakiś czas wtrącał niezwiązany ze sprawą komentarz. Twierdził, że pomaga to w uzyskiwaniu spontanicznych odpowiedzi. Przeskakując nagle z tematu na temat, nie dopuszczał, aby przesłuchiwany zaczął przewidywać kolejne pytania i mentalnie przygotowywał na nie odpowiedzi. W ten sposób Begley uzyskiwał informacje istotne dla śledztwa.

- Czy pan Tierney kiedykolwiek rozmawiał z panem o kobietach?

Elmer, który podziwiał właśnie swoje trofeum, odwrócił głowę i spojrzał na Begleya z niezrozumieniem.

- O kobietach?

- No, o żonie, byłych żonach, dziewczynach, kochankach? Czy kiedykolwiek czynił jakieś uwagi na temat swojego życia erotycznego? - dodał, ścisząc głos.

Staruszek się zaśmiał.

- Nie przypominam sobie, a to akuratnie bym zapamiętał. Raz zapytałem go, czy oczekuje przyjazdu żony, a on zaprzeczył i wyjaśnił, że jest rozwiedziony.

- Myśli pan, że Tierney jest heteroseksualistą?

Staruszek rozdziawił buzię, wystawiając ich na nieapetyczny widok.

- Chce pan powiedzieć, że to ciota? On?

- Nie mamy powodu, aby uważać, że jest homoseksualistą - odparł Begley. - Niemniej wydaje się dziwne, że samotny, przystojny mężczyzna nigdy nie wspominał przy panu o płci pięknej.

Sowa był coraz bardziej pod wrażeniem sposobu, w jaki Begley dyskretnie testował pamięć Gusa Elmera. Liczył na to, że stary jest homofobem. Taki człowiek nie życzyłby sobie, aby jego stały klient, którego polubił, okazał się czymś innym niż normalnym mężczyzną, samcem do szpiku kości. Jeżeli Tierney kiedykolwiek wspominał przy nim o jakiejś kobiecie, staruszek zrobi wszystko, aby sobie przypomnieć.

- Teraz, jak sobie tak myślę, pewnego ranka rzeczywiście coś tam wspominał o tej ostatniej dziewczynie, co ją porwano - powiedział. Widać było, że próbuje się skoncentrować. Bezwiednie wsunął palec do ucha i zaczął w nim dłubać.

- Czy będzie miał pan coś przeciwko, jeżeli poczęstuję się jeszcze kawą? - Begley, nie czekając na odpowiedź, wstał i podszedł do ekspresu do kawy stojącego po drugiej stronie pokoju.

- Przyszedł tutaj do biura po egzemplarz „Call” i zaczął czytać artykuł na pierwszej stronie. Powiedziałem: „Jak dla mnie, to w mieście grasuje jakiś wariat”. Na to on, że współczuje rodzicom tej dziewczyny, że muszą przechodzić przez piekło i takie tam.

Begley wrócił na fotel i siedział teraz, dmuchając na kawę, żeby nieco ostygła.

- Znakomita kawa, panie Elmer. Agencie Wise, niech pan zapamięta markę.

- Oczywiście.

- Przed powrotem do Charlotte chciałbym kupić trochę dla mojej żony. To wszystko, co pan Tierney powiedział o zaginionej dziewczynie? - zaskoczył Elmera pytaniem.

- Niech się zastanowię - staruszek z ledwością nadał za Begleyem. - Nie. Mówił też, że widział ją na dzień czy dwa przed jej zniknięciem.

- Czy wspominał gdzie?

- W sklepie, w którym kupuje ubrania. Mówił, że wstał tam po parę skarpetek i ona je dla niego zapakowała.

- O której to było?

- Zaczy kiedy poszedł do sklepu? Nie mówił. Zwinął gazetę, wziął mapę i powiedział, że idzie w góry. Ostrzegłem go, żeby się nie dał niedźwiedziom, na co się roześmiał i obiecał, że się postara, a poza tym przecież niedźwiedzie zasypiają na zimę, nie? Kupił kilka batoników w automacie i wyszedł.

- Nigdy nie wspominał o innych zaginionych kobietach?

- Nie. Nie mogę powiedzieć, żeby... - Nagłe Gus Elmer przerwał, spojrzał bystro na Begleya, a potem na Sowę, który za wszelką cenę starał się zachować pokerową twarz. Staruszek przeniósł wzrok z powrotem na Begleya i przełknął głośno. Sowa miał jedynie nadzieję, że przedtem wypluł większość tytoniu, który przeżuwał. - Myślicie, że to pan Tierney porywa te kobiety?

- Ależ skądże. Chcieliśmy jedynie z nim porozmawiać, żeby wykreślić go z listy możliwych kandydatów.

Mówiąc to, Begley nie okazał ani krzty emocji, ale Gus Elmer nie dał się nabrać na jego pozorną nonszalancję. Potrząsnął głową i podrapał się po żółtawej brodzie.

- To ostatnia osoba, jaką bym podejrzewał o taką podłość.

- Czy kiedykolwiek czynił jakieś uwłaczające uwagi o kobietach? - spytał Sowa, pochylając się nieco do przodu.

- Uw... uwa... jakie?

- Negatywne, niemiłe komentarze.

- Ach! Że niby o kobietach?

- O kobietach generalnie, albo o jakiejś konkretnej osobie?

- Nie, już wam powiedziałem. Jedyne raz, kiedy... - prze-rwał, sięgnął po pustą puszkę po Dr. Pepperze i splunął w nią. - Zaraz, chwilunia. Właśnie sobie o czymś przypomniałem. - Zamknął oczy. - Tak, teraz wiem. Ostatniej jesieni, pamiętam jak dziś, bo siedzieliśmy na tarasie i podziwialiśmy kolory liści. Zapytał, czy chcę się napić, a ja przystałem. Tylko dla rozgrzania się, wiedzą panowie, bo wieczór był zimny. I jakoś się nam zeszło z rozmową na Dutcha Burtona.

- Komendanta miejscowej policji? - spytał zdziwiony Sowa.

- Tego samego. Dutch pracował tu wtedy może od miesiąca. Rozmawialiśmy z panem Tierneyem o tym, że jako policjant ma twardy orzech do zgryzienia z tymi wszystkimi zaginionymi kobietami i w ogóle.

- Co konkretnie powiedział pan Tierney?

- Nic. Tylko to. - Stary znowu splunął do puszek, otarł usta wierzchem dłoni i uśmiechnął się do nich szeroko. - Jeśli o mnie chodzi, to bardziej był zainteresowany żoną Dutcha. Teraz już byłą żoną.

Begley zerknął na Sowę, jakby upewniając się, że ten słuchał.

- Co to znaczy?

- Wygląda na to, że pan Tierney spotkał ją latem. - Gus Elmer uśmiechnął się jeszcze szerzej, z wyraźną ulgą. - Tak po prawdzie, to jestem pewien, że nie jest ciotą. Jeśli o mnie chodzi, był pod dużym wrażeniem byłej żony Dutcha.

- Pod wrażeniem? - Begley przestał się bujać na fotelu. Staruszek roześmiał się chrapliwie.
- Zadurzony, rozkochany, napalony czy jak tam sobie chcecie.

14

Lilly obudziła się z zimna. Przez chwilę nie pamiętała, gdzie jest i dlaczego się tu znalazła. Leżała w ubraniu, zwinięta w kłębek pod trzema kocami. Przenikliwy ziąb przenikał ją aż do kości.

Spojrzała na kominek, który nie dawał już ciepła. Kiedy Tierney zgasił światła, w palenisku tlił się jeszcze żar. Teraz zostały już tylko popioły. Lilly zsunęła koc z twarzy i odechnęła głęboko, wypuszczając obłoczek pary przez usta.

Propan musiał się skończyć w nocy. Od tej chwili ich jedynym źródłem ciepła będzie kominek. Lilly wiedziała, że powinna wstać i dorzucić drewna do ognia. Ruch by ją rozgrzał. Nie mogła się jednak zmusić do opuszczenia względnie ciepłego kokonu.

W pokoju nadal było ciemno. Przez szpary w zasłonach przedostawało się do wnętrza słabe światło. Za oknami szalał wiatr, równie silny jak poprzedniego dnia. Od czasu do czasu oblodzone gałęzie drzew stukały w dach. Doskonały dzień na przytulenie się do kogoś. Może powinna jednak zaakceptować propozycję Tierneya? Gdyby to zrobiła, nie trzęsłaby się teraz z zimna.

Nie. Podjęła właściwą decyzję. Zbyt wiele bliskości jeszcze bardziej skomplikowałoby ich sytuację. Już zwykły pocałunek wprowadził w ich znajomość niezły zamęt.

Zwykły pocałunek? Nic z tych rzeczy.

Nie trwał długo, ale zaparł jej dech w piersi. Tierney uwolnił ją z objęć niemal natychmiast. Odwrócił się do niej plecami i kontynuował rozmowę, jakby przed chwilą nic się nie wy-

darzyło. Powiedział, że chyba może już bezpiecznie położyć się spać, bo od wypadku minęło kilka godzin. Lilly zgodziła się z nim, starając się być równie nonszalancka jak on. Tierney usiłował ją namówić do zjedzenia czegokolwiek, ale powiedziała, że nie jest głodna. On również oświadczył, że nie chce mu się jeść. Pozwolił jej skorzystać z łazienki jako pierwszej. Sam w tym czasie ściągnął z łóżka materac i przeniósł go do dużego pokoju. Lilly skarciła go za to, że nie poczekał na jej pomoc, ale odrzekł, że nie zamierza pozwolić, aby szarpała się z materacem, skoro nadmierny wysiłek może wywołać atak astmy. Przypomniała mu wtedy, że on z kolei ma wstrząs mózgu, ale materac leżał już w salonie, nie było więc sensu dalej się o to kłócić.

Zanim wyszedł z łazienki, Lilly zdążyła się już umościć wygodnie pod kocami. Zgasił więc światła i ułożył się na sofie. Spytał, czy jest jej wystarczająco ciepło, i zaoferował jeden ze swoich koców. Odmówiła, zapewniając, że to, co ma, w zupełności jej wystarczy.

Wydawał się niespokojny. Długo nie mógł ułożyć się na kanapie. Lilly spytała, czy boli go głowa, ale odparł, że nie jest tak źle. Nie zgodził się, by obejrzała ranę, ponownie ją odkaziła i zmieniła opatrunek. Uspokoił ją, że zajął się tym w łazience. Nie przekonał jej, bo niby jakim sposobem obejrzał potylicę, mając do dyspozycji tylko jedno lustro, ale postanowiła nie być nadmiernie dociekliwa.

Tierney powiedział, że jest bardzo posiniaczony, ale nie zauważył żadnych objawów wskazujących na krwawienie wewnętrzne, na co Lilly zareagowała niedorzecznie: „To dobrze”. Potakujące chrząknięcie oznaczało koniec konwersacji.

Minęła dobra godzina, zanim Lilly udało się zasnąć, a mogłaby przysiąc, że gdy odpływała w sen, Tierney był nadal przytomny. Przez cały ten czas leżała sztywna, milcząca i... wyczekująca?

Po pocałunku napięcie między nimi wzrosło do granic wytrzymałości. Rozmowa stała się sztywna, urywana. Oboje unikali kontaktu wzrokowego i byli dla siebie nadmiernie uprzej-

mi. Usiłując zbagatelizować pocałunek, sprawili, że nabrał on jeszcze większego znaczenia. Gdyby obrócili całą sytuację w żart: „No dobrze, mamy to już z głowy. Zaspokoiliśmy ciekawość, a teraz możemy się odprężyć i zająć przetrwaniem zamieci w górach”, pocałunek stałby się nieważnym epizodem. Zamiast tego oboje udawali, że w ogóle się nie zdarzył. A ponieważ żadne z nich nie chciało popełnić niezręczności, mówiąc lub robiąc coś, co zakłóciłoby i tak już chwiejną równowagę, sprawa pozostała niewyjaśniona. Mimo tego niezręcznego udawania obojętności i omijania tematu na siłę, Lilly w głębi ducha spodziewała się, że Tierney wymamrocze w końcu coś w rodzaju: „to jakaś głupota”, wstanie z kanapy i położy się przy niej na materacu.

Ponieważ to nie był zwykły pocałunek. To było preludium.
- Nie jestem aż tak miły - powiedział.

Ułamek sekundy później trzymał jej twarz w swoich silnych dłoniach, które tak podziwiała przez cały wieczór, i przyciskał usta do jej ust. Nie zawahał się ani nie poprosił o pozwolenie. Czy był skruszony lub onieśmielony? Nic z tych rzeczy. Od chwili, gdy ich usta się zetknęły, poczuła jego głód i pragnienie.

Rozchylił jej kurtkę i sięgnął pod spód. Objął ją i przyciągnął do siebie, unosząc nieco w górę. Objął dłońmi jej pośladki i przytrzymał w sposób, który niedwuznacznie mówił: pragnę cię.

Ciepła fala pożądania rozlała się po jej podbrzuszu i udach. Cudownie było poczuć znowu przypływ uczuć, których nie mógł zastąpić żaden narkotyk. Nic nie wywoływało takiego dreszczyku emocji, jak oszałamiające łaskotanie podniecenia seksualnego. Lilly nie czuła tego od lat. Po śmierci Amy ani ona, ani Dutch nie potrafili znaleźć w sobie wystarczająco wiele pozytywnych emocji, by uprawiać dobry seks. Próbowali, ale generowanie na siłę entuzjazmu stało się tak trudne, że Lilly przestała nawet udawać orgazmy. Ów chłód był kolejnym czynnikiem obniżającym już i tak niską samoocenę jej męża. Dutch usiłował podbudować nieco swoje ego przez licz-

ne romanse. To akurat Lilly mogła przeżyć, a nawet wybaczyć. Chodził do innych kobiet po coś, czego ona nie potrafiła mu już dać. Nie mogła mu jednak przebaczyć romansów, w które się zaangażował, zanim Amy została poczęta.

Dużo czasu zabrało jej zrozumienie, dlaczego Dutch syział z innymi kobietami na początku ich małżeństwa, kiedy ich życie intymne wciąż jeszcze było wspaniałe. Pojęła wreszcie, że potrzebował nieustannego upewniania się o swej męskości - w łóżku, a jeszcze bardziej poza nim. Zrozumiała jednocześnie, jak trudno dostarczać takiego wsparcia przez cały czas. Nigdy nie było mu dosyć.

Spotkali się na imprezie dobroczynnej organizowanej przez departament policji w Atlancie. Dutch, który niedawno zdobył rozgłos, rozwiązując sprawę seryjnego morderstwa, był dumą całego wydziału. Został poproszony o wygłoszenie przemówienia na bankiecie.

Na podium wydał się jej przystojnym, czarującym i elokwentnym mężczyzną. Jego historia była fascynująca: czołowy napastnik uniwersyteckiej drużyny futbolowej stał się bohaterem rozwiązującym najtrudniejsze zagadki kryminalne. Jego przemówienie przekonało śmietankę towarzyską do hojnych datków, Lilly zaś do podejścia do niego. Pod koniec przyjęcia zdążyli się już umówić na randkę. Po sześciu miesiącach pobrali się i przez następny rok ich życie nie mogło być lepsze. Oboje ciężko pracowali, zajmując się swoimi karierami, ale także prowadzili intensywne życie i uprawiali mocny seks. Kupili górską chatę i spędzali w niej weekendy. Czasami nie wychodzili wtedy z łóżka całymi dniami. W tamtych czasach Dutch był pewnym siebie mężczyzną, czułym i hojnym partnerem, namiętym i delikatnym kochankiem, a także oddanym mężem.

Potem zaczęły się kłótnie, ponieważ nie potrafił się pogodzić z tym, że Lilly zarabiała więcej od niego. Usiłowała go przekonać, że nie ma znaczenia, kto ile zarabia. Dutch wybrał służbę społeczeństwu, wiadomo zaś było wszem wobec, iż takie zawody, choć bardzo wymagające, były źle opłacane i zde-

cydowanie niedoceniane. Mówiła to, w co wierzyła, on zaś słyszał jedynie próby uzasadnienia jego niepowodzenia. Obawiał się, że nigdy nie osiągnie takiego sukcesu, jaki odniosła Lilly w swojej dziedzinie.

Z czasem obsesja Dutcha na tle jego rzekomego upadku stała się rzeczywistością. Jednocześnie gwiazda Lilly jaśniała coraz silniejszym blaskiem, a to coraz bardziej nadwierało męską ambicję jej męża. Starał się ją podreperować, spijając z kobietami, które uważały go za dziarskiego bohatera, jakim rozpaczliwie starał się być.

Za każdym razem, kiedy Lilly wypominała mu romanse, wyrażał głęboki żal i zarzekał się, że były to jedynie przelotne miłości. Lilly jednak odbierała to inaczej i wreszcie zagroziła, że od niego odejdzie, na co odrzekł, że nie przeżyłby tego. Obiecał, że pozostanie jej wierny, wyznał, że ją kocha i błagał o przebaczenie. Zgodziła się - ponieważ nosiła pod sercem Amy.

Obietnica dziecka wzmocniła ich małżeństwo, jednak tylko do chwili, gdy mała się urodziła. Już wkrótce Dutch zaczął się widywać z jakąś policjantką. Kiedy Lilly oskarżyła go o zdradę, co do której miała pewność, Dutch zaprzeczył wszystkiemu i złożył jej podejrliwość na karb zmęczenia, depresji poporodowej, laktacji i burzy hormonalnej. Jego lekceważenie obraziło ją bardziej niż oczywiste kłamstwa, jakimi ją karmił wcześniej.

Amy stanowiła neutralny obszar na polu bitewnym ich małżeństwa. Tylko dzięki niej potrafili jeszcze jakoś współżyć. Lilly generowała z siebie wystarczająco wiele miłości, aby wszystko wyglądało normalnie. Oboje cieszyli się przyjściem na świat ich dziecka i wspólne szczęście pomogło im zapomnieć o nieporozumieniach. Unikali wszystkiego, co mogło spowodować zadrażnienia. Nie byli szczęśliwi, ale nadal żyli ze sobą. Później Amy umarła i ciężar smutku zniszczył podwaliny ich małżeństwa. Związek zmieniał się w coraz większą farsę, aż wreszcie Lilly uznała, że już gorzej być nie może.

A potem przekonała się, że była w błędzie.

Wspominając teraz incydent, który był dla niej ostatecznym ciosem i końcem małżeństwa, Lilly zdrzała i instynktownie podciągnęła kolana, wtulając głowę w poduszkę. Po chwili jednak przypomniała sobie, że jej małżeństwo jest już przeszłością. Nie musiała już nawet o nim myśleć. Wczoraj ostatecznie uwolniła się od Dutcha. Nie była już z nim związana ani emocjonalnie, ani legalnie. Z czystym sumieniem mogła zająć się tylko swoją przyszłością.

O ironio, Ben Tierney pojawił się w jej życiu dokładnie tego dnia, w którym oficjalnie stała się wolną kobietą. Zeszłej nocy nie tylko sprawił, że jej dawno uspione zmysły erotyczne obudziły się nagle, ale że się wręcz rozszalały. Kiedy ją pocałował, niemal zemdląca z wrażenia.

Pociągał ją od chwili, gdy uśmiechnął się do niej po raz pierwszy, w rozklekotanym, porzewiałym autobusie. Przez cały dzień tamtego lata na sływie stopniowo dowiadywała się o nim wielu rzeczy i coraz bardziej go lubiła. Nie chodziło wyłącznie o jego wygląd, choć było to oczywiste - czego miała w nim nie lubić? Chodziło o jego inteligencję, sposób, w jaki potrafił rozmawiać na każdy temat.

Inni ludzie z ich grupy również byli nim oczarowani. Dwie licealistki wcale się z tym nie kryły. A pewien chwalipięta, który na początku próbował ignorować znakomite umiejętności kajakarskie Tierneya, koniec końców zaczął go prosić o wskazówki. Tierney przyciągał do siebie ludzi bez specjalnego wysiłku. Wszyscy stawali się od razu jego przyjaciółmi.

On jednak pozostawał tajemnicą.

Zaprzyjaźniał się z ludźmi, wypytując o ich sprawy i słuchając, jak mało kto. Sam jednak nie opowiadał zbyt wiele o sobie. Czy to właśnie ta cecha sprawiała, że był tak uwodzicielsko tajemniczym mężczyzną?

Zdziwiła się, wypowiadając w myślach słowo uwodzicielski. W jakiś sposób miało ono nieprzyjemny wydźwięk. Niemniej, nie mogła znaleźć lepszego określenia, aby opisać magnetyzm Tierneya. Przy każdym ich spotkaniu reagowała na tę jego niezdefiniowaną cechę z siłą, która nieco ją przerażała.

Od pierwszego pozdrowienia, powoli, lecz nieuchronnie zbliżali się do pocałunku z ostatniej nocy. Każde z nich szykowało się na to na swój sposób. Kiedy więc Tierney ją pocałował, Lilly wydało się to czymś nieuniknionym, co po prostu zostało opóźnione o kilka miesięcy.

Pocałunek wart był długiego czekania. Wyraźnie pamiętała kciuki masujące jej policzki, kiedy odchylił lekko jej głowę i przysunął do swojej twarzy, jego oddech na swoich wargach, język wsuwający się w usta. Samo wspomnienie wywołało w niej pulsowanie pożądania.

Odwróciła się jak najciszej, spojrzała na Tierneya i uśmiechnęła się do siebie. Sofa była dla niego zbyt krótka i nogi wystawały poza oparcie. Zwiniętą poduszkę podłożył pod głowę, aby była wyżej ze względu na ranę. Koce podciągnął pod samą brodę, która w nocy pokryła się lekką szczecina. Po latach nieustannego wystawiania na wiatr i słońce jego skóra była zdumiewająco młoda i niezniszczona. Lilly podobały się kurze łapki w kącikach jego oczu. Spoglądając na lekko spierzchnięte usta, przypomniała sobie ich dotyk na swoich wargach.

Nie miałyby nic przeciwko temu, żeby pocałunek potrwał dłużej. Albo gdyby nastąpił po nim drugi. Nie chciała z nim spać, co nie oznaczało, że miała coś przeciwko pocałunkom. Najwyraźniej jednak Tierney odebrał to właśnie w ten sposób.

Albo nie spodobało mu się to tak jak jej.

Nie. Niemożliwe. Nawet gdyby zignorowała niedwuznaczoną twardość w jego kroczu, to niechętny pomruk, który z siebie wydał, odsuwając się od niej, był wystarczającym sygnałem, że chciał tego pocałunku równie mocno, jeśli nie mocniej niż ona. Wydawał się niemal zagniewany, kiedy go przerwał, odsunął się i odwrócił.

Dlaczego więc nie całował jej dłużej albo przynajmniej nie spytał o pozwolenie na powtórkę? Wyraźnie powiedziała, że nic więcej nie łączy jej z Dutchem. Mógł wprawdzie założyć, że ma kogoś innego, ale...

Nagle przyszło jej coś do głowy.

Ona nie była z nikim związana, ale co z Tierneyem?

Nie nosił obrączki, nie wspomniał nigdy o żonie ani o partnerce, ale też ona o to nie pytała. To, że usiłował się z nią umówić tamtego letniego dnia, niczego nie oznaczało. Żonaci mężczyźni nader często chodzili na randki z innymi kobietami.

Wczoraj w nocy również nie wspomniał o żonie ani dziewczynie, która będzie się o niego martwiła, jeżeli nie wróci do domu. Nie oznaczało to jednak, że nie istniała w jego życiu żadna kobieta, która teraz nerwowo spacerowała po domu, zastanawiając się, gdzie i z kim jest jej mężczyzna - tak jak kiedyś przez wiele, wiele nocy Lilly myślała o Dutchu.

Była naiwna, myśląc, że w życiu Tierneya nie ma żadnej kobiety. Taki przystojny mężczyzna miałby być samotny? Daj spokój, Lilly. Myśl rozsądnie.

Przeniosła wzrok na jego plecak, nadal leżący pod stolikiem do kawy. Wepchnął go tam wczoraj, twierdząc, że nie ma w nim niczego przydatnego. Ale może jednak zawierał coś interesującego na temat jego właściciela.

- Scott.
- Hmmm?
- Wstawaj.
- Hmmm?
- Powiedziałem, wstawaj.

Scott odwrócił się na plecy i otworzył zaspane oczy. W drzwiach do jego sypialni stał Wes, spoglądając na niego surowo. Scott uniósł się, oparł na przedramionach i spojrzał za okno, gdzie wszystko było pokryte szadzią. Nie widział nawet płotu otaczającego ich ogródek.

- Nie odwołali zajęć?
- Jasne że tak. Jeżeli jednak myślisz, że będziesz się tu wylegiwał przez cały dzień, to się grubo mylisz. Wstawaj. Będę na ciebie czekał w kuchni. Masz trzy minuty.

Wes zostawił otwarte drzwi, sygnalizując w ten sposób, że nie pozwoli synowi znowu zasnąć. Przeklinając, chłopak opadł na poduszkę. Nie wolno mu było nacieszyć się odpoczynkiem

nawet w śnieżycę. Wszyscy mogli sobie dzisiaj pobimbać, ale nie on. O nie. Nie syn trenera. Miał ochotę naciągnąć kołdrę na głowę. Gdyby ojciec zostawił go w spokoju, przespałby cały dzień, ale nie, musiał znaleźć się w kuchni za trzy minuty, inaczej słono zapłaci za spóźnienie. Kilka dodatkowych chwil snu nie było tego warte.

Z okrzykiem: „Cholera jasna!” odsunął kołdrę na bok.

Okazało się, że ojciec mierzył czas. Kiedy Scott wszedł do kuchni, Wes oderwał wzrok od zegarka i rzucił mu spojrzenie, które mówiło, że nie zmieścił się w wyznaczonym czasie. Na ratunek pospieszyła mu mama.

- Dzień dobry, kochanie. Jajka na bekonie czy gofry?
- Co ci łatwiej przyrządzić. - Usiadł przy stole i ziewając głośno, nalał sobie soku pomarańczowego.
- O której wczoraj poszedłeś spać? - spytał ojciec.
- Nie wiem. Nie wróciłeś jeszcze do domu.
- Byłem z Dutchem.
- Przez cały czas?
- Kilka godzin.
- Udało się wam wjechać na górę?

Wes zaczął opowiadać im o wydarzeniach ostatniej nocy, a tymczasem Dora podała Scottowi talerz z bekonem, dwoma jajkami sadzonymi i dwoma goframi. Chłopak podziękował jej uśmiechem.

- To dopiero była przygoda - rzekł Wes. - Zwłaszcza wycieczka do tej nory, w której znaleźliśmy Cala Hawkinsa. Dobrze, że udało się nam stamtąd wyjść i nie oberwać kulki, albo nie zostać skopanym po dupie przez trio prostaków.

- Wes!

Roześmiał się, widząc zgorzenie żony.

- Nie denerwuj się tak, Dora. Scott wie o takich rzeczach, nieprawdaż, synu?

Zażenowany przez wzgląd na matkę, Scott spuścił głowę i jadł w milczeniu. Tata uważał, że używanie wulgaryzmów w jego obecności jest fajne. Zupełnie jakby w ten sposób włączył go do sekretnego świata mężczyzn, którzy obdarzeni byli

tego rodzaju przywilejami. Oczywiście była to farsa, ponieważ pod każdym innym względem traktował syna jak dwulatka. Za kilka miesięcy miał skończyć dziewiętnaście lat, lecz nadal ojciec mówił mu, co ma jeść, kiedy chodzić spać i kiedy wstawać.

Był najstarszym uczniem w swojej klasie. Ojciec kazał mu powtarzać szóstą klasę, nie dlatego, że Scott oblał jakiś przedmiot, był opóźniony w rozwoju lub niedostosowany do życia w społeczeństwie. Ojciec chciał mu dać dodatkowy rok na dorosnięcie i rozwinięcie muskulatury, zanim chłopak zacznie grać w drużynie gimnazjalnej. Powtarzanie roku było upokarzające, ale Wes podjął decyzję bez porozumienia się z synem albo z żoną i mimo protestów ich obojga, pozostał przy swoim zdaniu.

- Uniwersyteccy łowcy talentów zaczynają się przyglądać zawodnikom już z siódmej i ósmej klasy - powiedział. - Dodatkowy rok na dorosnięcie da ci przewagę. Pochodzisz z małego miasteczka i będziesz potrzebował wszelkiej pomocy.

Wes nadal podejmował za niego decyzje. Formalnie, Scott był już mężczyzną. Mógł pójść na wojnę i umrzeć za swój kraj, ale nie potrafił się przeciwstawić własnemu ojcu.

- Skończ dzisiaj wypełniać te papiery na studia - nakazał Wes, jakby czytając w jego myślach. - Nie masz żadnego pretekstu, żeby tego nie zrobić.

- Gary zaprosił wszystkich do siebie. - Gary był kolegą z klasy. Scott niespecjalnie go lubił, ale Gary miał w domu stół do bilarda. Spędzenie wolnego dnia na grze w bilard było znacznie przyjemniejszą perspektywą niż zajmowanie się aplikacjami na studia.

- Najpierw skończysz wypełnianie dokumentów - odparł ojciec. - Tym razem sprawdzę, czy wszystko zrobiłeś. Po lunchu zawiozę cię na siłownię, żebyś nie stracił codziennego treningu.

- Sam mogę pojechać.

Wes pokręcił głową.

- Jeszcze wpadniesz w poślizg, uderzysz w coś i złamiesz sobie nogę. Nie, ja cię odwiozę.

- Nic mu się nie stanie, jeżeli opuści jeden trening - wtrąciła mama.

- To jedynie pokazuje, jak mało wiesz na ten temat, Doro. Zadzwoił telefon.

- Odbiorę - rzekł Scott.

- Ja odbiorę. - Wes wyrwał mu słuchawkę z ręki. - Ty zajmij się papierami.

Scott odniósł talerz do zlewu i zaoferował mamie pomoc w załadowaniu zmywarki. Odmówiła.

- Lepiej zrób, co każe Wes. Im szybciej skończysz, tym szybciej będziesz mógł się spotkać z przyjaciółmi.

Wes odłożył słuchawkę.

- To był William Ritt.

Scottowi zjeżyły się włosy na karku.

- Powiedziała, że muszę natychmiast przyjechać do drogerii.

- Po co? - spytał Scott.

- Sklep jest dzisiaj otwarty? - zdziwiła się Dora, wyglądając przez okno.

- Och, tak. Oczywiście. Nie uwierzysz, kto właśnie pojawił się w mieście, żeby porozmawiać z Dutchem. - Wes przetrwał, trzymając Dorę i syna w napięciu przez kilka chwil. - FBI - powiedział wreszcie scenicznym szeptem.

- Czego oni chcą od Dutcha? - spytała Dora.

Scott chyba się domyślał, ale wołał, żeby ojciec odpowiedział za niego.

- Założę się o wszystko, że chodzi o Millicent. - Wes zdjął z wieszaka kurtkę i włożył ją. - Ponieważ jestem przewodniczącym rady miejskiej, Ritt pomyślał, że powinienem wiedzieć o tym zdarzeniu. - Otworzył drzwi prowadzące na tyły domu. - Może mają coś nowego - powiedział, wychodząc.

Scott odprowadził go wzrokiem. Wpatrywał się w zamknięte drzwi jeszcze długo po tym, jak ojciec odjechał do miasta.

Zazwyczaj Linda Wexler przychodziła do pracy w restauracji u Ritta punktualnie o szóstej rano, żeby zaparzyć kawę i przygotować wszystko na otwarcie. Stali bywalcy pojawiali się nieodmiennie o siódmej, spragnieni porcji kaszy kukurydzianej i smażonej szynki.

Tego poranka jednak nie mogła ich powitać w restauracji. Zadzwoiła przed świtem do Williama, że jej posesja wygląda niczym Alaska.

- Dalej pada i to jak. Dopóki pług nie zrobi porządku z bocznymi drogami, nie uda mi się wyjechać.

William przekazał wieści Marilee, która próbowała go przekonać do pozostania w domu i nieotwierania drogerii.

- Kto się dziś rano odważy wyjść na ulicę? Poczekaj chociaż kilka godzin, aż posypią ulice piaskiem.

William jednak ani zamierzał jej posłuchać.

- Już zdążyłem odgarnąć podjazd, a poza tym moi klienci na mnie liczą.

Ich samochody stały pod specjalną wiatą, co ochroniło je przed zasypaniem. Marilee obserwowała przez okno w kuchni, jak William wsiada do swojego wozu, włącza silnik, pokazuje jej zwrócony w górę kciuk i ostrożnie odjeżdża.

Chociaż Marilee usiłowała namówić brata do pozostania w domu, cieszyła się z wolnego dnia, który mogła spędzić sama. Na myśl o tym poczuła się szczęśliwa i wolna. Wróciła do sypialni, zdjęła szlafrok, położyła się w łóżku i oddała erotycznym wspomnieniom ostatniej nocy spędzonej z kochankiem.

Oczywiście nigdy nie zostawał na całą noc, ale też nie wychodził zaraz po stosunku. Przez krótką, magiczną chwilę leżeli razem i oddawali się lubieżnym zalotom. Zetknięci głowami, szeptali, używając języka poezji lub rymowanki, fantazjowali o rzeczach, które wstrząsnęłyby nawet najśmielszymi kochankami. Często wprowadzali swoje słowa w czyn.

Marilee nie odmawiała mu niczego. Miał nieograniczony dostęp do jej ciała. Zanim go spotkała, jej seksualność była ziemią nieznaną. Podczas ich pierwszego zbliżenia, bez wstydu i zahamowań pozwoliła mu nie tylko ją odkryć, ale też spenetrować i wykorzystać.

Dążyli do tego powoli. Znali się od lat, ale dopiero niedawno zaczęli na siebie patrzeć innymi oczyma. Wydawało się, że zaczęli dostrzegać siebie nawzajem jednocześnie, chociaż żadne z nich nie było pewne, czy jego zainteresowanie było odwzajemniane. Krążyli więc wokół siebie ostrożnie, coraz bliżej i bliżej, aż wreszcie okazali sobie wzajemnie zainteresowanie seksualne. Kiedy to się stało, każde z nich zaczęło szukać powodów do kolejnych, na pozór przypadkowych spotkań. Ich rozmowy były przesycone erotyzmem i sugestiami, choć innym wydawały się dość niewinne. Gdy spotykali się wzrokiem, nawet w zatłoczonym miejscu publicznym, odnajdywali w swoich spojrzeniach pragnienie, które, jak każde z nich wyznało później, bardzo ich podniecało.

Pewnego wieczoru dostali wreszcie to, o czym oboje marzyli - czas, który mogli spędzić tylko we dwoje. William pojechał, by remontować starą chatę rodziców, Marilee nie miała więc powodów, aby spieszyć się do domu po pracy. Została w szkole, żeby sprawdzić klasówki przy biurku, zamiast dźwigać je w tę i z powrotem.

On zauważył jej samochód, wciąż zaparkowany na służbowym parkingu. Wszedł do budynku, udając, że kogoś szuka. Pojawił się w otwartych drzwiach klasy. Zaskoczył ją, ponieważ myślała, że jest tu sama. Odbyli uprzejmą i grzeczną rozmowę. Zapytał, czy widziała osobę, której rzekomo szukał, na co odparła przecząco. Oboje wiedzieli jednak doskonale, że wszystko to są wyłącznie pozory.

Zwlekał z odejściem. Marilee chwyciła spinacz i zaczęła mu się przyglądać, jakby był nowym, niesamowitym wynalazkiem. Wreszcie odstawiła go na miejsce. On zdjął kurtkę i przerzucił ją przez ramię, ona zaczęła się bawić perłowym kolczykiem. Znów wymienili kilka nic nieznaczących zdań.

Szybko zabrakło im tematu do rozmowy i słów, które nie byłyby banałami, jednak on nadal nie odchodził. Wpatrywał się w nią wzrokiem pełnym pożądania i tęsknoty, czekając na sygnał, przyzwolenie, aby poddać się fizycznemu pragnieniu, które oboje odczuwali w swojej obecności. To do Marilee miała należeć inicjatywa. On nie mógł wziąć jej sobie na kochankę. Marilee wiedziała o tym, akceptowała to i postanowiła zignorować. Po raz pierwszy zdecydowała, że zachowa się egoistycznie i weźmie z życia to, na co ma ochotę, bez przejmowania się opinią innych. Bez względu na konsekwencje.

Najśmielszą rzeczą, na jaką się odważyła, było poproszenie go, aby towarzyszył jej do magazynu, skąd chciała wziąć książki na jutrzejszą lekcję.

- W przyszłym tygodniu moja piąta klasa zaczyna lekturę *Ivanhoe* - wyjaśniła, gdy szli korytarzem. Odgłos ich kroków odbijał się echem w opustoszałych korytarzach. - Wszystkie książki trzymamy w magazynie.

Otworzyła zamknięte na klucz drzwi i weszła pierwsza, pociągając za sznureczek lampy. Potem zamknęła drzwi, przekręciła klucz i odwróciła się, z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała. Czekała. Przeprowadziła go aż tutaj. Następny ruch należał do niego.

Wytrzymał zaledwie kilka sekund. Potem przyciągnął ją do siebie i zaczął całować z nieposkromioną zapalczliwością. Ścisnął pośladki, pieścił piersi. Ściągnął gumkę z jej włosów, a potem chwycił je w dłonie i owinał sobie wokół palców. Do tej pory Marilee wyłącznie czytała o tak niezwykłej pasji i niemal nie mogła uwierzyć, że stała się obiektem tak wielkiego pożądania.

Sięgnął pod jej sweter, ale Marilee posunęła się dalej. Ściągnęła go przez głowę i zdjęła stanik, po raz pierwszy obnażając piersi przed mężczyzną. Sięgnęła pod spódnicę i zdjęła rajstopy i majtki, a potem oparła się biodrami o stertę kartonowych pudeł.

- Cokolwiek wyobrażałeś sobie na mój temat, cokolwiek pragnąłeś ze mną zrobić, teraz możesz - szepnęła. - Chcę,

żebyś dostał wszystko, czegokolwiek zapragniesz. Moje ciało należy do ciebie.

Przesunął dłońmi po jej udach, od kolan w górę. Była już wilgotna. Jego palce spenetrowały ją. Gdy zaczęły się w niej poruszać, odrzuciła głowę w tył.

- Wszystko. Wszystko, czego zapragniesz - powtórzyła.

Jego oczy były pełne pożądania, ale kiedy rozsunał rozporek i nałożył prezerwatywę, był na tyle przytomny, żeby zapytać, czy jest dziewicą. Opowiedziała mu o swojej jedynej przygodzie, która zdarzyła się podczas ostatniego roku nauki w college'u. Zrobiła to raz, z kolegą z fakultetu filozoficznego. Całą grą wstępną był wtedy suchy pocałunek.

- Przednie siedzenie samochodu nie jest zbyt wygodnym miejscem na pieprzenie się.

Panna Marilee Ritt była ostatnią osobą, od której ktokolwiek spodziewałby się usłyszeć takie słowo. Podnieciło go to tak bardzo, że nie mógł się powstrzymać. Niepomny na ewentualne wyrzuty sumienia wziął ją szybko i gwałtownie, szczytując na długo przed nią.

- Nie miałaś orgazmu, prawda? - zapytał, wychodząc z niej.

- Nie szkodzi.

- Właśnie że szkodzi.

Użył dłoni, żeby ją zaspokoić. Po wszystkim była tak roztrzęsiona, że miała trudności z ubraniem się. Pomógł jej. Śmiali się oboje z jej nagłej niezręczności, wzdychali, kiedy od czasu do czasu pieścił ją, okraszając tym swoje smakowicie erotyczne komentarze. Pomógł jej włożyć majtki, a potem zaczął pieścić ją przez wilgotny materiał, aż znowu doszła, zaciskając kurczowo palce na jego ramionach i oddychając szmatycznie.

Powietrze w magazynie było przesycone ich zapachem. Kiedy wychodzili, Marilee zastanawiała się, czy kolejna osoba - najpewniej jakiś nauczyciel - która tu wejdzie, poczuje zapach seksu. Miała taką nadzieję. Ta nieprzyzwoita myśl wywołała uśmiech.

To, że ich spotkanie odbyło się w tak potajemny sposób, dodało mu smaczku, ale dobrze wiedziała, że nie powinni wykorzystywać do schadzki składziku z książkami. Istniało bowiem ryzyko, że ktoś ich nakryje, poza tym nie było to zbyt romantyczne miejsce.

- Od północnej strony do mojej sypialni prowadzą francuskie drzwi - powiedziała mu. - Co noc będę je zostawiała dla ciebie otwarte. Przychodź, kiedy tylko będziesz mógł.

Na początku miał wątpliwości, ale Marilee rozwiła jego obawy, że zostaną nakryci przez Williama.

- Mój brat chodzi spać bardzo wcześnie i nigdy nie opuszcza sypialni aż do rana.

Pierwszej nocy, kiedy wślizgnął się do jej sypialni, ustalili, że kochanie się na łóżku, w pozycji horyzontalnej i całkiem nago było warte ryzyka. On chwalił każdy cal jej ciała słowami, które wywoływały u niej rumieńce. Ona zaskoczyła go swą nieposkromioną ciekawością jego ciała.

- Mój piękny kochanek - wyszeptła teraz, powtarzając słowa, które usłyszał od niej ostatniej nocy, gdy objęła wargami czubek jego penisa. Uwielbiał, kiedy obejmowała ustami sam koniuszek, gładki i jędrny niczym śliwka.

Zadzwonił telefon, rozwiewając jej cudowne wspomnienia.

Przekręciła się na bok i spojrzała na identyfikator rozmówcy. William. Dzwonił ze sklepu. Jeżeli nie odbierze, będzie mogła potem powiedzieć, że brała prysznic. Jeżeli jednak jej brat potrzebuje pomocy, czy potrafi sobie wybaczyć, że nie porozmawiała z nim, ponieważ wołała oddawać się wspomnieniom ostatniej nocy z tajemniczym kochankiem? Poczucie winy zwyciężyło.

- Czego chcesz, Williamie?

Głos Marilee był chropowaty, ale dało się wyczuć w nim nutki irytacji. Czyżby po jego wyjściu wróciła do łóżka? Pewnie tak. Nie spała zbyt długo ostatniej nocy. Cóż, taka jest cena namiętności. Dobrze jej zrobi, jeśli zamiast wylegiwać

się przez cały dzień, jak to niewątpliwie planowała, zabierze się do jakiejś pożytecznej pracy.

W gruncie rzeczy William podziwiał jej wytrwałość. Zdziwiła go, że siostra po jednym z nocnych maratonów pieprzenia się potrafiła się w ogóle poruszać. Wytrzymałość jej kochanka była równie godna podziwu.

Często miał ochotę wtargnąć do sypialni Marilee, nakryć ich na gorącym uczynku, pokazać, że wie o potajemnym romansie. Nie mógł się doczekać chwili, w której wyjawi, że wie wszystko o zwierzęcej rui odbywającej się w buduarze jego siostry. Spoglądaliby na niego z przerażeniem, wiedząc, że cała ich przyszłość jest w jego rękach. Ach, cóż za chwila triumfu!

Oczywiście, połowa radości Williama wynikała z przekonania, że chwila ujawnienia prawdy jest nieunikniona. Mógł jeszcze trochę poczekać. Zrobi to w odpowiednim czasie, zastawi na nich pułapkę. Do tej pory niech się pieprzą do woli.

Trudno mu było powstrzymać śmiech, kiedy rzucił do słuchawki:

- Marilee, musisz tu przyjść jak najszybciej.
- Dlaczego? Co się stało?
- Nic się nie stało. Mam klientów. Ważnych klientów - dodał ciszej. - Dwóch agentów FBI. Czekali w samochodzie na moje przybycie. Mają się spotkać z Dutchem, żeby porozmawiać o zaginięciu córki Gunnów. Powinienem podać im jakieś śniadanie, a jak wiesz, Linda nie mogła przyjechać.
- Nie wiem, jak używać tamtej kuchenki.
- To chyba nie jest aż tak skomplikowane. Na pewno sobie poradzisz. Nie grzeb się, potrzebuję cię tu jak najszybciej. Zadzwoń do Wesa...
- Po co akurat do Wesa?
- Pomyślałem, że jako przewodniczący rady miejskiej powinien wiedzieć o sprawie. Już jest w drodze. Jak szybko uda ci się przyjechać?
- Daj mi dziesięć minut.

William odłożył słuchawkę z pełnym samozadowolenia uśmiechem.

Dzwonek nad drzwiami drogerii zadźwięczał, gdy do środka wszedł Dutch, prowadząc przed sobą za łokieć Cala Hawkinsa. Radosny dźwięk sprawił, że zacisnął tylko bardziej zęby z wściekłości. Zaciągnął Hawkinsa do baru i bezceremonialnie posadził na stołku w nadziei, że gwałtowny ruch obudzi wreszcie tego kretyna.

- Daj mu kawy, jeśli łaska - rzekł do Ritta, którego radosny uśmiech wkurzał go dokładnie tak samo, jak idiotyczny dzwoneczek nad drzwiami. - Czarnej i bardzo mocnej. To samo dla mnie.

- Robi się. - Ritt podszedł do pracującego ekspresu do kawy.

Kiedy Dutch przyjechał po Hawkinsa do jego rozpadającego się domu, ten nadal spał. Nie odpowiadał na pukanie, więc Dutch sam wprosił się do środka. Dom był tak zaśmiecony, że każdemu strażakowi ów widok postawiłby włosy na karku. Śmierdziało ściekami i skwaszonym mlekiem. Hawkins spał w ubraniu na łóżku, na którym nie położyłby się nawet umierający pies. Dutch obudził go i bez pardonu pociągnął za sobą do stojącego na pracującym silniku bronca.

Podczas drogi do miasta przez cały czas powtarzał Hawkinsowi, jakie to ważne, żeby wziął się w garść i wjechał pługiem na górę. Pijaczyna reagował kiwaniem głowy i pomrukiwaniem na zgodę, ale Dutch nie był przekonany, czy tamten jest w pełni przytomny. A teraz, jak gdyby użeranie się z Hawkinsem nie wystarczyło, musiał się jeszcze spotkać z federalniakami. Nigdy tego nie lubił, ale po ostatniej nocy perspektywa ta wydawała mu się wyjątkowo denerwująca.

Po podrzuceniu Wesa do domu, nie pojechał od razu na posterunek. Dotarł tam bardzo późno. Na samym wstępie dostał od dyżurnego plik kartek z wiadomościami. Wszystkie zawierały skargi, z którymi nie mógł nic zrobić, dopóki nie polepszy się pogoda. Zamarznęta fontanna przed bankiem miejskim,

brak mleka przed drzwiami dziś rano, obłamana pod ciężarem lodu i śniegu gałąź drzewa, która spadła do zainstalowanego w ogrodzie basenu z jacuzzi i połamała pokrywę.

Dlaczego niby to ma być mój problem?

Dzwoniła także pani Kramer, która dzięki akcjom Coca-Coli kupionymi za bezcen przez jej przewidującego pradziadka miała teraz więcej pieniędzy niż sam Bóg. Dutch nie znał podlejszej i bardziej skąpej staruchy. Tym razem donosiła o podejrzanym osobniku, kręcącym się na podwórku. Dutch przeczytał wiadomość dwa razy.

- Czy tu jest napisane „Scott H.”?

- Tak. Dzieciak Hamerów. Powiedziała, że przechodził koło jej domu, zupełnie jakby urządził sobie spacer w piękny majowy wieczór. Jej zdaniem, nie miał dobrych zamiarów.

- Cóż, nie pytałem jej o zdanie - skomentował Dutch. - Poza tym, ma chyba jakieś zwidy. Byłem w domu Hamerów. Scott siedział zamknięty w swoim pokoju i słuchał muzyki na cały regulator. Zresztą Wes nie wypuściłby go na dwór w taką pogodę.

Dyżurny wzruszył umięśnionymi ramionami, ani na sekundę nie odrywając wzroku od czarno-białego ekranu telewizora. Nadawano właśnie jakiś western z Johnem Wayne'em.

- Czego się tu spodziewać po wariatce, która lubi grzebać w śmietnikach? - burknął.

Pani Kramer była znana ze swego hobby. Wieczorami, pod zasłoną ciemności, w gumowych rękawicach przetrząsała pojemniki na śmieci. Pomyśleć tylko!

Dutch zmiął kartkę w kulkę i wrzucił do przepełnionego kosza. Pozostałe wiadomości włożył do kieszeni koszuli. Przeczyta je później, kiedy już sprowadzi bezpiecznie Lilly na dół. Na razie była to jedyna rzecz, która go interesowała. Musiał wsadzić Cala Hawkinsa do piaskarki i wjechać z nim na Cleary Peak. Padało jak diabli, a warstwa śniegu skrywała grubą na kilka centymetrów warstwę lodu. Były to obiekcje Hawkinsa, który najwyraźniej zdołał już nieco wytrzeźwieć. Dutch zgadzał się z nim w stu procentach. Uznał jednak, że za dnia, kie-

dy widoczność jest lepsza, podjazd na górę stanie się łatwiejszy. Takich właśnie argumentów użył w rozmowie z kierowcą pługą śnieżnego.

Pochwycił swoje odbicie w lustrze zamontowanym na ścianie baru. Zobaczył to, co za chwilę ujrzą agenci FBI - wypalonego nieudacznika. Zdrzemnął się do rana na kanapie w biurze, budząc się często z głową pełną myśli o Lilly i o tym, co robiła w danym momencie. I co robił Ben Tierney. Co robili razem. Przed wyjściem z posterunku umył się i ogolił w toalecie męskiej, używając stępionej żyletki, zwykłego mydła i letniej wody. Gdyby wiedział wcześniej, że spotka się dziś z agentami FBI, pojechałby do domu, wziął prysznic i włożył świeży mundur.

Teraz już jednak nic na to nie poradzi.

- Jak się miewa nasza kawa? - zapytał Ritta.
- Jeszcze minutka, może dwie. Przyniosę wam, jak będzie gotowa.

Wyczerpawszy powody, dla których miałyby opóźnić spotkanie, Dutch odwrócił się i ruszył w kierunku stolika, przy którym czekali agenci, niczym para sępów nad umierającym zwierzęciem. Starszy ostentacyjnie spojrzał na zegarek.

Dupek, pomyślał Dutch. Uważali, że będzie na ich każde zawołanie? Najwyraźniej tak, sądząc po tym, w jaki sposób zażądali spotkania z nim, niemal bez uprzedzenia. Dojechał właśnie do domu Hawkinsa, kiedy skontaktował się z nim Harris. Młodzieniec jąkał się z podniecenia, ale Dutchowi wreszcie udało się zrozumieć, o co chodzi: miał się spotkać z federalnymi w drogerii.

- Za pół godziny. Tak powiedział.
- Kto powiedział? Agent Wise?
- Nie. Starszy gość. Agent specjalny. Fantastycznie! Tego mu było trzeba.
- Gdzie się z nimi spotkałeś?
- Ee... chyba nie mogę panu powiedzieć. Ten agent prosił, żebym nie podawał żadnych szczegółów przez radio.
- Po co chce się ze mną spotkać?

- Tego też nie mogę mówić przez radio.

Dutch przeklął w duchu. Co się, do diabła, stało z Harrisem? Zaczarowali go, czy jak?

- Jeżeli będą w drogerii, kiedy się tam zjawię, spotkam się z nimi. Nie zamierzam jednak siedzieć tam w nieskończoność i na nich czekać.

- Nie chciałby pan podpaść temu facetowi, szefie.

Dutch nie cierpiał, kiedy podawało się w wątpliwość, kto tu dowodzi, zwłaszcza jeśli robił to jeden z jego podwładnych.

- On też nie chciałby mi podpaść.

- Nie, szefie - odparł Harris. - Ale ten agent specjalny utrzymuje, że spotkanie *jest* bardzo ważne. Powiedział to, jakby... jakby miał się cholernie wkurzyć, jeżeli pan się nie pojawi. Ale to tylko moja opinia, szefie.

Teraz, gdy Dutch zobaczył starszego mężczyznę na własne oczy, przychylił się do zdania swojego podwładnego. Jedno spojrzenie wystarczyło, aby zrozumieć, że agent specjalny jest bezwzględny i nieugięty człowiekiem. Dutch spotkał wielu takich ludzi w policji w Atlancie, i z miejsca go znienawidził.

Bez pośpiechu podszedł do zajmowanego przez federalnych stolika i usiadł obok nich.

- Dzień dobry.

Wise dokonał prezentacji:

- Komendant Dutch Burton, a to agent specjalny Kent Begley.

Wymienili uścisk dłoni ponad plastikowym blatem. Wszystko to świadczyło nader wyraźnie o tym, co starszy agent sądził o Dutchu. Z miejsca uznał go za kogoś nieważnego. Powitanie było jedynie formalnością, którą należało wypełnić, zanim przejdzie się do rzeczy i skopie dupę temu lokalnemu tępemu glinie.

Cholerni federalni udawali, oczywiście, że wcale tak nie myślą o policjantach pracujących w małych miasteczkach. Oficjalnie twierdzili, że żywią jak najgłębszy szacunek do każdego, kto nosi policyjną odznakę. Gówno prawda. Z nielicznymi

wyjątkami, agenci FBI uważali, że posiadli całą mądrość i wiedzę świata. Koniec i kropka.

- Przepraszamy za ten pośpiech - odezwał się Wise.

Został przedstawiony Dutchowi wkrótce po jego przeprowadzce do Cleary i podjęciu pracy komendanta policji. Kiedy po raz pierwszy wymienili uścisk dłoni, Wise powiedział, że cieszy się, iż ktoś, kto się zna na rzeczy, zajmie się sprawą zaginionych kobiet. Dutch jednak przejrzał jego dobre maniere. Wise zwyczajnie próbował go komplementować. Czysta polityka, nic więcej.

Ritt przyniósł trzy kubki kawy. Begley zignorował swoją. Wise użył słodziku. Dutch upił spory łyk, zanim zapytał:

- Skąd ten pośpiech?

- To znaczy, poza faktem zaginięcia pięciu osób? - spytał kaśliwie Begley.

Był niczym gruboziarnisty papier ścierny, który drażnił nerwy Dutcha. Miał ochotę uderzyć agenta. Obaj spojrzeli na siebie z wyraźną pogardą.

Wise kaszlnął lekko, zakrywając usta zwiniętą w pięść dłonią i poprawił zsuwające się z nosa okulary.

- Sir, jestem pewien, że komendant Burton nie chciał zbagatelizować wagi odnalezienia zaginionych osób.

- Pogoda zmusiła mnie do tymczasowego zawieszenia śledztwa.

- Które przyniosło jakie skutki? - spytał Begley.

- Może zapoznałby nas pan z najnowszym rozwojem sytuacji, komendancie Burton - dyplomatycznie zmienił pytanie Wise.

Cierpliwość Dutcha wisiła na włosku, ale wiedział, że im szybciej odpowie na pytania agentów, tym szybciej będzie mógł ruszyć w drogę.

- Od czasu zaginięcia Millicent Gunn wszyscy ludzie, których mogłem oddelegować do tej sprawy z mojego wydziału, policji stanowej, biura szeryfa, a także ochotnicy z miasta, przeszukują okolice. Spowalnia akcję ukształtowanie terenu, zwłaszcza że poleciłem im zajrzeć dosłownie pod każdy listek. Wczoraj, kiedy rozpoczęła się śnieżycą, musiałem odwołać

akcję. Tak długo, jak będzie się utrzymywać ta pogoda, mamy związane ręce. Nie muszą też mówić, jak taka zamieć wpłynie na ewentualne dowody rzeczowe... - machnąwszy ręką w stronę wejścia do budynku, zauważył Wesa Hamera i Marilee Ritt, zbliżających się z różnych stron. Wes przytrzymał dla Marilee otwarte drzwi, po czym szybko wszedł za nią do środka. Zaczęli przytupywać, żeby otrząsnąć biały puch z butów. Wes ściągnął czapkę i rękawiczki, Marilee zdjęła kapelusz. Wes roześmiał się, widząc, jak końcówki jej naelektryzowanych włosów unoszą się do góry. Czubek nosa Marilee był zaczerwieniony z zimna. Dutcha uderzyło, jak ładna i ożywiona była dzisiaj siostra Ritta.

Kiedy William ją zawołał, szybko stanęła z nim za barem. Wes zerknął w stronę stolika, przy którym siedział Dutch z agentami FBI. Nie okazał zdziwienia. Zapewne wścibski Ritt zadzwonił do niego wcześniej, informując o spotkaniu.

Wczoraj w nocy wymienili kilka ostrych, nieprzyjemnych słów i rozstali się w gniewie. Po komentarzu Dutcha na temat traktowania kobiet, Wes otworzył gwałtownie drzwi od strony pasażera i wysiadł z auta.

- Nie możesz sobie pozwolić na wkurzanie mnie, Dutch. Nie w sytuacji, gdy jestem twoim bodaj jedynym przyjacielem i sprzymierzeńcem. - Trzasnął drzwiczkami i ruszył w stronę domu pośród wirujących tumanów śniegu.

Teraz przywitali się krótkim skinieniem głowy, a potem Dutch przeniósł uwagę z powrotem na Wise'a i Begleya.

- Wczoraj wieczorem rozmawiałem z państwem. Gunn - ciągnął. Nie powiedział im, że to rodzice Millicent nalegali na spotkanie, a nie on. Cieszył się, że miał cokolwiek do opowiedzenia, nawet to. W ten sposób wyglądał na kogoś, kto sprawuje całkowitą kontrolę. Na człowieka z inicjatywą. - Streściłem im, czego dowiedzieliśmy się po wywiadzie przeprowadzonym wśród znajomych Millicent. Rozmawialiśmy najpierw z tymi, którzy widzieli ją w dniu zaginięcia, najpierw w szkole, potem w pracy. Porównaliśmy nazwiska z obu list, ale nie zdążyliśmy przesłuchać wszystkich przed nadej-

ściem śnieżycy. Mam mały wydział, niewielu ludzi i ograniczony budżet. - Jego tłumaczenie przybrało formę narzekania, więc przerwał i upił więcej kawy.

Spojrzał w kierunku baru. Hawkins siedział ze zgarbionymi plecami, trzymając kubek z kawą w obydwu dłoniach, jakby nie miał siły utrzymać go w jednej. Wes brylował w towarzystwie Williama i Marilee. Mówił cicho, ale zdołał przyciągnąć całą ich uwagę. Dutch zastanawiał się, co tak cholernie ciekawego miał do powiedzenia.

- Dowiedzieliście się czegoś z pamiętnika Millicent? - zapytał Wise'a, koncentrując się znowu na rozmowie z agentami. Niech teraz *oni się* wypowiadają, pomyślał. W końcu pracowali nad tą sprawą tak samo jak on i jak do tej pory nie udało im się niczego pchnąć do przodu, chociaż mieli znacznie lepsze fundusze i więcej ludzi do dyspozycji.

- Jest kilka punktów, które przyciągnęły naszą uwagę - odparł Wise. Dodał więcej słodziku do kawy i powoli zaczął mieszać. - Najprawdopodobniej nie są związane ze zniknięciem Millicent Gunn.

- Nieważne? - parsknął Dutch. - Gdyby były nieważne, nie byłoby was tutaj, a już na pewno agenta specjalnego Begleya. Co takiego was zaciekawiło?

Wise spojrzał na swojego szefa, który przez cały ten czas wpatrywał się w Dutcha, po czym chrząknął:

- Zna pan Bena Tierneya?

Tierney obudził się gwałtownie.

Przed sekundą pogrążony w głębokim śnie, nagle oprzytomniał, jego zmysły się wyostrzyły. Miał wrażenie, jakby ktoś przed chwilą poraził go prądem.

Odruchowo zrzucił z siebie koce i usiadł. Natychmiast poczuł potworny ból. Zabrakło mu tchu, oczy wypełniły się łzami. Poczował zawroty głowy, przestał się więc ruszać. Oddychał ostrożnie, płytko, dopóki najgorszy ból nie ustąpił i Tierney nie odzyskał nieco równowagi. Potem ostrożnie opuścił nogi na podłogę.

Lilly już wstała. Prawdopodobnie była w łazience.

Chociaż w pokoju było ciemno, Tierney czuł, że za oknami wstawał już świt. Spróbował włączyć lampkę stojącą na stole. Udało się. Nadal mieli prąd. Ale w pokoju było tak zimno, że cały dygotał. Pewnie propan skończył się w nocy. Najpierw trzeba będzie napalić w piecu.

Normalnie zrobiłby to natychmiast, dziś jednak już utrzymanie się w pozycji siedzącej wydawało się zadaniem niemal niewykonalnym. Bolały go wszystkie mięśnie, stawy zeszywniały od spania przez całą noc w tej samej pozycji - jedynej, na którą pozwalała kanapa. Nawet unoszenie się żeber podczas oddychania było bolesne.

Odchylił ubranie i popatrzył na swoje ciało. Cała lewa strona miała kolor oberżyny. Ostrożnie pomacał żebra. Nie wydawały się połamane, ale nie dałby za to głowy. I chyba, na szczęście, nie miał wewnętrznych obrażeń, a jeżeli nawet miał, to bez krwotoku. Tak czy owak, nie umarł od tego podczas snu.

Na poduszce widniały plamy krwi z rany na głowie, ale niewielkie. Nie czuł już pulsowania w skaleczeniu, tylko tępy ból i nawracające mdłości, które mógł kontrolować, jeżeli nie poruszał się zbyt gwałtownie. Nie było mu tak niedobrze, jak zeszłej nocy. Poczul nawet głód, co przyjął za dobry objaw. Na myśl o kawie ślina napłynęła mu do ust. Za chwilę weźmie trochę wody i przygotowuje po kubku dla Lilly i siebie.

Zerknął w kierunku zamkniętych drzwi łazienki. Lilly była tam już dość długo, choć pewnie panował tam okropny ziąb. Co ona tam robiła? Co mogło zajmować jej aż tyle czasu? Dość delikatna sprawa, zwłaszcza jeżeli chodziło o kobietę.

Że też musiał z nią tutaj utknąć. Co za traf.

Dźwignął się z kanapy i podszedł do okna. Na zewnątrz nadal hulał wiatr, ale nie tak silny jak wczoraj. Była to bodaj jedyna zmiana na lepsze. Walił gęsty śnieg, na ziemi zalegała już warstwa niemal do kolan. Nie uda im się zejść dzisiaj z góry. Wczorajsze wycieczki do szopy z drewnem nie były przyjemne, ale teraz cieszył się, że je odbył. Potrzebna im dodatkowa porcja drewna.

Pozwolił zasłonie opaść na okno, wszedł do sypialni i zapukał cicho.

- Lilly? - przyłożył ucho do desek i zaczął nasłuchiwać. Nie odebrał żadnego ruchu ani dźwięku.

Coś było nie tak.

Wiedział to, tak samo jak to, że miał zmarznięte stopy i że głowa znów zaczęła go boleć, zapewne z powodu skoku ciśnienia.

Zapukał znowu, tym razem głośniej.

- Lilly?

Otworzył drzwi i zajrzał do środka. Nie było jej w pokoju. Drzwi do łazienki były zamknięte. Szybko podszedł do nich i zapukał, tak mocno, że poranił sobie kostki na dłoniach.

- Lilly?

Kiedy nie odpowiedziała, otworzył drzwi.

Łazienka była pusta.

Zaniepokojony, odwrócił się na pięcie i zobaczył ją przed sobą. Stała za drzwiami prowadzącymi do sypialni. Musiała się tam schować, kiedy wchodził do środka.

Cholera!

Na podłodze u jej stóp, leżała porozrzucana zawartość jego plecaka. Lilly zaś celowała w niego z jego własnego pistoletu.

16

Zrobił krok w jej kierunku.

- Zostań tam, gdzie jesteś, albo cię zastrzelę.

Tierney wskazał na rozrzucone przedmioty.

- Mogę to wszystko wyjaśnić, ale nie wtedy, kiedy mie-rzysz do mnie z pistoletu. - Podszedł jeszcze jeden krok.

- Stój, bo strzelam!

- Lilly, odłóż broń - powiedział z wkurzającym spokojem. - Nie zastrzelisz mnie, a przynajmniej nie umyślnie.

- Przysięgam na Boga, że to zrobię.

Trzęsącymi się dłońmi objęła pistolet tak, jak nauczył ją Dutch. Pomimo jej obiekcji, nalegał, żeby nauczyła się strzelać. Powiedział, że przysporzył sobie wrogów w środowisku kryminalnym i że po wyjściu z więzienia mogą próbować się na nim zemścić. Zabrał ją na strzelnicę i uczył dopóty, dopóki nie uznał, że zdoła się obronić w sytuacji kryzysowej. Zgodziła się na to bardziej dla Dutcha niż dla siebie. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że kiedykolwiek w życiu użyje broni, a już na pewno nie myślała, że przetestuje swoje umiejętności na Benie Tierneju.

- Kim jesteś? - spytała teraz.
- Wiesz, kim jestem.
- Sądziłam, że tak. Myliłam się - odparła szorstko.
- W tej części kraju każdy przedstawiciel płci męskiej powyżej dwunastego roku życia nosi przy sobie broń.
- To prawda. Pistolet w plecaku górskiego turysty nie jest powodem do niepokoju.
- Dlaczego zatem celujesz z niego we mnie?
- Wiesz dlaczego, Tierney. Nie jesteś głupi. Za to ja chyba byłam.

Niektóre rzeczy, które robił i mówił w ciągu ostatnich osiemnastu godzin, wydawały się jej niezwykle i zastanawiające, lecz nienapawające trwogą, ale po niedawnym odkryciu zawartości jego plecaka zaczęła patrzeć na wszystko innymi oczyma.

- Lilly, odłóż...
- Nie ruszaj się! - Uniosła nieco pistolet, kiedy Tierney przesunął się kolejny krok w jej stronę. - Wiem, jak używać broni i nie zawaham się tego zrobić.

Jej głos nie zabrzmiał zbyt przekonująco. Oddychała ciężko, zdenerwowana, że oto utknęła w górskiej chacie na czas nieokreślony z mężczyzną, którego podejrzewała o uprowadzenie i prawdopodobne zamordowanie pięciu kobiet. Poza tym już dawno nie brała lekarstwa na astmę.

Zmiana w jej oddechu nie uszła jego uwagi.

- Masz kłopoty.

- Nie, to ty je masz.
- Twój oddech stał się bardzo świszczący.
- Wszystko w porządku.
- Nieprawda.
- Poradzę sobie.
- Powiedziałas, że stres i zdenerwowanie mogą spowodować atak. Strach także.

- To ja mam broń. Dlaczego miałabym się bać?

- Nie musisz się mnie obawiać.

Parsknęła ironicznym śmiechem i zmusiła się do wytrzymania przenikliwego spojrzenia jego błękitnych oczu.

- Oczywiście. Twoje słowo najzupełniej mi wystarczy.

- Nie skrzywdziłbym cię. Przysięgam.

- Wybacz, Tierney. Musisz wymyślić coś lepszego. Co robiłeś wczoraj na górze?

- Powiedziałem ci już...

- Nie uwłaczaj mojej inteligencji. To był najmniej odpowiedni dzień na wycieczki górskie. Kto wybiera się na szczyt, wiedząc o nadchodzącej zamieci? Na pewno nie człowiek tak doświadczony w wędrówkach, jak ty.

- Przyznaję, to było dość nierozważne.

- Nierozważne? Argument zupełnie nie na poziomie. Spróbuj jeszcze raz.

Zacisnął usta w wąską kreskę, przypominając Lilly o tym, jak bardzo nie lubił, kiedy podważało się jego zdanie.

- Burza nadeszła szybciej, niż się spodziewałem. Samochód nie chciał ruszyć. Nie miałem innego wyjścia, jak tylko zejść na piechotę.

- W to akurat wierzę.

- Schodziłem skrótami, żeby nie nadkładać drogi na serpentynach. Zgubiłem się...

- Zgubiłeś się? - powtórzyła dobitnie. - Ty, ze swoim szóstym zmysłem orientacji w przestrzeni?

Przyłapany na kłamstwie, zamilkł na chwilę. Potem spróbował znowu.

- Poddajesz się psychozie.

- Psychozie?

- Dotyczącej zaginięć. Każda kobieta w Cleary boi się, że może być następna. To główne zmartwienie całej społeczności. Byłaś tam przez tydzień i nasiąkłaś tą atmosferą. Traktujesz każdego mężczyznę z podejrzliwością.

- Nie każdego, Tierney. Tylko jednego. Tego, który nie ma logicznego wytłumaczenia na to, dlaczego błąkał się po lesie podczas zamieci. Tego, który znał położenie mojego górskiego schronienia, chociaż nigdy mu o nim nie opowiadałam. Tego, który zeszłej nocy nie chciał otworzyć plecaka, z powodów, które stały się teraz oczywiste.

- Przysięgam, wszystko ci wytłumaczę - odparł Tierney ostro. - Ale nie wtedy, kiedy mierzysz do mnie z pistoletu.

- Wypowiadasz się ze wszystkiego Dutchowi.

Jego rysy się wyostrzyły, jakby skóra nagle naciągnęła się na kościach czaszki. Lilly wyjęła z kieszeni kurtki telefon komórkowy. Nadal nie miała zasięgu.

- Popełniasz błąd, Lilly. - Słowa wypowiedziane niskim, opanowanym tonem zmroziły ją dogłębnie. - Pozwalasz się ponieść wyobraźni. To duży błąd.

Nie mogła go słuchać, poddać się jego słowom. Okłamywał ją od chwili, gdy po raz pierwszy uśmiechnął się do niej czarująco, wtedy, w autobusie. Odgrywał tylko swoją rolę i jak do tej pory najwyraźniej udało mu się ją omamić. Wszystko, co robił i mówił, było jednym wielkim kłamstwem. Tierney był kłamstwem.

- Błagam cię! Każdemu przysługuje przywilej wątpliwości.

- W porządku, dam ci przywilej wątpliwości, jeżeli zdołasz wytłumaczyć to. - Wskazała na leżące u jej stóp kajdanki, które znalazła w jednej z kieszeni plecaka, obok pistoletu. Kopnęła je w kierunku Tierneya. Przesunęły się po drewnianej podłodze i wylądowały przy jego odzianych tylko w skarpetki stopach. Tierney gapił się na nie długo, zanim podniósł głowę i spojrzał na nią nieprzeniknionym wzrokiem.

- Tak też myślałam. - Trzymając pistolet w prawej ręce,

użyła lewej, aby wybrać numer Dutcha. Telefon nadal milczał jak zakłęty, ale udawała, że udało jej się połączyć z pocztą głosową byłego męża. - Dutch, grozi mi niebezpieczeństwo ze strony Tierneya. Przybywaj jak najszybciej.

- Bardzo, ale to bardzo się mylisz, Lilly.

Włożyła telefon z powrotem do kieszeni kurtki i chwyciła pewniej broń.

- Nie sądzę.

- Proszę cię, wysłuchaj mnie.

- Skończyłam już ze słuchaniem. Weź kajdanki.

- Jak możesz w ogóle myśleć, że jestem Chabrem? Z powodu pary kajdanek i wstążki?

Lilly słyszała, jak Dutch nazywał nieznanego porywacza Chabrem. Teraz, kiedy Tierney tak po prostu wymienił ów pseudonim, poczuła mocniejsze uderzenie serca. Nie to jednak napełniło ją prawdziwym przerażeniem.

- Daj spokój, Lilly - powiedział miękko, najwyraźniej widząc strach malujący się na jej twarzy. - Chyba nie jesteś zaskoczona, że znam pseudonim tego przestępcy. To małe miasteczko. Wszyscy w Cleary wiedzą o Chabrze.

- Nie o to chodzi - odparła, z trudem łapiąc powietrze. - Nigdy nie wspomniałam o wstążce.

Pytanie agenta Wise'a było pozbawione sensu, przynajmniej tak się wydawało Dutchowi. Przez chwilę siedział skołowany.

- Bena Tierneya?

Rozmawiali o jego śledztwie w sprawie zaginięcia Millicent Gunn, gdy nagle, bez uprzedzenia, Wise zapytał, czy Dutch zna Bena Tierneya. Policjant powiódł zdziwionym wzrokiem od Begleya do Wise'a, ale równie dobrze mógłby się wpatrywać w oczy lalek, puste i nieprzejrzyste.

- Co ma piernik do wiatraka?

- Zna go pan? - nalegał Wise.

- Kojarzę nazwisko z twarzą i to wszystko - rzucił Dutch i nagle ogarnął go przeraźliwy chłód. Nie miało to nic wspól-

nego z panującą na dworze temperaturą. Poczłł się jak wtedy, gdy wchodził do budynku, w którym ukrywał się podejrany. Święciłł się coś złęgo, chociaż nie było wiadomo, jaki obrłł przybiorą sprawy i jak duże będą szkody. Nie wiedział czego się obawiać, ale coś mu mówiłł, że powinien.

- Co z Benem Tierneyem? - powtłrzył.

Wise spojrzął na kubek z kawą i ostrożnie umieścił łżęczkę na brzegu spodeczka. Unikanie odpowiedzi mówiłł więcej niż jakiegolwiek słowa. Dutcha ścisnęłł w dołku.

- Posłuchajcie, jeżeli Tierney jest zamieszany w to...

- Jak dobrze zna go pana była żona?

Dutch spojrzął się na Begleya, który zaskoczył go nagłym pytaniem. Krew uderzyła mu do głłowy.

- O czym wy, do cholery, mówicie?

- Rozumiem, że się znają, tak?

- Kto tak powiedział?

- Jak dobrze się znają i jaka jest natura ich znajomości?

- Nie ma żadnej znajomości - odparł gniewnie Dutch. - Spotkała go raz. Dlaczego pytacie?

- Z ciekawości. Badamy sprawę pod różnymi kątaami, żeby...

Dutch wałnął pięścią w stół tak mocno, że aż zadźwięczały ułózone na nim sztućce i talerze. Łżęczka Wise'a spadła ze spodeczka i stuknęła o blat.

- Przestańcie wreszcie pieprzyć banialuki i powiedzcie mi, o co chodzi z tym facetem! Jesteście może wielkimi, ważnymi agentami FBI, a ja tylko gliniarzem, ale, do diabła ciężkiego, zasługuję na odrobinę szacunku! Oczekuję, że udzielicie mi informacji dotyczących prowadzonego przeze mnie śledztwa. O co chodzi z Benem Tierneyem?

- Niech się pan uspokoi - rozkazał Begley. - I proszę przyjąć do wiadomości, że nie zamierzam tolerować w mojej obecności żadnych komentarzy na temat Boga czy diabła.

Dutch wstał od stołu, sięgnął po kurtkę i rękawiczki, włożył je nerwowymi, gniewnymi ruchami, po czym pochylił się i przysunął twarz blisko twarzy Begleya.

- Pieprz się, ty świętoszko waty dziadu! - syknął. - Jeżeli jesteście zainteresowani Benem Tierneyem w związku z zaginięciem owych pięciu kobiet, muszę to wiedzieć, ponieważ dokładnie w tym momencie moja żona tkwi uwięziona w górskiej chacie z tym człowiekiem.

Po raz pierwszy okazali jakieś emocje, od zaskoczenia do niepokoju, który sprawił, że Dutch cofnął się o krok.

- Chryste przenajświętszy. Chcecie powiedzieć, że Ben Tierney to Chaber?

- Mamy wyłącznie poszlaki, które wymagają dalszego zbadania - powiedział półgłosem Wise, rozglądając się po drogerii. Mówił ogródkami, tak jak Dutch wiele razy, kiedy jeszcze pracował w wydziale zabójstw. Tak właśnie należało przedstawiać sprawę, jeżeli uważało się, iż podejrzany jest winny zarzucanego mu czynu i trzeba było tylko zdobyć jakikolwiek dowód rzeczowy, by posadzić gościa za kratkami.

- Nie potrzebuję dalszego śledztwa, by wiedzieć, że ten skurwysyn spędził ostatnią noc z moją żoną - powiedział, celując palcem w Begleya. - Jeżeli spadł jej choćby włos z głowy, zaczniecie się modlić, żebyście dotarli na miejsce przede mną. - Odwrócił się, podszedł do baru, chwycił Hawkinsa za fraki i ściągnął go ze stolika.

- Ruszamy.

- Jeżeli zazdrość tego cholernego idioty zawali moje śledztwo, skręcę mu jego pieprzony łeb. - Słowa te wyszły z ust agenta FBI, który nie dalej jak sześćdziesiąt sekund temu oświadczył Dutchowi, że nie będzie tolerował przeklinania w swojej obecności.

Kiedy obydwaj podeszli do baru, wyglądali tak stanowczo i onieśmielająco, że Marilee poczuła chęć ucieczki.

- Czy któreś z was wie, dokąd udał się Dutch? - warknął starszy.

- Na górę, ratować Lilly. - Wes podniósł się i wyciągnął na powitanie dłoń. - Wes Hamer, przewodniczący rady miejskiej i trener naszej licealnej drużyny futbolowej.

Wymienił z agentami uścisk dłoni, gdy ci się przedstawił. Machnął ręką, kiedy wyciągnęli skórzane portfeliki z odznakami.

- Legitymacje są niepotrzebne. Wiemy, że jesteście z FBI. Widziałem pana kilkakrotnie w mieście - zwrócił się do Wise'a. Skinął w kierunku Marilee i Williama, stojących za barem. - William Ritt i jego siostra Marilee.

- Czy coś panom podać? - spytał William. - Więcej kawy, jakieś śniadanie?

- Nie, dziękujemy. - Marilee widziała, że starszy z nich, o nazwisku Begley, niecierpliwi się z powodu całej tej wymiany grzeczności. - Rozumiem, że Burton i jego żona są po rozwodzie. Podobno zmieniła nawet nazwisko na Lilly Martin?

- Dutch nie może się z tym pogodzić - odparł William.

- Kilka lat temu stracili dziecko, córeczkę - wyjaśnił Wes. - Ludzie reagują na taką tragedię w różny sposób.

Begley spojrział na swojego partnera, jakby nakazywał mu zapamiętać tę informację. Marilee była pewna, że tamten już to zrobił.

- Co wiecie na temat jej uwięzienia na górze z Benem Tierneym? - ciągnął Begley. - Czy planowali tam spotkanie?

- Nie jestem pewien, ale szczerze wątpię, że to zaplanowane spotkanie. - Wes opowiedział im o niedawnej sprzedaży własności Burtonów. - Byli tam oboje wczoraj po południu, by posprzątać i wynieść ostatnie rzeczy. Dutch zjechał do miasta wcześniej niż ona. Podobno po drodze Lilly miała jakiś wypadek, w którym uczestniczył również Tierney. Zostawiła niezrozumiałą wiadomość na poczcie głosowej Dutcha. Powiedziała, że Tierney jest ranny, że są w chacie i poprosiła Dutcha o jak najszybsze przysłanie pomocy.

- Ranny, powiada pan?

- Nie powiedziała, jak poważnie. Od tamtej chwili kontakt się urwał. Normalna linia została odłączona już wcześniej, a zasięg komórek w górach jest do bani. Z przeproszeniem, panie Begley. W najlepszą pogodę coś tam można złapać, ale nie w taki dzień, jak dziś. Dutch zadzwonił do mnie wczoraj

wieczorem. Prosił o pomoc w odnalezieniu Cala Hawkinsa - ciągnął, przyjąwszy milczenie Begleya za zachętę do dalszego opowiadania. - To ten człowiek, którego Dutch wyprowadził przed chwilą za fraki. Kierowca jedyne go w mieście pługu śnieżnego. - Opowiedział o wczorajszej nieudanej próbie dostania się na górę. - Wreszcie nawet Dutch musiał przyznać, że to niemożliwe. Był cholernie zdeterminowany, by spróbować jeszcze raz, dziś rano. To właśnie zamierza teraz zrobić.

- Nie wróżę mu specjalnego sukcesu - skomentował Wise.
- Niech pan spróbuje mu to powiedzieć.
- Sam chciałbym się dostać do tej chaty. - Begley włożył płaszcz. - Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuję, jest konfrontacja wkurzonego Burтона z Tierneyem.

- Naprawdę sądzi pan, że Tierney jest Chabrem?
- Gdzie pan to usłyszał?

Spojrzenie, jakim Begley uraczył Williama, który nieopatrznie zadał pytanie, potrafiłoby osadzić w miejscu szarżującego nosorożca. Pod jego wpływem właściciel drogerii nie wyjaśnił, że musiały być głuchy, by nie usłyszeć wcześniejszej rozmowy agentów z Dutchem.

- Po prostu to ma sens, pokręcony, ale jednak - powiedział tylko, nerwowo oblizując usta.

- Doprawdy? Co pan ma konkretnie na myśli, panie Ritt?
- To, że wszyscy inni w mieście to nasi ludzie. Pan Tierney jest obcy. Niewiele o nim wiemy.

- A co wiecie? - spytał agent Wise.
- Tylko to, co zaobserwowałem przy każdej jego wizycie w drogerii.

- Jak często się tu pojawiał?
- Kiedy przebywa w mieście, przychodzi dość regularnie. Zawsze... - William rzucił niespokojne spojrzenie na swoich słuchaczy. - To prawdopodobnie niezbyt ważne.

- Co takiego, panie Ritt? - Begley uderzył niecierpliwie rękawiczkami w drugą dłoń. - Pozwoli pan, że to my zdecydujemy, co jest ważne, a co nie.

- Tylko tyle, że za każdym razem, kiedy jest w sklepie, zwraca na siebie uwagę.

- Uwagę? - Begley zerknął na Wise'a. - Czyją?

- Kobiet - odparł William. - Przyciąga je niczym magnes. - Spojrzał na Wesa. - Słyszałem, jak ty, Dutch i kilku waszych przyjaciół rozmawialiście o nim - zwrócił się do niego. - Któryś z was nazwał go napuszonym pawiem.

- Przyznaję się do winy. - Wes uniósł prawą dłoń. - Facet ewidentnie zdaje sobie sprawę, że kobiety uwielbiają takich twardych, ogorzałych poszukiwaczy przygód.

Wszyscy popatrzyli na Marilee, która wyraźnie poczerwieniała z zażenowania.

- Widziałam pana Tierneya tylko kilka razy, ale czytałam jego artykuły. Są bardzo dobre, jeżeli ktoś jest zainteresowany aktywnością na świeżym powietrzu.

Najwyraźniej Begley nie był.

- Czy kiedykolwiek nawiązywał kontakt z tymi kobietami? - spytał Williama.

- Zawsze.

- O czym rozmawiali?

- Z zasady nie podsłuchuję moich klientów.

Wszystkie dowody świadczą przeciwko tobie, pomyślała Marilee. Właśnie przed chwilą William przyznał się do podsłuchiwania rozmowy Wesa i Dutcha. Begley również odniósł się sceptycznie do oświadczenia jej brata, ale nie skomentował go.

- Co kupuje Tierney podczas wizyt w drogerii? Oczywiście, jeżeli może mi to pan powiedzieć bez naruszania praw do prywatności - dodał, wypychając policzek językiem.

- O, bez obaw. - William uśmiechnął się do agenta. - Nigdy nie przyniósł tutaj żadnej recepty. Kupuje balsam do ust, krem z filtrem przeciwsłonecznym, pastę do zębów i żyletki jednorazowe. Nic nadzwyczajnego.

- Rzeczywiście.

- Nic nadzwyczajnego. Jediną ciekawostką jest to, że zawsze kupuje tylko jedną rzecz. Jednego dnia plastry z opatrunkami, drugiego advil, trzeciego książkę.

- Zupełnie jakby szukał powodów do powrotu? - podpowiedział Begley.

- Teraz, kiedy o tym myślę, chyba ma pan rację. Poza tym przychodzi zawsze, gdy mamy mnóstwo klientów. Popołudniami wielu ludzi wstępuje tutaj po pracy.

- Millicent Gunn również?

- Oczywiście. Dzieciaki z liceum przychodzą po szkole do naszej restauracji. Tak długo, jak zachowują się grzecznie, pozwalam im...

- Czy Ben Tierney i Millicent Gunn przebywali kiedyś w pana sklepie w tym samym czasie?

William już zamierzał odpowiedzieć, kiedy nagle zrozumienie wagi pytania zamknęło mu usta. Spojrzał na obu agentów, a potem, nagle przygaszony, powoli pokiwał głową.

- Dwa tygodnie temu, zaledwie kilka dni przed jej zniknięciem.

- Rozmawiali o czymś? - spytał Wise.

William znów kiwnął głową.

- Gdzie możemy znaleźć ten pług śnieżny? - spytał Begley Wesa.

- Pokażę wam drogę.

Nie czekając na Wesa, Begley odwrócił się i wyszedł szybko na zewnątrz, wkładając po drodze rękawiczki.

- Czy on zawsze jest taki gwałtowny? - spytał William Wise'a, który wygrzebywał właśnie portfel spod kilku warstw wierzchniego okrycia.

- Nie. Ale nie spał całą noc, więc jego reakcje są dziś znacznie wolniejsze niż zazwyczaj - odparł agent. - Ile jesteśmy winni?

- Na koszt firmy. - William machnął ręką.

- Dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Wise skinął Williamowi, dotknął niewidocznego kapelusza, żegnając w ten sposób Marilee, i dołączył do Begleya. Wes zamierzał ruszyć za nim, kiedy Marilee zawołała go i podała mu parę skórzanych rękawiczek, które zostawił na barze.

- Będziesz ich potrzebował.

Wes chwycił je i lekko, zalotnie musnął nimi czubek jej nosa.

- Dzięki. Do zobaczenia później.

Obserwując wychodzącego Wesa, Marilee pochwyciła w lustrze odbicie Williama, uśmiechającego się z samozadowoleniem człowieka, który wie wszystko. Zignorowała jego minę.

- W końcu nikt nie chciał śniadania - mruknęła.

- Ja mam ochotę na sadzone jajka. Chcesz trochę?

- Nie, dziękuję. Nie powinieneś był wspominać o Chabrze.

- Co takiego?

- Pseudonim. Jestem przekonana, że zauważyłeś reakcję Begleya. Nikt poza funkcjonariuszami nie powinien wiedzieć o błękitnej wstążce. Ty powiedziałeś mi to, co powiedział ci Wes. Kto powiedział jemu?

William wrzucił na patelnię kawałek masła, które zaczęło się topić z sykiem.

- Wes usłyszał to prosto ze źródła.

- Od Dutcha?

- Oczywiście.

- Dutch jest komendantem policji! - wykrzyknęła Marilee. - Powinien wiedzieć, że nie wolno nikomu zdradzać takich informacji. To miała być tajemnica!

- Są najlepszymi przyjaciółmi. Dobrymi kumplami. - William rozbił dwa jajka nad patelnią. - Nie mają przed sobą tajemnic. Poza tym, co się takiego złego stało?

- Mógł przez to narazić śledztwo na niepowodzenie.

- Nie rozumiem, w jaki sposób.

- Skoro my dwoje wiemy, ile jeszcze osób o tym słyszało?

William sięgnął po solniczkę.

- Co to za różnica, skoro udało im się zidentyfikować Chabra?

- Przypuszczam, że żadna.

- Niemniej - dodał William, przewracając jajka na drugą stronę - to dobra lekcja, Marilee.

- Jaka mianowicie?
- Że w tym mieście nikt nie może mieć tajemnic - uśmiechnął się do niej, chociaż odniosła wrażenie, że nie aż tak dobrotliwie, jak miało się wydawać.

17

Lilly trąciła stopą leżący na podłodze zwitek błękitnej wstążki. Znalazła go w jednej z zapinanych na suwak kieszeni plecaka, kiedy przeglądała go w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów kobiety w życiu Tierneya. Spojrzała teraz na niego bez słów. Nie były potrzebne.

- Znalazłem ją - powiedział.
- Znalazłeś?
- Wczoraj.
- Gdzie?

Wskazał brodą w kierunku szczytu Cleary Peak.

- I co, leżała tak sobie po prostu na ziemi w lesie, tak? Akurat niebieska wstążka.

- Była zaczepiona na krzaku - odparł. - Trzepotała na wietrze. W ten sposób ją zauważyłem.

Jej nieufność była nadto widoczna.

- Posłuchaj - ciągnął. - Rozumiem, dlaczego się wystraszyłaś. Wiem, co mogłaś pomyśleć.

- Skąd niby wiesz?

- Wszyscy wiedzą o błękitnej wstążce, Lilly.

- Nieprawda - potrząsnęła głową. - Tylko policja i przestępca.

- Mylisz się - odrzekł spokojnie. - Wszyscy wiedzą. Wydział Dutcha nie jest nieprzenikalną organizacją. Ktoś puścił parę o tym, że porywacz zostawia w miejscu uprowadzenia niebieską wstążkę.

To właśnie powiedział jej w sekrecie Dutch.

- Specjalnie zachowali tę informację w tajemnicy.

- Niezbyt dobrze im to wyszło. Słyszałem, jak ludzie rozmawiają o tym w drogerii. Odbierałem rzeczy z pralni chemicznej i słyszałem, jak właściciel ostrzegał klientkę przed Chabrem. Kobieta wiedziała dobrze, o czym mówił. Wszyscy słyszeli o Chabrze. - Skinał głową w kierunku wstążki. - Nie wiem, czy to jego tasiemka, niemniej było to dość dziwne znalezisko w środku lasu. Zdjąłem ją więc z krzaka i włożyłem do plecaka, żeby dostarczyć policji.

- Nie wspominałeś o tym zeszłej nocy.

- Nie sądziłem, że to istotne.

- Zaginione kobiety są głównym tematem rozmów w Cleary od ponad dwóch lat. Jeżeli znalazłabym coś, co może się wiązać z ich uprowadzeniem, na pewno bym o tym wspomniała.

- Wypadło mi to z pamięci.

- Pytałam cię, czy masz w plecaku coś przydatnego. Powiedziałeś, że nie. Dlaczego nie wspomniałeś przy okazji o wstążce? Dlaczego nie powiedziałeś: „Nie mam nic użytecznego, ale zobacz, co znalazłem dzisiaj na krzaku w lesie”?

- A gdybym to zrobił? Pomyśl tylko, Lilly. Gdybym ci pokazał wczoraj błękitną wstążkę, czy nie uznałabyś, że jestem Chabrem?

Nie miała na to odpowiedzi. Nie miała ich na wiele pytań. Rozpaczliwie chciała wierzyć, że Tierney był tylko tym, na kogo wyglądał: czarującym, utalentowanym, inteligentnym, zabawnym i wrażliwym mężczyzną. Tyle że żadna z tych cech nie świadczyła o tym, że nie mógł popełnić zbrodni na zaginionych kobietach. Wręcz przeciwnie, z pewnością ułatwiłyby mu sprawę.

Nadal nie wyjaśnił, dlaczego nosił w plecaku kajdanki. Do czego miały mu służyć, jeśli nie był policjantem? Sadomasochistyczne zabawy z kochanką? Zrobiło jej się niedobrze na samą myśl o innym rozwiązaniu.

- Millicent Gunn zginęła tydzień temu.

- Wiem. Śledzę informacje w prasie.

- Czy ona nadal żyje, Tierney?

- Nie mam pojęcia. Skąd miałbym wiedzieć?
- Jeżeli ją wprowadziłeś...
- Nie zrobiłem tego.
- A ja myślę, że tak. Dlatego miałeś przy sobie niebieską wstążkę i kajdanki.

- Tak przy okazji, czego szukałaś w moim plecaku?

Lilly zignorowała jego pytanie.

- Wczoraj po południu na szczycie robiłeś coś, co chciałeś skończyć przed nadejściem burzy. Może pozbywałeś się ciała? Kopałeś grób dla Millicent?

Na jego twarzy znowu pojawił się wyraz napięcia.

- Ostatniej nocy spałaś zaledwie metr ode mnie i naprawdę wierzysz, że kilka godzin wcześniej mogłem kopać dla kogoś grób?

Ale ona nie chciała myśleć o tym, jak bardzo się myliła co do Tierneya i jak bardzo bezbronna była ostatniej nocy. Zaciśnęła dłoń na pistolecie.

- Podnieś kajdanki.

Zawahał się, ale zrobił, co mu kazała.

- Załóż je najpierw na prawy nadgarstek.

- Popełniasz potworny błąd.

- Jeżeli tak, wszystko skończy się na jednym popołudniu w niewygodnej pozycji, co może cię wkurzyć. Jeżeli mam rację i jesteś Chabrem, ratuję sobie życie. W obliczu takiego wyboru wolę cię raczej wkurzyć. - Uniosła wyżej pistolet. - Załóż kajdanki na prawy nadgarstek i to już.

Powoli mijały kolejne sekundy. Wreszcie Tierney wykonał polecenie.

- Na wypadek, gdyby dom nagle stanął w ogniu albo gdybyś zaczęła dusić się z powodu ataku astmy, czy masz gdzieś kluczyk?

- W kieszeni. Nie uwolnię cię jednak, dopóki nie nadejdzie pomoc.

- To może potrwać wiele dni. Zdołasz przetrwać aż tyle czasu bez leków?

- To moje zmartwienie.

- Moje też, do cholery! - rzucił ostro. - Obchodzi mnie i to bardzo, co się z tobą stanie, Lilly. Myślałem, że mój pocałunek wyraźnie o tym świadczył.

Jej serce zabiło mocniej, ale zignorowała to nagłe trzepotanie.

- Siadaj na łóżku i przełóż ramię przez pręty w wezłowie.

Dekoracyjne wzory z żelaznych prętów umieszczone w mocnej drewnianej ramie były wystarczająco szerokie, żeby włożyć tam rękę.

- Kiedy cię pocałowałem...

- Nie zamierzam o tym rozmawiać.

- Dlaczego nie?

- Siadaj na łóżku, Tierney.

- Byłaś tak samo wstrząśnięta tym pocałunkiem, jak ja.

- Ostrzegam cię, jeśli nie...

- To dlatego, że zaspokoił naszą ciekawość siebie. I więcej. Marzyłem o pocałowaniu cię, ale...

- Siadaj na łóżku.

- Rzeczywistość przerosła moje wyobrażenia o milion razy.

- To moje ostatnie ostrzeżenie.

- Nie zamierzam przypiąć się do tego zagłówek! - krzyknął gniewnie.

- A ja nie zamierzam cię o to prosić po raz drugi.

- Wczoraj w nocy bardzo długo nie mogłaś zasnąć, prawda? Wiedziałem o tym, a ty wiedziałaś, że ja też nie śpię. Myśleliśmy o tym samym. O pocałunku. Oboje pragnęliśmy...

- Zamknij się, albo cię zastrzelę!

- ...żeby nie skończyło się tylko na nim.

Pociągnęła za spust. Kula wbiła się w ścianę, przechodząc wystarczająco blisko Tierneya, żeby poczuł muśnięcie powietrza na policzku, gdy mijała jego głowę. Wydawał się bardziej zaskoczony niż przestraszony.

- Jestem w tym dobra - ostrzegła. - Następna będzie dla ciebie.

- Nie zabiłabyś mnie przecież.

- Kiedy postrzelę cię w kolano, będziesz żałował, że tego nie zrobiłam. Na łóżko, ale już! - wycodziła.

Patrząc na nią jakoś inaczej, cofnął się, aż jego łydki zetknęły się z brzegiem łóżka. Usiadł i przesunął się głębiej na materac. Wiedziała, że krzywi się z bólu, ale nie mogła pozwolić sobie na żadne współczucie. Tierney sięgnął ku zagłówkowi i przełożył rękę przez powyginane żelazne pręty.

- A teraz zatrzaśnij kajdanki na lewej ręce.

- Lilly, błagam cię, nie każ mi tego robić.

Nie odpowiedziała nic, po prostu patrzyła na niego znad lufy pistoletu, dopóki nie poddał się i nie zrobił tego, co mu poleciła.

- Zatrzaśnij je dobrze i pociągnij, chcę zobaczyć, że rzeczywiście są zapięte.

Szarpnął kilkakrotnie nadgarstkami. Metal zaszczekał o metal. Kajdanki były dobrze zamknięte.

Opuściła ramiona. Czuła się, jakby ważyły tonę. Oparła się bezsilnie o ścianę, osunęła się na podłogę i oparła głowę na kolanach. Do tej pory nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo zmarzła. A może po prostu trzęsa się ze strachu?

Bała się, że jej podejrzenia są prawdą i Tierney jest Chabrem. Ale bała się też, że się myli. Trzymając go w kajdankach, może skazywała się na śmierć przez uduszenie.

Nie. Nie chciała myśleć o niczym innym niż przetrwanie. Śmierć nie wchodziła w rachubę. Wystarczy, że odebrała możliwość długiego życia jej córce. Lilly nie zamierzała się tak łatwo poddać.

Po kilku chwilach dźwignęła się na nogi. Nie zaszczyciwszy Tierneya nawet jednym spojrzeniem, poszła do dużego pokoju.

- Musisz przynieść więcej drewna, dopóki masz jeszcze siłę - zawołał za nią.

Nie zamierzała wdawać się z nim w rozmowę, ale pomyślała dokładnie to samo. Jej buty były wilgotne i zimne, czapka Tierneya sztywna od zaschniętej krwi, ale mimo to łatwiej

było ją włożyć, niż owinać koc wokół głowy. Naciągnęła czapkę głęboko na uszy, otuliła szalikiem Tierneya szyję i usta. Podbite kaszmirem rękawiczki nie nadawały się na tak brutalnie niskie temperatury, ale były lepsze niż nic. Podeszła do drzwi.

- Na miłość boską, Lilly, pozwól mi to zrobić za ciebie! - krzyknął Tierney, obserwując ją z sypialni. - Możesz mnie przez cały czas trzymać na muszce, to nieważne. Po prostu pozwól mi to zrobić.

- Nie.

- To zimne powietrze.

- Milcz.

- Chryste, nie wychodź z werandy. Wnieś polana do środka i rozłup je tutaj.

Dobra rada. Widać, że był doświadczonym turystą. Czy był tak samo skuteczny w przekonywaniu kobiet, żeby mu zaufały? Najwyraźniej tak. Pięć z nich to zrobiło. Właściwie to sześć, włączając ją.

W domu było zimno, ale w porównaniu z temperaturą panującą na zewnątrz można powiedzieć, że przyjemnie i ciepło. Mroźne powietrze zaatakowało odsłonięte policzki. Musiała zmrzyć oczy. Brezent, którym Tierney przykrył drewno, przysypała kilkunastocentymetrowa warstwa śniegu naniesionego pod dach przez wiatr. Lilly sięgnęła pod płachtę i wyciągnęła polano z samego wierzchu sterty. Było tak ciężkie, że wyslizgnęło się z jej rąk i uderzyło o taras, mijając stopę zaledwie o milimetry. Podniosła niezgrabnie kawał drewna i przycisnęła mocno do piersi. Wniosła pień do środka i zatrzasnęła za sobą drzwi. Postawiła polano przy palenisku i przerwała pracę, oddychając głęboko przez usta, usiłując przekonać samą siebie, że oddychanie idzie jej łatwo.

- Lilly, dobrze się czujesz?

Próbowała go nie słuchać. Skoncentrowała się na wdychaniu powietrza przez zwężone oskrzela.

- Lilly?

Wydawał się szczerze zaniepokojony. Kajdanki zaszczęka-

ły o metalowe zdobienie zagłówka, kiedy usiłował się oswobodzić. Odsunęła się od paleniska i stanęła tak, żeby ją zobaczył.

- Przestań się wydzierać. Wszystko w porządku.

- Właśnie widzę.

- Czuję się dobrze, poza tym, że jestem tu uwięziona z se-ryjnym mordercą. Co z nimi robisz, kiedy są skute kajdankami, Tierney? Torturujesz je i gwałcisz, zanim zabijesz?

- Jeżeli tak robię, to dlaczego nie torturowałem, nie zgwałciłem i nie zabiłem ciebie?

- Ponieważ zadzwoniłam do Dutcha i zostawiłam mu wiadomość o tym, że jestem tutaj z tobą. - Nagle ją olśniło. - Teraz rozumiem, dlaczego wdrygałeś się na każdą wzmiankę jego imienia, dlaczego byłeś tak zainteresowany jego osobą i naszymi obecnymi relacjami.

- Chciałem wiedzieć, czy nadal jesteś w nim zakochana.

Tak właśnie naiwnie myślała. Sądziła, że jego uporczywe wypytywanie o Dutcha, byłego męża, wynikało z zazdrości. Była wściekła, że tak się dała nabrać.

- Nie zamierzam tracić sił na rozmowy z tobą.

Tierney szarpnął kilka razy kajdankami. Na szczęście nie puściły.

Wyszła na zewnątrz. Przez godzinę trudziła się, wnosząc po jednym pieńku do domu. Każdy następny wydawał się cięższy od poprzedniego. Nosiła je z coraz większym móżdżem, coraz dłużej odpoczywając między kolejnymi wycieczkami na dwór. Na szczęście niektóre były na tyle małe, że zapaliły się od tłącego się pod nimi żaru. Z kominka zaczęło rozchodzić się przyjemne ciepło.

Zgodnie z jej obawami, małym toporkiem, który wisiał na ganku, nie dało się rozłupać większych polan. Przez chwilę rozważała pójście do drewni po siekiere, której Tierney najwyraźniej nie znalazł. Zdecydowała jednak, że tego nie zrobi, z obawy, iż nie zdoła wrócić. Zamiast tego zaczęła odłupywać toporkiem małe szczapy, dopóki nie nazbierało się tyle, by starczyło na kilka godzin.

Tyle że nie była pewna, czy ona przetrwa aż tak długo.

- Lilly?

Od pół godziny siedziała na materacu, oparta plecami o sofę, usiłując odpocząć i wyrównać oddech.

- Lilly, odezwij się do mnie.

Oparła głowę o brzeg kanapy i zamknęła oczy.

- Czego chcesz?

- Jak się czujesz?

Nie miała ochoty odpowiadać, ale przez ostatnie pięć minut bezustannie wołał ją po imieniu. Najwyraźniej nie zamierzał przestać, dopóki nie odpowie. Zrzuciła z siebie narzutę, wstała i poczępała w kierunku otwartych drzwi do sypialni.

- Czego chcesz?

- O Boże, Lilly. - Wyraz jego twarzy potwierdził jej przypuszczenia, że wygląda jak zombie. Widziała już siebie podczas ataków astmy. Nie był to piękny widok.

- Ciepło ci? - spytała nieuprzejmie.

- Ciężko ci oddychać. - Kiedy Lilly odwróciła się, by odejść, dodał pośpiesznie: - Przydałby mi się jakiś koc na nogi.

Ściągnęła jeden z materaca. Gęsto tkaną wełnę rozgrzało ciepło bijące z kominka. Stała przy łóżku i położyła koc na wyprostowanych nogach Tierneya.

- Dzięki.

- Nie ma za co. - Zauważyła, że zdarł sobie skórę na nadgarstkach, usiłując ściągnąć kajdanki. - Nic ci to nie da. Tylko się poranisz.

- Też w końcu doszedłem do takiego wniosku - odparł, spoglądając na zdartą skórę. Kilkakrotnie zgiął i wyprostował palce. - Dłonie mi drętwieją. Nie pomyślałem o tym, kiedy przypinałem się do wezgiłowia. Powinienem ułożyć ręce poniżej pasa. Wtedy nie byłbym w tak dziwacznej i niekomfortowej pozycji.

- Kiepskie planowanie.

- Nie przypuszczam, że mogłabyś rozpiąć mi na trochę kajdanki, bym...

- Nie.

- Tak też myślałem - przesunął się, krzywiąc się przy tym z bólu. Nie wzbudził tym jednak w Lilly litości.

- Jesteś głodny? - spytała.
- Burczy mi w żołądku.
- Przyniosę ci coś.
- Mogę dostać trochę kawy?
- Dobrze.
- Będzie musiała się liczyć za moją rację wody.

Wieczny harcerz, przygotowany na każdą okoliczność.

Pięć minut później wróciła do sypialni z kubkiem świeżo zaparzonej kawy i talerzykiem z krakersami posmarowanymi masłem orzechowym. Zabrali je wczoraj z samochodu, przed wyruszeniem na górę.

- Pistolet i klucze do kajdanek zostawiłam w dużym pokoju - powiedziała i przesunęła się tak, żeby mógł zobaczyć stolik w salonie. - Jeżeli myślisz o poparzeniu mnie kawą, unieruchomieniu nogami czy o czymś w tym rodzaju, nic ci to nie da. Nadal nie zdołasz osiągnąć ani broni, ani klucza.

- Bardzo sprytnie.

Postawiła na podłodze kawę i talerzyk, a potem odwinęła szalik, który nosiła na szyi, i rzuciła go daleko w bok. Tierney zmarszczył brwi.

- Czy to miało mnie obrazić?
- Mógłbyś go użyć jako broni.
- Uduślenie cię nie byłoby zbyt mądre, nie sądzisz? Umarłabyś, a ja zostałbym tutaj, bezbronny, przypięty do wezgiłowa łóżka.

- Nie zamierzam ryzykować.
- Dlaczego nosiłaś mój szalik?
- Utrzymasz kubek?
- Spróbuję. Nie mogę obiecać, że nie narozlewam. Dlaczego nosiłaś mój szalik?

- Żeby było mi cieplej, Tierney. Nie było żadnego innego powodu. Nie bawię się w twoją dziewczynę.

Włożyła mu kubek w dłoń. Zacisnął palce wokół niego, pochylił głowę i upił łyk.

- Z drugiej strony to dobrze, że mam ręce wyżej, a nie na poziomie talii, inaczej nie mógłbym jeść ani pić.

- Nie pozwoliłabym ci umrzeć z głodu albo pragnienia. Nie jestem taka jak ty.

- Jesteś bardzo miłą strażniczką, Lilly. Nie bawi cię torturowanie i niestereotypowe kary. Z drugiej strony - odczekał chwilę, dopóki nie uznał, że słucha go uważnie - byłoby prawdziwym okrucieństwem, gdybyś umarła i zostawiła mnie w takim stanie.

- Nie zamierzam.

- Dopilnuj, żeby tak się nie stało - powiedział znacząco.

To samo mówiło jego spojrzenie. Lilly doskonale to widziała.

- Gotowy na krakersy?

- Najpierw skończę kawę.

Odsunęła się i przysiadła na fotelu bujanym, w bezpiecznej odległości od łóżka. Nie patrzyła na niego.

- Czy Dutch często ci opowiadał o tych zaginionych kobietach?

Spojrzała na niego nagle, zaskoczona pytaniem.

- To on powiedział ci o błękitnej wstążce i pseudonimie Chabra?

- Nigdy go nie prosiłam, by opowiadał o tych przypadkach, ale słuchałam, gdy to robił.

- Co jeszcze powiedział o uprowadzeniach w Cleary?

Zmierzyła go zimnym, twardym spojrzeniem.

- Daj spokój, Lilly. Jeżeli jesteś przekonana, że jestem Chabrem, nie powiesz mi niczego, czego sam nie wiem. Czy Dutch wie, co oznacza błękitna wstążka?

- Co oznacza dla Chabra, tak?

Tierney przytaknęła.

- Miał na ten temat teorię.

- Jaka?

Nie chciała rozmawiać z Tierneyem o tym, co wiedziała na temat śledztwa. Z drugiej strony, jeśli to zrobi, może się czegoś dowie.

- Pierwsza zaginiona, Torrie Lambert, była jedyną zamiejscową dziewczyną.

- Przyjechała na wakacje z rodzicami - powiedział. - Poszli na wycieczkę z przewodnikiem podziwiać jesienny krajobraz. Torrie pokłóciła się z matką i z typową dla piętnastolatki butą pomaszzerowała w drugą stronę. Nigdy już jej nie zobaczyli.

- Zgadza się.

- Nie patrz na mnie w ten sposób, Lilly. Przyjechałem do Cleary wkrótce po jej zniknięciu. Wszystkie gazety pisały o tej historii całymi tygodniami. Ja też czytuję dzienniki, jak każdy inny człowiek. Wszyscy mogliby ci powiedzieć to, co ja przed chwilą. Co Dutch sądzi o wstążce?

- To wszystko, co znaleźli po zaginionej - odparła Lilly. - Początkowo wszyscy uczestnicy wycieczki, również jej rodzice, sądzili, że koniec końców dziewczyna ich dogoni. Kiedy się nie pojawiła, zaczęli się niepokoić. O zmroku byli już przerażeni. Po dwudziestu czterech godzinach doszli do wniosku, że to coś więcej niż tylko nastoletni gniew i że Torrie nie wróciła do domu z dużo ważniejszego powodu. Albo została ranna i nie mogła dotrzeć do miasta, albo zgubiła się w górach, albo została porwana.

- Ratownicy szukali jej całymi tygodniami, ale tego roku zima nadeszła wcześniej - podjął opowieść Tierney. - Dziewczyna...

- Przestań nazywać ją dziewczyną - przerwała cierpko Lilly. - Nazywała się Torrie Lambert.

- Torrie Lambert jakby zapadła się pod ziemię. Nie znaleziono po niej żadnego śladu.

- Poza błękitną wstążką. Leżała w zaroślach na granicy stanowej z Tennessee.

- To właśnie skłoniło władze do uznania, że została uprowadzona. Żeby dotrzeć do tego miejsca, musiałaby odbyć piętnastokilometrową wędrówkę przez najbardziej urwisty teren na wschodzie Missisipi.

- Jej matka zidentyfikowała wstążkę jako własność Torrie. Podobno miała ją tamtego dnia we włosach. - Lilly wpatrzyła się pustym wzrokiem w przestrzeń. - Pani Lambert musiała przejść przez prawdziwe piekło, kiedy zobaczyła tę wstążkę - dodała ciszej. - Torrie miała bardzo długie włosy, niemal do pasa. Piękne. Tego poranka zaplotła je w warkocz, wraz z tasiemką. - Spojrzała na Tierneya. - Nie wiem, co takiego jej zrobiłeś, ale miałeś wystarczająco dużo czasu, żeby rozpleść włosy i zabrać wstążkę.

- Chaber miał czas.

- Zastanawiam się nad jedną rzeczą - ciągnęła, jakby nie usłyszała jego komentarza. - Byłeś nieostrożny czy zostawiłeś wstążkę celowo?

- Dlaczego miałyby zostać porzucona celowo?

- Żeby zgubić drużyny ratunkowe, zmylić ludzi. Jeżeli taki był tego cel, podziało. Po odnalezieniu wstążki przywieziono specjalnie tresowane psy, które jednak szybko zgubiły ślad. - Zamyśliła się na chwilę. - Zastanawiam się tylko, dlaczego nie potraktowałeś tej tasiemki jako trofeum.

- Chaber miał swoje trofeum. Torrie Lambert.

Ton jego wywołał u Lilly dreszcze.

- A więc wstążka była jedynie symbolem sukcesu?

Dopił kawę.

- Skończyłem. Dziękuję.

Zabrała kubek z jego dłoni i podała mu dwa krakersy, po jednym do każdej ręki. Pochłonał pierwszy jednym kęsem. Kiedy pochylił głowę nad drugim, zauważyła bandaż.

- Co z raną głowy? Boli?

- Wytrzymam.

- Nie krwawi już.

Podała mu kolejnego krakersa. Ale zamiast wziąć go, chwycił ją za nadgarstek, zaciskając na nim palce.

- Ja przeżyję, Lilly. Bardziej martwię się o ciebie.

Próbowała się uwolnić, lecz przytrzymał jej rękę.

- Puść mnie - zażądała.

- Odepnij kajdanki.
 - Nie. - Znów spróbowała się wyszarpnąć, ale bezskutecznie.
 - Pójdę do samochodu, przyniosę ci lekarstwa.
 - Chcesz powiedzieć, że uciekniesz.
 - Ucieknę? - roześmiał się krótko. - Byłaś przecież na dworze. Wiesz, jaka jest pogoda. Jak daleko mógłbym zajść, gdybym planował ucieczkę? Chcę ci ocalić życie.
 - Przeżyję.
 - Jesteś sina na twarzy. Słyszę każdy twój oddech, nawet gdy siedzisz w dużym pokoju. Walczysz o powietrze.
 - W tej chwili walczę z tobą.
- Tym razem, kiedy szarpnęła ręką, puścił ją. Ze świstem odetchnęła parę razy.
- Chcesz to? - Wyciągnęła w jego kierunku ostatniego krakersa.
 - Tak, poproszę.
- Tym razem nie podała mu do ręki, lecz przysunęła do jego ust.
- Tylko mnie nie ugryź.
- Krzywiąc się, jakby znowu go obraziła, chwycił krakersa między zęby, ostrożnie, aby nie dotknąć jej palców. Szybko zabrała rękę. Pomagając sobie językiem, włożył krakersa do ust. Podniosła z podłogi pusty talerzyk oraz kubek po kawie i ruszyła do dużego pokoju.
- Jeżeli nie chcesz mnie uwolnić, przynajmniej pozwól mi siedzieć tam, gdzie będę mógł mieć na ciebie baczenie.
 - Nie.
 - Jeżeli będę w tym samym pokoju co ty, łatwiej mnie przypilnujesz.
 - Powiedziałam, nie.
 - Lilly.
 - Nie!
 - Nie opowiedziałas mi jeszcze o teorii Dutcha na temat niebieskiej wstążki. Co ona oznacza dla Chabra?
 - Dutch powiedział, że dla Chabra wstążka to symbol zwy-

cięstwa nad przedstawicielami prawa - odpowiedziała po chwili wahania.

- Zgadzam się z nim, prawdopodobnie pierwszy i ostatni raz. Dutch jest głupcem pod wieloma względami. Przede wszystkim dlatego, że wczoraj zostawił cię tu samą, chociaż wiedział o nadchodzącej zamieci. Co on sobie wyobrażał?

- To nie jego wina. Sama namawiałam go, żeby wyjechał przede mną.

- Dlaczego?

- Nie zamierzam rozmawiać z tobą o Dutchu i o mnie.

Spoglądał na nią przez długą chwilę.

- Szanuję cię za to - odezwał się wreszcie. - Naprawdę. Ja też nie chciałbym, żebyś rozmawiała z nim o nas.

- Nie ma „nas”, Tierney.

- To nieprawda, i dobrze o tym wiesz. Zanim doszłaś do wniosku, że jestem zbrojcem, byliśmy na najlepszej drodze do „nas”.

- Nie obiecuj sobie zbyt wiele po jednym pocałunku.

- Normalnie bym tego nie robił - powiedział. - Ale to nie był zwykły pocałunek.

Lilly wiedziała, że powinna natychmiast wyjść z sypialni. Odwrócić wzrok, nie patrzeć w jego oczy, które uwięziły ją, jakby Tierney rzucił na nią zaklęcie.

- Zaprzeczaj temu do woli, Lilly, ale wiesz dobrze, że mówię prawdę. To się nie zaczęło wczoraj, ale od chwili, gdy tamtego dnia weszłaś do autokaru. Od tego czasu nie było ani jednej sekundy w moim życiu, bym nie marzył o zdobyciu cię.

Postanowiła zignorować gorące pulsowanie w podbrzuszu.

- Czy tak właśnie to robisz?

- Co?

- Czy uwodzisz te kobiety słodkimi słówkami, żeby poszły za tobą bez zastanowienia?

- Uważasz, że to słodkie słówka?

- Tak.

- Taka gadka, żeby cię uwieść?

- Tak.

- Żebyś rozpięła kajdanki i pozwoliła mi zrobić z tobą, co chcę?

- Coś w tym stylu.

- W takim razie wytłumacz mi, dlaczego wczoraj w nocy poprzestałem na jednym pocałunku?

Wpatrywał się w nią, oczekując odpowiedzi, która nie nastąpiła.

- Poprzestałem na jednym pocałunku, ponieważ nie chciałem wykorzystywać sytuacji. Jesteśmy w niebezpieczeństwie, uwięzieni na górze, odcięci od całej reszty ludzkości. Rozmawialiśmy o Amy. Byłaś zdenerwowana, bezbronna, potrzebowałaś pocieszenia i czułości. To prawda, pragnęliśmy się. Gdyby ten pocałunek się przedłużył, wiedziałem, dokąd by nas zaprowadził. Wiedziałem też, że później mogłabyś żałować albo kwestionować moje motywy. Nie chciałem narażać cię na rozterki, Lilly. To jedyny powód, dla którego nie dołączyłem do ciebie na materacu.

Przemawiał szczerze. Mój Boże! Zawsze to robił.

- Cóż za poświęcenie, święty Tierney.

- Nie. - Wbił w nią uważne spojrzenie. - Gdybyś powiedziała, że chcesz się ze mną pieprzyć, posłuchałbym w mgnieniu oka.

Gwałtownie, z głośnym świstem zaczerpnęła powietrza.

- Dobry jesteś - wychrypiała, nie tylko z powodu zaciskającego gardło ataku astmy. - W jednej chwili słodki, w drugiej erotyczny. Mówisz to wszystko, co należy powiedzieć.

- Odepnij kajdanki, Lilly - wyszeptał.

- Idź do diabła.

Ostatniej nocy to, czy przeżyje, zależało od pokładanego w nim zaufania.

Dzisiaj zależało od braku zaufania.

- Co do diabła, Wes?
- Zanim puszcza ci nerwy, zastanów się przez chwilę nad sprawą.

Wes stanął obok Dutcha przed piecykiem elektrycznym, który marnie ogrzewał ogromny garaż, ale rozżarzone do czerwoności zwoje sprawiały wrażenie, że stojąc tuż przy grzejniku, można odegnać przenikliwie zimno. Niestety, była to złuda. Chłód betonowej podłogi przenikał przez ciężkie buty i wełniane skarpetki. Dutch zatupał zmarzniętymi nogami, częściowo po to, żeby utrzymać w nich krążenie, ale też ze zniecierpliwienia. Od chwili ich przyjazdu, Cal Hawkins siedział w łazience. Ostatnim razem, kiedy Dutch poszedł go skontrolować, nadal męczył się w brudnej toalecie.

- I tak mieli za tobą pojechać - powiedziała Wes, mówiąc o dwóch agentach FBI, którzy przywieźli go tutaj własnym samochodem. Pozostali w środku sedana, trzymając włączony silnik. Z rury wydechowej wydobywały się kłęby spalin, które wyglądały niczym oddech bestii siedzącej na karku Dutcha.

- Ten Begley chce dorwać Tierneya tak samo jak ty - ciągnął Wes. - Zamiast przedzierać się samemu przez ten śnieg na górę, może przerzucisz na nich część odpowiedzialności za całą akcję?

Dutch nie chciał przyznać głośno, że przyjaciel miał rację. Jeżeli na górze stanie się coś złego - na przykład, jeśli Tierney zostanie zastrzelony podczas prób ucieczki - czeka go seria przesłuchań, śledztwo, komisja rewizyjna i od groma roboty papierkowej. Dlaczego nie zrzucić części odpowiedzialności na federalniaków?

- Jeżeli teraz się nie uda - Wes skinął głową w stronę Hawkinsa, który wyszedł właśnie z toalety, wyglądając jak żywy trup - to FBI ma do dyspozycji helikoptery, wytrenowane drużyny ratunkowe, wysokiej klasy sprzęt namiarowy i różne inne użyteczne gadżety.

- Ale jeżeli ich wykorzystam, będę się musiał im podpo-

rządkować. To mnie wkurza, i to bardzo. Poza tym, kiedy dorwę Tierneya...

- Rozumiem cię i zgadzam się z tobą w stu procentach, stary. Zwłaszcza jeżeli ten człowiek jest porywaczem naszych kobiet. Chciałem po prostu powiedzieć, że...

- Powiniennem wykorzystać FBI do pewnego stopnia, tak?

Wes klepnął go po plecach i uśmiechnął się, tak jak podczas narady przed meczem, kiedy postanawiali zniszczyć drużynę przeciwnika.

- Ruszajmy więc, człowieku! - zawołał, ale kiedy ruszyli w kierunku pługu, zmarszczył czoło. - Jesteś pewien, że on sobie *poradzi*?

Hawkins siedział już za kierownicą, trzymając się jej kurczowo, jakby stanowiła koło ratunkowe.

- Tak będzie dla niego najlepiej. Jeżeli spieprzy sprawę, zabiję go, a potem wsadzę za kratki na resztę jego życia. - Dutch otworzył drzwi od strony pasażera i wspiął się do kabiny.

- Będę tuż za tobą, gdybyś mnie potrzebował - powiedział Wes.

Kiedy zamknął za Dutchem drzwi, Hawkins podskoczył na siedzeniu.

- Nie trzeba tak trzaskać - rzucił obruszony.

- Zapalaj, Hawkins - polecił Dutch.

- Zapalę, ale nic dobrego temu nie wróżę. - Hawkins przekręcił klucz w stacyjce. - Powiedziałem to już tysiąc razy i powtórzę raz jeszcze. To kompletne szaleństwo.

Dutch spojrział na niego podejrzliwie.

- Czyżbym wyczuwał alkohol w twoim oddechu?

- To z zeszłej nocy - mruknął i poprawił lusterka boczne.

Dutch spojrział w lusterko od swojej strony i zobaczył, że agent Wise wyprowadza sedana. Za nim podążył Wes, usuwając się Hawkinsowi z drogi.

Po dziesięciu sekundach od opuszczenia garażu przednią szybę pokryła gęsta warstwa śniegu. Spojrzenie Hawkinsa w stronę Dutcha wyraźnie oznaczało: A nie mówiłem? Mru-

cząc pod nosem, włączył wycieraczki i zmienił bieg. Z dużym ociąganiem - tak się przynajmniej wydawało Dutchowi - ciężarówka ruszyła. Pług przytwierdzony do kraty z przodu wozu odgarniał śnieg, oczyszczając nieco drogę dla podążających za ciężarówką samochodów. Hawkins posypywał też nawierzchnię mieszaniną piasku i soli, co trochę pomagało. Ale ilekroć Dutch zerkał w lusterko, widział jak Wes i Wise walczą, żeby nie wpaść w poślizg. Przystał więc się przyglądać.

Ustawił komórkę na wibrację, a nie na sygnał dźwiękowy. Wiedział dzięki temu, że nikt do niego nie dzwonił, ale i tak sprawdził, czy nie ma nowej wiadomości na poczcie głosowej. Nie było.

Zadzwoił do Lilly z nadzieją, że jakimś szczęśliwym trafem złapie zasięg. Niestety, tak jak się spodziewał, nic z tego nie wyszło. Powtarzał sobie, że gdyby Lilly mogła, na pewno by zadzwoniła.

Pochylił się do przodu i usiłował wypatrzeć przez zaśniewaną szybę wierzchołek Cleary Peak. Nie zobaczył jednak nic więcej poza kilkumetrowym kawałkiem drogi. W tak gęstej śnieżycy widoczność była niemal zerowa. A jeżeli tutaj panowały takie warunki, to na górze było dwa razy gorzej. Nie chciał wystraszyć kierowcy, więc nie podzielił się z nim spostrzeżeniami, ale Hawkins zdawał się czytać w jego myślach.

- Im wyżej wjedziemy, tym gorzej będzie z pogodą - powiedział.

- Powoli w końcu dotrzemy na miejsce.
- Chyba bardzo, bardzo powoli. Zastanawiam się tylko... - rzekł po namyśle Hawkins.

- Nad czym znowu? - Dutch spojrzał na niego niechętnie.
- Czy twoja stara chce zostać uratowana?

- Co o tym myślisz, Sowa?
- O czym konkretnie, sir? - Wise koncentrował się na prowadzeniu samochodu, próbując utrzymać się pośrodku rynny, jaką utworzył dla nich pług.

- O Dutchu Burtonie. Jaką masz o nim opinię?

- Jest niezwykle wrażliwy na wszelką krytykę. Od razu się najeża.

- Zwykła reakcja człowieka przeżywającego nieustanne porażki życiowe oraz/lub mającego o sobie niepochlebne zdanie. Co jeszcze, Sowa?

- Chce odseparować Tierneya od żony bardziej z zazdrości niż z przekonania, że Tierney jest Chabrem. Reaguje jak mężczyzna, a nie jak przedstawiciel prawa.

Begley uśmiechnął się promiennie do swojego podwładnego, jakby ten nagle okazał się cudownym dzieckiem, które podało właściwą odpowiedź na trudne pytanie.

- Czego dowiedział się o tej kobiecie Perkins?

Oczekując na spotkanie z komendantem Burtonem w restauracji Ritta, Sowa zadzwonił do biura w Charlotte. Oczywiście miał ze sobą laptopa, ale komputery stacjonarne miały szybszy i lepszy dostęp do sieci informacyjnych. Poprosił Perkinsa o wydobycie wszelkich możliwych informacji o byłej żonie Burтона i uprzedził rozmówcę, że Begleyowi zależy na jak najszybszej odpowiedzi.

- Niech to cholera. W porządku. Daj mi dziesięć minut.

Oddzwonił po pięciu.

- Jest redaktorem naczelnym czasopisma o nazwie „Smart” - powiedział Sowa.

- Żartujesz sobie! - wykrzyknął Begley.

- Nie, sir.

- Moja żona traktuje to pismo jak wyrocznię. Potrafi spędzić cały weekend na jego lekturze. Urządziła nasz salon według projektu z tego magazynu. Jesteś żonaty, Sowa?

- Słucham? - spytał z zaskoczeniem Wise. - Och, nie, sir!

- Dlaczego nie?

Sowa nie miał nic przeciwko idei małżeństwa. W rzeczywistości był jej zwolennikiem. Problem polegał na znalezieniu kobiety, która nie znudziłaby się nim i jego poukładanym życiem. Tak to już było w jego życiu z kobietami. Umawiał się na kilka randek, czasem nawet któraś z jego partnerek zostawała na noc, ale potem rozstawali się z powodu braku entuzjazmu.

Ostatnio zaczął wymieniać korespondencję elektroniczną z pewną kobietą, którą poznał przez Internet. Mieszkała w Lexington i przyjemnie się mu z nią rozmawiało. Nie wiedziała, że Sowa pracuje dla FBI. Kobiety fascynowały się „męskim” wizerunkiem agenta, kreowanym przez media. On do tego nie pasował. Karen, bo tak miała na imię jego znajoma, wiedziała jedynie, że Wise pracuje dużo przy komputerze i, o dziwo, nadal była zainteresowana.

Ich ostatnia rozmowa internetowa trwała godzinę i trzydzieści osiem minut. Karen sprawiła, że siedział przed komputerem w swoim nienagannie utrzymanym domu i śmiał się w głos z jej opowieści o pierwszej i jedynej próbie zaoszczędzenia pieniędzy i ufarbowania sobie włosów w domu. Karen zapewniła go, że fatalny wynik jej działań został naprawiony przez profesjonalistę w salonie fryzjerskim i ostateczny efekt wart był każdego wydanego centa. Po tej rozmowie pomyślał, że potrzebuje więcej radości w swoim życiu.

Karen wspominała niejednokrotnie o tym, jak pięknie bywa w Kentucky na wiosnę. Jeżeli kiedykolwiek owe aluzje doprowadzą do zaproszenia go, żeby przekonał się naocznie o walorach tamtejszego krajobrazu, poważnie rozważy odwiedzinę. Denerwował się wprawdzie na myśl o spotkaniu z nią twarzą w twarz, ale był to dobry rodzaj podenerwowania.

- Przez ostatnie kilka lat koncentrowałem się na mojej karierze, sir - odparł sztywno, z nadzieją, że Begley nie dostrzegł rumieńca na jego policzkach.

- Wszystko to wspaniale, rozumiem, Sowa, ale to tylko praca, nie życie. Pomyśl nad tym.

- Tak jest, sir.

- Moja żona sprawia, że czuję się szczęśliwy i nie wariuję w pracy. Nie wiem, co bym bez niej zrobił. Chciałbym, żebyś ją kiedyś poznał.

- Dziękuję, sir. To będzie dla mnie zaszczyt.

- Ta Lilly Martin. Rozumiem, że to raczej łebska kobieta?

- Tak, sir. - Sowa z ledwością nadażał za zmianą tematów. - Ma dyplom w dziedzinie sztuk pięknych i dziennikar-

stwa. Zaczynała w jakimś innym czasopiśmie jako goniec i awansowała do dzisiejszej pozycji. Perkins wysłał mi kilka linków, na które możemy później zerknąć. Powiedział, że na fotografiach wydaje się dość atrakcyjna - rzucił spojrzenie Begleyowi. - Było jeszcze coś, sir. Związanego z Benem Tierneyem. Perkins powiedział, że na jednym z wydruków transakcji z jego karty kredytowej była wymieniona wpłata na rzecz firmy sprzedającej rzeczy z demobilu. Kupił transponder i kajdanki.

- Jezu Chryste. Jak dawno temu?
- Obciążenie znaleziono na sierpniowym zestawieniu. Begley z zamyśleniem zagryzał dolną wargę.

- Pan Elmer powiedział, że zeszłego lata Tierney spotkał Lilly Martin.

- I że był nią zafascynowany.
- Nie wiemy tylko, czy owa fascynacja była odwzajemniona. Może widywali się od tamtego czasu. Dutch Burton, jako jej były mąż, niekoniecznie musiał o tym wiedzieć.

- Tak jest.
- Z drugiej strony...
- Jeżeli pani Martin nie jest zauroczona Tierneyem, ten zaś jest Chabrem...

- Taaaak - westchnął Begley. - Nie spodobałoby mu się odrzucenie jego zalotów. - Zamilkł na kilka ponurych chwil, a potem nagle uderzył się pięścią po udzie. - Cholera jasna, Sowa, to nie ma najmniejszego sensu! Według Ritta, a Wes Hamer zgodził się z jego zdaniem, kobiety Ignęły do Tierneya. Powiedz mi zatem, dlaczego miałyby je porywać, co, Sowa? Masz jakiś pomysł?

Chociaż szef niecierpliwie czekał na odpowiedź, Wise najpierw uważnie ją sobie przemyślał.

- Kiedy byłem jeszcze na wydziale prawa...
- A właśnie, skoro już o tym mowa - przerwał mu Begley. - Dowiedziałem się niedawno, że masz dyplom prawnika. Dlaczego nie pracujesz w sądownictwie?

- Zawsze chciałem być agentem FBI, sir. Odkąd pamiętam - odparł Wise bez wahania. Jego ambicje były wyśmiewa-

ne przez kolegów w szkole. Nawet rodzice zasugerowali, żeby przygotował sobie jakiś plan awaryjny na wypadek, gdyby nie udało mu się osiągnąć celu. Wise jednak nie pozwolił, aby zniechęcił go sceptycyzm najbliższych. - Problem polegał na tym, sir, że nie byłem w wojsku i nie miałem żadnego przeszkolenia policyjnego. Na pierwszy rzut oka nie wyglądałem na kogoś, kto nadawałby się do pracy w najlepszej agencji detektywistycznej na świecie. Nie pasowałem do wizerunku agenta FBI. Obawiałem się, że agencja mnie nie przyjmie, chyba że wcześniej w jakiś sposób się wykażę. Pomyślałem, że dyplom prawnika mógłby pomóc i najwyraźniej miałem rację. - Spojrzał na Begleya, którego zwerbowano do pracy w FBI ze względu na doskonałą przeszłość wojskowego, zdolności przywódcze i, co najważniejsze, twardy charakter i odwagę. Ich umiejętności były tak różne, że aż brał śmiech.

Begley oceniał go uważnie, choć niezbyt surowo. Sowa pomyślał, że być może zdał egzamin w oczach szefa. Taką miał nadzieję. Nie była to mała rzecz. Wręcz przeciwnie, to było coś, prawdziwy nieoficjalny awans.

- Pytał mnie pan, dlaczego Tierney porywa kobiety, sir. Chciałem właśnie podzielić się z panem przemyśleniem, które mogłoby wyjaśnić tę sprawę. Na pierwszym roku studiów ściagałem się z moim kolegą o pierwsze miejsce na roku, jeśli chodzi o wyniki w nauce. On wyglądał jak młody John Kennedy. Wysportowany, charyzmatyczny, chodził z modelką magazynu „Sports Illustrated”. Na dodatek był naprawdę zdolny. Błyskotliwy. Zawsze jednak oszukiwał, bez umiaru. Na każdych zajęciach, przez wszystkie lata nauki ściagał na testach i spisywał prace domowe. Ale skończył ze średnią nieco wyższą od mojej i otrzymał dyplom z wyróżnieniem za najlepsze wyniki w nauce.

- Nigdy go nie przyłapano?
- Nie, sir.
- Musiało cię to boleć, co?
- Niezbyt, sir. Prawdopodobnie i tak by mnie wyprzedził. Problem w tym, że wcale nie musiał oszukiwać.

- Więc dlaczego to robił?
- Studia prawnicze nie były dla niego żadnym wyzwaniem. Ale oszukiwanie, to, żeby nie zostać przyłapanym, owszem.

W jadącym przed nimi wozie Wesa Hamera mignęły światła stopu. Raz, drugi, trzeci. Sowa odebrał to jako sygnał do powolnego hamowania. Odpuścił gaz. W jadącym na czele pługu błysnęły światła stopu i zamigotał prawy kierunkowskaz. Sowa delikatnie nacisnął na hamulec, żeby zwolnić. Begley zdawał się nie zauważać niczego, co rozgrywało się poza szybą samochodu. Zastanawiał się wciąż nad motywami Tierneya.

- W takim razie mamy do czynienia z kolejnym prymusem, któremu brakuje wyzwań. Porywa je, żeby sprawdzić, czy może. Dlaczego jednak akurat te kobiety? Dlaczego nie... - Nagle, ku zdenerwowaniu Sowy, rozpiął pas i odwrócił się, sięgając pomiędzy tylne i przednie siedzenie. Chwycił pięć teczek z niezliczonymi formularzami i informacjami, które zebrał Sowa na temat każdej zaginionej kobiety. Ułożył sobie te dokumenty na kolanach. Sowa odetchnął z ulgą, kiedy szef znowu zapiął pas bezpieczeństwa.

- Wczoraj w nocy przeglądałem te teczki i miałem wrażenie, że czytam od nowa jedną i tę samą historię - powiedział Begley. - Dopiero teraz zrozumiałem dlaczego.

- Obawiam się, że nie nadażam, sir. - Sowa wprowadził sedana w zakręt. Podążał za Wesem w bezpiecznej odległości i tylko dlatego zdołał zahamować na czas. Samochód zatrzymał się nader blisko tylnego zderzaka wozu Hamera. Z przodu pług śnieżny trudził się ze złapaniem przyczepności, usiłując wjechać na stromą drogę zaczynającą się tuż za zakrętem.

Begley uderzył otwartą dłońią w leżącą na wierzchu teczkę. Nagły hałas spowodował, że Sowa podskoczył ze strachu.

- Te kobiety miały ze sobą coś wspólnego, Sowa.
- Żaden z ludzi pracujących nad sprawą nie znalazł jakiegokolwiek powiązania pomiędzy ofiarami, sir. Miejsce zatrudnienia, typ budowy ciała, pochodzenie, wykształcenie...
- Potrzeba.

Niepewny, czy dobrze usłyszał, Sowa zaryzykował odwrócenie głowy i spojrzenie na Begleya.

- Sir? - rzucił pytająco.

- Wszystkie te kobiety miały jakieś potrzeby. Millicent jak wiemy była anorektyczką, co jest wskaźnikiem problemów emocjonalnych i zaburzonego postrzegania swojej osoby, tak?

- Tak to rozumiem.

Begley ułożył teczki zgodnie z datami zaginięcia ofiar.

- Przed nią była Carolyn Maddox. Samotna matka, biorąca nadgodziny, żeby utrzymać chore na cukrzycę dziecko. Lauren Ellion - otworzył kolejną teczkę i przebiegł wzrokiem po zgromadzonych tam informacjach. - Ach. Metr sześćdziesiąt, ponad sto kilogramów wagi. Była otyła. Założę się, że jeśli przyjrzeć się temu bliżej, stanowiło to dla niej problem przez całe życie i że wypróbowała każdą istniejącą dietę na świecie. Była pielęgniarką i jako pracowniczka służby medycznej co chwila słyszała o zagrożeniach związanych z otyłością. Być może wywierano na nią presję, żeby schudła.

- Chyba już wiem, do czego pan zmierza, sir.

- Mąż Betsy Calhoun zmarł na raka trzustki sześć miesięcy przed jej zniknięciem. Byli małżeństwem przez dwadzieścia siedem lat. Pani Calhoun była gospodynią domową. Co ci to mówi, Sowa?

- No...

- Depresja.

- Oczywiście.

- Betsy Calhoun wyszła za mąż zaraz po ukończeniu szkoły. Nigdy nie pracowała. Jej mąż zajmował się sprawami finansowymi. Betsy prawdopodobnie nigdy nie podpisała żadnego czeku, aż do jego śmierci. Nagle została postawiona w sytuacji, w której musiała zacząć radzić sobie sama w życiu i to kiedy właśnie straciła miłość, cel swojego życia.

Begley był tak nakręcony, że Sowa nie miał serca napomknąć, iż to jedynie przypuszczenia, oparte wprawdzie na logicznych przesłankach, lecz wciąż pozostające domysłami, których nie uznaliby żaden sąd.

- To jest nasz klucz do sprawy, Sowa - ciągnął Begley. - Nie porywał kobiet, które robią karierę i czują się bezpieczne finansowo, pozostają w stałych związkach, są zdrowe i stabilne emocjonalnie. Wszystkie zaginione kobiety zmagaly się z przeciwnościami losu, że się tak wyrażę. Jedna cierpiała na depresję, druga walczyła z otyłością, trzecia urabiała sobie ręce po łokcie, żeby związać koniec z końcem i utrzymać w jako takim zdrowiu dziecko, kolejna znowu wrzucała w siebie tony jedzenia, żeby zaraz potem wszystko wymiotować. I wtedy wkraczał nasz sprawca. Wrażliwy, współczujący, rozumiejący ich problemy, uprzejmy, a przy tym o wyglądzie pieprzonego księcia z bajki.

- Zaprzyjaźniał się z nimi, zdobywał ich zaufanie - wtrącił Sowa, podekscytowany nową teorią.

- Oferował im męskie opalone ramię, by mogły się oprzeć i szeroką masykularną pierś, na której mogły się wypłakać.

- Jego *modus operandi* to pomaganie kobietom w potrzebie.

- Nie tylko to, Sowa. Ratowanie ich. Dostarczanie tego, czego potrzebują. Z takim wyglądem, będąc z pozoru niedostępnym poszukiwaczem przygód, mógłby mieć każdą kobietę, kiedy tylko przyjdzie mu na to ochota. To być może coś w rodzaju dodatkowej nagrody, ale prawdziwą podniętą dla niego jest to, że jawi się jako ich zbawca.

Nagle Sowie przysłała do głowy myśl, która podała w wątpliwość całą hipotezę.

- Zapomnieliśmy o Torrie Lambert, pierwszej zaginionej. Była śliczną dziewczyną, dobrze się uczyła, miała mnóstwo przyjaciół i żadnych poważnych problemów emocjonalnych czy kompleksów. Poza tym Chaber wcale jej sobie nie wypatrzył. Natknął się na nią, kiedy odłączyła od grupy turystów w górach. Nie wiedział, że tamtego dnia będzie się błąkała samotnie po lesie. Została uprowadzona, ponieważ była dostępna, nie dlatego, że była gotowa.

Begley zmarszczył brwi i zaczął przeglądać dokumenty zgromadzone w teczce Torrie Lambert.

- Co z mężczyznami, którzy znajdowali się w owej grupie turystów?

- Od czasu jej zniknięcia pozostawali z grupą przez cały czas. Przesłuchiwano ich niezliczoną ilość razy. Nikt z wyjątkiem Torrie nie odłączył się od wycieczki.

- Dlaczego ona to zrobiła?

- Podczas przesłuchania pani Lambert, matka Torrie, powiedziała, że rano się pokłóciły. Nie poszło o nic ważnego, była to typowo nastoletni wybuch gniewu. Podejrzewam, że Torrie nie miała ochoty na wakacje w towarzystwie rodziców.

- Moja żona i ja mamy dokładnie ten sam problem z naszą piętnastoletnią córką - mruknął Begley. - Przynosimy jej wstyd. Jest przerażona, kiedy przyznajemy się do niej publicznie. - Zamyślił się na chwilę. - Zatem Chaber natyka się na wkurzoną nastoletnią Torrie. Rozmawia z nią, bierze jej stronę przeciwko matce, mówi, że sam pamięta, jakim wrzodem na tyłku potrafią być rodzice...

- ...i w ten sposób przekonuje ją do siebie.

- Bez problemu. W którymś momencie Torrie zaczyna się czuć niepewnie w jego towarzystwie, decyduje się wrócić do rodziców. Dlaczego chcesz wrócić, pyta on. Jestem jedynym przyjacielem, jakiego potrzebujesz. Teraz już na dobre przestraszona, usiłuje uciec. Chaber traci cierpliwość i dziewczyna ginie z jego ręki. Może nie chciał jej zabić. Może sprawy wymknęły się spod kontroli, a on nie zdawał sobie z tego sprawy, aż było za późno i Torrie przestała oddychać. Tak czy inaczej, zgwałcił ją czy nie, wyszedł z tego obronną ręką. - Begley zamknął oczy, wyobrażając sobie czyny i myśli przestępcy. - Kiedy nikt go nie aresztował, a nawet nie zaczął podejrzewać o popełnienie przestępstwa, zdał sobie sprawę, jakie to łatwe, i zasmakował w zbrodni. Dominacja to najlepszy narkotyk dla ego. Wzięcie czyjegoś losu w swoje ręce, kontrolowanie czyjegoś życia to największa podnieta dla tego typu osobowości. Pewnego dnia, podczas wspinaczki po lodowcu albo innego podobnie głupiego zajęcia nagle doszedł do wniosku, że nie bawi go to już tak, jak kiedyś. Nie czuł znajomego uderzenia

adrenaliny. Zaczął wspominać podniecenie, jakie czuł, gdy zabijał tamtą dziewczynę, i nagle zrozumiał, że musi zrobić to znowu. Postanowił, że wróci do Cleary i zobaczy, czy nie mógłby pomóc w czymś jakiejś zdesperowanej kobiecie i przekonać się, czy poczuje ten sam dreszczyk emocji, jak za pierwszym razem. Wybrał to miejsce, ponieważ szansa na złapanie go tutaj była bardzo mała, niemal zerowa. Zapewne sądzi, że miejscowi policjanci to chłopki roztropki, nawet w połowie nie tak sprytni jak on. W okolicy jest mnóstwo miejsc, w których można się ukryć, całe hektary niezagospodarowanych terenów, na których można ukryć ciała. Podoba mu się tutaj. To idealne miejsce na oddanie się najnowszej pasjonującej rozrywce. - Wypowiadając ostatnie słowa, Begley wydawał się szczerze rozgniewany. Otworzył szeroko oczy. - Dlaczego stoimy w miejscu? Dlaczego, do diabła ciężkiego, zabiera to tak dużo czasu? - spytał, przecierając zaparowaną szybę rękawem płaszcza.

W kabinie pługą Dutch tracił cierpliwość.

- Stać cię na więcej, Cal!

- Może i tak, jeżeli przestaniesz na mnie wrzeszczeć. - Hawkins wydawał się bliski łez. - Denerwuję się przez ciebie. Jak mam prowadzić, jeżeli wymyślasz mi przy każdym oddechu? Zapomnij o tym, co powiedziałem na temat twojej starej, o tym, czy chce być uratowana. Nie chciałem cię wkurzyć. Po prostu spytałem.

- Lilly to moja sprawa.

Hawkins wymamrotał pod nosem coś, co zabrzmiało: „Już nie”. Dutch nie skomentował, bo była to prawda. Poza tym, właśnie zbliżali się do ostrego zakrętu, tego, na którym nie poradzili sobie zeszłej nocy. Dutch chciał, żeby Hawkins poświęcił całą uwagę prowadzeniu.

Cal zredukował bieg. Dutch zauważył, że trzęsą mu się ręce. Może powinien pozwolić Hawkinsowi na odrobinę whisky? Pamiętał, jak to było, kiedy sam zdrowo pociągał. Czasem nawet mały doping potrafił zdziałać cuda, na przykład uspokoić

trzęsące się dłonie. Teraz jednak było już za późno. Hawkins wszedł w zakręt.

A przynajmniej spróbował.

Przednie koła posłuchały rozkazu kierownicy i skrzyły w prawo. Ciężarówka nie. Nadal przesuwała się do przodu, zbliżając się nieuchronnie do stromego pobocza, które ciągnęło się co najmniej dwadzieścia parę metrów w dół.

- Skręcaj!
- Przecież próbuję!

Kiedy przed ich oczami pojawiły się wierzchołki drzew, coraz bliższe i bliższe, Hawkins krzyknął i odruchowo wduśił sprzęgło i hamulec, a potem puścił kierownicę i zasłonił twarz ramionami.

Dutch był bezradny. Nie mógł zatrzymać poruszającej się ślizgiem ciężarówki. Pług zamontowany na kracie z przodu wozu uderzył w barierkę, która wygięła się i pękła, ustępując pod naporem kilku ton rozpędzonego żelaztwa. Przednie koła ciężarówki wypadły za krawędź szosy. Pług zdawał się wisieć przez chwilę nad przepaścią, zanim przechylił się do przodu.

Dutch przypomniał sobie film zatytułowany *Pojedynek*, w którym w finałowej scenie osiemnastokołowa ciężarówka wypada z autostrady w górską przepaść. Cała sekwencja została pokazana w zwolnionym tempie. Teraz Dutch czuł się jak jej bohater - przyglądał się wszystkiemu i jednocześnie brał udział w nieubłaganym upadku, który odbywał się w boleśnie powolnym tempie. Wszystko było rozmazane, natomiast odgłosy przerażająco klarowne. Trzask pękającej szyby. Kamienie szorujące o podwozie piaskarki. Łamiące się gałęzie. Zgrzyt rozdzieranego metalu. Przeżalone okrzyki Hawkinsa. Jego własny zwierzęcy ryk niedowierzania i klęski.

Uratowały im życie drzewa, spowalniając upadek. Gdyby zbocze nie było tak gęsto porośnięte, ciężarówka zanurkowałaby w dół znacznie szybciej i zginęliby na miejscu. Po niemal wieczności pług zatrzymał się wreszcie gwałtownie na jakimś nieruchomym obiekcie. Inercja rzuciła nimi do przodu, ale ciężarówka w końcu zatrzymała się z drzeniem.

Jakimś cudownym trafem mózg Dutcha nie został sprasowany na skutek uderzenia. Nie stracił przytomności i ze zdumieniem uświadomił sobie, że nadal żyje i właściwie nie doznał żadnych obrażeń. Hawkins też najwyraźniej przeżył uderzenie. Dutch słyszał jego żałosne pochlipywanie. Odpiął pas i popychając ramieniem drzwi od strony pasażera, otworzył je na oścież. Wypadł z kabiny, lądując kilka metrów poniżej. Kiedy się w końcu wygramolił, śnieg sięgał mu niemal do pasa.

Chciał się rozejrzeć, zorientować w położeniu, ale oślepiła go zadymka. Nie widział nawet, co takiego powstrzymało ciężarówkę przed osunięciem się w przepaść. Odróżniał tylko czarne pnie drzew odcinające się wyraźnie na białym tle.

Nie musiał jednak zobaczyć, co ich zatrzymało.

Usłyszał.

Poczuł rozchodzące się po ziemi wibracje, wprawiające w drżenie pień drzewa, o który oparł się dla zachowania równowagi, i całe jego ciało. Nie zadał sobie nawet trudu, żeby ostrzec Hawkinsa lub próbować wyciągnąć go z wraku ciężarówki. Nie usiłował biec, ratować się. Porażka pozbawiła go możliwości myślenia i działania, sparaliżowała. Bezsens jego życia skulminował się w tej jednej chwili. Za chwilę miał umrzeć, tu i teraz. Jego nadzieja na dotarcie do Lilly legła w gruzach.

Wes przyglądał się z niedowierzaniem, jak pług śnieżny znika za krawędzią przepaści. Wyskoczył z samochodu i stanął przy otwartych drzwiach, jakby w ten sposób mógł lepiej zrozumieć, jak do tego doszło.

Słyszał, że ciężarówka ześlizguje się po zboczu z potwornym łoskotem, po którym nastąpił metaliczny jęk, agonalne rżenie maszyny. Cisza, jaka zapadła w chwilę później, była jeszcze bardziej przerażająca; tak idealna, że Wes słyszał opadające na jego ubranie płatki śniegu. Przerwali ją Begley i Wise, którzy podeszli do Wesa tak szybko, jak pozwoliła im na to pochyła, śliska nawierzchnia. Ich samochód stał na tyle

daleko, że nie mogli ze szczegółami zaobserwować rozgrywanej się sceny. Begley dotarł w pobliże Wesa pierwszy, wydychając gwałtownie obłoczki pary.

- Co się stało?
- Wypadli z drogi.
- Niech mnie diabli!

Tym razem Begley nie skarcił Sowy za jego niecenzuralny okrzyk. W tej samej chwili bowiem usłyszeli inny dźwięk, którego nie mogli zidentyfikować, ale który jednoznacznie zwiastował nadchodzącą katastrofę. Wymienili zdziwione spojrzenia.

Później zrozumieli, że słyszą trzask rozdzieranych pni. Drzewa, których nie mógłby objąć dorosły mężczyzna, łamały się niczym zapałki. Nie mogli jednak zobaczyć, co się dzieje poprzez gęsty śnieg.

- Co to jest, do diabła? - spytał w imieniu wszystkich Wes.

A potem zobaczyli - spadający z nieba, wynurzający się z gęstych, nisko zawieszonych chmur i mgły, mknący ku ziemi niczym lądujący awaryjnie statek kosmiczny. Słup wysokiego napięcia uderzył w podłoże z siłą, której nawet gruba warstwa śniegu nie zdołała zamortyzować. Później Wes przysięgał swoim słuchaczom, że pod wpływem wstrząsu jego samochód podskoczył na wszystkich czterech kołach.

Teraz jednak stał wraz z dwoma agentami FBI przez kilka chwil, zapomniawszy języka w gębie, nie do końca rozumiejąc, co tak naprawdę się zdarzyło i nie mogąc wyjść ze zdumienia, że udało im się przeżyć. Gdyby słup upadł trzydzieści metrów bliżej, zmiażdżyłby ich niechybnie.

Nie wiadomo, co stało się z Dutchem i Hawkinsem. Wes miał nadzieję, że obaj przeżyli. Prawdziwą ofiarą była jednak droga Mountain Laurel, zablokowana tonami stali i połamanych drzew. Barykada była wysoka na niemal dwa piętra i prawie tak samo szeroka. Teraz nikt już nie będzie mógł się przedostać na szczyt ani zjechać na dół.

Lilly dorzuciła polano do ognia. Oszczędzała drewno, za każdym razem dokładając jedną szczapę, by podtrzymać ogień. Pomimo jej gospodarności, zapas, jaki zgromadziła, skurczył się do kilku kawałków drewna z trudem odłupanych od większych polan. W tym tempie wystarczy opału najwyżej na dwie godziny. Lilly nie wiedziała, co zrobi, kiedy zapasy się skończą. Bez ognia zamarznie przez noc, nawet pozostając w czterech ścianach domu. Potrzebowała ciepła, żeby przetrwać, jednak wysiłek, jaki musiałyby włożyć w przyniesienie opału, najprawdopodobniej by ją zabił.

- Lilly?

Zagryzła wargę i zamknęła oczy. Gdyby tylko w ten sam sposób potrafiła zatkać uszy. Głos Tierneya był zbyt natarciwy, argumenty zbyt logiczne. Jeżeli pozwoli się przekonać, stanie się ofiarą numer sześć.

Dyskusje z Tierneyem wyczerpywały ją. Rozmawiali w kółko o tym samym, prowadziło to donikąd. Ona nie zamierzała go uwolnić, a on przedstawiał jej całą listę powodów, dla których powinna to zrobić. Poza tym była jeszcze sprawa jej coraz bardziej rżęzącego oddechu. Mówienie tylko pogarszało ten stan, więc w końcu przestała się odzywać.

- Lilly, powiedz coś, jeżeli jesteś przytomna. Wiem, że mnie słyszysz.

W jego głosie słyszała nutki gniewu wywołanego jej milczeniem. Podniosła się sprzed kominka i podeszła do okna w dużym pokoju, po drodze zaglądając do sypialni.

- Może byś się zamknął - rzuciła.

Odsunęła zasłony i wyjrzała na zewnątrz, z nadzieją, że śnieżycy zaczęła się uspokajać. Nic z tego. Padał tak gęsty śnieg, że nie widać było niczego poza krańcem werandy. Szczyt góry zmienił się w obcy krajobraz, biały, cichy, wyalienowany.

- Przechodzi już?

Potrząsnęła przecząco głową i odeszła od okna. Objęła się

ramionami, bo zrobiło jej się zimno. Gdy tylko odchodziła od kominka, chłód natychmiast przenikał ją do kości, mimo kilku warstw ubrań, jakie miała na sobie. Nogi przemarły, choć włożyła wszystkie skarpetki. Normalnie chuchnęłaby w dłonie, aby je rozgrzać, ale dziś nie mogła marnować na to oddechu.

Tierney nie narzekał na chłód. Jego wysiłki, żeby uwolnić się z kajdanek, rozgrzewały go całkiem nieźle. Najwyraźniej uznał, że wolność warta jest pozdieranej do żywego mięsa skóry na nadgarstkach. Nie próbował nawet maskować odgłosu uderzenia metalu o metal. Lilly słyszała ten dźwięk bez ustanku, podobnie jak stek przekleństw, jaki z siebie wyrzucał, kiedy kajdanki nie chciały się poddać.

- Jak sytuacja z drewnem? - zawołał.

- Na razie w porządku.

- Na razie. A później? Za godzinę?

Stała w otwartych drzwiach.

- Będę się o to martwiła, kiedy nadejdzie czas.

- Kiedy nadejdzie czas, będzie za późno na zmartwienia - wypowiedział na głos jej najgorsze obawy, nie traciła więc czasu na zaprzeczanie.

- Chcesz... jeszcze jeden... koc... na nogi? - musiała często przerywać, żeby zaczerpnąć oddechu.

- Kiedy ostatni raz brałaś lekarstwo?

- Moje lekarstwo? - zarzęziła. - Wczoraj rano.

- Nie wydajesz się tego pewna.

Boże, czyżby potrafił czytać w moich myślach?

Rzeczywiście, Lilly nie pamiętała, czy poprzedniego dnia rano zażyła tabletkę. Przypominając sobie wydarzenia wczorajszego dnia, nie potrafiła przywołać na myśl chwili, w której brała lekarstwo. Miała do załatwienia parę spraw na mieście. Wstąpiła do miejscowej firmy przeprowadzkowej, żeby kupić kilka kartonowych pudeł. Potem zatrzymała się przy bankomacie, by wziąć pieniądze na podróż powrotną do Atlanty. Wreszcie poszła do apteki. Poprzedniego wieczora połknęła ostatnią pigułkę. Na szczęście od kiedy zaczęła przyjeżdżać regularnie do Cleary, miejscowy lekarz wypisał jej receptę na

theophyllinę, lek zapobiegający atakom astmy. Lilly trzymała ją jako zabezpieczenie.

Wczoraj William Ritt zrealizował tę receptę. Od tamtej chwili wszelkie wspomnienia pokryła mgła. Nie pamiętała, czy połknęła pigułkę, kiedy zatrzymała się przy barze, żeby kupić u Lindy Wexler waniliową coca-cole, czy może postanowiła zaczekać z tym do chwili, gdy znajdzie się w chacie na Cleary Peak.

Na pewno nie zapomniała połknąć tabletki. Zawsze o tym pamiętała. To była już rutyna.

Wczorajszy dzień był jednak dość nietypowy. Zachowanie Dutcha rozchwiało ją emocjonalnie. Czekał na nią, gdy przyjechała na górę. Siedział na brzegu sofy, wpatrując się przed siebie niewidzącym spojrzeniem, przygarbiony, żałosny. Przywitał ją słowami: „Jak mogłaś mi to zrobić”. Biorąc pod uwagę wszystko to, co nastąpiło później, być może zapomniała o połknięciu tabletki.

- Lilly, jesteś pewna, że zażyłaś wczoraj leki?
- Oczywiście - skłamała, koncentrując ponownie uwagę na Tierneyu.

- Minęły już jednak dwadzieścia cztery godziny.

Albo trzydzieści sześć.

- Działanie leku się kończy. Cierpisz - powiedział.
- To się zdarza... kiedy odkryjesz... że jesteś... uwięziona... z seryjnym... mordercą.

- Wiesz dobrze, że nie jestem mordercą. Odepnij kajdanki. Pójdę po twoje lekarstwa.

Potrząsnęła głową.

- Nie masz zbyt wiele czasu.
- Ktoś nas... może uratować...
- Nikt się tu nie pojawi przynajmniej do jutra, a zapewne nastąpi to znacznie później. Jeżeli liczysz na jakiś ratunek z helikoptera w stylu Rambo, to się przeliczysz. Nawet najodważniejszy pilot nie polecą w taką pogodę, ryzykując ściągnięcie w dół przez wichur lub rozbicie się o zbocze góry, której nie widać.

- Jakość...
 - To się nie stanie - przerwał jej ostro. - Możesz ryzykować swoje życie, ale ja nie zamierzam. Przynieś klucz.
 - Mogą tu... przyjść... pieszo.
 - Nikt nie jest na tyle szalony.
 - Poza tobą.
- To go uciszyło, ale zaledwie na kilka sekund.
- Racja. Poza mną. Podejmę każde ryzyko, żeby utrzymać cię przy życiu. Nie chcę, żebyś umarła, Lilly.
 - Mnie też... niezbyt... podoba się... ten pomysł.
 - Otwórz kajdanki.
 - Nie mogę.
 - Powiem ci, na co nie możesz sobie pozwolić - powiedział, wykrzywiając usta z gniewu. - Nie możesz sobie pozwolić na trzymanie mnie przypiętego do tego cholernego łóżka. Każda sekunda, którą tracisz na kłócenie się ze mną, zajmuje czas i trwoni twoje siły, których nie masz. A teraz weź klucz i odepnij...
 - Nie!
 - ...pieprzone kajdanki!
- W tym momencie zgasły światła.

Dora Hamer podeszła do drzwi sypialni Scotta. Bez dochodzącej z jego pokoju wibrującej muzyki dom wydawał się złowieszczo cichy. Zapukała dwukrotnie.

- Scott, wszystko w porządku?
- Otworzył drzwi, jakby oczekiwał jej wizyty.
- Tak, poza tym, że prąd wysiadł.
 - Prądu nie ma chyba w całym mieście. Nie widzę świateł w oknach domów naszych sąsiadów. Nie jest ci za zimno?
 - Włożyłem jeszcze jeden sweter.
 - To pomoże tylko na chwilę, ale bez elektryczności dom wkrótce się wychłodzi. Dopóki tego nie naprawią, będziemy musieli polegać na ogrzewaniu kominkowym. Czy mógłbyś przynieść trochę drewna z garażu?
 - Jasne, mam.

- Przynieś też ze sobą tę lampę, której używacie z tatą podczas letnich biwaków. Mamy do niej paliwo?

- Chyba tak, ale jeszcze sprawdzę.

Zniknął w korytarzu. Dora odprowadziła go kawałek, a potem pospiesznie wróciła do pokoju syna. Na jego biurku leżały porozrzucane formularze zgłoszeniowe na studia. Nie miała czasu ich przeczytać, ale zdołała się zorientować, że Scott pracował nad nimi tak, jak polecił mu Wes.

Szybko podeszła do najbliższego okna i sprawdziła, czy system alarmowy jest nieuszkodzony. Dwa magnesy, jeden na framudze, drugi na ościeżnicy tworzyły połączenie, którego przerwanie uruchamiało alarm. Wszystko było jak trzeba, w drugim oknie również.

Przerwała na chwilę, nasłuchując. Nie chciała, żeby syn przyłapał ją na myszkowaniu po jego sypialni. Scott ustawiał właśnie polana pod ścianą przy kominku. Słyszała, jak otrzepuje ręce z kurzu i wychodzi po kolejne narzędzie drewna.

Podeszła do trzeciego okna. Tu również magnesy były połączone jak trzeba, jednak ten na ościeżnicy był atrapą. Zastępował oryginalną część obwodu i został umieszczony tak, że nawet po otwarciu okna alarm nie zostałby uruchomiony.

- Mamo?

Kiedy ją zawołał, podskoczyła niczym złoczyńca przyłapany na gorącym uczynku. Czym prędzej wybiegła z pokoju, z nadzieją, że wygląda na spokojniejszą, niż się czuła. Weszła do dużego pokoju.

- Chcesz, żebym położył trochę polan przy kominku? - spytał Scott.

- Dobry pomysł. W ten sposób nie będziesz musiał chodzić po więcej.

- Dobrze. Mam zapalić lampę?

- Zostawmy ją na później.

- Puszka z naftą na szczęście jest prawie pełna. Postawię lampę w kuchni.

- Dobrze. Dopóki nie zapadnie noc, możemy używać świeczek. Mamy też mnóstwo baterii do latarek.

Poszła za synem do kuchni i obserwowała go, kiedy zniknął za drzwiami prowadzącymi do garażu. Chciała za nim pójść, objąć go i mocno przytulić. Wes oskarżał ją, że traktuje Scotta jak dziecko. I co z tego? Scott był jej dzieckiem. Jeżeli dożyje jego dorosłości, nadal będzie uważała go za swoje dziecko i próbowała go chronić.

Z jej synem działo się coś niedobrego i cokolwiek to było, przerażało ją. Była chora z niepokoju i to w dosłownym znaczeniu tego słowa. Po dokonaniu odkrycia w jego sypialni zemdliło ją ze zdenerwowania. Scott przerobił czujnik alarmu zamontowany na oknie tak, że mógł opuszczać pokój niezauważony. Bo po co by to robił? Jak długo już wymykał się z domu? Czy była aż tak ślepa, głucha i głupia, że nigdy nie zauważyła jego nieobecności?

Tylko czysty przypadek sprawił, że zaczęła coś podejrzewać. Tego poranka zaniósła do pokoju Scotta świeżo upraną bieliznę i zauważyła stojące przy łóżku buty syna. Były nieprzemakalne, wyłożone zamszem; doskonałe obuwie na zimową pogodę. Tylko że wczoraj od powrotu z Wesem na obiad Scott nie miał ich na sobie. Od tamtej chwili bowiem teoretycznie jej syn nie opuścił domu. Tymczasem buty stały w kałużach wody z roztopionego śniegu. Już miała zapytać Scotta, kiedy wychodził na dwór, ale się powstrzymała. Uznała, że zanim zacznie go oskarżać o wymykanie się z domu, musi znaleźć jakieś lepsze dowody. Doskonała okazja na przeprowadzenie śledztwa pojawiła się, kiedy w mieście wysiadł prąd.

Ale teraz, kiedy mogła powiedzieć, że wie o oknie, nie chciała, a może bała się to zrobić. Scott był już na tyle dorosły, żeby wychodzić z domu wtedy, kiedy chce. Wes wprowadził wprawdzie dla syna godzinę policyjną, ale jeśli Scott chciałby wyjść, Wes nie mógłby go powstrzymać, chyba że przemocą.

Dlaczego więc Scott nie zignorował nakazu Wesa i nie wyszedł zwyczajnie, przez drzwi? Dlaczego się wymykał? Był to jeden z objawów niepokojących zmian w jej synu. Słodki, kochany, troskliwy i dobroduszny Scott stał się ponurym chłopcem, skorym do częstych wybuchów gniewu, agresywnym,

nieprzyjemnym w obejściu i nieprzewidywalnym. Częściowo było to zapewne wywołane ciągłym strachem i stresem z powodu presji, jaką wywierał na nim ojciec. Dora jednak znała syna nader dobrze i obawiała się, że zmiany osobowości są wywołane czymś bardziej istotnym niż natręctwo Wesa.

Cofnęła się myślą o rok, usiłując przypomnieć sobie, kiedy dokładnie zaczęła zauważać zmiany w charakterze Scotta. Było to ostatniej wiosny. Mniej więcej w tym samym czasie, gdy...

Poczwała, że cała sztywnieje.

Scott zaczął się zmieniać po rozstaniu się z Millicent Gunn.

Kiedy zadzwonił telefon, niemal podskoczyła.

- Odbiorę, To pewnie Gary - rzucił Scott. Właśnie wrócił z garażu. Odstawił kempingową latarkę na stół kuchenny i sięgnął po telefon. Był to stary model, zamontowany na ścianie, bez wyświetlacza, identyfikatora rozmówcy lub czegokolwiek innego, co wymagałoby prądu.

- Och. Cześć, tato. - Scott słuchał przez kilka sekund. - Jak to? Dobrze, jest tutaj. - Podał słuchawkę Dorze. - To tata. Dzwoni ze szpitala.

Begley nie żywił w tej chwili zbyt ciepłych uczuć do Dutcha Burtona. Tak naprawdę, miał ochotę kopnąć go swoją dużą stopą w sam środek zadka. Zadał sobie jednak trud, żeby się uspokoić.

- Pana twarz wygląda jak tatar - powiedział.

- To tylko zadrapania. - Dutch siedział na leżance w sali przyjęć na ostrym dyżurze. Wyglądał jak częściowo opróżniony worek ziemniaków. - Lekarz powyciągał już wszystkie odłamki szkła. Czekam teraz na pielęgniarkę, która ma to odkażać. Pewnie nie wygląda to najlepiej, ale nic mi nie jest.

- Rzeczywiście, zwłaszcza w porównaniu z Hawkinsem. Ma złamane ramię, na szczęście bez komplikacji. Lekarz nastawił też zwichnięty staw barkowy. Będą jednak musieli popracować nad jego kostkami. Podobno są zmiążdżone.

- Chciałbym, żeby to była jego czaszka - wymamrotał Burton.

- Pan Hawkins znajdował się pod wpływem alkoholu - wtrącił Sowa, stojący tuż przy oddzielającej kozetki zasłonce, spoza której dobiegały ich jęki Cala Hawkinsa. - Liczba promili w jego krwi dalece przekraczała dopuszczalny poziom.

- W takim razie mnie okłamał - mruknął Burton. - Pytałem, czy pił, ale powiedział...

- Mam wrażenie, że pan słyszy tylko to, co chce - przerwał mu Begley.

Burton spojrział na niego gniewnie.

- Poskładanie kostek to skomplikowana operacja - ciągnął Sowa. - Nie mogą tego zrobić tutaj, a ze względu na pogodę, transport pana Hawkinsa do najbliższego szpitala z oddziałem chirurgii pourazowej może się odwlec o kilka dni. Do tej pory Hawkins będzie cierpiał.

- Chwileczkę - odciął się gniewnie Burton. - To nie moja wina, że gość był pijany.

- Nie wjechałby na tę górę, nawet gdyby był trzeźwy jak świnia! - ryknął Begley. - Dzięki tobie cała cholerna okolica została bez prądu. Masz szczęście, że ten szpital ma własny generator awaryjny, inaczej siedziałbyś tu teraz w ciemności i chłodzie, z kawałkami szkła sterczącymi z twarzy.

Ciężarówka Hawkinsa zderzyła się z jednym ze wsporników słupa wysokiego napięcia. W normalnych warunkach konstrukcja wytrzymałaby takie uderzenie, ale tym razem jej wierzchołek oblepiał lód, dlatego przewróciła się, łamiąc po drodze dziesiątki drzew i zrywając linie elektryczne. Co gorsza, upadła prosto na drogę, blokując dostęp na szczyt.

Dutch Burton dał się zaślepić emocjom. Było to niewybaczalne zachowanie dla każdego mężczyzny, a dla przedstawiciela służby publicznej wręcz karygodne. Jego wywołany zazdrością upór spowodował daleko idące zniszczenia. Hawkins prawdopodobnie został okaleczony na całe życie, jego pług śnieżny nie nadawał się do użytku w czasie jednej z najgorszych śnieżyc stulecia, a na dodatek kilka okolicznych okręgów prawdopodobnie zostało pozbawionych prądu.

Prawdziwa katastrofa.

Najbardziej jednak dobijał Begleya fakt, że głupota Burtona uniemożliwiła szybkie dorwanie Tierneya. Teraz nie mogli nawet spróbować jeszcze raz, dopóki ten bałagan na drodze nie zostanie uprzątnięty. A to mogło zająć całe tygodnie. Helikopter też na nic się nie przyda, dopóki pogoda się nie polepszy. Tak czy inaczej, marnowali cenny czas, a Begley strać czasu uznawał za grzech. Jedyłą jego pociechą było to, że nie tylko on tkwił w martwym punkcie. Ben Tierney także nie mógł nigdzie uciec.

- Przepraszam bardzo. Szefie? - przez uchyloną zasłonkę zajrzał Harris, młody oficer, którego Begley i Wise spotkali wcześniej w pensjonacie.

- O co chodzi?

- Dyżurny skontaktował się ze mną przez radio. Państwo Gunn przyszli na komendę.

- Cholera - syknął Burton. - Jeszcze tylko ich mi tu brakowało. Powiedz posterunkowemu, niech im przekaże, że jestem w szpitalu, za chwilę jadę do domu i skontaktuję się z nimi, jak tylko będę mógł.

- Już tego próbował - odparł Harris. - Nic z tego. Państwo Gunn nie chcą rozmawiać z panem, szefie, tylko z... - skinął głową w kierunku Begleya. - Chcą się dowiedzieć, czy to prawda, że Ben Tierney jest Chabrem.

Krew zalała oczy Begleyowi.

- Mam nadzieję, że pan żartuje. - Starał się powściągnąć gniew, ale jego głos aż wibrował wściekłością.

- Nie, proszę pana.

Begley zbliżył się do młodego policjanta.

- Kto im powiedział? Kto im powiedział, że interesujemy się Tierneyem? Jeżeli to pan, oficerze Harris, to przypnę pana odznakę do pana własnych jaj i potraktuję jak tarczę strzelniczą.

- To nie ja, sir, przysięgam. To Gus Elmer, ten staruszek z pensjonatu.

- Prosiłiśmy, żeby nie wspominał nikomu o naszym dochodzeniu - warknął Sowa.

- Nie sędę, żeby zrobił to umyślnie - odparł Harris. - Nie rozmawiał bezpośrednio z Gunnami. Zadzwoił do swojej kuzynki, żeby sprawdzić, jak się czuje i jak sobie radzi przy zamieci. Podobno ma uszkodzony piec, dlatego się martwił. Informacja o Chabrze jakoś tak mu się wymsknęła.

- Jakoś tak mu się wymsknęła? - ryknął Begley tak, że obudził znieczulonego Hawkinsa, który zajęczał głośno. Harris przezornie cofnął się o krok.

- Kuzynka pana Elmera prasuje rzeczy dla pani Gunn - wyjaśnił Harris przeproszającym głosem. - Pewnie czuła się w obowiązku, żeby im to powiedzieć, no wie pan... - zająknął się i umilkł pod spojrzeniem Begleya.

- Dla kogo jeszcze prasuje kuzynka pana Elmera? - spytał ten z sarkazmem, którego Harris najwyraźniej nie dostrzegł, zaczął się bowiem zastanawiać nad odpowiedzią. - Chciałbym wykorzystać pana biuro do rozmowy z Gunnami - zwrócił się tymczasem Begley do Burtona.

- W porządku, ale ja też przy niej będę.

- Co z pana twarzą?

- Kupię sobie jakiś krem antyseptyczny.

Ruszyli gromadą do wyjścia. Po drodze Begley rzucił spojrzenie na podłączonego do kroplówek Cala Hawkinsa, który znów stracił przytomność. Chociaż wcześniej w konfrontacji z Burtonem wziął stronę tego człowieka, nie żywił do niego żadnej sympatii.

Już w samochodzie, w drodze na komendę, Sowa zdobył się na uwagę:

- Sądziłem, że i tak zamierza pan porozmawiać z Gunnami, sir.

- To prawda, planowałem się do nich wybrać zaraz po opuszczeniu szpitala.

- Dlaczego więc tak się pan zdenerwował?

- Chciałem ich nastraszyć, żeby zrozumieli, jak ważne jest utrzymywanie w tajemnicy wszelkich informacji dotyczących śledztwa. Musimy aresztować Tierneya, zanim zbyt wielu miejscowych dowie się, że w ogóle go ścigamy.

- Plotki rozchodzą się błyskawicznie.

- I to mnie właśnie martwi, Sowa. Jeżeli nie dostaniemy Tierneya w swoje ręce, i to szybko, obawiam się że banda miejscowych chłopków roztropków pod wodzą komendanta policji uzna, iż nasz podejrzany jest Chabrem i weźmie sprawy w swoje ręce. Święte oburzenie bierze w takich przypadkach górę nad prawem. Ci miejscowi chłopcy w obronie swych kobiet mogą sięgnąć po niepisane prawo tej ziemi. Jak dorwają Tierneya przed nami, będzie miał szczęście, jeżeli odczytają mu jego prawa, gdy będzie już leżał, topiąc się we własnej krwi. Powiedz, Sowa, czy nie byłaby to przednia zabawa? Media miałyby używanie. Powtórzyłaby się sytuacja z Ruby Ridge i Waco. Fanatycy kontroli posiadania broni zaraz obsiedliby tę sprawę i mielibyśmy niezły ambaras.

- Oraz wiele pozostawionych bez odpowiedzi pytań.

- No właśnie. Na przykład, gdzie należy szukać pięciu ciał.

Jechali przez chwilę w milczeniu.

- Obawia się pan, że spróbują dorwać Tierneya, w przekonaniu, że to on jest Chabrem - odezwał się wreszcie Sowa. - A jeśli nie jest?

- To kolejna rzecz, której się boję - zmarszczył brwi Begley.

20

Wszystkie zasłony były opuszczone, aby zatrzymać ciepło wewnątrz chaty. Kiedy zgasły światła, sypialnia pograżyła się w całkowitej ciemności.

- To było nieuniknione - burknął Tierney.

Lilly odczekała, aż oczy przyzwyczajają się do nowych warunków, a potem podeszła do okna i odsunęła jedną z zasłon. Wcześniej zapadający zmierzch stał się dla Tierneya kolejnym argumentem, by go uwolniła.

- Niebawem zrobi się zupełnie ciemno. Oznacza to, że zostało nam tylko parę godzin dnia. Co najmniej tyle czasu zajmie mi dotarcie do samochodu, oczywiście jeżeli wyruszę natychmiast.

Lilly ścisnęła dłońmi skronie.

- Nie mogę... się... już kłócić.
- Więc się nie kłóć. Rozepnij kajdanki.
- Zabijesz mnie.
- Usiłuję uratować ci życie.

Potrząsnęła głową, walcząc o oddech.

- Mogę... zeznać... że jesteś... Chabrem.
- Nie będziesz mogła niczego zeznać, jeśli się udusisz.
- List.
- Ach, rozumiem. Zostawisz list, w którym napiszesz, że jestem Chabrem. Położysz go w dobrze widocznym miejscu, tak?

Kiwnęła głową.

- Jeżeli to zrobisz, powiem im, że zaczęłaś mieć halucynacje z powodu niedotlenienia i że widziałaś słońce tańczące na ścianach. Uwierzą mi. Jeżeli zaś chodzi o to - skinął głową w kierunku błękitnej wstażki, leżącej teraz na fotelu bujanym - powiem im to samo, co tobie. Znalazłem ją w lesie i zamierzałem dostarczyć miejscowej policji.

Lilly wskazała na jego rękę.

- To prawda. Wy tłumaczenie, dlaczego jestem zakuty, może być nieco kłopotliwe, ale będę miał dzień lub dwa na wymyślenie czegoś przekonywającego. Może zresztą uda mi się oswobodzić, zanim ktokolwiek tu dotrze.

- Nie sądzę - rzuciła Lilly, wskazując na poranione nadgarstki. - Nawet jeśli... umrę... dostaną cię. - Skończyła rozmowę i odwróciła się, aby wyjść z sypialni.

- Co się może zdarzyć najgorszego?

Zatrzymała się, ale nie odwróciła.

- Jeżeli mnie uwolnisz, co się może zdarzyć w najgorszym przypadku? Powiedzmy, że jestem Chabrem i że zabiję cię, byś nie mogła mnie wydać policji. I tak umrzesz. To kwestia

kilku godzin. Jeżeli więc cię zabiję, czy znajdziesz się przez to w gorszej sytuacji?

- Ocaleń... kolejną ofiarę - wydyszała Lilly.

- Ach, rozumiem. Nie chcesz mi pozwolić wydostać się na wolność, wmieszać w niczego niepodważający tłum, żebym mógł dokonać zbrodni na kolejnej kobiecie i zrobić jej to, co zrobiłem innym, tak?

Kiwnęła głową.

- W porządku, to logiczny argument. Cóż za altruizm. Stawiasz życie innych nad swoje. - Zamyślił się przez chwilę. - Kiedy wrócę już z twoimi lekami i przyniosę wystarczająco dużo drewna, żeby podtrzymać ogień przez kolejny dzień, możesz mnie zakuć z powrotem. Zostanę tutaj, dopóki nie nadejdzie pomoc.

Lilly chciała się roześmiać, ale brakło jej oddechu.

- Nie jestem aż... taka... głupia... i niedo... tleniona.

- Nie ufasz mojemu słowu?

- Nie.

- A powinnaś, Lilly. Przysięgam. Możesz mi zaufać.

- Podaj mi... jeden powód. - Wbrew sobie poczuła, jak łyzy nabiegają jej do oczu.

- Nie płacz - wyszeptał łagodnie Tierney.

Przyciągana jego gorączkowym spojrzeniem, zatopiona we wspomnieniach ich pocałunku, podeszła bliżej.

- Powiedz dlaczego... miałabym ci... ufać, Tierney.

Właśnie otwierał usta, żeby odpowiedzieć, kiedy zadzwonił telefon.

Przez chwilę Lilly nie potrafiła zrozumieć, co to za dźwięk i skąd dochodzi. Stała tylko, wpatrując się w Tierneya, który wydawał się równie zdumiony, jak ona. Kiedy zrozumiała, że dziwne brzęczenie to jej komórka, gorączkowo wyłowiła ją z kieszeni kurtki i otworzyła klapkę telefonu.

- Dutch? Dutch?! - Jej głos zmienił się w skrzeczenie, ale nie to było istotne. Telefon milczał jak zaklęty. Zasięg pojawił się jedynie na chwilę. Zupełnie jakby fatum właśnie z niej za-

drwiło. Z łkaniem osunęła się na kolana, przyciskając telefon do piersi.

- Lilly, nie płacz.
- Daj mi spokój.
- Nie wolno ci płakać. To pogorszy twój stan.

Płacz spowodował atak kaszlu. Spazmy miotają całym ciałem, napinały wszystkie mięśnie, wyduszając cenne powietrze z płuc. Walczyła o każdy oddech, na pół świadomie rejestrując głośne przeklinanie Tierneya i jego rozpaczliwe próby uwolnienia się z kajdanek. Dopiero po kilku dobrych minutach zdołała powstrzymać niekontrolowany kaszel. Zaczęła oddychać z głośnym świstem.

- Lilly.

Podniosła głowę i otarła łzy z oczu. Tierney zrzucił koc z nóg i szarpał się niczym dzikie zwierze, gotowe oderwać sobie łapy, żeby ją dopaść.

- To prawda, że nie dałem ci zbyt wielu powodów do zaufania, za to wiele, dla których masz prawo mi nie wierzyć. Ale na pewno wiesz, musisz wiedzieć, że nie powinnaś się mnie obawiać. Zaufaj nie mnie, ale swojemu instynktowi. - Spoglądał na nią kilka sekund, zanim dodał: - Nie umieraj, proszę.

Lilly przyglądała się jego twarzy, próbując dostrzec na niej jakikolwiek cień nikczemności. Jeżeli Tierney był porywaczem kobiet, czy nie potrafiłaby tego dostrzec? Czy nie wyczułaby maskowanej wrogości? Wpatrywała się w Tierneya bardzo uważnie, ale nie widziała w nim człowieka dwulicowego. Jeżeli nim był, opanował do perfekcji sztukę maskowania się. Wydawał się na tyle szczerzy i godny zaufania, że zaczęła wątpić.

Ale przecież jego ofiary też się nie zorientowały, jak jest przebiegły. Zaufały mu.

Wyraz jej twarzy musiał chyba zdradzić, co myśli, ponieważ Tierney rzucił gniewnie:

- W porządku, zapomnij o swoim instynkcie i odwołaj się

do zdrowego rozsądku. Zapomnij o naszym dniu na rzece i o pocałunku ostatniej nocy. Odrzuć to wszystko i zastanów się nad swoimi szansami.

- Szansami?

- Jeżeli przeżyjesz, będziesz miała okazję wsadzić za kratki Chabra. Jeżeli umrzesz, nic z tego.

Nie wiem, co robić, krzyczał jej umysł, ale jedynym odgłosem, jaki wydobywał się z jej gardła, był okropny charkot.

- Nawet najmniejsza szansa jest lepsza niż żadna.

To rzeczywiście był dobry argument. Tyle że zaraz po tym, gdy go uwolni, on ją zabije, a wtedy przypadnie niktą możliwość wydania go w ręce policji.

- Na koniec zachowałem najmocniejszy argument. Pistolet. Nadal go masz i wiesz, jak użyć. Nie zrobię ci przecież krzywdy, jeśli przez cały czas będziesz mnie miała na muszce.

Zaczęła się zastanawiać. Tierney miał rację. Faktycznie, pozostawało jej już tylko jedno - wykorzystanie tej jedynej szansy. Powoli podniosła się z podłogi, pokonując zawroty głowy wywołane niedotlenieniem. Odwróciła się i wyszła do dużego pokoju.

- Lilly, do cholery!

Wróciła tak szybko, jak zniknęła, w jednej dłoni trzymając pistolet, w drugiej klucze do kajdanek. Widząc to, Tierney odetchnął z ulgą.

- Dzięki Bogu.

Położyła pistolet na fotelu, poza jego zasięgiem. Podeszła do łóżka i wyciągnęła kluczyki w jego kierunku.

- Ty... to zrób.

Gdy tylko Tierney chwycił kluczyki, cofnęła się pospiesznie, chwyciła pistolet i wymierzyła w niego.

Miał wystarczająco dużo luzu, żeby ustawić dłoń w odpowiedniej pozycji. Z niesamowitą zręcznością wsunął kluczyk do maleńkiej dziurki i przekręcił go. Bransoletka na lewym ramieniu rozpięła się z kliknięciem. W ciągu kilku sekund uwolnił drugą rękę. Potem jednym płynnym ruchem zeskoczył z łóżka i wyrwał Lilly broń. Stało się to w mgnieniu

oka. Jej umysł nie zdażył zarejestrować zdarzenia i wysłać do mięśni odpowiedniego impulsu, by pociągnęła za spust. Odwróciła się i usiłowała uciec, ale jedną ręką chwycił ją w tali, zatrzymując ją gwałtownie. Odwrócił ją twarzą do siebie i przyciągnął do piersi.

- Uspokój się! - rozkazał, kiedy zaczęła krzyczeć.

- Wiedziałam! - dyszała histerycznie. - Wiedziałam! Wiedziałam, że nim jesteś. - Dźgnęła go wolnym łokciem w żebra i wbiła paznokcie w wierzch jego dłoni.

- Cholera jasna!

Zaciągnął ją do dużego pokoju i popchnął na kanapę, a potem zaczął ssać głębokie krwawiące zadrapania na dłoni. Lilly przycupnęła na brzegu sofy tylko po to, żeby złapać oddech, a potem rzuciła się na niego znowu, celując w głowę. Niedobór tlenu jednak źle wpłynął na jej koordynację. Ramiona miała ciężkie i bezwładne. Usiłowała skoordynować ruchy, ale bez powodzenia. Większość jej ciosów była za słaba lub niezbyt dobrze wycelowana.

Kiedy Tierney chwycił ją za ramiona i popchnął z powrotem na kanapę, nie mogła zrobić nic więcej, jak tylko opaść bezsilnie na poduszki. Włożył pistolet za pasek i otarł krwawiącą dłoń o dzinsy. Ale krew nie przestawała płynąć.

On także nie mógł złapać oddechu. Głośno wciągał powietrze do płuc i mrugał gwałtownie, żeby pokonać zawroty głowy. Stał zgięty wpół, ponieważ ból po ciosie, jaki Lilly wymierzyła w jego posiniaczone żebra, nie pozwalał mu się wyprostować.

Mam nadzieję, że cholernie cię boli, pomyślała. Chętnie powiedziałaaby to głośno, ale brakowało jej oddechu.

Spojrzała na niego wyzywająco. Jeżeli zamierzał za chwilę ją zabić, chciała mu patrzeć w oczy, by na zawsze zapamiętał, że się go nie bała. Niech smaży się w piekle z tą świadomością.

Tierney zamierzał chyba coś powiedzieć, ale w końcu zrezygnował. Bez słowa podszedł do drzwi i otworzył je. Po chwili pojawił się w pokoju z naręczem drewna, które rzucił

w pobliżu kominka. Przyklął i poruszył żar, żeby szczapy na palenisku ponownie zajęły się ogniem.

- Nie chcesz... mnie... zabić? - spytała zdumiona.

- Nie - odparł sucho i wstał, wskazując na właśnie przyniesione drewno. - Kiedy trochę podeschną, dorzuc je do ognia. Wystarczy na kilka godzin.

Dopiero wtedy zrozumiała, co zamierza zrobić. Nie musiał jej zabijać. Wystarczy, że ja tu zostawi na pastwę śmiertelnego ataku astmy i kłopot z Lilly Martin rozwiąże się sam. Po co dodawać kolejne morderstwo do listy, skoro nie musiał tego robić?

Miał na tyle rozumu, żeby usunąć ewentualne dowody wcześniejszych zbrodni. Zgarnął z sypialni kajdanki i wstążkę, po czym włożył je do plecaka. Nie patrzył przy tym na nią. Czyżby czuł się winny? Może dlatego, że nie zabijając jej, skazywał ją na taki rodzaj śmierci, jakiego obawiała się najbardziej? Kiedy się zastanawiała, czy go uwolnić, nie wzięła pod uwagę, że Tierney może po prostu odejść, zostawiając ją na powolną śmierć.

- Obiecałeś... - zaczęła ze ściśniętym sercem.

- Wiem, co obiecałem - przerwał sucho. Włożył kurtkę i czapkę. Owinął wokół głowy i szyi koc, a potem zapiął suwak pod brodę i zakrył szalikiem dolną część twarzy. Wreszcie wciągnął rękawiczki, chwycił plecak i przerzucił go przez ramię. Przy każdym ruchu krzywił się z bólu, niemniej poruszał się dosyć sprawnie.

Kiedy szedł w kierunku drzwi, chciała go zawołać, błagać, żeby ją zastrzelił. Byłaby to szybka i bezbolesna śmierć, a nie powolna, przerażająca agonia, jaka ją czekała. Bardziej przerażał ją proces umierania niż sam fakt odejścia z tego świata. Była jednak zbyt dumna, aby prosić o cokolwiek, poza tym, dobrowolne skazanie się na śmierć było przeciwko jej instynktowi. Patrzyła więc tylko, jak odchodzi, pozostawiając ją, powoli duszącą się, aż do chwili, gdy nie będzie mogła złapać kolejnego oddechu i umrze w samotności.

Dotarłszy do progu, zatrzymał się na chwilę, z ręką na

klamce. Odwrócił głowę. Przez sekundę spoglądali sobie w oczy. Potem otworzył drzwi i zniknął w tumanach śniegu.

Telefon Lilly zadzwonił dwa razy, zanim połączenie zostało przerwane. Zdenerwowało to Dutcha bardziej, niż gdyby w ogóle nie mógł się z nią skontaktować.

W poczekalni na posterunku kłębił się tłum ludzi. Dutch nie pamiętał, żeby za jego kadencji pojawiło się tu kiedykolwiek aż tyle osób. Para tych głupków, Gunnów, też na nich czekała. Agent Wise z całą powagą - czy ten gość kiedykolwiek się uśmiecha? - przedstawił im Begleya. Pani Gunn wyglądała jeszcze mizerniej niż wczoraj.

Wes również tu był, z nieznanym Dutchowi przyczyn. Kiedy weszli na komendę, popijają właśnie kawę i gawędził z oficerem dyżurnym w recepcji. To prawda, był przewodniczącym rady miejskiej, ale od kiedy uczestniczenie w śledztwie wchodziło w zakres jego obowiązków?

Harris jechał tuż za Dutchem przez całą drogę ze szpitala. Był zafascynowany Wisem i Begleyem. Podążał za nimi jak szczeniak, potykając się o własne łapy z chęci przysłużenia się. Dlaczego nie patrolował ulic? To był jego obowiązek. I dlaczego Dutch nie kazał Harrisowi wracać do samochodu i ruszać na ulice, gdzie mógłby się przydać, zamiast siedzieć tutaj, zajmując miejsce i wchodząc wszystkim w drogę? Z jakiegoś powodu Dutch nie potrafił upomnieć młodego oficera. Po co się miał wysilać i wydawać rozkazy, kiedy czuł się dziwnie oderwany od rzeczywistości, nie potrafił wykrzesać z siebie wystarczająco wiele autorytetu. Zastanawiał się, kiedy stracił kontrolę nad wszystkim i kiedy przestało go to obchodzić.

Może wtedy, gdy w jego życie wkroczyło FBI w postaci osławionego agenta specjalnego Begleya? A może wtedy, gdy Wes Hamer, niegdyś najlepszy przyjaciel, zaczął wchodzić w tyłek federalniakowi tak często, jak to możliwe? A może gdy Cal Hawkins zadał mu pytanie, nad którym sam się zastanawiał: Czy twoja żona chce być uratowana?

Nie czuł się tak bezradny od czasów ostatniej porażki

w Atlancie. Był to prawdziwy *coup de grace*, pomyłka zbyt poważna, aby mogło się obejść na zawieszeniu lub dyscyplinarnie. Tylko zwolnienie go z pracy mogło być odpowiednią reakcją na taką wpadkę. Kiedy mierzy się ze służbowej broni do dziewięciolatka, ponieważ jego aluminiowy kij pomylił ci się ze strzelbą, a to dlatego, że jest się kompletnie zalanym, nie pozostawia się departamentowi policji innego wyboru. Nie przychodź po pensję, jesteś zwolniony.

Dziś czuł się równie pokonany przez życie. Zdradzili go wszyscy: żona, pogoda, najlepszy przyjaciel, kariera, fatum i sam Bóg, czy kto tam decydował o jego pieprzonym, nic niewartym przeznaczeniu.

Potrzebował drinka.

Oficer Harris poprowadził Gunnów i agentów FBI korytarzem w kierunku biura Dutcha. Idący jako ostami Begley przystanął i zapytał:

- Zamierza pan do nas dołączyć, szefie?
- Za minutę. Odbiorę tylko wiadomości.

Begley pokiwał głową, po czym ruszył dalej, znikając za drzwiami gabinetu, które przytrzymał przed nim usłużny Harris. Wes odwrócił się do Dutcha i popatrzył uważnie na jego pokaleczoną twarz.

- Jak się czujesz?
- Świetnie, dzięki - burknął Dutch, chwytając plik różowych postitów wręczony mu przez dyspozytora.
- Boli cię?
- Jak cholera.
- Nie dali ci nic do posmarowania?
- Będzie dobrze.
- Mogę pójść do apteki i poprosić Ritta, żeby coś zaproponował.
- Jak chcesz. - Dutch wzruszył ramionami i chciał odejść w stronę korytarza, ale Wes chwycił go za łokieć.
- Jesteś pewien, że wszystko w porządku?
- Jasne że nie w porządku! - Dutch strząsnął jego rękę. Zdając sobie sprawę, że dyżurny oficer nasłuchuje z ciekawo-

ścią, wymamrotał ciszej. - Na wypadek, gdybyś nie zauważył, miałem bardzo kiepski poranek.

Wes westchnął i przesunął dłonią po włosach.

- Rzeczywiście, głupie pytanie. Przepraszam. Posłuchaj, jestem pewien, że z Lilly wszystko w porządku.

- Pewnie. - No cóż, Dutch zaczął się obawiać, że Lilly czuje się znacznie lepiej niż tylko w porządku.

- Coś ci powiem - ciągnął Wes. - Idź porozmawiać z rodzicami Millicent, a ja tymczasem skoczę do apteki, kupię balsam na twoje rany i poproszę Ritta lub Marilee o przygotowanie jakichś kanapek.

Dutch spojrzał Wesowi w oczy. Nie dostrzegał żadnego fałszu, tylko szczere spojrzenie ładnych oczu starego przyjaciela, w którego oddanie zaczynał powoli wątpić.

- To by mi dobrze zrobiło. Dzięki.

- Jasne, że dobrze. A teraz idź już. To twoja rozgrywka, nie zapominaj o tym.

Pożegnalne słowa Wesa dotarły do najgłębszych pokładów świadomości Dutcha. To była jego sprawa, ale wszyscy, łącznie z nim, najwyraźniej o tym zapomnieli. Najwyższy czas, żeby im przypomnieć.

Ruszył korytarzem, prostując się i nadając ruchom więcej pewności. Harris stał na zewnątrz, pilnując drzwi niczym cerber. Dutch pokazał kciukiem na wyjście z komendy.

- Twój samochód stygnie - rzucił.

- Słucham? - Harris spojrzał na niego głupawo.

- To nie są wakacje, Harris - warknął Dutch. - Wracaj do pracy.

- Tak jest, sir. - Młody policjant pobiegł truchcikiem w kierunku wyjścia.

Dutch wszedł do biura w chwili, gdy pani Gunn opowiadała Wise'owi i Begleyowi, o tym, że Millicent nie sprawiała żadnych kłopotów, oprócz problemów z jedzeniem, ale z tego została wyleczona.

- To straszne, kiedy pomyślę, że może być teraz gdzieś w górach, w taką pogodę - powiedziała.

- Dlatego tak cieszymy się z możliwości rozmowy z panią, pani Gunn - Begley przemawiał tonem pocziwego ojczulka. Dutchowi nie podobał się sposób, w jaki reagowali na to rodzice Millicent. Gdyby pozwolił Begleyowi zająć się śledztwem, za kilka dni państwo Gunn zaczęliby kwestionować wszystko to, co on robił.

- Sądzi pan, że Ben Tierney jest tym B.T., o którym wspominała w pamiętniku? - spytał pan Gunn.

- Nie jesteśmy tego pewni - odparł Begley. - Agent Wise bada pozostałe możliwości. Pan Tierney jest tylko jednym z podejrzanych. Musimy mieć całkowitą pewność, zanim wyciągniemy jakiegokolwiek wnioski.

- Ale stary Gus Elmer powiedział, że zabezpieczyliście taśmą policyjną domek, w którym mieszkał ten Tierney. Znaleźliście tam coś? Coś, co należało do Millicent?

Dutch zobaczył, że agenci wymieniają skonsternowane spojrzenia.

- Zabezpieczyliśmy dom po to, aby ochronić ewentualne dowody na wypadek, gdyby pan Tierney miał jakikolwiek związek ze zniknięciem państwa córki. Nie oznacza to, że jest porywaczem.

- Ale nie zabezpieczyliście żadnych innych mieszkań - upierał się Gunn. - Ilu jeszcze mężczyzn w okolicy ma inicjały B.T.?

- Czy Millicent kiedykolwiek o nim wspominała? - Begley zadał pytanie, uchylając się przed odpowiedzią.

- Tak.

- W jakim sensie?

- W sklepie mojego brata, gdzie pracowała, mają tablicę informacyjną. Jeżeli ktoś złapie wielką rybę na wędkę, którą tam kupił, albo zastrzeli jelenia z broni, którą sprzedał mój brat, przynosi mu zdjęcie zdobyczy, a on przyczepia je na tablicy. To coś w rodzaju darmowej reklamy. Oczywiście artykuły Tierneya również są tam przypięte. Jest przecież ich najślawniejszym klientem. Dziennikarz, pisuje do różnych magazynów i tak dalej. Millicent była podekscytowana za każ-

dym razem, kiedy pojawiał się w sklepie. Może nawet trochę się w nim podkochiwała.

- Czy kiedykolwiek spotkała się z nim poza sklepem? - spytał Wise.

- Nic mi o tym nie wiadomo, ale teraz tak zaczynamy się nad tym zastanawiać. Śliczna młoda dziewczyna jak Millicent, zakochana w starszym facecie... - Pan Gunn rzucił zaniepokojone spojrzenie żonie, która chlipała w chusteczkę. - Wiecie, do czego zmierzam - kaszlnął, przesłaniając usta ręką. - Czy powiązaliście go już z innymi przypadkami zagięć?

- Pracuje nad tym jeden z naszych kolegów w Charlotte - odparł Wise.

- Z góry przepraszam za obcesowość moich pytań - powiedział Begley. - Dyplomacja zajmuje jednak dużo czasu, a nikt z nas nie chce go marnować, prawda?

- Rzeczywiście. Niech pan pyta. Zmarnowano już wystarczająco wiele czasu.

Dutch zignorował krytyczne spojrzenie, jakie rzucił mu Ernie Gunn.

- Co spowodowało kłopoty z jedzeniem u Millicent? - spytał Begley. - Czy kiedykolwiek to ustalono?

- Presja środowiska, tak myślę - odrzekła pani Gunn. - Wie pan, jaką obsesję mają nastoletnie dziewczyny na punkcie swojej wagi.

- Sam mam córkę, nieco młodszą od Millicent - uśmiechnął się Begley. - Też martwi się, że jest za gruba, a waży może pięćdziesiąt kilo.

- Millicent zeszła do czterdziestu - powiedziała słabym głosem pani Gunn. - Wtedy zaczęliśmy działać.

Na prośbę Begleya opowiedzieli mu dokładnie o przebiegu choroby córki i jej rzekomym wyzdrowieniu.

- Dobrze sobie radzi - podsumowała pani Gunn. - Oczywiście, mogła stracić kilka kilogramów, ale to przez treningi. Jesteśmy niemal pewni, że nie zmusza się do wymiotowania. Skończyła z tym.

Dutch nie był co do tego przekonany i widział wyraźnie, że agenci FBI również mają wątpliwości.

- Co z chłopakami? - spytał Begley.

- Miewa ich co jakiś czas. Wie pan, jak to jest, typowe dzieciaki. Zakochuje się i odkochuje tak często, jak zmienia fryzurę - powiedział pan Gunn.

- Nie było żadnego poważnego związku?

- Nie od czasu Scotta.

Dutch podskoczył na dźwięk tego imienia, co nie uszło uwagi agentów. Spojrzeli na niego badawczo.

- Jakiego Scotta?

- Hamera - odparł pan Gunn. - Syna Wesa. Chodzili ze sobą w zeszłym roku, chociaż nie tak to nazywali. Byli ze sobą - dodał, parskając lekceważąco.

- Byli? - spytał Wise.

- Zerwali tuż przed przerwą wiosenną.

- Wiedzą państwo dlaczego?

- Pewnie się sobą znudzili. - Pan Gunn wzruszył ramionami.

- Nie, kochanie - wtrąciła jego żona. - Coś ich do tego zmusiło. Zawsze tak mi się zdawało.

- Na przykład co? - Begley pochylił się do przodu.

- Nie wiem. Millicent nigdy mi nie powiedziała. Usiłowałam ją wypytywać, ale nie chciała o tym rozmawiać, więc w końcu przestałam, bo moje nalegania ją denerwowały i przestawała wtedy jeść. Ja zaś bardziej martwiłam się o to, że się zagłodzi na śmierć niż o jej problemy z chłopakiem.

Pani Gunn nie mogła w bardziej oczywisty sposób dać do zrozumienia, że obie sprawy były ze sobą związane. Zarówno Dutch, jak i agenci FBI doskonale to widzieli.

- W pamiętniku Millicent nie znalazłem żadnych wpisów o Scotcie Hamerze ani o ich zerwaniu.

- Zaczęła go prowadzić po wyjściu ze szpitala. To część jej terapii - wyjaśnił Ernie Gunn. - Psycholog powiedział, że powinna zacząć zapisywać swoje przeżycia i przemyślenia. Pozytywne rzeczy. - Jego usta rozciągnęły się w cienką, su-

rową kreskę. - Pewnie myśli, że Ben Tierney jest dobrym człowiekiem.

- W chwili obecnej nie mamy żadnych podstaw, by sądzić inaczej, panie Gunn - powiedział Begley stanowczym tonem.

- Niech pan sobie myśli, co chce, panie Begley. - Gunn wstał i wyciągnął rękę do żony, pomagając jej wstać z krzesła. - Ja mogę się założyć, że to on. Znam wszystkich w Cleary i trzech sąsiednich okręgach. Nie jestem w stanie wymienić nikogo, kto byłby zdolny do zrobienia takiej rzeczy, jak uprowadzenie pięciu kobiet. To musi być obcy, ale jednocześnie człowiek, który zna te tereny i nosi inicjały B.T. Ben Tierney pasuje pod każdym względem.

21

- Trzeba mieć do tego dryg - stwierdził William. - Nie każdy potrafi to zrobić.

- Myślę, że sobie poradzę. W końcu nie może być to aż tak trudne.

William nienawidził protekcyjnego tonu Wesa. To, że był supermęskim trenerem, nie oznaczało, że potrafił robić zastrzyki.

- Po drodze do domu wstąpię do was i...

- Sam potrafię to zrobić, Ritt.

William nienawidził, kiedy nazywano go po nazwisku. Wes robił to od czasów szkolnych. Był wtedy zakałą klasowym i takim pozostał. Obaj mieli tyle samo lat, a mimo to Wes traktował Williama tak, jak jednego ze swoich uczniów. To mu się nie podobało. Mógł co prawda wydać Wesowi paczkę jednorazowych strzykawek wraz z kilkudniowym zapasem fiolek z zastrzykami, ale nie zrobił tego. Odgrywanie roli dostawcy dawało mu przewagę nad Wesem i bardzo mu się to podobało.

- Co to?

Nagłe pojawienie się Marilee w magazynie zaskoczyło ich

obu. Pierwszy otrząsnął się Wes. Włożył zakupy do kurtki i uśmiechnął się do niej rozbrajająco.

- Gotowa?

Siostra Williama odpowiedziała na to lekko sugestywne pytanie kokieteryjnym uśmieszkiem. Jak każda inna kobieta, pod wpływem jego insynuującego uśmiechu zmieniała się w słodką idiotkę. Żadne z nich nie cieszyłyby się tak jednak, gdyby wiedziało, co wie William. Mógł w każdej chwili zerżeć im z twarzy głupawe miny, mówiąc: „Tak przy okazji, te odgłosy rui i porubstwa, dochodzące z sypialni Marilee...”. Zmilczał jednak, ponieważ posiadanie brudnego sekretu było znacznie bardziej satysfakcjonujące, przynajmniej chwilowo.

- Przypominam, że nie mogę zrobić tostów, ponieważ wysiadła elektryczność - zwróciła się Marilee do Wesa. - Linda zawsze robi kanapki z serem i pimento na tostach.

- Wszyscy rozumieją sytuację.

- Słodkie korniszony czy koper?

- Pół na pół.

- Fritos czy zwykłe chipsy?

- Pół na pół.

- Daj mi pięć minut.

Kiedy Marilee wyszła, Wes odwrócił się do Williama i poklepał się po kieszeni kurtki.

- Ile ci jestem winien?

- Wciągnę to na twój rachunek.

- Tylko nie pisz, za co płacę.

- Nie jestem głupi. Powiedziałeś, że Dutch potrzebuje czegoś na swoje skaleczenia na twarzy?

Wes opisał rany Dutcha i William wydał mu tubkę antyseptycznego balsamu, darmową próbkę od firmy farmaceutycznej.

- To powinno zapobiec ewentualnemu zakażeniu. Jeżeli nie, mam też coś silniejszego.

Wes przeczytał ulotkę.

- Któregoś pięknego dnia zamkną cię za sprzedawanie leków ściślego zarachowania bez autoryzacji lekarza.

- Wątpię. Kto niby na mnie doniesie? - spytał prostolini-
nie William.

Wes się roześmiał.

- Pewnie masz rację.

William wyprowadził go z magazynu. Kiedy przechodzili między półkami, Wes opowiedział mu o wydarzeniach tego poranka.

- To cud, że ich nie zmiażdżyło. Musieliśmy spuścić na dół nosze na linie. Dutch przywiązał do nich Hawkinsa. Nigdy w życiu nie słyszałem, żeby dorosły człowiek tak wył. Biedny skurwysyn, robi bokami. Dutch z kolei fizycznie czuje się nie najgorzej, ale jest bliski załamania, ponieważ Lilly nadal siedzi uwięziona w chacie z Tierneyem. Poza tym są jeszcze federalni, wścibskie gnojki w garniturach. Nie dość, że Dutch ma problemy osobiste, to musi dodatkowo użerać się z nimi i z rodzicami Millicent.

- Jak posuwa się śledztwo?

- Na to pytanie ja mogę ci odpowiedzieć. - Marilee, która pakowała właśnie kanapki, pokazała głową radio, włączone na lokalną stację. - Właśnie powiedzieli, że FBI zidentyfikowało Bena Tierneya jako Chabra.

Tierney był słabszy, niż przypuszczał.

Kręciło mu się w głowie, częściowo z głodu, częściowo zaś na skutek wstrząsu mózgu. Liczne obrażenia co chwila przypominały mu o sobie w sposób najboleśniejszy z możliwych. Zaciskał zęby tak mocno, że aż go bolały. Nie mógł nic poradzić na żadne z tych przeciwności losu. Aby przetrwać, musiał wziąć się w garść.

Na nieszczęście jego siła woli nijak nie wpływała na opady śniegu, tak gęste, że przesłaniały całą widoczność, skrywając linię horyzontu i wszelkie punkty orientacyjne. Tierney poruszał się na ślepo w tumanach nieskończonej bieli. Bez jakiegokolwiek punktu odniesienia mógł łatwo stracić orientację i bezpowrotnie zgubić drogę.

Mimo to parł naprzód, przedzierając się przez śnieg, miej-

scami sięgający powyżej kolan. Nim wyruszył, wstąpił do szopy na narzędzia i wyciągnął stamtąd szufłę do odgarniania śniegu. Oczyszczał nią nieco drogę, chociaż przez większość czasu i tak musiał się przedzierać przez ogromne zasy. Łopata służyła raczej jako podparcie, kiedy nawracające mdłości i zawroty głowy groziły upadkiem.

Nawet w najbardziej ekstremalnych warunkach trudno jest się pozbyć starych nawyków. Może nierozsądnie postanowił pójść po linii prostej, ominąć serpentyny. Wiedział, że prędzej czy później dojdzie do szosy, a w ten sposób mógł skrócić drogę o kilkaset metrów. W lesie czyhały jednak na niego niewidzialne przeszkody i pułapki - głązy, zwalone drzewa, pniaki przykryte niemal półmetrową warstwą śniegu. Korzenie drzew zmieniły się w groźne sidła, o które potykał się i upadał.

Złamanie nogi, wpadnięcie do rozpadliny, z której nie mógłby się wydostać, lub zgubienie drogi w takiej śnieżycy oznaczałoby śmierć. Wiedział, że gdyby zatrzymał się na chwilę, by ocenić realnie stopień zagrożenia, pewnie by zawrócił i cofnął się do chaty. Dlatego skupił się na stawianiu kroku za krokiem. Nie pozwolił też sobie na rozmyślanie o przenikliwym zimnie, chociaż nie było łatwo to zignorować. Jego ubranie było absolutnie niedostosowane do tego rodzaju pogody. Wychodząc dzisiaj z domku, który wynajmował, ubrał się dość ciepło. Miał na sobie kurtkę, szalik, czapkę. Tyle że pojęcie zimna nabrało zupełnie innego znaczenia. Temperatura utrzymywała się poniżej zera, ale wicher powodował, że odczuwało się ją jak piętnastostopniowy mróz. Tierney nigdy wcześniej nie przebywał w takich warunkach. Nigdy, chociaż zwiedził już kawał świata.

Jego puls podskoczył gwałtownie, oddech przyspieszył. Miał wrażenie, że serce jest niczym balon, który lada moment pęknie. Zdrowy rozsądek nakazywał zatrzymać się i odpocząć. Ale nie zważał na to. Gdyby zatrzymał się choćby na chwilę, pewnie nie ruszyłby się już z miejsca. Po jakimś czasie odnaleziono by jego zamrożone ciało, a przy nim plecak, ze wstążką i kajdankami.

Ciało Lilly znalezione było w domku.

Policja rozpoczęłaby przeczesywanie okolic, jedno szokujące odkrycie doprowadziłoby do drugiego. W samochodzie Tierneya znaleźliby obciążający dowód - łopatę. Wreszcie odkryliby groby.

Dlatego parł naprzód.

Do rzęs przymarzały mu płatki śniegu, powodując chwilową ślepotę, równie denerwującą, co niebezpieczną. Para oddechu zamarzała na wełnianym szaliku, usztywniając go. Pod wszystkimi warstwami ubrania Tierney pocił się z wysiłku. Czuł, jak po klatce piersiowej ściekają strużki potu. Z lewej strony nadal pulsował ból po celnym kuksańcu Lilly.

Zazwyczaj mógł polegać na swoim wyczuciu kierunku niczym na kompasie. Kiedy jednak zatrzymał się na chwilę, by sprawdzić godzinę, zaczął wątpić w niezawodność własnych zmysłów. Bo nawet uwzględniając warunki, powinien już minąć pierwszą serpentynę i znaleźć się na drodze.

Rozejrzał się dookoła, szukając jakichkolwiek punktów orientacyjnych, ale pośród zamieci wszystko wyglądało jednakowo. Naturalne drogowskazy, takie jak głązy czy spróchniałe pnie pokryła gruba warstwa śniegu. Nieskazitelny krajobraz szpeciły jedynie głębokie ślady, pozostawione przez Tierneya.

Rozsądek nakazywał mu myśleć, że pomylił się co do kierunku, zgubił się i krąży w koło. Ale instynkt okazał się jednak silniejszy. Nadal wydawało mu się, że idzie w dobrą stronę i jedynie się przeliczył, oceniając odległość dzielącą go od drogi. Polegał na swoim instynkcie zbyt wiele razy, żeby teraz przestać mu ufać. Pochylił głowę niżej, chroniąc się przed wiatrem, i ruszył przed siebie, zapewniając się w duchu, że niedługo znajdzie drogę.

I znalazł.

Chociaż w bardzo nieoczekiwany sposób.

Wylądował na niej po dwumetrowym upadku.

Najpierw na szosę trafiła prawa stopa. Z impetem przebiła się przez półmetrową warstwę śniegu i uderzyła w oblodzoną nawierzchnię z taką siłą, że Tierney krzyknął z bólu.

Ernie Gunn, oznajmiwszy Begleyowi, Sowie i Burtonowi, że uważa Bena Tierneya za porywacza, nie miał już nic więcej do powiedzenia. Bez słowa odprowadził żonę do drzwi. Wyjście państwa Gunn pozostawiło w zatłoczonym gabinecie Dutcha dziwną pustkę. Pierwszy przerwał milczenie Begley.

- Musimy porozmawiać z tym dzieciakiem Hamera.

- Rzeczywiście, ciekawe, co ma do powiedzenia na temat zniknięcia Millicent. - Sowa przewidział, że będzie to kolejny ruch szefa.

- Chwileczkę - przerwał Burton. - Chcecie wiedzieć, co ma do powiedzenia na ten temat? Chodzili ze sobą rok temu. I co z tego?

- A to, że chcemy z nim porozmawiać. Ma pan jakieś obiekcje? - Begley obdarzył Burтона jednym ze swoich miążdzących spojrzeń.

- Chciałbym najpierw powiadomić o tym Wesa.

- Dlaczego? - spytał Sowa.

- To dochodzenie w sprawie karnej - dodał Begley. - Wszyscy powinni być traktowani na równi. Nie obchodzi mnie, kim jest tatuś tego chłopaka.

- I tu się właśnie różnimy - powiedział Burton wojowniczo. - Nie możemy tak po prostu stanąć na progu jego domu i zacząć zadawać pytania o związku Scotta z zaginioną dziewczyną.

- Dlaczego nie? - roześmiał się krótko Begley.

- Dlatego, że tutaj nie postępujemy w ten sposób - odparł coraz bardziej rozgniewany Burton.

- Cóż, tutejszy sposób rozwiązywania spraw nie pomógł zbyt w odnalezieniu zaginionych kobiet, czyż nie? - Czerwona twarz Dutcha pociemniała jeszcze bardziej, ale Begley uniósł dłoń, powstrzymując jego wybuch złości. - Dobrze już, dobrze. Niech się pan uspokoi. Nie chciałbym, żeby opowiadano później, jak to FBI narusza lokalną etykietę. Zdaje się, że ten Hamer ma przynieść kanapki na lunch?

- Tak.

- Kiedy się pojawi, niech pan mu powie, że chcemy porozmawiać ze Scottem. Niech pan nie wchodzi w szczegóły, tylko wspomni o tym, że mamy kilka pytań do chłopaka. Pojedziemy tam po posiłku.

Burton wyszedł, nie skinąwszy nawet głową.

- Są dobrymi przyjaciółmi - skomentował Sowa, gdy znaleźli się sami w biurze.

- Musimy o tym pamiętać - mruknął Begley.

Po tej wymianie zdań, zażyczył sobie chwili spokoju i samotności. Kiedy Sowa, wychodząc, zamykał za sobą drzwi do pokoju, zdążył jeszcze dostrzec, że jego szef sięga po Biblię. Już w poczekalni Sowa zignorował zjadliwe spojrzenie Burtona i zapytał dyspozytora o działający telefon. Zadzwoił do Perkinsa, ale połączył się z pocztą głosową. Zostawił zwięzłą wiadomość o odcięciu prądu i niepewnych połączeniach telefonii komórkowej.

- Jeżeli nie uda ci się ze mną skontaktować przez tutejszą komendę, zadzwoń na mój pager i wprowadź kod trzy, trzy, trzy. Będę wiedział, kiedy sprawdzić e-mail.

Kiedy odkładał słuchawkę, do środka wszedł Wes z paczką kanapek. Lunch okazał się jednak dużo mniej ważny od wiadomości, co rozpowszechnia lokalna stacja radiowa.

- Chyba pan żartuje. - Sowa był oszołomiony.

- Nigdy w życiu nie mówiłem poważniej - oświadczył uroczyście Wes. - Chcecie, żebym się tam przejechał i ich ucizył?

- Ogary poszły w las - odpowiedział za Sowę Burton. - Nie ma co ich teraz odwoływać.

Sowa odniósł wrażenie, że Burton w najmniejszym stopniu nie przejął się przedwczesnym oświadczeniem dotyczącym Bena Tierneya. Właściwie to wydawał się nawet zadowolony z takiego obrotu spraw. Za to Begley na pewno się wścieknie po usłyszeniu tej nowiny, a Sowa miał nieszczyćście być człowiekiem, który ją przekaże. Wypytał o niezbędne szczegóły, a potem zostawił resztę kanapek i poszedł korytarzem w kierunku biura szeryfa Burtona. Zapukał lekko do drzwi.

- Sir?

- Wejdz, Sowa. - Begley skończył lekturę Pisma, zamknął księgę i machnął dłonią, zapraszając Wise'a do środka. - Przynieśli już lunch? Umieram z głodu.

Sowa zamknął drzwi i nie owijając w bawełnę, przekazał Begleyowi nowiny.

Agent specjalny walnął pięścią w stół, zerwał się na równe nogi i zaczął miotać przekleństwami. Sowa stał w milczeniu i czekał, aż szef nieco się uspokoi.

- Sir, to mała stacja radiowa. Nie ma zbyt wielu słuchaczy, zwłaszcza dziś, kiedy działają tylko radia na baterie. Obaj prezenterzy to miejscowi, byli leśnicy. Odeszli z pracy kilka lat temu i z nudów zaczęli nadawać lokalne wiadomości. Coś w rodzaju biuletynu. Na początku robili to co sobotę, potem rozkręcili rozgłośnie i zaczęli prowadzić programy codziennie. Nadają od szóstej rano do szóstej po południu, większą część czasu spędzając na pogaduszkach.

- Uwielbiają dźwięk swoich głosów.

- Najwyraźniej. Puszczają muzykę, zwłaszcza country, podają wiadomości, prognozy pogody, ale przeważnie zajmują się plotkowaniem. Mają studio w pokoju pensjonatu Elk, zaopatrzone we własny generator prądu, dlatego mogli dziś prowadzić program mimo awarii prądu.

Begley okrzyknął biurko Burtona, uderzając pięścią o wnętrze drugiej dłoni.

- Jeżeli dowiem się, kto wygadał wszystko tym plotkarzom, skopię mu tyłek tak mocno, że będzie pierdział przez uszy.

Sowa nie wiedział, co na to odpowiedzieć, dlatego odczekał kilka sekund.

- Nie sądzę, byśmy się kiedykolwiek dowiedzieli, kto rozpowszechnił tę wiadomość - powiedział wreszcie. - To mógł być każdy.

- Ktokolwiek to był, pokrzyżował nam szyki.

- To prawda.

Grymas niezadowolenia na twarzy Begleya pogłębił się.

- Sowa, musimy przedostać się jakoś do Tierneya, zanim zrobią to inni.

- Zgadzam się w zupełności.

- Weź sobie kanapkę, a potem zadzwoń do biura w Charlotte i zamów helikopter. Chcę maszynę i grupę ratowników na górze jak naj-szybciej - zaakcentował, dźgając powietrze palcem wskazującym.

Sowa wyjrzał przez okno.

- Wiem, wiem - wymamrotał z irytacją Begley. - Ale chcę ten helikopter, gdy tylko będą w stanie wystartować. Zrozumiano?

- Tak jest.

Begley ruszył do wyjścia, ale jeszcze przystanął.

- Sowa, tylko zatrzymaj wynik rozmów z Charlotte dla siebie. Im mniej ludzi wie o naszych planach, tym lepiej.

- Nawet policja?

Begley otworzył drzwi i rzucił półgębkiem:

- Zwłaszcza policja.

Ból wycisnął powietrze z płuc Tierneya. Łzy zamarzły na policzkach. Leżał rozciągnięty na wznak, klnąc głośno i siarczysto z wściekłości i cierpienia.

Kiedy minął pierwszy, najgorszy ból, odczuł ulgę, leżąc tak na śniegu. W tej samej chwili zrozumiał, że jest w niebezpieczeństwie - grozi mu zamarznięcie. Tak właśnie się to odbywało. Ogromnym wysiłkiem woli zmusił się, by poruszyć kostką. Jęknął, kiedy ogarnęła go kolejna fala bólu, ale przynajmniej wydobył się z błogostanu, w jaki zaczął powoli zapadać.

Usiadł. Potwornie kręciło mu się w głowie. Ścisnął ją dłońmi w nadziei, że w ten sposób powstrzyma wściekłe wirowanie. Ledwie zdażył ściągnąć z twarzy szalik, nim zwymiotował na śnieg, głównie kwasem żołądkowym. Spazmy przypomniały mu, jak bardzo bołą go żebra.

Zaczerpnął kilka głębokich oddechów, a potem wstał, przenosząc cały ciężar ciała na lewą nogę. Powoli poruszył prawą

stopą, zakreślając nią małe kręgi, żeby sprawdzić stan uszkodzonej kostki. Bolała jak cholera, ale chyba nie była złamana. To już coś. W takiej sytuacji cokolwiek, co nie było jawną katastrofą, wydawało się błogosławieństwem.

Ruszył dalej, używając szufli jako swoistej kuli. Teraz już na dobre stracił poczucie czasu i odległości. Skupiał się wyłącznie na kostce. Czuł, jak puchnie wewnątrz buta. Wysokie traperki powinny właściwie zapobiec zbytej opuchliznie. A może spowodują odcięcie dopływu krwi do stopy, co doprowadzi do odmrożenia? Gangreny? Dlaczego nie pamiętał podstaw pierwszej pomocy? Ani swojego kodu pocztowego czy telefonu do domu w Wirginii? Boże, ależ był głodny. Męczyły go również mdłości. Żołądek co chwila podchodził do gardła. Był zmarznięty na kość, chociaż skóra wydawała się rozpalona, jak przy wysokiej gorączce.

Najgorsze jednak były zawroty głowy.

Może w tej chwili jakiś skrzep, który na skutek upadku oderwał się z miejsca utworzenia, wędruje do jego mózgu, płuc albo serca. Przychodziły mu do głowy przypadkowe, oderwane myśli i umykały, zanim zdołał je przyswoić lub się nad nimi zastanowić. Zachował na tyle przytomności umysłu, by rozpoznać pierwsze stadia delirium.

Ból promieniujący z różnych części ciała stał się nagle jego przyjacielem. Bez niego mógłby odpłynąć w stan euforii, położyć się, oprzeć policzek na śniegu i umrzeć. Ból jednak smaگاł niczym bat i zmuszał go, by szedł dalej. Utrzymywał przy zdrowych zmysłach, przy życiu, chociaż jego umysł błagał o to, aby się zatrzymał, położył, zasnął. Poddał się.

22

- Dlaczego? Po co? Dlaczego ja?
- Uspokój się - powiedział Wes podniesionym głosem. - Nie zamierzają cię o nic oskarżyć.

- Skąd wiesz? - spytał Scott.
- Nawet jeżeli, to nie masz przecież nic do ukrycia, prawda? Prawda, synu?

- Prawda.
- W takim razie dlaczego się tak przestraszyłeś?
- Nie przestraszyłem się.

Zdaniem Dory, Scott był przerażony perspektywą rozmowy z agentami FBI. Przenosił spojrzenie z Wesa na matkę, jakby czuł się winny. Swoim zachowaniem zaprzeczał wcześniejszej deklaracji, że nie ma nic do ukrycia. Wykalkulowana nonszalancja Wesa była równie niepokojąca.

- Chcą tylko uzyskać informacje o Millicent - powiedział Wes. - Dutch twierdzi, że to rutynowe postępowanie.

- Mogli się dowiedzieć o Millicent ze stu innych źródeł - wtrąciła Dora. - Dlaczego wybrali akurat Scotta?

- Ponieważ był jej chłopakiem.
- W zeszłym roku.
- Wiem, kiedy to było, Doro.

- Nie mów do mnie tym tonem, Wes. Chciałam tylko powiedzieć, że od ich rozstania z Millicent działo się wiele rzeczy. Dlaczego jej związek ze Scottem nagle stał się taki istotny?

- Nie był ważny i to właśnie powie im Scott. Prawdopodobnie chcą się po prostu dowiedzieć, jak długo ze sobą chodziliście - ciągnął, zwracając się do syna. Spojrzał na niego twardo, ale Scott nie odwrócił wzroku.

Dora natychmiast wyczuła między nimi bezgłośnie porozumienie. Trzymali coś przed nią w tajemnicy. Bolało ją to wyłączenie z grupy.

- Scott, dlaczego właściwie zerwałeś z Millicent?
- Już nam to powiedział - warknął Wes. - Minał pierwszy zapał i dziewczyna mu się znudziła.

- Nie wydaje mi się. - Dora spojrzała łagodniej na syna. - Co się między wami zdarzyło?

Scott wzruszył ramionami.

- To, co powiedział tata. Znudziliśmy się sobie. - Matka

spojrzała na niego powątpiewająco. - Jezuniu, dlaczego mi nie wierzysz?! - wykrzyknął zdenerwowany. - Po co miałbym kłamać?

- Może z tych samych powodów, dla których wymknąłeś się zeszłej nocy z domu.

Wyglądał, jakby ktoś strzelił go pięścią prosto w twarz. Otworzył usta, potem szybko je zamknął, zdając sobie sprawę z bezcelowości jakichkolwiek zaprzeczeń.

- Dzisiaj rano odkryłam, że Scott obszedł czujnik alarmu zamontowany na jego oknie - zwróciła się do Wesa.

- Wiem o tym.

Teraz ona z kolei poczuła się, jakby ktoś ją uderzył.

- Wiedziałeś o tym? I nie powiedziałeś mi?

- Wiem o wszystkim, co się dzieje w tym domu - odparł gładko Wes. - Na przykład o tym, że Scott przerobił system alarmowy, kiedy zaczął się spotykać z Millicent. Często wpuszczał ją przez okno do swojego pokoju, kiedy kładliśmy się spać.

Musiał mówić prawdę, ponieważ policzki Scotta płonęły żywą czerwienią.

- Nie dziwi mnie, że Scott wymyka się czasem z domu - ciągnął Wes. - To normalne.

- Nie zgadzam się z tobą. - Spojrzała na męża z niedowierzaniem.

- Ma prawie dziewiętnaście lat. Dzieciaki w tym wieku rozrabiają do późna w nocy. A może już nie pamiętasz, jak to jest?

Rozwścieczona jego wzgardą, zacisnęła pięści.

- Nie chodzi o to, że Scott kładzie się późno spać, Wes. Problem w tym, że musi się wymykać z domu. Gdzie byłeś wczoraj w nocy? - spytała Scotta.

- Nigdzie. Po prostu... spacerowałem. Oddychałem, bo nie mogę już wytrzymać w tym domu. Czuję się jak w klatce.

- Widzisz?

Dora zignorowała Wesa.

- Scott, czy bierzesz jakieś narkotyki?

- Jezu, mam, skąd ci to przyszło do głowy?!
- Wyjaśniłoby to twoje zmiany nastroju, twoje...
- Uspokój się wreszcie - przerwał jej Wes protekcyjnym tonem, którego nie znosiła. - Jak zwykle przesadzasz.

- Jeśli to nie narkotyki, to coś innego. - Nie dała się uciśzyć. - Co przed nami ukrywasz, Scott? - spytała łagodnym, troskliwym, czułym tonem. Podeszła do syna, ujęła jego rękę i uściśnęła pokrzepiająco. - Powiedz nam, co się z tobą dzieje. Nieważne, co to jest. Ojciec i ja będziemy cię wspierać. O co chodzi? Czy wiesz, co się stało... - przerwała, niezdolna dokończyć potwornego pytania bez zaczerpnięcia głębokiego oddechu. - Czy między tobą i Millicent było coś więcej, niż się wszystkim wydawało? Czy policja odkryła coś poza...

- Zamkniesz się w końcu czy nie?! - Wes chwycił ją za ramię i brutalnie odwrócił twarzą do siebie. - Zwariowałaś do reszty?! Scott nie jest zamieszany w żadną zbrodnię. Ani narkotyki. Jest po prostu typowym osiemnastolatkiem.

- Puść mnie! - wyrwała się z jego uścisku. - Coś złego dzieje się z moim synem i chcę się dowiedzieć co, zanim wyciągną to od niego agenci FBI. Co się dzieje?

- Nic.

- Nie udawaj, Wes! - krzyknęła. - W ciągu ostatniego roku nasz syn zmienił się nie do poznania. Nie mów mi, że wszystko jest w porządku! Nie jestem ślepa ani głupia, chociaż tak właśnie o mnie myślisz. Mam prawo wiedzieć, co się dzieje z moim synem.

- Chcesz wiedzieć? Naprawdę? - Stał przed nią twarzą w twarz.

- Tato, nie!

- Chcesz wiedzieć, Dora?

- Tato!

Wes wsunął dłoń do kieszeni kurtki i wyciągnął paczkę jednorazowych strzykawek i kilka ampułek. Dora cofnęła się, patrząc na jego wyciągniętą dłoń.

- Co to jest? - spytała.

- Sterydy.

Wpatrywała się w niego z szeroko otwartymi ustami.

- Robisz sobie zastrzyki ze sterydów? - spytała Scotta.

Chłopak zerknął na Wesa, a potem popatrzył na nią.

- Nie ja. Pan Ritt.

Milczała, nie dowierając własnym uszom. Nagle rozległo się głośnie stukanie do drzwi.

- To chyba nasi goście. - Wes spokojnie włożył ampułki i strzykawkę do kieszeni, potem zdjął kurtkę i powiesił ją na haku w pobliżu tylnego wyjścia z domu. - Scott, otwórz drzwi i zaproś ich do środka. Nie denerwuj się. Będzie z nimi Dutch. Poproś, żeby usiedli i powiedz, że zaraz przyjdziemy.

Scott nie ruszył się z miejsca, patrząc na matkę przepraszająco, ze wstydem.

- Słyszałeś, co mówię, Scott? - Głos Wesa był spokojny, ale stanowczy.

W końcu chłopak odwrócił się i poszedł przedpokojem, by wpuścić gości.

Wes przysunął się bliżej do Dory. Poczowała na twarzy jego gorący oddech.

- Będziesz się zachowywała tak, jakby wszystko układało się cudownie, rozumiesz? To sprawa prywatna. Zostanie w rodzinie.

- Jak mogłeś zrobić coś takiego własnemu synowi?! - wybuchła. - Te rzeczy zabijają.

- Jak zwykle przesadzasz.

- Czy pomyślałeś o działaniu ubocznym, Wes?

- To niewielka cena wobec korzyści...

- Nie obchodzi mnie jego kariera sportowa! - stłumiła głos, wiedząc, że w sąsiednim pokoju czekają na nich goście. - Nie obchodzi mnie, jak silny jest Scott, jak wytrzymały i jak dobrze spisuje się na boisku. Martwię się o jego życie. - Czuła, że traci nad sobą kontrolę, a nie był to najlepszy moment na takie zachowanie. Wzięła kilka głębokich oddechów żeby się uspokoić. - Nie widzisz, jak bardzo się zmienił przez sterydy? - ciągnęła już ciszej, chociaż w środku nadal gotowało się w niej z wściekłości.

- No dobrze, jest trochę humorzasty. To pewnie skutek uboczny.

- Podobnie jak agresja.

- To akurat może przynieść więcej korzyści niż szkody - wzruszył ramionami.

Wszystko, co mówił, a zwłaszcza ostatnia uwaga, wstrząsnęło nią do głębi.

- Jesteś potworem.

Parsknął śmiechem.

- Co takiego? Myślałem, że się uspokoisz i będziesz zadowolona, kiedy się dowiesz, że zmiany, jakie dostrzegasz w Scotcie, są wywołane sterydami i nie mają nic wspólnego z tą wyrachowaną dziwką. Bo Millicent właśnie taka była.

- Była? Dlaczego mówisz o niej w czasie przeszłym?

Wes pochylił się nad nią.

- Dlatego, że jeśli chodzi o rodzinę Hamerów, Millicent jest wyłącznie historią.

Dora była nie tylko wstrząśnięta, ale także przerażona.

- O czym ty mówisz?

- Chcesz wiedzieć, dlaczego Scott i Millicent ze sobą zerwali? No to proszę bardzo. Tylko pamiętaj, że sama chciałaś. Millicent przeszkadzała Scottowi w treningach, ciągle do niego wydzwaniała, płała się po siłowni, dopóki nie skończył treningu, i rozkładała przed nim nogi, kiedy tylko chciał. Scott przestał myśleć o wszystkim innym. Nie zamierzałem pozwolić, by ta koścista cipa zrujnowała moje plany wobec syna. Musiałem zainterweniować, żeby postawić go z powrotem do pionu. Chcesz znać wielką tajemnicę ich rozstania? Patrzysz na nią.

- Co zrobiłeś?

- Nieważne. Najistotniejsze jest to, że zakończyłem na dobre ten ich gorący mały romansik. - Dźgnął ją palcem w mostek. - To również ma zostać w rodzinie.

Z tymi słowy odwrócił się i zostawił ją samą wśród znajomych, lecz nagle obcych ścian własnego domu, przerażoną i zagubioną. Słyszała głos męża dochodzący z dużego pokoju.

Jak zwykle towarzyski, Wes witał w domu gości, agentów FBI, którzy przybyli tu, aby przesłuchać Scotta w związku ze zniknięciem Millicent Gunn.

William i Marilee wyszli ze sklepu razem. Ponieważ nie było prądu, dłuższe pozostawanie w drogerii nie miało sensu. William nie mógł używać kasy ani komputera, w którym prowadził bazę danych klientów i leków, jakich używają. Poza tym, od chwili gdy Wes opuścił drogerię z kanapkami, nie pojawiła się w niej ani jedna osoba.

Marilee zabrała jedzenie z lodówki restauracyjnej, żeby przygotować im w domu jakieś posiłki. Wiedziała, że inaczej żywność się zmarnuje. Zdecydowali, że zostawiają samochód na parkingu przy sklepie i wrócą do domu wozem Williama.

- Nie ma sensu, byśmy oboje walczyli o życie na tych drogach - orzekł jej brat.

Zamykając sklep, zostawił na drzwiach wiadomość dla ewentualnych klientów, iż w razie pilnej potrzeby mogą się z nim skontaktować w domu.

Kiedy już jechali samochodem, Marilee powiedziała, szcękając zębami z zimna:

- Jeżeli ktokolwiek się dowie, że trzymasz w domu leki na receptę, stracisz licencję.

- Trzymam je tam na wszelki wypadek i tylko dla ludzi, o których wiem, że nie będą nadużywać tego przywileju. Poza tym, leki, jakie im wydaję, można kupić bez recepty na całym świecie, poza Stanami. - Wolno zakręcił, a potem nachylił się ku przedniej szybie i wpatrzył przed siebie przez zaparowane szkło. - Co się tam dzieje?

Przejeżdżali właśnie ulicą, na której mieszkali Hamerowie. Przed ich domem stał zaparkowany bronco Dutcha i nieznamy sedan.

- Czy to nie jest samochód agentów federalnych? - spytała Marilee.

- Chyba tak. Ten Begley to najbardziej grubiański człowiek, jakiego kiedykolwiek spotkałem.

- Nie sędzę, że chciał być niegrzeczny. Po prostu jest bardzo skuteczny i nawykły do rozkazywania.

- Ja też jestem skuteczny i mam pewien autorytet, ale nie traktuję ludzi w ten sposób.

Trudno było porównać prowadzenie drogerii do zarządzania biurem FBI, ale Marilee postanowiła zatrzymać to spostrzeżenie dla siebie. Nie chciała się kłócić z Williamem, chociaż co chwila usiłował ją dzisiaj sprowokować.

- Nie dziwię się, że Dutch tu jest - powiedział, gdy zrównali się z domem Wesa. - Czego jednak mogą szukać agenci FBI?

- Może chcieli porozmawiać z Wesem o tym, co włożył do kieszeni dziś po południu, kiedy nakryłam was w magazynie - rzekła niezobowiązująco, żeby zobaczyć, jak brat na to zareaguje.

- To lekarstwo na migreny Dory - odparł bez namysłu.

- Kłamiesz.

- Ty za to, siostrzyczko, zawsze mówisz prawdę i nigdy nie robisz nic złego, prawda? - powiedział, spoglądając na nią chytrze. Roześmiał się, widząc jej celowy brak reakcji. - Nawet ludzie, którzy na pozór prowadzą dyskretne, porządne życie, potrafią ukrywać niezłe brudy. Ciebie to też dotyczy.

Marilee spojrzała w bok, przez okno od strony pasażera.

- Chciałabym, żebyś miał rację, William. Czasem marzę o jakimś mrocznym sekrecie.

- Może Hamerowie mają i agenci FBI właśnie to odkryli. Stawiam na Scotta.

- Dlaczego na Scotta?

- Na pewno do tej pory ci federalni geniusze zdołali go powiązać z Millicent.

- Scott i Millicent chodzili ze sobą przez jakiś czas. Co w tym złego?

- Chodzili ze sobą - parsknął śmiechem William. - Cóż za osobliwe, niemodne określenie. Millicent zażywała tabletki antykoncepcyjne.

- Tak jak większość dziewcząt w jej wieku.

- Dobrze o tym wiem. Sporo na tym zarabiam. Czy wiedziałaś jednak, że Millicent przestała?

- Kiedy?

- Na wiosnę. Narzekąca, że powodują zatrzymywanie wody w jej organizmie i przybiera przez nie na wadze. Kiedy zerwali ze Scottem, przyszło mi do głowy, że może przydarzył im się mały wypadek.

- Sugerujesz, że zaszła w ciążę?

- Tak właśnie.

- Jestem pewna, że się mylisz.

- Przyglądam się uważnie moim klientom i zapamiętuję to, co widzę. Pewnego dnia Scott i Millicent siedzieli przy jednym ze stolików w restauracji. Nie mogli się od siebie odkleić. Millicent trzymała rękę na jego udzie. Muszę wyjaśnić dalej?

- Nie.

- Chciałem im już zasugerować, że jeśli nie potrafią się powstrzymać, powinni wyjść, ale chyba doszli do tego samego wniosku. Strasznie się spieszyli. Scott zapomniał nawet zapłacić rachunek.

- Do czego zmierzasz?

- Kiedy przyszli do restauracji następnym razem, niecały tydzień później, Scott ani na nią spojrzął. Coś musiało się przez ten czas wydarzyć. Coś ważnego. Moim zdaniem, spóźnił się jej okres.

Marilee potrząsnęła zdecydowanie głową.

- Nadal uważam, że nie masz racji. Jeżeli Millicent zaszłaby w ciążę, Scott nie wyparłby się odpowiedzialności za dziecko, a nawet jeśli by tak zrobił, jego rodzice by na to nie pozwolili.

William wybuchnął śmiechem.

- Wes nie pozwoliłby na nic, co by popsuło jego wielkie plany dotyczące przyszłości Scotta. Na nic. Nawet na przypadkowe rozsiewanie swojego nasienia, a wszyscy wiemy, jak Wes jest dumny ze swojego nasienia.

Ostatnia uwaga brata rozgniewała ją. Domyśliła się jednak,

że William powiedział to specjalnie, żeby wywołać u niej właśnie taką reakcję.

- Jestem przekonana, że ani Scott, ani Dora, ani nawet Wes nie uznaliby...

- Nie powiedziałem, że nie uznaliby niechcianej i bardzo niewygodnej ciąży. Po prostu Wes zrobiły to, co konieczne, by problem zniknął.

Marilee nie mogła nie przyznać bratu racji. Wes tak właśnie by postąpił.

- Co się tam dzieje, do cholery? - spytał Begley cicho, kiedy powoli, ostrożnie wracali do samochodu po oblodzonym chodniku przed domem Hamerów.

- Nie mam pojęcia, sir.

Już w sedanie, kiedy Sowa włączył silnik, Begley zapytał:

- Ale wyczułeś coś dziwnego, prawda? Nie wymyśliłem sobie tych dziwnych wibracji?

- Skądże znowu. Czułem się tak, jakbym oglądał przedstawienie, w którym wszyscy bardzo pieczołowicie odgrywali swoje role.

- Dobre porównanie.

Begley zdjął rękawiczki i zatarł ręce, obserwując pożegnanie Wesa i Dutcha przed wejściem do domu Hamerów. Komendant policji podszedł do swojego wozu i wsiadł do środka.

- Matka Scotta wyglądała, jakby za chwilę miała się złamać. - Begley się zadumał, spoglądając na okna domu. - Wes Hamer był zbyt hałaśliwy, zbyt uczynny i zbyt zawadiacki. Nie kupiłem ani jednego słowa z tego, co powiedział. Burton grał na dwie strony, chroniąc wieloletniego przyjaciela przed nami i nie przejmując się kompletnie biedną Millicent Gunn, ponieważ w tej chwili obchodzi go wyłącznie jego była żona. Dzieciak z kolei...

- Kłamał.

- Przez zaciśnięte zęby.

Sowa zaczekał, aż Dutch wycofa się z podjazdu, wyprowadził sedana na drogę i ruszył, trzymając się w bezpiecznej od-

ległości za policjantem. Begley skierował na siebie dyszę nawiewu, w nadziei, że powietrze będzie trochę cieplejsze.

- Co chciał ukryć, Sowa? O co tu w tym wszystkim chodzi? Nie mogę tego rozgryźć.

- Nie mam pojęcia, sir, ale nie sądzę, żeby Burton wiedział coś więcej niż my.

- Też wyglądał na zagubionego, prawda?

- Nawet jeżeli Wes Hamer i szeryf Burton są najlepszymi przyjaciółmi, wyczuwam między nimi jakieś napięcie. Jakaś... rywalizację.

Begley odwrócił się do niego i złożył palce, jakby strzelał z pistoletu.

- Bingo, Sowa. Ja też to zauważyłem. Zachowywali się jak przyjaciele od serca, ale coś było między nimi nie tak.

- Uraza. Z czysto praktycznych przyczyn. Hamer jest przewodniczącym rady miejskiej, a zatem zwierzchnikiem Burtona, któremu nie podoba się to, że musi się spowiadać ze swoich czynów przed przyjacielem.

- Może i tak, Sowa. Może i tak. - Begley wytarł przednią szybę rękawem. - Niezbyt dobra widoczność, co?

- Nie, sir. - W tym samym momencie usłyszeli piknięcie pagera. Sowa popatrzył na wyświetlacz. - Perkins.

Zamilkli. Przez długi czas w samochodzie słychać było jedynie szuranie wycieraczek o szybę, warkot pracującego nawiewu i chrzęst śniegu pod kołami.

- Ten dzieciak strasznie się zdenerwował, kiedy zapytałem go o powód zerwania z Millicent - odezwał się wreszcie Begley. - Rodzice też nagle się dziwnie ożywili, jakby byli niezmiernie zainteresowani odpowiedzią.

- Zwłaszcza pani Hamer.

- Myślę, że tak jak my, nie wierzy w tę opowieść o znudzeniu się sobą.

- Co z panem Hamerem?

- Dalej się nad tym zastanawiam, Sowa. Instykt podpowiada mi, że nasz pan trener wie dużo więcej, niż mówi.

- O zerwaniu?

- O wszystkim. Nikt się nie uśmiecha tak jak on, chyba że jest gwiazdą filmową, sprzedawcą używanych samochodów albo alfonsem.

Sowa zaparkował przed komendą. Obaj agenci wysiedli z samochodu i podążyli za komendantem do środka. W poczekalni pachniało kawą, mokrą wełną i męskim potem, ale przynajmniej było ciepło.

- Perkins prosił, żeby zadzwonił pan do niego, jak tylko pan wróci - powiedział dyżurny do Sowy.

- Tak, wiem. Czy mogę skorzystać z telefonu?

Dyżurny wskazał mu wolne biurko.

Begley musiał poczekać na wiadomości z Charlotte, dołączył więc do Dutcha Burtona, który właśnie nalewał sobie kawy.

- Co pan sądzi o naszej wizycie u Hamerów? - spytał.

- Nic - odparł Burton

- Nie ma potrzeby się unosić.

Burton parsknął, upił nieco kawy, a potem zapytał:

- A co pan sądzi?

- Wes i Dora Hamerowie nie są kochającym się małżeństwem, a ich dzieciak zdecydowanie ma jakiś kłopot.

- I wszystko to wydedukował pan po zaledwie trzydziestu minutach spędzonych w ich domu?

- Powiedziałbym, że raczej po trzech niż trzydziestu.

- Niezależnie od tego, ile czasu to panu zajęło, stracił go pan. Nie wspomnę nawet o tym, że narusza pan ich prywatność. Znaleźliśmy naszego porywacza. To Ben Tierney.

- W tej chwili pan Tierney jest poszukiwany wyłącznie w celu przesłuchania. Nic więcej.

- Jasne, jasne - odparł Burton. - Przeszukaliście wynajmowany przez niego dom w pensjonacie Gusa Elmera. Harris mi o tym powiedział. Co takiego odkryliście, że chcecie go koniecznie przyskrzynić?

Begley udał, że nie usłyszał pytania.

- Skoro tak chcecie ze mną grać, to nie ma sprawy! - rzucił gniewnie Burton. - Sam tam pojedę i sprawdzę.

- Posłuchaj no - powiedział Begley niskim, groźnym tonem. - Jeżeli spróbujesz się wtrącać, jeżeli postawisz tam stopę, osobiście dopilnuję, żebyś nigdy więcej nie mógł pracować w policji i resztę życia spędził pod nadzorem. A wierz mi, mogę to zrobić.

- Dlaczego nie próbuje pan dostać się na górę i aresztować Tierneya?

- Dlatego, że dziś rano pewien zazdrośnik nam to uniemożliwił - odciął się Begley.

Burton był tak zirytowany, że kąciki jego oczu drgały.

- Jasne. Niech pieprzone FBI molestuje mojego najlepszego przyjaciela i jego rodzinę o jakiś nieistotny szkolny romans, który nie ma żadnego znaczenia dla sprawy, niech próbuje mnie straszyć groźbami bez pokrycia, a tymczasem podejrzany jest...

- Przepraszam. - Sowa niemal wepchnął się pomiędzy nich. - Zapewne obu panów ucieszy wiadomość, że dostanieśmy do dyspozycji helikopter i małą drużynę ratunkową, gdy tylko pogoda się poprawi. Miejmy nadzieję, że nastąpi to już jutro rano.

- Chcę uratować Lilly i aresztować Tierneya - oświadczył Burton. - Macie wprawdzie doskonały sprzęt, ale to nadal mój teren i moja jurysdykcja, a Tierney jest moim głównym podejrzanym.

- Porwanie jest przestępstwem federalnym. Możemy... - zaczął Sowa, ale Begley uniósł dłoń, uciszając go.

- Wszystko jasne, komendancie Burton.

Nie wycofywał się, po prostu chciał uspokoić człowieka, który stał na krawędzi, by nie popełnił jakiegoś głupstwa, celowo lub przypadkowo. Tak czy inaczej, Begley nie chciał go dalej prowokować, dopóki Tierney nie znajdzie się w areszcie, a pani Burton nie będzie bezpieczna.

- Zanim pojawi się tu helikopter, sugeruję, by poszedł pan do lekarza z tymi ranami na twarzy, a potem udał się do domu i złapał trochę snu - powiedział. - Wygląda pan na wyczerpa-

nego. Cokolwiek wydarzy się jutro, wszyscy musimy być wypoczęci i trzeźwo myślący.

Burton wyglądał na tak rozwścieczonego, że chyba siłą się powstrzymał, by nie splunąć Begleyowi w twarz, jednak nie powiedział ani słowa. Agent specjalny założył okulary i spytał Sowę, czy Perkins zdobył wszelkie potrzebne im informacje.

- Proszę, sir - Sowa wręczył mu plik kartek. - Zanotałem wszystko.

- Doskonale. Przydałby się teraz ciepły kominek i szklaneczka grogu. Jestem pewien, że pan Elmer będzie nam w stanie zapewnić jedno i drugie. - Ruszył w kierunku drzwi, rzucając Burtonowi takie samo ostrzegawcze spojrzenie jak wtedy, gdy zabronił mu przeszukiwać domek wynajmowany przez Tierneya w Whistler Falls Lodge. „Będę na ciebie uważał”, mówiło to spojrzenie. Kilka minut później siedział już z Sową w zimnym samochodzie, który, wpadając co chwila w poślizg, przemieszczał się opustoszałymi ulicami Cleary.

- Dutch Burton prosi się o biedę - odezwał się po chwili. - Założę się, że pewnego dnia skończy z kulką we łbie. - Otarł dłonią twarz, jakby chciał zetrzeć z niej niepokojącą myśl. - Streść mi twoją rozmowę z Perkinsem, chyba że masz coś bardzo interesującego, jakiś pewnik. Wtedy podaj szczegóły.

- Perkins próbował odnaleźć jakiekolwiek powiązanie między Tierneyem a którąkolwiek z zaginionych kobiet.

- I?

- Carolyn Maddox...

- Młoda samotna matka.

- Tak jest. Pracowała w dwóch miejscowych motelach, zanim przeniosła się tam, skąd potem zniknęła. Jeszcze nie wiadomo, czy Tierney zatrzymywał się kiedykolwiek w którymś z tych miejsc. Perkins nadal sprawdza wykazy z jego konta.

- Mógł zapłacić za pobyt gotówką.

- W takim przypadku musielibyśmy polegać na rejestrach moteli.

- W których mógł się zameldować jako Tinkerbell.

Sowa pokiwał ponuro głową.

- Nie przypuszczam, żeby pani Maddox pracowała kiedyś u pana Elmera?

- Nie, sir. To pierwsza rzecz, jaką sprawdził Perkins.

- Mów dalej.

- Laureen Elliott, pielęgniarka. Jej jedynym żyjącym krewnym jest brat, który mieszka z żoną w Birmingham. Chwilowo zostali odcięci od świata przez śnieżycę, ale Perkins zdołał się z nim skontaktować telefonicznie. Jeżeli jego świętej pamięci siostra знаła kogoś o nazwisku Tierney, nigdy o nim nie wspominała.

- Tierney to niezbyt popularne nazwisko. Na pewno by je zapamiętał.

- Też tak pomyślałem, sir.

- Co z wdową?

- Betsy Calhoun. Jej córka nadal mieszka w Cleary. Perkins nie mógł się z nią skontaktować.

- Masz jej adres?

- Właśnie tam jedziemy. To za następnym skrzyżowaniem.

- Doskonale - uśmiechnął się Begley. - A pierwsza ofiara?

- Torrie Lambert, nastolatka.

- Prawdopodobnie przypadkowy wybór.

- Najprawdopodobniej. Nie chciałbym jednak przyjąć tego za pewnik, a potem dowiedzieć się, że było coś, co przeoczyliśmy. Perkins nadal usiłuje skontaktować się z jej matką.

- Tymczasem...

- Co takiego, sir?

- Zostajemy przy Tierneyu, wykluczając innych ewentualnych podejrzanych?

- Na przykład Scotta Hamera?

- Czy rzeczywiście jest tak, jak mówi Burton? Czy mamy uwierzyć we wszystko, co mówili, i przestać się nimi zajmować? Na zdrowy rozsądek, Scott mógł mieć powody, żeby zrobić krzywdę Millicent. Romans skończył się źle i tak dalej. Może nawet przypadkowo wpadł na Torrie Lambert tamtego dnia w lesie. Ale co niby miałyby skłonić przystojnego młode-

go człowieka, takiego jak on, do zadawania się z otyłą pielęgniarką, samotną matką chorego dziecka i owdowiałą kobietą starszą od jego matki?

- To prowadzi nas z powrotem do Tierneya.

- Do którego odnoszą się te same pytania. Powiedzmy, że Tierney ma pociąg do młodych dziewczyn. Jeszcze Carolyn Maddox, gdyby odjąć jej kilka lat, pasowałaby do profilu. Ale co z pozostałymi dwiema? Do diabła! Dlaczego nie możemy znaleźć motywu? - Begley był wdzięczny Sowie za to, że zachował milczenie i nie próbował odpowiedzieć na to pytanie. Wreszcie westchnął ciężko. - Dopóki ów motyw nie stanie się oczywisty, powiedz, co myślisz, Sowa. Czy Tierney jest naszym przestępcą?

Wise zatrzymał samochód przed domem o numerze, który podał mu Perkins. Była to malutka posiadłość z miniaturowym podwórkiem, otoczona płotem z białych sztachetek, teraz do połowy przysypanym śniegiem. Z kamiennego komina oplecionego wistarią unosił się dym. W oknie siedział gruby żółty kot, wpatrując się w nich przez koronkowe firanki.

A oni siedzieli w milczeniu, spoglądając na dom należący do córki Betsy Calhoun. Begley pomyślał, że budynek wygląda tak bardzo niewinnie i słodko, że nikt nigdy nie domyśliłby się tragedii, jaką przeżyli zamieszkujący go ludzie. Córka Betsy Calhoun co wieczór kładła się spać, nie znając losu matki.

- To musi być prawdziwe piekło. - Begley nie zdawał sobie sprawy, że wypowiedział tę myśl na głos, dopóki nie dostrzegł mgiełki unoszącej się z jego ust. - Musimy dorwać tego skurwiela, Sowa.

- Musimy koniecznie - Wise zdawał się myśleć w podobny sposób.

- Czy zatem, choć Hamerowie ewidentnie coś ukrywają, sądzisz, że Ben Tierney nadal jest odpowiednim kandydatem?

- Tak, sir - odparł Sowa. - Tierney nadal wydaje mi się właściwym kandydatem.

- A niech to. Ja też tak sędzę. - Begley otworzył drzwi sa-

mochodu. Kiedy wysiadał, rzucił spojrzenie na spowity chmurami szczyt góry i zmówił kolejną krótką modlitwę w intencji Lilly Martin.

23

Przy każdym wydechu z jej ust wydobywała się coraz mniejsza mgiełka pary.

Była przemarznięta na kość, ale nie miała ani siły, ani ochoty wstać i dołożyć do ognia. Po co?

Nie należała do ludzi, którzy rozmyślają w kółko o śmierci i umieraniu, zadreńczając się tym, przez co sami skracają sobie życie. A jednak po śmierci Amy często zastanawiała się nad odejściem na tamten świat. Nigdy nie kwestionowała jego istnienia. Ta słodka kulka życia i energii, jej córeczka, nie mogła przecież odpłynąć w nicość. Lilly wierzyła, że Amy przeniosła się po prostu z jednego świata, w którym rządziły prawa fizyki, do królestwa ducha. Owo przekonanie pomogło jej przetrwać żałobę. Nadal jednak dręczyła ją niewiedza o naturze przejścia między dwoma światami. Czy Amy prześlizgnęła się gładko na drugą stronę po świetlistym chodniku, czy też wędrowała w przerażającej ciemności? Wtedy właśnie Lilly zaczęła zastanawiać się nad swoją śmiercią i nad tym, czy będzie ona spokojna, czy traumatyczna. Jej najgorszym koszmarem była perspektywa samotnej agonii w ataku astmy.

Przynajmniej umrze ze świadomością, iż pochwyca Chabera. Zanim opadła zupełnie z sił, wycięła nożem na jednej z drewnianych szafek kuchennych napis: TIERNEY = CHABER. Miała nadzieję, że będzie to lepsze niż pozostawienie notki na jednym z niewypełnionych czeków, który łatwo można będzie przeoczyć w czasie zamieszania, jakie zapewne nastąpi podczas wnoszenia jej ciała z domku.

Tierney.

Samo wspomnienie jego nazwiska spowodowało, że z jej

ściśniętej piersi wyrwał się szloch. Była przerażona własną winą. Jakże łatwo przekonała ją jego rzadka kombinacja szorstkości i wrażliwości, jaką zaprezentował tamtego dnia na rzece. I jak bardzo marzyła o ponownym spotkaniu, rozpaczając z powodu utraty takiej możliwości.

Od samego początku wydawał się zbyt wspaniały, by mógł być prawdziwy.

Zapamiętaj sobie, Lilly: to, co się nam takie wydaje, zazwyczaj takie właśnie jest.

Była trochę za stara na naukę tak cennej lekcji życia, zresztą nie będzie miała okazji, niestety, by wykorzystać zdobytą wiedzę, ale co z tego? Może powinna zapisać również i to przemyślenie na jednej z kuchennych szafek, tak jak więźniowie pozostawiają na ścianach swoich cel moralne przestrogi dla ich następców. Tyle że już nie miała siły, żeby utrzymać nóż w dłoni. Napady mokrego kaszlu tak ją osłabiły, że nie była w stanie siedzieć. Nie miała energii, nie wspominając o czasie.

Jedyna dobra rzecz w umieraniu to taka, że uzyska wreszcie odpowiedzi na dręczące ją niegdyś pytania. Wiedziała już na przykład z całą pewnością, że ludzie nie odchodzą na tamten świat w strumieniu oślepiającego światła. Wręcz przeciwnie, śmierć jest niczym zapadający zmierzch. Ciemności nadchodzą powoli, niemal niedostrzegalnie, aż wreszcie w czerni pozostaje tylko mała, ledwie tłąca się iskierka światła-życia. A potem ją także pochłania absolutna i wszechogarniająca ciemność.

Lilly desperacko szukała w niej Amy, ale nie mogła jej nigdzie dostrzec. Nie widziała nic, ale nadstawiła uszu, słysząc dochodzący ją z daleka głos. To był jej tata. Wołał, żeby przyszła do domu z podwórka, na którym się bawiła.

- Lilly! Lilly!

Idę, tato.

Widziała go, jak stoi na ganku ich domu, przykładając do ust zwinięte w trąbkę dłonie. Wołał ją niespokojnie, nasłuchując, czy odpowie mu, że już wraca.

- Lilly!

Jego głos był pełen przerażenia, paniki, szaleństwa. Czyżby jej nie słyszał? Dlaczego jej nie słyszał? Przecież mu odpowiedziała.

Już wracam, tato. Nie widzisz mnie? Nie słyszysz? Jestem tutaj!

- Lilly! Lilly!

Tierney uniósł ją nieco, oparł na ramieniu i poklepał mocno po plecach. Lilly odkaszlnęła gęstym śluzem, który spadł na przykrywający ją koc. Tierney uderzył ją znowu między łopatkami, zmuszając do kaszlu i pozbycia się większej ilości śluzu, który zaczął spływać strużką z ust. Kiedy ją puścił, opadła bezwładnie na sofę. Jej głowa przechyliła się na jedną stronę.

Tierney ściągnął rękawiczki i poklepał Lilly po policzkach, wmawiając sobie, że jej twarz nadal jest ciepła, to tylko jego ręce są zimne.

- Lilly!

Wsunął dłoń pod jej ubranie i przycisnął do piersi. Kiedy wyczuł bicie serca, z jego zaschniętego, obolałego gardła dobiegł szloch. Szybko rozpiął kieszeń, w której niósł lekarstwa. Były w zielonej jedwabnej kosmetyczce z kryształkami, tak jak opisała to Lilly. Otworzył ją, na podłogę wypadła fiolka z tabletkami i potoczyła się gdzieś po podłodze. Tierneya obchodziły teraz wyłącznie inhalatory. Przeczytał napisy na opakowaniach. Równie dobrze mogłyby być napisane po chińsku.

Pamiętał, że jeden z leków zapobiegał atakom astmy, drugi miał przynieść natychmiastową ulgę, jeżeli atak już się zaczął. Nie wiedział jednak, którego inhalatora powinien użyć. Podsunął jeden z nich pod jej blade usta, wsunął między zęby i nacisnął.

- Lilly, oddychaj.

Leżała nieruchoma, bez życia, blada niczym śmierć.

Wsunął ramię pod jej plecy i uniósł nieco, potrząsając gwałtownie.

- Lilly, oddychaj! Oddychaj! Proszę cię, błagam. Oddychaj. No dalej, zaczerpnij powietrza!

Wreszcie go posłuchała. Lekarstwo zadziałało, rozkurczając mięśnie i udrażniając drogi oddechowe. Rzęząc, zaczerpnęła powietrza, raz... i jeszcze raz. Kiedy wydychała je po raz trzeci, otworzyła oczy i spojrzała na niego, a potem zacisnęła ręce na jego dłoniach, nadal trzymających inhalator. Nacisnęła ponownie, oddychając z trudem, świstem i gulgotaniem.

- Muzyka dla mych uszu - oświadczył Tierney.

Nagle odepchnęła inhalator i zaczęła kaszleć w dłonie.

- Proszę. - Tierney chwycił ręcznik, leżący na sąsiedniej kanapie i podał jej. Spazmy wstrząsały całym jej ciałem. Tierney klęczał tuż przy niej, mrużąc pokrzepiająco. Wreszcie kaszel ustał. Lilly odsunęła mokry ręcznik od ust. Tierney wyjął go z jej rąk. Wydawała się wstrząśnięta jego widokiem. Nagle zdał sobie sprawę z tego, jak strasznie musi wyglądać. Otarł szron z brwi i rzęs, po czym zsunął oblodzony szalik z twarzy.

- To ja, nie żaden duch.

- Wróciłeś? - spytała ledwo słyszalnie. - Dlaczego?

- Taki był plan. Myślałaś, że zamierzam cię tu zostawić na pewną śmierć i uciec?

Pokiwała głową.

- Gdybym zaczął cię przekonywać, że wrócę z twoimi lekarstwami, uwierzyłabyś mi?

Potrząsnęła przecząco głową.

- Właśnie. Straciłbym tylko cenny czas, usiłując cię przekonać. Nie miałem więc innego wyboru, jak tylko pozostawić cię pełną najgorszych myśli o mnie. Nie było to łatwe.

Wstał, wspierając się o kanapę. Poruszał się, jakby nagle postarzał się o kilkadziesiąt lat. Stopy miał kompletnie przemrożone. Kiedy podchodził do kominka, nie czuł pod sobą podłogi. Wrzucił na kratę kilka szczap i podmuchał lekko w żar, żeby zajęły się ogniem. Wkrótce głodne płomienie zaczęły pożerać świeże drewno.

Zjął plecak, postawił go na ziemi i wepchnął czubkiem buta pod stół do kawy. Ściągnął szalik, pled i czapkę, a po-

tern kurtkę. Powiesił na oparciu jednego z krzeseł, by wyschły. Ostrożnie pomacał tył głowy, a potem popatrzył na swoje palce, szukając świeżej krwi. Albo rana się nie otworzyła, albo krew zamarzła.

Usiadł na kanapie naprzeciwko Lilly i rozsznurował buty. Zawahał się przed zdjęciem prawego, wiedząc, że kostka może spuchnąć tak bardzo, że nie da rady włożyć go ponownie. Jeżeli jednak nie przywróci prawidłowego krążenia stopie, może stracić palce z powodu odmrożenia.

Zaciskając zęby z bólu, ściągnął but i skarpetkę. Kostka była nieco spuchnięta, ale nie aż tak, jakby na to wskazywał promieniujący z niej ból. Nie dostrzegał żadnych objawów odmrożeń, ale na wszelki wypadek rozmasował palce. Bolało jak cholera, kiedy krew zaczęła znowu w nich krążyć, lecz oznaczało to, że mróz nie uszkodził trwale naczyń krwionośnych.

Przez cały ten czas Lilly siedziała na sofie z szeroko otwartymi oczami, wpatrując się w niego, jakby był zjawą. Poruszając się powoli, żeby jej nie wystraszyć, podniósł się i przyklęknął przy niej. Usiłował wymówić jej imię, ale z jego gardła wydobył się tylko suchy charkot.

- Lepiej się czujesz?

Kiwnęła głową.

- O Boże, zapomniałem o tabletkach.

Pod jednym z foteli znalazł fiolkę. Przyniósł z kuchni szklankę wody i podał Lilly. Zażyła lekarstwo, a potem użyła drugiego inhalatora. Tierney zauważył, że jej usta stopniowo odzyskują kolor. Oznaczało to, że ciało zaczyna się dotleniać, chociaż oddech nadal był ciężki i zgrzytliwy. Przywodził na myśl rozstrojoną kobzę.

- Ten inhalator jest niezły - powiedział. - Nie wiedziałem, którego mam użyć. Miałem pięćdziesiąt procent szans. Chyba mi się udało.

Znów kiwnęła lekko głową.

Tierney przyjrzał się jej twarzy. Lilly oddychała, poruszała się, a jej skóra odzyskiwała powoli normalny kolor. Bał się

jednak, że padł ofiarą kolejnej halucynacji, jakich miał wiele podczas swej podróży do samochodu i z powrotem. Lilly była ich główną bohaterką. W niektórych majakach wracał do chaty i znajdował ją tam zimną, śmiertelnie bladą, nieruchomą, martwą. W innych zastawał ją rozpaloną, pełną życia, namiętą i spragnioną, z pasją przyjmującą go w siebie. W rzeczywistości Lilly nie była ani martwa, ani roznamiętniona, lecz oszołomiona.

- Chyba straciłaś przytomność tuż przed moim przybyciem. Wołałem cię po imieniu, ale nie reagowałaś. Nie poruszyłaś się. Nie oddychałaś. Śmiertelnie mnie wystraszyłaś - dodał chrapliwie. - Myślałem, że przybyłem za późno.

- Ja też - odparła cichutkim szeptem.

Jej twarz wykrzywiła się z emocji. Tama, która powstrzymywała dotychczas łzy, nagle runęła i wypełniła wilgocią jej oczy. Tierney zareagował spontanicznie. W ułamku sekundy znalazł się przy Lilly, obejmując jej wstrząsane płaczem ramiona.

- Już dobrze. Wróciłem, a ty żyjesz.

Lilly wtuliła się w jego ramię. Tierney posadził ją sobie na kolanach, tuląc niczym dziecko, przyciskając jej głowę do swej piersi. Czuł, jak kurczowo chwytą się jego swetra.

- Ciiiiiii - zaczął całować jej włosy. - Nie płacz, Lilly. Nie powinnaś płakać, pamiętasz? Nie chcesz przecież dostać kolejnego ataku.

Podniósł jej głowę, pogładził zmierzwiłone włosy. Dzięki Bogu, jej skóra straciła już szary odcień. Ujął jej twarz w dłonie i przesunął kciukami po policzkach, ścierając łzy.

- Tylko śmierć mogła mnie powstrzymać od powrotu do ciebie - powiedział, spoglądając jej głęboko w oczy. Przesunął spojrzenie na jej usta, miękkie, pełne, znowu czerwone, lekko rozchylone, drżące, wilgotne od wypitej przed chwilą wody i łez. U nasady szyi gładka skóra pulsowała w takt uderzeń serca.

Powstrzymując targające nim uczucia, wstał i trzymając ją w ramionach, zaniósł na materac. Usiadł, zwrócony w stronę

kominka, nadal trzymając Lilly na kolanach. Ułożył jej głowę na swojej piersi, sięgnął po jeden z koców i nakrył ich oboje, a potem przytulił ją mocno i oparł brodą o czubek jej głowy. Pozwoliła mu robić ze sobą wszystko, ale nie chciał się oszukiwać. Nie zrobiła tego, bo mu ufała. Widział wiadomość wyciętą nożem na szafce w kuchni. Lilly pozwalała mu się przytulać tylko dlatego, że przeżyta niedawno trauma bardzo ją osłabiła.

Długo po tym, jak zasnęła, wpatrywał się w płomienie, chłonąc rozkosz i ból jej bliskości, czując słodki dotyk jej piersi. Od czasu do czasu zaciskała palce na jego swetrze. Chciał wierzyć, że upewniała się w ten sposób, iż nadal tu jest, chociaż prawdopodobnie był to jedynie zwykły odruch.

Usiłował nie przypominać sobie, jaki jedwabisty był jej język, kiedy całował ją zeszłej nocy, jak cudownie wyglądały piersi ukryte pod mokrym spandeksem tamtego dnia na rzece, ani o tym, jak bardzo jej pragnął, do głębi, całkowicie. Ale nie potrafił myśleć o niczym innym. Jego skóra, spragniona jej dotyku bolała tak, że w końcu poddał się i wsunął jedną dłoń pod sweter Lilly. A potem zasnął.

Lilly obudziła się w objęciach Tierneya. Natychmiast wyczuła, że on również nie śpi. Usiadła, odwracając głowę z żenowania.

- Trzeba dorzucić do ognia - powiedział tylko.

Z całą gracją, na jaką ją było stać, zsunęła się z jego kolan i przysiadła na stopach. Musiał oprzeć się o brzeg sofy, by stanąć na nogi. Zauważyła grymas bólu na jego twarzy.

- Trochę zesztyniałem - wyjaśnił.

- Nie powinienes mi pozwolić na tak długi sen. Na pewno nie było ci wygodnie.

- Ja też zasnąłem. Obudziłem się dopiero przed chwilą.

- Jak długo spaliśmy?

Tierney zerknął na zegarek.

- Cztery godziny.

Cztery godziny! Cztery godziny? Jak mogła spać tak spo-

kojnie i tak długo w objęciach człowieka, który był Chabrem?
Otarcie się o śmierć musiało poważnie zaćmić jej zmysły.

Tierney zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów.

- Jak się czujesz?

- Dużo lepiej. Lepiej, niż myślałam, biorąc pod uwagę, jak poważny był atak - przerwała, zanim dodała cicho: - Nie podziękowałam ci jeszcze.

- Owszem.

- Nie. Załamalam się tylko i rozpłakałam.

- Zrozumiałem przesłanie.

- Ale nie wyraziłam tego słowami, chociaż powinnam.

Dziękuję, Tierney.

- Nie ma za co. - Spoglądał na nią przez chwilę, zanim odwrócił się i podszedł do krzesła, na którym wisiała jego kurtka.

- Utykasz gorzej niż wczoraj.

- Tak, wiem. Skręciłem kostkę w drodze do samochodu.

Dobrze, że nie złamałem.

- Co się stało?

- Nie widziałem, gdzie stąpam, i... - machnął ręką, zbywając pytanie. - Nic mi nie będzie.

- Lekarstwa były na podłodze, tak? - spytała, wskazując na jedwabną kosmetyczkę na stoliku.

Tierney opowiedział jej, jak dotarł wreszcie do samochodu, kiedy już niemal stracił nadzieję.

- Cały był oblodzony, a z wierzchu pokryty śniegiem. Nie wierzyłem, że uda mi się otworzyć drzwi.

Mimo to osiągnął cel. Najtrudniej było oprzeć się pokusie odpoczynku. Wiedział, że jeśli ulegnie, na pewno zaśnie i zamrznie na śmierć.

- Kiedy wsiadłem do samochodu, pozwoliłem sobie na pół minuty relaksu, żeby złapać oddech, a potem zabrałem się do roboty. Trzeba było wsunąć rękę w zaledwie kilkunastocentymetrową szczelinę pomiędzy roztrzaskaną deską rozdzielczą a siedzeniem pasażera. - Musiał sięgnąć do samego końca, zanim wreszcie wyczuł opuszkami jedwabny woreczek. - Zła-

pałem materiał między dwa palce - zademonstrował, jak udało mu się chwycić kosmetyczkę. - Bałem się, że popchnę ją do przodu, poza zasięg ręki, ale na szczęście się udało.

- A potem wróciłeś tutaj. Ze wstrząsem mózgu i zwiniętą kostką.

- Najważniejsze, że dotarłem na czas. - Spojrzał na kominek. - Muszę przynieść jak najwięcej drewna, zanim zapadnie noc.

- Zamierzasz wyjść bez butów? - spytała, widząc, że Tierney włożył kurtkę i rusza na bosaka w kierunku wyjścia.

- To potrwa tylko chwilę.

Wyszedł na ganek i szybko zamknął za sobą drzwi. Lilly otworzyła je i przytrzymała, gdy wrócił z naręczem polan.

- Dzięki. - Ułożył drewno przy kominku. - Widziałem wiadomość, jaką zostawiłaś na szafce w kuchni.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc milczała. Tierney wyprostował się i spojrzał na nią.

- Nie jesteś jedyną osobą, która tak sądzi. Udało mi się uruchomić silnik w twoim samochodzie. Włączyłem radio, miałem nadzieję, że usłyszę prognozę pogody.

Lilly przeczuwała, co za chwilę usłyszy.

- FBI mnie poszukuje. - Minął ją, znowu zdążając na ganek. - Najwyraźniej jedna z twoich wiadomości dotarła jednak do Dutcha. - Zatrzasnął za sobą drzwi.

Opadła na kanapę, czując dreszcze. Nie wiedziała tylko, czy to z ulgi, czy z przerażenia. Jeżeli Tierney był Chabrem, była to świetna wiadomość. Jeżeli nie, skazała niewinnego człowieka.

Tierney raz jeszcze wszedł do środka, obsypany śniegiem. Niósł kolejne naręcze polan.

- Przepowiadają, że jutro przestanie padać. Temperatura utrzyma się poniżej zera, ale warunki mają się zdecydowanie poprawić. - Zaczął układać polana na stosie. Przemawiał beztroskim, spokojnym tonem. - Drogi będą nieprzejezdne przez wiele dni, ale jeżeli nam się poszczęści, pomoc nadejdzie jutro.

- Tierney...

- Nadal jednak musimy tu spędzić noc - ciągnął, przerywając jej bezpardonowo. Odwrócił się do niej, otrzępując dłonie. - Zapewne dla ciebie to nie najmiłsza perspektywa. - Wskazał na plecak, leżący pod stolikiem. - Wiesz, gdzie trzymam pistolet i kajdanki, jeżeli będziesz ich potrzebowała. Teraz masz już swoje lekarstwa i zapas drewna, więc poradzisz sobie, dopóki nie przybędzie pomoc.

- Zamierzasz odejść? - Zaskoczył ją własny strach, że on znowu odejdzie.

Tierney parsknął gorzkim śmiechem.

- Chciałbym, ale nie zrobię tego. Teraz, kiedy podano w radiu moje nazwisko, każdy miejscowy zawadiaka z bronią będzie usiłował mnie ustrzelić. Moja skóra stanie się sezonowym trofeum, a w moim stanie będę nader łatwą ofiarą. Nie. Dopóki czegoś nie zjem i nie wypocznę, będziesz musiała znosić moje towarzystwo. Nie chcę jednak, żebyś kuliła się ze strachu za każdym razem, kiedy się do ciebie zbliżę. Dlatego jeżeli chcesz mnie z powrotem przykuć do łóżka, nie będę się bronił. Z niechęcią, ale zgodzę się na niewolę.

Lilly pochyliła głowę i utkwiała wzrok w podłodze. Spojrzała na swoje stopy, otulone skarpetkami, potem na jego nagie stopy, wystające spod przemoczonych nogawek. Nie namyślała się długo.

- To nie będzie konieczne, Tierney.

- Już się mnie nie boisz?

Spojrzała na niego.

- Jeżeli byłbyś Chabrem, nie wróciłbyś tutaj.

- Lilly, czy nie rozumiesz, że musiałbym wrócić, dla swojego własnego dobra? Pozostając na zewnątrz, nie przeżyłbym.

- Nie musiałeś mnie jednak ratować. Chaber pozwoliłby mi umrzeć.

- A jaki w tym zysk? Obserwowanie, jak umierasz to przecież nie to samo, co odebranie ci życia. Ani trochę.

Przyglądała mu się długo, szukając w jego spojrzeniu odpowiedzi na pytania, które tak sprytnie kontrował nowymi py-

taniami, milczeniem, kłamstwami albo odgrywaniem adwokata diabła. Był świetnym graczem, tylko że ona miała już dość tej rozgrywki.

- Nie wiem, kim jesteś, Tierney - powiedziała zmęczonym tonem. - Nie wiem, o co ci chodzi, ale nie sądzę, żebyś pragnął mojej śmierci, inaczej już dawno bym nie żyła.

Rozluźnił się, a rysy jego twarzy złagodniały.

- Cieszę się, że mi ufasz, Lilly.

- Nie ufam ci, ale uratowałeś mi życie.

- To już coś.

- Tak. Dzięki temu unikniesz przykucia do łóżka.

- Ale nie stanę się znowu tym samym mężczyzną, którego poznałaś tamtego dnia na rzece. Powiedz mi, co mam zrobić, Lilly? Co mam zrobić, żeby było tak jak wtedy?

Nie poruszył się. Ona również. Mimo to odległość między nimi jakby się skurczyła. Trwali tak w tej dziwnej bliskości, dopóki jedno z polan w kominku nie trzasnęło głośno, rozsiewając wokół deszcz iskier i przerywając ciszę. Tierney skinął głową w kierunku drzwi.

- Będzie mi łatwiej, jeżeli przytrzymasz drzwi.

Zrobiła, o co prosił. Obrócił parę razy, przynosząc więcej drewna. Wychodząc po raz ostatni, zabrał ze sobą puste metalowe wiaderko, w którym trzymali wcześniej wodę do picia, i napełnił je śniegiem.

- Muszę się umyć. - Wrzucił kilka leżących na kracie węgli na palenisko i postawił na nich wiadro. - Niestety, podmywanie będzie musiało wystarczyć.

- Podmywanie?

- Nigdy nie słyszałaś tego wyrażenia?

- Nie, od czasu śmierci mojej babci.

- Ja też nauczyłem się go od mojej babci. Dziadek twierdził, że to kąpiel dziwek. Babcia zawsze na niego o to krzyczała. Nie lubiła, gdy się brzydsko wyrażał, kiedy byłem w zasięgu wzroku czy słuchu.

- Czyli jak często?

- Codziennie - odparł. - Dziadkowie mnie wychowywali.

Poszedł do sypialni i za chwilę wrócił z ręcznikami i myjkami.

- Zostały tylko dwa czyste ręczniki - powiedział.

- Jak twoja rana?

- Dużo lepiej, chociaż podczas wycieczki kilka razy dała mi się we znaki. - Skinął głową w kierunku drzwi wyjściowych. Zanurzył palec w wodzie. - Nie sądzę, żeby zrobiła się dużo cieplejsza. Wytrzymasz to jakoś?

- Myślałam, że przyszykowałeś ją dla siebie.

- Pierwsze wiaderko należy do ciebie.

- Nie, dziękuję.

Jej szorstka odmowa zirytowała go wyraźnie.

- Zaczekam w sypialni, aż skończysz. Czy wtedy poczujesz się bezpieczniejsza? Bardziej pewna, że cię nie zgwałcą? - Wziął głęboki oddech, pochylił głowę i potrząsając nią, wypuścił powietrze z płuc, wraz z całym gniewem. - Myślałem, że się ucieszysz z możliwości kąpieli. To wszystko.

Skarcona, sięgnęła po torebkę i wyciągnęła z niej małą plastikową buteleczkę z płynem do mycia rąk. Pokazała ją Tierneyowi w geście przeprosin.

- „Południowa Magnolia”. Podzielę się z tobą.

- Przyjmuję propozycję. „Południowa Magnolia” to znacznie lepiej od tego, jak pachnę teraz. - Wszedł do sypialni. - Nie spiesz się. - Zamknął za sobą drzwi.

Lilly zdjęła ubranie i szybko się umyła. Na jej wilgotnym ciele pojawiła się gęsia skórka, chociaż stała tuż przy kominie. Szczękała zębami, niemniej dobrze wykorzystała myjkę, letnią wodę i mydło. Osuszyła się szybko, ubrała i otworzyła drzwi do sypialni.

- Gotowa i cudownie odświeżona.

Tierney siedział na łóżku, opatulony kocem, ale mimo to trząsał się z zimna. Wyszedł z sypialni i zamknął za sobą drzwi.

- W sypialni jest za zimno dla ciebie. Oddychanie chłodnym powietrzem może wywołać kolejny atak.

- Wzięłam lekarstwo.

- Nie będziesz tam siedziała - powtórzył z uporem. - Wy-

starczy, że raz widziałem cię o krok od śmierci. Dziękuję bardzo.

- Nie chciałabym, żeby ominęła cię kapiel.
- Nie ominie. Nie jestem wstydlivy.

Wyniósł brudną wodę i ponownie napełnił wiadro śniegiem. Kiedy czekał, aż się roztopi i nieco podgrzeje, Lilly przeszukała kuchnię.

- Mamy garnki. Myślisz, że uda się nam podgrzać zupę na żarze?

- Jasne.

Zerknęła przez ramię. Zdejmował właśnie sweter przez głowę, w typowy dla mężczyzn sposób, tarłosząc przy tym włosy z tyłu głowy. Dopiero potem ściągnął sweter z ramion. Nie chcąc myśleć o nim z tą tolerancyjną czułością, z jaką kobiety traktują osobliwości wyglądu płci przeciwnej, podeszła do okna w dużym pokoju i odsunęła zasłonę.

- Może mi się tylko wydaje, ale mam wrażenie, że przestaje już tak śnieżyć.

- Pewnie meteorolodzy mieli rację.
- Zapewne.

Usłyszała szcęknięcie sprzączki paska uderzającego o kamienne palenisko, kiedy Tierney ściągnął spodnie, a potem ciche szuranie materiału o skórę, pluśnięcie wody, gdy zanurzył myjkę w wiaderku. Przyłożyła palec do szyby i narysowała pionową kreskę na warstwie szronu.

- Nie wierzę, żeby moje wiadomości dotarły do Dutcha - powiedziała.

Wyczuła, że przerwał mycie i wpatrzył się w jej plecy. Po kilku pełnych napięcia chwilach usłyszała ponownie pluskanie wody.

- Oznacza to, że Dutch nie dowiedział się ode mnie, że jesteś Chabrem. Skoro więc to nie on przekazał tę informację FBI, to znaczy, że federalni poszukują cię na własną rękę. Dlaczego, Tierney?

- Będziesz mogła ich o to zapytać, kiedy się tu pojawią.
- Wolałabym, żebyś ty mi powiedział.

Nie odzywał się tak długo, że uznała, iż zamierzają zignorować. W końcu jednak przemówił:

- Ta dziewczyna, Millicent Gunn. Znam ją ze sklepu sportowo-podróżniczego, w którym pracowała. Kupowałem tam skarpetki niedługo przed jej zniknięciem. Może nawet tego samego dnia. Jestem pewien, że agenci federalni sprawdzają wszystkich, którzy mieli z nią jakikolwiek kontakt.

- Czy to właśnie powiedzieli w radiu? Że sprawdzają wszystkich, którzy mieli z nią styczność? A może wymienili tylko twoje nazwisko?

- Mogę być jedyną osobą, do której jeszcze nie zdołali dotrzeć.

Było to logiczne wytłumaczenie, ale jeżeli tak, to dlaczego tak się zdenerwował? Poza tym, nie sądziła, by FBI zgodziło się na publiczne wymienianie jego nazwiska, jeśli był poszukiwany wyłącznie w celu złożenia wyjaśnień.

- Na twoim miejscu, gdybym nie zdołał wyciąć mojego imienia na szafce, napisałbym je na szybie.

Nagle Lilly zdała sobie sprawę, że zrobiła dokładnie to, co zasugerował Tierney. Niczym uczennica podstawówki, bezwiednie wypisująca imię swojego ukochanego na okładce książki. Zażenowana i zła na siebie, starła jego imię z szyby... i wtedy spostrzegła odbicie Tierneya, nagiego, z lśniąco od wilgoci skórą oświetloną ogniem z kominka.

Rozchyliła usta, gwałtownie wciągając powietrze. Uśpione wewnątrz niej pożądanie przebudziło się gwałtownie i rozlało po całym ciele. Nieświadomy, że go obserwuje, pochylił się, zamoczył myjkę w wiaderku, wyjął ją i otarł nią pierś, a potem delikatnie przesunął po posiniaczonych żebrach i w dół, po płaskim brzuchu ku ciemnej kępie włosów między udami. Lilly zamknęła oczy i przycisnęła czoło do szyby. Czuła pulsowanie gorącej, gęstej krwi. Szum w uszach był tak głośny, że ledwie usłyszała, kiedy powiedział:

- Mogłaś to zrobić. Tłuszcz z naszej skóry pozostawia ślady na szybie, które znikają dopiero po umyciu detergentem.

O czym on mówił? Już nie pamiętała. Podniosła głowę

i żeby uniknąć ponownego spojrzenia na jego odbicie, opuściła zasłonę, zanim otworzyła oczy.

- Prawie skończyłem. - Usłyszała brzęczenie klamry paska, kiedy go zapinał. - Możesz się teraz odwrócić - powiedział chwilę później.

Lilly nie spojrzała na niego, ale kątem oka dostrzegła, że wciąga sweter przez głowę. Powędrowała do kuchni.

- Przygotuję zupę. - Jakimś cudem zdołała to powiedzieć normalnym tonem.

- Świetnie. Umieram z głodu.

Wyszedł na zewnątrz, żeby opróżnić wiaderko. Kiedy wrócił i dołączył do niej w kuchni, zdążyła już wlać puszkę skondensowanej zupy do garnka i dolać do niej nieco wody.

- Dziękuję za „Południową Magnolię” - mruknął.

- Nie ma za co.

- Proszę o to niechętnie, ale czy mogłabyś jeszcze raz obejrzeć moją ranę na głowie?

Miała go dotknąć? Teraz?

- Oczywiście.

Jak poprzednim razem, usiadł okrakiem na jednym z krzesel barowych, a ona stanęła za nim i odgarnęła włosy z tyłu głowy. Mokre? Jakim cudem? Musiał zanurzyć głowę w wodzie, ale Lilly z przerażeniem i wstydem uświadomiła sobie, że bynajmniej nie patrzyła na jego twarz.

- Rana nie krwawi. Niemniej powinnam zmienić opatrunek.

Oczyściła rozcięcie jednym z antyseptycznych gazików, następnie przeszli przez ten sam żmudny proces przycinania plastrów w wąskie paski nożyczkami do paznokci i przyklejania ich na skos wzdłuż rany. Lilly usiłowała robić to wszystko, nie myśląc o Tierneyu, ale była nader niezgrabna. Kilka razy krzywił się nią siemniocierpień i musiała go przeproszać.

Potem podgrzali zupę na kominku i usiedli ze skrzyżowanymi nogami na materacu. Gdy zjedli, poczuli, jak bardzo byli głodni, przyrzadzili więc jeszcze jedną porcję.

- Lilly, dobrze się czujesz? - spytał nagle Tierney, gdy opróżnili garnek do połowy.

- Dlaczego pytasz? - Ze zdziwieniem podniosła głowę.
- Zrobiłaś się bardzo milcząca.
- Jestem po prostu zmęczona - skłamała i czym prędzej wróciła do jedzenia.

Przedłużali posiłek, jak tylko mogli, ale po jego skończeniu wciąż zostało im wiele godzin, które musieli jakoś wypełnić. Po kilku chwilach milczenia, przerywanych jedynie sporadycznym strzelaniem płonących polan, Tierney powiedział:

- Jeżeli chcesz, możesz się w każdej chwili położyć.
- Nie jestem śpiąca.
- Powiedziałaś, że jesteś zmęczona.
- Zmęczona, ale nie śpiąca.
- Ja też. Jestem znużony, ale rozbudzony.
- Ta długa drzemka...
- Mhmmm.

Znów zapadło milczenie. W końcu Lilly spojrzała na niego.

- Dlaczego wychowywali cię dziadkowie?
- Moi rodzice zginęli w wypadku samochodowym. Kierowca ciężarówkijechał zbyt szybko, nie przejął się znakami ostrzegającymi o przebudowie drogi, dlatego nie mógł zwolnić na czas i dosłownie przejechał po samochodzie rodziców, miażdżąc go na naleśnik. Ratownicy potrzebowali wiele godzin, by wydostać ich ciała z wraku. - Jego rzeczowy, na pozór obojętny ton nie zdołał jej oszukać. Wyczuwała w nim głęboko skrywany ból. - Kiedy to się zdarzyło, nie opowiedziano mi wszystkiego ze szczegółami - ciągnął. - Kilka lat później, gdy byłem już wystarczająco duży, żeby o to zapytać, dziadek dał mi do przeczytania artykuł opisujący całe zdarzenie. Moi dziadkowie stracili córkę, ja zostałem sierotą, a kierowca ciężarówki wyszedł z wypadku bez szwanku.

- Ile miałeś lat?

- Kiedy to się zdarzyło? Osiem. Rodzice wyjechali na długi weekend, żeby uczcić dziesiątą rocznicę ślubu. Mnie zostawili z dziadkami. - Sięgnął po pogrzebacz i rozrzucił węgle. - Po pogrzebie, kiedy zrozumiałem że to nie jest zły sen, że mama i tata naprawdę nie żyją, nie chciałem wracać do domu.

Dziadkowie zabrali mnie tam, żeby spakować moje rzeczy, ale na dziedzińcu dostałem szału i nie dałem się wciągnąć do środka. Nie mogłem wejść do domu, wiedząc, że mamy i taty tam nie ma i nigdy już nie będzie.

- Kochałeś ich - powiedziała cicho.

Wzruszył ramionami.

- Byłem dzieckiem. Brałem wszystko, co robili za pewnik, ale... tak, kochałem ich. Moi dziadkowie też byli w porządku. Nigdy nie dali mi do zrozumienia, że jestem dla nich ciężarem, chociaż po trosze tak właśnie musiało być. Tak naprawdę nigdy nie wątpiłem, że mnie kochali.

- Czy kiedykolwiek wróciłeś do domu?

- Nie.

Lilly oparła brodę o podkulone nogi i wpatrzyła się w profil Tierneya.

- Teraz też nieczęsto wracasz. Twoja praca wymaga długich wyjazdów.

Skrzywił się w uśmiechu.

- Założę się, że psychologowie mieliby ze mną używanie.

- Wybrałeś taki zawód podświadomie czy celowo?

- Moja żona twierdziła, że celowo.

- Żona?

- To przeszłość. Byliśmy małżeństwem przez całe trzynaście miesięcy.

- Kiedy to było?

- Dawno temu. Byłem wystarczająco dorosły, żeby głosować, ale na pewno niewystarczająco odpowiedzialny, by się żenić. Nie powinienem tego robić. Byłem egoistyczny i zaabsorbowany sobą, niegotowy, żeby się ustatkować, nie wspominając już o prowadzeniu z kimś wspólnego życia. Jej głównym zarzutem była moja żądza podróży. Głównym, ale nie jedynym. Na wszystkie zasłużyłem - dodał z ponurym uśmiechem.

Utrata rodziców we wczesnym dzieciństwie wycisnęła piętno na całym jego dorosłym życiu. Wpływała na decyzje, zniszczyła małżeństwo. Jakże jeszcze bliźny ów tragiczny wypadek pozostawił w ośmioletnim Benie? Czy zmienił i zdepra-

wował jego duszę? Nie wpadał już w ataki szału, ale jego gniew mógł szukać ujścia w inny sposób.

Czy Tierney jest Chabrem?

Wstażka, kajdanki, kłamstwa i uniki były zbyt istotne, żeby o nich zapomnieć. Jeżeli w radiu ogłosili, że poszukuje go policja w Cleary, powinna przyjąć, iż jedna z jej wiadomości telefonicznych dotarła do Dutcha. Ale FBI? W jego wyjaśnieniu, dlaczego mieliby go poszukiwać, brakowało ścisłości.

Mimo to, spoglądając na niego, pytała samą siebie, czy ten mężczyzna mógł być rzeczywiście porywaczem kobiet i prawdopodobnie również ich mordercą. Na pewno potrafiłaby dostrzec w nim psychopatę. W jego oczach często widziała napięcie, gniew lub irytację. Nigdy jednak nie dostrzegała w nich fanatycznego szaleństwa typowego dla seryjnych morderców. Najbardziej przekonywało ją jednak to, że jej nie skrzywdził. Wręcz przeciwnie - zaryzykował życie, by ją ocalić. To jego głos, schrypnięty z emocji i strachu, przywołał ją z nicości. A potem przez całe godziny, nie zważając na niewygodę, trzymał ją w ramionach, dotykał z taką czułością i...

Jej myśli skryształizowały się w nagłym zrozumieniu. W jego dotyku czuła namiętność, która, jak sądziła do tej pory, była jedynie częścią cudownego snu, jaki przeżywała.

Jakby odgadując jej myśli, odwrócił głowę i spojrzał jej prosto w oczy.

- Czas do łóżka.

24

Córka Betsy Calhoun niewiele miała do zaoferowania Wi-se'owi i Begleyowi poza gorącą herbatą i ciasteczkami owsianymi domowej roboty. Wyjaśniła, że jej mąż wyjechał po różne artykuły, które sprzedawał w swoim sklepie z artykułami biurowymi na Main Street. Rozpłakała się, opowiadając o ostatnim spotkaniu z matką.

- Wstąpiłam do niej, żeby sprawdzić, jak się czuje. Była trzecia po południu, a ona nadal chodziła w koszuli nocnej.

Tak jak domyślał się Begley, Betsy Calhoun cierpiała na depresję po stracie męża.

- Prawie przestała wychodzić z domu - ciągnęła jej córka. Bezmyślnie głaskała żółtego kota, który przeniósł się z parapetu na jej kolana zaraz po przybyciu agentów. - Zachęcałam ją do zaangażowania się w prace społeczne i kościoła, w pracę charytatywną, w cokolwiek. Bez taty nie potrafiła znaleźć do niczego motywacji.

- Jeżeli się nie mylę, jej samochód znaleziono na parkingu przed bankiem - rzekł Sowa.

- To dla mnie wielka zagadka. Nie była tam od miesięcy. Po śmierci ojca ja zajmowałam się jej sprawami finansowymi. Nie mam pojęcia, dlaczego jej samochód tam był. Może wzięła sobie do serca moją radę i postanowiła wychodzić częściej z domu. - Otarła oczy ręcznie wyszywaną chusteczką. - Kiedy znaleźli jej wóz z tą okropną wstążką przywiązaną do kierownicy, wiedziałam, że stało się coś strasznego.

- Czy istniała szansa, że pani matka spotkała kogoś na parkingu?

- Na przykład kogo?

- Właśnie panią o to pytamy - powiedział Begley z niezwykłą dla niego cierpliwością. - Mamy nadzieję, że dowiemy się, kto to mógł być.

- Zastanawiałam się nad tym aż za wiele, uwierzcie mi. Nie potrafię wymienić nikogo. Moja matka nie jest osobą towarzyską.

Rzeczywiście, krąg znajomych Betsy Calhoun ograniczał się do kilku kobiet z kółka niedzielnego.

- Z całym szacunkiem, ale czy jest możliwe, aby zaczęła się w tajemnicy widywać z jakimś dżentelmenem? - spytał niepewnie Sowa.

Kobieta potrząsnęła zdecydowanie głową.

- Nie moja mama. Spotkała już miłość swojego życia. Właściwie to jest dość nieśmiała w stosunku do mężczyzn.

Nie sędę, żeby kiedykolwiek była na randce z kimkolwiek poza moim ojcem. Jedyne jej wyjścia to piątkowe poranne wizyty w salonie fryzjerskim, niedzielne msze i od czasu do czasu wypad na zakupy.

Według córki, Betsy Calhoun nie miała żadnego powodu, by złożyć wizytę w sklepie z artykułami sportowymi.

- Po co, na Boga?

Zapytali ją o Bena Tierneya.

- Kto to taki?

Sowa opisał go pokrótce, ale córka pani Calhoun potrząsnęła głową i powiedziała, że może z całą pewnością zaświadczyć, iż matka nie znała takiego osobnika.

- Chcę tylko, żeby się znalazła i wróciła do domu - powiedziała, wydmuchując nos w chusteczkę. - Jeżeli zaś Bóg nie wysłucha mojej modlitwy, chciałabym przynajmniej wiedzieć, co się z nią stało. - Spojrzała na nich zażwawionymi oczami. - Czy panowie myślą, że moja mama kiedykolwiek się odnajdzie?

- Zamierzamy zrobić wszystko, co w naszej mocy, żeby tak się stało - obiecał Begley, ściskając jej rękę.

Kilka minut później, kiedy odjeżdżali sprzed małego domku, zauważył:

- Miła kobieta.

- Tak, sir. - Sowa trząsał się z zimna, czekając, aż wnętrze sedana wypełni się gorącym powietrzem. Nie pamiętał już, jak to jest mieć suche i ciepłe stopy. - Do Whistler Falls, sir?

- Z braku lepszego miejsca.

Normalnie, perspektywa spędzenia nocy w jednym z domków wynajmowanych przez Gusa Elmera, bez możliwości skorzystania z usług komunalnych, byłaby odrażająca i ponura, jednak Sowa był tak zmęczony, że nie mógł się doczekać.

- Sądzi pan, że właściciel przygotowuje nam jakiś ciepły posiłek?

Begley nie dosłyszał pytania o jedzenie.

- No dobrze - powiedział, pogrążony w myślach. - Na logikę Tierney jest najbardziej prawdopodobnym podejrzanym.

- Po co inaczej gromadziłyby tyle danych o zaginionych kobietach?

- Właśnie, Sowa. To zdecydowanie przydało wiarygodności twoim podejrzeniom co do niego. Wnioskujemy również, jak sądzę słusznie, że jego motywacją jest zbawianie kobiet, tak?

- Tak jest, sir. - Właściwie to Begley doszedł do takiego wniosku, ale Sowa zgodził się z przełożonym i jak dotychczas żaden z nich nie odkrył niczego, co mogłoby obalić tę teorię.

- Na tym właśnie polega mój problem - ciągnął Begley. - Jakim sposobem nieśmiała wdowa, która odwiedzała wyłącznie salon fryzjerski i szkółkę niedzielną, miałyby spotkać Tierneya? Bo na pewno nie była kajakarka.

- Nie, sir.

- Pani Calhoun ma niewielu znajomych, a jej córka nigdy nie słyszała o Tierneyu. Jak więc zdołał poznać Betsy Calhoun na tyle dobrze, żeby wybrać ją na swoją kolejną ofiarę? Jakim sposobem skrzyżowały się ścieżki dwojga tak różnych ludzi?

- Sądzę, że to samo dotyczy pozostałych ofiar, z wyjątkiem Torrie Lambert, na którą natknął się przypadkiem, oraz Millicent Gunn.

- Może jeszcze Carolyn Maddox - dodał Begley. - Trochę naciągane, ale da się wyjaśnić. Może poznał Laureen Elliott w klinice, w której pracowała. Może przyszedł tam z grypą. Ale nieśmiała wdowa i awanturnik? - Begley potrząsnął głową. - Nie pasuje mi to.

Sowie też się nie zgadzało. Rozmyślał nad tym przez kilka minut.

- Przypuśćmy, że Tierney zobaczył nekrolog jej męża w lokalnej gazecie. Pamięta pan transponder, który zamówił z katalogu? Może inwigilował panią Calhoun i zrozumiał, jak samotną i przygnębiającą jest kobietą.

Ale nawet dla niego brzmiało to dość naciąganie. Begley nie marnował czasu, żeby szukać dziur w wyjaśnieniu Sowy.

- Prowadzi zbyt aktywne życie, żeby kogoś inwigilować -

orzekł. - Poza tym, to zajęcie czasochłonne, a on nie przebywa tu na stałe. Przypuszczam, że mógł na nią wpaść na parkingu pod bankiem. Może zepsuł jej się samochód i Tierney zaoferował pomoc, albo coś w tym rodzaju. Od razu dostrzegł jej samotność i przygnębienie. Potrzebę. Była kolejną przypadkową ofiarą, tak jak córka Lambertów.

Wytłumaczenie brzmiało logicznie, ale w głosie Begleya nie było przekonania. Wpatrzył się przed siebie, stukając palcami lewej dłoni o konsolę pomiędzy siedzeniami.

- Czy ma pan wątpliwości co do Tierneya, sir? - zapytał Wise.

- Nie wiem, Sowa - burknął Begley.

- Jeżeli to nie on jest Chabrem, jak pan wytłumaczy wszystkie te materiały dotyczące zaginięć w jego pokoju?

- To pierwsza rzecz, o którą zamierzam go zapytać.

Begley mlasnął ustami z irytacją i wymamrotał pod nosem coś o cholernej sprawie i o tym, że dlaczego, do cholery, nie może jej rozpracować. Sowa nie zrozumiał wszystkich słów, ale miał ogólne pojęcie, o czym mówił jego szef.

- Czy Perkins się odzywał?

- Nie, sir, ale proszę mi zaufać, na pewno pracuje nad sprawą. Skontaktuje się z nami natychmiast, jeśli odkryje coś interesującego.

Begley spojrział w niebo.

- Mam cholerną nadzieję, że wyślą nam tu jutro helikopter. Nie wiem, jak długo uda mi się utrzymać naszego zazdrosnego szeryfa na miejscu. - Parsknął pogardliwie na myśl o Dutchu Burtonie. - Tak czy owak, dopóki droga jest zablokowana, nie będzie się mógł dostać wyżej niż my.

- A Tierney nie będzie mógł się wydostać.

- Racja, Sowa. Wszystko dobrze się dla nas składa i to jedyna pozytywna rzecz, którą mogę powiedzieć o tym cholernym bałaganie.

Wes wszedł do szkolnej siłowni przed Scottem. Musiał polegać wyłącznie na świetle dochodzącym zza okien. Półmrok

był przytłaczający. Nie było tu żadnych powierzchni, które łagodziły ziać.

- Zacznieś ćwiczyć, to się rozgrzejesz. - Jego głos odbił się głośnie echem od ścian.

Scott w milczeniu zrzucił kurtkę, rozpiął suwak bluzy od dresu i zdjął z siebie. Pod spodem miał koszulkę bez rękawów.

Wes przez chwilę przyglądał się synowi, podziwiając jego wygląd urodzonego sportowca. Scott był wąski w talii, długonogi. Tłuszcz stanowił może dziesięć procent wagi jego ciała, każdy mięsień był dobrze rozwinięty i pięknie wyrzeźbiony, imponująco rysował się pod skórą. Wes zazdrościł synowi tej niemal idealnej budowy. On sam nie był aż takim szczęściarzem. Po matce odziedziczył nieco za krótkie nogi, a po ojcu - skłonności do zapaleń kostno-stawowych. Większość jego krewnych ze strony taty, jeszcze zanim osiągnęła pięćdziesiątkę, chodziła połamana i pokrzywiona.

Scott natomiast odziedziczył najlepsze geny Wesa i Dory. Był silny i wytrzymały po ojcu, po matce zgrabny i sprawny. Przyglądając mu się, gdy podchodził do ławeczki, Wes pomyślał, że gdyby to jego Bóg pobłogosławił takim ciałem i naturalnym talentem, mógłby zostać profesjonalistą, dostać się na sam szczyt. Scott też miał szansę - gdyby tylko chciał. I na tym polegał problem. Pragnienie, motywacja, żądza współzawodnictwa nie pojawiały się automatycznie wraz z odpowiednimi cechami fizycznymi. Scott nie miał w sobie zacięcia, które było niezbędne, by zostać nie tylko dobrym sportowcem, ale czempionem. Ale Wes zamierzał dopilnować, by syn wspiął się na sam szczyt. Rozpali w nim ogień, choćby to miała być ostatnia rzecz w jego życiu.

Teraz Scott nie wyglądał na zmotywowanego. Rozgrzewał się bez ikry, używając ręcznych ciężarków.

- Żaden z nich nie waży tyle, ile ciężar na twoich barkach - zauważył Wes. Scott zerknął na jego odbicie w lustrze, ale nic nie powiedział. - Co się z tobą dziś dzieje?

Scott nadal rozgrzewał mięśnie dwugłowe ramion.

- Nic.

- Jesteś zły, że zamiast pozwolić ci na zabawę u Gary'ego, kazałem ci ćwiczyć?

- Gary to dupek.

- Więc o co chodzi?

Scott oparł ciężarki na ramionach i zaczął robić przysiady.

- O nic. Wszystko w porządku.

- To dlaczego jesteś taki naburmuszony?

- Jejku, tato, nie mam pojęcia. - Scott odłożył ciężarki na półkę, cały czas patrząc na odbicie Wesa w lustrze. - Myślisz, że to może kolejna zmiana nastroju, ponieważ pompujesz we mnie sterydy?

Wes chwycił chłopaka za ramię, odwrócił do siebie i brutalnie pchnął na ścianę z lustrem. Wymierzył palec w twarz Scotta.

- Spróbuj jeszcze raz odezwać się do mnie w ten sposób, a skroję ci tyłek!

- Mało mnie to obchodzi - roześmiał się Scott.

- Zanim z tobą skończę, zacznie cię obchodzić, damę słowo. Uwierz mi. - Wes spojrział na niego gniewnie i rozłożył ramiona. - Nie rozumiem cię, Scott. Nie pojmuję twojej niewdzięczności. Myślisz, że nie marzę o niczym innym, tylko o poświęceniu wieczoru na twój trening? Robię to wszystko dla ciebie.

- Kogo próbujesz oszukać? - krzyknął Scott. - Robisz to dla siebie!

Wes wiedział, że Scott odziedziczył po Dorze nie tylko piękną budowę ciała, ale również jej tendencję do oślego uporu. Miał ochotę przylać synowi za pyskowanie, ale powstrzymał gniew i powiedział w miarę spokojnym tonem:

- Mylisz się, synu. W porządku, jasne - powstrzymał ripostę Scotta. - Przyznaję, jestem dumny, że jesteś najsilniejszy, najszybszy, najlepszy, ale...

- Nic cię nie obchodzi.

Wes był naprawdę wstrząśnięty.

- Jak możesz tak mówić po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem?

- Dzisiaj nie zrobiłeś dla mnie nic, prawda? Kiedy ci agenci FBI spytali, dlaczego zerwałem z Millicent, to ja znalazłem się w trudnym położeniu, a nie ty. Dukałem jakieś głupawe wyjaśnienia, a ty siedziałeś sobie i przysłuchiwałeś się, bez słowa.

- Wolałbyś, żebym powiedział prawdę? - spytał cicho Wes. Dostrzegł w oczach syna iskierkę niepewności i wykrył okazję. - Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Uważasz, że dobrze by było wyjawić całą historię przed agentami federalnymi? Przed twoją matką? Nie wstydzisz się choć trochę, że twoja dziewczyna wolała mnie niż ciebie?

- Nieprawda!

Wes zachichotał.

- Mówiła co innego. Byłeś przy tym. Widziałeś. Czy wyglądała na kogoś, kto niezbyt dobrze się bawi i ma ochotę wyjść?

Zobaczył, jak Scott zaciska pięści. Jego twarz była zaczerwieniona, ale nie z wysiłku, który włożył w rozgrzewkę, tylko z wściekłości. Oddychał szybko i płytko, jakby za chwilę miał wybuchnąć.

Wes bardzo tego chciał. Nie byłoby nic lepszego dla Scotta, niż zaangażować się w walkę, którą z całych sił chciałby wygrać. Dobrze by mu zrobiło, gdyby popuścić nieco pary. Chciał zobaczyć, że syn zachowuje się jak mężczyzna, a nie mała myszka, na którą wychowywała syna Dora. Ku jego ogromnemu rozczarowaniu, niemal odrazie, zobaczył, jak oczy chłopaka wypełniają się łzami.

- Zrobiłeś to specjalnie, żebym was razem zobaczył - zawołał oskarżycielsko chłopak.

Wes nie zaprzeczył.

- Po prostu pokazałem ci, że dziewczyna, dla której straciłeś głowę, jest dziwką.

- To nieprawda. Ty... ty...

- Rzuciłem kilka sugestywnych uwag, a ona uznała je za zachętę. To nie była niewinna dziewczyna, Scott. Nie zmuszałem jej. Mój Boże, nie musiałem się nawet starać. Wiedziała do-

brze, w co się pakuje, kiedy tamtego wieczoru przyszła do mojego biura. Dobranie się do niej nie zajęło mi nawet pół minuty. Nie miała na sobie bielizny i zrobiła wszystko, żebym o tym wiedział. Jeżeli przez chwilę przestałbyś się na mnie wściekać i pomyślał logicznie, zrozumiałbyś, jak to o niej świadczy. Już wcześniej planowała uwieść nas obu, mieć i jednego, i drugiego.

- Jesteś obrzydliwy.

- Ja? Ja jestem obrzydliwy? Dlaczego to ja jestem ten zły? To ona zrobiła to dla kaprysu, dla zabawy. Ja zrobiłem to dla ciebie.

- To... gówno prawda! - wybuchnął Scott. - Zrobiłeś to, żeby udowodnić mi, że możesz to zrobić.

Wes usiłował położyć dłoń na ramieniu syna, a kiedy ten ją odtrącił, powiedział gniewnie:

- Posłuchaj. Czy gdybym przyszedł do ciebie na przyjacielską rozmowę między ojcem a synem, taką od serca, i powiedziałbym ci, że twoja dziewczyna to dziwka, uwierzyłybyś mi? No co? Uwierzyłybyś? Nie! Musiałeś zobaczyć to na własne oczy. Wiedziałem, że jeśli przyłapiesz nas razem, skończysz tę znajomość.

- Osiągnąłeś swój cel - uśmiechnął się ironicznie Scott.

- I bardzo dobrze, do diabła! Lepiej ci bez niej i to z wielu powodów. Zrobiłem ci tylko przysługę.

- Przeleciałeś moją dziewczynę, żeby zrobić mi przysługę?

Wes westchnął ciężko.

- Jak mamy rozmawiać, skoro przekręcasz każde moje słowo?

- Ile razy?

- Co?

- Nie rznij głupa! Słyszałeś, o co pytałem. Ile razy zrobiłeś to z Millicent? Tylko raz, na twoim biurku? A może po prostu przyłapałem was na jednym z szybkich numerków i teraz próbujesz dorobić do tego teorię o robieniu mi przysługi?

- Scott!

- Ile razy?!!!

- Kilka. Zadowolony?! - wrzasnął Wes. - Nie liczyłem. Zresztą, to nie ma znaczenia. Nie chcesz...

Scott włożył bluzę od dresu, kurtkę i ruszył do wyjścia.

- Wracaj natychmiast, Scott - rozkazał Wes. - Jeszcze nie skończyliśmy.

- Owszem, skończyliśmy.

- Gdzie idziesz?

Scott nie odpowiedział. Po prostu szedł dalej.

- Jeżeli próbujesz się w ten sposób odegrać...

Scott zatrzymał się i odwrócił. Spoglądając Wesowi prosto w oczy, uśmiechnął się drwiąco.

- Już się odegrałem. Na was obojgu.

25

Kiedy Tierney powiedział, że czas do łóżka, mówił dosłownie. Zostawił Lilly przed kominkiem, a sam wstał, zebrał wszystkie koce i ułożył je na materacu.

- Nie zamierzam spać na kanapie - powiedział stanowczo, kiedy dostrzegł, że Lilly przygląda mu się zdziwiona. - Jest za krótka, a ja jestem poobijany i poraniony. Potrzebuję wypoczynku w trochę lepszych warunkach. Możesz wziąć dodatkowy koc i owinać się nim, żeby wyeliminować możliwość nawet przypadkowego zetknięcia się ze mną.

- W porządku.

Lilly wstała i poszła do łazienki. Nie musiał jej przypominać, żeby nie przebywała tam zbyt długo. W pomieszczeniu było przeraźliwie zimno.

Kiedy wróciła, dorzucił właśnie do ognia.

- Połóż się od tej strony, bliżej paleniska.

Przesunęła się we wskazanym kierunku, ale położyła się, dopiero gdy Tierney zniknął za drzwiami sypialni. Tak jak zasugerował, owinęła się dodatkowym kocem.

Wrócił po kilku minutach. Widziała, że spojrzął z wahaniem na mokre nogawki swoich dżinsów.

- Chcesz zdjąć spodnie? - spytała.

- Tak, ale nie zrobię tego. - Położył się obok i przykrył ich oboje kocami. Jęknął, wyciągając się na materacu.

- Boli cię?

- Tylko podczas oddychania. A ty? Wygodnie?

- Tak.

- Nie kaszlałaś już od ponad godziny.

- Czuję się znacznie lepiej.

- Na to wygląda. Oddech nie jest już tak świszczący.

- Czasami pogarsza mi się nocą. Mam nadzieję, że cię nie obudzę.

- Ja z kolei mam nadzieję, że nie będę chrapał zbyt głośno. Jeżeli ogień zacznie przygasać, obudź mnie. Wstanę i dorzucę drewna.

- Dobrze.

Leżeli na plecach, nie dotykając się, wpatrzeni w sufit, na którym tańczyły cienie rzucane przez płomień. Zazwyczaj gra światła i cienia hipnotyzuje i pomaga zasnąć. Tym razem jednak Lilly leżała sztywna, spięta i daleka od zaśnięcia.

- Myślisz, że przyjdą po nas jutro? - Nie była pewna, kogo ma na myśli, mówiąc „oni”. Dutcha i miejscową grupę ratowników czy też agentów FBI. A może wszystkich?

- Pewnie ktoś będzie się próbował tutaj dostać - odparł. - Oczywiście jeśli prognozy były prawdziwe i śnieżycy ustanie.

- I jeśli Dutch dostał moją pierwszą wiadomość. Równie dobrze może myśleć, że siedzę bezpiecznie w domu w Atlancie.

- Możliwe.

- Jeżeli nie otrzymał mojej wiadomości, nie wie nawet, że jesteś tutaj ze mną.

- Nie.

Jednak intuicyjnie Lilly czuła, że Dutch wie, a napięcie w głosie Tierneya świadczyło, że on również tak uważa.

- Jeżeli się przejaśni, odzyskamy zasięg w komórkach.

- A wtedy do kogo zadzwonisz, Lilly? Do Dutcha czy do FBI?

- Nie zastanawiałam się nad tym.

- Pewnie do Dutcha.

Milczeli przez chwilę, wsłuchując się w trzask płonących polan. Potem Lilly odwróciła się na bok, twarzą do kominka.

- Dobranoc, Tierney - powiedziała, wkładając dłonie pod policzek.

- Dobranoc.

Lilly nie musiała budzić Tierneya, żeby napalił w kominku. Nie zasnął bowiem, podobnie jak ona. Było kilka przyczyn składających się na bezsenność: długa popołudniowa drzemka, migotanie płomieni w kominku, niewygodnie poskręcane ubranie, ciężar koców i wspomnienia okropnych chwil podczas przebytego ataku astmy. Jednak głównym powodem jej rozbudzenia był Tierney, leżący tuż obok, na wyciągnięcie ręki. Po życzeniach dobrej nocy, nie wydał z siebie najmniejszego dźwięku, nie poruszył się, ale Lilly wiedziała, że nie śpi i jest tak samo świadomy jej bliskości, jak ona jego.

Kiedy położył się na boku, twarzą do kominka, Lilly aż do bólu wyczekiwała na jego dotyk, który nie nastąpił. Choć żadne z nich nie poruszyło się o milimetr, napięcie między nimi wzrastało z każdą kolejną sekundą.

Po dobrej godzinie Tierney wreszcie się odezwał. Nie spytał szeptem, czy Lilly śpi, bo choć leżała zwrócona do niego plecami, wiedział doskonale, że tak nie jest. Jego łagodny, niski głos zaskoczył ją, jednak to, co powiedział, wstrząsnęło nią do głębi.

- Bił cię, prawda? Dutch cię bił.

Przełknęła głośno ślinę, ale się nie poruszyła.

- Kto ci o tym powiedział?

- Nikt. Po prostu obserwowałem go wystarczająco długo, żeby się domyślić. Dla niektórych gliniarzy przemoc staje się czymś normalnym. Naturalnym rozwiązaniem wszystkich kłopotów. Zwłaszcza dla mężczyzny, który jest poraniony emocjonalnie i za dużo pije.

Lilly milczała.

- Poza tym - dodał ciszej - nie sędzę, żebyś zrezygnowała z tego małżeństwa z jakiegokolwiek innego powodu.

Nigdy o tym nie wspominała kolegom z pracy ani przyjaciołom, którzy widzieli, przez jakie emocjonalne piekło przechodziła, i zachęcali ją do zwierzeń. Nie opowiedziała o tym nawet psychologowi, którego wtajemniczyła w każdy aspekt swojego życia. Pomyślała jednak, że zwierzenie się Tierneyowi będzie na miejscu, ponieważ był jedyną na tyle wrażliwą i spostrzegawczą osobą, żeby domyślić się prawdy.

- Zrobił to tylko raz - powiedziała cicho. - Wcześniej kilkakrotnie zamierzał się, jakby chciał mnie uderzyć. Ostrzegłam go, że jeśli kiedykolwiek to zrobi, nasze małżeństwo będzie skończone. Tak powiedziałam. Nie, przysięgam, że tak będzie. - Zamknęła na chwilę oczy i wzięła głęboki oddech. Nawet teraz było jej ciężko wracać myślami do tej okropnej nocy. - Może mnie nie słuchał, albo nie wierzył, a może był zbyt pijany, żeby pamiętać moje ostrzeżenie. Wrócił do domu bardzo późno, w wojowniczym nastroju. Zaczął się bronić, chociaż jeszcze nie zdążyłam go o nic oskarżyć. Szukał zaczepki. Ponieważ miałam tego dnia długą naradę w sprawach finansowych, byłam wyczerpana. Chciałam uniknąć kolejnej małżeńskiej sprzeczki, ale nie dał mi szans. Chciał konfrontacji i nie zamierzał zrezygnować, dopóki do niej nie doprowadzi. Dosłownie przyparł mnie do ściany w sypialni. Nie mogłam się uwolnić, uciec. Oskarżył mnie o spowodowanie śmierci Amy. Powiedział, że to moja wina, iż straciliśmy naszą córkę. Jej nowotwór był karą za to, że wróciłam do pracy zaraz po urlopie macierzyńskim, zamiast zostać w domu z małą.

- To szaleństwo.

Roześmiała się smutno.

- Dokładnie to samo powiedziałam. Dutch nie przyjął tego najlepiej. Uderzył mnie w twarz pięścią tak mocno, że wpadłam na ścianę, uderzyłam o nią głową i niemal straciłam przytomność. Upadłam na podłogę i schowałam głowę w ramionach. Przez cały ten czas myślałam: „To się nie dzieje, to nie

ja, nie my". Ja, Lilly Martin, nie mogłam leżeć bezradnie w kącie własnej sypialni, usiłując ochronić się przed własnym mężem. To zdarzało się innym, tym, o których czyta się w gazetach. Biednym, niewykształconym lub tym, którzy wyrosli w domach pełnych przemocy i sami kontynuują tę niechlubną tradycję. Mój ojciec nigdy nie dał mi nawet klapsa, nie mówiąc o podniesieniu ręki na mamę. To byłoby nie do pomyślenia. - Przerwała, żeby zaczerpnąć powietrza. - Dutch natychmiast oprzytomniał, zaczął przeproszać, płakać, tłumaczyć swój uczynek. Zrzucił wszystko na stresy w pracy i ból po stracie Amy. Mogłam mu na to odpowiedzieć, że ja również mam niełatwą sytuację zawodową, a śmierć Amy przeżywam równie głęboko jak on. Wiedziałam jednak, że wszelkie rozmowy byłyby bezcelowe. Nie mogliśmy się już więcej kłócić. W tym zaś momencie zrozumiałam, że nie mogę mu dalej wybaczać. Zebrałam się bez słowa z podłogi, wyszłam z domu i wynajęłam pokój w hotelu. Następnego dnia zadzwoniłam do prawnika i złożyłam pozew o rozwód. Dla mnie nie było już możliwości powrotu.

- Bardzo cię skrzywdził?
- Posiniaczył mnie, ale nic mi nie złamał.
- Złożyłaś na niego doniesienie?
- Mój prawnik nalegał, ale postanowiłam tego nie robić.

Chciałam się po prostu uwolnić, Tierney. Dutch osuwał się w czarną rozpacz, zupełnie jakby opadał na dno z kamieniem uwiązany u szyi. Nie chciałam, żeby pociągnął mnie za sobą. Legalne dochodzenie opóźniłoby uwolnienie się od niego. Rozumiesz?

- Rozumiem, chociaż nie zgadzam się z tą decyzją. Powinien pójść za to do więzienia. Rozumiem jednak, dlaczego wybrałaś taką, a nie inną drogę.

- Powiedziałam moim pracownikom, że mam gripę i zostałam w hotelu, dopóki siniaki nie zeszyły. Chwila wymeldowania się z hotelu stała się symbolem rozpoczęcia nowego rozdziału życia, bez Dutcha Burtona.

- Niezupełnie bez niego - wymamrotał. Lilly nie była pewna, czy w ogóle miała usłyszeć tę uwagę. Na wszelki wypadek postanowiła jej nie komentować.

Po krótkiej chwili znowu się odezwał:

- Przykro mi, że musiałaś doświadczyć czegoś takiego.

- Mnie też jest przykro, ale bardziej z powodu Dutcha. Ja się z tego wylizałam, Dutchowi nigdy nie będzie to dane. Moje siniaki zniknęły, jego pozostaną na zawsze w głębi duszy. Nigdy nie uwolni się od winy.

- Nie oczekuj, że się uzalę nad tym skurwielem. Tak naprawdę chciałbym mu oddać zawiązką to, co ci zrobił.

- Proszę, nie. Poza tym i tak byś tego nie zrobił.

- Jeszcze jak. Przy najbliższej okazji.

- Proszę, Tierney, obiecaj, że nic takiego nie zrobisz.

- Dobrze, obiecuję - zgodził się po chwili milczenia. - Tak czy owak, pojutrze prawdopodobnie nie będę miał na to szansy, prawda?

Lilly nie odpowiedziała.

- Jeszcze jedno, Tierney.

- Co?

- Nie mów o tym nikomu.

- Dlaczego miałbym go chronić?

- Nie jego. Mnie. Dla mojego dobra, nie mów o tym nikomu. Proszę.

- W porządku.

- Obiecujesz?

- Poprosiłaś mnie już raz, Lilly. Nikomu nie powiem.

Uwierzyła mu.

- Dziękuję.

- Nie ma za co. A teraz śpij - dodał po chwili.

Ułożyła się wygodniej i podciągnęła koc pod brodę, ale oczy nie chciały się zamknąć. Obserwowała, jak ogień pożera jedno z polan, aż zwęglony kawałek odłamał się i spadło pod kratkę, do popielnika. Patrzyła, jak się rozżarza i zaczyna tlić, aby wreszcie znowu zapłonąć.

Odwróciła się twarzą do Tierneya. Miał otwarte oczy. Wpatrywał się w nią.

- Nie chcę spać - wyszeptała.

Scott z przyzwyczajenia nacisnął dzwonek do drzwi, zanim przypomniał sobie, że nie ma prądu. Zapukał kilka razy i wkrótce usłyszał odgłosy zbliżających się kroków.

- Dzień dobry, panno Ritt - powiedziała, kiedy drzwi stanęły otworem.

- Scott! - wykrzyknęła Marilee, wyraźnie zdziwiona jego widokiem. - Czyżbym zapomniała o korepetycjach?

- Przyszedłem zobaczyć się z panem Rittem.

Spojrzała za ramię, w kierunku kuchni, gdzie William siedział za stołem.

- Właśnie kończymy kolację - powiedziała.

- Mogę przyjść później.

- Nie, nie. Wejdz, proszę - wycofała się, wpuszczając go do środka. Scott otrząsnął śnieg z butów, zanim wszedł na terakotową podłogę korytarza. Kiedy Marilee zamykała za nim drzwi, spojrzała na drogę. - Przyszedłeś na piechotę? - spytała, nie widząc samochodu.

- Tak, proszę pani.

- Kto to, Marilee? - spytał William.

- Scott Hamer.

William wynurzył się z kuchni, z zatkniętą za kołnierz serwetką, zasłaniającą jego wąską pierś.

- Mój Boże, Scott, co cię tu sprowadza w taką noc? Czy twoja matka znowu dostała migreny?

- Nie. - Chłopak rzucił spojrzenie Marilee. - Muszę z panem porozmawiać na osobności.

William przyglądał mu się przez chwilę uważnie, równie zaskoczony niezapowiedzianą wizytą, jak jego siostra.

- Oczywiście - powiedział wreszcie i wskazał w stronę dużego pokoju, gdzie paliło się w ceglany kominku. - Wybacz nam, Marilee.

- Zajmę się twoją kurtką, Scott - powiedziała.

- Nie, dziękuję.
- Chciałbyś się czegoś napić?
- Dziękuję, panno Ritt. Przyszedłem tylko na chwilę.

Zzerała ją ciekawość, ale uśmiechnęła się tylko przyjaźnie i powiedziała:

- Daj mi znać, jeżeli zmienisz zdanie.

William odczekał, aż zamknęła za sobą drzwi do kuchni, a potem wskazał Scottowi krzesło.

- Usiądź.
- Pостоje.

William zmierzył go uważnym spojrzeniem. Ściągnął serwetę i złożył ją starannie, a potem odłożył na stół.

- Wydajesz się roztrzęsiony - powiedziała.
- Nie zamierzam już więcej brać sterydów.

- Naprawdę? - spytał William, wyraźnie zdziwiony. - Zauważyłeś jakieś efekty uboczne od czasu, kiedy zwiększyliśmy dawkę?

Na początku Scott dostawał tabletki, jednak niezadowolony z rezultatów Wes, któremu spieszno było zobaczyć jak najszybsze rezultaty, zażądał dodania zastrzyków. Omijały one część szlaku metabolicznego, przez co skutki uboczne były mniejsze, ale środki nadal niebezpieczne. Stosowanie ich mogło na trwałe naruszyć równowagę wewnętrzną organizmu i wpływać na zachowanie. Scott czytał o zagrożeniach wynikających z łączenia sterydów doustnych i domięśniowych.

- Zwiększone pragnienie seksualne i jednoczesne trudności z erekcją, co, Scott?

Sprytny wyraz twarzy Williama był nie tylko denerwujący, ale też odrażający. Co ten dziwny, pokręcony człowieczek może wiedzieć o erekcji?

William mrugnął do niego i zaśmiał się obleśnie.

- Sądząc po twojej popularności wśród pań, erekcja nie stanowi problemu. Martwisz się pryszczami?

Scott nie zamierzał dać się sprowokować.

- Nie będę więcej brał sterydów. Ani tabletek, ani zastrzyków. Tata płaci panu za nie kupę forsy, a jeszcze więcej daje

za to, żeby trzymał pan buzie na kłódkę. Od dzisiaj koniec z tym.

William, niezbyt przejęty, przysiadł na obitym tapicerką ramieniu fotela.

- Rozmawiałeś o tym z Wesem?

- Nie musiałem. Jestem dorosły.

- Żeby stać się dorosłym, trzeba czegoś więcej, niż tylko ukończenia osiemnastu lat. - Ton Williama był tak protekcyjny, że Scott miał ochotę go uderzyć. - Wybacz, że wypowiem na głos coś, co jest oczywiste, ale Wes sprzeciwi się twojej decyzji.

- Jeżeli będzie próbował mnie zmuszać, wydam go.

- Komu?

- Na początek dyrekcji szkoły. Gazetom. Niech mi pan uwierzy, sprawię, żeby mnie wysłuchano.

- To będzie oznaczało koniec jego kariery trenera.

- O to właśnie chodzi.

- Chcesz zrobić coś takiego własnemu ojcu?

- Sam sobie to robi.

William ściągnął wargi, jakby rozważał słowa Scotta.

- Rozumiem, o co ci chodzi - wzruszył ramionami. - Jestem jednak nieco zagubiony. Wygląda mi to na problem między tobą a Wesem. Dlaczego więc tu jesteś?

- Dlatego, że za chwilę umrze jedna z twoich złotodajnych kur. Stracisz dopływ sporego strumyka pieniędzy. Jestem tu, by powiedzieć ci, żebyś się nie wcinał.

- Ach, teraz rozumiem - roześmiał się William. - To groźba.

- Jak sobie chcesz.

- Scott - zaczął protekcyjnym tonem William. - Wes nie potrzebuje mnie jako dostawcy sterydów. Można je zdobyć nader łatwo. Jeżeli ja ich nie dostarczę, i tak je zdobędzie. Może je przecież kupić przez internet.

- Nie bez narażania się na przyłapanie. W internecie pozostawiłby ślad. Ty ułatwiłeś mu całą sprawę. Ja jestem tutaj po to, żeby położyć wszystkiemu kres.

- Rozumiem, że jest jakieś: „jeżeli nie, to...”, prawda?
- Jeżeli nie, to powiem, że wydajesz ludziom leki ścisłego zarachowania bez recepty.

- Możesz to udowodnić?

- Mogę, opróżniając apteczkę mojej matki. - Scott wiedział, że trafił w sedno. Po raz pierwszy zobaczył w oczach Williama lęk. Postanowił wykorzystać swoją przewagę. - Jeżeli pan lub mój ojciec spróbujecie ze mną walczyć, wydam was obu. Ojciec będzie musiał skończyć z trenowaniem, a panu odbiorą licencję farmaceutyczną.

- Och, wątpię, żebyś zrobił coś tak ekstremalnego. - Głos Williama przywodził na myśl nieprzyjemny dźwięk wydawany przez przesuwanego się między źdźbłami trawy węża. - Reperkusje byłyby zbyt poważne.

- Nie obchodzą mnie reperkusje.

- Nie? Jesteś pewien? - William wstał i uśmiechnął się do niego smutno. - A pomyślałeś o matce?

To była jedyna rzecz, która niepokoiła Scotta. Jak poczułaby się mama, gdyby wyszło na jaw prawdziwe oblicze Wesa Hamera, jego gierki, kłamstwa i całe to gówno? Musiałaby znieść publiczne szyderstwa, a to byłoby dla niej nader bolesne. Jednak Scott był przekonany, że wyzwalając się od dyktatury Wesa, ratuje także matkę. Na pewno zdawała sobie sprawę ze zdrad ojca, ale nie reagowała albo dla dobra rodziny, albo dlatego, że ją to nie obchodziło. Dziś po południu, kiedy dowiedziała się o sterydach, postawiła się Wesowi. Miała więcej charakteru, niż sądzili inni. Zwłaszcza jego ojciec.

- Moja mama to nie pana zmartwienie.

William przyglądał się chłopakowi przez chwilę, a potem wyciągnął rękę i dotknął dłoni Scotta. Chłopak cofnął się, na co William zareagował uśmiechem. Nie był to jednak przyjemny, ciepły uśmiech. Wręcz przeciwnie.

- Bardzo cię proszę, przemyśl sobie wszystko raz jeszcze, Scott. Jeżeli zdecydujesz się wyjawić to co wiesz, narazisz się na wiele nieprzyjemności. Odkrywanie tajemnic często ma efekt domina. Jeden ujawniony sekret odsłoni następny i na-

stępny, a każdy sieje coraz większe spustoszenie. Jesteś pewien, że chcesz, aby domino zaczęło się przewracać w twoim kierunku?

Scott próbował ukryć zaniepokojenie, ale chyba mu się to nie udało, bo William roześmiał się nieprzyjemnie.

- Ty też masz mały brudny sekrecik, prawda, Scott? - wyszeptał, pochylając się ku niemu.

- Nie.

- Ależ tak. Sekret związany z Millicent.

26

- Nie wiem, o czym pan mówi - Scott odwrócił się by odejść, ale William złapał go za ramię i zwrócił twarzą do siebie. Normalnie nie miałyby szans z wysportowanym Scottem. Chłopak mógłby mu złamać kolano jak zapałkę. Ale teraz był tak zaskoczony nagłym i agresywnym ruchem Williama, że się nie opierał.

- W takim razie pozwól, że ci to wyjaśnię, Scott. Mówię o romansie Millicent z Wesem, chociaż słowo „romans” nadaje ich maratonom pieprzenia niezasłużoną romantyczną konotację.

Scott poczuł, jak krew uderza mu do głowy.

- Nie wiesz...

- Owszem wiem, Scott. Wiem doskonale. Widzisz, twój kochany tatuś ma dwie obsesje. Pierwsza to pieprzenie się ze wszystkim, co na drzewo i do wody nie ucieknie. Druga to chwalenie się swoimi dokonaniem. Dość lekkomyślne z jego strony. Zaskakujące jest to, że Wes nie zdaje sobie sprawy, iż te dwie rzeczy są niekompatybilne. Fascynująca tendencja psychiczna, ktoś naprawdę powinien ją kiedyś zbadać. Ale, ale! To tylko mała dygresja. O czym to ja mówiłem? Ach, tak. Gdyby między Millicent a twoim ojcem były jakiegokolwiek romantyczne uczucia, mielibyśmy w Cleary istną tragedię greck-

ka, a przynajmniej pokręcony trójkąt. Wes jednak twierdził, że jego związek z dziewczyną był czysto fizyczny. Raz określił ją nawet jak „ciągle goniącą się sukę”. - William się uśmiechnął. - Wyobraź sobie tylko. Wszystko to zaś odbywało się, gdy oficjalnie Millicent była twoją dziewczyną. Niemal pod twoim nosem.

Serce Scotta waliło jak oszalałe. W ustach zbierały się takie ilości śliny, że niemal nie nadażał z przełykaniem. Uderzały weń fale gorąca, powodując pocenie się.

- W związku z tym, Scott, radzę, abyś nigdy więcej nie przychodził do mojego domu z pogrózkami. Masz do stracenia dużo więcej niż ja. - William przechylił głowę. - Jesteś bardzo podobny do Wesa, którego zdajesz się tak nie lubić. Aż do tej pory nie zdawałem sobie z tego sprawy. Podobnie jak on uważasz, że ładna twarz i wysportowane ciało upoważniają cię do traktowania ludzi z góry. Zmądrzej, synu. Są różne rodzaje siły i władzy, jedną z najbardziej efektywnych zaś jest znajomość faktów, które ludzie woleliby zatrzymać w tajemnicy. Na przykład, nie sądzę, by tobie czy Wesowi podobało się, gdybym opowiedział agentom FBI, którzy dziś, tak się dziwnie składa, odwiedzili wasz dom, że twój ojciec pieprzył się z twoją dziewczyną. Mogliby dojść do wniosku, że tak niesmaczna sytuacja wywołała dużo wrogości pomiędzy zamieszkanymi w sprawę osobami. Boże broń, mogliby pomyśleć, że tak poważna rywalizacja pomiędzy ojcem i synem mogła doprowadzić do jakichś zachowań ekstremalnych, włączając w to pozbycie się problemu, którym w tym przypadku była Millicent.

- O Boże! - jęknął Scott. Odwracając się, zaczepił o dywan i potykając się, wypadł na korytarz. Szarpnął za klamkę i wybiegł przez drzwi, nie zadając sobie trudu, aby je zamknąć. Mroźny wiatr szalejący na zewnątrz nie był w stanie zahamować ogarniających go mdłości. Ledwie zdążył dotrzeć do płotu oddzielającego posesję Rittów od sąsiadów. Tam zwiłotował. Spazmy były tak gwałtowane, że opadł na czworaka, z głową zwieszoną pomiędzy ramionami. Targały nim nawet po opróżnieniu żołądka. Wreszcie ustały. Wziął garść śnie-

gu do ust, pozwolił się mu roztopić i wypłuł wodę. Wtarł śnieg w rozpaloną twarz. Marzł, choć był spocony. Trząśnięcie nieopanowanie i musiał zaciskać zęby, żeby powstrzymać je od szczękania.

- Scott?

Unióśł głowę i spojrzał w kierunku, z którego doszło go wołanie.

Na ganku stała Marilee Ritt, gotowa do zejścia po zasypanych śniegiem schodach.

- Wracaj do domu! - krzyknął.

- Jesteś chory.

Udało mu się wstać, chociaż nogi miał jak z waty. Marilee była już w połowie schodów.

- Wracaj do środka! - krzyknął chrapliwie, z paniką w głosie. Odwrócił się i przeskoczył przez płot. Przeciął podwórko sąsiedniego domu, przedzierał się przez śnieg, reagując tak, jak podpowiadał mu instynkt - ucieczką.

- Hej.

Drzemiący w fotelu Dutch drgnął, ściągnął nogi z biurka i automatycznie wstał.

- Co jest? - spytał, zakładając najgorsze.

- Nic, o ile mi wiadomo. - Wes pokazał mu, że może usiąść.

Wyciągnął z kieszeni kurtki butelkę whisky i postawił ją na biurku. Ściągnął mokrą kurtkę i powiesił ją na haku wmontowanym w ścianę przy drzwiach. Chuchnął w dłonie i usiadł po drugiej stronie biurka, naprzeciwko Dutcha.

- Przestało padać - powiedział. - Nadal jednak wieje zimny wiatr i jest sporo poniżej zera. Podobno ma być jeszcze zimniej, kiedy rozwieją się chmury. Dziś w nocy temperatura ma spaść do rekordowego poziomu.

- Chcesz kawy? - spytał Dutch.

- Nie, dzięki. Dzisiaj wlałem w siebie tyle, że nie zasnę do lata. Przyniosłem własny napój. - Pokazał głową butelkę jacka danielsa. - Podaj mi szklanę.

Dutch popchnął ku niemu pusty kubek na kawę. Wes odkręcił butelkę, nalał trochę whisky i przesunął kubek w kierunku Dutcha. Sam napił się prosto z butelki. Po kilku łykach przyjrzał się przyjacielowi krytycznie.

- Wyglądasz fatalnie.

Dutch zdawał sobie z tego sprawę. Jego twarz była porazona, spuchnięta, jakby znęcało się nad nią stado dzikich psów.

- Ta maść, którą dał ci Ritt, jest do kitu.

- Nabawisz się zakażenia, jeżeli nikt tego nie obejrzy. Chcesz, zawiozę cię do szpitala?

- Nie.

- Do domu Ritta?

- O, co to, to nie!

- Powiedział, że gdybyś potrzebował, ma coś mocniejszego.

Dutch potrząsnął głową.

- Jadłeś coś?

- Trochę.

- Dora może zrobić...

- Nie jestem głodny.

Dutch założył, że Wes prędzej czy później wyjawi powód swojej wizyty. A na razie chciał, żeby przyjaciel dał mu święty spokój. Nienawidził, kiedy mu się matkowało. Nie miał ochoty na pogaduszki. Chciał w samotności przeżywać swoją boleść. Jeżeli komuś wydawało się to paranoiczne i autodestrukcyjne, to trudno. Tak się właśnie czuł i miał ku temu powody.

Nie potrafił niczego osiągnąć. Wszystkie jego wysiłki kończyły się fiaskiem. Nieudana próba przedostania się na szczyt góry w pługu Cala Hawkinsa prawdopodobnie skończy się dla niego pozwem sądowym, a Hawkins może go oskarżyć o wiele rzeczy.

Jego autorytet był nieustannie podkopywany. Ignorując ostrzeżenie Begleya, Dutch pojechał do Whistler Falls, ale został zatrzymany, zanim zdołał wejść do wynajmowanego przez Tierneya domku i obejrzeć materiały dowodowe, które w nim

zabezpieczono. Był najwyższym rangą stróżem prawa w tym miasteczku, ale Begley wypadł z ciepłutkiej recepcji Gusa Elmera i wszedł na niego, jakby był byle kmiotem. Oskarżył go o utrudnianie dochodzenia w sprawie przestępstwa federalnego. Potraktował go, jakby Dutch był nikim. Nawet jego podwładni ludzie pyskowali, kiedy wydawał im rozkazy.

- Dutch?

Burton ocknął się z rozmyślań i spojrzął na Wesa.

- Co cię tu sprowadza? - spytał zaczepnie. - Dlaczego nie siedzisz w domu, tuląc się do żonki?

Wes parsknął i napił się z butelki.

- Wolałbym już przytulić się do masztu przed komendą niż do mojej żony.

- Co się dzieje?

- Napięcie przedmiesiączkowe, migrena, kto ją tam wie? Kogo to obchodzi? Zawsze znajdzie jakiś dobry powód, żeby się wykręcić od małżeńskich obowiązków.

- Jak tam Scott? Nie mówił nic o dzisiejszym spotkaniu z Begleyem i Wisem?

- Dlaczego pytasz?

Sądząc po reakcji Wesa, rozmowa z agentami stała mu kością w gardle.

- Bez przyczyny. Zastanawiałem się po prostu, jak to przyjął. - Dutch pociągnął whisky z kubka, przyglądając się uważnie przyjacielowi. - Wyglądało, jakby się wahał podczas udzielania niektórych odpowiedzi. Kłamał? - Wziął spinacz i wygiął w kilku miejscach, a potem podał Wesowi. - A może tylko naginał prawdę?

- Spójrz na to z jego punktu widzenia - odparł Wes. - Pięcioro dorosłych, którzy wzbudzają w nim respekt, zaczyna mu zadawać pytania dotyczące jego znajomości z Millicent. Czy w jego wieku chciałbyś spowiadać się publicznie ze swojego życia intymnego?

- Nawet teraz nie chciałbym im się z niczego spowiadać.

- No właśnie.

Wes założył ręce za głowę, oparł stopę o udo i rozparł się

w fotelu, jakby nie miał żadnych zmartwień. Dutch jednak był przekonany, że to tylko pozory. Wes nie przyszedłby do niego, żeby zabić czas. I nie martwił się bynajmniej zakażeniem ani nie dbał o regularne odżywianie się Dutcha. Whisky to miły, przyjacielski gest, ale Wes nie był aż tak troskliwym kump-lem. Miał jakiś ukryty motyw, inaczej nie byłoby go tu teraz. Żołądek Dutcha skurczył się boleśnie na myśl o ewentualnym celu wizyty. Może whisky miała uczynić ból bardziej znośnym? Jeżeli tak, woli zacząć cierpieć jak najszybciej.

- Przyszedłeś tu, żeby mnie wylać z roboty?

- Co takiego? - niedowierzający śmiech Wesa wydawał się szczery.

- Czy przyszedłeś tu jako przedstawiciel rady miejskiej?

- Jezu Chryste, Dutch, ale ty jesteś paranoikiem! Skąd ci w ogóle taki pomysł przyszedł do głowy?

- Z tego, co powiedziałeś wczoraj. Nie pamiętasz? Przypomniałeś mi, że dałeś za mnie słowo, gdy mnie zatrudniałeś, i że moje niepowodzenie źle się na tobie odbije.

- Daj spokój, Dutch. Obaj byliśmy zmęczeni i podminowani. Poniosły nas nerwy. Odchodziłeś od zmysłów z powodu Lilly, a ja jako twój przyjaciel chciałem po prostu pomóc ci spojrzeć na wszystko z innej perspektywy, przywrócić ci zdrowy rozsądek. Ale wiesz co? - dodał szybko, widząc, że Dutch zamierza mu przerwać. - Pod koniec dnia sam zacząłem myśleć podobnie.

- O czym mówisz? - spytał Dutch.

Wes spojrzął przez ramię na zamknięte drzwi. Usiadł prosto i powiedział przyciszonym głosem:

- Sądzisz podobnie jak ja, a co więcej, jak federalni, że to Tierney jest naszym podejrzanym, prawda? Porwał pięć kobiet i Bóg jeden wie, co z nimi zrobił. A ta sprawa z błękitną wstążką? Obrzydliwe, nie?

Dutch skinął nieznacznie głową, nie chcąc się angażować w rozmowę, dopóki się nie dowie, do czego prowadzi.

- No i zmartwienie z twoją żoną. Zapomnijmy o nieistotnym szczególe, że jesteście po rozwodzie. Uwięziona w gór-

skiej chacie z tym typem, odcięta od świata i ludzi. Podziwiam twoje opanowanie, stary, naprawdę. Gdyby mnie się to przydarzyło, zabiłbym każdego, kto próbowałby mnie odwieść od dostania się na górę.

- O mały włos tego nie zrobiłem.
- Hawkins się nie liczy.

Dutch znowu upił trochę whisky. Każdy kolejny łyk wchodził gładziej i smakował lepiej.

- Do czego zmierzasz, Wes?
- Wybierzmy się po Tierneya. Ty i ja.
- Begley ma helikopter...

- Daj spokój - rzucił niecierpliwie Wes. - Jeżeli dostaną go przed nami, już go nie dorwiemy. Zabiorą go do Charlotte i będą trzymali pod kluczem. Nawet jeśli postawią go w stan oskarżenia, jego prawnik będzie przeciągał sprawę w nieskończoność i pięć lat później nadal będziemy usiłowali skazać tego psychola i oddać sprawiedliwość zaginionym kobietom i ich rodzinom. To nie jest prawo gór. Nie w taką sprawiedliwość wierzyli nasi ojcowie i dziadowie.

Wes miał rację. Od czasu, gdy pracował w wydziale zabójstw w Atlancie Dutch doskonale wiedział, że prawo działa wolno i sprawiedliwości rzadko staje się zadość.

- Nie mam pojęcia, jakim cudem wmieszało się w to FBI - dodał Wes.
- Porwanie to przestępstwo federalne.
- Tak, tak, ale to szczegół techniczny.
- Dostyc ważny szczegół, powiedziałbym.

Wes przesunął się na brzeg fotela i pochylił do przodu, opierając łokcie na biurku.

- Przecież to twój teren, Dutch. Twoje miasto, twoi ludzie. Chwała należy się tobie, nie Begleyowi i temu okularnikowi. Przyprowadzisz Tierneya na Main Street, przedefilujesz z nim na oczach Gunnów oraz rodzin pozostałych ofiar, postawisz przed sądem. Zostaniesz lokalnym bohaterem, twardym glina, któremu nikt nie waży się podskoczyć i który rozwiązał największą zagadkę kryminalną w historii tej okolicy. - Odchylił

się na oparciu fotela i uśmiechnął z zadowoleniem. - A ja będę gościem, który miał na tyle rozumu, żeby cię tu zatrudnić.

Jego pochlebna przemowa odniosła zamierzony skutek. Wymalował przed oczami Dutcha piękny obrazek, a Dutch bardzo chciał, żeby stał się rzeczywistością. Jednak zbyt wiele razy przeżył rozczarowanie, aby teraz dać się ponieść fali optymizmu. Tym razem bał się nawet nadziei, że mógłby wreszcie odnieść jakiś sukces, przerwać złą passę.

- Tylko szalony glina aresztowałby kogokolwiek bez wyraźnych dowodów - powiedział. - Nie mam na Tierneya niczego. Wszystko, co wiemy, to spekulacje i plotki.

- Federalni...

- Nie zamierzają się z nami podzielić informacjami. Begley groził, że mnie zamknie w moim własnym więzieniu, jeżeli postawię stopę w domu wynajmowanym przez Tierneya u starego Elmera.

- Nie może tego zrobić!

- To nieistotne. W tej chwili liczy się to, że nie wiem, co mają na Tierneya. Jak mogę go w takiej sytuacji aresztować? Za co?

- Sądzisz, że Begley pilnowałby domu Tierneya, gdyby nie było tam żadnych dowodów? Najpierw złap gościa za fraki. Później będziesz się martwić o uzasadnienie.

- Prawo mi tego zabrania, Wes.

- Wiem, ale czy nie ma przypadkiem przepisu, który pozwala na zatrzymanie kogoś w... - zamachał rękami, jakby usiłował znaleźć odpowiednie słowo.

- Słusznej sprawie - dokończył za niego Dutch.

- Właśnie! Powiedzmy, że w banku nagle włącza się alarm antywłamaniowy i widzisz, że ze środka wybiega zamaskowany osobnik i zaczyna uciekać. Nie ma wprawdzie przy sobie worka z pieniędzmi, ale i tak ruszasz za nim w pościg. Nie zaczynasz od gromadzenia dowodów przestępstwa.

Dutch wstał z fotela i powoli okrążył biurko. Whisky znieczuliła pulsujący ból twarzy, ale dodatkowa porcja ibuprofenu na pewno by mu nie zaszkodziła.

- Zgadzam się z tobą, Wes, ale to nierealne. Begley zamówił helikopter na jutro rano. Jeżeli się przejaśni i wiatr ucichnie, pilot dotrze do Cleary, a potem zapewne również na szczyt. Nam zajęłoby to kilka dni, zanim zgromadzimy odpowiedni sprzęt i ludzi, żeby uprzątnąć ten bałagan na drodze.

- Bałagan na głównej drodze. - Wes rozjaśnił się, jakby za chwilę miał wyciągnąć asa z rękawa. - Co z innymi?

Dopiero po dłuższej chwili Dutch zrozumiał, co przyjaciel miał na myśli. Roześmiał się chrapliwie.

- Mówisz o zachodnim zboczu? To przecież tylko polna droga.

- Polna droga pokryta półmetrową warstwą śniegu, dzięki czemu łatwiej się po niej przemieszczać.

- Jeżeli jest się pingwinem.

- Albo jeżeli ma się skuter śnieżny.

Wes znowu miał rację. Dutch przystanął i chwilę się zastanawiał.

- Czy skuter wjedzie po takiej stromiznie?

- Warto spróbować. Poza tym tamta droga ma więcej serpentyn, więc łatwiej sobie poradzić z nachyleniem terenu.

Racja. Dutch pamiętał, kiedy jeszcze w liceum zabrał dziewczynę na romantyczne miejsce widokowe na szczycie góry. Zanim zdążyli dotrzeć na miejsce, panienska pochorowała się od ciągłych zakrętów i to tak bardzo, że Dutch nie zdołał jej nawet pocałować.

- W porządku, tylko kto ma skuter śnieżny?

- Cal Hawkins.

Dutch wybuchnął tak gwałtownym śmiechem, że jego pokaleczona twarz rozboleła go jeszcze bardziej.

- No tak, doskonale! Takie już moje szczęście. Hawkins jest ostatnim człowiekiem na świecie, który pozwoli mi skorzystać ze swojego skutera śnieżnego.

- W tej sprawie nie ma zbyt wiele do powiedzenia. Jego stary kupił cztery maszyny kilka lat temu, żeby wynajmować je turystom w czasie zimy. Po tym, jak Cal zastawił je i nie zdołał spłacić długów, skutery przejął bank.

- Wyłumacz mi, jakim sposobem poprawia to moją sytuację?

Szeroki uśmiech nie schodził z twarzy Wesa.

- Jeszcze nie dotarłem do najlepszej części historii. Zgadnij, gdzie bank trzyma skutery? W garażu dla autobusów szkolnych.

Dutch zaczął widzieć światełko w tunelu.

- Do którego masz klucz?

- Właaaśnie - przeciągnął Wes i przepił do Dutcha. Pociągnął spory łyk z butelki. - Mam również dostęp do biura, w którym przechowywane są kluczyki do wszystkich pojazdów należących do okręgu szkolnego Cleary.

- Dlaczego pomyślałeś o tym dopiero teraz?

- Nie czepiaj się, co? - rzucił Wes obrażonym tonem i beknał. - Dużo się dzisiaj działo w tym mieście.

- Dlaczego Cal nam nie powiedział, żebyśmy użyli skuterów?

- Bo jego mózg to sieczka. Poza tym stracił je z oczu rok temu. Pewnie zupełnie o nich zapomniał. Bank najprawdopodobniej również.

- W takim razie nie przypominajmy im. Musimy utrzymać wszystko w tajemnicy. Jeżeli Begley coś zwietrzy, spróbuje nas zatrzymać.

Wes pokiwał głową.

- Przygotuj się na wyprawę o świcie. Masz jeszcze strój narciarski? - A gdy Dutch przytaknął, ciągnął: - Dobrze. Spotkajmy się tuż przed świtem przy garażu. Wyruszmy na górę o brzasku, zanim Begley wsiądzie do helikoptera.

- Musimy przejechać przez całe miasto, żeby dostać się do zachodniej drogi. Co będzie, jeżeli ktoś nas zobaczy albo usłyszy? Skutery śnieżne są głośne. Jak wytłumaczymy ludziom, dlaczego zabraliśmy je z garażu i wykorzystujemy bez zgody banku?

- Dutch, do cholery, jesteś komendantem policji! - powiedział zirytowany Wes. - Jeżeli ktoś zada ci pytanie, powiedz, że potrzebujesz ich, aby ocenić stan dróg, sprawdzić stopień

uszkodzeń trakcji elektrycznej, uratować kota, cokolwiek. Wymyślisz coś.

Dutch zagryzł dolną wargę, rozpatrując plan pod różnymi kątami. Nie widział w nim żadnych minusów. Wykorzystanie czyjejs własności było wprawdzie zwykłą kradzieżą, ale Wes miał rację. Kto miałby się sprzeciwiać szefowi policji, który robi wszystko, co w jego mocy, aby pochwycić groźnego przestępcę? Poza tym, zawsze lepiej działać, nawet częściowo nielegalnie - za co później może oberwać - niż siedzieć na tyłku z zainfekowaną twarzą i pozwalać FBI na coraz większe upokarzanie go.

Po raz pierwszy od dwóch dni poczuł, że ma kontrolę nad swoim życiem i było to nader miłe. Uniósł kubek z whisky.

- Do zobaczenia o wpół do piątej.

27

- Musiało go coś bardzo zdenerwować - powiedziała Marilee.

- Ile razy mam ci powtarzać...

- Dopóki ci nie uwierzę, William.

Wcześniej przyrządziła kawę w starodawnym ekspresie podgrzewanym na palniku gazowym. Teraz pili ją w dużym pokoju, siedząc w fotelach, które przysunęli do kominka. Przez ostatnie pół godziny Marilee usiłowała wydobyć od Williama, o czym rozmawiał ze Scottem Hamerem. Jak dotąd nie otrzymała satysfakcjonującej odpowiedzi.

- Scott zwymiotował na naszym podwórku. O jakich okropnościach rozmawialiście, że zareagował aż tak gwałtownie?

- Gdyby sprawa w jakikolwiek sposób dotyczyła ciebie, Scott nie prosiłby o rozmowę sam na sam ze mną. Nie bądź tępą, Marilee, i przestań mnie już wypytywać. Zachowujesz się jak jędzka.

- A ty jak kłamca!

- Nie skłamałem - odparł gładko.
- Dlaczego Scott miałby rozmawiać z tobą na osobności?
- Akurat ze mną? O to pytasz?
- Nie wkładaj w moje usta słów, których nie powiedziałam. Nie miałam na myśli...
- Oczywiście, że miałaś. - Spojrzał na nią przymrużonymi oczami. - Wiesz, co sobie teraz myślą na temat całej tej sytuacji? Że jesteś zazdrosna.
- Zazdrosna?
- Drażni cię, że dla jednego z twoich uczniów jestem ważniejszy niż ty.
- To absurd!

Przyglądał się jej przez chwilę z uśmiechem, który sugerował, iż sądzi przeciwnie.

- Tak naprawdę powód twojego zainteresowania nie ma znaczenia. Powiedziałem już - temat naszej rozmowy jest znany tylko nam dwóm, a tobie nic do tego.

- Kiedy jeden z moich uczniów wymiotuje na moim podwórku, uważam, że mam prawo i obowiązek się tym zainteresować. Czy chodziło o Millicent? - spytała po chwilowym wahaniu.

Wyraz twarzy Williama uległ zmianie. Przyjrzał się siostrze z niezwykłą ciekawością.

- Dziwne, że o niej wspomniałaś.
- Nie takie dziwne, skoro wcześniej rozważyłaś powody rozstania Scotta z tą dziewczyną.
- Ale on o tym nie wiedział.
- Rozmawialiście o Millicent?
- Napomknęliśmy jej imię - powiedział z wahaniem.
- W jakim kontekście?
- W kontekście relacji między Scottem i Wesem.
- Wesem? Co on ma...
- Więcej, niż mogę wyjawić bez naruszania ich prywatności, Marilee. - William odstawił filiżankę na stół i oznajmił, że idzie spać. - Jutro rano zamierzam otworzyć sklep. Nie musisz wstawać, żeby mnie przygotować do wyjścia.

- Nie miałam takiego zamiaru.

Była to tania zagrywka, niewarta jakiegokolwiek reakcji. William z obojętną miną wyszedł z pokoju.

Ze względu na przerwę w dostawie prądu, następnego dnia zajęcia szkolne zostały odwołane. Marilee miała kolejny wolny dzień. Powinna się cieszyć, tymczasem bardzo się martwiła.

Wes, Scott i William. To trio bardzo ją niepokoiło. Poza mieszkaniem w tym samym mieście nie mieli ze sobą nic wspólnego, oprócz okazjonalnych rozmów na podejrzane tematy, jak się okazało, którymi William nie chciał się z nią podzielić, chociaż zazwyczaj uwielbiał rozsiewać plotki. Jego nadzwyczajna powściągliwość była denerwująca i niepokojąca, bo miała wrażenie, że jej to też dotyczy.

Długo nie mogła zasnąć, a kiedy wreszcie zapadła w niespokojny sen, obudził ją jej tajemniczy kochanek. Leżał przy niej i pieścił ją przez koszulę nocną.

- Och, tak się cieszę, że jesteś - powiedziała, delikatnie dotykając jego twarzy.

Szybko ściągnął z niej koszulę i przywarł do niej całym ciałem. Jego penis był twardy, gotowy. Marilee zarzuciła nogę na biodro kochanka, chwyciła członek w dłoń i poprowadziła go w siebie. Tej nocy jej mężczyzna nie chciał się bawić w czułości i fantazje. Popchnął ją na plecy. Jego ruchy były twarde i szybkie, niemal gniewne. Po wszystkim opadł na nią wyczerpany, z głową na jej piersi. Marilee zaczęła gładzić jego kark, rozluźniając spięte mięśnie.

- Miałeś dziś trudny dzień?

W odpowiedzi skinął głową.

- Opowiedz mi o wszystkim.

- Chcę tylko spokoju. Chcę ciebie.

- Mnie masz - wyszeptła i objęła jego głowę ramionami.

- Możesz w to uwierzyć?!

- Ciiii, Dutch. Pobudzisz wszystkich w sąsiedztwie.

- I co z tego? Nie obchodzi mnie, kto nas usłyszy! Jeste-

śmy załatwieni - Dutch walnął pięścią o wnętrze odzianej w rękawiczkę dłoni. - Skąd mam wziąć więcej czasu?!

Wes podzielał zdenerwowanie Dutcha, ale jeden z nich musiał zachować spokój, a nie wyglądało na to, że może w tym względzie liczyć na przyjaciela, wyraźnie bliskiego załamania nerwowego. Wes nie mógł dopuścić, żeby Dutch postradał zmysły. Potrzebował teraz ochrony i autorytetu, jaką dawała odznaka Burtona. Musieli dostać się na tę cholerną górę i aresztować Tierneya, albo jeszcze lepiej, zabić go. Wes miał swoje własne powody, dla których poświęcił się realizacji tego przedsięwzięcia z równym zapałem, co Dutch.

Tak jak to było ustalone, spotkali się przed garażem o czwartej trzydzieści, obaj niewyspani, nakręceny kofeiną i przemarznięci do szpiku kości, choć ubrali się jak na Syberię. Skutery stały tam, gdzie ostatnio widział je Wes, w odległym kącie garażu, przykryte zielonymi pokrowcami. Jak dotąd wszystko szło dobrze. Zaczęli szukać kluczyków, ale tu zaczęły się kłopoty. W biurze ich nie było, chociaż klucze do wszystkich szkolnych pojazdów wisiały na tablicy, wyraźnie oznaczone numerami rejestracyjnymi. Wreszcie Wes się poddał.

- Jeżeli tu w ogóle są, muszą być dobrze ukryte. Tracimy tylko czas na poszukiwania. Nie mamy wyjścia, jak tylko zapytać Morrisa, gdzie do cholery trzyma kluczyki do skuterów.

Karl Morris był prezesem miejscowego banku.

- O tej godzinie? - spytał Dutch.

- Masz całą drogę na wymyślenie przekonywającego powodu, dla którego potrzebujemy skuterów teraz, a nie za kilka godzin.

Pukali do drzwi kilkakrotnie, zanim otworzyła im pani Morris, spowita od stóp do głów w najszeptniejszy szlafrok, jaki Wes kiedykolwiek widział. Twarz pasowała do tego obrzydliwego końskiego pledu. Nieprzyjemny ton w głosie również nie dodawał jej urody.

Dutch poprosił ją o wybaczenie za najście o takiej porze i wytłumaczył, że zdarzył się bardzo nagły wypadek, który

wymaga natychmiastowej rozmowy z mężem. Pani Morris zamknęła im drzwi przed nosem i poszła po męża, zostawiając Wesa i Dutcha marznących na werandzie.

Wreszcie pojawił się Morris, dużo bardziej gościnny i serdeczny niż jego żona. Dutch opowiedział mu historię jakiejś rodziny uwięzionej w samochodzie i zaznaczył, że użycie przejętych przez bank skuterów Cala Hawkinsa jest sprawą życia i śmierci.

- Z największą przyjemnością wypożyczyłbym je panu, komendancie Burton, gdyby pojazdy nadal należały do banku. Sprzedaliśmy je... hmm... niech pomyślę... w okolicach Gwiazdki. Ogłaszaliśmy aukcję przejętych dóbr. Pewnie ta informacja do pana nie dotarła.

- Najwyraźniej nie. Kto kupił skutery?

- William Ritt. Dostał pozwolenie na przechowanie ich w garażu dla autobusów szkolnych, dopóki nie znajdzie innego miejsca. W dniu kupna wziął ze sobą kluczyki.

Przeprosili Morrisa jeszcze raz za wyrwanie go z łóżka i podziękowali za informacje.

W drodze do bronca Dutch wyraźnie okazywał zły humor. Wes zaczął powoli tracić cierpliwość do wiecznie naburmuszonego przyjaciela.

- Na Boga żywego, Dutch, weź się w garść! To jeszcze nie koniec. Idziemy do Ritta.

- Jasne. Do miejscowego plotkarza numer jeden.

Wsiedli do stojącego z pracującym silnikiem samochodu. Dutch dodał gazu.

- Masz jakieś inne wyjście? - spytał Wes. - Poza tym, by agent specjalny Begley sprzątnął ci sprzed nosa podejzranego i laury, które należą się tobie?

Przeklinając, Dutch wrzucił wsteczny i wycofał się z podjazdu. Po kilku minutach zatrzymali się przed drogerią. W środku było ciemno, ale samochód Williama stał na zwykłym miejscu, tuż obok wozu Marilee, zostawionego tu na noc.

- Mówiłem, że będzie - mruknął Wes.

Dzwonek nad drzwiami zaświergotał radośnie. William

krzątał się za barem, gotując wodę na kuchence gazowej. Jedynym źródłem światła był płomień z palnika i świeczek wotywnych ustawionych na barze. W pomieszczeniu pachniało jabłkami.

Ritt przywitał ich z szerokim uśmiechem.

- Jesteście dziś pierwszymi klientami. Może kawy? Ale mam tylko liofilizowaną.

Wes przysiadł na jednym ze stołków barowych i ściągnął rękawiczki

- Byle była gorąca, z chęcią się napiję.

- Ja też. - Dutch usiadł obok.

- Twoja twarz nie wygląda najlepiej, Dutch.

- Tak, wiem. Chyba będę potrzebował jakiejś maści z antybiotykiem.

- W takim razie trafiłeś we właściwe miejsce. Znajdę ci coś, jak tylko przygotuję kawę. - Wsypał proszek do trzech filiżanek. - Wybieracie się na narty? - spytał. Najwyraźniej ich strój nie uszedł jego uwagi.

Wes zerknął na Dutcha, ustępując mu pola. Zanim dotarli do drogerii, wytłumaczył przyjacielowi, jak najlepiej podejść Williama.

- To dupek. Zawsze nim był. Outsider, który próbował się dostać do naszej paczki, chociaż nie miał na to najmniejszych szans. Dlatego właśnie musisz mu pochlebić, sprawić, że poczuje się jednym z nas, kimś ważnym w realizowanym przez nas planie.

- William jest ważny dla zrealizowania naszego planu - rzucił Dutch. - I to właśnie mnie wkurza.

Nie cieszyła go myśl, że będzie musiał nadskakiwać takiej gnidzie jak William Ritt. Teraz, kiedy przyszła właściwa chwila, Wes wstrzymał oddech. Dutch kaszlnął lekko, zasłaniając usta dłonią. Spojrzał na Ritta poważnie.

- Nie przyszedłem tu dziś rano na kawę ani po lekarstwo na moje rany.

- Doprawdy?

- Moja prośba może ci się wydać dziwna, Williamie -

ciągnął Dutch tym samym grobowym tonem. - Zanim ją przedstawię, muszę cię prosić o zachowanie wszystkiego, co tu usłyszysz dla siebie. To tajemnica służbowa.

Doskonale, pomyślał Wes.

- Wiesz, że nigdy nie nadużyłbym twojego zaufania - odparł William.

- Potrzebujemy twoich skuterów śnieżnych.

- Myślałem, że nigdy mnie o nie nie zapytacie.

Gdyby oświadczył w tym momencie, że kiedyś był duble-rem głównego aktora w filmach o Tarzanie, nie mógłby ich bardziej zaskoczyć. Dutch pierwszy odzyskał głos.

- Słucham?

William się uśmiechnął.

- Kiedy jechałem tu dziś rano, zastanawiałem się, jak bardzo są zasypane drogi i jak dużo czasu upłynie, zanim będę mógł znowu dojechać do starego domu moich rodziców i zacząć odnawianie. Nagle przyszło mi do głowy, że nie muszę tam dojeżdżać samochodem. Mogę wziąć jeden ze skuterów. Zaraz potem pomyślałem, że powinienem zaoferować je agentowi specjalnemu Begleyowi...

- Nie!

Wes musiał powstrzymać odruch położenia uspokajającym gestem ręki na ramieniu Dutcha, który przemówił zbyt ostro. William spał się nieco. Wes wiedział, że musi szybko uratować sytuację, ponieważ Dutch tego nie zrobi.

- Tutaj właśnie zaczyna się tajemnica. Nikt nie może o tym wiedzieć, ale Begley poprosił o helikopter. Dotrze tu nieco później, w ciągu dnia.

- Dlaczego nikt nie może o tym wiedzieć?

- Ponieważ wczoraj te głupki z naszej miejscowej rozgłośni rozdmuchały całą sprawę. Nawet nie będę ci opisywał, jak Begley się o to wkurzył. Wyobraź sobie, co się stanie, jeżeli ludzie dowiedzą się o helikopterze wyposażonym we wszystkie możliwe nowinki techniczne, z gośćmi w czarnych kombinezonach, kominiarkach, z karabinami, linami i całym tym sprzętem? Wokół Begleya natychmiast zaroi się od gapiów,

którzy mogą nie tylko narazić samych siebie na niebezpieczeństwo, ale przede wszystkim opóźnić misję ratunkową.

- Teraz rozumiem.

- Dziś rano Begley i Wise będą zajęci organizowaniem wyprawy - powiedział Dutch, który załapał, w którą stronę zmierza Wes. - My mamy stanowić ekipę awaryjną, oczywiście jeżeli wypożyczysz nam swoje skutery.

- Naturalnie. Przykro mi, że nie pomyślałem o nich wczoraj. Być może uniknęlibyście wtedy tej katastrofy z Hawkinsem.

- Wczoraj warunki były zbyt trudne, żeby jechać na górę na skuterach. Padał gęsty śnieg, a ta droga jest niebezpieczna nawet w pogodny dzień.

- Z przyjemnością wam je teraz udostępnię.

- Są gotowe do użycia? - spytał Wes, rozluźniając się.

William skinął głową.

- Zanim je kupiłem, mechanik zrobił przegląd. Są w idealnym stanie. Kluczyki trzymam w domu. Możemy je zabrać po drodze do garażu. Marilee zrobi nam kawy do termosu, kiedy ja będę się przebierał.

- Nie jedziesz z nami!

Wes kopnął Dutcha pod stołem, żeby ten nie powiedział ani słowa więcej i uśmiechnął się szeroko do Williama.

- Nie moglibyśmy cię prosić o taką rzecz. To będzie bardzo trudna wyprawa. Poza tym - spojrzał na Dutcha ze współczuciem i nachylił się do Williama - nie wiemy, co zastaniemy na górze.

- Oczywiście, rozumiem. - William uśmiechnął się fałszywie do Dutcha. - Jestem przekonany, że twoja żona ma się dobrze.

- Dzięki, też mam taką nadzieję, ale Wes ma rację. Nie wiemy, co zastaniemy na górze. Musimy przyjąć, że Tierney jest uzbrojony i nieobliczalny. Nie mogę cię prosić o narażanie życia.

- Nie proszę. Zgłosiłem się na ochotnika.

- Wiem, ale...

- Znam dobrze tę drogę, Dutch. Lepiej niż ty czy ktokolwiek inny. Przemierzam ją kilka razy w tygodniu, od kiedy nauczyłem się prowadzić samochód.

- Mimo wszystko...

- To moje skutery.

Oświadczenie Williama było zawołowaną groźbą. Wes czuł, jak Dutch się najeża.

- To prawda, ale mógłbym je zarekwirować za zajmowanie miejsca w garażu opłacanym przez podatników - rzucił.

- Mam pozwolenie.

- Nie ode mnie - odparował Wes. Skoro rozsądna argumentacja nie zdołała przekonać Ritta, może autorytet szeryfa i przewodniczącego rady miejskiej odniesie lepszy skutek. - Poproszę Dutcha, żeby zarekwirował twoje skutery.

- Rada szkoły powiedziała, że mogę je trzymać w garażu tak długo, jak potrzebuję.

- Mam więcej władzy niż rada szkoły. Robią to, co im powiem.

William przesunął gniewne spojrzenie z Wesa na Dutcha. Wes spojrzał na niego tak, jakby miał przed sobą napastnika, który potknął się i wypuścił piłkę przed końcową linią. Wyraz twarzy Dutcha był równie onieśmielający.

- Nie dajecie mi wyboru - burknął wreszcie Ritt.

- Pojedziemy za tobą do domu - powiedział Dutch, wstając z krzesła.

William wyłączył palnik pod garnkiem z wodą, która niemal się już wygotowała.

- Poproszę Marilee, żeby zrobiła nam kawy. Na pewno będzie lepsza niż ta rozpuszczalna.

- Nie ma potrzeby jej budzić - rzekł Wes.

- Na pewno nie będzie miała nic przeciwko temu.

Dutch i Wes wyszli na zewnątrz i wsiadli do auta.

- Gratulacje, komendancie - uśmiechnął się Wes. - Do stałeś swoje skutery.

Obserwowali, jak William Ritt wsiada do wozu i wycofuje

go z miejsca na parkingu. Pojechali za nim w dół Main Street. Dutch uderzył o kierownicę odzianą w rękawiczkę dłonią.

- Po tym całym zamieszaniu lepiej, żeby udało mi się dorwać Tierneya.

- Taki jest plan.

- Chcę mu upuścić krwi, Wes.

- Jasne. Jeżeli przeleciał Lilly...

- Co takiego?

Wes spojrział na Dutcha z niedowierzaniem.

- Co?

- Boję się, że ją zabił - burknął Dutch.

Wes poruszał przez chwilę ustami, z których nie wychodziły żadne słowa.

- No... jasne, Dutch. Oczywiście wszyscy się o to martwimy.

- Sądzisz, że oni...

- Daj spokój, nie wiem. Chciałem tylko powiedzieć, że cokolwiek mu zrobisz, będzie mu się na pewno należało za to, co zrobił Lilly.

Dutch ścisnął z całych sił kierownicę.

- Chcę mu upuścić krwi - warknął.

28

Nie chcę spać.

Tierney przystąpił do działania, jakby to jedno proste zdanie przecięło ostatnią nić trzymającą go na wodzy. Jakimś cudem oddzielający ich koc odfrunął na bok i Tierney znalazł się na Lilly. Przywarł ustami do jej warg, otoczył ją ramieniem i wsunął dłoń we włosy. Jego język był stanowczy, twardy i rozkosznie smakował. Pocałunek sprawił, że Lilly zapomniała o bożym świecie. Jego seksualność była tak odurzająca, że czuła, jak topnieje w środku.

Tierney uniósł głowę i spojrzął jej prosto w oczy. Odwzajemniła spojrzenie bez strachu czy złych przeczuć. Nadal patrząc jej w oczy, sięgnął w dół i rozpiął jej spodnie, a potem wsunął w nie dłoń, pieszcząc ją przez bieliznę, już wilgotną z pożądania. Opuścił głowę i wsunął język między jej rozchyłone usta, przez które oddychała gwałtownie. Jego dłoń powędrowała pod jedwab i na jej łono. Palce dotarły w zagłębienie między udami. A potem, nie poruszając nimi, pocałował ją. Nic więcej. Ich języki dotykały się, ślizgały po sobie, jakby to one spółkowały, podczas gdy jej łono pulsowało wewnątrz ciepłej kryjówki jego dłoni. Przerobiła Polgara68.

Być może zareagował na lekkie wygięcie *jej* pleców, które zwiększyło nacisk jego palców, a może na jęk rozkoszy, który wydobył się z jej gardła. A może to jego własne pragnienie sprawiło, że wsunął kolano pomiędzy jej nogi i rozchylił je. Opierając się na jednym ramieniu, rozpiął pasek i dzinsy. Równocześnie Lilly pozbyła się swoich spodni i bielizny.

Jednym płynnym ruchem, niczym w balecie, opuścił ramię, pochylił się, wszedł w nią i nakrył sobą całkowicie. Lilly jęknęła z niewysłowionej rozkoszy. Potem zapadła cisza. Nie słychać było nic oprócz bicia ich serc. Ich oddechy unosiły się nad głowami jak małe obłoczki. Po chwili Tierney zaczął się poruszać, najpierw powoli, całując ją jednocześnie. Potem przyspieszył, odsuwając się od jej ust. Tempo wzrastało miarowo, aż nagle zatrzymał się, wydając niski gardłowy pomruk. Przesunął dłońmi w dół, po jej talii, chwycił jej pośladki i wbił się w nią głębiej.

Jęknął, wtulił twarz w zagłębienie jej szyi i doszedł.

Po chwili rozluźnił się całkowicie. Lilly poczuła przez chwilę na sobie cały jego ciężar. Nie trwało to dłużej niż kilka sekund. Następnie dźwignął się na przedramionach. Wpatrując się w jej twarz, sięgnął w dół i przesunął dłonią po jej udzie, docierając do kolana. Objął je dłonią i pociągnął w górę, aż znalazło się na wysokości jego ramion. Podobnie uczynił z drugim. Jej kobiecość otworzyła się na niego jak kwiat, ukazując delikatne wnętrze. Tierney wsunął dłoń pomiędzy ich

podbrzusza, docierając do wilgotnego centrum, w którym trwali połączeni. Odnalazł to, czego szukał, i delikatnie dotknął kciukiem. Przeszyła ją nagła rozkosz.

Niemal zapłakała, kiedy jego kciuk zaczął się poruszać małymi kolistymi ruchami. Tierney opuścił głowę i chwycił jej sutek zębami, żeby mogła poczuć pieszczotę przez wszystkie warstwy ubrania. Zwiększył nieco nacisk kciuka.

Rozkosz narastała w Lilly, aż zaczęła czuć mrowienie i pulsowanie od czubka głowy po podeszwy stóp. Jej sutki stwardniały i naprężyły się niemal do bólu, w gardle uwiązł krzyk. Swoją wilgocią pokryła jego członek, nadal głęboko w niej, duży nawet w stanie spoczynku.

Spazmy po orgazmie trwały kilka minut. Kiedy minęły, Tierney pocałował ją lekko w usta i przytulił, pochylając się nad nią.

Nie odsunęli się od siebie, nie zamienili ani słowa.

Lilly obudziła się, pamiętając wszystkie szczegóły ostatniej nocy. Odtwarzała je w myśli raz po raz. Jej ciało było ospałe i ociążałe, rozdrażnione pożądaniem i senne z zaspokojenia. Tierney obejmował ją mocno od tyłu, przywierając udami do jej nóg, podbrzuszem zaś do jej pośladków. Kiedy się poruszała, zamruczał w proteście i mocniej chwycił ją w pasie.

- Muszę iść do łazienki - szepnęła.
- Wracaj szybko.
- Wygrzej dla mnie miejsce.

Odsunęła się od niego i spojrzała przez ramię. Tierney miał zamknięte oczy i uśmiechał się.

W kominku dopalały się ostatnie polana. W pokoju było potwornie zimno. Zrzuciła na siebie kurtkę i na palcach powędrowała do łazienki. Drzwi skrzyknęły, kiedy je otwierała. Zatrzymała się w pół ruchu i spojrzała przez ramię na Tierneya, który najwyraźniej znów zapadł w sen. Oddychał spokojnie, miarowo. Lilly miała nadzieję, że prześpi kolejne kilka godzin, żeby odzyskać siły po wczorajszej wyczerpującej wyprawie. Potrzebował wypoczynku, by wyzdrowieć.

W łazience było potwornie zimno. Lilly szybko się załatwiła i wróciła do dużego pokoju. Tierney nadal spał. Najciszej jak mogła ułożyła ostatnie polana na kracie kominka i rozgarnęła żar w palenisku, dodając kilka szczapek, aby szybciej rozniecić ogień. Niedługo będą potrzebowali więcej drewna. Przez chwilę się zastanawiała, a potem zaczęła szukać swoich rzeczy. Majtki i spodnie znalazła pod kocami, reszta leżała na podłodze tam, gdzie została rzucona. Ubrała się szybko. Buty już wyschły, skóra była twarda, ale już nie wilgotna i zimna. Włożyła rękawiczki i owinęła wokół szyi szalik Tierneya. Następnie użyła inhalatora.

Gdy wyszła na werandę, natychmiast zauważyła, że niebo się wypogodziło. Słońce było jeszcze poniżej szczytu, ale wschodni horyzont rozświetlał złotoróżowy blask jutrzeńki. Nad głową widziała gwiazdy. Chmury kłębiły się jeszcze nad samym szczytem, gnane przez wiatr przyginający do ziemi czubki drzew i miotający wkoło gałęziami. Choć nadal mocno wiało, wschodzący dzień niósł nadzieję ratunku.

Mimo to musieli się zabezpieczyć na wypadek, gdyby pomoc jednak nie dotarła. Bierwiona leżące na werandzie były ogromne. Nie zajmą się, trzeba będzie je porąbać na mniejsze części. Tierney zdołał rozłupać mniejsze polana, ale z dużymi toporek sobie nie poradzi.

Spojrzała w kierunku szopy na narzędzia. Od wczorajszego popołudnia, kiedy Tierney powrócił z wyprawy do samochodu, nie padało już tak bardzo, więc ścieżka, którą wydeptał, była nadal widoczna. Dotarcie do szopy i powrót powinno jej zająć nie więcej niż kilka minut. Pomimo jego zapewnień, że nie było tam siekiery, wiedziała, że się mylił. Po prostu przeczył ją i tyle.

Nie była na tyle głupia, aby samej rąbać drzewo. Zostawi ten obowiązek Tierneyowi. Nie będzie zadowolony, że poszła po siekiere, ale po tym, jak uratował jej życie, chciała przynajmniej oszczędzić mu kolejnej wycieczki. Powietrze było rześkie i czuła się dobrze, chociaż musiała oddychać przez szalik. Cieszyła się również na myśl o małym spacerze po

dwóch dniach spędzonych w domu. Bez zastanowienia zeszła po schodach i ruszyła wąską ścieżką wydeptaną przez Tierneya.

Tierney. Dziwne, że nigdy nie nazywała go po imieniu. Nawet tamtego dnia, na rzece, powiedziała do niego „Ben” tylko raz, bo zareagował na to słowami:

- Wszyscy mówią do mnie Tierney.

Pasowało do niego.

Przypomniała sobie, ile razy nazywała go tak ostatniej nocy, otuliła się ściślej kurtką i ukryła uśmiech pod szalikiem. Wciągnęła w nozdrza zapach Tierneya. Szczęśliwa jak nigdy od długiego czasu, przemierzyła szybko polankę i weszła między drzewa.

William Ritt poprowadził Dutcha i Wesa z parkingu do tylnego wejścia, a potem przez kuchnię do salonu.

- W kominku nadal mamy żar. Zaraz rozpalę - przykucnął przed paleniskiem i zabrał się do pracy.

Dutch umierał z niecierpliwości. Każda sekunda zwłoki działała na korzyść Begleya. Nie potrzebował ognia w kominku. Nie miał aż tyle czasu, żeby marnować go na rozniecanie ognia. Mimo to nie chciał naciskać na Williama, żeby ten nie stanął okoniem i mimo groźby skonfiskowania skuterów, nie odmówił im prawa do ich użycia. Stał więc i przyglądał się, jak Ritt dokłada do ognia nowe kawałki drewna i rozgarnia żar.

Następnie z jednej z zapinanych na suwak kieszeni kurtki wyciągnął krótkofalówkę. Trącił Wesa łokciem i wręczył mu ją.

- To na wypadek, gdybyśmy się rozdzielili tam na górze. Pamiętaj, jak się tego używa?

Wes skinął głową.

- Naciskasz guzik, kiedy chcesz mówić, zwalniasz, gdy chcesz słuchać.

- Tak jest. Działa na odległość dwudziestu kilometrów.

Polana wreszcie zajęły się ogniem. William wstał i odwrócił się do nich.

- Proszę bardzo, tak jest dużo lepiej. Poproszę Marilee, żeby zrobiła nam kawę.

- Naprawdę nie mamy czasu - powstrzymał go Dutch. - Po prostu daj nam kluczyki i już nas tu nie ma.

- To zajmie tylko kilka minut. Zrobi wam kawy do termosu. - Gestem zaprosił ich, by podeszli bliżej. - Czujcie się jak u siebie w domu.

- Naprawdę nie chcielibyśmy sprawiać Marilee kłopotu - powiedział Wes.

- Nie będzie miała nic przeciwko temu - odparł William i ruszył korytarzem.

Dutch pomyślał, że równie dobrze może wykorzystać czas oczekiwania na ogrzanie się. Podeszedł do kominka i wyciągnął dłonie ku płomieniom. Kątem oka obserwował, jak William podchodzi do środkowych drzwi w korytarzu. Nawet gdyby tak mu się nie spieszyło, byłby przeciwny obudzeniu Marilee, bo w ten sposób stawała się kolejną osobą, która poznała ich plan, a im więcej ludzi o tym wiedziało, tym większa szansa na niepowodzenie. Ale było już za późno.

William zapukał do drzwi, zanim je otworzył. Potem stanął w progu, z opuszczonymi ramionami, wpatrując się przed siebie. Dlaczego tak stał, gapiąc się na coś, co było w sypialni jego siostry? Zachowywał się dziwnie, nawet jak na Williama Ritta. Zastanowiło to Dutcha.

A może to, co zobaczył, sprawiło, że nie był w stanie się poruszyć czy zareagować w jakikolwiek inny sposób? Dutch poczuł ścisnięcie w żołądku. Włączył się instynkt policjanta. Wymówił pytająco imię Williama, ruszając jednocześnie w jego kierunku. Był przygotowany na widok poćwiartowanego ciała i krwi rozprysniętej na ścianach.

- Co się dzieje, do cholery? - spytał Wes, który również musiał zauważyć dziwne zachowanie Ritta. Szybko poszedł za Dutchem.

Znaleźli się przy Williamie w ciągu kilku sekund. Dutch czuł przypływ adrenaliny. Jego umysł przełączył się na tryb pracy detektywa. Zatrzymał się przy drzwiach i odsunął Wil-

liama na bok, myśląc głównie o zachowaniu wszystkich dowodów zbrodni. W pokoju jednak nie było krwi ani poćwiartowanego ciała. Marilee siedziała sztywno na łóżku z prześcieradłem podciągniętym pod brodę, wpatrując się w niego, zaszokowana nagłym najściem. Obok niej siedział równie wstrząśnięty Scott Hamer.

- O cholera! - Dutch odwrócił się z nadzieją, że powstrzyma Wesa, ale jego przyjaciel był już przy drzwiach. Wepchnął Dutcha do pokoju, a potem stanął w drzwiach, trzymając się framugi, jakby za chwilę miał zemdleć.

- Co to ma znaczyć, do cholery?! - ryknął.

- Wes.

Dutch położył ostrzegawczo dłoń na jego ramieniu, ale Wes odepchnął ją gniewnie i zataczając się, podszedł do łóżka.

Scott zrzucił z siebie prześcieradło i wstał. Był całkowicie nagi, ale zupełnie się tego nie wstydił.

- Dokładnie to, co widzisz, tato - rzucił, spoglądając na ojca wojowniczo. Ostatnie słowo zabrzmiało w jego ustach jak epitet.

Dutch podejrzewał, że Wes jest równie wściekły na Scotta za jego agresywny ton, jak za to, że przyłapał go na gorącym uczynku. Jednak to na Marilee skupił się cały jego gniew.

- Nie mogłaś sobie znaleźć mężczyzny, ty żałosna stara cipo?!

Scott skoczył do przodu i staranował Wesa niczym zawodowy futbolista, walnął ojca głową w brzuch i odrzucił na kilka metrów do tyłu. Wes uderzył o staromodne lustro. Drewniana ramka rozpadła się i tafla rozprysnęła się na tysiące kawałków. Nie powstrzymało to Scotta. Zaczął okładać Wesa pięściami, wrzeszcząc, żeby nie śmiał odzywać się w ten sposób do Marilee.

Dutch wiedział, że musi zainterweniować, bo inaczej obaj pokaleczą się o kawałeczki lustra. Podszedł do walczących, chwycił Scotta od tyłu w pasie i odciągnął od Wesa, który dyszał, leżąc na podłodze. Dutch pchnął chłopaka w drugi kąt pokoju.

- Uspokój się Scott i włoż coś na siebie. Wes!

Gestem głowy pokazał przyjacielowi wyjście. Wes rzucił mordercze spojrzenie Marilee i wyszedł do przedpokoju. Dutch podążył za nim i zamknął za sobą drzwi.

Przyjaciel krążył po holu niczym uwięziony w klatce lew. Dutch spojrzał na Williama, chcąc dać mu do zrozumienia, że powinni wrócić do salonu i tam zaczekać na wyjaśnienia. Zdał sobie jednak sprawę, że Ritt nie potrzebował żadnych wyjaśnień. Na jego twarzy błąkał się zadowolony uśmiešek. Nagle Dutch zrozumiał, dlaczego William tak się upierał, żeby przyjechać do domu i obudzić Marilee. Zaplanował to sobie, zainscenizował wszystko.

- Ty cholerny skurwielu! Wiedziałeś o tym.

William nawet nie próbował się wykręcać.

- Moja siostra jest bardzo hałaśliwą kochanką. Nie wspominając o Scotcie.

Drzwi do sypialni otworzyły się i stanęła w nich Marilee, nadzwyczaj opanowana, ubrana w szlafrok, z włosami zebranymi w kucyk.

- Scott wyszedł - powiedziała. - Jest bardzo zdenerwowany.

- Zdenerwowany? On jest zdenerwowany? - wrzasnął Wes.

- Tak. I tylko to mnie w tej chwili martwi.

- Lepiej, żebyś zaczęła się martwić o pracę, bo twoja kariera nauczycielki jest skończona.

- Zdaję sobie z tego sprawę, Wes, więc możesz przestać się na mnie wydzierać. Nie boję się ciebie. Nie jesteś w stanie mnie zastraszyć ani zranić.

- Ilu jeszcze chłopców brałaś sobie do łóżka?

- Scott nie jest chłopcem.

- Nie próbuj mnie chwytać za słówka. Raczej błagaj o wybaczenie.

- Za sypianie ze Scottem?

- Za pieprzenie się ze Scottem.

- Czy to dużo gorsze od podawania mu sterydów?

Dutch drgnął z zaskoczenia. Spojrzał przerażony na Wesa,

ale ten niczego chwilowo nie widział. Trząśniętą się ze złości. Na przemian zaciskał i rozluźniał dłonie, jakby szykował się, by skoczyć Marilee do gardła.

Obojętna na jego gniew, zwróciła się w stronę brata i spojrzała na niego ze wzgardą.

- Więc to tym się tak rozkoszowałeś. Wszystkie te aluzje i drwiny, zadowolenie z siebie - teraz już wiem dlaczego.

- Myślałem, że poruszę jakoś twoje sumienie, skłonię do zakończenia tej przygody, zanim będę musiał sięgnąć po ostateczne środki.

- To nieprawda - przerwała mu. - Kłamiesz. Chciałeś, żeby ta scena rozegrała się tak właśnie, ponieważ jesteś okrutnym, paskudnym, małym człowieczkiem, Williamie.

- Przepraszam bardzo, Marilee, ale chyba nie masz prawa mnie wyzywać.

- Zastanawiam się tylko, co teraz będziesz robił, żeby się rozerwać. Zresztą niespecjalnie to mnie obchodzi. Wyprowadzę się, jak tylko załatwię wszystkie niezbędne sprawy. A ty możesz iść do diabła! - Odwróciła się i weszła do sypialni, zatraskując za sobą drzwi.

- Wiedziałeś o tym i mi nie powiedziałeś? - krzyknął Wes do Williama.

- Miałem zepsuć taką niespodziankę?

Wes rzucił się w kierunku Ritta, znacznie od niego mniejszego, ale Dutch chwycił go za kurtkę. To byłoby czyste morderstwo.

- Oduść sobie, stary.

Wes trochę oprzytomniał.

- Daj mi kluczyki do skuterów - zażądał Dutch od Williama.

- Dlaczego niby miałbym to zrobić?

Dutch podszedł bliżej.

- Jeżeli nie dasz mi zaraz tych kluczyków, pozwolę Weso-
wi przestawić ci twarz i do końca swojego pierdolonego życia
będziesz musiał odżywiać się przez słomkę. Czy to wystar-
czający powód?

William parsknął z pozorną obojętnością wobec groźby, ale sięgnął do kieszeni spodni i wyciągnął pęk kluczy, który nosił zawsze przy sobie. Dutch wyrwał mu je z ręki.

- Jedziesz ze mną? - spytał Wes.

Wes nie odpowiedział, ale wyszedł za Burtonem z domu. Nie zamienili ani słowa, dopóki nie znaleźli się w samochodzie i nie ruszyli w kierunku garażu.

- Czy wiesz, co się stanie ze stypendium Scotta, jeżeli ktośkolwiek się o tym dowie? Na uniwersytecie nie lubią narybku, który pieprzy się ze swoimi wykładowcami. - Wes uderzył kilka razy pięścią w deskę rozdzielczą. - Skurwysyn Ritt! Mam ochotę rozsmarować tego śmierzącego małego gnojka na ścianie. Specjalnie to zaaranżował, prawda?

- Tak.

- Dlaczego?

- Z zemsty.

- Za co? Co ja mu takiego zrobiłem?

Dutch spojrzął na niego i zmarszczył brwi. Wes wyglądał na rozczarowanego.

- Chciał się odegrać na tobie za te wszystkie lata pomiatańia nim, rzeczywistego i zmyślonego - powiedział Dutch. - Nie wiem tylko, dlaczego chciał upokorzyć również Marilee. Scott jest tylko dzieciakiem. Skorzysta z okazji, kiedy ta się nadarzy, nawet jeżeli ma się przespać z nauczycielką. Ale Marilee? Jestem zaskoczony. Kto by pomyślał, że jest zdolna do czegoś takiego.

Wes roześmiał się ponuro.

- Och, one wszystkie są do tego zdolne. Nie wiedziałaś? Wszystkie kobiety to dziwki.

Obudził go ból i chłód, który poczuł po wyjściu Lilly z ich przytulnego gniazdka. Nie otwierając oczu, schował się głębiej pod kołdrę i odpłynął w marzenia o ostatniej nocy. O Lilly. O ich pierwszym cudownym, cichym, płynnym, rozkosznym zbliżeniu.

Żadne z nich nie wypowiedziało ani słowa. Nie musieli

tego robić. Wystarczyły im gesty, mowa ciała. Odwieczny instynkt nakazał mu pojąć to ciało, którego tak bardzo pragnął. Ona zaś, z mistyczną wiedzą darowaną kobietom, oddała się mu i pozwoliła myśleć, że to on ją posiadał.

Po ich pierwszym razie Tierney przekręcił się na bok, pociągając ją za sobą tak, że ułożyli się twarzą w twarz. Żałował, że nie potrafi czytać w myślach. Chciał wiedzieć, czy odzyskał jej zaufanie. Kiedy wpatrywał się w jej oczy, spojrzenie Lilly wydawało się pełne wiary, ale może było to wciąż rozmarzenie po orgazmie? Odgarnął kilka kosmyków z wilgotnego policzka, dotknął dolnej wargi wierzchem palca wskazującego i przesunął kostką po jej zębach.

- Zdajesz sobie sprawę, że nie miałem zabezpieczenia.

W odpowiedzi pokiwała głową.

- Powinnaś mi się kazać wycofać.

Spojrzała tylko na niego wymownie.

- Przysięgam, że zrobiłbym to, gdybyś poprosiła.

- Ale nie poprosiłam.

- Rzeczywiście. - Objął ją w talii, położył dłoń na pośladku i przysunął do siebie, aż jego penis znalazł się pomiędzy jej udami. Pocałowali się mocno, pożądliwie. Jej usta były gorące, spragnione, wilgotne i uległe. Sama myśl o tym, co mogłyby zrobić, sprawiła, że krew uderzyła mu do głowy. Roześmiał się lekko i przerwał pocałunek.

- Nie mogę uwierzyć, że to mówię, ale płonę.

- Ja też - uśmiechnęła się.

Rozebrali się.

Boże! Naga Lilly.

Wreszcie ją zobaczył i nie mógł się napatrzeć. Była piękna. Piersi opadały w dół łagodnym łukiem, blask płomieni oświetlał skórę, formując erotyczne języki cienia, które lizały brodawki.

- Zeszłego lata, kiedy byłaś mokra...

- Wiem, co masz na myśli - przerwała mu. - Byłam zażenowana.

- Zdawałem sobie z tego sprawę. Starałem się patrzeć wy-

łącznie na twoją twarz, ale nie było to łatwe. - Przesunął palcami pomiędzy jej piersiami.

- Dotknąłeś mnie dzisiaj - powiedziała niskim, schrypniętym głosem. - Kiedy spałam na twoich kolanach.

Spojrzał na nią, a potem odwrócił wzrok.

- Tylko trochę.

- Myślałam, że to był sen.

- Ja też. - Znowu spojrzał jej w oczy. - Jeżeli teraz również śnię, proszę cię, nie budź mnie.

- Nie zrobię tego.

Jej sutek stwardniał pod dotykiem jego dłoni. Przesunął po nim kciukiem, a potem delikatnie chwycił w palec. Lilly wciągnęła gwałtownie powietrze i wyszeptała jego imię.

- Pieść mnie ustami - poprosiła.

Tierney pochylił głowę i przesunął wargami po sutku.

- Oszukujesz - powiedział.

- Dlaczego?

- Pod słuchujesz moje myśli.

Z gardła schowanego pod kocami Tierneya wydobył się teraz jęk, kiedy przypominał sobie ten moment pieśczości. Jego język nader dobrze pamiętał smak i dotyk jej brodawki. Otworzył oczy i uśmiechnął się, kiedy zrozumiał, że marzenia zamieniły się w sen. Teraz jednak całkowicie się rozbudził, z bolesnym wzrodem.

Oczywiście. Dlaczego miałyby to być jedyna część ciała, która mi nie dokucza? - pomyślał. Krzywiąc się z bólu, usiadł i przetarł oczy pięściami.

- Lilly?

Odrzucił koce i wstał, a przynajmniej spróbował. Udało mu się dźwignąć na nogi, ale nie mógł się wyprostować. Powoli przywrócił ciało do pozycji pionowej, chociaż wszystkie jego stawy, kości i mięśnie protestowały. Dostał gęziej skórki i zaczął się trząść z zimna. Chwycił koc i owinał się nim.

- Lilly? - zawołał. Kiedy nie odpowiedziała, ruszył do łazienki.

*

Lilly zatrzymała się na brzegu lasu, podziwiając zapierającą dech w piersiach scenerię. Krajobraz wyglądał jak trójwymiarowe zdjęcie na pocztówce świątecznej. Konary choinek obsypane śniegiem, nagie gałęzie drzew liściastych odcinające się czarnymi kreskami na tle śnieżnej bieli. Brzask oświetlał jedynie czubki drzew, pochylone pod naporem wiatru. Tutaj, na dole, las był cichy, nieruchomy i mroczny. Wyglądał jak wzniesiona przez naturę katedra, miejsce pradawnego kultu. Chciała zostać tu i cieszyć się spokojem i ciszą, ale palce u stóp zaczęły tracić czucie, przypominając jej, że choć przyroda jest taka piękna, to jednak bardzo niebezpieczna - śmiertelnie, jeżeli nie zachowało się ostrożności.

Trzymając się wąskiej ścieżki, dotarła do szopy. Śnieg uformował pod jej ścianami wysokie zasy, ale Tierney wcześniej oczyścił trochę drogę do drzwi wejściowych. Chwyciła za klamkę, szarpnęła, ale drzwi nawet nie drgnęły. Pociągnęła kilkakrotnie, też bez skutku. Spróbowała jeszcze raz, wkładając w to całą siłę. Nagle drzwi puściły tak gwałtownie, że z zaskoczenia straciła równowagę, zsunęła się jeden stopień w dół i niemal przewróciła.

Śmiejąc się z własnej niezgrabności, weszła do środka. Było tam ciemniej, niż się spodziewała. Pluła sobie w brodę, że nie zabrała latarki. Chciała jak najszybciej znaleźć siekiere i wracać. W szopie zawsze były pająki, a pewnie i myszy. Zawsze też się bała, że natrafi w środku na węża. Chociaż wszystkie zwierzęta tkwiły najprawdopodobniej głęboko w swoich legowiskach, zimne i wilgotne wnętrze sprawiało, że czuła się bardzo nieswojo. Pachniało tu nieprzyjemnie, zmurszałym drzewem i klepiskiem.

Odczekała chwilę, aż oczy przyzwyczają się do ciemności, a potem rozejrzała się dookoła. Nie dostrzegła nigdzie siekiery, ale z tego, co pamiętała, powinna ją znaleźć w skrzyni na narzędzia. Słyszała własny, głośny oddech. Nie był świszczący, niemniej niepokojąco głośny. Może jednak podjęła złą decyzję, przychodząc tutaj? Zazwyczaj taki wysiłek nie powodował żadnych dolegliwości, ale po niedawnym ata-

ku astmy i przy tak niskiej temperaturze chyba rzeczywiście nie powinna się przemęczać. Tym bardziej powinna szybko odszukać siekiere i wrócić do domu. Do Tierneya. Do łóżka z Tierneyem.

Nigdy przedtem wieko skrzyni na narzędzia nie wydawało jej się tak ciężkie. Za pierwszym razem nie zdołała go otworzyć, ale jedynie unieść zaledwie kilka centymetrów, zanim poddała się, wyczerpana. Gdyby dostała tu ataku astmy, Tierney nigdy by jej tego nie wybaczył.

Przykucnęła i umieściła dłonie pod wiekiem. Prostując się i jednocześnie pchając przykrywę, zdołała wreszcie unieść ją do pionu. Zanim zdążyła złapać ciężkie wieko, opadło na pobliską ścianę z hukiem, którego jednak nie usłyszała. Wpatrywała się bowiem w martwe, mętne oczy Millicent Gunn.

Powietrze uszło z jej płuc gwałtownie, jednak gdy próbowała zaczerpnąć oddechu, oskrzela skurczyły się gwałtownie. Usłyszała własne rżenie. Instynktownie cofnęła się, uciekając od okropnego widoku. Odwróciła się i zastygła na widok Tierneya, który stanął w drzwiach prowadzących do szopy. Miał na sobie dzinsy i buty, ale pod rozpiętą kurtką był nagi. Jego pierś unosiła się i opadała gwałtownie, w takt ciężkiego oddechu. Pokonał drogę z domu tutaj biegiem.

- Tierney - zachłysnęła się. - Millicent...
- Nie chciałem, żebyś to zobaczyła.

Nagle, w przebiegu zrozumienia, pojęła, dlaczego jego twarz była tak surowa i zacięta, dlaczego pobiegł za nią do szopy i dlaczego nie był zaskoczony widokiem ciała Millicent, ciśniętego bez szacunku w skrzynię pełną pordzewiałyh narzędzi.

Tierney podszedł do niej kilkoma długimi krokami. Nie mogła się poruszyć, sparaliżowana strachem, jak w koszmarach nocnych, kiedy człowiek staje bezbronny wobec śmiertelnego niebezpieczeństwa. W ostatniej jednak chwili poczuła, że odzyskała panowanie nad swoim ciałem. Kiedy Tierney chwycił ją za ramiona, zaczęła z nim walczyć, używając wszystkich sposobów - bijąc, kopiąc, gryząc, drapiąc. Wyryła mu na

policzku kilka krwawych pręg, zanim udało mu się opasać ją ciasno ramionami.

- Lilly, przestań!

Sapał i dyszał.

Nie, to nie Tierney wydawał z siebie ten okropny dźwięk. To jej własny astmatyczny oddech.

- Do diabła, Lilly, uspokój się!

- Ty morderco! - wrzasnęła. Potem zobaczyła, jak jego ręka zbliża się z zastraszającą prędkością ku jej szyi.

Nic nie bolało.

29

Agent Charlie Wise podskoczył w górę, kiedy zadzwonił telefon.

Po omacku sięgnął po komórkę i wygrzebał ją spomiędzy kluczy, portfela z odznaką, drobnych i okularów, które zostawił na szafce nocnej przed położeniem się do łóżka. Spał jak zabity, ale dźwięk telefonu był skuteczny niczym alarm przeciwpożarowy, bezlitośnie wyrwijąc go z błogiego stanu nieświadomości. Omal nie dostał zawału serca.

Otworzył klapkę i przycisnął słuchawkę do ucha.

- Wise.

- Dzień dobry, Sowa. Obudziłem cię?

Dzwonił Perkins. Połączenie nie było najlepsze, ale Wise słyszał go w miarę dobrze.

- Nie - skłamał, sięgając po okulary. - Po prostu byłem zaskoczony. Nie sądziłem, że sieć telefonii komórkowej już działa.

- Helikopter... około... temu. Pogoda... niezdecydowany... mówi...

- Chwileczkę, Perkins. Jesteś tam jeszcze? Zaczekaj. - Sowa skopał z siebie kołdrę, wygrzebał się z łóżka i podszedł do okna w nadziei, że sygnał się wzmacni. - Perkins?

- Słabo cię słyszę, Sowa.
- Powiedz mi wszystko w skrócie.
- Helikopter. Będzie w Cleary około dziesiątej. Trzyosobowa ekipa ratunkowa, jeden był snajper z HRT*.

- Świetnie. Coś jeszcze?

- Tak. Co do Tier... miałem... noc. Zabrałem się... coś...

Sfrustrowany Sowa przekreślił głowę, usiłując znaleźć jak najlepszą pozycję dla komórki, żeby poprawić połączenie, ale spostrzegł, że połączenie zostało przerwane. Wyświetlacz na telefonie wskazywał, że nie ma zasięgu.

- Sowa?

W drzwiach pokoju gościnnego, w którym spędził noc Wise, stał Begley. Trzymał w dłoni Biblię, palcem zakładając stronę, którą zapewne przed chwilą czytał. Był już ubrany i wyglądał świeżo jak szczypiopek na wiosnę. Sowa zdał sobie nagle sprawę, że stoi przy oknie w bieliźnie i trzęsie się z zimna.

- Dzień dobry. To był Perkins. Helikopter pojawi się tutaj o dziesiątej.

- Doskonale. - Begley spojrzał na zegarek. - Ubierz się i...

- Tak jest.

Begley wycofał się i zamknął za sobą drzwi.

Na szczęście bojler z ciepłą wodą w ośrodku Gusa Elmera były podgrzewane gazem, więc Sowa mógł wziąć znowu prysznic. Zrobił to też wieczorem, zaraz po zameldowaniu się do domku numer siedem. Begley chciał zostać jak najbliżej ósemki, nie wierzył bowiem, że Dutch Burton będzie się trzymał z daleka od zabezpieczonych materiałów.

Ponieważ nie było prądu, nie mogli uruchomić komputera Tierneya, co bardzo się Begleyowi nie podobało. Chciał koniecznie dostać się do plików. Sowa z kolei cieszył się skrycie z powodu tego opóźnienia. Ledwie widział na oczy ze zmęczenia i nie sądził, by potrafił skoncentrować się na tyle, żeby włamać się do komputera.

* HRT, Hostage Rescue Team, jednostka antyterrorystyczna FBI, uważana za jedną z najlepszych na świecie (przyp. tłum.).

Wynajęty przez nich dom był jedynym pozostałym mieszkaniem z dwoma sypialniami rozdzielonymi dużym pokojem i kuchnią. Udało im się jakoś urządzić, wykorzystując jedynie światło rzucane przez ogień z kominka, świeczki i kerosenową lampkę turystyczną. Po spożyciu chili z puszki, którą kupili od Gusa Elmera, Sowa wykapał się i ledwie przytomny powędrował do łóżka.

Teraz, pięć minut po przebudzeniu, dołączył do Begleya siedzącego w dużym pokoju.

- Zagotowałem wodę na kawę, ale nie polecam ci jej, Sowa - odezwał się przełożony. - Na komendzie napijemy się lepszej. Zdecydowałem, że tam poczekamy na helikopter. Poza tym, chyba powinniśmy powiedzieć o jego przybyciu Burtonowi.

- Zgadza się, sir. - Sowa sięgnął po kurtkę i rękawiczki.

- Kiedy, według Perkinsa, powinniśmy się spodziewać lądowania?

- Nie wiem dokładnie. Nie zdążył przekazać mi wszystkiego, zanim przerwało połączenie.

Begley sprawdził zasięg na swojej komórce. Nic. Przeklął pod nosem.

- Obawiam się, że będziemy mieli problemy z komunikacją.

- Zadzwoń do Perkinsa z komendy, jak tylko się tam znajdziemy.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu.

- Ta Lilly Martin - odezwał się wreszcie Begley. - Sądzisz, że nadal żyje?

- Mam taką nadzieję.

- Dlaczego?

- Ponieważ Chaber wie, że pani Martin zadzwoniła do Burtona i powiedziała mu, z kim została uwięziona w górskiej chacie.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz.

Po przybyciu przed posterunek policji z zaskoczeniem zobaczyli przed budynkiem mnóstwo samochodów, większość

z nich z napędem na cztery koła. Reszta, która nie zmieściła się na parkingu, stała po obu stronach ulicy.

- Co się tu, do diabła, dzieje? - spytał Begley.

W środku, w poczekalni kłębili się mężczyźni odziani w maskujące stroje do polowania i tym podobne odzienie. Większość z nich była uzbrojona w strzelby. Jeden z mężczyzn trzymał nowoczesny łuk i kołczan pełen groźnie wyglądających strzał. Wszyscy mówili równocześnie, wyraźnie podeksytowani.

Begley zaczął przedzierać się przez tłum w kierunku dyżurnego, który najwyraźniej był głównym celem ataku cywilów. Po kilku nieudanych próbach agent specjalny włożył palce do ust i gwizdnął przeraźliwie. Uciszyło to tłum. Zgromadzeni odwrócili się z łomotem ciężkich butów i wpatrzyli się w niego z oczekiwaniem.

Begley stanął w lekkim rozkroku, z rękami na biodrach. Później Sowa zwierzał się kolegom, że nigdy w życiu nie widział tak groźnego spojrzenia. Przedstawił się tłumowi.

- Czy ktoś może mi powiedzieć, co się tutaj dzieje? - spytał ostro.

Tłum rozstał się, przepuszczając do przodu jakiegoś mężczyznę, ubranego jak na Alaskę. Sowa rozpoznał w nim Ernego Gunna.

- Panie Begley, panie Wise. Wszyscy tutaj to ochotnicy, którzy pomagali szukać Millicent, dopóki nie przeszkodziła im burza śnieżna. Wczoraj rozeszły się pogłoski o człowieku, który ją porwał. Zgromadziliśmy się tu dzisiaj, żeby pomóc pochwycić Bena Tierneya.

Najwyraźniej zaraz po spotkaniu z agentami FBI Gunn poinformował wszystkich swoich przyjaciół, że Ben Tierney jest zbrodniarzem, który uprowadził jego córkę. Ci powtórzyli to swoim znajomym i tak rozeszło się po całym mieście. Sowa spojrzął na twarze tych uzbrojonych mężczyzn i zobaczył determinację obrońców praw obywatelskich, zdecydowanych odnaleźć poszukiwanego i wymierzyć mu własną sprawiedliwość.

Zignorował tłum i zwrócił się do Gunna:

- Rozumiem pana desperację...

- Z całym szacunkiem, panie Begley, ale nie rozumie pan. Pana córka jest bezpieczna w domu.

- Proszę o wybaczenie - odparł pokornie Begley. - Zdaję sobie sprawę z tego, jak bardzo pragnie pan odnaleźć Millicent i chyłę czoło przed pana troskliwymi przyjaciółmi, którzy poświęcili czas, aby jej szukać. Mówię szczerze. - Spojrzył w oczy wszystkim zgromadzonym. - Niemniej, panowie, dziś rano przypominacie mi zgrają szykującą się na samosąd. Pan Tierney nie jest na razie podejrzanym. Nie mamy przeciwko niemu żadnych, podkreślam, żadnych dowodów. Ludzie usłyszeli jego nazwisko w związku z naszą tutaj wizytą. Plotki rozchodzą się niczym ogień. Wiadomość nadano w radiu i rozdmuchano całą sprawę ponad normę. Przyjechaliśmy do Cleary wyłącznie po to, by przesłuchać pana Tierneya, co pomoże wykluczyć go z naszej listy podejrzanych.

- My też chcemy to właśnie zrobić. Przesłuchać go - dobiegł z tłumy jakiś niezidentyfikowany głos. Głośne cmoknięcie na końcu wywołało u pozostałych chichoty.

- Do rozmowy nie będziecie potrzebować broni - odparł Begley, wyraźnie zirytowany. - Helikopter pojawi się tutaj za godzinę. Zamierzam polecieć nim na górę. Jeżeli Tierney rzeczywiście znajduje się w chacie do niedawna należącej do komendanta Burtona, poprosimy go o współpracę i przesłuchamy zgodnie z obowiązującą jurysdykcją i z uwzględnieniem wszystkich jego praw konstytucyjnych. Tak i tylko tak się to odbędzie, panie Gunn. Jeżeli pan i pana przyjaciele spróbujecie zagrozić naszej misji czy wziąć sprawy w swoje ręce, zrobię wszystko, co konieczne, by was powstrzymać. To sprawa policji i jako taka...

- W takim razie, gdzie jest ta cholerna policja? - przerwał gniewnie Gunn.

- Co proszę?

Gunn machnął ramieniem w stronę zgromadzonego za nim tłumy.

- Ci ludzie przyszli tu dziś rano, aby zaoferować policji swoją pomoc i czas, ale naszego komendanta nigdzie nie ma.

Sowa spojrział zaskoczony na Begleya.

- Co ma pan na myśli? - spytał.

- To co pan słyszał - odparł Gunn. - Jego podwładni nie widzieli Dutcha od wczorajszej nocy, kiedy oznajmił dyżurnemu, że zamierza pójść do domu i odpocząć.

- Powiedział nam, że mamy po niego zadzwonić w razie potrzeby - potwierdził Harris, przeciskając się przez tłum. Służbowy strój zamienił na gruby kombinezon i ciepłą czapkę z nausznikami, co upodobniło go do zgromadzonych w poczekalni cywilów. - Przed chwilą wróciłem od niego. Wygląda na to, że od dłuższego czasu nikogo nie było w domu. Nie widziałem nawet popiołu w kominku.

Begley rzucił zaniepokojone spojrzenie Sowie.

- Może Wes Hamer...

- On też zniknął - przerwał mu Harris, kręcąc głową. - W drodze powrotnej wstąpiłem do niego. Pani Hamer powiedziała, że mąż wrócił do domu późno w nocy, przespał się kilka godzin i wyszedł przed świtem.

- Wie, dokąd się udał?

- Utrzymuje, że nie ma pojęcia.

Sowie nie podobało się to wszystko. Sądząc po ponurej minie Begleya, jego przełożony również martwił się najnowszymi wieściami. Ten zastanawiał się w milczeniu przez chwilę.

- Oficerze Harris - rzucił wreszcie.

- Tak, sir?

- Podczas nieobecności pana przełożonego i dopóki nie ustalę inaczej, czynię pana odpowiedzialnym za tych mężczyzn. Zorganizuje pan oficjalne poszukiwania. Pierwszym pana zadaniem będzie upewnić się, czy wszyscy posiadają odpowiednie wyposażenie i zapasy. Mówię tu o wszystkim, począwszy od amunicji, przez dodatkowe ubranie, kompas, jedzenie i wodę, dużo wody. Nie chcę być odpowiedzialny za to, że ktoś zemdleje podczas akcji z odwodnienia.

- Tak jest, sir.

- Ma ich pan przygotować, żeby byli gotowi wyruszyć na dany znak.

- Tak jest, sir. - Młody policjant spojrział pytająco: - Wyruszyć dokąd?

- Nie dowiem się, dopóki nie dokonam rozpoznania terenu z helikoptera. Pozostaniemy w stałym kontakcie radiowym, dlatego sugeruję, żebyście czekali na posterunku. Wykorzystajcie go jako bazę operacyjną. Mogą się tu pojawić jeszcze inni ochotnicy, a prawdopodobnie będziemy potrzebować każdej pary rąk. Czy mogę coś zasugerować?

- Tak, sir?

- Z własnej praktyki wiem, że rozdzielenie ludzi na mniejsze grupy i wyznaczenie przywódców jest najlepszym sposobem na koordynację działań ochotników. Proszę jednak dokonać ostrożnego wyboru. Liderzy poszczególnych grup będą odpowiadać bezpośrednio przed panem. Oczywiście to jedynie sugestia. Może pan postąpić wedle własnego osądu.

- Tak jest, sir.

- Agencie Wise. - Begley odwrócił się na pięcie i ruszył w kierunku wyjścia.

Sowa otworzył drzwi przed przełożonym, a potem wyszedł za nim. Gdy tylko znaleźli się na zewnątrz, przestali udawać.

- Sądziś, że kupili moje gadanie? - spytał Begley.

- Trudno orzec, sir - odparł Sowa.

- Próby dojścia do ładu ze wszystkim, a zwłaszcza wybieranie przywódców grup, zajmie im przynajmniej godzinę. Mam nadzieję, że do tego czasu uda się nam ocalić panią Martin i aresztować Tierneya. - Begley przerwał. - Cholera! Nie zdążyłeś skorzystać z telefonu.

- Perkins nie użył pagera. Jeżeli miałyby jakąś pilną wiadomość, na pewno wysłały mi sygnał. Będę próbował się z nim porozumieć przez komórkę.

- Jak sądziś Sowa, dlaczego Burton i Wes Hamer zniknęli tak nagle?

- Nie mam pojęcia.

- Nie podoba mi się to. Ani trochę.

Sowa otworzył drzwi do samochodu.

- Dokąd teraz, sir?

- Do drogerii. Zdaje się, że często tam przesiadują. Zaczniemy nasze poszukiwania od tego właśnie miejsca. - Zanim Begley wsiadł do samochodu, spojrzął na czyste niebo. - Nigdy nie sądziłem, że to powiem, ale zaczynam tęsknić za śnieżycą. Wtedy przynajmniej wiedzieliśmy, gdzie są wszyscy.

Marilee nie sądziła, że może się zdarzyć coś gorszego niż do tej pory.

Myliła się.

U jej drzwi pojawiła się Dora Hamer. Wyglądała jak wariatka, która przed chwilą uciekła ze szpitala psychiatrycznego. Ubrana była w szlafrok, którego kołnierz zamókł od śniegu. Na nogach miała kapcie, z których wystawały czerwone, przemarznięte stopy. Marilee nigdy nie widziała kogoś równie zrozpaczonego. Gdy tylko otworzyła drzwi, Dora krzyknęła:

- Czy jest tu Scott?

- Nie.

- Wiesz, gdzie jest? Błagam, jeżeli wiesz, gdzie jest, powiedz mi!

Marilee wciągnęła ją do domu, a potem poprowadziła do kominka.

- Niech pani usiądzie i opowie, co się stało.

Dora nie skorzystała z zaproszenia. Zaczęła krążyć po pokoju, nerwowo przyglądając włosy. W jednej dłoni zaciskała zwitek papieru. Lewy margines kartki był nierówny, jakby ktoś wyszarpnął ją pospiesznie z notatnika.

- Co to jest? - spytała Marilee.

- List, który znalazłam w pokoju Scotta. Przed chwilą był u nas policjant.

- Policjant?

- Jeden z ludzi Dutcha. Szukał swojego szefa i Wesa - wyjaśniła niecierpliwie Dora. - To nieważne. Po jego wyjściu zajrzałam do pokoju Scotta, żeby sprawdzić, jak się czuje. Nikogo nie było, ale znalazłam to. - Wyciągnęła dłoń z kartką

w kierunku Marilee. - Czy to prawda? - spytała, po jej policzkach spływały łzy. - Jesteś jego kochanką?

Marilee nie zamierzała zaprzeczać.

- Od kilku miesięcy - odparła cicho.

Dora stanęła i spojrzała na nią w osłupieniu.

- Jak mogłaś? Co ci strzeliło do głowy?

- Pani Hamer, bardzo proszę - powiedziała łagodnie Marilee. Bardziej martwiła się o stan psychiczny matki Scotta niż o oskarżenia, które ta na nią rzucała. Dora była na skraju załamania nerwowego. - Opowiem pani wszystko, co chce pani wiedzieć o moim związku ze Scottem, ale *nie* mogę tego zrobić, jeśli będzie pani na mnie krzyczała. Proszę? - wskazała na dwa fotele przed kominkiem, ale Dora gwałtownie odtrąciła jej rękę. Uderzenie zabolowało, ale Marilee zachowała spokój, wiedząc, że jedna z nich musi zachować zimną krew.

- Co jest w liście? - spytała.

- Scott wyjaśnił w nim, co się tu odbyło dziś rano.

- Nie będę ukrywać, że było to bardzo nieprzyjemne wydarzenie.

- Powinnaś być z siebie bardzo dumna - powiedziała z gniewną ironią Dora. - To wszystko przez twoje bezwstydne zachowanie.

Rzuciła pomietą, wilgotną od ściskania w dłoni kartkę w stronę Marilee. Ta rozprostowała ją i rozpoznała charakter pisma Scotta. List był zaadresowany do obojga rodziców. Pierwsze zdanie bardzo ją zaniepokoiło.

- „Wiem, że nigdy mi nie wybaczycie tego, co zrobiłem” - przeczytała na głos i spojrzała na Dorę. - Co miał na myśli? Co takiego zrobił, czego nie potrafilibyście mu wybaczyć?

- Pieprzenia własnej nauczycielki, jak przypuszczam. Nie wiem. - Dora znów zaczęła krążyć po pokoju, wykręcając ręce w zdenerwowaniu. - Jesteś ostatnią osobą, z którą chcę mieć cokolwiek do czynienia. Nie mam ochoty przebywać w twoim domu, zbliżać się do ciebie, ale przyszedłam tu, ponieważ sądziłam, że możesz mi wyjaśnić ten list albo powiedzieć, gdzie jest teraz Scott i co takiego niewybaczalnego

zrobił. Powiedz mi, cokolwiek! - wrzasnęła, akcentując ostatnie słowo.

Marilee jeszcze raz przeczytała pierwsze zdanie.

- To może chodzić o nasz romans albo o... - nie mogła się zmusić, by wypowiedzieć na głos swoje myśli.

- Czy napisał to w związku z tym, co zamierza zrobić, zanim przeczytam ten list, czy w związku z czymś, co zrobił wcześniej? Coś, co uważa za rzecz niewybaczalną?

- Nie wiem, pani Hamer, i nie chcę spekulować.

Dora oparła się o ścianę, schowała twarz w dłoniach i zaczęła płakać.

- Czy to znaczy, że Scott chce się zabić?

Marilee czytała dalej, z rosnącą paniką. Z listu przebijał samobójczy nastrój, chociaż Scott nigdzie nie powiedział wyraźnie, że zamierza ze sobą skończyć. Ale gdy dziś rano wychodził z jej pokoju przez okno, ledwie zdążywszy się ubrać, był bardzo zdenerwowany. Chociaż Marilee błagała, żeby został, nie dał się przekonać. Uciekł. Najwyraźniej wstąpił do domu tylko po to, by napisać list. Cokolwiek zdecydował, podjął decyzję bardzo szybko, i to przerażało Marilee. Scott wyraźnie nie myślał rozsądnie ani logicznie.

- Czy zabrał ze sobą coś, zanim wyszedł? - spytała.

- Nie wiem - odpowiedziała Dora, ale tak, jakby była głęboko zatopiona w rozpaczy i przestała słuchać, co się do niej mówi.

Marilee chwyciła ją za ramiona i potrząsnęła nią silnie.

- Czy cokolwiek zniknęło z domu?

- Na przykład co? - Dora nieco oprzytomniała.

Na przykład pistolet. Zanim jednak Marilee zdołała wypowiedzieć swą myśl na głos, rozległo się głośnie pukanie. Obie kobiety podskoczyły i wpatrzyły się w drzwi przestraszone. Marilee pierwsza odzyskała odwagę. Przemierzyła pokój i otworzyła.

- Panno Ritt. Poznaliśmy się wczoraj.

- Pamiętam. Agent Wise.

- Tak, proszę pani. A to agent specjalny Begley.

- Proszę wejść. - Marilee cofnęła się w głąb korytarza, wpuszczając do środka agentów FBI. Zatrzymali się zaraz po wejściu do dużego pokoju, widząc skuloną pod ścianą Dorę. Begley nie skomentował ani słowem jej ubrania i zachował się, jakby właśnie wprosił się na herbatkę.

- Dzień dobry, pani Hamer.

Oczy kobiety płonęły z przerażenia. Krew odpłynęła z jej twarzy.

- Przyszliście tu w sprawie Scotta?

- Scotta? Nie.

- Co się stało? - spytał Wise, wyczuwając jej strach.

- Nie wiemy - odpowiedziała za nią Marilee. - Co panów tu sprowadza?

- Mieliśmy nadzieję zastać pani brata. Przed chwilą byliśmy w drogerii, ale jest zamknięta.

Na wspomnienie o bracie Marilee poczuła, jak tężeje jej twarz.

Nadal usiłowała zrozumieć ogrom jego zdrady wobec niej i radość, jaką czerpał z krzywdzenia ludzi. Nie potrafiła tego pojąć. Gdyby rzeczywiście, tak jak powtarzał, przejmował się losem innych, przyszedłby do niej i porozmawiał w cztery oczy, zachęcił do rozmowy z psychologiem albo księdzem, może nawet zagroził, że rozpowie o wszystkim, jeżeli natychmiast nie zakończy romansu ze Scottem. Tymczasem on trzymał wszystko w tajemnicy, czyniąc tylko aluzje, aż wreszcie zastawił pułapkę, która by uczyniła największe szkody i dała mu największą satysfakcję. Bóg, w którego Marilee wierzyła, powinien uznać zły uczynek Williama za dużo większy grzech niż jej miłość do Scotta.

Agenci nadal czekali na jej odpowiedź.

- William wyszedł godzinę temu.

Rankiem Marilee odczekała, aż ucichnie odgłos odjeżdżającego samochodu brata, zanim wyszła ze swojego pokoju.

- Myślałam, że pojechał do sklepu. Jeżeli go tam nie ma, to obawiam się, że nie mogę pomóc. Czego panowie od niego chcą?

- Właściwie szukamy jego klientów. Pani męża, pani Hamer - zwrócił się do Dory. - Czy wie pani, gdzie on teraz jest?

- Nie mam pojęcia.

- Byli tu wcześniej obaj z Dutchem - rzekła Marilee. - Słyszałam, jak rozmawiali z Williamem o skuterach śnieżnych. Ostatnio mój brat kupił je na jakiejś aukcji.

Po odejściu Scotta stłumione odgłosy rozmowy w korytarzu dotarły do jej sypialni. Była zbyt zrozpaczona po wyjściu Scotta, żeby zwracać uwagę na podniesione głosy i to, o czym rozmawiali trzej mężczyźni, ale słowo „skuter” zapadło jej w pamięci.

- Teraz, kiedy o tym pomyślę, Wes i Dutch byli ubrani jak na narty.

Spojrzenie, jakie Begley wymienił z Wise'em, zaniepokoiło ją.

- Proszę, panowie, o co chodzi?

- O Cleary Peak - odparł Begley.

- I o pana Tierneya?

- Czy podczas rozmowy z pani bratem wspominali o nim albo o Cleary Peak? - spytał Wise.

- Raczej nie...

- Czy zna pani tę górę, panno Ritt?

- Bardzo dobrze. Wychowałam się na niej, nasz dom był tuż pod szczytem, na zachodnim stoku.

- Zachodnim stoku? Jak docieraliście stamtąd do miasta? Czy Mountain Laurel Road zakręca wokół góry?

- Nie. Od zachodniej strony jest inna droga, teraz niezbyt przejezdna. Kilka lat temu dość duże jej odcinki osunęły się wraz z lawiną błota, a ponieważ nikt na ogół z niej nie korzysta, nie została naprawiona.

- Skutery śnieżne mogą się jednak po niej przedostać na szczyt, tak?

- Tego nie wiem, ale przypuszczam, że to możliwe. - Obzuciła wzrokiem obu agentów. - Myślicie panowie, że Wes i Dutch wyruszyli na górę, żeby złapać Tierneya?

Begley nie odpowiedział na to pytanie.

- Oczekujemy na przybycie helikoptera z Charlotte. Mam nadzieję, że dostaniemy się na górę przed ludźmi, którzy chcieliby wymierzyć sprawiedliwość na własną rękę. - Popatrzył na Dorę. - Czy zechce pani zadzwonić do pana Hamera i doradzić mu, aby nie robił nic ryzykownego?

- Oczywiście, tyle że już próbowałam się z nim skontaktować i nie mogłam się połączyć. Chciałam powiedzieć mu o Scotcie, ale...

- Co się stało Scottowi? - Przenikliwe spojrzenie Begleya było tak onieśmielające, że Dora odwróciła wzrok.

- Dziś rano zostawił w swoim pokoju bardzo niepokojący list - odpowiedziała Marilee i nie pytając Dory o zgodę, podała kartkę Begleyowi, który przeczytał i podał ją Wise'owi. Jego mina nie była zbyt zachęcająca.

- Pani Hamer. Czy pytania o Millicent, które zadawaliśmy wczoraj pani synowi, mogły go tak bardzo rozstroić?

- Nie. - Jej odpowiedź była pozbawiona mocy, co Begley natychmiast wychwytał.

- Szczerze mówiąc, sądzimy, że Scott - a właściwie cała wasza rodzina - ukrywa przed nami informacje, które mogą być ważne dla prowadzonego przez nas śledztwa.

- List sugeruje, że Scott jest niestabilny emocjonalnie - rzekł Wise. - Może wie o zniknięciu Millicent więcej niż...

- Jego niestabilność emocjonalna nie ma nic wspólnego z Millicent - przerwała Marilee. Obaj mężczyźni popatrzyli na nią z zainteresowaniem. - Nie pozwolę, abyście tracili panowie czas na dociekanie nieistotnych szczegółów. - Zawahała się przez chwilę, zanim zaczęła mówić dalej: - Scott jest rozmocjonowany, ponieważ mój brat i jego ojciec podają mu sterydy. Chce to przerwać, ale wie, że jego ojciec urządzi mu z tego powodu piekło. Poza tym... - przerwała, aby zaczerpnąć oddechu i złożyła ręce. - Poza tym dziś rano zostaliśmy nakryci ze Scottem w łóżku. Tak, panowie, zrozumieliście moje słowa właściwie - dodała, widząc niedowierzanie w ich oczach. - Scott i ja jesteśmy kochankami.

Wise pierwszy odzyskał głos. Odchrząknął, zanim zapytał:

- Czy sądzi pani, że w swoim liście odnosi się do swojej... ehm... znajomości z panią?

- Tak sądzę, chociaż nie jestem tego pewna.

- W liście sugeruje samobójstwo, ale... - Dora nie była w stanie powiedzieć nic więcej. Zaczęła cicho płakać.

- Poprosimy o rozpoczęcie poszukiwania jego samochodu - powiedział Wise. - Jestem przekonany, że przy tym stanie dróg nie ujechał daleko.

Dora potrząsnęła głową.

- Scott nie wziął samochodu.

- Chce pani powiedzieć, że wybrał się gdzieś na piechotę?

- Mój syn uwielbia chodzić na górskie wycieczki. Wspiął się nawet na Cleary Peak.

Begley i Wise popatrzyli na siebie znacząco.

- Jak długo pani i Scott pozostawaliście w związku, pan-no Ritt? - spytał Begley. Marilee była mu wdzięczna, iż nie wypowiedział tych słów z potępieniem, ale wręcz przeprasza ją.

- Od września.

- Czy od tamtego czasu Scott kiedykolwiek zwierzał się pani, dlaczego zerwał z Millicent Gunn?

- Nigdy nie opowiadał mi o swoich byłych dziewczynach, a ja nie pytałam.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- Nigdy?

- Nigdy.

- Nie była pani ani trochę ciekawa?

- Nie.

- Zatem jest pani niezwykłą kobietą.

Albo kłamczucha. To właśnie sugerował Begley. Dziwne, ale bardziej niż twarde spojrzenie, podzielał na nią jego łagodny ton. Marilee zgarbiła ramiona i odetchnęła głęboko.

- Ostatniej nocy. Rozmawialiśmy o tym ostatniej nocy, po raz pierwszy. Opowiedział mi, dlaczego przestał się widywać z Millicent.

Agenci czekali, ale Marilee nie powiedziała ani słowa więcej.

- Dlaczego? - spytał wreszcie Begley.

- Nie powiem tego panu, panie Begley. Nie w tej chwili. Tylko jeżeli będzie to konieczne.

- Musimy to wiedzieć teraz - wtrącił Wise.

- Przykro mi.

Wise chciał powiedzieć coś więcej, ale Begley powstrzymał go gestem dłoni. Marilee nadstawiła uszu i po chwili zidentyfikowała odgłos, któremu przysłuchiwał się Begley.

- Oto helikopter - rzekł i ruszył ku drzwiom wyjściowym.

- Poczekajcie! - krzyknęła Dora. Begley przystanął i odwrócił się. - Jeżeli Scott jest na górze...

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby przyprowadzić go do domu całego i zdrowego, pani Hamer. Daję pani moje słowo.

Po wyjściu agentów pokój wydał się nagle bardzo zimny. Marilee podeszła do kominka i obróciła polana, a potem usiadła naprzeciwko Dory.

- Są przekonani, że Scott miał coś wspólnego ze zniknięciem tamtej dziewczyny - powiedziała.

Objęła się ramionami, w ochronie przed chłodem. Być może był to również podświadomy gest, próba chwycenia się nadziei, że list Scotta nie sugerował samobójstwa z powodów, których nie chciała, nie śmiała dociekać.

- Od Millicent do ciebie - rzuciła pogardliwie Dora. - Nie wiem, która z was jest gorsza.

- Nie oczekuję, że pani zrozumie.

- Dziękuję bardzo - roześmiała się gorzko Dora. - Ponieważ nigdy nie rozumiem, jak tak przyzwoita i odpowiedzialna osoba, jaką się zawsze wydawałaś, mogła uwieść niewinnego chłopca. Jesteś autorytetem. Byłaś wzorem dla Scotta. Podziwiał cię.

- Nadal to robi.

Dora udała, że nie słyszy.

- To przez ciebie wymykał się po nocach z domu. Przychodził tutaj.

- Tak.
- Zdajesz sobie sprawę, na jakie niebezpieczeństwo go narażałaś?

- Tak - odparła Marilee ze skruchą. Wpatrzyła się w płomień. - Oboje wiele ryzykowaliśmy.

- A mimo to wciągnęłaś go do łóżka.

Marilee uniosła głowę i spojrzała na Dorę.

- Czy wyglądam na femme fatale, która kusi mężczyzn i zwabia ich do swojej łóżnicy, pani Hamer? - Uśmiechnęła się z niedowierzaniem. - Scott zareagował na mnie w taki sam sposób, jak ja na niego. Potrzebowaliśmy się nawzajem.

- Potrzebowaliście seksu.

- Tak, była w nas pasja. - Marilee zignorowała skrzywioną minę kobiety. - Jednak ciągnęło nas do siebie z wielu innych powodów. Obojgu brakowało nam tego, co drugie mogło, chciało i z radością zgodziło się ofiarować.

- Och, jestem pewna, że z chęcią zaoferowałaś mojemu osiemnastoletniemu synowi możliwość zaspokojenia jego żądz.

- Tak - przyznała Marilee bez skrępów. Zastanawiała się, jak wiele powinna powiedzieć matce Scotta. Czy ma jej wyznać, że stała się również konfesjonałem, kiedy ostatniej nocy Scott wreszcie otworzył się przed nią i wyznał jej całą prawdę o sterydach, którymi faszerował go Wes?

Była to najmniej szokująca z tajemnic, z których się jej zwierzył, ale czy opowiadanie Dorze o postępku Wesa wobec Millicent nie byłoby zbyt wielkim okrucieństwem? Może zresztą już o tym wiedziała. Jeżeli jednak nie, w obecnej chwili nie nadawała się do wysłuchania tej historii.

Poza wszystkim, Marilee nie była hipokrytką. Jakże mogła rzucić kamieniem w Wesa, kiedy sama została nakryta na cudzołóstwie z własnym uczniem i to nie dalej jak dziś rano? Pozostała zatem przy faktach, ale przedstawiła je w zawaolowany sposób.

- Byłam dla Scotta kimś, przy kim mógł się rozluźnić, pozbyć stresu związanego z presją wywieraną na niego przez

pani męża. Słuchałam jego zwierzeń, jego przemyśleń i marzeń, w których...

- Nie próbuj się wybielać, Marilee. Księża, którzy wykorzystują młodych chłopców, również słuchają ich zwierzeń w konfesjonale i udzielają rozgrzeszenia. Jesteś tylko niewyżyta seksualnie starą panną, która wreszcie znalazła kogoś, kto się na nią załapał.

- Oczywiście ma pani rację - przyznała ze smutkiem Marilee. - Pod każdym względem. Usprawiedliwia mnie tylko to, że Scott jest już pełnoletni, a zatem nie popełniłam przestępstwa, uprawiając seks z nieletnim. Z etycznego punktu widzenia jednak było to... - Nie chciała powiedzieć, że złe. Nigdy nie umiałaby myśleć o jej związku ze Scottem jako o czymś złym. - Było to nie do przyjęcia - dokończyła.

Wpatrywały się obie w płomień przez kilka długich chwil. Potem Dora pochyliła się i oparła łokcie na kolanach. Schowała twarz w dłoniach i zastygła tak, zdało się, na wieki. Zanim opuściła ręce i spojrzała na Marilee, polana w kominku zdążyły się już spalić na popiół.

- Kochasz mojego syna, prawda?

- Z całego serca - odparła Marilee cicho. - Nie rozpaczaj jednak, Doro. Nie musisz się martwić o to, że zrujnuję Scottowi życie. Zanim jeszcze nasz romans się zaczął, kiedy wciąż jeszcze był tylko cudownym marzeniem, wiedziałam, że jeżeli do czegokolwiek między nami dojdzie, będzie to chwilowe. I wiedziałam, że to, co między nami zaistnieje, nie może, nie ma szans i nie powinno zmienić się w coś trwałego. Od początku planowałam pewnego dnia po cichu usunąć się z jego życia, żeby zaoszczędzić mu wstydu lub poczucia winy. - Odwróciła głowę i wpatrzyła się tęsknie w ogień. - Wiedziałam, że ten dzień prędzej czy później nadejdzie. Zdawałam sobie sprawę, że złamię serce mnie, a może też i Scottowi, chociaż miałam nadzieję, że to drugie się nie stanie. W oczekiwaniu na nadejście tego dnia cieszyłam się każdą chwilą, którą dane nam było spędzić razem. Wiedziałam, że jeśli nasz romans zostanie odkryty, będę napiętnowana do końca życia, ale nic

mnie to nie obchodziło. Po raz pierwszy postąpiłam wbrew regułom. Żyłam chwilą i starałam się nie dopuścić, aby strach przed nieuniknionym zepsułem cudowne godziny, jakie spędziłam ze Scottem. Dałam mu wszystko, co miałam. - Spojrzała znowu na Dorę. - Zrobiłabym to raz jeszcze, bez cienia żalu czy skruchy.

Dwie kobiety spoglądały na siebie z pełnym zrozumieniem. Trudno było powiedzieć, która z nich poruszyła się pierwsza. Zdawało się, że obie jednocześnie wyciągnęły ramiona i chwyciły się za ręce, mocno, rozpaczliwie, ponieważ żadna z nich nie miała niczego innego, czego mogłaby się chwycić.

30

- Podśłuchujesz moje myśli.

Objął wargami jej sutek i zaczął ssać, pieszcząc go jednocześnie językiem, aż Lilly wydało się, że za chwilę umrze z rozkoszy. Przesunął się ku drugiej piersi, szepcząc:

- Nago jest znacznie lepiej niż w ubraniu.

- Mimo to udało ci się znaleźć to, co trzeba, nawet przez wszystkie warstwy moich rzeczy.

- Mam wbudowany czujnik ciepła.

- Najwyraźniej - uśmiechając się uwodzicielsko, przesunęła dłonią po jego brzuchu, objęła członek i zaczęła go masować.

- Widziałam cię podczas kąpieli - wyznała szeptem.

Spojrzał na nią pytająco.

- Twoje odbicie w szybie, tylko przez chwilę, zupełnie przypadkiem, ale...

- Ale co - wymruczał, całując ją w usta.

- Zrobiłam się wilgotna i rozpalona.

- To, co robisz teraz, rozpala mnie.

Ściskając go i gładząc na przemian, doprowadziła go do

pełnego wzvodu. Kiedy przesunęła kciukiem po gładkiej główce, naciskając ją lekko w najbardziej wrażliwym miejscu, Tierney jęknął z rozkoszy:

- Boże, Lilly!
- To cudowne urządzenie.
- Nie tylko to.

Nie wiedziała dokładnie, jak znalazł się nagle pomiędzy jej udami, z dłonią podłożoną pod jej biodra i przyciągnął do siebie, szukając jej rozpalonego wnętrza językiem. Jego pieszczoty budziły w niej uczucia, jakich się nigdy nie spodziewała. Nie myślała również, że dwoje ludzi może się do siebie zbliżyć aż tak bardzo. Czy rzeczywiście wykrzyknęła jego imię? A może tylko jej się zdawało. Tak czy owak, odbiło się wielokrotnym echem w jej głowie i sercu.

Chwilę później, kiedy znalazł się już głęboko w niej, spojrzała mu w oczy, przekazując milion rzeczy, które chciała mu powiedzieć, jednak nie znalazła odpowiednich słów. Tierney uśmiechnął się czule. Zrozumiał. Tierney rozumiał wszystko.

Lilly ocknęła się w dużym pokoju. W kominku płonął ogień, więc nie było jej zimno. Przez jedno z odsłoniętych okien wpadało światło słoneczne. Bolała ją szyja, ale tylko trochę.

Była spięta kajdankami.

Tierney!

Boże, śniła o nim, o ostatniej nocy, o kochaniu się z nim. Z jej piersi wyrwał się szloch upokorzenia i gniewu, ale nie mogła sobie teraz pozwolić na zatracanie się w owych uczuciach. Zostawi to na później, pod warunkiem, że przeżyje.

Rozejrzała się w panice po domu, nasłuchując odgłosów świadczących o czyjejs obecności. Szybko zrozumiała, że jest całkiem sama. Siedziała na podłodze przy barze, który oddzielał kuchnię od dużego pokoju. Jej dłonie były przypięte kajdankami do metalowej rury biegnącej pod blatem. Zdrętwiały od trzymania ich w górze i zapewne to ją obudziło.

Dźwignęła się na kolana, żeby rozluźnić nieco ramiona. Na stojącym nieopodal krześle leżały jej inhalatory. Mogła je

łatwo dosięgnąć, gdyby wyprostowała palce. Obok stał kubek z wodą. Jakże uprzejmie ze strony Tierneya. Chciał, żeby była w formie, kiedy będzie ją zabijał.

Czy miał jakikolwiek wybór? Przypieczętowała swój los, odnajdując w szopie ciało Millicent.

Tierney był Chabrem.

Jego tłumaczenia dotyczące kajdanków i całej reszty były kłamstwem. Prawdopodobnie wspiał się na Cleary Peak, żeby pozbyć się ciała Millicent, ale zaskoczyła go śnieżycy. Musiał odłożyć wszystko na później. Schował więc ciało w najwygodniejszym miejscu - w jej szopie na narzędzia. W drodze powrotnej do samochodu został potrącony przez Lilly.

Wszystkie jego czyny i uniki były niezaprzeczalnymi dowodami winy. Jak mogła uwierzyć choćby przez chwilę, nie wspominając o całej nocy, że był zwyczajnym człowiekiem? Odpowiedź była prosta: uwierzyła, bo chciała.

Pragnęła go. Jego poświęcenie, gotowość do zaryzykowania życia, uprzejmość i dobroć, jakich doświadczyła poprzedniego dnia, nie pasowały do wizerunku mężczyzny, który chciał ją zniszczyć. Cóż za sprytny modus operandi. Tierney zaprzyjaźniał się ze swoimi ofiarami, flirtował z nimi, aż osiągały stadium sentymentalnego zamroczenia. Kochał się z nimi, ale w którymś momencie czułe pieśczęty zmieniały się w gwałt.

Lilly widziała twarz Millicent tylko przez chwilę, zanim odwróciła się od niej z przerażeniem, ale ów widok wyrzył się aż nadto w jej pamięci. Millicent nie umarła wstrząsana dreszczami rozkoszy. Została uduszona. Morderca był okrutny i bezwzględny. Dziewczyna umierała powoli, boleśnie, aż jej język i oczy wyszły na wierzch. Potworna śmierć. Na samą myśl o tym Lilly poczuła trwogę, ale również i determinację, aby nie stać się kolejną ofiarą Tierneya.

Gdzie on się podziewał i ile miała czasu do jego powrotu? Czy poszedł pozbyć się ciała Millicent, zanim rozprawi się z nią? Cokolwiek teraz robił, musiał się spieszyć. Nie miał zbyt wiele czasu. Sam powiedział, że dziś Dutch lub ktoś inny spróbuje przedostać się na górę, żeby ich uratować.

Kiedy? Kiedy? Kiedy?

Szarpnęła kajdankami, wiedząc, że wszelkie próby uwolnienia się są bezowocne. Jeżeli Tierney nie mógł tego dokonać, jakie szanse miała ona? Boże, czy rzeczywiście całowała jego pozdieraną do krwi skórę na nadgarstkach i szramy pozostawione przez jej paznokcie na jego dłoni? Nie mogła o tym teraz myśleć. O tym i o innych rzeczach, które robili w ciepłej ciemności pod kocami. To wszystko zdarzyło się ostatniej nocy. Dziś było inaczej. Lilly nie umrze ze wstydu. W ogóle nie umrze/Przetrwa.

Wymacała palcami śruby przytwierdzające rurę, do której była przykuta. Jeżeli uda jej się poluzować je wystarczająco, żeby wyciągnąć wsporniki z drewna, odzyska przynajmniej możliwość poruszania się. Nadal wprawdzie będzie miała skute ręce, ale może zdoła stąd uciec.

Sprawdziła śruby. Były mocno przykręcone, ale mimo wszystko spróbowała. Połamała sobie paznokcie i pozdierała opuszki palców. Po pięciu minutach uznała, że jej wysiłki są daremne. Nie udało się poluzować ani jednej śruby. Zyskała tylko tyle, że oddech stał się bardziej świszczący, a palce zaczęły krwawić. Jeżeli nie wymyśli jakiegoś innego sposobu ucieczki - a nic nie przychodziło jej do głowy - będzie musiała zaczekać na nadejście pomocy.

Co się tu wydarzy? Czy Tierney zabije ją szybko i ucieknie? Czy zatrzyma jako zakładniczkę, negocjując warunki swojego uwolnienia? Czy będzie próbował uniknąć aresztowania, a może zastrzelenia? Czy Lilly umrze, spoglądając mu w twarz, błagając wzrokiem o oszczędzenie życia, tak jak wczoraj błagała o ofiarowanie go jej po czterech latach żałoby? A może zobaczy jego leżące na zbrukanym krwią śniegu nieruchome ciało, z którego powoli uchodzić będzie życie? Nie była pewna, który obraz wywołał u niej płacz.

Przestała szlochać, kiedy zadzwonił telefon.

- Cholera! Dodzwoniłem się do poczty głosowej - przeklął Dutch. - Dlaczego Lilly nie odbiera telefonu?

Podróż na szczyt trwała dłużej, niż przypuszczali, i cierpliwość Dutcha już dawno się wyczerpała. Znał mniej więcej drogę, która teraz była pokryta kilkudziesięcioma centymetrami śniegu i śliskimi pościami lodu. Poruszanie się po niej, nawet na prostych odcinkach, było niezwykle trudne. Poza tym ani on, ani Wes nie mieli doświadczenia w prowadzeniu skuterów. W opinii Dutcha były to niebezpieczne i nieporęczne pojazdy.

Gogle narciarskie wbijały się boleśnie w skórę na jego twarzy, która spuchła tak, że nos jakby zlał się z policzkami. W niektórych ranach pojawiła się ropa. Żeby ulżyć sobie w bólu, Dutch ściągnął gogle, ale od blasku odbijającego od śniegu zaczęły go potwornie boleć oczy, więc ostatecznie je założył.

Na zachodnim stoku wiatr był znacznie silniejszy. Nie zawsze mogli się osłonić przed zacinającym śniegiem. Było potwornie zimno. Na szczęście uchwyty kierownicy skuterów były podgrzewane, inaczej zamarzłyby im ręce. Musieli jechać jeden za drugim, więc co jakiś czas zmieniali się na prowadzeniu. W tej chwili z przodu jechał Wes. Zasygnalizował Dutchowi, że zamierza się zatrzymać.

- Muszę się odlać.

Dutcha denerwowało opóźnienie, ale wykorzystał postój, by zatelefonować. Kiedy okazało się, że ma zasięg, szybko ściągnął rękawiczki i wystukał numer Lilly.

Wes załatwił się i zaczął się przedzierać w kierunku skuterów. Usłyszał retoryczne pytanie Dutcha, dlaczego Lilly nie odbiera telefonu.

- Spróbuj jeszcze raz.

Dutch ponownie wybrał numer Lilly, z tym samym skutkiem.

- Nie wyciągaj pochopnych wniosków. To, że nie odbiera telefonu nie oznacza jeszcze... no wiesz. Mogą być różne powody.

Dutch skinął głową, ale w głębi duszy nie wierzył w to, co powiedział Wes.

- Może próbowała się akurat do ciebie dodzwonić? - odpowiedział wieczny optymista Wes.

Dutch zasłonił dłonią komórkę i spojrzał na wyświetlacz. Nie było żadnych nieodebranych połączeń od Lilly, za to aż trzy z komendy, w minutowych odstępach czasu. Jego ludzie pewnie zastanawiają się, gdzie jest. Niechętnie wykręcił numer. Odebrano natychmiast, ale panujący w tle hałas pogorszył i tak już kiepską słyszalność.

- Szefie, czy pan mnie słyszy? - spytał dyżurny.

Żartował sobie chyba. Słyszać go było nawet w Chinach.

- ...pana szukali.... Helikopter... BI wylądował... szkolnym boisku... pospieszyć, inaczej... bez pana.

Dutch się rozłączył. Później powie, że stracił zasięg, nie zrozumiał wiadomości z powodu przerw w połączeniu, nie usłyszał informacji o przybyciu helikoptera.

- Begley dostał helikopter?

Wes usłyszał część wypowiedzi podekscytowanego dyżurnego. Dutch skinął ponuro głową i jeszcze raz spróbował połączyć się z Lilly. Przeklął, gdy usłyszał początek nagranej przez nią wiadomości.

- Nie rozumiem tego - rzucił gniewnie. - Boi się, że ją uratuję?

- Lilly nie wie, że Tierney jest Chabrem - przypomniał mu Wes.

- Wiem, ale jest...

- Posłuchaj! - Wes uniósł dłoń. - Słyszałeś to?

- Co?

- Ciiiiii!

Dutch zsunął czapkę z ucha i zaczął nasłuchiwać. Docierał do niego jedynie gwizd wiatru i głucho tąpnięcia śniegu, opadającego z przeciążonych gałęzi.

- Nic nie słyszę - mruknął po chwili.

- Teraz ja też nie, ale wydawało mi się, że przedtem coś słyszałem.

- Co na przykład?

- Coś w rodzaju tych cacek.

- Skuter śnieżny? Niemożliwe. W każdym razie na pewno nie jeden ze skuterów Ritta. Wziąłem kluczyki do wszystkich czterech. - Dobrze pamiętał, że w pęku kluczy, które zabrał Williamowi, były cztery do uruchomienia skuterów. W garażu musieli szybko sprawdzić, które pasowały do wybranych przez nich pojazdów. Resztę kluczy nadal miał przy sobie.

- Pewnie to tylko moja wyobraźnia - potrząsnął głową Wes. - Te maszyny są tak cholernie głośne, że wyczyniają cuda ze słuchem. O czym to mówiłeś? Że Lilly jest...

- Jest tam od dwóch dni, uwięziona, bez prądu. Dlaczego nie trzyma telefonu przy sobie, modląc się, żebym zadzwonił, lub nie próbuje dzwonić do mnie?

- To dobre pytanie - przyznał Wes. - Może nie ma zasięgu albo bateria jej wysiadła?

- A może nie żyje.

- Dutch...

- Albo jest ranna. Albo tuli się w łóżku do Tierneya, ignorując dzwonek komórki. Być może znajdują ją nie ranną, ale try-skającą życiem i zaspokojoną seksualnie.

Dutch zrozumiał, że przyjaciel myślał o tym samym.

- Gdyby mogła, na pewno by oddzwoniła, stary. Jestem tego pewien.

Dutch miał ochotę zepchnąć Wesa z grani za jego protekcyjny ton i traktowanie go jak kogoś niespełna umysłu, ale zamiast tego założył tylko rękawiczki.

- Jeżeli zamierzasz prowadzić, lepiej się pospiesz.

Wes ruszył w kierunku skutera.

- Nie mogę przyspieszyć. Te zakręty są niebezpieczne.

- Wiedziałeś, w co się pchasz. A tak przy okazji, dlaczego to zrobiłeś?

- Co?

Dutch ściągnął gogle i spojrzał na Wesa długo, przenikliwie.

- Co?

- Dlaczego to robisz, Wes? Nie zrozum mnie źle. Chcę do-rwać Tierneya bez względu na to, czy jest Chabrem, czy nie, ale jaki ty masz w tym interes?

- Nie rozumiem. - Wes potrząsnął głową, zdezorientowany.

- Owszem, rozumiesz. Ostatniej nocy zrobiłeś wszystko, żeby przekonać mnie do pościgu za Tierneyem. Chcę wiedzieć dlaczego.

- Już ci wyjaśniłem. To ty, a nie FBI, powinieneś zebrać pochwały za złapanie Tierneya. Chyba nie ma w tym nic złego, co?

- Nie, nie ma w tym nic złego, ale myślę, że masz w tym ukryty cel i sądzę, że jest on związany ze Scottem.

- Ze Scottem?

- Powinieneś wiedzieć, Wes, że im bardziej się starasz, by wszystko wyglądało niewinnie, tym bardziej staje się podejrzane. Próbujesz ze mną pogrywać? Jak już powiedziałem, zamierzam załatwić Tierneya tak czy owak. Ale chcę się po prostu upewnić, że nie zrobiłeś mnie w jajo. - Spojrzał twardo na Wesa. - Czy Scott ma coś wspólnego ze zniknięciem tamtych pięciu kobiet?

- No tak, jasne. Na pewno smalił cholewki do Betsy Calhoun. Rajstopy z klinem zawsze go podniecały.

- Ja nie żartuję.

- W takim razie jesteś szalony. Ten psycholog w Atlancie powinien być cię uważniej zbadać.

- Coś się dzieje z twoim dzieciakiem.

- Posuwa swoją własną nauczycielkę angielskiego! To chyba wystarczy, żeby być nieco niespokojnym, nie sądzisz?

- To wszystko?

- To nie wystarczy?

- Czy Scott zrobił coś Millicent?

- Jak możesz tak myśleć?! Znasz Scotta od chwili jego narodzin.

- Ciebie znam jeszcze dłużej. - Dutch spojrział na niego zwężonymi oczami. - Czy Scott jest tym, kogo szukamy?

- Nie zamierzam nawet...

- Chronisz go?

- Nie!

- Znam cię, Wes.
- Gówno tam wiesz!
- Kryjesz kogoś.
- Kryję siebie!

Dutch cofnął się kilka kroków i wpatrzył w przyjaciela z niedowierzaniem. Zaschło mu w ustach. Wes wypuścił głośno powietrze z płuc i spojrzał na drzewa po prawej stronie drogi, po czym przeniósł wzrok na Dutcha.

- Pieprzyłem ją, rozumiesz?
- Znam cię, Wes. Tyle zdołałem się domyślić.
- Właśnie. - I Wes opowiedział pokrótce o swoim krótkim romansie z Millicent i jego konsekwencjach.

- Wiedziałem, że po tym wszystkim Scott nie będzie chciał mieć z nią nic wspólnego, więc mój mały plan przerwania ich znajomości zadziałał znakomicie. Nie przewidywałem jednak zniknięcia Millicent. Nie miałem z tym nic wspólnego, Scott również, ale przyznam ci się, bracie, że to śledztwo cholernie mnie przstraszyło. Te dupki z FBI przyglądają się życiu Millicent przez lupę, grzebiąc coraz głębiej. Byłoby cholernie źle, gdyby historia o naszym trójkąciku stała się publicznym skandalem. A to jeszcze nie koniec. Nie chciałbym, żeby jej rodzice, federalni czy ktokolwiek inny odkryli, że jeden z nas, a może jakiś inny facet, kto to wie, zrobił jej bachora. Nieważne zresztą, kto był ojcem. To do mnie przyszła, marudząc i przekonując, że dzieciak jest mój. Sam rozumiesz, miałem najwięcej pieniędzy i najwięcej do stracenia, gdybym nie zapłacił. Scott nic nie wie o tej sprawie. Na szczęście Millicent poroniła z powodu anoreksji, zanim zdołała spełnić swoje groźby i opowiedzieć wszystkim o Scotcie, o mnie i całym naszym radosnym trójkącie.

- Jezus Maria!
- Sam widzisz. Już wtedy sprawa nie wyglądała najlepiej.

Wyobrażasz sobie jednak, co by się zaczęło dziać, gdyby to wyszło na jaw teraz? Nawet jeżeli udałoby mi się uniknąć zemsty Erniego Gunna, a jest on całkiem sprawnym strzelcem, to przecież obaj ze Scottem znaleźlibyśmy się nagle na samym

szczybie listy podejrzanych. Oczywiście, prędzej czy później sprawę by wyjaśniono, ale co z tego. Moje małżeństwo i kariera trenera byłyby skończone. Nieważne, ile mistrzostw okręgowych wygrała moja drużyna. Radzie szkoły nie podobałoby się, że posuwałem cheerleaderkę.

- Millicent nie była pierwsza.

- I pewnie nie ostatnia. Mam na tyle odwagi, żeby się przyznać do swojej słabości - skrzywił się z odrazą. - Ale ta sprawa wymknęła się spod kontroli. Millicent była również dziewczyną Scotta. Zaszła w ciążę, poroniła, a potem zniknęła. Wszystko to razem wzięte wygląda dość podejrzanie. Dlatego tak bardzo chcę, żeby rozwiązać sprawę Chabra, zakończyć całe to zamieszanie i wtrącanie się w życie biednej małej Millicent. - Przerwał dla zaczerpnięcia oddechu. - To wszystko, Dutch. Cały mój ukryty interes w tej sprawie. Poza tym, że chcę pomóc mojemu najlepszemu przyjacielowi. Teraz lepiej?

Dutch potrząsnął głową i roześmiał się zgryźliwie.

- Powiniennem wiedzieć, że to ma coś wspólnego z twoim fiutem.

Wes rozłożył szeroko ramiona i uśmiechnął się rozbrajająco.

- Co mogę powiedzieć.

- Nie będę cię oszukiwał, Wes. Nastraszyłeś mnie.

- Jedźmy dorwać tego skurwiela. - Wes klepnął go po ramieniu. Kiedy jednak Dutch odwrócił się i dosiadł skutera, uśmiech na twarzy Wesa zgasł.

Lilly chciało się krzyczeć z bezsilności, kiedy telefon zadzwonił po raz drugi. Leżał na stoliku do kawy, w zasięgu wzroku, ale zbyt daleko, żeby zrobić z niego użytek. Tierney się o to postarał.

Jeżeli Dutch otrzymał jej krótką wiadomość sprzed dwóch dni, zapewne próbuje gorączkowo skontaktować się z nią, wiedząc, że spędziła tyle czasu z Chabrem.

A może to nie był Dutch?

Może jej wiadomość nie dotarła do niego, może Dutch o niczym nie wie. Tak jak powiedziała wczoraj Tierneyowi, może on myśli, że jest bezpieczna w domu, w Atlancie. Dała mu aż nadto jasno do zrozumienia, że ich wspólne życie dobiegło końca. Jeżeli tym razem wreszcie wzięją to sobie do serca, mógł postanowić, że nie będzie jej dłużej zdręczać swoją osobą.

Kiedy telefon zadzwonił po raz trzeci, zaczęła się modlić, żeby to był Dutch lub ktokolwiek inny, kto dotrze tutaj i uratuje ją, zanim wróci Tierney.

Tierney oddychał ciężko, z trudem. Obłoki pary, które wydobywały się z jego ust chwilami przypominały gęstą mgłę. Jego serce zdawało się wypełniać całą klatkę piersiową. Postanowił zignorować pulsujący ból w kostce, ale tym razem jego siła woli nie działała. Z każdym krokiem kostka bolała coraz bardziej. Znosił ten ból tylko dlatego, że uciekał, ratując swoje życie.

W chwili, gdy wymieniono w radiu jego nazwisko, stał się ruchomym celem. Wszyscy mężczyźni, kobiety i dzieci w Cleary będą chcieli go dopaść i nie zawahają się przed wymierzaniem zemsty nawet w obecności agentów FBI. Jeżeli Dutch Burton otrzymał wiadomość od Lilly, ruszy tu na czele zgrai spragnionej krwi.

Dlatego Tierney nie przemieszczał się główną drogą, lecz szedł przez las. Jeżeli uzbrojona grupa z Cleary pospieszyła na ratunek Lilly - i po głowę Chabra - na pewno by się na nią natknął na drodze.

Po wczorajszej wyprawie wiedział, czego może się spodziewać na dworze, ale ta wiedza nie uczyniła wędrówki łatwiejszą. Musiał się poruszać szybko, lecz jednocześnie ostrożnie, co wzajemnie się wykluczało. Obawiał się kolejnej kontuzji, lecz jeszcze bardziej bał się polującej na niego bandy, która siedziała mu niemal na karku.

Wreszcie udało mu się osiągnąć pierwszy cel podróży - drogę prowadzącą w dół zachodniego stoku. Uradowany, że

udało mu się dotrzeć aż tutaj, oparł się o pień drzewa i zaczął głęboko oddychać, uzupełniając tlen, chociaż powietrze było tak zimne, że drażniło mu drogi oddechowe. Napił się nieco wody z małej plastikowej butelki.

Tylko raz jechał tą drogą. Wiedział, że jest rzadko używana ze względu na uszkodzenia nawierzchni. Teraz z powodu śniegu i zlodowacenia powinna być wręcz nieprzejezdna. Napotkanie na niej kogokolwiek było mało prawdopodobne. Poza tym nie przecinała Main Street, tak jak Mountain Laurel Road. Kiedy dotrze do podnóża góry, znajdzie się dobre kilka kilometrów od centrum miasta. Jego szanse na znalezienie jakiejś tymczasowej kryjówki będą dużo większe.

Wyciągnął telefon komórkowy z kieszeni kurtki. Miał zasięg, ale - po dwóch dniach spędzonych na górze - bateria była niemal na wyczerpaniu. On nie mógł nigdzie zadzwonić, ale ponieważ połączenie zostało przywrócone, inni mogli to zrobić, a to działało na jego niekorzyść.

Czas ruszać dalej.

Wyszedł na drogę. Wędrówka była nadal niełatwa, ale w porównaniu z przedzieraniem się przez las lekka i przyjemna. Pochylił głowę, chroniąc się przed silnym wiatrem, który ziębił go przez ubranie. Blask światła słonecznego odbijającego się od śniegu był tak silny, że Tierney musiał mrużyć oczy, by cokolwiek widzieć. Skoncentrował się wyłącznie na stawianiu kolejnych kroków.

Przy tym wszystkim starał się nie myśleć o Lilly, lecz jedynie o tym, czy dobrze zrobił pozostawiając ją na górze. W zasadzie nie miał wyjścia. Nie mógł jej ze sobą zabrać. Do diabła! Dlaczego musiała pójść do szopy i zajrzeć do skrzyni na narzędzia? Przecież...

Zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Pomyślał, że zawodzą go zmysły. Oprócz swojego głośnego oddechu i zawodzenia wiatru usłyszał coś jeszcze. Zbliżający się pojazd silnikowy. Skuter śnieżny. Nie jeden. Przynajmniej dwa. Coraz głośniejsze.

Nie - były już tutaj!

Wirujący rotor wzbudził tumany śniegu. Przed ich oczami zmaterializował się nagle mężczyzna odziany w czarny taktyczny uniform z nomeksu i porządne wojskowe buty. Mężczyzna był wcieleniem determinacji i hartu. Podszedł prężnym krokiem do Begleya i Wise'a, którzy stali na boisku Walecznych Pum.

- Dzień dobry, sir - zwrócił się do Begleya, przekrzykując huk silników helikoptera.

- Witaj, Collier - odparł Begley, ściskając mu dłoń.

Sowa słyszał o Collierze. Był szanowanym agentem, który w zeszłym roku przeszedł szkolenie antyterrorystyczne i taktyczne w Quantico. Chodziły słuchy, że chciał się przenieść do Critical Incident Response Group*. Jedyne najwięksi twarze w dziale byli wybierani do tej elitarniej jednostki.

- Zna pan agenta Wise'a?

- Tylko z widzenia.

Dłoń Sowy pochwyliła silna ręka odziana w czarną skórzaną rękawicę antypoślizgową ze specjalnie wyciętymi palcami, aby wygodniej strzelać. Sowa pierwszy raz widział podobny ubiór z bliska.

- Agent Wise ma mapy i wykresy topograficzne szczytu - rzekł Begley.

- Dziękuję, sir. Przywieźliśmy ze sobą również i nasze.

- Ilu mamy ludzi?

- Dwóch w mojej drużynie plus pilot, też jeden z naszych.

Bell należał do wydziału policji w Charlotte. Korzystali z niego już wcześniej i Begley lubił ten helikopter. Był szybki, bezpieczny i zwrotny. W środku mieściło się siedmioro ludzi, wliczając pilota. Przekalkulował sobie w myślach, że jeśli zabiorą Lilly i Tierneya, ktoś będzie musiał zostać na górze i za-

* CIRG -jednostka FBI wzywana do najtrudniejszych przypadków akcji terrorystycznych (przyp. tłum.).

czekać na drugą turę. Będzie to jednak krótka wycieczka. Begley nie widział w tym żadnego problemu.

- Rozumiem, że naszą misją jest zabranie ze szczytu kobiety i aresztowanie podejrzanego.

- Nie wiemy jeszcze, czy to podejrzany. Na razie jest to misja wyłącznie ratunkowa. Zobaczmy, co się stanie, kiedy dotrzemy na górę.

- My?

- Obaj z Sową zamierzamy jechać z wami.

- Sir, nie ma takiej potrzeby. Możemy pozostać w łączności...

- Wykluczone - przerwał mu Begley. - Lecimy z wami.

Wszyscy w Agencji wiedzieli, że nie należy się sprzeczać z agentem specjalnym, który przejmował kontrolę nad akcją, żądał helikopterów oraz pomocy z lokalnych filii i generalnie robił wszystko, co konieczne, aby zakończyć misję bezpiecznie i z powodzeniem, w razie fiaska odpowiadając jedynie przed centralą. Collier spjrzał na okrycie wierzchnie i obuwie agentów.

- Nie przywieźliśmy ze sobą dodatkowych kombinezonów.

- Pojedziemy tak, jak stoimy.

- Jest bardzo zimno, sir.

- Tracimy tylko czas. - Begley poczęstował go jednym z „lodołamaczy”, pod którym twarżel Collier się ugiął.

- Dobrze, sir, ale proszę pamiętać, że dzisiaj wieje bardzo silny wiatr. Może nami szarpać.

- Dzięki za ostrzeżenie. - Begley obszedł Colliera i ruszył w kierunku helikoptera. Sowa i drugi agent poszli za nim. Collier spjrzał na Wise'a oceniająco. Sowa miał wrażenie, że nie wypadł zbyt pozytywnie.

- Nie wiedziałem, że przechodziłeś jakiegokolwiek trening.

- Jaki trening?

- Do przeprowadzania tego rodzaju misji.

- Nie przechodziłem.

Po minie Colliera można by sądzić, że Sowa przed chwilą

wypowiedział najgorsze bluźnierstwo. Niewytrenowany człowiek za plecami był najszybszą drogą do śmierci dla funkcjonarisy w akcji.

- Żadnego?

Sowa potrząsał głową.

- W takim razie nie wtrącaj się i trzymaj się z boku.

- Nie zamierzam.

- Boisz się?

- Jak cholera. - Sowa pochylił się, nurkując pod płatanami śmigieł. - Begleya.

Wes znowu się zatrzymał. Siedzący mu na ogonie Dutch niemal na niego wjechał.

- Co do diabła, Wes?!

- Chyba coś widziałem, tam w górze. Uciekało do lasu.

Dutch spojrział uważnie we wskazanym kierunku.

- Jesteś pewien? - spytał.

- Pobieгло tam - wskazał Wes.

- Może to jeleń?

- Nie, chyba że chodził na dwóch nogach. To był człowiek, Dutch, jestem tego pewien. Kiedy wyszedłem z za zakrętu, zobaczyłem, jak znika pomiędzy drzewami, na lewo od tego głązu. Myślisz, że to może być Tierney?

- Pokaż mi dokładnie, gdzie go widziałeś.

Podjechali bliżej do głązu, z którego zwiślał wodospad sopli.

- Miałem rację - rzekł Wes, pokazując na ziemię. Na śniegu widniały głębokie ślady stóp. Były odcisnięte na drodze, aż do następnego zakrętu. Koło głązu zakręcały nagle w kierunku ściany lasu, jakby ktoś, kto je pozostawił, usłyszał nadjeżdżające skutery i rzucił się do ucieczki.

- To musi być Tierney - uznał Wes, oddychając szybko z podniecenia. - Któż by inny?

Dutch nie mógł się nie zgodzić.

Wyłączyli silniki, zsiadli ze skuterów i zaczęli wyjmować strzelby ze specjalnych pokrowców, które mieli przewieszane przez plecy. Dutch obejrzał swoją broń, chociaż sprawdzał ją

już raz, pobieżnie, w domu, jeszcze przed wyjazdem. Była naładowana. Wes zrobił to samo. Po jego ruchach widać było, jak znakomitym jest myśliwym. Dutch wyjął także swój dziewięciomilimetrowy pistolet i załadował kulę do komory.

Nie wątpił, że Tierney jest tym, kogo szukają. Wes wytłumaczył mu swoje dziwne zainteresowanie zniknięciem Millicent. Dutch nigdy nie sądził, by Scott był zdolny do popełnienia jakiegokolwiek przestępstwa. Podejrzewał, że pomimo krzepy fizycznej chłopak był zbyt podszyty tchórzem i zbyt niepewny siebie, by złamać prawo, a już zwłaszcza w taki sposób. Wyjaśnienia Wesa uwolniły go dodatkowo od wszelkiej podejrzliwości. Tierney był winny. Jeżeli nie, dlaczego miałyby się przed nimi chronić w lesie? Przez dwa dni tkwił uwięziony w górskiej chacie, bez porządnego zaopatrzenia, w dodatku ranny. Czy nie powinien biec w ich kierunku, uszczęśliwiony widokiem ludzi, wdzięczny, że pomoc wreszcie nadeszła? Dlaczego miałyby unikać spotkania z ekipą ratunkową? Chyba że nadejście pomocy miało oznaczać pojmanie.

Dutch był gotowy. Włączył krótkofalówkę.

- Trzymaj swoją w pogotowiu, na wypadek, gdybyśmy się zgubili.

Wes poklepał się po kieszeni, a potem spojrzął z konsternacją na przyjaciela.

- Co znowu?
- Chyba zostawiłem.
- Żartujesz sobie!

Wes zdjął rękawiczki i oklepał gołymi rękami wszystkie kieszenie.

- Musiałem ją gdzieś odłożyć. Albo w domu Ritta, albo w garażu. Pamiętam, że zaraz po tym, jak mi dałeś, wypróbowałem głośność. Potem...

- Nieważne. Idziemy.

Wes ruszył przodem, schodząc z drogi i wspinając się po stromym poboczu. Zatrzymał się przy oblodzonym głazie, odwrócił i pomógł Dutchowi. Ślady pozostawione przez Tierneya odbijały się wyraźnie w głębokim śniegu.

- Nawet nie próbuje zacierać śladów - burknął Wes.
- Nie mógłby, choćby chciał. - Dutch spojrzął na przyjaciela i po raz pierwszy od kilku dni się uśmiechnął. - Chyba się nam poszczęściło, co?

Mieli nad nim przewagę: nie byli zmęczeni. Tierney zdwoił wysiłki, aby oddalić się od nich jak najszybciej. Opuścił domek Lilly dwie godziny temu i od tamtej pory szedł nieustannie, z krótkimi przerwami na picie, zmęczony, w fatalnych warunkach pogodowych.

Nie musiał się zatrzymywać, żeby zidentyfikować jadących na skuterach mężczyzn. Zgadł, kim są, i nie pomylił się. Nawoływali go w równomiernych odstępach czasu i Tierney rozpoznał ich głosy. Dutch Burton i Wes Hamer. Obaj silni, wysportowani, a w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin żadnego z nich z pewnością nie potrafił samochód, żaden z nich nie doznał wstrząsu mózgu, poważnego urazu głowy ani też nie skreślił sobie nogi w kostce.

Podobnie jak żaden z nich nie uprawiał miłości ostatniej nocy.

Jeżeli chodzi o siłę fizyczną, mieli nad nim niewątpliwą przewagę, jednak nie potrafili go przechytrzyć. Prawdę mówiąc, nie popisali się inteligencją. Dobrzy tropiciele trzymaliby gęby na kłódkę, żeby nie zdradzić swojej pozycji ani odległości od ofiary. Choć tak się przechwalali swymi zdolnościami łowieckimi, to musieli się jeszcze wiele nauczyć o polowaniu. Może uważali, że ścigany człowiek reaguje na nawoływania inaczej niż zwierzę.

Pamiętaj, nadal jesteś ich ofiarą, pomyślał.

Nawet gdyby miał co do tego wątpliwości, szydercze przycinki Wesa i pogróżki Dutcha, odbijające się echem w obsypanym śniegiem lesie, rozwiałyby je natychmiast. Tak jak się tego obawiał, chcieli pojmać Chabra, żywego lub martwego. Podejrzewał, że woleli to drugie, zwłaszcza Dutch Burton, który zdołał już wykrzyknąć kilka obscenicznych oskarżeń skierowanych przeciwko niemu i Lilly.

Dutch nosił odznakę policyjną, ale to by go nie powstrzymało przed przestrzeleniem mu głowy przy najbliższej okazji. Dutch był stróżem prawa, który przysięgał chronić porządku i przestrzegać praw obywatelskich. Oprócz tego jednak, a może przede wszystkim, był również porzuconym mężem, którego żona właśnie spędziła dwa dni i dwie noce z innym mężczyzną. Gdyby dorwał Tierneya, pociągnąłby za spust i jeszcze by się z tego ucieszył.

Wyczuwali, że on słabnie i to dodało im wigoru. Tierney nie zatrzymał się, aby się obejrzeć, ale wiedział, że go doganiają. Odgłosy ich przedzierania się przez las były coraz bliższe, głośniejsze. Oczywiście Dutchowi i Wesowi było łatwiej. Nie musieli przecierać szlaku. Jedynie nim podążać. Tierney rozważał przez chwilę znalezienie jakiejś kryjówki i konfrontację. Miał pistolet, nadal pełen naboji. Brakowało tylko jednego, który Lilly wpakowała w ścianę tuż nad jego uchem. Ale ta broń nie miała tak dużego zasięgu jak strzelba, poza tym ich było dwóch. Jeden mógł trzymać go na muszce, a drugi podkraśćby się od tyłu.

Tierney obawiał się również, że jeśli się zatrzyma, nie zdoła ruszyć ponownie. Nie miał już energii. Wczorajsza wycieczka na dół po lekarstwa Lilly bardzo go osłabiła. Dziś był na granicy omdlenia, jedynie siła woli sprawiała, że jeszcze trzymał się na nogach.

W chwili, gdy zdecydował, że jeśli chce przetrwać, musi nadal iść, gałąź rosnącego nieopodal drzewa rozprysnęła się na drobne kawałki. Ułamek sekundy później usłyszał huk wystrzału. Rzucił się na śnieg i przeturlał w bok, za leżący nieopodal gałąz.

- Tierney, lepiej się poddaj! - wrzasnął Burton.

Tierney nie był na tyle głupi, żeby wychylić głowę zza skały i zdradzić swoją pozycję. Wyczuwał jednak, że Wes i Dutch przemykają między drzewami, coraz bliżej. Jeden zachodził go od prawej, drugi od lewej. Był uwięziony.

Teraz, kiedy zmuszony był się zatrzymać, uświadomił sobie, jak bardzo jest poturbowany. Był wyczerpany i głodny.

- Wiemy, że jesteś Chabrem. FBI znalazło dowody, które trzymałeś w wynajmowanym przez siebie domu.

Tierney sam się zdołał tego domyślić. Były to jedynie dowody poszlakowe, ale wystarczyły zazdrosnemu byłemu mężowi za powód do zabicia go bez względu na późniejsze konsekwencje złamania prawa. Nie śmiał się odezwać, aby nie stać się jeszcze łatwiejszym celem. Ledwo oddychał. Nie słyszał również ich kroków. Zatrzymali się. Chyba zdecydowali, że przyczają się, czekając na odpowiedni moment. Przez kilka minut w lesie panowała idealna cisza.

Nagle usłyszeli jakiś dźwięk. Tierneyowi wydawało się, że to kolejny skuter śnieżny. Hałas dochodził z daleka, ale odbite po wielokroć echo nie pozwalało określić, gdzie znajduje się jego źródło.

Dutch i Wes nadal się nie odzywali, ale Tierney wyczuł, że i oni nasłuchują z napięciem. Czyżby jakiś człowiek dotarł tu pieszo i zarekwirował jeden z ich skuterów? Czy zastanawiali się teraz, w jaki sposób przetransportują trupa Tierneya do miasta, jeżeli pozostanie im tylko jeden pojazd?

Byliby głupcami, gdyby nie wykorzystali tego rozpraszającego uwagę hałasu.

Nie, nigdy nie powinien nazywać ich głupcami.

Poprzez cichnące buczenie silnika usłyszał nieomylny dźwięk trzaskającej pod czyimś butem gałązki. Jeden z myśliwych zbliżał się do niego od prawej strony. Trzydzieści metrów, może mniej, może więcej. Nawet kiepski strzelec nie mógł spudłować z takiej odległości. Nieco cichsze odgłosy dobiegały z lewej strony. Śnieg opadł miękko na ziemię. Czy strącił go wiatr, czy ludzka ręka? Tierney wstrzymał oddech i zaczął nasłuchiwać. Odgłos silnika umilkł, a on nie słyszał nawet własnego oddechu. Zasłonił usta szalikiem, aby para nie zdradziła jego pozycji. Gdziekolwiek byli Wes i Dutch, też się nie poruszali. Czekali.

Znowu czekali, wszyscy trzej.

W milczeniu.

Który z nich poruszy się pierwszy?

A potem usłyszeli kolejny dźwięk - miarowe uderzenie łopaty wirnika w powietrzu. Wydział policji w Cleary na pewno nie miał helikoptera. Maszyna musiała należeć do FBI lub rządu stanowego. Tak czy owak, Dutch chyba nie zastrzelił go z zimną krwią przy świadkach. Wes Hamer się nie liczył. Wiadomo, że będzie krył swojego kumpla, skłamię pod przysięgą, zrobi co trzeba. To samo działało w drugą stronę.

Dotychczas las pomagał Tierneyowi, używając mu dostatecznej kryjówki. Teraz przewagę zdobył Dutch. Mógł strzelić i wyjaśnić później, że Tierney usiłował ucieczki i nie pozostawił mu innego wyboru. Mógł też zeznać, że Tierney zaatakował ich i byli zmuszeni do obrony koniecznej. W każdym przypadku on zginie, oni zaś zostaną uniewinnieni.

Żeby przeżyć, musiał wyjść na otwartą przestrzeń i dać się rozpoznać ludziom z helikoptera.

Przypominając sobie mapę wzniesienia, ustalił, gdzie przebiegają wiodące na nie drogi; główna i ta na zachodzie. Uciekał dokładnie w kierunku tej drugiej, ale jak daleko zaszedł i jak długo jeszcze będzie musiał biec, zanim dotrze do Mountain Laurel Road? Nie wiedział, czy mu starczy sił. Musiał jednak spróbować. Dutch i Wes byli silniejsi i lepiej uzbrojeni, ale on miał nad nimi dwie przewagi: doskonałą orientację w terenie i wolę życia.

Nie czekał, aż ogarną go wątpliwości. Dźwignął się na kolana. Całe jego ciało, zwłaszcza skrzyżowana kostka, zaprotestowało gwałtownie, jednak zmusił się do przykucnięcia i truchtu w pochylonej pozycji, starając się robić jak najmniej hałasu i nie zdradzać swojej pozycji. Miał nadzieję, że Dutch i Wes strawią nieco czasu na podchodzenie do głazu, za którym się krył. Będą chcieli go zaskoczyć, tymczasem bardzo się zdziwią, kiedy odkryją, że go tam nie ma.

Niestety, były to pobożne życzenia.

- Dutch, po twojej lewej! - krzyknął Wes.

Tierney wyprostował się i ruszył biegiem, a przynajmniej usiłował to zrobić. Brnął bowiem przez kopny śnieg, głęboki czasem do pasa. Ramionami odgarniał obłożone śniegiem i lo-

dem łądygi jeżyn, potykał się o ukryte przed wzrokiem korzenie i krzewinki poszycia. Oblodzone gałęzie drzew smagały mu twarz.

Jeżeli dobrze interpretował dochodzące z tyłu postękiwania i jęki, ścigający mieli podobne problemy. Tierney wyczuwał ich desperację i wiedział, że Dutch Burton chce się go pozbyć, zanim powstrzyma go od tego inny przedstawiciel prawa.

Zobaczył drogę, kiedy najmniej się tego spodziewał.

Nagle dotarł do pobocza. Tylko szybki refleks ocalił go przed gwałtownym upadkiem. Usiadł i zsunął się w dół na siedzeniu.

Blask słoneczny był oślepiający. Po pobycie w ocienionym lesie Tierney przez chwilę nie widział nic. Ośłaniając oczy, rozpaczliwie spojrzął w niebo, szukając helikoptera. Słyszał go bardzo wyraźnie, ale nie mógł dostrzec.

- Ben Tierney!

Z lasu wynurzyli się Wes i Dutch. Stali teraz na poboczu, mierząc w niego z dwóch strzelb. Długie, smukłe lufy błyszczały złowrogo w promieniach słońca. Obaj wiedzieli, jak się mierzy, strzela, zabija.

Łatwy cel.

Niemal usłyszał, jak jego dziadek wypowiada te słowa. Uniósł ręce do góry, nad głowę.

- Jestem nieuzbrojony! - krzyknął, rzucając na ziemię pistolet i odsuwając go od siebie kopniakiem.

- Doskonale! - powiedział Dutch, zanim pociągnął za spust.

- Oto domek, którego szukamy - rzucił Collier do mikrofonu połączonego ze słuchawką. Wszyscy, nawet Sowa, mieli takie zestawy. Domyślał się, że dostał swój przez grzeczność, a nie dlatego, że ktoś liczył na jego pomoc w akcji.

- No proszę, udało im się dotrzeć na górę. - Begley wskazał na skuter, zaparkowany przed wejściem. - A przynajmniej jednemu z nich. Czy może pan tu posadzić maszynę? - spytał pilota.

- Polanka jest bardzo mała. Przy takim wietrze będzie mi trudno.

- Opuść się, użyjemy lin - zarządził Collier, jednak w tym samym momencie helikopter zatrzęsł się od silnego bocznego uderzenia wiatru. Pilot zareagował błyskawicznie i wyrównał maszynę, zapobiegając jej nagłemu upadkowi na ziemię. Sowa poczuł wibrowanie pagera na biodrze. Wyłowił go spod kurtki. Perkins. Posłużył się kodem oznaczającym pilną sprawę. Sowa wyciągnął komórkę i wybrał numer telefonu współpracownika.

- Jestem tutaj! Tutaj! - Lilly krzyczała bezustannie, odkład usłyszała nadjeżdżający skuter. Wiedziała, że nie przechrzycy hałasu silnika, wołała więc dopóty, dopóki odgłos nie ucichł. - Tutaj! - rzuciła w nagłej ciszy, wpatrując się z napięciem w drzwi.

- Pani Burton?

- Tak, tak. Jestem tutaj!

Drzwi stanęły otworem i do środka wszedł mężczyzna odziany w kombinezon narciarski.

- Dzięki Bogu, nic się pani nie stało!

- Pan Ritt?! - wykrzyknęła.

William zdjął kaptur i rękawiczki, przykucnął obok niej i spojrzał na kajdanki.

- Dutch i Wes jeszcze tutaj nie dotarli?

- Nie.

- Wyruszyli w pościg za Tierneyem i na ratunek pani.

- Tierney to Chaber! Zresztą pewnie pan wie. Powiedział, że mówili o tym w radiu.

- Kto powiedział?

- Tierney.

- Zatem wie, że idzie za nim pogoń?

- Tak. Czy widzi pan tu gdzieś kluczyk do kajdanek?

Ritt zaczął się rozglądać po pokoju. Lilly zapytała, jakim sposobem Tierney stał się podejrzanym. William opowiedział jej pokrótce o agentach FBI.

- Nie wiem dokładnie, co na niego mają, ale muszą to być wystarczająco obciążające dowody. Bardzo się zdenerwowali, gdy się dowiedzieli, że jest tu pani uwięziona wraz z nim. Zorganizowali wyprawę ratunkową, ale z powodu wypadku główna droga została zablokowana. Dziś rano zaoferowałem moje skutery śnieżne. Wes i Dutch wyruszyli na górę, ale zostawili to - wyciągnął z kieszeni coś w rodzaju nadajnika. - Krótkofalówka. Słyszałem, jak Dutch mówił, że powinni z Wesem pozostać w bliskim kontakcie. Dlatego pojechałem za nimi, myśląc, że ich złapię.

- Nie udało się panu?

William potrząsnął głową.

- Widziałem tylko skutery, porzucone na środku drogi na zachodnim zboczu. Wygląda na to, że wybrali się gdzieś pieszo. Sądzi pani, że ruszyli za Tierneyem?

- Możliwe. Nie mógł się stąd wydostać inaczej, niż na piechotę. Oba nasze samochody... - potrząsnęła niecierpliwie głową. - To długa historia.

- Dutch i Wes zapewne go dostrzegli. - William zaprzestał poszukiwania kluczyków. - Nie widzę ich nigdzie. Musiał je zabrać ze sobą.

- Nie szkodzi. Teraz, kiedy ktoś tutaj jest, jakoś wytrzymam.

- Skrzywdził panią.

- Nie. Poza tym, że dziś rano pozbawił mnie przytomności. - Zamknęła na chwilę oczy. - Znalazłam w szopie ciało Millicent Gunn - powiedziała.

- O Boże. To straszne.

- Myślę, że było tam od kilku dni. Śnieżnica prawdopodobnie nie pozwoliła Tierneyowi zakopać ciała. - Opowiedziała Rittowi o tym, jak potrafiła Tierneya, a potem o wędrowce z powrotem do chaty, aby przeczekać zamieć. - Z pewnością martwił się o nasze przetrwanie. Wydawał się miły i niegroźny. Ale to, co czasem mówił, nie miało sensu.

- Na przykład co?

Podawała mu kilka przykładów półprawd Tierneya.

- Nabrałam podejrzeń i przeszukałam jego plecak. Znalazłam te kajdanki i kawałek niebieskiej wstążki. Tam - wskazała broda.

William otworzył plecak Tierneya i wyciągnął z niego błękitną aksamitkę.

- To zdecydowanie obciążający dowód.
- Bez wątpienia.
- Dlaczego uciekł?

Zanim Lilly zdołała odpowiedzieć na to inteligentne pytanie, usłyszała hałas na dworze.

- Czy to helikopter?
- Tak. Taki był plan FBI.

Lilly poczuła przypływ ulgi. Cieszyła się z widoku Williama Ritta i z tego, że schwywanie Tierneya było przesądzone. Ale gdyby jednak udało mu się jakimś cudem wymknąć Dutchowi i Wesowi i powrócić do chaty, farmaceuta nie byłby dla niego żadnym przeciwnikiem.

William wyszedł na werandę, po chwili wrócił i powiedział:

- Krażą nad nami. Musieli zobaczyć mój skuter.
- Pewnie szukają miejsca na lądowanie. Dzięki Bogu, że tu są.
- Amen. Zdaje sobie pani sprawę ze swojego szczęścia - wymknęła się pani z rąk Chabra, choć żadnej innej kobiecie się to nie udało.
- Twarz Millicent - zatrzęsa się Lilly. - To było straszne.
- Wyobrażam sobie, jak okropnie musiała się pani czuć, kiedy znalazła pani jej ciało w skrzyni na narzędzia.

Lilly pokiwała głową.

- Ale to chyba dobrze, że ją znalazłam. Do tej pory Tierney zabrałby ją gdzieś, a może nawet pochował, kiedy byłam nieprzytomna. Powinłam się domyślić, że coś jest nie tak. Zareagował tak gwałtownie, kiedy wspomniałam o siekierze po tym, jak poszedł po... - przerwała gwałtownie.

- Poszedł po co?
- Po drewno - odparła schrypniętym głosem. - Poszedł po

drewno. - Oblizła wargi, nagle zaschło jej w ustach. - Panie Ritt?

- Tak?

- Skąd... skąd pan wiedział o skrzyni na narzędzia?

- Sowa?

- Musisz mówić głośniej, Perkins. Jestem w helikopterze.

- Ty?

- Co dla mnie masz?

- Tierney... - reszta słów Perkinsa utonęła w hałasie, kiedy pilot zawrócił helikopter tak gwałtownie, że Sowa został wciśnięty w swój fotel, a żołądek podszedł mu do gardła.

- Powtórz, proszę! - krzyknął.

- Wreszcie udało mi się skontaktować z panią Lambert.

- Matką Torrie Lambert?

- Tak jest. Przygotuj się na niespodziankę.

Sowa poprosił Perkinsa o trzykrotne powtórzenie wiadomości, zanim się upewnił, że zrozumiał. Zakończył rozmowę lakonicznym podziękowaniem, po czym, przerywając rozmowę drużyny o tym, jak najlepiej posadzić helikopter na ziemi, zwrócił się do Begleya:

- Sir! Ben Tierney nie jest, powtarzam, nie jest porywaczem Torrie Lambert.

Begley odwrócił gwałtownie głowę i obdarzył Wise'a twardym spojrzeniem.

- Tierney jest jej ojcem - dokończył Sowa.

32

William Ritt zachował niewzruszony spokój.

- Słucham?

Lilly miała tak sucho w ustach, że mówiła z największym trudem.

- Powiedziałam panu, że znalazłam ciało Millicent w szo-

pie. Nie wspominałam nic o skrzyni na narzędzia. Skąd pan wiedział o skrzyni?

Udawał niezrozumienie tylko przez chwilę, a potem potrząsnął głową z rozczarowaniem.

- Niemądrze z mojej strony, że pozwoliłem sobie na taką pomyłkę, jednak jeszcze głupiej z twojej strony, że dałaś po sobie poznać, iż ją zauważyłaś.

Lilly usiłowała przełknąć ślinę. Bezskutecznie.

- Pani Burton czy też Martin, jakkolwiek się pani zwie w chwili obecnej. Wie pani, co to oznacza, prawda? - Ton jego głosu zmienił się tak bardzo, jak jego postawa. Nie było już w nim dawnej przymilności.

- Jesteś...

- Chabrem? Tak. Chociaż nie podoba mi się zbyt to głupie przezwisko.

Zaskoczył ich daleki odgłos wystrzału. Oboje spojrzeli na drzwi, chociaż dźwięk pochodził z daleka.

- Tylko jeden strzał - oznajmił William. - Dutch twierdzi, że jest doskonałym strzelcem. Wygląda na to, że mówi prawdę.

- Tierney? - Lilly wciągnęła powietrze ze świstem.

- Tierney. Przy odrobinie szczęścia jest już martwy. - William wyciągnął nadajnik z kieszeni i włączył go. Usłyszeli głośne trzaski. William wyregulował głośność.

- Co robisz? - spytała Lilly. - Kogo chcesz wywołać?

- Obserwuj. Myślę, że ci się to spodoba. A właściwie nie spodoba ci się, ale będziesz musiała przyznać, że sprytnie to zaplanowałem. - Przyłożył mikrofon do ust i wduśił przycisk na boku nadajnika. - Dutch? Dutch? - krzyknął rozpaczliwie. - Słyszysz mnie?

Zwolnił przycisk i czekał na odpowiedź, nie spuszczać oka z Lilly. Przez kilka chwil nie działo się nic, a potem z głośnika dobiegł ich głos Dutcha.

- Kto mówi?

- William. Słyszałem wystrzał. Dostałeś Tierneya? - Rozłączył się natychmiast, gdy Lilly otworzyła usta do krzyku.

Zapewne przewidział, że będzie próbowała zrobić coś podobnego, ponieważ zareagował szybko, zasłaniając jej usta ręką.

- Ritt? Gdzie jesteś?

Lilly próbowała się uwolnić, szarpiąc głową, a gdy to nie poskutkowało, usiłowała go ugryźć. Jednak ten przycisnął rękę mocniej, unieruchamiając jej głowę i przyciskając do ściany z boku baru. Jego palce bezlitośnie i boleśnie wbijały się w jej policzki. Chwycił nadajnik, wdusił przycisk i wydał z siebie odgłos przypominający szloch.

- Dutch, jestem tutaj, w twojej górskiej chacie. Dorwałś Tierneya?

- Tak, tak, zastrzeliłem go. Co z Lilly? Dobrze się czuje?

- Nie. - Dla wzmocnienia efektu William udał, że załamuje mu się głos. - Twoja żona nie żyje. Nie żyje! Tierney ją zabił!

Tierney leżał płasko na wznak. Kiedy otworzył oczy, blask słoneczny odbijający się od śniegu poraził go boleśnie. Każdy jego nerw wył z bólu.

Dutch, jestem tutaj, w twojej górskiej chacie. Dorwałś Tierneya? Nie. Twoja żona nie żyje. Nie żyje! Tierney ją zabił!

Głos wydawał się cieniutki, nienaturalny. Skąd dochodził?

- Ten skurwysyn zamordował Lilly! - ryknął Dutch tak głośno, że z kilku pobliskich gałęzi oberwały się płaty śniegu.

- Jeszcze się rusza, Dutch! - krzyknął Wes. - Tylko go raniłeś!

Nagle Tierney przypomniał sobie, dlaczego leży na plecach i dlaczego ramię boli go jak jasna cholera. Przejaśniło mu się w głowie. Usłyszał wyraźnie, jak ktoś mówił, że Lilly nie żyje i to on ją zabił.

Kto mógł powiedzieć coś tak kłamliwego?

Jedynie człowiek, który w ten sposób próbował ochronić samego siebie.

Chryste! Musi wracać na górę, do Lilly!

Usiadł z wysiłkiem. Ogarnęły go mdłości, ale jakoś je opamnował. Na śniegu wykwitła ogromna plama krwi. Twarz miał

pokrytą zimnym, lepkiem potem, a ramię bolało tak, jakby ktoś przed chwilą wypalił na nim piętno.

Wydawało mu się, że minęły całe wieki, gdy tymczasem upłynęło zaledwie kilka sekund. Kiedy ponownie otworzył oczy i spojrzął przed siebie, mrużąc je w ostrym słońcu, zobaczył, jak Dutch Burton odrzuca na bok krótkofalówkę, z której prawdopodobnie dochodził wcześniej cieniutki głos. Zaraz potem zeskoczył z pobocza na drogę, lądując twardo na jej powierzchni. To go jednak nie powstrzymało. Tierney ledwie miał czas unieść zdrowe ramię, zanim Dutch zaatakował go i zaczął okładać pięściami.

- Poczekaj, Dutch - Tierney był zaskoczony słabym, chropowatym brzmieniem swojego głosu. Wątpił, by do policjanta w ogóle cokolwiek dotarło, a jeżeli nawet, z pewnością nie był w nastroju do słuchania. Lewy sierpowy, jakim poczęstował Tierneya, wylądował dokładnie na jego brodzie. Trzasnęła rozdzielana skóra i krew opryskała twarz Dutcha. Co się stało z jego twarzą, do diabła?

- Lilly... - Tierney odbił kolejny cios.
- Zabiłeś ją! Niech cię piekło pochłonie!
- Nie! Posłuchaj mnie!

Ale Dutch nie słuchał.

Zatracił się w nienawiści i gniewie. Tierney nie miał wątpliwości, że jeśli nie zdoła się jakoś obronić, ten szalony skurczybyk go zabije.

Wykrzesał z siebie nowe pokłady siły i zaczął się nie tylko bronić, ale odpowiadać na ciosy atakiem. Było kilka spraw, jakie miał za złe Burtonowi, i teraz dodały mu one energii. Udało mu się wcisnąć kolano pomiędzy siebie i Dutcha. Odepchnął go z całych sił. Policjant przetoczył się na bok, a on wykorzystał sposobność, żeby chwycić pistolet, który wcześniej upuścił na ziemię. Odruchowo jednak sięgnął po niego prawą ręką, która zwisała bezwładnie z roztrzaskanego przez kulę stawu barkowego.

Wrzasnął z bólu. Dźwignął się na nogi i zatoczył kilka kroków. Dutch złapał go za skrzyżowaną kostkę i szarpnął. Tierney

upadł na ziemię jak worek cementu. Dutch odwrócił go na wznak niczym rybę, którą zamierzał wypatroszyć. Znow znalazł się na nim, tym razem zaciskając ręce na gardle Tierneya i wbijając kciuki w jego krtań. Wyszczерzone z wysiłku zęby miał usmarowane krwią i Tierney ucieszył się na ten widok, bo przynajmniej wiedział, że dołożył mu kilka razy.

- Pieprzyłeś się z nią?

Wszelkie skrupuły Tierneya wobec Dutcha minęły w tej jednej sekundzie. Jaki człowiek mógł zadać takie pytanie, dowiedziawszy się przed chwilą, że jego żona nie żyje? Dutch bardziej się troszczył o swoją męską dumę niż o los kobiety, którą, jak twierdził, kochał nad życie.

- Tak czy nie? - wrzasnął Dutch.

- Dutch, helikopter! - krzyknął ostrzegawczo Wes Hamer.

Ale Dutch nie słyszał, a jeżeli nawet, nic już do niego nie docierało. Krew pomieszana z potem i śliną ściekała na Tierneya. Jasnoblękitne niebo zaczynało ciemnieć na horyzoncie. Tierney zamrugał, ale nie mógł się pozbyć sprzed oczu czarnych punkcików. Jeżeli nie zrobi czegoś i to szybko, niechybnie umrze.

Szybko.

Dutch klęczał nad nim okrakiem, naciskając z całej mocy na gardło. Prawe ramię Tierneya było bezużyteczne, lewe również bezsilne. Słabe ciosy, którymi racył Dutcha, zdawały się nie wywierać żadnego efektu, więc wykorzystał swoją jedyną szansę. Zgiął kolano i wkładając w cios całą siłę, kopnął Dutcha w kroczę, z nadzieją, że trafił w odpowiednie miejsce.

Policjant zawył i natychmiast zwolnił uścisk na gardle Tierneya, który uniósł się, odepchnął przeciwnika i błyskawicznie potem rzucił się na niego. Pozycje się zmieniły. Tierney przyłożył lewe ramię do krtani Dutcha i nacisnął. Prawą ręką, w której zostało mu jeszcze nieco siły, sięgnął po pistolet i wystrzelił w kierunku Wesa Hamera, biegnącego w ich stronę. Wystrzał zatrzymał Hamera w miejscu.

- Rzuć na ziemię strzelbę albo następna kulka znajdzie się w twojej głowie.

Była to niczym niepoparta groźba, ale, o dziwo, podziałała. Wes odrzucił strzelbę. Tierney nie wątpił, że to nie ze strachu przed nim, lecz z powodu zbliżającego się helikoptera, pełnego świadków.

- Z kim rozmawiałeś przez radio? - spytał Wes, dysząc ciężko.

- Z Rittem. Z Williamem Rittem.

Z Rittem? Z bladym, chudym Williamem Rittem? Tym szczurkiem?

Tierney postanowił pomyśleć o tym później. Na razie pochylił się nad Dutchem, którego umazana krwią i ropą, wykrzywiona z wściekłości twarz wyglądała jak z horroru. Dźgnął pistoletem podbródek policjanta.

- Mam kilka bardzo dobrych powodów, żeby cię zabić. Choćby dlatego, że biłeś Lilly. Pozostawię cię przy życiu tylko dlatego, że obiecałem jej, iż nie zrobię ci krzywdy. - Odepchnął się od szerokiej piersi Dutcha i wstał, próbując chwycić równowagę. Podniósł lewą rękę i wskazał nadlatujący helikopter. - Jeżeli spróbujecie mi strzelić w plecy, oni wszystko zobaczą - powiedział. Wiedząc, że i tak stracił już zbyt dużo cennego czasu, przycisnął ranne ramię do boku i ruszył w górę, w stronę górskiej chaty, w której pozostawił Lilly.

Kiedy zataczali ciasne kręgi nad domkiem, jeden z ludzi Colliera krzyknął nagle:

- Na jedenastej!

Pilot ustawił maszynę pod odpowiednim kątem i Begley zobaczył to, co jeden ze snajperów - trzech mężczyzn na środku wąskiej górskiej drogi. Przedtem zaślaniało ich wzniesienie, wokół którego biegł zakręt. Helikopter skierował się w ich kierunku.

Burton leżał na wznak, Hamer stał nieopodal. Tierney wspiął się z widocznym trudem pod górę, zostawiając za sobą krwawe ślady. Collier odsunął drzwiczki do kabiny i zajął pozycję strzelecką.

- Biorę na siebie poruszający się obiekt - powiedział.

- Nie strzelaj - warknął Begley. - To nie nasz podejrzany.
- Jest uzbrojony.

- To nie nasz podejrzany - powtórzył Begley. Spojrzał na Tierneya, a potem na Wesa Hamera, który przykleknął obok Dutcha Burtona. Policjant odsunął go na bok tak mocno, że ten upadł na wznak. Burton dźwignął się na nogi, a potem zaczął biegać panicznie dookoła, aż natrafił na to, czego szukał - półautomatyczną strzelbę leżącą na śniegu. Wystrzelił w kierunku Tierneya bez uprzedniego wycelowania. Zmierzający pod górę mężczyzna nawet nie zwolnił.

- Włącz megafon - rozkazał Begley pilotowi.

Tymczasem Wes zdążył dźwignąć się na nogi i znowu podszedł do Burtona.

- Trzymajcie go z daleka - rzucił Begley. Jeden z oficerów taktycznych wystrzelił serię naboju wprost pod stopy Wesa, wzbudzając małe gejzery śniegu. Hamer zatrzymał się w miejscu jak wryty i podniósł ręce do góry. Burton złożył się do strzału i spojrzał przez celownik optyczny. Zajęło mu to może dwie sekundy.

- Komendancie Burton! Proszę nie strzelać! - dochodzący z megafonów głos Begleya zagłuszył pracę wirnika. - Nie strzelać!

Burton uniósł głowę i rozejrzał się.

Collier siedział w drzwiach helikoptera, z nogami opartymi na płozie i celownikiem naprowadzonym na Burtona. Tuż za nim stał Begley, wychylając się przez drzwi. Widział Burtona nader wyraźnie i z wyrazu jego twarzy wyczytał, że aż do tej chwili nie zdawał sobie sprawy z obecności helikoptera. Begley dostrzegł w minie Burtona coś jeszcze, co sprawiło, że zapytał Colliera, czy ma odpowiednią pozycję do strzału.

- Tak jest.

- Burton! - krzyknął Begley. - Wstrzymaj ogień! Tierney nie jest Chabrem. Tierney nie jest naszym podejrzany.

Ale Burton nie słuchał. Wymierzył strzelbę w plecy oddalającego się Tierneya i spojrzał w celownik.

- Skurczybyk! Ogłuchł, czy jak? - wykrzyknął Begley.

Za chwilę zginie niewinny człowiek, a on będzie za to odpowiedzialny do końca życia.

- Jeden strzał w łydkę! - rzucił bez zastanowienia. Collier zareagował natychmiast. Lewa noga Burtona załamała się pod nim. Begley widział wściekłość w oczach policjanta, który odwrócił się, uniósł broń w górę i wystrzelił. Collier wpadł do wnętrza kabiny. Kula nie przebiła wprawdzie jego kamizelki, ale uderzyła boleśnie w pierś. Burton strzelił znowu. Pocisk przeleciał tuż obok głowy Begleya.

Agent specjalny usłyszał przekleństwa pilota, który zawracał właśnie maszynę. Poczł zwiększający się nacisk pasa bezpieczeństwa i siłę odśrodkową, wypychającą go na zewnątrz przez otwarte drzwi.

- Straciłem czystą pozycję do strzału - usłyszał głos innego komandosa. Trzeci z drużyny stracił równowagę, kiedy helikopter gwałtownie opuścił się na dół. Na czworakach, drapał się teraz na nogi, próbując odzyskać stabilną pozycję. Oszołomiony Collier nadal wisiał w połowie wychylony za kabinę maszyny.

Begley spojrział w dół prosto w otwór lufy strzelby Burtona.

- Nie strzelaj do mnie, cholerny skurwysynu! - krzyknął.

Twarz Burtona była maską gniewu i agonii.

- Pieprzę cię! - Begley raczej zobaczył, jak usta Burtona układają się w te słowa, niż je usłyszał. W ułamek sekundy później głowę policjanta przeszyła kula, która rozerwała tył jego czaszki. Śnieg pokryła czerwona mgła. Burton upadł na plecy i zastygł z rozrzuconymi na boki rękami i nogami.

Begley spojrział w głąb kabiny, chcąc zidentyfikować wymienitego strzelca. Zobaczył, jak Charlie Wise opuszcza powoli sztucer i oddaje go Collierowi, po czym w milczeniu zakłada okulary. Begley przełknął głośno.

- Niezły strzał, Sowa.

- Dziękuję, sir.

William Ritt zdjął dłoń z ust Lilly, wyłączył nadajnik i odłożył go na bok.

- Mówiłem ci, że to znakomity plan.
- Dlaczego? - spytała Lilly bez tchu.
- Dlaczego powiedziałem, że Tierney cię zamordował?
Czyżby odpowiedź nie była oczywista?

- Nie. Dlaczego je zabijałeś?
- Ach, to. - William nawinał końce tasiemki na swoje dłonie i sprawdził jej wytrzymałość, szarpiąc kilkakrotnie. - Mógłbym obwiniać moich dysfunkcyjnych rodziców i niskie poczucie własnej wartości, ale to wyświechtane wymówki. Nie jestem też psychicznie chory. Zabijałem je, bo tego chciałem.

Z zewnątrz Lilly wyglądała na opanowaną, ale jej umysł pracował gorączkowo.

Czy Tierney zginął?

Dutch go zastrzelił. Czy na pewno oznaczało to, że go zabił. Jeżeli Tierney żył, wróci tu po nią. Była tego pewna. Co może jednak zrobić, by do tego czasu powstrzymać Williama Ritta? Nie mogła uciec. Próbowwała już przez kilka godzin uwolnić się z kajdanek. Bezskutecznie.

Okazanie strachu było tym, czego oczekiwał Ritt. Instynktownie domyśliła się, że on lubi zabijać. Dawało mu to poczucie wartości i odrębności, którego inaczej nie miałyby w małym społeczeństwie Cleary. Był Chabrem, najbardziej przerażającym i poszukiwanym przestępcą w okolicy. Przesadnie skrupulatny, wścibski aptekarz okazał się zabójcą kobiet. Cóż za awans społeczny.

Twierdził, że ma niskie poczucie wartości, ale Lilly wyczuwała w nim coś wręcz przeciwnego - przesadnie wybujałe ego i wiarę w swoją niezwykłą inteligencję. Przez dwa lata udało mu się wszystkim wodzić za nos, ale do tej pory nikomu się tym nie pochwalił. Lilly mogła dostarczyć mu takiej okazji. Jej jedyną szansą na przetrwanie było zajęcie go rozmową, dopóki nie nadejdzie pomoc.

Boże, spraw, żeby to był Tierney!

- W jaki sposób wybierałeś swoje ofiary? Była to jedna

z rzeczy, która zastanawiała detektywów. Zaginione kobiety zdawały się nie mieć ze sobą nic wspólnego.

- Miały mnie - odparł William z przerażającym uśmiechem. - To ja byłem ich wspólnym mianownikiem. Wszystkie patrzyły mi w oczy, umierając. Wkrótce ty również do nich dołączysz.

Nie pozwól, żeby zobaczył twój strach. Nie daj mu tej satysfakcji.

- A poza tobą, co jeszcze miały wspólnego?

- Na tym właśnie polega całe piękno tej sprawy. Policjanci psychologowie zawsze szukają jakichś wzorców zachowań. W moim przypadku nie ma żadnego wzorca. Zabijałem z różnych powodów.

- Na przykład?

- Z powodu odrzucenia.

- Torrie Lambert?

- To było na długo przed nią.

- Była jeszcze inna kobieta?

- Pewna dziewczyna w college'u.

- Twoja przyjaciółka?

- Nie. Chciałem, żeby została moją dziewczyną, ale wyśmiała mnie, kiedy zaprosiłem ją na randkę. Myślała, że jestem homoseksualistą. Jej drwiny były okrutne... coś we mnie pękło. Tak, to chyba najodpowiedniejsze słowo do opisanie tego, co się ze mną wtedy stało. Śmiała się ze mnie, a ja próbowałem ją powstrzymać. Kiedy zdałem sobie sprawę, że nie żyje, nawet nie było mi przykro, chociaż oczywiście obawiałem się pochwylenia. Zaaranżowałem wszystko, żeby wyglądało na napad. Jej portfel i biżuteria nadal leżą w pudełku pod łóżkiem w moim domu. Dzisiaj już pewnie śledztwo w sprawie tej dziewczyny zostało dawno umorzone.

- Nikt nigdy cię nie podejrzewał?

- Nikt. Byłem zbyt mały, nieważny. Nadal jestem, w opinii większości.

- Marilee nigdy się niczego nie domyśliła?

William się roześmiał.

- Moja siostra była zbyt zajęta pilnowaniem swoich własnych brudnych sprawek, żeby zwracać na mnie uwagę. Szkoda, że jej nie zabiłem, kiedy byliśmy jeszcze dziećmi. Myślałem o tym raz czy drugi, ale nigdy tego nie zrobiłem. - Ponownie sprawdził wytrzymałość wstążki. - Zastanawiam się, gdzie Tierney się na nią natknął.

Nadal klęczał przed nią i chociaż jeszcze jej nie dotknął, Lilly dygotała ze strachu. Jak długo jeszcze uda się jej prowadzić tę rozmowę? Gdzie był helikopter? A Tierney? Nie chciała przyjąć do wiadomości, że nie żył.

- Miałeś mi opowiedzieć, jak wybierałeś ofiary. Rozumiem, że mogłeś zabić dziewczynę, która się z ciebie wyśmiała. Nie znasz jednak Torrie Lambert, prawda?

- Nie, aż do tamtego dnia. Oddzieliła się od grupy turystów i zeszła dość daleko ze szlaku. Zobaczyłem ją, kiedy szła drogą na zachodnim stoku. Mijała dom moich rodziców, gdzie akurat pracowałem. Zacząłem z nią rozmawiać, wysłuchiwałem jej narzekań, udzieliłem porady, a potem, kiedy usiłowałem ją pocieszyć...

- Pocieszyć?

- Dotknąć jej. Ale mi nie pozwoliła.

- Zgwałciłeś ją?

Spojrzał na nią gniewnie.

- Nie mam żadnych problemów ze wzrodem. Nie próbuj w to wątpić. Gdybyśmy mieli trochę więcej czasu, udowodniłbym ci to.

Jego reakcja sprawiła, iż Lilly uwierzyła w coś wręcz przeciwnego. Nie była jednak na tyle głupia, żeby mu się przeciwstawiać.

- Torrie Lambert nazwała mnie żalonym zbrojcem. Po tem bardzo tego żałowała - oddychał ciężko, wyraźnie wzburzony, a może podniecony, co napawało Lilly jeszcze większym przerażeniem.

- Jej błękitna wstążka stała się twoim symbolem - powiedziała cicho.

- Z braku lepszego określenia, owszem.
- Zabrałeś wstążkę aż do Tennessee, żeby zdezorientować poszukiwaczy, tak?

William zmarszczył czoło.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że przekroczyłem granicę stanów. Wszystko w górach wydaje się takie same. Ale masz rację. Zaniósłem wstążkę z dala od miejsca przestępstwa, żeby skierować ekipy ratunkowe na fałszywy trop.

- Opowiedz mi o pozostałych czterech kobietach. Je również wybierałeś przypadkowo?

- Nie. Te zdecydowanie sobie zaplanowałem.

- Co powodowało, że je wybrałeś?

- Nie, nie. To nie tak. One wybrały mnie.

- Nie rozumiem.

- Syn Carolyn Maddox jest chory na cukrzycę. Jego matka nie mogła sobie pozwolić na insulinę dla niego, ani na ubezpieczenie zdrowotne. Przyszła do mnie, niemal błagając o pomoc.

- A ty dałeś jej leki, których potrzebowała.

- Razem ze współczuciem i zachętą. Jednak nic, co mówiłem lub robiłem, nie było wystarczająco dobre, żeby mnie polubiła. Nie w ten sposób. - Nie musiał wyjaśniać dalej, o co mu chodziło. - Znajdowała czas, żeby wstąpić do apteki po darmowe lekarstwa dla dzieciaka, ale nigdy nie miała wystarczająco dużo czasu, żeby się ze mną spotkać sam na sam. Znajdowała go za to dla jednego z gości odwiedzających motel, w którym pracowała. O tak, dla niego miała czas! Widziałem ich razem w jego samochodzie, na parkingu, jak się obmacywali. To było odrażające. Tej nocy Carolyn nie wróciła do domu.

Jej samochód, z kawałkiem błękitnej wstążki w środku, znaleziono na poboczu drogi pomiędzy motelem a mieszkaniem Carolyn. Lilly przypomniała sobie, że ów gość hotelowy, o którym wspominał William, został oczyszczony z podejrzeń.

- Co z pielęgniarką?

William prychnął z pogardą.

- Lauren to zupełnie inna historia. Była gruba. Nie lubiłem jej, ale było mi jej żal. Może mam miękkie serce, ale dawałem jej próbki wszystkich możliwych produktów dietetycznych, jakie tylko pojawiały się w mojej drogerii. Źle rozumiała moją uprzejmość i próbowała się do mnie dobrać. Jej miłosne podchody były odrażające, wręcz wulgarne. Nie potrafiłem się zmusić do dotknięcia tych obrzydliwych zwązków tłustego cielska i obrażało mnie jej przekonanie, że w ogóle bym tego chciał. Zapewne możesz sobie dopowiedzieć resztę.

Bez pytania opowiedział o Betsy Calhoun, która, wedle jego słów, pochłaniała leki antydepresyjne po osiem do dziesięciu tabletek dziennie. Kiedy skończyła się pierwsza porcja, a lekarz odmówił wypisania kolejnej recepty, poprosiła o pomoc Williama.

Gdzie jest helikopter? Dlaczego nie wraca?

- Zgodziłem się spotkać z panią Calhoun na parkingu przed bankiem. To było naprawdę zabójstwo z litości. Uwolniłem ją od cierpienia. Nie opierała się nawet, tak jak to robiły pozostałe. Była zresztą tak naćpana, że łatwo ją było zabić. Najwięcej przyjemności miałem jednak z zabicia Millicent - jego wąskie usta wygięły się w okrutnym gadzim uśmiechu.

- Opowiedz mi o niej. - Czyżby helikopter zwoził teraz ciało Tierneya na dół? Pewnie myśla, że był Chabrem.

- Millicent była małą próżną dziwką - zaczął William. - Chciała, żebym dostarczał jej środków antykoncepcyjnych, by pieprzyć się na lewo i prawo wedle swego upodobania. Ja dawałem jej pigułki, a ona potem i tak robiła, co chciała. Do kogo przyszła z płaczem, kiedy zaszła w ciążę? Do mnie. Przez całe lata dawałem jej pastylki na odchudzanie i amfetaminę, żeby nie przybierała na wadze, ale ona wzięła moją hojność za pewnik. Flirtowała i drażniła. Raz, tuż przed zamknięciem sklepu, byliśmy sami. Podeszła do mnie, zaczęła się ocierać i spytała, czy mam jakieś prezerwatywy smakowe. Powiedziała, że ma już dosyć tego samego lateksowego smaku. „Pomyśl o tym, William”, rzuciła wysokim, dziewczęcym

głosikiem, po czym odskoczyła ode mnie. Pewnie uważała, że jest niezwykle sprytna i milutka. Przy naszym ostatnim spotkaniu już się tak nie śmiała - wpatrzył się w przestrzeń, zadumany. - Do samego końca myślała tylko o sobie. Płakała, pytała: „Dlaczego mi to robisz? Myślałam, że mnie lubisz”. Kiedy wiozłem ją do domu moich rodziców, próbowałem jej tłumaczyć, że jest okropną osobą, wykorzystuje ludzi, rani ich uczucia bez żadnego powodu, gra na ludzkich emocjach. Powiedziałem, że niszczy ludzkie życia i dlatego zasługuje na śmierć. Ale - westchnął ciężko - nie sądzę, by mnie zrozumiała. - Znowu umilkł, rozważając coś. - Chciałem ją właśnie pogrzebać, kiedy zadzwonił do mnie jeden z elektryków, którego próbowałem ściągnąć od miesięcy. Powiedział, że jest w drodze do mojego domu, więc musiałem gdzieś schować ciało, zanim się pojawił. Wiedziałem, że sprzedaliście swoją chatę i podsłuchałem, jak Dutch mówił, że już uprzątnęliście szopę na narzędzia. Było to najbliższe i najwygodniejsze miejsce na kryjówkę, które przyszło mi do głowy. Przywitałem elektryka i pokazałem mu, co chciałem, żeby zrobił. Zanim skończyliśmy, zaczęło się już ściemniać i musiałem wrócić do miasta. Zdecydowałem, że Millicent może spędzić kilka dni w waszej szopie. Nie wróciłem tam przed śnieżyca.

Nagle usłyszeli kilka dodatkowych strzałów, dochodzących z tej samej odległości.

- Ciekawe, co to może oznaczać - rzucił William.

Lilly również była ciekawa. Rozpaczliwie szukała w głowie pytania, które sprawi, że William nadal będzie mówił. Tymczasem to on zapytał:

- Czy to prawda, że spotkałaś Tierneya kilka miesięcy temu?

- Zeszłego czerwca.

- Dutch miał prawo być zazdrosny, nie sądzisz? Widzę to w twoich oczach, za każdym razem, kiedy wymieniasz jego nazwisko. Robią się maślane i tęskne. - Spojrzał na skotłowane koce na materacu przed kominkiem. Kiedy przeniósł na nią wzrok, był pełen potępienia. - Piękni ludzie. Zawsze się jakoś

odnajdujecie na tym świecie, prawda? Nigdy nie zawracacie sobie głowy całą resztą.

- Nigdy nie byłam dla ciebie nieuprzejma.

- Ale gdybyś została uwięziona w tej chacie razem ze mną, ten barłóg nie cuchnąłby teraz kopulacją.

- William...

- Zamknij się! Teraz ja mówię.

Ucichła i pozwoliła mu mówić.

- To będzie ironiczne i częściowo poetyckie zakończenie. Romantyczne, rzekłbym. Oboje będziecie martwi, wszyscy będą przekonani, że to on cię zabił, gdy w rzeczywistości był twoim kochankiem. Co za niezwykły zwrot akcji, nie sądzisz? Fantastyczny. Jedno mnie tylko zastanawia. Dlaczego zostawił cię tutaj skutą kajdankami?

Żeby przestała z nim walczyć albo uciekać po tym, jak zobaczyła ciało Millicent, pomyślała Lilly. Nie chciał, żeby zrobiła coś, co mogło znowu wywołać atak astmy. Zdesperowany, sięgnął po środki ostateczne, aby szybko i efektywnie zapewnić jej bezpieczeństwo. Teraz to zrozumiała. Rozumiała wiele rzeczy. To, że kochała Tierneya od dnia, w którym się spotkali. Zdała sobie również sprawę z tego, że on kochał ją.

- Próbował uratować mi życie - powiedziała cicho, blińska łez.

- Na twoje nieszczęście nie próbował wystarczająco dobrze. - Zanim zdążyła zareagować, podszedł do niej, owinał błękitną wstążkę wokół jej szyi i zacisnął.

- Nie, proszę!

Uśmiechnął się okrutnie i zacisnął aksamitkę.

- Jestem pewien, że zdajesz sobie sprawę z bezcelowości twoich błagań. Powtórzę to, co powiedziałem im wszystkim. Za chwilę umrzesz.

Lilly próbowała go kopnąć, ale William usiadł na jej udach, przygważdżając je do podłogi. Zacisnął mocniej wstążkę.

- To nie potrwa długo. Twoja astma skróci umieranie. Dobrze by było, gdybyś się pospieszyła, ponieważ słyszę powracający helikopter.

Rzeczywiście, Lilly też słyszała narastający huk wirnika, jednak ratunek wciąż jeszcze był za daleko. Aksamitka wbiła się boleśnie w skórę na jej szyi. Prostowała i zaciskała palce, walcząc o oddech. Jej ciało wygięło się w bolesny łuk, kiedy płuca walczyły o dopływ powietrza.

Czy tak właśnie musi umrzeć? Niezdolna do zaczerpnięcia kolejnego oddechu?

Bez ostrzeżenia, bezgłośnie i niespodziewanie w drzwiach sypialni pojawił się Tierney. Zanim William Ritt zdołał zareagować, Tierney kopnął go w głowę.

33

Kopniak posłał Williama na ziemię, zupełnie jak w komiksach. Upadł na bok, po czym przekręcił się na wznak i spróbował usiąść. Krwawił z rozcięcia tuż nad uchem. Przyłożył do rany dłoń i wpatrzył się w Tierneya, jakby zobaczył ducha.

Tierney istotnie wyglądał, jakby przejechał po nim walec drogowy. Prawe ramię zwisało z barku pod dziwnym kątem, a ubranie z tej strony było przesiąknięte krwią. Był blady jak śmierć, z głębokiego rozcięcia na policzku spływała krew. Zapadnięte, podkrążone oczy wpatrywały się w Williama Ritta. Musiał znaleźć otwarte okno w sypialni i skorzystał z niego, wiedząc, że w ten sposób zaskoczy Williama.

- Lilly? - spytał chrapliwym głosem.
- To on jest Chabrem!
- Domyśliłem się - nie spuszczać wzroku z Williama, pochylił się i wręczył jej pistolet. - Trzymasz go mocno?
- Tak.
- Jeżeli mnie pokona, zabij go bez wahania. - Ściągnął z jej szyi wstążkę.

Poruszał się niepewnie, kulejąc, ale bez zastanowienia rzucił się na Williama, który zdążył się pozbierać do kupy i usiłował uciec. Tierney chwycił go lewą ręką, a potem puścił tyl-

ko na chwilę potrzebną do wymierzenia ciosu w twarz. Uderzenie obróciło aptekarzem. Potknął się i wyładował twarzą na ścianie, odbijając się od niej. Tierney chwycił jego głowę i trzasnął nią o ścianę, raz, a potem drugi. Dźgnął go w nerki, co wywołało okrzyk bólu, następnie obrócił Williama twarzą do siebie i przygwoździł do ściany, lewą ręką obejmując ciasno za szyję. Między palcami Tierneya nadal tkwiła błękitna wstążka. Jej końce opadły na pierś Williama. Twarz aptekarza była krwawą miazgą, jego oczy wypełniły się przerażeniem.

- Powiniennem owinąć tę wstążkę wokół twojej pieprzonej szyi i zabić cię bardzo powoli - wydyszał Tierney słabym głosem. Wokół jego stóp zbierała się kałuża krwi. Przerwał, żeby zaczerpnąć oddechu, ale nie zwolnił ani na jotę uścisku. - Bóg jeden wie, jak bardzo chcę cię zabić. Mam ochotę wydrzeć ci serce gołymi rękami, ale nie zrobię tego, bo nie chcę, żebyś wywinął się ze wszystkiego zbyt łatwo. Nie zasługujesz na szybką, litościwą śmierć. O nie! Chcę, żebyś żył, i to długo. Chcę, żebyś gnął w więzieniu przez całe dziesiątki lat, zamknięty w czterech ścianach, odarty z człowieczeństwa, gwałcony co dzień przez współtowarzyszy. To właśnie w więzieniach robią z mordercami dzieci, wiesz? A Torrie miała ledwie piętnaście lat. Piętnaście! - krzyknął. - A kiedy już umrzesz, mam nadzieję, że doczekawszy późnej starości, pójdziesz prosto do piekła, gdzie będziesz się smażył przez całą wieczność, ty śmierdzący gnoju!

Tierney ledwie trzymał się na nogach. Kiwał się, kiedy rozluźniał uścisk na szyi Williama Ritta. Mały człowieczek osunął się na podłogę i upadł na bok. Tierney stał nad nim przez chwilę, a potem odwrócił się i ruszył w kierunku Lilly.

- Tierney! - krzyknęła.

Odwrócił się w samą porę, żeby zobaczyć, jak William wyciąga strzykawkę, którą musiał trzymać w kieszeni kurtki. Nie była ona jednak przeznaczona dla Tierneya. William wbił igłę we własną szyję.

Tierney znalazł się przy nim w ułamku sekundy. Ritt usiłował wcisnąć tłok, by wstrzyknąć sobie zawartość strzykaw-

ki, Tierney próbował go powstrzymać. Lewą ręką chwycił Williama za nadgarstek, mocno, brutalnie. Aptekarz zawył nie tylko z bólu, ale też z wściekłości, ponieważ jakimś cudem Tierneyowi udało się przygwoździć drugie ramię Williama kolanem do ziemi.

Drzwi wejściowe otworzyły się gwałtownie, uderzając o pobliską ścianę.

- FBI! Nie ruszać się. - Do środka wtargnęło dwóch mężczyzn w kombinezonach i czarnych kominiarkach, z karabinami gotowymi do strzału. Rozejrzeli się szybko po pomieszczeniu, a potem wymierzili broń w Tierneya i Williama.

- Rzuć broń! - rozkazał mężczyzna o surowej twarzy, który wszedł za komandosami. Lilly była pod takim wrażeniem jego autorytetu, że dopiero po chwili zrozumiała, iż mówił do niej. Upuściła pistolet, który trzymała w dłoni. Broń stuknęła o podłogę. Inny agent, młodszy i szczuplejszy, z okularami na nosie, wycelował broń w tył głowy Tierneya.

- Proszę go puścić, panie Tierney.

- Ma strzykawkę wbita w szyję. Próbuje się zabić.

Onieśmiałający siwowłosa mężczyzna podszedł do Williama, pochylił się, przez chwilę oceniał sytuację, po czym bezceremonialnie wyrwał strzykawkę z szyi Williama.

- Ubezpieczaj go - rzucił do młodszego agenta.

- To Chaber - powiedziała pospiesznie Lilly. - Nazywa się William Ritt.

- Wiem - odparł agent.

- To wasz przestępca, nie Tierney. William Ritt jest Chabrem.

- Skąd pani wie?

- Powiedział mi. Zamierzał mnie zabić.

Podczas tej wymiany zdań, Tierney oparł się lewą ręką o ścianę i dźwignął na nogi. Starszy agent wyciągnął z kieszeni spodni białą chusteczkę i podał mu.

- Przyda się, by zatrzymać krwawienie.

Tierney przyjął chusteczkę i przycisnął do barku.

- Dziękuję.

- Widzą - agent trącił Williama czubkiem buta, patrząc cały czas na Tierneya - że wreszcie znalazł pan Chabra.

Tierney pokiwał głową. Lilly, zdeorientowana, spoglądała to na jednego, to na drugiego.

- Pani Martin - zwrócił się do niej agent. - Och, bardzo przepraszam. Sowa, przeszukaj kieszenie Ritta. Powinien mieć kluczyki.

- To nie on zakuł Lilly w kajdanki. To ja.

Begley spojrział zaskoczony na Tierneya.

- Klucz jest w tej kieszeni z suwakiem. Nie jestem pewien, czy mogę...

- Może ja to zrobię. - Begley rozpiął kieszeń w kurtce Tierneya i wyciągnął z niej mały klucz. - Agent specjalny Kent Begley. To jest agent Wise. - Przykłęknął obok Lilly i rozpiął kajdanki, a potem pomógł jej wstać.

- Miło mi panów poznać. - Lilly precyzyjnie się pomiędzy nimi i podbiegła do Tierneya, który nadal opierał się o ścianę. Przesunęła rękoma tuż nad jego ciałem, jakby obawiała się, że dotykając go, może jeszcze bardziej go zranić.

- Boże drogi, Tierney, jak ty wyglądasz.

- Skrzywdził cię?

- Co? - Spojrzała w jego zmęczone oczy, a potem potrząsnęła głową. - Nie.

- Ale ja cię uderzyłem. W szopie...

- Nieważne.

- Musiałem to zrobić.

- Rozumiem. Naprawdę.

Przez kilka chwil koncentrowali się tylko na sobie. Dopiero po chwili, jednocześnie, dotarło im, że nie są sami. Lilly zwróciła się do starszego agenta:

- Tierney pojawił się w ostatniej chwili, żeby powstrzymać Williama Ritta, który chciał mnie zabić. Ciało Millicent Gunn jest w szopie, w skrzyni na narzędzia. Odkryłam je tam dziś rano. - Spojrzała na Tierneya. - Ty widziałeś je poprzedniej nocy, kiedy poszedłeś po drewno i siekiere, prawda?

Pokiwał głową.

- Jak już powiedziała Lilly, odkryłem ciało przedwczoraj w nocy. Nie dotykałem niczego, więc powinno być w nienaruszonym stanie, chyba że Ritt się nim zajął.

- Nie sądzę. Przyszedł prosto tutaj - powiedziała Lilly.

- Gdzie jest ta szopa? - spytał Begley.

Lilly wytłumaczyła mu, jak tam dotrzeć.

- William przyznał się do zabicia Millicent i do ukrycia jej ciała w naszej szopie. Miało tu zostać przez jakiś czas. Opowiedział mi wszystko i wręcz chwalił się pozostałymi zabójstwami.

- Zabierzcie go.

Na skiniecie głową Begleya, dwóch komandosów chwyciło Williama pod pachami i pociągnęło twarzą ku ziemi po podłodze. Ritt zwisał bezwładnie, jakby wreszcie zemdlał od ciosów wymierzonych mu przez Tierneya.

- Zakuć go, wsadzić do helikoptera i zaczekać na mnie.

- Tak jest, sir.

- Sowa?

- Tak?

- Połącz się z najbliższym RA. Niech przyślą jak najszybciej ludzi z kryminalnej. Przypomnij im, że będą potrzebowali helikoptera.

- Tak jest, sir - agent Wise sięgnął po telefon.

- Jak pana ramię, panie Tierney? - spytał Begley.

- Tragicznie.

- Dziwię się, że nie doznał pan szoku.

- Za chwilę to się chyba stanie.

- Chce pan usiąść?

Tierney potrząsnął głową.

- Wtedy już nigdy się nie podniosę.

- Posadziliśmy helikopter na drodze, pięćdziesiąt metrów stąd - powiedział Begley. - Kierowaliśmy się po krwawych śladach, które pan zostawił. Nasz pilot już skontaktował się z pogotowiem ratunkowym. Ich helikopter zjawi się tu lada chwila, żeby zabrać pana do szpitala.

- Dzięki.

- Chce pan rozmawiać?
- Może dzięki temu nie zemdleję.

Begley uśmiechnął się, potem jednak spoważniał.

- Jestem panu winien przeprosiny, panie Tierney. Dopiero przed kilkunastoma minutami dowiedzieliśmy się, że jest pan ojcem Torrie Lambert.

Lilly zaniemówiła z wrażenia. Spojrzała na Tierneya.

- Rozwiodłem się z jej matką, kiedy Torrie była malutka - powiedział bardziej na jej użytek. - Jej ojczym zaadoptował ją i dał jej swoje nazwisko, ale Torrie to moja córka.

- Co wiele wyjaśnia - wtrącił Begley. - Najwyraźniej nie ufał pan ani nam, ani miejscowej policji. Zamiast czekać na wynik śledztwa, zaczął pan prowadzić własne poszukiwania. To już dwa lata, tak?

- Zgadza się.

Begley chrząknął i uśmiechnął się niewyraźnie. Lilly odniosła wrażenie, że gdyby to jego córka zaginęła, agent zachowałaby się tak samo.

- Kto zrobił napis na szafce w kuchni? - spytał. Nie umykały mu żadne szczegóły.

- Ja - przyznała Lilly. - Przez jakiś czas sądziłam... - Zawstydzona, skinęła ręką w kierunku Tierneya.

- Nie była pani odosobniona w swojej opinii. Panie Tierney, czy polował pan na Williama Ritta?

- Nie. Stawiałem na Wesa Hamera.

- Wesa Hamera?

- Poznałem Millicent w sklepie jej wujka. Chyba... chyba mnie polubiła.

Zakochała się w tobie, pomyślała Lilly.

- Było to zeszłej jesieni, podczas ostatniej mojej wizyty w Cleary. Pewnej nocy, kiedy wróciłem do pensjonatu, Millicent czekała na mnie przed moim domkiem. Poczuję się dość nieswojo. Nie zaprosiłem jej do środka. Millicent opowiedziała mi wtedy okropną historię o Wesie, o synu Wesa, ciąży i poronieniu.

Lilly zawsze uważała Wesa za zwykłego prostaka. Z tego,

co mówił Tierney, był znacznie gorszym człowiekiem, niż sądziła.

- Kiedy Millicent wróciła z kliniki, gdzie była leczona na anoreksję, pragnęła wrócić do Scotta, ale chłopak nie chciał mieć z nią nic wspólnego. Poprosiła mnie o radę - potrząsnął smutno głową. - Miałem swoje własne problemy i nie chciałem się mieszać w tę sprawę. Potem jednak, kiedy zgłoszono jej zaginięcie, pomyślałem, że może Wes pozbył się problemu, a jego kumpel Dutch go kryje. Dlatego nie chciałem ci powiedzieć, co robię - zwrócił się do Lilly. - Bo wtedy mogłabyś z poczucia obowiązku przekazać to Dutchowi, a on zrobiłby wszystko, żeby ochronić swojego przyjaciela. Zresztą, nawet gdyby Wes nie był Chabrem, wszyscy dowiedzieliby się, co robię, i Dutch użyłby wszelkich sposobów, by uniemożliwić mi poszukiwanie mojej córki.

- Co robiłeś na górze podczas śnieżycy? - spytała.

- Nigdy nie zrezygnowałem z poszukiwania Torrie. Tamtego dnia odkryłem... - przerwał i chrząknął, oczyszczając gardło. - Groby. Cztery groby i piąty, świeżo wykopany, pewnie dla Millicent. Pod krzakami leżała porzucona łopata.

- Kajdanki?

- Są moje.

- Kupił pan również transponder - powiedział Begley. - Rozumiem, że do namierzania?

Tierney skinął potakująco głową, wyraźnie zawstydzony.

- Nigdy z niego nie skorzystałem. Widzę, że dobrze się pan przyłożył do śledztwa.

- Prawdę mówiąc, *to* słowa uznania *należą* się agentowi Wise'owi - powiedział Begley, wskazując na Sowę, który skończył rozmawiać z RA, cokolwiek znaczył ten skrót, i przysłuchiwał się teraz opowieści Tierneya.

- Ja również winien jestem panu przeprosiny, panie Tierney - powiedział. - Na papierze wyglądało na to, że jest pan najbardziej prawdopodobnym podejrzanym.

- Na papierze może tak. Dlaczego w ogóle się mną zainteresowaliście?

- Pana inicjały pojawiły się kilkakrotnie w pamiętniku Millicent Gunn. Pisała, że był pan dla niej bardzo miły.

Tierney wzruszył ramionami, ale nie powiedział ani słowa.

- Co z tymi grobami? - spytał Begley.

- Starałem się pozostawić wszystko w nienaruszonym stanie. Miałem nadzieję, że policja znajdzie w nich wystarczające dowody, które pomogą zidentyfikować Chabra.

Begley zapytał o położenie grobów, Tierney wytłumaczył im, gdzie mogą znaleźć jego samochód.

- Groby są około stu pięćdziesięciu metrów od niego, na północny wschód. To dość stromy kawałek, ale wystarczająco łatwy do pokonania nawet dla człowieka niosącego ciało.

- A wstążka? - spytała Lilly.

Tasiemka nadal leżała na podłodze u ich stóp, ubrudzona krwią Tierneya i Ritta.

- Jak już mówiłem, zobaczyłem ją trzepoczącą na wietrze, zaczepioną o gałąź. Ritt musiał ją upuścić, kiedy kopał grób. Wziąłem ją, bo bałem się, że wiatr poniesie gdzieś cenny dowód rzeczowy, zanim zdołam sprowadzić tu jakiegoś detektywa. Użyłem rękawiczek gumowych, gdy zabierałem łopatę - dodał, zwracając się do Begleya. - Jest w bagażniku mojego wozu. Mam nadzieję, że znajdziecie na niej odciski palców Ritta. - Lilly zobaczyła, że oczy mu się zaskliły. - Teraz przynajmniej znajdziecie szczątki mojej córki.

Tierney zupełnie ochrypł. Zważywszy na to, jak dużo krwi stracił, Lilly dziwiła się, że jeszcze jest w stanie utrzymać się na nogach. Objęła go w pasie.

- Może jednak usiądziesz?

W odpowiedzi uśmiechnął się.

- Dziękuję, postoję.

- To Dutch cię postrzelił, prawda?

Spoglądał przez chwilę w jej twarz, a potem zwrócił się do Begleya.

- Co z nim i z Wesem Hamerem?

- Został z nimi Collier, jeden z naszych. - Begley skierował niepewne spojrzenie na Lilly, a potem zapytał Tierneya: -

Czy pani Martin mówi prawdę? Komendant Burton pana postrzelił?

- Rzuciłem na ziemię swój pistolet - powiedział z goryczą Tierney. - Ale to go nie powstrzymało.

- Strzelił do ciebie, chociaż wiedział, że jesteś nieuzbrojony?

- To częściowo moja wina, pani Martin - odezwał się Begley. - Komendant Burton uznał, że pan Tierney jest groźnym przestępcą.

- Byłem tego świadomy. - Tierney wyjaśnił, że usłyszał w radiu, iż jest poszukiwany w celu złożenia wyjaśnień. - Kiedy zobaczyłem Dutcha i Wesa Hamera, pomyślałem, że wyruszyli, aby mnie pojmać, żywego lub martwego.

- Był również wściekły, że byliście tu razem. Kierowała nim niezdrowa kombinacja zazdrości i nadgorliwości.

- Dlatego właśnie zacząłem uciekać, gdy ich zobaczyłem. Miałem nadzieję, że zanim mnie dorwą, wy zobaczycie, co się dzieje. Pomyślałem, że mam większe szanse na wytłumaczenie wszystkiego FBI. Wątpiłem, by Dutch i Wes wykazali się jakimkolwiek zrozumieniem, i miałem rację. - Przerwał dla zaczerpnięcia oddechu. - Nie zdołałem jednak uciec. Dogonili mnie i postrzelili. Chwilę później usłyszałem przez radio Ritta, który powiedział, że znalazł w chacie martwą Lilly. Zrozumiałem wtedy, że coś jest nie w porządku. Zapewne możecie dopowiedzieć sobie całą resztę. - Zatoczył się ciężko na ścianę.

Lilly objęła go delikatnie i pomogła mu usiąść na podłodze.

- Nie mogę uwierzyć, że Dutch ci to zrobił. - Popatrzyła na Begleya. - Odpowie za to przed sądem, prawda?

- Nie, proszę pani.

Chciała zapytać dlaczego, ale nagle zrozumiała. Dostrzegła odpowiedź we współczującym spojrzeniu Begleya, w minie agenta Wise'a, usłyszała ją w stłumionym przekleństwie Tierneya.

- Przykro mi, pani Martin - powiedział łagodnie Begley. - Nie dał nam wyboru. Postrzelił jednego z moich ludzi. Gdyby

nie kamizelka, oficer Collier pewnie by już nie żył. Komentant Burton usiłował strzelić panu Tierneyowi w plecy, potem próbował zabić mnie. Dostał kilka ostrzeżeń, których nie posłuchał. Aby ocalić życie...

- Nie musi mi pan tego tłumaczyć - przerwała smutnym głosem.

Tierney chwycił ją za rękę.

Nagle rozległ się dźwięk telefonu. Wise odwrócił się do nich tyłem i odebrał telefon tak dyskretnie, jak to było możliwe. Na zewnątrz rozległ się jakiś hałas. Begley wyszedł na werandę i niemal natychmiast wrócił.

- Helikopter medyczny już przyleciał, panie Tierney.

- Czy będę mogła z nim polecieć?

- Obawiam się, że nie, pani Martin - odparł Begley. - Będziemy pani potrzebować w Cleary.

Lilly niechętnie pokiwała głową.

- Pojadę z pierwszą grupą i dopilnuję, żeby Ritt znalazł się w areszcie. Pani zostanie tutaj pod opieką agenta Wise'a, dopóki nie wróci po was helikopter. Dzisiaj Sowa dowiódł, że jest doskonałym agentem terenowym - ciągnął Begley. - Zresztą, nie powinno nam to zająć więcej niż pół godziny.

- Nie szkodzi, poczekam.

Do środka weszła grupa sanitariuszy, pchając przed sobą nosze na kółkach. W ciągu kilku minut ułożyli na nich Tierneya, przymocowali go pasami, podłączyli mu kroplówkę i włożyli do nosa rurki doprowadzające tlen. Przez ten cały czas Tierney trzymał rękę Lilly. Oboje nie spuszczały z siebie wzroku.

Odprowadziła go aż na werandę, gdzie w końcu musieli się rozdzielić. Słońce schowało się za las na zachodzie, przez co wydawało się, że już zapadł zmierzch. Temperatura drastycznie się obniżyła. Lilly została na werandzie, obejmując się ramiarami w ochronie przed chłodem, dopóki helikopter z Tierneyem nie wystartował.

- Gdzie go zabierają? - spytała Begleya, który wprowadził ją pospiesznie do środka.

- Do Asheville.
- Stracił dużo krwi.
- Jest twardy, przeżyje.

Begley dotknął ramienia Lilly, chcąc dodać jej otuchy. Uśmiechnęła się. On też.

- Sir? - Oboje odwrócili się na głos agenta Wise'a.
- O co chodzi, Sowa?
- Znaleziono Scotta Hamera.

Kiedy Dora się o tym dowiedziała, była nadal z Marilee.

Zostały razem przez cały dzień, podtrzymując się wzajemnie na duchu. Dora zadzwoniła do kilku znajomych syna. Wieści o tym, że matka Scotta chce koniecznie z nim porozmawiać, szybko się rozniosły. Żaden z kolegów chłopaka nie wiedział, co się z nim dzieje. Dora nie mogła się również skontaktować z Wesem. Albo jego komórka nie miała zasięgu, albo ignorował jej telefony.

Obie kobiety czekały, coraz bardziej zdenerwowane.

To oficer Harris odnalazł Scotta.

- Jest w drodze do szpitala - powiedział. Nie chciał jednak dodać nic więcej przez telefon.

Dora i Marilee dotarły na pogotowie pełne lęku, co dyżurna pielęgniarka ma im do powiedzenia. Kobieta, która zresztą dobrze znała rodzinę Scotta, nie kwapiła się jednak do przekazania złych wieści.

- Lekarz chciał porozmawiać bezpośrednio z panią, pani Hamer. Zaraz po niego pójde - rzuciła, znikając w drzwiach. Po dziesięciu minutach pojawił się w nich młody człowiek w kitlu. Dorze wydawał się zbyt młody. Spojrzał na obie kobiety.

- Pani Hamer? - spytał.

- To ja.

- Jestem doktor Davidson. - Ucisnął jej zimną i spoconą dłoń. - Wygląda na to, że Scott wspinał się po linie w szkole, stracił uchwyt i spadł. Był sam, nikt go nie pilnował. Zdaje się też, że nie położył na ziemi materaca, więc wylądował na

twardej powierzchni. Usiłujemy go teraz ustabilizować, by przewieźć go do szpitala.

- To znaczy, że żyje? - Dora osunęła się na podłogę, gdyby Marilee jej nie podtrzymała.

- Och, tak! Proszę mi wybaczyć. Myślałem, że panie już to wiedzą. Obrażenia Scotta nie zagrażają jego życiu. Nie chcę ich jednak lekceważyć. Chłopiec ma połamane w kilku miejscach nogi. Prześwietliliśmy go, żeby sprawdzić, czy nie ma obrażeń wewnętrznych. Przeprowadzamy takie badania rutynowo w przypadkach, gdy mamy do czynienia z uszkodzeniem pasa miednicowego. Nie zauważyliśmy żadnych urazów kręgosłupa ani głowy. Przy tego typu upadku miał duże szczęście, że się bez tego obeszło - przerwał, pozwalając, by obie kobiety przyswoiły sobie nowiny. - Przepraszam, pani Hamer, ale muszę o to zapytać. Czy Scott przyjmował sterydy?

- Tak, podawano mu je.

- Mogły przyczynić się do powiększenia uszkodzeń. Również z ich powodu rekonwalescencja Scotta będzie dużo trudniejsza. Sterydy wzmacniają mięśnie, ale nie więzadła i ścięgna, które wręcz ulegają osłabieniu. Obawiam się, że Scotta czekają ciężkie czasy.

- Najważniejsze, że żyje.

- Tak, żyje. Musimy go jednak przetransportować na oddział chirurgii pourazowej. Na nieszczęście drogi nadal są oblodzone, a helikopter musiał wcześniej zabrać innego pacjenta, który stracił dużo krwi.

- Czy złapano już pana Tierneya? - spytała Marilee.

- Nie znam jego nazwiska. Wiem tylko, że dostali Chabra i że była to krwawa akcja. Zapewne upłynie parę godzin, zanim będziemy mogli zabrać stąd Scotta. Tymczasem postaramy się stworzyć mu jak najlepsze warunki i będziemy go monitorować.

- Czy możemy go zobaczyć?

- Jak tylko skończymy prześwietlenie. - Lekarz się zawałał. - Widziałem, że w zeszłym roku grał w futbol. Bardzo

utalentowany chłopak. Myślę, że musi go pani stopniowo przygotowywać na rozczarowanie.

Pół godziny później pielęgniarka przyszła po Dorę, aby zaprowadzić ją na oddział intensywnej terapii. Kobieta wyciągnęła rękę w stronę Marilee.

- Chodź ze mną.

- Nie mogę - odpowiedziała Marilee głosem schrypniętym z emocji.

- Będzie cię potrzebował.

- Nie, nie będzie. - Marilee uśmiechnęła się przez łzy. - Kiedyś tak, ale teraz już mnie nie potrzebuje. Powiedz mu... - przerwała i potrząsnęła smutno głową. - Nieważne. Myślę, że najlepiej będzie, jeżeli nic mu nie powiesz.

Dora spojrzała jej głęboko w oczy i powoli skinęła głową.

- Jesteś niezwykłą, pozbawioną egoizmu osobą i niesamowicie dzielną kobietą. - Uścisnęła szybko Marilee i wyszła przez podwójne drzwi.

Scott dostał zastrzyk ze środków przeciwbólowych, więc był nieco oziębiały. Niemniej wiedział, gdzie jest. Kiedy Dora podeszła do jego łóżka, uśmiechnął się blado i wyszeptał:

- Cześć, mamo.

Dora chwyciła jego dłoń, nawet nie próbując ukryć łez.

- Synku.

- Z moimi nogami jest bardzo źle, prawda?

- Tak, synu.

Scott zaniknął oczy i odetchnął głęboko, uśmiechając się delikatnie.

- Dzięki Bogu.

Epilog

- Pani Martin, przyszedł pan Tierney.

Asystentka Lilly wiedziała, kim jest Tierney. Gazety wciąż jeszcze rozpiszywały się o wydarzeniach w Karolinie Północnej sprzed trzech miesięcy. Chociaż głównym tematem historii pozostawał William Ritt, w pokoju socjalnym wydawnictwa „Smart” często spekulowano na temat tego, co mogło się wydarzyć w ciągu dwóch dni w górskiej chacie między Lilly a Tierneyem. Nikt nie miał odwagi zapytać o to Lilly, zwłaszcza że najwyraźniej nie utrzymywała żadnych kontaktów z Tierneyem. Aż do wczoraj, kiedy to zadzwonił i poprosił o spotkanie następnego dnia rano.

Lilly wiedziała, że wiadomość o tym rozniosła się lotem błyskawicy. Tego poranka wszyscy wyczekiwali, aby zobaczyć bohatera ich plotek.

Nonszalancja jej asystentki była udawana.

Ale Lilly nawet na to nie było stać. Nie poznała własnego głosu, kiedy odpowiedziała:

- Przyślij go do mnie, proszę.

Z mocno bijącym sercem wpatrzyła się w drzwi. Otworzył je, wszedł i zamknął za sobą. Był ubrany w czarne spodnie i sportową bluzę. Do tej pory widziała go wyłącznie w kostiumie na kajaki albo w dżinsach, swetrze i kurtce.

No i oczywiście nago.

- Witaj, Lilly.

- Witaj.
- Cieszę się, że znalazłaś dla mnie trochę czasu.
- Zawsze staram się wygospodarować nieco dla mężczyzn, z którymi spędzam czterdzieści osiem godzin uwięziona w górskiej chacie podczas zamieci.

Był trochę chudszy i bledszy, ale uśmiech miał ujmująco znajomy. Odsunął krzesło przy biurku i przyjrzał się jej niespiesznie.

- Wyglądasz świetnie.

Więc dlaczego czekałaś aż dziewięćdziesiąt cztery dni, żeby się ze mną spotkać!?! - krzyknęła w myślach. Zamiast tego jednak powiedziała:

- Jak twoje ramię?
- Jak nowe. Musieli zastąpić stare nowym, plastikowym, podobno niezniszczalnym.

- Przeszkadza ci to?

- Niezbyt.

- Mówisz tak o każdej ranie.

Spoglądał na nią przez chwilę.

- Niektóre bołą bardziej niż inne.

Odwróciła głowę, żeby uniknąć magnetycznego spojrzenia błękitnych oczu. Niezliczoną ilość razy zastanawiała się, co powie, kiedy znowu go zobaczy - jeżeli to w ogóle nastąpi. Wiedziała, że musi go zobaczyć przynajmniej jeszcze raz, ale nie wiedziała, czego może oczekiwać.

Odgrywała scenę ich spotkania wielokrotnie. Czasem obrażała siebie, że zachowuje się chłodno i obojętnie, czasem zaś z żalosną tęsknotą. Teraz jednak nie potrafiła sobie przypomnieć żadnego sprytnie wymyślonego zdania z tamtych scenariuszy.

- Zapewne odbywałaś fizjoterapię.
- Kilka tygodni w klinice.
- Brak aktywności musiał być dla ciebie nieznośny.
- Owszem, ale i tak miałem lepiej niż inni pacjenci, na przykład Scott Hamer.
- Tak, słyszałam o jego wypadku.

- To nie był wypadek. - Dostrzegł jej zaskoczenie, ale ciągnął dalej: - Ktoregoś dnia porozmawialiśmy sobie od serca. Powiedział mi, że puścił linę celowo.

- Dlaczego?

Lilly słuchała z rosnącym przerażeniem o sterydach, które podawał Scottowi Wes.

- A do tego jeszcze spał z jego dziewczyną - mruknęła, potrząsając głową. - Wes Hamer jest potworem.

- Zgadzam się. Ta sprawa z Millicent zostanie utrzymana w tajemnicy. Nie ze względu na Wesa, ale po to, żeby oszczędzić rodziców dziewczyny. Po co im dodatkowy ból?

- Wes zasługuje na publiczne baty, ale rozumiem tę decyzję.

- Podobno i tak mu się oberwało, nie tylko dlatego, że Scott miał wypadek, ale także przez wydarzenia, które rozegrały się na Cleary Peak.

- On tylko podążył za Dutchem.

- Niezupełnie, Lilly. Według Scotta, Wes przyznał się do tego, że namawiał Dutcha do pościgu za mną.

- Z jakiego niby powodu?

- Bo przez jakiś czas myślał, że to Scott jest Chabrem.

- Scott?

- Miał motyw, przynajmniej Wes tak uważał. Podjudził więc zazdrość Dutcha i namówił go do zrobienia tego, na co twój eks i tak miał ochotę. Czyli do zabicia mnie za to, że byłem z tobą. Ten podstęp skończył się jednak śmiercią Dutcha. Wes będzie dźwigał poczucie winy do końca życia.

- Dlaczego Dora wciąż z nim jest?

- Pani Hamer? Po tej historii ze sterydami podobno była gotowa od niego odejść. Wes błagał, żeby została. Obiecał, że się zmieni, że będzie lepszy. Na znak dobrej woli podobno zrezygnował z posady trenera i zaczął sprzedawać artykuły sportowe.

- W sklepie wujka Millicent?

- Aż tak bardzo się nie zmienił. - Tierney skrzywił się z niesmakiem.

- Co ze Scottem? Co będzie robił?
- Nadal porusza się na wózku, ale kiedy rekonwalescencja dobiegnie końca, zamierza kontynuować naukę.
- Nie będzie uprawiał żadnych sportów?
- Nie. Nie będzie już brał udziału w rozgrywkach futbolo-
wych i jest z tego powodu niezmiernie uradowany.
- Musiał być bardzo nieszczęśliwym chłopcem, skoro po-
sunął się do takiej rzeczy, by uciec przed terrorem Wesa.
- Nadal jest nieszczęśliwy. - Tierney zmarszczył w za-
myśleniu czoło. - Opowiedział mi o wielu rzeczach. Cieszy
się, że nie musi przejmować się karierą sportową, ale jest jesz-
cze coś, co go męczy. Utrzymuje, że to zbyt osobista sprawa,
aby o niej opowiadać. Nie jest jeszcze gotowy, żeby z kimkol-
wiek rozmawiać na ten temat. Miałem dużo czasu, żeby go ob-
serwować w szpitalu. Dużo czyta, głównie literaturę klasycz-
ną. Albo siedzi i wpatruje się godzinami w przestrzeń. Jest
bardzo smutnym młodzieńcem.
- Może to przez Millicent?
- Scottowi jest bardzo przykro z powodu tego, co się jej
przytrafiło, ale po tym, jak przyłapał ją z Wesem... - Tierney
zawiesił głos. - Coś lub ktoś inny złamał mu serce. Może pew-
nego dnia mi o tym opowie. Obiecałem, że będę utrzymywał
z nim kontakt.
- Jestem pewna, że ceni twoją przyjaźń.
- To dobry dzieciak.
- Zapewne słyszałeś, że William Ritt przyznał się do
wszystkich zarzutów.
- Usta Tierneya zacisnęły się w cienką kreskę.
- Pięć wyroków dożywocia. Wciąż za mało.
- Zgadzam się z tobą w zupełności.
- Przynajmniej oszczędził podatnikom kosztów procesu.
- Nikt nigdy go nie lubił. Pamiętam dobrze, że im bar-
dziej starał się być przyjazny, tym bardziej wydawał się od-
pychający. Teraz nawet jego własna siostra go opuściła. Nie
znam dobrze Marilee, ale zawsze wydawała mi się bardzo
sympatyczna. Wyobrażasz sobie, jak musiała być przerażo-

na? Wysłałam jej kartkę ze słowami wsparcia, ale wróciła do mnie.

- Słyszałem, że wyprowadziła się z Cleary i nie zostawiła nowego adresu. Pewnie tak jest najlepiej.

- Pewnie tak.

Wyczerpawszy wszystkie tematy krążące wokół sprawy Chabra, zamilkli. Lilly wiedziała, że Tierney cały czas się w nią wpatruje. Sama uporczywie patrzyła na stos listów na biurku. W oczekiwaniu na jego przybycie nie mogła się skoncentrować na pracy.

Wreszcie uznała, że dłużej nie znieśie tego napięcia. Spojrzała na niego.

- Lilly, nie odzywałem się aż do tej pory, ponieważ...

- Nie prosiłam cię o wyjaśnienia.

- Ale zasługujesz na nie.

Wstała i podeszła do okna. Najgorsza śnieżycy stulecia przyniosła ze sobą koniec zimy. Na dworze panowała wiosna, zapowiadająca rychłe nadejście lata. Dwadzieścia pięter w dół ulice Atlanty kapały się w ciepłym popołudniowym świetle słonecznym.

- Zmieniłeś szpital, Tierney. Powiedzieliś agentom FBI w Charlotte, żeby nie podawali nikomu, nie wyłączając mnie, żadnej informacji na temat miejsca twojego pobytu. Zrozumiałam.

- Najwyraźniej nie. Nie chodziło o to, że nie chciałem cię widzieć.

- Naprawdę?

- Nie.

- Zatem o co chodziło?

- Musiałś pogrzebać Dutcha, a ja ekshumować Tonie.

Jej złość nagle się rozwiała. Odwróciła się i spojrzała na niego.

- Wybacz. Nie powiedziałam ci jeszcze, jak mi przykro z jej powodu.

- Dziękuję. Kiedy się dowiedziałem, co się z nią stało, poczułem w pewnym sensie ulgę.

Lilly chciała do niego podejść, ale została przy oknie.

- Opowiedz mi o Torrie, oczywiście jeżeli chcesz.
- To niezbyt miła historia, ale chcę, byś jej wysłuchała.

Lilly wskazała mu krzesło. Tierney zaczerpnął powietrza w płuca.

- Torrie miała zaledwie kilka miesięcy, kiedy wyjechałem w długą podróż do Afryki. Podpisałem kontrakt na reportaże z podróży po kontynencie dla pewnego magazynu podróżniczego. Miałem spędzić w Afryce kilka tygodni, z których zrobiło się nagle kilka miesięcy. Wiele miesięcy. Nie wróciłem do domu na Święto Dziękczynienia, na Gwiazdkę i tak dalej. Podczas mojej nieobecności Paula, matka Torrie, spotkała pewnego mężczyznę i zakochała się w nim. Kiedy wróciłem wreszcie do domu, rzuciła we mnie papierami rozwodowymi, zanim zdążyłem się rozpakować. Paula i jej mąż chcieli, żebym zrezygnował ze wszystkich praw do Torrie. Twierdzili, że on spędza z małą więcej czasu, niż ja. Wtedy zdołałem jakoś przekonać samego siebie, że to dobra i właściwa decyzja. Lambert kochał Paulę i traktował Torrie jak własne dziecko. Pomyślałem, że lepiej będzie dla mojej córki, jeżeli się wycofam i pozwolę, by żyli jak szczęśliwa rodzina.

- Wtedy - wtrąciła cicho Lilly. - To ważne.

- Tak. - Tierney wstał i podszedł do ściany, na której wisiały różne ważne artykuły z czasopisma Lilly. Spojrzał na nie, ale Lilly nie sądziła, by je czytał lub przyglądał się zdjęciom z okładki.

- Nigdy mi nie utrudniali odwiedzania Torrie. Zachęcali mnie nawet do tego, ale wizyty zawsze były dosyć dziwne. Nie znaliśmy się. Byłem obcym człowiekiem, z którym biedne dziecko musiało się od czasu do czasu widywać. Pojawiałem się na scenie, mówiłem kilka linijek i znikałem na kolejny rok czy dwa. To było życie mojej córki. Ja byłem jedynie przechodniem. Mijały kolejne lata i zaniechałem tych wizyt. Odwiedzałem ją coraz rzadziej. - Przesunął się w bok i bił wzrok w kolejny wycinek prasowy. - Wiadomość o jej zaginięciu dotarła do mnie, gdy byłem nad Amazonką. Zniknęła bez śladu

i podejrzewano, że została uprowadzona. Powrót do cywilizacji zajął mi dwa tygodnie. Nie widziałem Torrie od kilku lat. Powiadomiono mnie o tym wyłącznie z uprzejmości, nic więcej. Paula była zaskoczona, kiedy pojawiłem się na progu jej domu w Nashville, co nie najlepiej o mnie świadczy, nieprawdaż? Zamiast jednak pocieszyć ją i zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby uczynić tę sytuację bardziej znośną, zachowałem się jak ostatni dupek. Miałem czelność skrytykować ich za zbyt szybki wyjazd z Cleary i zaniechanie dalszych poszukiwań. Zaczęła się już zima i wysyłanie setek ludzi na poszukiwania było bezcelowe. Ja jednak nie chciałem zaakceptować faktu, że zrobiono wszystko, co można. Miałem nadzieję, że Torrie jakimś cudem się odnajdzie. Jej zdjęcie na pudełkach z mlekiem i prośba o informację o zaginionej wydawały mi się niewystarczające. - Odwrócił się i spojrzał na nią. - Lambert wyrzucił mnie z domu i nie winię go za to. Zameldowałem się w hotelu, mając ze sobą tylko worek marynarski pełen ubrań. Dopiero w tym bezosobowym pokoju dotarło do mnie nagle, że jestem całkiem sam. Paula i jej mąż mieli siebie, mogli się przed sobą wypłakiwać, wspierać się wzajemnie. Ja nie miałem nikogo i sam sobie byłem winien. Przyszło mi do głowy, że dobrowolnie zrezygnowałem z jedynej osoby na tym świecie, która była częścią mnie. Wtedy właśnie zrozumiałem, jak cholernym byłem egoistą. Zrzeknięcie się praw do Torrie było poświęceniem. Tak to sobie tłumaczyłem, ale to tylko wymówka. Nie był to żaden wielki, altruistyczny gest dla dobra dziecka, tylko czysty egoizm, moja własna wyгода. Chciałem podróżować po świecie. Pragnąłem wolności. Móc spakować się i wyjechać, kiedy tylko przyjdzie na to chęć, nie myśląc o obowiązkach wobec rodziny. W tym pustym hotelowym pokoju zobaczyłem swoje prawdziwe oblicze, a przynajmniej to, kim kiedyś byłem. Przyszedł bowiem czas na zmiany. Tamtej nocy postanowiłem, że muszę się dowiedzieć, co się przytrafiło Torrie, nawet gdyby miało mnie to kosztować życie. To była jedyna odpowiedzialność, od której nie zamierzałem się

wywnąć. Ostatnia i jedyna rzecz, którą mogłem zrobić dla swojego dziecka. - Był wyraźnie przejęty. - I musiałem wszystkiego dopilnować aż do końca, Lilly. Wyczołgałem się z łóżka szpitalnego, żeby być przy ekshumacji zwłok. Byłem przy Pauli podczas identyfikacji szczątków naszej córki. Pogrzebaliśmy ją w Nashville. - Odwrócił się od ściany i spojrzał na Lilly wilgotnymi od łez oczami. - Musiałem zamknąć ten rozdział mojego życia, zanim się z tobą spotkałem. Rozumiesz?

Lilly pokiwała głową, zbyt przejęta, żeby cokolwiek powiedzieć.

- Może po wysłuchaniu tej opowieści nie będziesz chciała mieć ze mną nic wspólnego, ale mam nadzieję, że będzie inaczej.

- Czy sądzisz...

- Co takiego?

- Tamtego dnia, na splotwie. Czy sądzisz, że wyczułeś we mnie ten sam rodzaj smutku i pustki, jaki odczuwałeś? Ja straciłam Amy, ty Torrie. Czy rozpoznałeś...

- Bratnią duszę?

- Coś w tym rodzaju.

- Jestem tego pewien.

- Och.

- Zaczekaj chwilę. Zastanawiasz się, czy była to jedyna rzecz, która mnie do ciebie przyciągnęła?

- A była?

- Jak sądzisz?

Jego spojrzenie było niczym pieszczota. Wyczytała z niego odpowiedź na swoje pytanie. Potrząsnęła głową.

- Nie. Myślę, że po naszym pożegnaniu oboje wiedzieliśmy, że to nie koniec.

- Czas, który spędziliśmy ze sobą, można liczyć w godzinach, ale mam wrażenie, jakbyśmy znali się dłużej niż wiele par.

- A jesteśmy parą, Tierney?

Podszedł do niej, ujął jej twarz w dłonie i odchylił do tyłu.

- Mam cholerną nadzieję - powiedział, przyglądając się jej z bliska.

- Chcesz mnie? - spytała szeptem.

- Nie masz pojęcia, jak bardzo.

Pochylił głowę i pocałował ją. Jego język wsunął się między jej wargi. Pocałunek był delikatny, lecz szybko przerodził się w gorący, seksowny, nabrzmiały obietnicami. Tierney nie mógł jeszcze poruszać prawym ramieniem, ale objął ją lewym, po czym dobrze zapamiętanym przez nią gestem, położył dłoń na jej biodrze i przyciągnął do siebie, unosząc nieco w górę. Całowali się długo, namiętnie. Kiedy wreszcie przestali, Tierney odgarnęła włosy z twarzy Lilly.

- Już się mnie nie boisz?

- Tylko tego, że znowu znikniesz z mojego życia.

- W takim razie nie masz się czego obawiać. - Pocałował ją delikatnie. Kiedy podniósł głowę, miał poważny wyraz twarzy. - Obiecuję, Lilly, tym razem będę lepszy. Będę cię kochał tak, jak nikt nigdy na świecie.

- Wiem, że mnie kochasz. Ryzykowałeś dla mnie życie i to kilka razy.

- Do tej pory nie umiałem kochać, ale...

- Umiałeś, Tierney. - Lilly położyła mu palec na ustach.

Nie mógłbyś zrobić tego, co zrobiłeś, poświęcić dwa lata życia i niemal umrzeć dla Torrie, gdybyś jej nie kochał.

- Ale Torrie umarła, nie wiedząc o tym.

- Nie sądzę. Myślę, że wiedziała.

Spojrzał na nią sceptycznie, ale Lilly wiedziała, że z całego serca pragnie w to uwierzyć.

- Paula powiedziała mi, że Torrie czytała wszystkie moje artykuły i zbierała magazyny, w których je drukowano. Nigdy nie chciała ich wyrzucić.

Objęła dłońmi jego głowę.

- Wiedziała, że ją kochasz.

- Gdybym miał drugą szansę, zachowałbym się inaczej.

Jestem tego pewien. Mówiłbym jej, że ją kocham każdego dnia. Zrobiłbym wszystko inaczej. Tak jak trzeba.

Lilly przytuliła się do niego mocno, opierając głowę o jego pierś tak, by nie zauważył jej tajemniczego uśmiechu. Dzisiejszy dzień był tylko dla nich. Jutro będzie wystarczająco dużo czasu, aby powiedzieć mu, że choć stracił w górach jedno dziecko, dał życie drugiemu.

Otrzymał drugą szansę.